



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

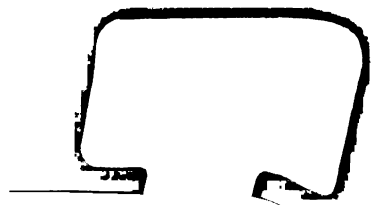
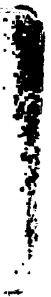
Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

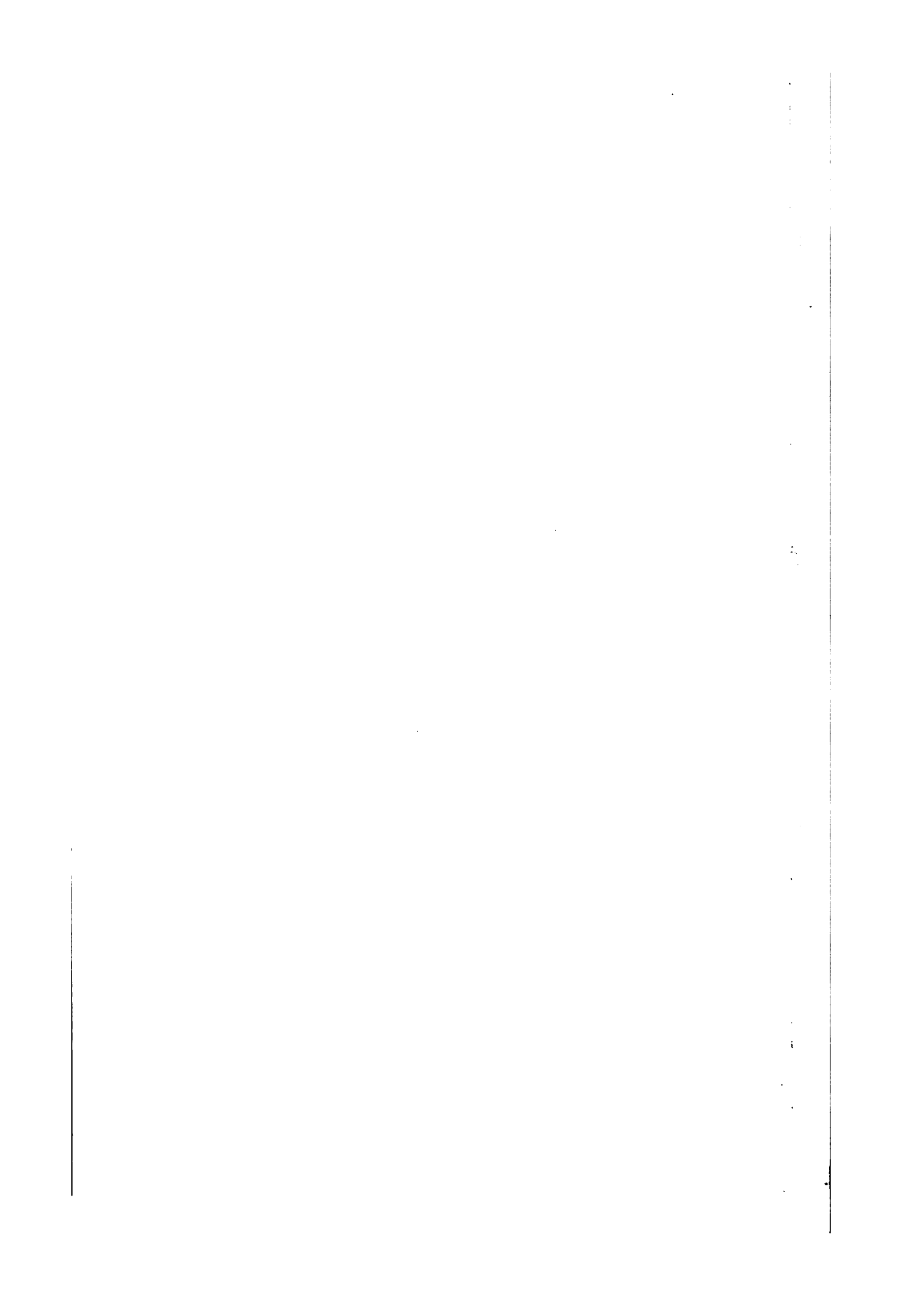
Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



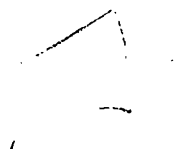








Vertical line on the left side of the page.



Vertical line on the right side of the page.

KSIĄŻĘ RADZIWIŁŁ-

„PANIE KOCHANKU!”

I

JEGO STRONNICY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

IZYDORA PORCNEGO,

autora historycznej powieści: „TADEUSZ KOŚCIUSZKO.”

„Sny a mary — a widzenia
Z prastarego pokolenia . . . “

Fr. Żygliński.

TOM I. i II.

NAKLAD I WŁASNOŚĆ PELIKSA PIOTROWSKIEGO.

POZNAŃ.

CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO.”

1892.

1. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{2} = \frac{1}{4}$
 2. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{4} = \frac{1}{8}$
 3. $\frac{1}{4} \times \frac{1}{4} = \frac{1}{16}$
 4. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{8} = \frac{1}{16}$
 5. $\frac{1}{4} \times \frac{1}{8} = \frac{1}{32}$
 6. $\frac{1}{8} \times \frac{1}{8} = \frac{1}{64}$

7. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{16} = \frac{1}{32}$
 8. $\frac{1}{4} \times \frac{1}{16} = \frac{1}{64}$
 9. $\frac{1}{8} \times \frac{1}{16} = \frac{1}{128}$

10. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{32} = \frac{1}{64}$
 11. $\frac{1}{4} \times \frac{1}{32} = \frac{1}{128}$
 12. $\frac{1}{8} \times \frac{1}{32} = \frac{1}{256}$

13. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{64} = \frac{1}{128}$
 14. $\frac{1}{4} \times \frac{1}{64} = \frac{1}{256}$
 15. $\frac{1}{8} \times \frac{1}{64} = \frac{1}{512}$

16. $\frac{1}{2} \times \frac{1}{128} = \frac{1}{256}$

17. $\frac{1}{4} \times \frac{1}{128} = \frac{1}{512}$

JAŚNIE OŚWIECONEMU KSIĘCIU ·

ANTONIEMU RADZIWIŁŁOWI,

Wielkodusznemu Protektorowi sztuk i umiejętności

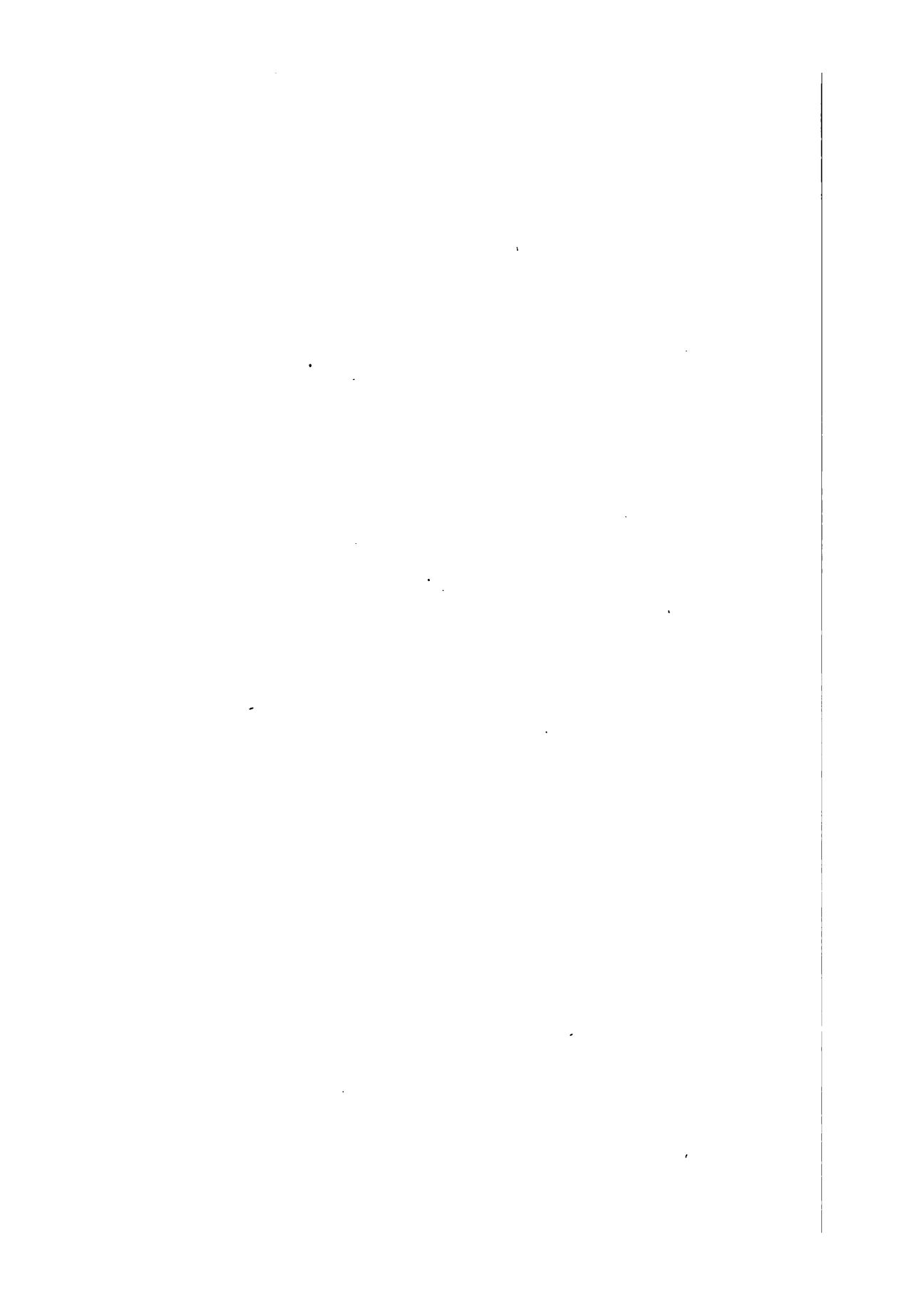
to wspomnienie

o niespożytej sławy Przodku

w poczuciu najgłębszego szacunku

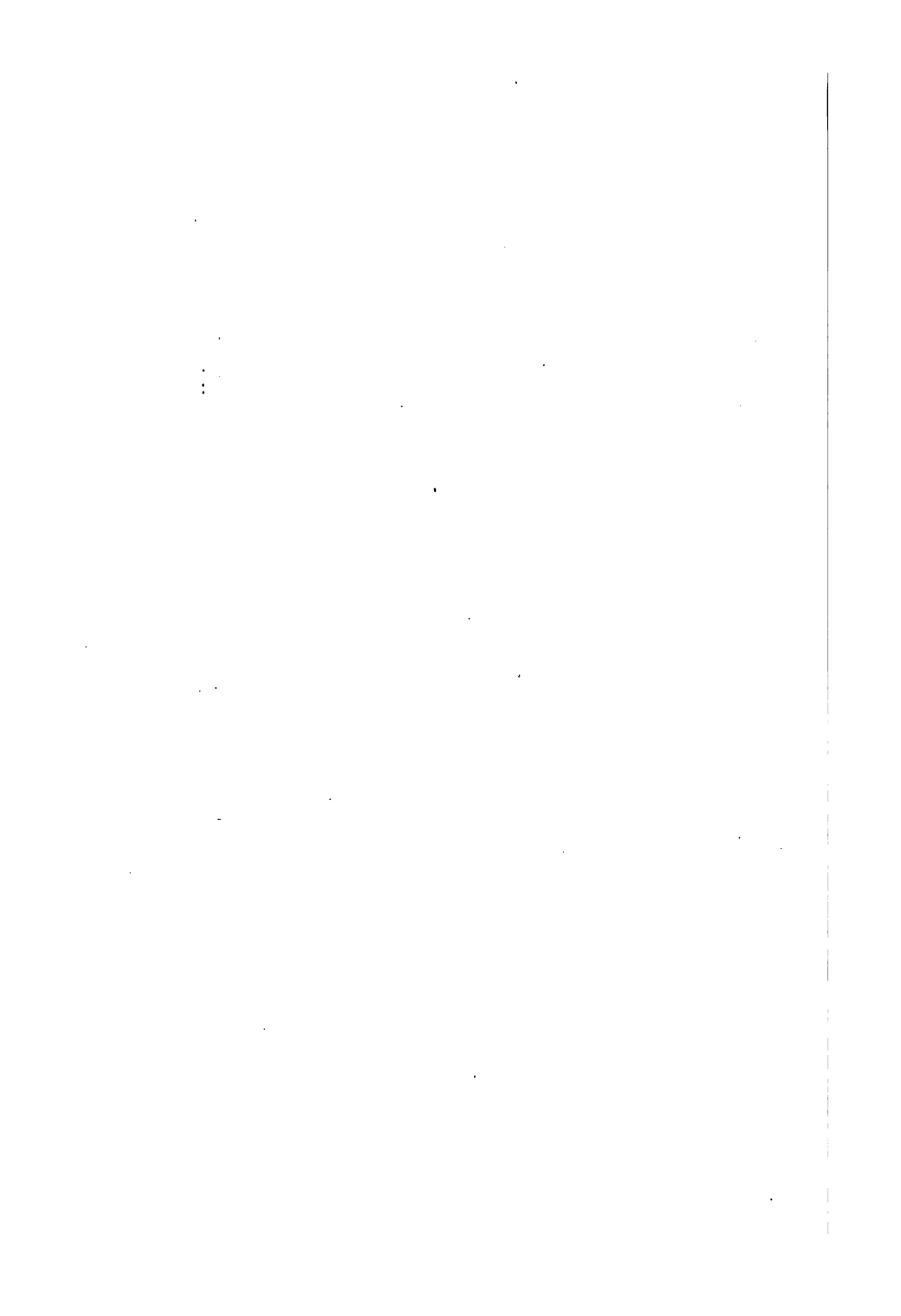
poświęca

AUTOR.





Radziwiłł „Panie Kochanku.“



I. Pan Wojciech.



Pan Wojciech Strawiński nie odziedziczył nic innego po ojcu, słudze i przyjacielu Radziwiłłowskiego domu, oprócz łaski księżęcego dworu. Tyle długów ciążyło na ojcowskim majątku, że p. Wojciech wolał się go wreszcie zrzec na korzyść wierzycieli. Chcąc ukończyć nauki prawnicze zaciągnął się następnie do palestry, w której się odznaczał pilnością, punktualnością i dobrymi obyczajami. Ponieważ mu zaś książe nie skąpił wsparcia, przeto doszedł wkrótce do wzięcia, że nadto umiał gospodarzyć, więc pozyskał sobie może po wsze czasy najobfitsze źródła zarobku, albowiem jak ziemia nie przestanie nigdy wydawać plony, tak samo nie braknie nigdy procesów pomiędzy wielkimi panami. P. Wojciech wziął w dzierżawę pola zamożnych obywateli, zajmował się ich gospodarką, a w ciągu kadencji bywał ich rzecznikiem. Był przytem skrupulatnym, zaciągał w rachunki z największą dokładnością swe dochody, gdyż wydatków nie znał prawie żadnych — chyba na wino, którym

częstował gości, albo na jałmużnę, której znaczną część zabierali kwestarze, przyrzekający modlić się za jego duszę. Stąd poszło, iż p. Wojciech, zanim jeszcze w swém życiu zaczął liczyć czwarty krzyżyk, zakupił sobie w powiecie słonimskim wcale okazałą majątność — i to za bardzo skromną cenę, gdyż te dobra były zawikłane w procesy. Atoli czas wykazał niebawem, iż się p. Wojciech ani w swych jurystycznych kombinacyach, ani w ekonomiczném oszacowaniu nabytych majątności nie omylił. Nie potrwało długo: a wygrał sprawę — toż i w gospodarce zaprowadzone zmiany wykazały, iż dotychczas nie poznano należycie wartości owych dóbr. I tak odwykał p. Wojciech powoli od swój jurystycznej czynności, ponieważ już podówczas należał do pocztu najwybitniejszych i najzamożniejszych obywateli w okolicy.

Ponieważ zaś serce także prawnika i wiejskiego gospodarza nie jest kamienne, przeto i p. Wojciech rozmyślał się po raz pierwszy i ostatni w życiu (okaże się to poniżej) w pannie — bardzo urodziwej i posażnej. Tylko się mu to nie podobało, iż pochodziła z rodu *Masalskich*, a dom, z którego się wywodziła, nie żył bynajmniej w dobrej komitywie z dworem w *Nieświeżu*. Pocieszał się przeciw nadzieją pozyskania połowicy dla swego stronnictwa, gdyż mniemał, że niewiastom nie są znane zatargi państwowe i prawne, któremi się zajmują mężowie. Owa panna była sierotą, liczyła podówczas lat siedmnaście; a jój opiekunem i obrońcą był książę-biskup *Masalski*, który ją oddał na wychowanie swemu komisarzowi dóbr w powiecie słonimskim.

Z dobrami biskupa stykała się majętność naszego kawalera: i téjto okoliczności zawdzięczał on szczęście poznania swéj ukochanéj bogdanki. Żona komisarza była rodowitą Francuzką, którą księżna-hetmanowa Masalska zabrała była z sobą z Paryża. Jéjmość Paryżanka — uznana ozdoba dworu w rodzinnym kraju przyczyniła się nie mało do rozpowszechnienia pośród Sarmatów cudzoziemskich obyczajów ku niepomiernejn zgorszeniu pocziwych Litwinów, a nawet samego księcia-hetmana. Wiele sobie o tém ludzie opowiadają, że do niéj lgnął wielce książę-biskup, kiedy był jeszcze „*le Prince Abbé*,” tak go bowiem nazywała jego matka. Koniec końców: oddał ją on za żonę jednemu z swych dworzan i uczynił nowożeńca komisarzem swych dóbr w powiecie słonimskim. Później powierzył jéj wychowanie swéj młodéj krewniaczki. Pani komisarzowa nie szczędziła trudów, chcąc przyswoić pannie Róży znajomość języka francuskiego, menueta i gawota, jakotéż gry na fortepianie i wielu pożytecznych rzeczy w domowém pożyciu na wsi.

Jakkolwiek p. Wojciech pilnie studyował swe prawnicze dokumenty i gospodarskie rejestry, ułatwyały jego myśli nieustannie ku pięknej sąsiadce. Zwierzył się atoli tylko saméj pani komisarzowéj i prosił ją, iżby go była wspierała w sprawie serdecznéj. Atoli jéjmość, przywykła do wodzenia za nos swego męzulka chciała z początku użyć téj saméj praktyki względem najwięcéj w okolicy poważanego obywatela. Przyobiecała mu więc, iż miała popierać jego sprawę w obec księcia-biskupa i panny Róży. P. Wojciech zaś uklęknął przed nią jakby przed

obrazem świętej i powodując się wdzięcznością ucałował — rękawiczkę na jej ręce. Z samą zaś bogdanką i teraz tyle rozmawiał co dawniej, gdyż mu w sprawie miłosnej słów nie dostawało; natomiast przemykali się codziennie posłańcy obojga z najpiękniejszymi nowaliami, któremi się zakochani wzajemnie obdarowywali.

Francuzka umiała korzystać z chwili: odwiedzała często zakochanego sąsiada, rozmawiała z nim o przyszłym urządzeniu domu; i wtedy wędrowały za każdym razem jakby same przez się: to jakiś ładny sprzęt domowy, to para srebrnych świeczników, albo nawet zaprząg koni z jego domu do zagrody pani komisarzowej. Ile razy zajechał wózek jejności na dziedziniec jego domu, ogarniała jego duszę radość, ale i trwoga, gdyż sprytna Francuzka umiała sprawę zawsze tak pokierować, że jego miłość brała wkońcu górę nad jego skąpstwem. Dlatego też bywał p. Wojciech zwykle grzecznym i uprzedzającym w obec Francuzki, skoro atoli ona tylko odjechała, poczynał sarkać na nią, na czeladź, a wkońcu na siebie samego.

— A bodaj czart porwał tę Francuzicę! — wołał — Gdybym był połowę tych darów udzielił księżom, wybawiliby mą duszę z czyścica. Ależbo w obec tej baby nic się w mym domu nie ostoi! Ba, cóż począć? *Nolens, volens**) muszę jej dogadzać, inaczéj zagroziłbym sobie drogę do szczęścia. Niechno się tylko ożenie, wtedy fora ze dwora z panią komisarzową...

*) Chcąc, nie chcąc.

Sięgnął wreszcie p. Wojciech po rozum do głowy i kazał w domu z ócz wszystko pouprzątać, co się mogło było spodobać téj kobiecie. Ale i ona sobie poradziła. Nie znalazłszy ruchomości poprosiła go o pożyczkę. Nieborakowi nie wypadało nic innego, jak tylko wygodzić jój kilkoma setkami złotych, które — rzecz jasna — miał odebrać na „*św. Nigdy!*“ Szlachcicowi było już tego za wiele: przeklinał chwilę, w której poznał był Rozalią, i mówił w duchu po odjeździe Francuzki: „A to okropność: ile mię ta dziewczyna kosztuje! Zapewne potknąłem się kiedyś w ciągu mego wieloletniego prawniczego zawodu, kiedy Bóg na mnie zesłał za karę tę miłość, boć sam siebie już dzisiaj nie poznaję! Ja, znany w całej Litwie z przezorności, ja, który sam sobie dotychczas nie dowierzałem, dozwalam sobie teraz wodzić słodkimi słówkami jak niedźwiedzia na łańcuchu. Wszak jasno widzę, że ta baba postanowiła mię obrać ze wszystkiego: a przecież ja temu nie poradzę. Im więcej mię dziewczyna kosztuje, tém silniej lgnę do niéj...”

Jakkolwiek Francuzka z początku nie myślała na prawdę o urzeczywistnieniu swój obietnicy, poczęła z postępem czasu poznawać, iżby było dla wszystkich interesowanych rzeczą najkorzystniejszą, gdyby było przyszło do zawarcia małżeńskiego związku. Zaczęła więc skłaniać do tego pannę, przedstawiając jój, iż o wiele przyjemniejszą jest rzeczą słuzenie w własnym domu *jednemu*, aniżeli w obcym *wielu* męszczyznom. Nie omieszkała téż przemawiać za sprawą u księcia-biskupa i to tak przekonywu-

jąco, iż dostojnik kościoła, któremu może pochlebiała nadzieja odstręczenia od Radziwiłła wpływowego obywatela, przesłał po niejakiój zwłóce zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego, oraz błogosławieństwo opiekuna.

Tym sposobem zawinął wreszcie p. Wojciech do przystani swego życia. Po weselu zabrał młodą żonę do swój posiadłości, gdzie się już zajmował jedynie swą połowicą i powiększaniem majątku. Pamiętając zaś, jakim haraczem opłacił był swój stan kawalerski, zerwał natychmiast po ożenieniu się z domem pani komisarzowej. Nawet łzy jego żony nic nie pomogły. Zakazał jój wdawać się z dawną ochmistrzynią. Nie zmienił też bynajmniej nowożeńiec swych politycznych zapatrywań, jakkolwiek teraz był spokrewnionym z domem Masalskich. Uważał się jeszcze ciągle jak dawniej za sługę Radziwiłłów, bywał często w Nieświeżu u księcia-hetmana i wspierał jego stronnictwo na każdym sejmiku. Jakkolwiek się od niego pani Strawińska wychowaniem wielce różniła, przecież można było początkowe pożycie obojga małżonków nazywać szczęśliwém — tém więcej, ponieważ im Bóg nie odmówił dzieci. Było ich dwoje i to synów; starszy nazywał się *Ludwik*, młodszy *Michał*.

Tymczasem zamianowano p. Wojciecha deputowanym w trybunale litewskim; zamieszkał więc z żoną i dziećmi w *Wilnie*. Na nieszczęście spotkał się tutaj znowu z swą dawną przyjaciółką. Pani komisarzowa tymczasem owdowiała i mieszkała już

w t6m mie6cie od dlu6szego czasu. Jakkolwiek pan deputowany nakazał był sw6j połówicy, iżby się była nie wdawała z „Francuzicą“, przecie6z ta rzecz była trudna do uskutecznienia. Mimowolnie zbli6zały się obie strony w towarzystwach wzajemnie do siebie — mianowicie u księcia - biskupa, kt6rego dom oboje mał6onkowie ju6zto z tytułu koligacyi, ju6zto dla wysokiej godno6ci gospodarza często odwiedzali. Stąd wypłynęła dla deputowanego nieprzyjemno6ć, która mu ostatnie chwile 6ycia wielk6 zaprawiła gorycz6.

Zawitał wi6cnie pod6wczas do Wilna tak6e hrabia *Mycielski*, syn kasztelana poznańskiego w celu załatwienia z księciem-hetmanem Radziwiłłem bardzo wa6nej spornej sprawy, w której się t66z p66źniej na drodze ugodowej obaj porozumieli. Wtedyto musiał hrabia w tym interesie zjawić się w trybunale, gdzie p. Strawiński, będ6cy deputowanym brał udział w posiedzeniu. Hrabia Mycielski, będ6c kawalerem 6wiata wytwornego stroił się wedlug mody francuskiej, mówił łaman6 polszczyzn6, tańczył bardzo zwinnie menueta, nazywał, a rac6ej przezywał tańce narodowe „6ołniersk6 procesy6“, albo „*karczemn6 ochot6*“ i nosił ku najwi6kszemu 6dziwieniu i zgryzocie poczciwych Litwinów w uszach — k6łczyki jak niewiasta. Zapoznawszy się u księcia-biskupa z deputowanym i jego 6on6, odwiedzał potem ich dom i to często. Prostoduszny gospodarz mniemał, iż się to działo dla owej spornej sprawy; atoli hrabiemu rozchodziło się rac6ej o utorowanie sobie częstemi odwiedzinami drogi do serca pi6knej gospodyni. Wielki6m ułatwie-

niem była dla niego ta okoliczność, iż z nią w obecności jej męża mógł rozmawiać obcokrajowym językiem tak, iż go p. Wojciech nie rozumiał.

Wypada tutaj nadmienić, iż jakkolwiek za panowania królów z domu saskiego w stolicy gorszące sprawy bywały częstemi zdarzeniami, przecież szlachta na *provincyi* przestrzegała surowo obyczajności swych przodków. Sprzeniewierzenie w małżeństwie było u nich rzeczą niesłychaną. *Poślubiano oblubienicę, aby z nią według boskiego przykazania żyć wspólnie aż do zgonu; toż nikt nie myślał o zachowaniu ostrożności w obec własnej żony.* Bez wątpienia i połowica pana deputowanego nie odrazu zboczyła z drogi cnoty i szlacheckiej prawości. Upadła raczej wskutek nieustannego natręctwa zakochanego, przebiegłego i w bałamuceniu niewiast doświadczonego dworaka, tudzież wskutek namowy podstępnej Francuzki, która korzystała z każdej sposobności ku zemśczeniu się na niewdzięcznym deputowanym. U owdowiałej komisarzowej odbywały się tajne schadzki z wszelkimi następstwami. Udawało się im z łatwością oszukiwać męża, który się gorliwie zajmował swém urzędowaniem i nie znał granic w miłości i zaufaniu względem żony. Kiedy pewnego dnia deputowany przysłuchiwał się właśnie przemowie najsytniejszego mecenasa wileńskich adwokatów, zabrała jego połowica z sobą małego Ludwika, który był jej ulubieńcem, i udała się z nim do swjej dawniej przyjaciółki. Napisała też do męża list z doniesieniem, iż z nim dłużej nie mogła wspólnie mieszkać, gdyż sam o tém wiedział, że go poślubiła

bez rzeczywistego przywiązania, ulegając naciskowi okoliczności. Radziła mu więc zgodzić się z wolą bożą i o niej już więcej nie myśleć. Hrabia, coraz bardziej zakochany, a nadto zobowiązany ofiarą pani Strawińskiej starał się o uzyskanie dla niej prawa rozwodu. Było to zaś podówczas t. j. za panowania królów z domu saskiego rzeczą — prawie bezprzykładną, która się dopiero za rządów Poniatowskiego częściej przydarzała.

Wzbraniał się wszelkimi siłami poczciwy deputowany, powoływał na ludzkie i boskie prawa, pragnąc odzyskać żonę i syna. Żądał, aby zbiegła aż do rozstrzygnięcia sprawy osadzono w klasztorze, iżby się winowajczyni opamiętała. Żółcią zaprawioném piórem wykazywał, iż jego żona dopiero po powiciu dwojga dzieci się spostrzegła, że mu ślubowała wierność nie dobrowolnie. Domagał się téż wprowadzenia owdowiałej komisarzowej w stan oskarżenia, udawadniając w płomienistych okresach, iż względem jój osoby jako stręczającej do zbrodniczego obcowania powinno się było zastosować *Statut litewski*... Wszystko napróżno! Podobało się księciu-biskupowi upokorzenie Radziwiłłowego stronnika; a nadto poczytywał za większy zaszczyt zaliczanie w poczet krewnych raczej hrabinę, aniżeli zwykłą szlachciankę. I tak stało się niebawem, iż hrabia Mycielski uzyskał uchwałę rozwodu — taką, iżby lepszej sam sobie nie mógł być napisać. Rozporządzono, iż p. Strawiński miał swęj żonie zwrócić jój wiano; nałożono na niego wszelkie koszty, a nawet wbrew zwyczajowi, według którego w tego rodzaju przypadkach wycho-

wanie synów przypada *ojcu*, przyznano *matce* opiekę nad jej ulubieńcem Ludwikiem, pozostawiając ojcu młodszego syna Michała. W kilka dni po ogłoszeniu tego rozwodowego dekretu i po uzyskaniu naturalnie już przysposobionego indultu stała się pani Strawińska *hrabiną* Mycielską i wyjechała z małżonkiem i ulubionym synaczkiem do *Wielkopolski*.



II. Wychowanie sarmackie.



o załatwieniu urzędowej czynności powrócił na wieś p. Strawiński i sarkał na księcia-biskupa i jego cały konsystorz, a jeszcze więcej na tych wszystkich, którzy mówili językiem francuskim, stroili się według francuskiej mody i nosili — kółczyki w uszach. Osiadłszy znowu na wsi kazał natychmiast swemu pięcioletniemu synowi Michałowi ostrzedz długie włosy, przyjął dla niego domowego nauczyciela za rocznem wynagrodzeniem 60. tynfów, polecając mu uczyć malca *katechizmu, czytania, pisania i początków łaciny*, przede wszystkim zaś wdrażać w jego umysł za użyciem różgi należyte posłuszeństwo. Mawiał przy tém: „Sam Bóg rozporządził, iżbyśmy dzieci wychowywali w karności i dobrych obyczajach. Nie powinno się też szlabcica rozpieszczać w jego młodości. Widać: do czego doszedł książę-biskup wileński dlatego, iż go wychowywała jego własna matka: stał się ostatecznie wolno-murarzem. Przeciwnie młody książę *Karol Radziwiłł*, którego książę-hetman często bez względu na łzy matki wychłostał, jest wzorem dla

wszystkich młodych panków, prawdziwą ozdobą kraju. Wiem, że mi rozpieszczą syna starszego: niechajby przynajmniej młodszy wy kierował się na człowieka prawego.

— „A zatem“ — mawiał dalej do wychowawcy swego syna — „nie szczędź waszeć kija, gdyż taka jest moja wola, a ja za to waszeci płacę!“

Chcąc zupełnie żonę wyrugować z pamięci kazał przenieść do śpichrza fortepian i ~~wozelki~~ sprzęty, będące jeszcze jój własnością i poświęcił się nadal całą duszą i wyłącznie gospodarstwu. Będąc dobrym katolikiem uważał się być jeszcze ciągle żonatym, gdyż nie dawał temu wiary, iżby który konsystorz mógł unieważnić związek, zawarty w obliczu Boga; toż nie pomyślał o poślubieniu drugiej żony. Nie brakło mu też w nieszczęściu pociechy, albowiem za przyczyną księcia-hetmana powierzył mu król przywilój na *majora* powiatu słonimskiego; nadto osiadł znowu w jego pobliżu po kilkoletnim pobycie w Galicyi doświadczony przyjaciel nieco starszy wiekiem od niego generał *Kunicki*, pan zamożny w województwie mińskiem, który posiadał jego całkowite zaufanie. P. Wojciech zajął się też „gromadzeniem majątku.“ Pomimo atoli tój ostatecznej ludzkiej namiętności wypełniał najdokładniej powinności religijne, powtarzając codziennie, iż pracował jedynie dla swego syna. A przecież w całości mało się nim zajmował: widywał chłopca zwykle tylko podczas modlitwy, potem odsyłał go z nauczycielem na folwark, gdzie dzieciak albo przy nauce płakał, albo sobie czas skracał wespół z czeladzią.

Kiedy atoli Michaś ukończył rok ósmy, kazał mu ojciec w ciągu egzaminowania okazać swe postępy, a gdy się przekonał, iż chłopiec prawie tyle się wyuczył, ile wiedział sam nauczyciel, wyznaczył temuż miejsce pisarza w gorzelnii i zaczął poważniej przemyślać o dalszém wychowaniu syna. W następstwie wysyłając rachmistrza przy najbliższej sposobności z ziemiopłodami do Warszawy powierzył mu swego Michałka, kazał go umieścić w *szlachectwie kolegium**) u Jezuitów i zapłacić za niego należytość księdzu rektorowi.

Tym sposobem zbliżyli się wzajemnie do siebie obaj bracia, żyjący od kilku lat w rozłące. W owém kolegium mianowicie przebywał już od roku starszy z nich Ludwik, którego tam w konwikcie umieścić był ojczym, gdy się mu poszczęściło mieć własne dzieci. Osobliwsze wrażenie sprawiał widok obojga braci, którzy byli jeden do drugiego bardzo podobni, w zupełnie odmiennój odzieży. Ludwik — upudrowany, w trzewikach, francuskiej kapotce i zagranicznych pantalonach obcował tylko z kilkoma paniczami „pierwszego tonu“, Michał przeciwnie w konтусiku, złotych butach, z krótko przystrzyżonemi włosami bratał się ze *wszystkimi* uczniami. Atoli ta zewnętrzna różnica nie osłabiała bynajmniej wzajemnego przywiązania i najlepszego pożycia obojga braci. Minął rok, zanim interes księcia - hetmana sprowadził ich ojca do Warszawy. Po załatwieniu sprawy odwiedził on syna w konwikcie i zastał

*) Collegium nobilium.

tutaj zamiast jednego — obydwóch. Jakkolwiek miłość ojcowska pojednała go z ubiorem i manierami starszego syna, przecież oburzały go w najwyższym stopniu kółczyki, które malec nosił w uszach. Nie posiadając się z gniewu na widok tych świecideł okazał swe zgorzzenie przede wszystkim ks. rektorowi, następnie zabrał z zakładu mimo usprawiedliwienia się rektora i lez swych dzieci jednego syna — Michała, umieścił go natychmiast w konwicie *nieświeżkim* z surowym poleceniem, iżby go uczono tylko łaciny z pominięciem wszelkich zagranicznych „fatałaszek.“ W ciągu długiego czasu nie mógł pohamować swego oburzenia na wspomnienie: do jak wysokiego stopnia moralnego upadku doszli byli ludzie w stolicy państwa, gdy nawet Jezuci nie mogli zachować swój prawości i pozwalali w swym konwicie chłopcom nosić odznaki wolnomurarzy! Gdziekolwiek się pojawił, sarkał na wpływ obcych zwyczajów. Czuł się być w swym żywiole, gdy w gronie niewiast i wdów zaczęto rozmawiać o wychowaniu dzieci. Zaklinał je wówczas z całą w urzędowych przemowach przyswojoną sobie godnością, iżby bezwarunkowo swe córki nie kazywały uczyć języka francuskiego, sarkał na naukę gry na fortepianie i użycie kosmetyku *eau de la reine de Hongrie**) czyli tą nazwą zaszczyconej wody kolońskiej, która podówczas stała się powszechnym kosmetykiem. „Powinno się używać” — zwykł mawiać przy końcu — „*wody różannej*”, którąby można było sprowadzić we własnym domu, która nadto tchnie pra-

*) Woda królowej węgierskiej.

wdziwie szlachetną wonią i miłą jest *Najświętszej Pannie* i wszystkim świętym."

O syna nie kłopotał się już p. Wojciech, a myślał o nim właściwie tylko wtedy, gdy mu wódarz przypomniiał zbliżający się dzień *św. Ignacego*, gdyż wtedy wypadało zabrać z konwiktu „panicza.“ P. Wojciech wydawał wówczas rozkaz, iżby zaprzężono czwórkę koni do powozu, i wyznaczwszy kilka miarek owoców strączkowych, beczułkę masła, kilka półci słoniny i t. d. wysyłał to wszystko pod okiem starego kredensowego sługi do Nieświeża. Kiedy chłopiec przybył do domu, udzielał mu ojciec błogosławieństwa, a potem poruczał go nadzorowi żony wódarza. Zwykle w ciągu feryi nie dopytywał się o syna, aż mu wódarz przypomniiał, że się one skończyły, a panicza wypadało znowu odwieść do Nieświeża. Wówczas polecał p. Wojciech jego żonie, iżby była uporządkowała garderobę „panicza“, uszyła nieco bielizny z płótna domowego, i kilkoro przyodzień z jego własnych przenoszonych ubrań. Nie zapominał też ojciec nadmienić, iż go malec więcej kosztował, niż był wart, a wkońcu wyprawiał go w drogę, obdarzywszy malca kilku tynfami „na pierniki.“ Narzekając tak samo odliczał pieniądze za naukę w konwiku i odmierzał wiktuały, polecał syna wódarzowi i odsyłał go ponownie do szkoły. Żona wódarza wsuwała tymczasem do powozu pudło z ciastami, jabłkami, gruszkami i t. p. wiejskimi przysmakami. Pan Strawiński stawał na ganku i żegnał znakiem krzyża świętego w gęstych tumanach pyłu niknący powóz.

W ciągu sześćoletniego pobytu w nieswiezkim konwikcie wyuczył się Michał tego wszystkiego, czego się w nim można było wyuczyć. Przyswoił sobie łacinę i teologią moralną jakby Jezuita, umiał na pamięć *Dekloniusa* i wyliczał na palcach: czém jest metafora, hiperbola, hipotypoza, gradacya, pisał *expedite* *) po polsku i po łacinie — przedewszystkiem zaś wyuczył się obejścia z ludźmi t. j. wiedział: *cui honos, cui decus, cui vectigal.* **) Znał doskonale wszelkie stopniowanie grzeczności tak, iż inaczej przemawiał do podkomorzego, a inaczej do urzędnika wyższego i znowu inaczej do szlachcica, który nie piastował jeszcze żadnego urzędu. W ciągu rozmowy nie uwydatniały się jużci rozliczne odcienie tego ugrzecznienia według woli zupełnie wyraźnie, chociaż je mógł był zauważyć znawca: tém świetniejsze atoli powodzenie w tym względzie miewał w listach. Ilekroć go ojciec używał do zredagowania korespondencyi: zaledwo mógł utaić swe uradowanie.

— Wiész waszmość p. jenerale! — mawiał wówczas do swego przyjaciela Kunickiego — możnaby mi pozazdrościć syna: ja sam nie potrafiłbym lepij pisać. Prawda, że nie szcędziłem wydatków, ale za to teraz dożyłem téj satysfakcyi, iż nie zmarnowałem grosza. Nie dostaje mu jeszcze jednéj rzeczy: powinien sobie przyswoić także wiedzę prawniczą. Potrzeba mi go oddać do palestry

*) Biegle, doskonale.

**) Komu (oddać miał) cześć, uszanowanie, komu haracz.

w celu zaznajomienia go ze służbą, iżby sobie później na chleb umiał zarobić.

Co postanowił, tego i dokonał p. Wojciech: już w kilka dni później pojechał godny major z synem do Słonima. W domu zajezdnym zabawiał tylko tak długo, dopóki wraz z synem Michałem nie przywdział nowego kosztownego stroju, w którym następnie obaj udali się pieszo do mieszkania rejenta sądu ziemskiego *Wojszwiły* — słynnego prawnika, który niegdyś służył był u majora. Na czele kroczył ojciec, trzy kroki za nim syn, w oddaleniu zaś może dziesięciu kroków postępował sługa z paczką papierów pod pachą. Zastali w domu rejenta, który ich przyjął u siebie z wszelką usłuszną, jaka się należy miłemu i poważanemu gościowi. Po zwykłych powitaniach wziął major z rąk sługi dokumenty; a rejent zaprowadził go wraz z synem do swego pokoju. Usiedli obaj, a Michał asystował im stojąco. Przy szklance wina roztrząsano najpierw sprawy sporne, a po ich załatwieniu przystąpiono do właściwego celu odwiedzin majora. P. Strawiński wykierował był własnym kosztem rejenta na prawnika: było tedy rzeczą — całkiem naturalną, iż mu zaufał i swego syna według własnego wyrażenia *in plenissimam potestatem paternam**) oddał. Zalecił rejentowi przedewszystkiem *rygor*, przypominając mu, iż go sam hojnym częstowaniem plagami uczynił tém, za co mu on teraz czuł się zobowiązany. Synowi zalecił stanowczo okazywanie we wszelkich przypadkach najściślejszego posłuszeństwa.

*) W najzupełniejszą władzę ojcowską.

zwracając mianowicie jego uwagę na to, iżby się wcześniej o to postarał i tak urządził, aby kiedyś mógł się utrzymać własną pracą, a nie był ciężarem niczym, nawet własnego ojca! Napomnienie zakończył uwagą, iż dobry syn powinien uznawać swój obowiązek odwdzięczania się ojcu pilnością i gorliwem zajęciem.

Przysposobiwszy przyszłą karierę syna powrócił major do domu. Michał zaś zabrał się tak szczerze do pracy, iż już po upływie kilku miesięcy stał się prawą ręką rejenta. Nie potrwało długo, a major przekonał się sam o postępach syna. Albowiem księżę *Karol Radziwiłł*, podówczas jeszcze miecznik litewski, atoli wkrótce później wojewoda wileński objął po śmierci ojca odziedziczone dobra i rozpoczął swą działalność urządzeniem tak zwanego „*Związku albańskiego*“ i zamianowaniem jego członkami generała *Kunickiego* i naszego majora. Pierwszemu z nich powierzył księżę przewodztwo swego stronnictwa w województwie mińskim, drugiemu w powiecie słonimskim — głównie z powodu nieprzyjaźni względem księcia-biskupa *Masałskiego*, który podówczas był jednym z najzapalczywszych przeciwników Radziwiłłowskiego domu. Stąd poszło, iż ojciec Michała zwykł się być podówczas częściej zatrzymywać w *Słoniwie* i miewał przy tém sposobność pozyskania dla ojcowskiego serca pochlebnych dowodów, tyczących się postępów syna. Mimoto pozostał ojciec bardzo skąpym, albowiem żywił przekonanie, iż młodość nie powinna iść w parze z pieniędzmi. Nadto nie godziło się Michałowi żądać wynagrodzenia za swe prace przed złożeniem

przysięgi w zawodzie prawniczym. Nie pozostawało mu więc nic innego oprócz zaciągnięcia pożyczki, którą też otrzymał od ojca, kiedy mu pewnego dnia doręczył korzystny dekret w spornej sprawie, w której i on wspólnie działał. Otrzymanych pieniędzy użył raczej na sprostanie równomocnikom ze wewnętrznym wystąpieniem aniżeli na osobiste potrzeby. Tymczasem uznawano coraz więcej jego uzdolnienie. Toż kiedy przy końcu kadencji złożył przysięgę i ku niemałej radości ojca przyjęty został w poczet słonimskiej palestry: nie potrwało długo, a zyskał sobie tak dobre imię, iż mu najpoważniejsi dążnicy powierzali swe sprawy. Toż w jakiś czas po zwróceniu ojcu pożyczki zaczął sam zaoszczędzać małe kapitały, które z wiedzą i błogosławieństwem ojca lokował u księcia-wojewody, gdzie się z każdym rokiem pomnażały.

III. Wychowanie francuskie.



Ludwik podążył zupełnie *inną* drogą. Gdy jego brat opuścił był konwikt w *Warszawie*, on pozostał w nim jeszcze tylko rok jeden i kilka tygodni, albowiem hrabia Mycielski, spowinowacony z rodziną króla *Stanisława Leszczyńskiego* wyjednał dla swego pasierba przyjęcie do zakonu *Kawalerów maltańskich*, zawiózł go do *Lotaryngii* i umieścił w rycerskiej akademii w *Lunewille'u*, którą właśnie ten król był założył. Tutajto nabył Ludwik owę ogładę, którą francuscy dworzanie tak wielce pośród wszelkich innych celują. Po odbyciu nauk akademickich otrzymał za wstawieniem się króla miejsce kapitana w zagranicznym na żołdzie Francyi pozostającym pułku. Młody, dzielny i obrotny pozyskał sobie niebawem zaufanie przełożonych. W bitwie pod *Mindenem* odniósł ranę w oczach naczelnika: kula ugrzęzła w twarzy; atoli pozostała blizna jednała mu tylko jeszcze

większą sympatyą. Polubił go marszałek *de Broglie* i odesłał przez niego niektóre pod *Klosterkampem* zdobyte trofee do *Wersalu*. Król, któremu go przedstawiono, odznaczył go pozwoleniem mu wyjeżdżania królewską kareta: a to zjednało mu wstęp u dworu. Niebawem pokazywał się też Ludwik na asambalach w *Wersalu*. Tutaj urodą i duchem tak dalece sobie wszystkich pod bił, iż go damy dworskie wkrótce nazywały tylko „*le beau comte polonais*.” Kiedy zaś w obecności *Ludwika XV.* odtńczył z margrabiną *Pompadour* menueta, mianowicie zwanego „*menuet de la reine*”, zachwycił tém króla tak dalece, iż on głośno zawołał, że nie było równego mu tancerza pośród jego wszystkich dworzan. Rzecz to wiadoma: co znaczyła podówczas tego rodzaju pochwała, kiedyto jedno pochlebne słówko z ust króla większą miało wagę aniżeli sława przez całą Europę uznanego czynu! Czego mu tedy przełożeni, świadkowie i sędziowie nie nadali: to mu przyniosł z wdziękiem odtńczony menuet... W kilka dni później otrzymał za wstawieniem się margrabiny, mały krzyż orderu *św. Ludwika*, stopień podpułkownika, 6000 franków dożywotniej pensyi i apartament w *Wersalu*. Im więcej atoli oddawał się całą duszą urokowi bieżącej chwili, tém mniej myślał o swój przyszłości. Miał zawistnych przeciwników i dłuży. Natarczywość wierzycieli ledwo go nawet nie zawiodła do więzienia. Lecz szczęście mu sprzyjało. Kiedy się margrabina *Pompadour* spodziewała, iż w jej przyjaźni miał szukać pomocy: już panna *Gaussin*, która swym zbytkiem zrujnowała była tylu panów, zastawiła swe klejnoty, aby tylko wybawić

le beau comte polonais. Wkrótce potem zabawił się on za kulisami teatru *Francuskiego* z piękną i zakochaną aktorką, gdy go niespodzianie zaskoczył hrabia *de Lixen*, jeden z najznakomitszych panów dworskich, który od dwóch lat pannę *Gaussin* prześladował swą miłością, i nie posiadając się z gniewu na widok owej poufałości nazwał go awanturnikiem. Nastąpił pojedynek, w którym Francuz swą popędliwość przypłacił życiem. Ludwik dostał się do bastyli i odzyskał wolność dopiero po kilkotygodniowym areszcie wskutek pośrednictwa protektorki margrabiny, której okazywane mu względy nie były już tajemnicą dla nikogo u dworu — oprócz samego króla. Tym sposobem wiódł życie, przeplatane radością i przyjemnościami pośród najwięcej oświeconego, ale zarazem także najrozpuśniejszego towarzystwa w Europie. Bywał duszą wszelkich uroczystości, balów, przyjmował gościnnie młodzież dworską w swym mieszkaniu, które cały Paryż podziwiał jako wzór wytwornego smaku, gdyż jego urządzeniem zajęła się sama margrabina.

W czasie przez niego urządzanych śniadań gromadzili się aktorowie i aktorki, artyści i filozofowie, panowie i damy królewskiego dworu. Gdy się atoli podówczas chciało „być całkowicie w modzie“, wypadło zapoznać się z *encyklopedystami*. Ludwik stał się ich ulubieńcem. Nawet „arcy-kapłan fernejski“ napisał do niego list rymowany, w którym go nazwał wtórym *Anacharsysem*, godnym równie jak pierwszy należeć do pocztu mędrców i to z większym powodzeniem, ponieważ (tak brzmiał

frazes końcowy) „jemuto bogowie poruczyli przeszczepienie filozofii na brzegi Niemna i Borystenu.“ *) Ten list Woltera, którego pochlebstwo wielcy monarchowie w niepojętym prawie zaślepieniu tak drogo opłacili, uważano w Paryżu za patent na mędrca. Któż mógł jeszcze powątpiewać, jeśli sam nieomylny mistrz przyznał mądrość Ludwikowi! On sam o niej nie powątpiewał tak dalece, iż często używał zwrotu „*nous autres philosophes*,” a tego nie poczytywano bynajmniej za próżność. Stósunki Ludwika z *Wolterem* i encyklopedystami zjednały mu wstęp u pani *Geoffrin*, której dom był akropolidą francuskiej filozofii. Niebawem oczarował on tak dalece tę starą Pitonitę, iż go nazwała swym synem i nadała pieśzczotliwe imię *Lulu*, które wkrótce wszystkie damy w Wersalu powtarzały. Nazywanie go „*le brave et beau Loulou*“ stało się modą u dam dworskich.

Z pośród wszelkich protekcyi przyjaźń pani *Geoffrin* była dla jego przyszlęż karyery najkorzystniejszą, albowiem w jej domu zapoznał się z dwoma polskimi panami, którzy z sobą byli spokrewnieni i razem objeżdżali kraje zagraniczne. Jednym z nich był książę *Adam Czartoryski*, jenerał ziem podolskich, drugim *Stanisław Poniatowski*, stolnik litewski. Jemu wyświadczył nawet Ludwik wielką usługę, albowiem, kiedy nie miał czém opędzić kosztów podróży z powrotem do Polski, pożyczył mu na słowo tysiąc lujdorów, nie przeczuwając, jak wielkie odsetki miały mu przynieść kiedyś te pieniądze!

*) Dniepr.

Stało się to, kiedy się znajdował jeszcze u szczytu swego ówczesnego szczęścia, albowiem wkrótce później udało się jednemu z rywali wyrugować go z serca margrabiny i pozbawić tym sposobem niewyczerpanego skarbu do zaspakajania swój wystawności. Kiedy go zaś raz opuściło szczęście: nie było już środka do utrzymania nadal przyjętego tonu. Pensya — dla każdego innego zupełnie wystarczająca nie mogła teraz bynajmniej pokryć jego potrzeb. Po słonecznym weselu nastaly dla niego dni ponure, przeplatane błyskami nadziei i rozpaczą. Wtém otrzymał uwiadomienie, że stolnik *Poniatowski*, wspierany możliwym wpływem zdązał pewnym krokiem do objęcia opróżnionego w Polsce tronu. Ludwik nie namyślał się długo: posprzedawał meble, ekwipaż i srebra, spłacił tém długi — jak przystało na męża honorowego — i opuścił Wersal i Paryż, aby popróbować szczęścia w Polsce. Zabrał z sobą jedynie kosztowną garderobę — drogie pamiątki i resztki względów fortuny z kilku lat minionych, Jakkolwiek całkowicie sfrancuział, przecież nigdy nie zrywał wszelkich stósunków z ojczyzną; owszem przynajmniej raz w roku wysyłał z grzeczności list do ojca, do ojczyzna zaś nawet kilka — mianowicie od czasu zgonu swój matki. Równie zachował także w pamięci dla swego brata Michała dowody braterskiej miłości jeszcze z czasów swego pożycia z nim w warszawskim konwikcie. Do ojca i brata pisał po polsku, albowiem na dworze króla *Leszczyńskiego* używano polszczyzny, a monarcha nawet surowo przestrzegał, iżby młodzież polska, kształcąca się w jego rycerskiej akademii używała jedynie

ojczystego języka. Jakkolwiek wychowanie obojga braci tak dalece się różniło, iż w ich poglądach nie było właściwie nic wspólnego: przecież jeden drugiego miłował i żaden nie mógł pomyśleć o drugim bez westchnienia. Ta miłość wzajemna przemawiała także z ich listów. Major atoli, odpowiadając na listy syna nie omieszkął czynić mu przedstawienia ze względu na jego pobyt za granicą, zapraszał go, aby był popróbowował życia wiejskiego, a wkońcu doniósł mu pewnego razu, iż mu wyjednał miejsce u księcia-wojewody wileńskiego, albowiem (tak rzecz tłómaczył) dobremu szlachcicowi przystało raczej służyć jednemu panu w kraju rodzinnym, aniżeli się mozolić w obcej służbie zagranicą.

Kiedy Ludwik przybył do *Warszawy*, był właśnie dzień, w którym *Stanisława Poniatowskiego* obwołano królem. Toż on był jednym z pierwszych, którzy swemu nowemu panu oddali hołd poddaństwa. Król przyjął go jako dawnego przyjaciela i sam go przedstawił paniom dworskim. Księżę *Adam* zniewolił go do zamieszkania w jego pałacu, Wytworny smak jego stroju, sztuka fryzyera, którego z sobą sprowadził był z Paryża, cudzoziemski akcent w ojczystej mowie, zagraniczne ordery, lśniące na jego piersi, blizna na twarzy i wieści o jego pojedynkach, powroźniku u płci pięknej, o względach margrabiny *de Pompadour* i pani *Geoffrin*: to wszystko zapewniło mu przewagę w stolicy, w której już zaczęto szydzić z obyczajów przodków. Król, hołdujący zdawna wszelkim rzeczom zagranicznym, pragnąc go na zawsze do siebie przykuć ofiarował

mu w kilka dni po jego przybyciu opróżnione starostwo wieluńskie. Książę *Adam* przemówił za nim u swego ojca księcia-wojewody ziem ruskich i u swego stryja kanclerza litewskiego i wyrobił dla niego komendorstwo poznańskie. Tym sposobem zarzucony po przybyciu do kraju urzędami i godnościami otrzymał 10 do 20. tysięcy talarów rocznego dochodu; nie można się było przeto dziwić, iż się przyłączył do stronnictwa, do którego już wskutek wychowania lgnął całą duszą — tém więcéj, kiedy mu ono teraz okazało tyle względów i przysporzyło tyle korzyści. Stąd poszło, że kiedy major z Michałem pod chorągwią księcia *Karola Radziwiłła* walczył przeciw *Stanisławowi*, Ludwik wkońcu stał się naczelnikiem królewskiego gabinetu i wspierał słowem i czynem stronnictwo króla, które jego cała rodzina nienawdziła. Wypadki, które się wydarzyły po zgonie *Augusta III.*, należą do historii. Jak po każdém bezkrólewiu musiał naród ubolewać nad wstrząśnieniami, które nastąpiły w czasie, kiedy zabrakło głowy państwa. Rozpadł się naród na dwa stronnictwa. Jednemu z nich przewodził wuj króla; na czele drugiego stał książę *Karol Radziwiłł*. Zbliżała się chwila, w której ginące narody nie zdołają już same sobą rządzić. Wtedy władza sama przez się przechodzi na obcych. Książę-prymas *Łubiński* i książę-kanclerz litewski — jedyne prawne organa, za pośrednictwem których naród mógł być traktować z obcokrajowemi rządami, porozumieli się z ościeniami państwami co do wkroczenia wojsk obcych, aby móc w obec wszelkich stronnictw bez przeszkody przeprowadzić obiór Piasta. Bezskuteczne

było sprzeciwianie się temu księcia *Karola Radziwilla*: *Stanisława Augusta* obrali królem jednomyślnie zgromadzeni pod *Wolą*; toż podniecany przez wujów i ich chęć zemsty ścigał on długo głowę stronnictwa pokonanego. W stósunkach dyplomatycznych nie przestawał król przedstawiać księcia sprzymierzonym dworom barbarzyńcą, który uciskał spokojnych obywateli za pośrednictwem gromady ludzi, dążących do obalenia wszelkiego porządku. Tym sposobem odjęto księciu wszelką nadzieję poparcia od dworu, z którym był spokrewniony. Owszem stronnictwo królewskie posunęło zemstę aż do ostateczności. Pozbawiony godności i majątku został najmoźniejszy i najwięcej popularny magnat bannitą i tułaczem i byłby prawdopodobnie aż do końca życia się tułał, gdyby *Stanisław August*, którego rządy były tkaniną intryg, nie był się w nich wreszcie sam uwikłał. Sądził on, iż się mu miało udać powaśnienie ościennych mocarstw; nadto obrazil najpotężniejsze z nich, w obec którego oświadczeniami i czynem udawał uległość, tém, iż próbował, zawiązać z innym dworem ściślejsze stósunki i tajne rokowania w nadziei uzyskania ręki księżniczki z panującego domu. Atoli ta nadzieja rozwiała się; a on sam w obec mocarstwa, któremu wszystko zawdzięczał, został odsłoniętym i zdradzonym. To zaś przyspożyło księciu-wojewodzie największą korzyść, albowiem mocarstwo, oburzone niewdzięcznością i chciwością króla pozwoliło teraz przyjaćciółom *Radziwilla* zawiązać konfederacyą w *Radomiu*, która mając takie poparcie zniosła dekret bannicyi księcia, jego zaś przywróciła do dawnych

godności i dóbr i zamianowała go swoim marszałkiem; sprzymierzeńcy zaś Rzeczypospolitej uznali tę pełnią narodowej władzy wyposażoną konfederacją, kiedy się wkrótce potem w sejm ukonstytuowała. Odnowili zatem z nią przymierze, a nawet poruczyli jej marszałkowi naczelną władzę nad wojskiem, konsygnowaném w Polsce i na Litwie.



IV. Zaręczyny.



Kiedy książę-wojewoda rozpoczął był wojnę domową, spieszyli wszyscy Albańczycy z okazaniem mu swęj wierności przez jak najwięcej czynną pomoc. Jenerał Kunicki z synem, major z Michałem i wielu innych, którzy im wiekiem, majątkiem i zasługami sprostali, dosiedli konia i każdy z nich przywiódł z sobą ówczesnym zwyczajem tylu zbrojnych ludzi, ile tylko mógł. Może ten zastęp nie był najlepiej zorganizowanym: mimoto bił się pod przewodnictwem księcia-wojewody z taką walecznością, jakiej wypadało długo szukać. Tymczasem z jednej strony armia przeciwnika górowała siłą i karnością, z drugiej znowu nastąpił rozbrat narodu pośród stronników — a król jako taki, dzierzący w ręku wodze panowania miał także rozległe pole do rozsiewania niezgody pośród konfederatów. Nic więc dziwnego, że książę wkońcu uległ. Raz pokonany pod Nieświeżem nie mógł się dłużej utrzymać

na Litwie; toż przebił się przez Wołyń i Ukrainę, zdążając do ziemi wołoskiej w nadziei pozyskania dla siebie otomańskiej *Porty*. Ten pochód, odbywany wśród nieustannych walk i przez ziemie, które tak mało militarnej ochrony nastreçały, zasługiwałby zaiste na to, iżby się nim szczególnie zajął historyk. Dowiedziałyby się wówczas świat, że ów książę „*Panie Kochanku!*“ — którego współcześni w najlepszym razie uważali za „cnotliwego dziwaka“, w pełnym tego słowa znaczeniu był bohaterem, ale żył w czasie i pośród okoliczności, w których wszelkie poświęcenie już nie przynosiło owoców i wszelkie oddzia-
czenia zawodziły. Dostawszy się wkońcu wskutek niesłychanej przytomności ducha, wytrwałości i junactwa na ziemię wołoską zastał tutaj zamiast spodziewanych posiłków — zarazę. Ku największej boleści musiał patrzeć na to: jak szeregi jego stronników, już w ciągu utarczek przerzedzone teraz jeszcze choroba uszczuplała. Właśnie o tym czasie ogłoszono w Warszawie ogólną amnestyą dla wszystkich przeciwników króla, a tylko samego księcia-wojewodę wykluczono. Jeśli przez to sprawa księcia w kraju zdawała się być zniweczona, to i zagranicą świetało dla niego mało nadziei. Namawiał więc sam swych stronników, iżby byli korzystali z amnestyi i powracali do domu. Stało się też to w istocie; książę tylko z nielicznymi przyjaciółmi pożegnał rdzeń armii i udał się na wygnanie, któremu dopiero konfederacya radomska położyła koniec.

Z uciśnioném sercem powrócili do domu wierni Litwini, a z nimi generał *Kunicki* i nasz major.

Pierwszy przy przeprawie przez *Dniestr* utracił syna; drugi zastał swą zagrodę — spaloną, gospodarstwo — spustoszone i wielką część poddanych — porozpędzaną. Lżej atoli, niżby się zdawało, zniósł w duchu szkody, zrządzone pożogą i plądrowaniem, ponieważ podówczas mieszkania pańskie i czeladne budowano nie tak drogie i wystawne jak obecnie. Major usunął się od wszystkich, z którymi go nie łączyła najściślejsza przyjaźń, odbudował wkrótce swój dwór, zgromadził znowu rozpędzoną czeladź i poddanych i przywrócił tym sposobem gospodarstwo do dawnego stanu. Nie potrwało też długo, a nasz major zapomniał i przeboleł osobiste szkody, lecz nie zapomniał o wygnaniu księcia, o bezczynności, na jaką jego stronnictwo było skazane, i o wzrastającej potędze przeciwnika.

Stronnicy przeciw Radziwiłłowego domu jak w ogóle cały *Związek albański* udowadniali swą miłość i wierność względem księcia czémś więcej aniżeli samą pamięcią. *Albańczykowie* troszczyli się w istocie tak dalece o swego dostojnego naczelnika, pozostającego zagranicą, iż tutaj ludzie nie mogli pojąć: jakim sposobem książę, który wskutek konfiskaty i nieszczęśliwej wojennej wyprawy wszystko utracił, mimoto z godną jego osoby wystawnością podróżował i nawet nie potrzebował uciekać się do kredytu. Stąd powstały baśnie o jego niezmiernych bogactwach. Opowiadano sobie, iż w podziemiach jego pałacu znajdowało się dwanaście apostołów naturalnej wielkości z kutego złota; mówiono nawet, iż w Radziwiłłowskim domu widziano dukaty, tak duże jak koła młyńskie i t. d. I rzeczywiście po-

siadał księżę niewyczerpane skarby, lecz nie w marnym kruszcu, jeno w wiernych sercach swych stronników. Albańczykowie nabyli wszystkie dobra, po największej części nawet za nader małym dzierżawnym wynagrodzeniem, gdyż nikt pod zagrożeniem życia nie byłby się pokusił o przeprowadzenie *licytacyi*. Tym sposobem mogli oni z tém większą łatwością popierać równie jak dawniej interes księcia. Wszyscy *Albańczykowie*, którzy część księżęcego majątku dzierżawili, prowadzili podwójny rachunek: w obec rewizorów rzeczypospolitej byli oficjalnymi dzierżawcami, w istocie zaś sumiennymi włodarzami księcia-wojewody. Każdego półrocza wysyłali z swego grona wiarusa, który odwiedzał księcia w *Stambule*, *Wenecyi*, lub *Rzymie* i doręczał mu owoc ich pilności i skrzętności — często w bardzo znacznych kwotach pieniężnych, a za to przywoził z sobą dla *Związku albańskiego* podziękowanie i pozdrowienie księcia. Ten wzajemny stósunek jest kwiecieniem uległości i szlachectwa ludzkiego ducha i zasługuje na tém większe uznanie, gdyż przypada na czasy, które się odznaczały największym rozluźnieniem wszelkich *szlachetniejszych węzłów, rozpustą i zabagnieniem*. Do stronników, którzy w chwilach potrzeby okazali swą wierność, należał także Michał. Powróciwszy do ojcowskiej posiadłości nie zajmował się już prawnictwem, owszem pozostał przy rodzicu, którego się stał podporą, i poświęcił się całą duszą gospodarstwu. Będąc dzielny *Albańczykiem* wydzierżawił wszystkie dobra, które Radziwiłł posiadał w powiecie słonimskim, i zdwoił swą gorliwość w działaniu na korzyść księcia i swego ojca; owoce

jego oszczędności i pilności na ojcowskiej glebie były tak wielkie, iż się nawet sam jego rodzic dziwił: jak to być mogło, iż *jemu* gospodarka dawniej nie przynosiła tyle zysku.

Powiedzieliśmy, że major cieszył się obok miłości swego syna także przyjaźnią generała Kunickiego, który tak dalece lgnął do niego, iż — jakkolwiek posiadał znaczne dobra w powiecie mińskim, a tylko jedną wioskę w powiecie słonimskim, przecież po największej części w niej przebywał, aby być bliżej przyjaciela. Po utracie syna zabrał do siebie generał swą córkę, która się od śmierci matki w *Wilnie* wychowywała u ciotki.

Zofia (tak się bowiem nazywała) odznaczała się nadzwyczajną urodą i dobrocią serca. Otrzymała u ciotki, która była zawołaną damą, wychowanie wytworne; mimoto umiała we wszystkiém zastósować się do woli ojca, który w pełném słowa znaczeniu był starodawnym Sarmatą. Pod okiem bliskiej krewniej generała, a zarazem stariej panny, córki wielkiego łowczego zajmowała się *Zofia* gospodarką. Opiekowała się ogrodem, wyznaczała dziewczkom robotę, bywała obecną przy przepuszczaniu likierów i smarzeniu owoców i czyniła to wszystko z największą chęcią, pragnąc zadosyć uczynić woli ojca. Posiadała téż mały księgozbiorek, składający się z dzieł francuskich; był i fortepian we dworze: ale ona zabawiała się niemi tylko wtedy, gdy generał gdzie wyjechał, lub na polowaniu się znajdował, gdyż on nazywał tego rodzaju rozrywkę nierozsądną i marną rzeczą, nie licującą wcale ze stanem szlacheckim.

Kiedy generał pomyślał o przyszłości córki, wówczas upatrywał dla niej odpowiedniego męża w *Michale*, który był pobożnym, cnotliwym, pilnym, zamilowanym w gospodarstwie i wiernym obyczajom przodków. Lubił go też z każdym dniem coraz więcej. Ile razy tedy obaj przyjaciele się zetknęli, omawiali naturalnie i popierali upragniony związek małżeński swych dzieci, gdyż żywili przekonanie, że jedno z nich było jakby stworzone dla drugiego.

Nadto pozyskał był sobie Michał szczerą skłonnością serce Zofii; a choć ona nie znała owego gwałtownego i wzburzającego uczucia, które nazywamy miłością, przecież przysądzała wszelką sprawiedliwość zaletom młodego mężczyzny. Okazywała mu szacunek i żywiła przekonanie — mniej, lub więcej stanowcze, iż z nikim innym nie mogłaby była żyć szczęśliwiej. Michał kochał ją z całej duszy, jakkolwiek sam nie mógł sobie zdać sprawy z tego uczucia. Zdawało się mu, iż żywił względem niej najczulszą, jak najwięcej serdeczną przyjaźń. Głębiej nad tém się nie zastanawiał, gdyż jego dusza ani na chwilę nie mogła przekroczyć granic, jakie jej wytknęło surowe wypełnianie przepisów religijnych. Tać była miara dla jego wszelkich stosunków z ludźmi. Nigdy nie rozmawiał z Zofią o swęj miłości, nigdy nie byłby się odważył, zakłócić jej samotność swęm pojawieniem się; wchodził do jej pokoju — chyba tylko wtedy, gdy sobie tego życzył generał, i to, jeśli i łowczanka była obecną. Inne postępowanie byłoby się sprzeciwiało ówczesnemu obyczajowi; a osoby bogobojne uważały obyczaje za — drugą religią. Gdyby ich rozmowy był podsłuchiwał

człowiek, którego uczucia serdeczne były przystępne dla rozumu, byłby był zebrał spory snopek śmieszności; atoli niewinność miewa w sobie zawsze coś dziecięcego. I cóż miał zresztą Michał opowiadać Zofii?

Rozmawiali tedy oboje o ostatnim odpuszczeniu, o urządzeniu gospodarstwa, przygodach na polowaniu, albo — jakie losy spotkały Michała w ciągu ostatniej wyprawy z księciem wojewodą. Opowiadał Zofii: jak mu wytrwałość najlepszego wierzchowca ocalała życie, jak sam podczas choroby ojca uciekał się do *Najświętszej Panny* i serdeczną modlitwą wybłagał dla niego odzyskanie zdrowia, jak się mu istotnie zdawało, iż widział *Boga-Rodzicę*, a ponieważ to była środa, zatem od owego czasu zawsze w tym dniu pościł.

Zofia czuła się przy tém nader szczęśliwą; była sama z wychowania bardzo pobożną, toż umiała cenić religijność Michała. Mimoto byłaby przecież rada usłyszała, gdyby jój był niekiedy mówił także coś o swój skłonności, lub oświadczył coś takiego, coby było pochlebiało jój skromności. Gdy sobie przypominała, co niekiedy czytała we francuskich romansach, natenczas mawiała sobie prawie mimowolnie w duchu:

— Michał jest poczciwcem i przywiązanym do mnie; ale jakżeż się różni od bohaterów pani *Lafayette* i pani *de Tencin*!

— Co za szkoda, — myślała sobie czasami — że on nie czytuje romansów! Gdybyż przynajmniej mówił po francusku!

Gdy tak oboje młodzi nieświadomie zbliżali się do celu przyszłego losu, zdawało się ich rodzicom, że go już oni byli zabezpieczyli. Kiedy pewnego dnia Michał z ojcem odwiedzili generała, a młodzieniec niebawem z Zofią i jej krewną przechadzał się po ogrodzie, wszczęli ojcowie długą rozmowę. Gdy już wszystko rozważyli i omówili, przywołał generał oboje młodych i rzekł:

— Panie Michale! rzecz skończona: ojciec prosił dla waszmości o rękę Zofii, a ja jej nie odmawiam. Przywiązaliście się oboje do siebie; pozostajcie tylko, iżbyście to przywiązanie zachowali jedno względem drugiego aż do zgonu. Zosiu: to jest twój przyszły małżonek!

Michał nic nie odpowiedział, upadł do nóg generałowi; major ukląkł obok swego syna i ucałował kolana przyjaciela. Generał otarł łzy z oblicza i rzekł:

— No, a ty Zosiu! Przecież się tutaj o ciebie rozchodzi: a ty milczysz?

I Zofia uklękła, mówiąc drżącym głosem:

— Kochany rodzicu: niechaj się dzieje twoja wola! Z boleścią atoli wypadnie mi opuszczać dom rodzicielski, w którym tylko tak krótko bawiłam; pozostałabym jeszcze chętnie u mego ojca — jeśli być może — przynajmniej rok cały.

— Do czegoż ta zwłoka Zosiu? Co się stać ma nieodmiennie: niechajby się raczej zaraz stało, a ponieważ się my ojcowie na to chętnie zgadzamy, więc pragnęlibyśmy także dożyć...

Zofia zwróciła się do Michała; a jej zażawione oczy spoglądały tak nagłaco i wymownie, iż młodzieniec przerwał generałowi dalszą mowę:

— Gdybym miał to nawet zaraz jutro przypłacić życiem: przecież jeszcze dzisiaj stałbym się małżonkiem córki waszmości; atoli ponieważ ona sobie tego życzy, więc korzystając ze zwłoki starać się będę zasłużyć jeszcze więcej na jej wzajemną miłość.

— Ale to waszmość mięknie! — odrzekł Kunicki — Na cóż się ujmujesz za córką; my ją lepiej znamy i nie zważamy na podobne niewieście wykręty. Trzymam się tego, co powiedziałem: za sześć tygodni odbędzie się wasz ślub...

— Nie, panie jenerale; — rzekł Michał — jej wola jest dla mnie świętą. Czekać będę cierpliwie, gdy już mam jej słowo.

Tutaj przemówił major:

— No, kochany jenerale, niechajże więc i tak będzie. Trzeba też mieć wzgląd na młode niewiasty; a córka waszmości przecie w ciągu całego życia będzie musiała Michałowi ulegać i być mu posłuszną — niechajże więc jeszcze teraz ma własną wolę! Być może, że sama termin skróci. A zresztą zwłoka nie ma nic do rzeczy; wszak wszyscy pozostaniemy razem. Pamiętasz waszmość: jak się to ja wkrótce po oświadczeniach ożeniłem? No, wiodło się mi też odpowiednio! „*Festina lente!*“*) — to w każdym razie dobre przysłowie.

Jeśli się mi wszyscy sprzeciwiacie, — oświadczył jenerał — toć mi wypada się zgodzić. Ależ dziewczyna za nos was wodzi! Niechże i tak będzie! Dozwólcież jej pozostać jeszcze przez cały

*) *Spiesz się — powoli (z namysłem)!*

rok panną — narzeczoną. Potem atoli, panie Michale, weź ją należycie w rygor i pamiętaj o znaniej maxymie: „*Uxor sub potestate mariti nec nolle, nec velle!*“*)

Następnie zamienili narzeczeni pierścionki; i odbyły się zaręczyny.

Dotyczący rok był jednym z najszczęśliwszych dla majora, albowiem nietylko dożył zaręczyn syna, ale się i tego doczekał, iż ksiązę-wojewodą powrócił wreszcie do kraju, wjechał do Warszawy jakby tryumfator i zajął swe dawne stanowisko.

Gdy tedy rodzice podawali do publicznej wiadomości zaręczyny obojga swych dzieci, oznajmili o nich przedewszystkiem swemu dostojnemu protektorowi, który podówczas w Warszawie przewodniczył sejmowi. Ksiązę przesłał w odpowiedzi swym dawnym i zasłużonym stronnikom bardzo życzliwe pismo, a w niem wyraził swą radość z powodu połączenia się dwojga domów, które mu dotychczas zawsze okazywały tak wypróbowaną wierność. Dołączył też ksiązę podarek dla zaręczonej pary: dla Zofii bardzo kosztowny brylantowy garnitur, a dla Michała królewski przywilej, mocą którego on otrzymał właśnie opróżniony urząd wojskiego w powiecie słonimskim.

Przez posłańca, który wiozł dziękczynne pismo obojga ojców dla księcia-wojewody do Warszawy, wyexpedyował także Michał list do brata z zawiadomieniem o swych zaręczynach i prośbą, iżby brat

*) Żona pod władzą męża nie powinna ani nie chcieć, ani chcieć.

był swą miłość braterską przelał także na jego przyszłą żonę.

Starosta wieluński odpowiedział w nader wyszukanych wyrazach, oświadczając, iż go cieszyło postanowienie brata, a smuciło, że kierownictwo w gabinecie króla nie pozwalało mu pospieszyć w rodzicielskie progi. Obiecał przecież nie zważać na żadne względy i wziąć udział w uroczystości weselną. Przysłał też na pamiątkę swój portret — dzieło *Bacciarellego*. Załączył nadto drugi list, pisany po francusku do Zofii, w którym ją prosił o przyjaźń i przyjęcie małego podarunku. Tym darem był garnitur, nazwany przez Francuzów *une parure complète*, a sporządzony w Paryżu według najnowszej mody z brazylijskich dyamentów.

Trzeci list napisał starosta do swego ojca, życząc mu szczęśliwej podpory, jaką dla swego późnego wieku pozyskał w osobie przyszłej synowej.

Przesyłka zarówno od księcia jak i od starosty nadeszły właściwie wtedy, gdy się krewni i przyjaciele z bliska i z daleka zgromadzili w domu narzeczonej w chęci oświadczenia jej swych życzeń.

Nie mogli się wszyscy nachwalić podarunku księcia; atoli i klejnoty starosty podobaly się bardzo: Zofia musiała się niemi przyozdobić i pozostać już w nich w ciągu dnia całego. Tylko majorowi nie podobał się jakoś ten zagraniczny podarek; pocieszał się przecież myślą, iż tylko powab nowości nadawał wartość klejnotom w oczach niewiast.

Podziwiano także powszechnie portret starosty: ogniste oko obok wyrazu łagodności w obliczu, bogaty strój i ozdobę orderów. Kiedy Zofia portret

wzięła do ręki, popadła w zadumę, przypatrując się mu. Wywarł on na nią widoczne wrażenie; toż odczytała następnie jeszcze raz list starosty. Major, spoglądając na portret zauważył z gorzkim uśmiechem:

— Jegomość starosta wieluński dla nas teraz łaskawszy, albowiem — jakkolwiek osobiście nie rad nas poznać, przecież przesyła nam przynajmniej swój portret: jak gdyby był księciem. Sądzę, iż to czyni dlatego, ponieważ teraz nasza sprawa górę wzięła. Dlaczegoż o nas nie pomyślał, kiedyśmy byli zagranicą?

— Kochany rodzicu! — odpowiedział Michał — powoduję się wielką względem niego wdzięcznością za to, iż pomyślał o mnie w najśrodszej dla mnie chwili życia. I czyż mógł mi przysłać coś lepszego od swego portretu? Zaledwobym go teraz poznał: tak wielce się zmienił!

— Twoja woła: — powiedział ojciec — chwal sobie te babskie rysy twarzy, ozdobione obcemi dodatkami! Z tych rysów przegląda twoja matka, albowiem i u niej skromna twarz i skromna kapota nie *miały szczęścia*. Ja przynajmniej dziękuję za te kuse fraki i upudrowane warkocze; to może dobre dla dworaków, ale nie dla nas. Zważam też na przysłowie, które głosi, że dziewczyna powinna być nieco brzydszą od anioła, a młody mężczyzna nieco ładniejszym od dyabła. Atoli co mnie to wszystko właściwie obchodzi; ot, pomówmy raczej nieco *ex publicis!**) Czy też państwo wiecie już o tém, —

*) O sprawach publicznych.

powiedział, zwracając się do towarzystwa — iż mamy nowego wojskiego?

— A któż nim jest? — zawołali wszyscy.

— Kto? — Mój syn Michał.

Tak jest Michale! ty — nie kto inny. Przeczytaj to tutaj pismo: a dowiesz się o wszystkiém. Czytaj przecież głośno, aby usłyszeli także nasi łaskawcy i przyjaciele. Ten przywilój jest dowodem łaski naszego księcia, a zarazem jego nadziei, że mu i teraz w czasie pokoju pozostaniemy równie wiernymi, jak nimi byliśmy na polu bitwy i na wygnaniu.

Michał zaczął wprawdzie odczytywać przywilój, ale mu głos drżał tak, iż zniecierpliwiony major odebrał mu pergamin i nasadziwszy okulary sam głośno i wyraźnie odczytał przywilój, potem syna uściskał, życząc mu z głębi serca szczęścia *usque ad altiore* *ascensum*.*) Toż i zgromadzona szlachta nie omieszkała złożyć swe życzenia i wychylić kielich na pomyślność nowego wojskiego i jego przyszłej żony.

Michał podziękował ze łzami w oczach i wśród pocałunków, nie uchylając się też bynajmniej od kolejnego kielicha.

Zofia była często bliską omdlenia, przysłuchując się komplementom szanownych gości, którzy się tak dalece rozochocili, iż *myśl nie troszczyła się u nich wiele o wyrażenie*, albowiem jakkolwiek młodzież zachowywała się obyczajnie i skromnie, starsi wiekiem pozwalali sobie tém więcej, zwłaszcza przy szklance wina. I tak np. powiedział wesoły podkomorzy słonimski:

*) Aż do postąpienia na wyższy urząd.

— Żal mi córuni jenerała, albowiem gdy zostanie żoną wojskiego, a my weźmiemy udział w pospolitém ruszeniu, natenczas nasz trybun będzie musiał czuwać nad niewiastami,*) a ona wtedy napróżno oczekiwać go będzie niejednej nocy...

— Daj go katu! — powiedział podstoli powiatu. — A co nam po wojskim z tak piękną połowicą? Będzie on strzegł własnej żony: a dla naszych stąd tylko szkoda!

W tym tonie żartowała szlachta dalej ku największemu uradowaniu jenerała i majora. Atoli biedna Zofia, czerwona jak rak z zakłopotania nie wiedziała, co miała począć. Przypomniała sobie teraz owe wytworne towarzystwa w *Wilnie*, gdzie się u jej ciotki zgromadzali obcy *ugrzecznieni* panowie, gdzie téż panował zwyczaj czuwania także nad wyrazami i surowsze istniały pojęcia o tém: czego sobie można było w obec niewiast pozwolić. Zupełnie mimowolnie spoglądnęła na wizerunek swego przyszłego szwagra i mówiła sobie w duchu, że jego wytworny strój, szlachetna skromność w wyrazie twarzy były rękojmnią wykształcenia i przyzwoitości.

Jego rozmowa wypadłaby była zupełnie inaczej.

Nie wiedziała przecież, że ten „szyk“ zagraniczny, który się coraz więcej rozwielił, pod złudną powierzchownością ukrywał wyziębione serca, płytkie usposobienia i myśli, ogołocone z wszelkiej wewnętrznej religijnej woni. Nie wiedziała, że pełny

*) Taka była powinność wojskiego w czasie wojny, lub pospolitego ruszenia.

urok i przyjemność tój powierzchowności były także jedynym już moralnym hamulcem, gdy przeciwnie pod osłoną chłopskiej rubasznosci były serca, pełne bojaźni bożej i zdolności do poświęceń. Mogła się niekiedy zdrzymnąć przyzwoitość tam, gdzie wiara ustawicznie czuwała nad zmysłami, a dziewicza wstydlivość, jakkolwiek czasami obrażona nierozważnym słowem mogła zawsze śmiało zaufać sumieniu męszczyzn, którzy pomimo szorstkiej i mniej ogładzonej powierzchowności byli przecież cnotliwi.

Oba znakomite domy spotkało tyle uciechy, iż w nich prawie wcale nie ustawały uroczystości. Jeszcze się nie skończyły biesiady u majora, a już gotował się generał do przyjęcia tego samego towarzystwa u siebie. Potem zgromadziło się całe stronnictwo Radziwiłła t. j. cały powiat słonimski w celu obchodzenia instalacji nowego wojskiego. Podkomorzy jako *princeps nobilitatis**) dawał wspinały obiad u siebie *in gratiam****) tój uroczystości. Następnego dnia zaprosił do siebie wszystkich prałat wileński — proboszcz słonimski, bliski krewny rodziny wojskiego; a stare wino, którym on gości uraczył, było później przez długi czas przedmiotem rozmów w Słonimie. Trzeciego dnia urządził u siebie sutą ucztę rejent *Wojszwiła* z radości, iż jego dawny dependent dostąpił tak znacznego urzędu. Rejent nie należał zresztą do osób hojnych, atoli uczynił wyjątek z reguły w godny sposób w obec tak naglącej okazji. Nie ustawały wszakże i dalej

*) Głowa szlachty.

**) Na cześć, na intencją.

gościnne biesiady i przyjęcia, albowiem każdy krewny, każdy przyjaciel pragnął według możności okazać, że *corde et anima**) podzielał radość obojga domów, które się miały z sobą połączyć.

Żadne atoli przyjęcie nie mogło się równać z bankietem, który u siebie sam wojski urządził ku okazaniu swęj wdzięczności za zyczliwość, jaką mu okazali byli mieszkańcy jego powiatu. Do stołu zasiadło dwieście osób; o potrzeby i przyjemności biesiadników starało się dwunastu przybranych gospodarzy. Oprócz dodatkowemi przysmakami obciążonych waz i ciast pojawiło się ośmnaście dań na stole, który ustawiono w obszernym refektarzu klasztoru słonimskiego Bernardynów. Na korytarzu stały gdańskie *oxefy****) i ankry czyli półwiadrówki z winem, gdyż z butelek trudno niém było zaopatrzyć tak licznych gości. Szczęściu piwnicznych nalewało nieustannie wino do dzbanów, odsyłając je panu i przybranym gospodarzom.

Nadto były ustawione na klasztornym dziedzińcu jeszcze stoły dla ubogich, zastawione hojnie jadłem, gorzałką i piwem. Każdy biédak otrzymał oprócz tego po dwie koszule i jakąś przyodziówkę.

*) W sercu i duszy czyli całém sercem.

***) Miara gdańska o 120 garncach; 4 oxefy stanowiły foder gdański = 490 garncom.

V. Zgon sprawiedliwego.



Te uroczystości, które trwały przeszło dwa tygodnie, sprowadziły ciężką pokutę na majora, gdyż zapadł nagle na dawną podagrę, choć żywił przekonanie, iż się jej na zawsze był pozbył od czasu, kiedy przebył zarazę na Wołoszczyźnie. Wśród dojmujących cierpień powrócił ze Słonima do swój majątności i położył się zaraz do łóżka, aby już z niego nigdy nie powstać. Przez dziesięć tygodni znosił zmieniające się boleści choroby, nie tracąc przecież przytomności ducha. Otaczali go nieustannie jenerał, wojski i Zofia; nie brakło też w jego domu przyjaciół, którzy go odwiedzali i pocieszali. Nie tracili wprawdzie całkowicie nadziei przez Michała zewsząd sprowadzani lekarze; lecz starzec się tém nie łudził. Jak się to często przydarza u osób bardzo pobożnych: przeczuł on dzień swego zgonu i przysposabiał się na śmierć z powagą i rozmysłem. Sprowadził do siebie ze Słonima *O. Bonawenture*, gwardyana Bernardynów,

u którego się od lat trzydziestu kilka razy w roku spowiadał. Prosił go też, iżby go był teraz nie opuszczał do ostatniej chwili; a gwardyan tego nie odmówił największemu dobroczyńcy klasztoru. Odtąd spowiadał się chory codziennie — i to rankiem, kiedy jeszcze wszyscy spoczywali. Po spowiedzi odmawiał modlitwy z gwardyanem, a potem wydawał rozporządzenia, tyczące się majątku. Przedewszystkiem pomyślał o swój służbie, wyposażając hojnie pośród niej osoby stanu szlacheckiego; z kolei obdarzył klasztory i kościoły — i to gotówką bez obciążenia darowizn, choć taki był zwyczaj. U jego łóżka znajdowało się kilka kufków z workami, w których były pieniądze. Chory wskazywał synowi, który z kufków miał otworzyć, oznaczał kwotę, jaką miał z niego wyjąć, i polecał znowu kufer zamknąć.

Kiedy się tym sposobem zrana uporał ze sprawami duszy i majątku, przyjmował w dalszym ciągu dnia przyjaciół w wesołym usposobieniu, jak gdyby był w łóżku wylegiwał dobrowolnie, a nie z konieczności. Rozmawiał z nimi o gospodarstwie, sprawach prawnych; a niekiedy wymknęło się mu i żartobliwe słówko, które na usta wszystkich, a nawet jego samego wywoływało uśmiech.

Gdy czasami ból srożył się gwałtownie; wzdychał chory, albo mu łza spływała po pobladłym licu; ale to nie trwało długo, a potem znowu powracały dawna swoboda i spokój, najlepsze i najpewniejsze towarzysze czystego sumienia.

Pewnego poranka po spokojnie spędzonej nocy i odbyciu zwykłej konferencji z księdzem gwardyanem pozostał na dłuższy czas major sam jeden.

Michał, czuwający u drzwi: coby jego ojciec robił, przekonał się, iż pisał. Cieszyło to, ale i bolało dobrego syna. Bolało go, gdy pomyślał, że chory spisywał testament, a przecież go znowu cieszyło, gdyż go to napawało niejaką nadzieją, iż ojciec musiał posiadać jeszcze siły, kiedy mógł własnoręcznie pisać testament.

Major przywołał go do siebie. Syn ucałował rodzicowi ziębnące nogi; a on przemówił do niego:

— Mój kochany Michale! dozwól, abym ci ucałował czoło: wkrótce cię pożegnają i to na — zawsze.

— Nie myśl o tém kochany ojczel! Wyglądasz dzisiaj o wiele lepiej, aniżeli dnia wczorajszego. Spędziłeś także noc spokojnie i — da Bóg — powrócisz do zdrowia.

— Dobrze, dobrze; — odrzekł major — lecz ufaj więcej *mnie*, aniżeli lekarzom: jeszcze tylko dwa dni zabawię pośród was, a pojutrze umrę. Nie płacz-że mój synu! gdyż twoje łzy utrudniają mi podróż ostatnią. Nie lękam się śmierci, wszakżeśmy jęj dosyć często zaglądali w oczy; toż i moją choroba obłożna przysposobiła mię dostatecznie na śmierć. Mimoto lękam się sądu Pańskiego i, skoro pomnę na bieg mego życia, umierałbym w rozpacz, gdybym nie żywił niewzruszoną wiarę, iż mię męka Zbawiciela ocali, gdyż zawsze i niezmiennie wierzyłem w Boga — Ojca, Syna i Ducha św. Trzymaj się i ty tego; z tą wiarą lżej człowiekowi ten świat opuszczać. O, nie płacz-że Michale! wszak nam wszystkim potrzeba umierać — *quod mihi hodie,*

*tibi cras. *)* Czyż nie żyłem dosyć długo? Gdyby mi rzeczywiście lekarz mógł przywrócić zdrowie: nie wiem, czyby się mi to podobało. Zdaje się mi: jak gdybym się później nie mógł już tak dobrze na śmierć przygotować: dzisiaj pokładam tak wielką nadzieję w miłosierdziu Najwyższego, w zasługach mego Zbawiciela i wstawiennictwie Najświętszej Panny! Nigdy mniej nie troszczyłem się o los, jaki ciebie i was wszystkich ma spotkać, jak właśnie teraz; mniemam także, że wychowanie, które ci dałem, choć ono może niedostateczne, przecież w tobie wyda owoce dobre. Wskutek niego stałeś się jednym z nas *starych* Sarmatów. Dlatego też daję ci z całego serca moje ojcowskie błogosławieństwo w silném przekonaniu, że i Bóg tobie będzie błogosławił. Bo zasługujesz na to; wszak wypełniałeś zawsze Jego najważniejsze przykazanie i szanowałeś ojca. W ciągu całego życia starałem się usilnie o to, abym się mógł nawet po śmierci przyczynić do twego uszczęśliwienia. Pozostawiam ci owoc méj pracy w zaufaniu, iż używać go będziesz ku chwale Pana Boga. Tak, mój synu, strzeż się, abyś Go nie obraził grzéchem śmiertelnym. Dopiero u schyłku swoich dni poznaje człowiek: jak okropném jest przekroczenie Jego przykazań! Mój synu: pozostaw mię teraz znowu na chwilę w samotności! Doznałem wzruszenia: cicha modlitwa sprawi mi ulgę!

Michał oddalił się, aby pofolgować łzom, których strumień powstrzymywał w obliczu ojca.

*) Co mnie dzisiaj, jutro tobie.

Po obiedzie przybyło kilkoro przyjaciół, ale nie przyjaciół *dzisiejszych*, lecz serdecznych *druków*; wypróbowanych wielokrotnie w życiu, których gorące współczucie majorowi obudziło uszczęśliwiającą nadzieję, iż kiedyś z nimi miał żyć. społem dalej w nieznanj krainie wieczności.

Wojski i jenerał mieszkali od początku choroby majora w jego domu i przyjmowali z Zofją i wielkim łowczym gości. Tego dnia zawitali podkomorzy, podstoli i rejent sądu ziemskiego i to (jak się później okazało) wskutek umyślnego zaproszenia majora. Dwaj piérwsi należeli do jego najdawniejszych przyjaciół; rejenta uczył major prawnictwa, a on znowu oddał tę samę przysługę jego synowi Michałowi. Po przywitaniu oświadczył Ojciec gwardyan, iż ich major pragnął widzieć u siebie. Na ich zapytanie o zdrowie chorego sąsiada gwardyan nie miał pocieszającej odpowiedzi. Weszli tedy z największą oględnoscią do sypialni, która była silnie bursztynem wykadzona. Na ich widok podniósł się major nieco na postaniu, chcąc im okazać swą radość. Starzec był wychudły, blade, prawie wynędzniały; atoli na jego obliczu jaśniała pewna niebiańska swoboda, a na ustach igrał uśmiech w dowód jego wewnętrznego zadowolenia.

— Przebaczenie, szanowni przyjaciele, — przemówił — iż was prosiłem do siebie, ale mi przychodziło z trudnością rozstawać się z wami bez pożegnania. Ś. p. ojca podkomorzego trzymałem na ręku, kiedy umierał, i pocieszałem potem jego syna: teraz on uczyni to samo memu synowi. A ty podstoli! Twemu ojcu pisałem testament; był on pod-

starościm, ja rejentem — nikomu tak wielce jak mnie nie zaufał: teraz kolój na ciebie, abyś się podpisał na moim testamencie. Dobrze uczynił nasz poczciwy rejent, iż z wami przybył; będzie kiedyś świadczył, iż ten tutaj testament własną ręką napisałem i moje nazwisko na nim umieściłem, albowiem — jakkolwiek cieleśnie jestem słaby i złamany, na duchu jestem zdrów zupełnie. Ot, jeszcze tę jedną sprawę dzisiaj z wami załatwię; jutro, żywią nadzieję, oglądać będę na jawie Trójcę świętą.

Podkomorzy starał się go odwieść od tych poważnych myśli; atoli starzec mówił dalej:

— Jam się już uporał z tym światem: dzisiaj zrana otrzymałem ostatnie namaszczenie; powin szujcie mi, iż podczas tego ważnego aktu zachowałem zupełną przytomność umysłu, gdyż nie każdemu Bóg zsyła tę łaskę! A gdybym téż był uległ zarazie w ziemi wołoskiej? Przecież Najwyższy dozwolił mi załatwić ostatnie sprawy mego życia w kole moich przyjaciół z zupełnem przeświadczeniem o Jego łasce i miłosierdziu!

— Patrzcie moi przyjaciele! — dodał, wydobywszy z safianem obitej szkatułki, która stała obok jego łoża, kilka kosztownych kokard — te kosztowności, to upominki przyjaźni. Niechajże one, gdy umrę, służą *moim* przyjaciołom, aby czasem westchnęli za mą duszę do Boga!

Tutaj obdarzył każdego z przyjaciół kokardą; kokardę zaś, na której w błękitném emaliowaniu wyłożona była brylantami cyfra księcia-wojewody, t. j. litery *K. K. R.*, dał swemu synowi z uwagą:

— To jest kokarda umundurowania *Albańczyków*; pragnę, aby mię z tą kokardą i w albańskim mundurze pogrzebano, i zobowiązuję cię Michale! pod zagrożeniem utraty mego błogosławieństwa, iżbyś to punktualnie wykonał. Nawet na sądzie *ostatecznym* chcę się ukazać pośród wiarusów *księcia Karola Radziwiłła!* A to tutaj, panie, rejencie, jest moja ostatnia wola; przeczytaj ją waszmość i to głośno: proszę o tę grzeczność! Jeśli ja — stary i osłabiony popełniłem w testamencie może jaki błąd, natenczas to już szanowny rejent sprostuje.

Wszyscy stali dookoła łóża, pogrążeni w poważnym milczeniu. Rejent Wojszwiła, który się zestarzał starym kawalerem i nie posiadał bynajmniej miękkiego usposobienia, odczytywał testament drżącym głosem. Mocą tego testamentu z wyjątkiem pewnej kwoty pieniężnej, wyznaczonej przez majora dla Ludwika jakby w dowód, iż mu on nie odmawiał błogosławieństwa, cały majątek — jako nabyty zapisał chory Michałowi. Komu innemu nie wyznaczył major legatów, lecz gdy komu co dać zamyślił, wypłacił gotówką; obdarzył też hojnie księży, urzędników i podwładnych, nie zapominając o nikim. Wykonawcą testamentu mianował major podkomorzego. Gdy rejent testament odczytał, prosił major przyjaciół o podpisanie się na nim dla stwierdzenia aktu. Wezwani zabierali się właśnie do spełnienia jego woli, gdy nagle wojski, który dotychczas w duchu walkę staczał, ukląkł u łóża chorego starca i tak wśród łkania przemówił:

— Mój drogi rodzicu! nie czyń memu bratu Ludwikowi szkody i nie odłączaj go od praw przy-

rzeczonych. Wszak w tém nie jego wina, że się wychował zagranicą i nie nauczył tak myśleć, jak my myślimy. Czyż go zmieni wydziedziczenie? Przeciwnie, gdy się przekona, iż mimo różnicy zapatrywań ojciec nie wyklucza go z swego serca, natenczas pozna, iż nasze zamysły były uczciwe. Jeśli atoli utrzyma się ten testament, wówczas będzie mię słusznie podejrywał, iż z pozostawania przy ojcu ciągnąłem korzyści z jego szkodą. Jeśli się spodoba Najwyższemu, abym przeżył mego rodzica, natenczas wystarczy dla mnie połowa spuścizny. Zaoszczędziłem już sobie własną pracą mały majątek i żywię nadzieję, iż go jeszcze w przyszłości pomnożę należycie przy pomocy Pana Boga i méj przyszłej żony. Dlatego postanowiłem ostatnią darowiznę mego ojca przyjąć tylko w takiej formie, któraby memu dobremu imieniu zarazem zaszczyt przynosiła, i nie powstanę od twych nóg, kochany ojcze, pierwój, aż zmienisz swój testament. Wyznaję całą prawdę i zaznaczam, iż tutaj troszczę się nie tyle o samego siebie i mego brata, ile o duszę mego drogiego rodzica. Czyż mąż cnotliwy i bogobojny może sobie pochlebiać, że przed Bogiem stanie — usprawiedliwiony, jeśli opuszcza ten świat z gniewem w sercu względem swego syna?

— Masz pocziwe serce Michale! — powiedział starzec — ale rozważ sam: czy to rzecz sprawiedliwa, iżby syn, który się nigdy ojcu na oczy nie pokazał, a zawsze z jego wrogami trzymał, miał odbierać / równą częśćkę w ojcowskiéj spuściznie z tymi, który będąc nieodstępnyim towarzyszem ojca

swą pracą przyczynił się do pomnożenia rodzicielskiego majątku?

— Moją pracę poświęciłem wyłącznie tobie, kochany ojcze; nie mogłem nigdy przypuszczać, iż pracowałem na mą własną korzyść. Nie czyń tego przecie, iżby mię obciążało zasmucenie starszego brata, którego miłuję i szanuję; toć jeśli sobie czém zasłużyłem na życzliwość mego ojca, natenczas niechaj mi przypadnie ta nagroda, iż tenże u schyłku dni swego życia przebaczy memu bratu, jeśli on względem rodzica w czém pobłądził!

Widocznie wzruszony starzec uścisnął szlachetnego syna i rzekł:

— Moi przyjaciele, widzę, iż wy wszyscy podzielacie zdanie mego Michała; niechajże tak będzie, jak on chce! Ja zniweczę to świadectwo méj ostatniej woli. Daj Boże: aby ci twój brat nie odplacił niewdzięcznością!

Połączywszy ręce Zofii i Michała pobłogosławił major oboje, oświadczając otoczeniu, iż mu ten przysły związek małżeński ułatwiał rozstanie się z tym światem.

— Niechaj ci Bóg błogosławi Michale; — przemówił chory, zwróciwszy się do syna — niechaj ci użyczy wszelkiego doczesnego szczęścia o tyle, iżby ono nie zaszkodziło sprawie twego wiecznego zbawienia! Powtarzam: — jak to tylko umierający może stwierdzić — *ten świat doczesny jest tylko marnością, a wieczność wszystkiém*. Pozostań wiernym Bogu i ojczyźnie i bądź zawsze gotów oddać za nią życie!

Jeszcze raz pobłogosławił major Michała, a zarazem — tak oświadczał — i starszego syna, któremu przebaczył wszelkie urazy.

To wszystko tak dalece wzruszyło chorego starca, iż mówił coraz słabszym głosem, a wkońcu w sen zapadł.

Obecni wyszli na palcach z sypialni i udali się do pokoju bawialnego. Pod wieczór polepszyło się znowu majorowi, który ich wszystkich jeszcze raz poprosił do siebie. Zabawiał się z nimi z taką uwagą i przytomnością ducha, iż to uznali za oznakę jego możliwego ozdrowienia. Ale to było jedynie ostatniem zabłyśnięciem życiowego płomyka, jakie niekiedy widzimy przed zgonem gasnącego chorego.

Jak major był przepowiedział, iż tego dnia nie miał już przeżyć: tak też w istocie zgasł nazajutrz zrana prawie bez śmiertelnych zapasów na ręku O. gwardyana i wojskiego podczas, gdy reszta jego przyjaciół jeszcze spała. Można sobie wyobrazić boleść poczciwego wojskiego. Jego przyjaciele nie opuścili go i w tém zasmuceniu; a ponieważ jemu sił brakło, zajęli się także urządzeniem pogrzebu dla jego ojca. Na żałobną uroczystość zgromadziła się prawie połowa duchowieństwa z całego powiatu, największa część okolicznych obywateli i prawie wszyscy *Albańczycy*. W stypie wzięło udział kilkaset osób; toż wypróżniono nietylko zawsze tak hojnie zaopatrzone piwnice nieboszczyka do szczytu, ale także — użyjemy tutaj charakterystycznego wyrażenia nardowego pisarza — kiedy się uroczystość skończyła, a żałobni goście rozjechali, nie można

było w całym Słonimie „ani na lekarstwo dostać wina.“

Trumnę nieśli urzędnicy powiatowi. Oprócz nekrologów, wygłoszonych przez księży i świeckie osoby miały wiele przemów częścią na stypie, częścią u grobu, gdyż każdy pragnął okazać cześć ostatnią zasłużonemu mężowi. Jenerał *Kunicki* nie mógł dokończyć swój przemowy wskutek gwałtownego łkania. Wojski zaś zapadał kilkakrotnie w omdlenie, a powróciwszy do domu musiał dłuższy czas przeleżeć w łóżku.

Po odbytym pogrzebie wyznaczył jenerał *Kunicki* ślub Michała i Zofii na trzecią niedzielę po ustaniu zwykłej żałoby Michała i opuścił na zawsze w słonimskim powiecie posiadaną majątność, w której dotychczas przemieszkiwał jedynie dlatego, aby być w pobliżu przyjaciela. Powrócił do *Niewiadowa*, swój dawniej rezydencji pośród rozległych posiadłości, które miał w województwie mińskim.

Kiedy wojski ukoił nieco swą boleść, podtrzymwany na duchu głównie swém niewzruszonym przekonaniem, że wszelkie zrzędzenia boże muszą być bezwarunkowo niezbędne i dobre, zajął się uporządkowaniem majątku w chęci przysposobienia wszystkiego do mającego się odbyć podziału spuścizny z bratem, którego natychmiast o zgonie ojca był uwiadomił. Napisał do niego list bardzo dokładny i nadmienił w nim, że konający ojciec, udzielając ostatniego błogosławieństwa nie czynił żadnej różnicy pomiędzy synami; dla téj okoliczności domagał się spieszego podziału znacznej ojcowskiej spuścizny; i dlatego powinni się byli przedewszyst-

kiem obaj bracia widzieć osobiście, aby pomówić o familijnych sprawach, o których ojciec w swym testamencie nic nie postanowił. Dlatego prosił Michał brata, iżby był przybył do Litwy i to bezwzględnie, choćby tylko na kilka tygodni. Wkońcu doniósł mu o terminie swego wesela.

Ludwik odpisał mu w wyrazach boleści, oświadczając, iż znajdował jedyną pociechę w tém, że po skończonej żałobie miał nadzieję poprowadzenia swój bratowej do ołtarza, albowiem postanowił na pewne przybyć na gody, atoli chwilowo w żaden sposób nie mógł opuścić stołecę, gdyż go król potrzebował w sprawach sejmowych. Co się zaś tyczyło spuścizny, miał się dowiedzieć, że zmarły ojciec pierwotnie rozporządził całym majątkiem wyłącznie na korzyść brata i tylko ulegając jego wyraźnym prośbom cofnął swe rozporządzenie. Pisał, iż go ten szlachetny czyn brata wcale nie zdziwił, gdyż on sam byłby na jego miejscu tak samo sobie postąpił. Mimoto obiecywał mu zachowanie za to względem niego wdzięczności i najwyższego szacunku. Zresztą — tłumaczył w liście — posiadał dosyć mienia i znajdował się o tyle w szczęśliwem położeniu, iż nie potrzebował rościć sobie pretensyi do ojcowskiej spuścizny. Prosił tedy brata, iżby nią był dowolnie rozporządzał tak, jakby ona jedynie do niego należała.

Do swego listu dołączył rozległe pełnomocnictwo na imię brata według wszelkiej możliwej formalności. Tém pełnomocnictwem powierzał mu nie tylko zarząd swego ewentualnego udziału w spuściźnie, ale przyznawał mu także prawo sprzedaży, gdyby

on ją był uznał za potrzebną, i uwalniał go od obowiązku składania rachunków i od wszelkiej odpowiedzialności.

Wypada nam tutaj wyznać całą prawdę. Michała nie sprawy publiczne zatrzymywały w Warszawie, ale go przykuwała do niej miłość względem żony wielkiego krajczego, jednej z najwięcej uroczych pań na dworze *króla Stanisława*. Chociaż sobie atoli jak najgoręcej życzył pozostać w stolicy, przecież stósunki doznały takiego przeobrażenia, iż oglądał brata o wiele wcześniej, aniżeli się spodziewał. Nie przeczuwając tego zbliżył się, tém samém do najważniejszej i najwięcej rozstrzygającej chwili w swém życiu ku ponownemu stwierdzeniu walnej prawdy: jak mało my sami zdołamy stanąć o naszym losie, a rezultat zawisł od woli wyższej Istoty; my zatem możemy ręczyć jedynie za uczciwość naszych zamysłów i na szczęście tylko o tyle jesteśmy odpowiedzialnymi.



VI. List starosty wieluńskiego do księcia-jenerała ziem podolskich.



Jaśnie Oświecony Książę!

iszę Waszej Książęcej Mości z rodzicielskiego domu, gdzie obyczaje sarmackie nie ustąpiły w niczem wciskającemu się duchowi nowój mody. Z rozkazu mianowicie Króla-Pana pojechałem na Litwę i przebywam tutaj u mego brata słonimskiego wojskiego, którego dawniej w ciągu długiego czasu znano na stanowisku prawnika, który się później odznaczył, będąc towarzyszem broni księcia „*Panie Kochanku!*” — a teraz uchodzi za wzorowego gospodarza, hreczkosieja i gromadzącego mamonę, zawsze atoli za gorliwego Litwina — *summa summarum* za człowieka, godnego wszelkiego szacunku. Niechaj sobie kto mówi, co chce: *cnota posiada niezaprzeczony urok*. Mogę to sam dowodnie poświadczyć. Od dziecka oswojony z poglądami i zaletami świata oświeconego, we wszelkich zwy-

czajach sybaryta mieszkam tutaj w izbie, obłożonej gliną i „żydowską smołą“; codziennie w nocy przerywa mi sen wycie psów w budzie; żywię się krajową polówką i tatarskim przysmakiem, który tutaj nazywają *wereszczakiem*. Jeśli posłyszę tutaj jaki wyraz francuski, natenczas chyba jedynie z ust mego *Lafleur'a*; a przecież mimowolnie ima się mnie poniekąd zazdrość, gdy pomyślę, że mój brat z przeznaczenia, czy uzdolnienia wie dzie takie życie i — co większa — jest zadowolony i szczęśliwy. Jakkolwiek się jego temperament skłania ku melancholii, upatruję przecież u niego taki pokój w sercu i duszy, jakiego ja wcale nie znam. W „wielkim świecie“ chwałą moję wesołość i statecznie różowy humor. Ludzie uważają mię powszechnie za ulubieńca bogini Fortuny: lecz gdyby kto mógł zaglądnąć w głąb mej duszy, natenczas prawdziwie! nie zazdrościłby mi i znalazłby tam zamiast owych mniemanych zalet — pustki, rozczarowanie, przesyt. Wszystko, co przykuwa swym urokiem, jest dla mnie już odarte z osłony; a nagość wszelkich rzeczy, za którymi się uganiamy, bez których już prawie żyć nie możemy, jest i pozostanie brzydką. Wszystko w około nas jest marnością; i my sami nią jesteśmy. Nigdzie i na żadnym gruncie nie masz prawdy: obawa, lenistwo, a wreszcie nawyknięcie nadają postać naszemu otoczeniu. Wiara i niewiara, religia i filozofia — to frazesy; a nasz rozum, którym się tak straszliwie chełpimy, poprzestaje ostatecznie na — słowach. Każdy filozof utrzymuje z przechwałką, iż odszukał prawdę. *Ale czémże jest prawda?* Czyż tak nie zapytał dla całego chrześcijaństwa naj-

słynniejszy poganin, zanim kazał przybić na krzyżu Odkupiciela świata? Czyliż ludzki rozum nie podniósł do godności prawdy błąd — najzupełniej widoczny? Czyliż rozum jednego człowieka nie jest głupotą drugiego, rozum jednego pokolenia głupotą drugiego? Pomknę się nawet dalej i żywię przekonanie, iż potęga rozumu bynajmniej nie wpływa na nasz los; ale w ścisłym słowa znaczeniu kierują nami nasze popędy i instynkt. Gdyby nas roztropność rozumu mogła przekonać, kto wie: czyby z wywodów filozofii i argumentów wiary te ostatnie na jednej szali nie przeważały? Co do mnie: pozostawałem w poufałych stósunkach z przodownikami encyklopedii. Każde ich słowo było pociskiem, skierowanym przeciw chrześcijańskiej religii: a przecież nie usłyszałem nic takiego, coby zdołało było wzruszyć me przekonanie, gdybym skądinąd miał był skłonność ku religii. Na innym miejscu przecież usłyszałem na jej korzyść tak walny argument, iż go dodziśdnia zachowałem w pamięci.

We wczesnej młodości pozostawałem w służbie króla Leszczyńskiego i byłem świadkiem rozmowy, prowadzonej podczas wieczerzy. U stołu siedzieli król, księżna luxemburska, *Volter*, *Frairet*, *Tressant* i ksiądz *Project*; ja stałem u otwartych drzwi w przedpokoju, czekając na rozkazy króla. Wasza Książęca Mość wieś o tém, że Król Jegomość, chociaż surowy katolik i przywiązany do wiary swych ojców, mimoto nawidził towarzystwo filozofów i tolerował nawet najśmielsze i jego przekonaniu najwięcej sprzeciwiające się rozprawy. *Volter* sztydził jak zwykle z religii, wtórował mu *Frairet*; sprzeci-

wiali się przecież książd Project i Tressant. Król milczał. Wśród tego rodzaju ludzi zaczepka i obrona bywają zawsze wyborne: takimi były one i wówczas. Wkońcu przemówił król:

— Wszelkie rozumowanie nie wpływa na me przeświadczenie, gdyż niém można wszystko zbudować i znowu potem obalić. Dlatego rozumowanie jest dla mnie niczém, fakt zaś — wszystkiém. Toż bez narodowości wierzę w prawdziwość religii chrześcijańskiej, gdyż ona jest niezaprzeczonym faktem.

Na to rzekł Wolter:

— Najjaśniejszy panie! każda — nawet pogańska religia była faktem; toż i filozofia jest faktem.

— Co do filozofii: — odpowiedział król — to moje przekonanie sprzeciwia się jój widocznie. Czëgo nie można nigdy zastosować do życia społecznego, to jest przecie i pozostanie tylko *teoryą*. O pogaństwie zaś można stanowczo powiedzieć, że jak wszelkie ludzkie urządzenia i ono miało swój czas; ale się już potem nie mogło nigdy wznieść do pierwotnego znaczenia. Dzieje uczą nas: jak w tego rodzaju przedsięwzięciu neoplatonizm i cesarz *Julian* niczego nie dokonali. Żadna — czysto ludzka myśl nie tutaj nie wskóra.

Przekonanie dziejowe poucza nas, iż się rzecz ma inaczej tylko z *idea chrześcijańską*, że i ona na przemian wchodziła w rozmaite fazy, skłaniała się nawet pozornie ku upadkowi, ale potem sama z siebie wypuszczała nowe zarody życia i statecznie wracała do pierwotnego stanowiska, i tém się tóż wyłączenie w dziejach świata wyróżnia.

— Ale ileżto pomysłów: — zauważył Frairet — filozoficznych, umniczych i politycznych po swym upadku potem znowu odżyło!

— Niezawodnie! — odrzekł król — ale czyż te wskrzeszone pomysły były rzeczywiście i zupełnie temi samemi? Czy one panowały powszechnie pośród społeczeństwa, czy wreszcie wywarły stanowczy wpływ na przeznaczenie ludzkości? Religia chrześcijańska po osiągnięciu panowania nad światem ucywilizowanym tak dalece uległa nawale aryaryzmu, iż zdaniem pewnego świętego filozofa świat powątpiewał: czy ona rzeczywiście była jeszcze chrześcijańską; a przecież po chwilowém zamgleniu ta sama idea chrześcijańska bez najmniejszej zmiany, lub modyfikacyi w swój istocie opanowała świat tak dalece, że aryaryzm znikł bez śladu. Niechajby mi kto wykazał podobny fakt jakiego czysto ludzkiego pomysłu!

Tutaj księżna luxemburska, posiadająca dar omijania nudnej rozmowy ozwała się z jakimś dowcipnym żartem: i zaczęto o czém inném rozmawiać.

Wasza Księżęca Mość zapewne myślisz, że na Litwie stałem się bigotem; nie, z pewnością nie: jestem i pozostanę filozofem — wszakże nie o tyle, jak gdybym uważał wywody filozoficzne za niewzruszone, ale dlatego, ponieważ się mi filozofia nadaje, a ja mogę według niej urządzić sobie życie, ponieważ mi ona nie nakłada powinności, których spełnienie przechodziłoby me siły, a jeszcze i dlatego, ponieważ jestem zanadto uczciwym człowiekiem, iżbym zdołał to wyznawać ustami, czemuby moje postęпки kłam zadawały.

Życie na wsi, swojska strzecha i obyczaje wiejskie istnieją dla mnie tylko w poezji; ich rzeczywistość nie posiada dla mnie uroku; a przecież sądzę, że tylko oddając się im można wieść życie chrześcijańskie. Religia pośród „wielkiego świata“ zdaje się mi być tylko mniej, lub więcej ułudą.

Dlatego cenię filozofów, albowiem każdy z nich może sobie urządzić życie według własnej woli i usprawiedliwić. Cóż atoli można powiedzieć o owych pobożnisiach „wielkiego świata“, którzy żyją sposobem wolno-myślicieli, a mimoto chcą uchodzić za wyznawców nauki, która sposób ich życia potępia?! Ta dwulicowość, Mości Książę, nie przystoi nam w ogóle; nasz honor nie dozwala nam żadnego kłamstwa, chociażby ono miało — nie wiem: jaką postać. Nasze postępowanie powinno zawsze i wszędzie zgadzać się z naszymi przekonaniami, z naszym wyznaniem; toż do czego uczuвам skłonność wrodzoną: tego nigdy nie potępię. U mnie *ta* filozofia: iżby wola wszelkim popędom, które się mogą we mnie odezwać i jak długo one we mnie stnieją, ulegała, gdyż ostatecznie tylko mnie może przekonać, iż się mi coś podoba, albo sprzeciwia méj naturze. Gdy się mi coś podoba, musi téż być dla mnie bezwarunkowo dobrém. Nasze popędy są dla nas niezaprzeczoną prawdą; przynajmniej ja nie pojmuję innej prawdy.

Niechaj Waszę Książęcą Mość nie dziwi, iż się bawię w filozofa: jest to zgodne z duchem czasu! Rozum nie dozwala nam spocząć; pragniemy dójść co do nas samych i naszego istnienia do pewności, do rezultatu stanowczego, jakkolwiek nie masz nic

pewniejszego jak niemożliwość osiągnięcia tego celu. Gdyby mię zapytano o przyczynę tego zjawiska, natenczas odpowiedziałbym bez zakłopotania: „Pochodzi to stąd, ponieważ my wszyscy — mianowicie my rozumni i „dostojni myśliciele” jesteśmy największymi próżniakami. . . . Wszyscy nasi zawodowi, którzy rozmyślają i nowe książki czytają, o nich z drugimi rozprawiają — oni wszyscy są téj myśli, że — pracują. A jeśli się któremu z nas uda przełanie jakiejś idei na papier, natenczas się uważa za bardzo pożytecznego męża. Ale wyznajemy prawdę: nie masz tak lichego rzemieślnika, któryby nie był o wiele czynniejszym aniżeli piérwzorządny myśliciel.

Wasza Książęca Mość wiész, że ten dziwak *Rousseau* ówieka mi wbił w głowę, kiedy w méj obecności powiedział, że myślący człowiek jest — zepsutém zwierzęciem. To pewna przesada, choć w niej tkwi ziarno głębokiej prawdy. Bądź, co bądź: nie mówię „myślenie”, ale rozmyślanie, rozumowanie, zabawianie się w autorstwo — to wszystko są tylko rozmaite modyfikacye „rozumnego próżnowania.” Memu bratu brakłoby czasu, chociażby nawet w istocie posiadał uzdolnienie do filozofowania. Wstaje rano przed piątą godziną, po odmówieniu wcale nie krótkiej modlitwy zasiada do biurka i pisze w czasie, kiedy *ja* spię w łózk, sprawozdania do przyjaciół, którzy u niego szukają rady w kwestyach prawniczych. *Ja* jeszcze spię: a on już objechał całe gospodarstwo na koniu; *ja* jeszcze spię, a on już głodny i znużony powraca po załatwieniu swéj piérwszej czynności. Kiedy wreszcie powstanę i przywdzieję szlafrok — on już spożył skromne śniadanie,

a kiedy się ubieram, przychodzi do mnie i okazuje mi swą zyczliwość, pytając: jakby się mi powodziło. Potem przypomina mi o podziale ojcowskiej spuścizny; przedłożył mi już małą *bibliotekę*, składającą się z rachunków, skryptur, dokumentów, inwentarzy i prosi, iżbym to wszystko, co on zestawił, przynajmniej odczytał. Ja odraczam tę robotę z jednego ranka na drugi. Podobno mnie do tego nie nakłoni, iżbym przerzucił te papiery. To nad moje siły!

Nadchodzi pora obiadowa; ja najczęściej nie jadam prawie nic — raz, że do wiktury nie mam smaku, drugi, ponieważ prawie codziennie migrena mię nawiedza. On zaś jada za czterech, ponieważ już za ośmiu pracował. Po obiedzie radbym z nim pomówił nieco o sprawach ogólnych i publicznych; ale rzadko kiedy do tego przychodzi. Zaledwo o nich napomknijemy, zauważam w bardzo krótkim czasie, iż go w duchu zaprzęta jakiś przedmiot w gospodarstwie, chociażby to były tylko jego charty. Niekiedy zapowiedzą gości; a więc ich przyjmuje przy szklance wina. Po największej części atoli gość — bardzo nudny: rozmawia o gospodarstwie, sprawach powiatu, o ostatniem zgromadzeniu deputowanych. Mimoto mój brat przysłuchuje się temu wszystkiemu z taką powagą, jak się przysłuchuje w Paryżu sprawozdaniu o nowym scenicznym utworze, albo opowiadaniu o nowej miłości króla — a ja czynię to samo jedynie z grzeczności dla brata. Gdy jesteśmy znowu sami, nie pozostaje mi zwykle nic innego jak poproszenie go z własnego popędu, iżby zwiedził stajnię, gorzelnię, fabrykę, albo — coby właśnie jego ducha w tej chwili zajmowało, a mnie pozosta-

wił w samotności czyli dozwolił mi zająć się korespondencją, lub filozofowaniem. Gdy mój brat na krótki czas przed wieczerzą powróci i jakby robotnik naję się do syta, radbym z nim znowu nieco pogawędzić: ale się nam to jakoś nie wiedzie. Albowiem jeśli mu opowiadam o Wersalu, albo o Warszawie, natenczas to ma dla niego tyle powabu, ile go mają dla mnie niedźwiedzie, które w ostatnim roku upolowano na Litwie — a nadto brat — nieborak bywa tak znużony, iż prawie stojąco zasypia. Filozofujże tutaj z takim pocziwcem!

Przytem jest mój brat bardzo religijny: pości, rozdaje jałmużny i odmawia różaniec; atoli nigdy nie mówi o tych rzeczach. Ja się temu nie dziwię, boć on w to wszystko *wierzy*. My niedowiarki lubimy o wszystkim rozmawiać, gdyż o niczem nie jesteśmy przekonani: toć i ta sprawa jest zupełnie naturalną. Tutejsze zakonne duchowieństwo — jeśli to nie jest w kościele — rozmawia tylko z niechęcią o religii. Nasi zaś bigoci jak najchętniej popisują się swym duchownym i teologicznym kramem. Skądże ta różnica? Widocznie stąd, ponieważ tamci *wierzą tak samo: jak oddychają powietrzem*, ci zaś sobie *wyobrażają*, iż w istocie wierzą i to w drugich wmówić zdołają. Gdy mi zaś wypadnie mówić z bratem o prawie, natenczas on staje się wymownym aż do zapału i stanowczym, jak gdyby tylko sam jeden był panem tego przedmiotu: cytuje paragrafy z pamięci, tłómaczy i objaśnia, ale nie znosi sam żadnej nagany prawa. Każdy statut jest dla niego świętością; i dopiero po zniesieniu go przez prawodawcę pozwala sobie przyznać, iż on był nie-

odpowiednim. Jeśli przypadkiem osoba duchowna przemawia w jego obecności, natenczas przysłuchuje się z nabożeństwem, ale tylko nader rzadko sam bierze udział w rozmowie; owszem milczy i mniema, że to nie jego, lecz sprawa księdza! I jakżeż tutaj mówić z takim człowiekiem o publicznej reformie, o zmianie zasad rządu, o zadaniach publicznych, społecznych i moralnych! Dla niego jest to pewnikiem, co ma sankcją ustawodawstwa religijnego i krajowego. Toż wypada nad tém mocno ubolewać: nie byłaby to zła akwizycya, gdybyśmy go sprowadzili na naszą stronę, gdyż cały powiat słonimski wierzy w niego jak w proroka... Nie można atoli o tém ani myśleć!

Wczoraj byłem świadkiem dwojakiemu zdarzeniu, które najlepiej charakteryzuje mego brata. Zrana narobił on tyle hałasu pod mojem oknem, iż wyskoczyłem z łóżka w mniemaniu, że dom stał w płomieniach; lecz się okazało, że to wół wskutek doznanego szwanku padł nieżywy. Żle na tém wyszli oficyalista i winna służba. Kilku służących kazał nawet obić. Tego samego dnia po obiedzie doniesiono mu, że jego pełnomocnik — jeden z deperdentów, wysłany od niego z kwotą 20.000 czerwonych złotych do Nieświeża, gdzie ją miał złożyć w skarbie Radziwiłła, w czasie przeprawy przez rzekę utonął wraz z wózkiem i pieniędzmi; zaledwo tylko jego ludzie się uratowali, gdyż umieli pływać. I cóż na to Wasza Książęca Mość! To nieszczęście zniósł on zupełnie spokojnie, ani się nie skrzywił i powiedział z dziwną swobodą do włodarza: „Mospanie! musimy teraz dobrze zakasać rękawy, aby

móc zapchać tę dziurę; tymczasowo dziękujmy Bogu iż ludziska ocalały!" Wypadało mi odrzec: „Gratuluje bracie! iż z takim stoicyzmem zdołasz znieść tę szkodę; nie spodziewałem się tego.

— A to dlaczego?

— Po owym hałasie i ranniejszej zaimprovizowanej scenie z powodu utraty wołu nie domyślałem się: co byś miał począć wobec tak wielkiej szkody.

— To rzecz — zupełnie inna; nikt tutaj nie zawinił, to woła boża: a dzisiaj zrana pobudziła mię do gniewu opieszałość czeladzi.

Zważa tedy na to, aby służba pełniła swą powinność: czyby mu to przynosiło korzyść, lub nie! Takie zasady mają w sobie rzeczywiście coś wzniosłego i budującego; ale jużci do tego potrzeba całkowitej prostoty jego serca. Tego rodzaju cnoty w takiej szacie są dla nas niczém; jeśliby je kto z nas chciał naśladować, byłoby to śmiesznością i głupotą, jak wszystko, cokolwiek się nie dzieje z wewnętrznego popędu.

A przecie: czémże jest życie bez namiętności! Czyliż cała godność człowieka nie tkwi w téj okoliczności, iż mu wolno oddawać się swym namiętnościom i wprowadzać w nie swym rozumem pewną równowagę? Mój brat nie posiada nawet żadnej namiętności; podobno miłuje swą narzeczoną, która ma być nader urodziwą i bardzo dobrze wychowaną, gdyby atoli władza duchowna wydała rozporządzenie, że przyjaźń rodziców dwojga domów stanowi po-niekąd pokrewieństwo, które zatem jest w sprawie połączenia się ich dzieci węzłem małżeńskim — *impe-*

dimentum dirimens:*) jestem przekonany, że mój brat przestałby ją natychmiast miłować i zwróciłby się do innéj. Żeni się, ponieważ jest osiadłym szlachcicem, a nie księdzem, ani żołnierzem, ponieważ się żenili także swego czasu jego ojciec i dziad, ponieważ w domu lepiej z gospodynią, aniżeli bez niéj, ponieważ czuje, że taka jest wola boża, którój on może zadosyć uczynić tylko drogą sakramentu; atoli co do miłości, chociażby nawet tylko jéj cieniu — nic u mego brata nie zauważyłem. Kilkakrotnie dokuczyłem mu, wspominając o wdziękach jego narzeczonej i bliskich Himenowych uciechach: brat pokraśniał jakby 15-letni podłotek i albo urywał rozmowę, albo się w nią wcale nie wdawał. Gdybyż posiadał przynajmniej jéj portret, zwitek jéj włosów albo przepaskę! Atoli on nie posiada nic takiego oprócz pierścionka zaręczynowego, który nosi na palcu i to tylko dlatego, ponieważ panuje taki zwyczaj, przepis *a testimonio veterum*.**)

Prawdziwie: u ludzi „staréj daty“ niknie ponie-
kąd indywidualność. U nich stósuje się wszystko
według niezmiennego prawa i zwyczaju. I nacóżby
zresztą miał człowiek myśleć, gdy, zanim się naro-
dził, już wszystko dla niego zgóry obmyślano! Czy
Wasza Księżca Mość wiész: dlaczego uczuвам
taki wstręt względem religii, obyczaju, ustaw towa-
rzyskich i t. p. innych spraw ważnych? Nie dlatego:
jakoby się ich konieczność logicznie nie dała wy-

*) Przeszkoda zrywająca, unieważniająca związek małżeński.

***) Z przekazania przodków — ojców.

kazać, lecz ponieważ one wskutek przewidzenia i przysposobienia z góry losu człowieka uwalniają go od objawu własnej woli, Wasza Księżęca Mość zapewne jeszcze pamiętasz nasze zebranie u pani Geoffrin, gdy Rousseau rozprawił o ustawach Likurga, chwalił społeczeństwo, w którym prawo ogranicza wszelką, nawet najdrobniejszą czynność prywatną? Ku zgorszeniu Rousseau'a zabawił nas filuternie w odpowiedzi *Douglas*, który zazdrościł Spartanom pewnego urzędnika, mianowicie widowisk, na których dziewczęta bez odzienia wzajemnie z sobą walczyły. Atoli jakież byłoby nieuniknione następstwo, gdyby się życie społeczne zasadzało na prawach niezmiennych, na świadectwie przodków, tradycji dawnych pokoleń? Wypadałoby być Żydem, albo Chińczykiem! Na tego rodzaju stanowisku nie można było wymyśleć takiego wersalskiego balu, albo opery paryskiej!

Ach, ten Paryż, ten Paryż, Mości Księżę: wszak to nasz horyzont! Zdala od Paryża porastamy wszyscy pleśnią. Wasza Księżęca Mość zgodzisz się zapewne ze mną, że Warszawa jest dla nas tylko o tyle przyjemną: o ile nam poniekąd Paryż przypomina.

Król Jegomość, mój dobroczyńca obdarował mnie hojnie orderami, urzędami i dochodami: atoli na mój honor szlachecki! jam zasłużył sobie wiernie na te dary. Jak nasz *Twardowski* księciu piekielnemu, tak ja zapisałem memu królowi ciało i duszę. Wasza Księżęca Mość wiesz, iż miłowałem i nie potrzebo wałem się żalić na mękę miłości — wzgardzonej. *Krajczyna* była mojem bożyszczem: król się w niej

zakochał jak niegdyś Dawid w *Uryaszowej* żonie — a ja, nie chcąc być rywalem mego Pana stałem się ofiarą wierności poddańczej. A przecież mi król niedowierza, kiedy mię wysłał na Litwę! Jużci otrzymałem zlecenie, iżbym podburzył na jego korzyść dysydentów, aby tém podciąć nogi księciu „*Panie Kochanku!*” To znaczy, iż na korzyść króla powinienem się połączyć z nieprzyjaciółmi mego wyznania i podejść mego rodzonego brata i dobroczyńcę. Ha, uczyniłem królowi ofiarę z mego brata, z méj wiary i oblubienicy; a za to muszę się teraz na śmierć nudzić w jego usługach. Gdybyż przynajmniej dotrzymał słowa, które mi dał w obec Waszój Książęcej Mości, i przekazał mi miejsce na pierwsze opróżnione krzesło senatorskie! Wszak wię z doświadczenia, iż mu niekiedy mogę udzielić dobrą radę. Ot, wyznam prawdę: nie liczę tak wiele na to przyrzeczenie mego Króla i Pana, gdyż królowie i w tym względzie są podobni niewiastom. I oni hołdują zasadzie: „Oddaliłeś się z ócz, toż i z myśli!” Atoli Wasza Książęca Mość, będąc zawsze łaskawym względem swego dawnego sługi napomkniesz o tém kiedy słówkiem przy nastęrczającej się sposobności. Jestem tego pewny i dlatego téż spełnię jak najdokładniej zlecenia Jego Królewskiej Mości. Jutro pojedę do Grabowskiego, herezyarchy dysydentów na Litwie, a mego dawnego towarzysza broni w armii francuskiej i uwiadomię Waszę Książęcą Mość o wypadkach najbliższą pocztą. Racz Wasza Książęca Mość przebaczyć, iż piszę tak rozwlekłe: kto atoli na tyle szczęśliwy, iż się może zabawiać z Waszą Książęcą Mością, temu przychodzi nie łatwo po-

przestanie na skąpych słowach. Zresztą czuję, iż się starzeję, gdyż zaczynam być gadułą i gonię za urzędami i godnościami. Wasza Książęca Mość, przywykły z urodzenia okrywać się najwyższemi zaszczytami świata nie masz pojęcia: czém jest godność senatora dla szlachcica, co to u nas znaczy: kroczyć w Wersalu pośród parów Francyi i usłyszeć z ust *Ludwika XV.* do nas zwrócone wyrazy: „*Mon cousin!*“ W tém jest coś tak miłego, iżby można z radości oszaleć! Gdy z łaski krola, przez dobroć Waszj Książęcj Mości i me własne szczęście dostąpię godności senatorskiej, natenczas pojedę natychmiast, chociażby tylko na kilka tygodni do Wersalu. Jakżeżby się wówczas zdziwili moi dawni towarzysze broni, gdyby mój król przemówił do mnie: „*Mon cousin!*“... *O, utinam!**)

Racz przyjąć Wasza Książęca Mość... (i t. d.)
Szypiany 20. września 1768. r.

*) Ach, gdybyż to!



VII. Wtóry list starosty wieluńskiego do księcia-jenerała ziem podolskich.



Byłem o tyle szczęśliwym, iż przesałem Memu Najmiłościwшему Panu sprawozdanie; a temi dniami wogóle miałem tyle powodów do radości, iż nie mogę na sobie przewieść, iżbym o tém nie doniósł Waszej Książęcej Mości. Onegdaj otrzymałem z Warszawy paczkę z listami. Jegomość Król raczył mię zaszczycić obszerném pismem i udowodnił mi w niém: jak nadzwyczajną łaskawością powoduje się względem swego najwierniejszego poddanego. Atoli serce silniej mi uderzyło, kiedy na innym liście, zanim go otwarłem, poznałem z napisu rękę Waszej Książęcej Mości. Składam najgorętsze podziękowanie za ponowne dowody pamięci. Braknie mi słów do wyrażenia uczuć, które mą duszę wzruszają. Równocześnie otrzymałem nowiny z Paryża na trzech drobno pisanych kartkach od mego przyrodniego brata *Mycielskiego*, którego Wasza Książęca Mość w Paryżu za-

szczycałeś Swą życzliwością, i którego listy na szczęście spodobały się królowi, kiedy mu je odczytywałem w czasie zebrań czwartkowych. W méj ostatniej odpowiedzi do króla postarałem się o wyciąg z jednego z tych listów, gdyż i najbieglejszy agent dyplomatyczny nie mógłby był gruntowniej opisać dwór francuski i to, co się tam dzieje. Pisze mi brat, że z naszym stronnictwem w Wersalu coraz gorzej, a ksiązę *de Choiseul* korzysta z każdej sposobności, aby cały świat przeciwko nam podburzyć i to dlatego, ponieważ nie może znieść, iż ten, któremu on niegdyś w Wersalu udzielał posłuchania, stał się obecnie tém, czém jest jego pan. Donosi mi téż brat, iż się *Ludwik XV.* od czasu zejścia ze świata margrabinę *de Pompadour* niezmiernie nudzi, a tajne wybryki, jakim się oddaje, nie zdołają zapęłnić obecną próżnię jego duszy, oraz — że jakkolwiek ten ukoronowany egoista rzeczywiście nie posiada serca, zdolnego do miłowania, przecież występki jego — zmysłowej rokoszy oddanego późnego wieku posiada wszelkie oznaki przywiązania. Wreszcie kreśli brat bystro pomyslny obraz wszelkich intryg wersalskiego *gineceum**) w sprawie pochodzenia, ponieważ się król aż nadto lęka przemożnych wpływów otaczających go osób, iżby się miał jeszcze przyczynić do ich spotęgowania sposobem tak skutecznym. W pierwszym razie będzie stanowisko Choiseul'a niewzruszonym, w drugim zaś jego duma, a jeszcze więcej duma jego siostry, która nim rządzi, wywołają burzę; a ta

*) Białogłowy.

burza strąci go niezawodnie z jego wysokiego stanowiska. Życzymy mu tego z całego serca. Zresztą jest mój brat Bertrand mimo swego dowcipu zepsutém dzieckiem. Będąc krewnym zmarłej królowej francuskiej otrzymał stopień kapitana w pułku husarów, a od dwóch lat kołatał wszędzie, aby mógł uzyskać przeniesienie do gwardyi. Obecnie dopiął tego rzeczywiście i stanął u celu swych życzeń; możnaby więc mniemać, iż się stał najszczęśliwszym z ludzi. A przecież on rozpacza i to dlatego, ponieważ aktorka za kulisami *Teatru francuskiego* z przekąsem mu oświadczyła, iż go broda czyniła okazalszym, aniżeli obecnie fryzura.

Po otrzymaniu i przejrzeniu listów uwiadomiłem mego brata wojskiego, iż mi wypadało odwiedzić mego towarzysza broni w armii francuskiej — *Grabowskiego*. Prosiłem tedy brata, iżby był pojechał ze mną; a wyznaję Waszój Księżęcej Mości, że drżałem z obawy na myśl, iż się on na to mógł był zgodzić. Wypadało mi mianowicie nadać tym odwiedzinom jedynie pozór grzeczności; toż przybierając sobie ku temu najgorliwszego stronnika księcia „*Panie Kochanku!*“ przekonałem go przez to, iż polityka nie miała wchodzić tym razem w rachubę. Udał się mi téż ten podstęp: mój brat niczego się nie domyśla i oświadczył mi, iż dotychczas nie cieszył się przyjaźnią Grabowskiego, toż jej nie pragnie. Jakkolwiek się cieszyłem, iż mi nikt nie miał przeszkadzać w zamierzonej naradzie z głową dysydentów na Litwie, przecież zagnąłem brata ponownie, iżby mi nie odmawiał swego towarzystwa; atoli on oświadczał stanowczo i uparcie, iż prawnie dysy-

dentom okazywana tolerancya bynajmniej go nie skłaniała do zawierania z nimi ściślejszych stósunków; toż nie myślał z nimi się wdawać.

Ja objawiłem mu me zdziwienie, iż nie unika obcowania z Żydami, a nawet żyje w przyjaźni z kilkoma szlachcicami tureckimi, a unika przeciwnie jakby morowej zarazy bliższych nam Kalwinów. Tę sprzeczność wyjaśnił mi brat poglądem pewnego księdza — mianowicie *Katenbringa*, spowiednika księcia, według którego niewierni nie należą wcale do kościoła, Kalwini zaś, którzy do niego pierwotnie należeli, zbuntowali się przeciw niemu i dlatego są gorszymi. Uznałem tak wytrawną logikę i udałem się sam do *Izabelina*.

Powitałem naszego poczciwego Kalwina, mego dawnego towarzysza w *Royal-Allemand* i teraz jeszcze jako najwierniejszego poddanego Króla Jegości i prawdziwego sługę Księcia Pana. Biedaczysko nudzi się wielce na wsi, gdzie go zatrzymują sprawy prywatne. Żalił się, iż go sąsiedzi gniewają i uciskają, że często pomiędzy nimi zachodzą częste wzajemne spory o granice: dlatego też pragnął jak najrychlej powrócić do Warszawy. Ja zaś żywię nadzieję, iż jeszcze długo pozostanie na Litwie; a nudy mu nie będą dokuczały, gdy tylko rozpocznie swą polityczną rolę. Był on przygotowany na me przybycie i domyślał się, co się święciło; dlatego też nie ociągałem się, przedłożyłem mu list króla — i sprawa poszła jak najlepiej.

Wypada mi przyznać, Mości Książę, że fanatyzm konfederacyi radomskiej wybawił nas z naj-

większego kłopotu; szczęście dla nas, iż ją skłoni-
liśmy do poróżnienia się z dysydentami. Gdyby jój
przewodnicy posiadali choć za grosz bystrości umy-
słu, gdyby sami nie byli wpadli w nasze sidła i nie
byli poruszyli kwestyi innowierców, byłoby po nas,
a król musiałby się jak niegdyś *Jan Kazimierz* oglą-
dać za jakim opactwem we Francyi. Wiész Wasza
Książęca Mość: radbym był widzieć króla — opa-
tem; sądzę, iżby mu nie brakło reprezentacyi: byłby
to dopiero spowiednik dla Ludwika XV., tego pra-
wdziwie chrześcijańskiego króla, który jużci swoim
agentom poleca porywać z łona rodziny urodziwe
dziewczęta, aby niemi ożywić Zwierzyniec, przy tém
atoli tak dalece stara się o ich wychowanie, iż się
mu chętnie wiele przebacza. Zważa on na to do-
kładnie, iżby każda dziewczyna odmawiała modlitwę
rano i wieczorem, a nawet, jeśli która u niego pełni
służbę, z nią się modli. Racz Sam, Mości Książę,
powiedzieć, nie jestże to cud boży, cud, który tę
piękną Francją zachowuje, gdyż tego przecie ludzie
prawdziwie nie czynią? Albowiem wszyscy wywie-
rający jakikolwiek wpływ na rządy: król, ministrowie,
generałowie, biskupi — wszyscy spiknęli się
na zgubę kraju; a przecież nie mogą téj sztuki do-
kazać.

Atoli nasz król nie przywdzieje jeszcze tym ra-
zem kaptura, któryby mu na głowę narzucić pra-
gnęli tak chętnie książę-wojewoda wileński i książę-
biskup krakowski.

Dysydenci litewscy zawiążą konfederacją w *Słuc-
ku* podobnie jak dysydenci Korony w *Toruniu*; toż

z pewnością *Golcz* będzie nie mniej gorliwie i zre-
 cznie pracował jak nasz *Grabowski*. Będziemy mieli
 zatem konfederacją dysydentów, która zażąda *libe-
 rum exereitium religionis**); zawezwą oni opieki
 dworów, gwarantujących polską konstytucją i posiadą
 tém samém wszelkie swobody obywateli państwa.
 Mimoto miałem jedną trudność do zwalczenia. Za-
 żądałem mianowicie, aby w akcie konfederacyjnym
 było napisane: „*My obywatele wyznania wscho-
 dniego, ewangelickiego — reformowanego.*“ *Grabowski*
 sprzeciwiał się temu, oświadczając, iż na Litwie nie
 istnieją wcale obywatele wyznania wschodniego, a więc
 nie można czynić rokowań w imieniu nie istnieją-
 cych osób. Ja mu zaś wykazywałem, że właśnie ta
 okoliczność jest rzeczą najlepszą w sprawie, gdyż
 kto nie istnieje, ani nie cofnie pełnomocnictwa, ani
 nie zaskarży pełnomocnika, który więc jest wolny
 od wszelkiej odpowiedzialności. Zaręczałem mu także,
 że żaden z naszych kanclerzy nie zwróci na to uwagę
 „dworów“**), gdyż kto chce być niewidomym, ten
 wogóle nie widzi.

*) Wolności w praktykach religijnych.

**) Za *Zygmunta III.* przeszła wszystka szlachta na obrzą-
 dek łaciński. Obrządek zachodni pozostał pośród ludu, a wscho-
 dni u stanów uprzywilejowanych. Biskupi na Rusi — była to
 szlachta obrządku łacińskiego, która przeszła u Bazylianów na
 drugi obrządek, aby uzyskać beneficya. Kiedy się tedy zawiązała
 konfederacya słucko-toruńska: w stanie szlacheckim rzeczywiście
 oprócz Kalwinów nie było innych dysydentów. Atoli pretensye
 téj konfederacyi były tak bezpodstawne, iż nie zdołały niczego
 usyskać nawet na sejsmie w r. 1773. pod gwarancyą rosyjskiej
 carycy.

Grabowski oświadczył mi, że znał zamysły reszty kanclerzy i z tej strony nie żywił żadnej obawy, a tylko *Zamojskiego* pośród nich się lękał. Rozśmiałem się mu w oczy i rzekłem: „Mój kochany kolego! mało znasz waszność ludzi. Pan *Andrzej* jest rzeczywiście cnotą — myślącą i mówiącą, ale jasno nigdy nie stwierdził tego, że umie także i działać; toż jakkolwiek w istocie może wielce miłować prawdę, przecież i drobnostki nie zanotyfikuje zagranicznym mocarstwom, jeśliby się ona sprzeciwiała woli króla. Będzie wobec swych przyjaciół płakał, zalił się na monarchę, a potem umyje sobie ręce jak Piłat. Zresztą uważa się on za drugiego *Likurga* i zajmuje obecnie wyłącznie redagowaniem kodexu dla naszego narodu, do którego przywiązuje jak największą wagę. Ma on jemu samemu zgotować nieśmiertelność, narodowi szczęście i błogosławieństwo *).

Uspokoiwszy wątpliwości Grabowskiego nie omieszkałem téż odesłać go do środków królewskiej wdzięczności; mógłbym być jak niegdyś Cezar powiedzieć: „*Veni, vidi — vici!*“ **) — albowiem cała pertraktacya trwała najwięcej kilka godzin, gdyby wszystkiego nie była urządziła mądrość samego

*) Ten projekt ustawy Zamojskiego odczytano na sejmie r. 1780. i zarzucono prawie jednogłośnie. Wielu deputowanych żądało nawet spalania ręką kata — tego projektu, który znosił przywileje szlachty. W każdym razie jest ten pomnik — godny uwagi jako poprzednik ducha reformatorskiego, który niebawem się wyłonił w Europie — pełen siły i sprowadził tyle wstrząśnień.

**) Przybyłem, zobaczyłem — zwyciężyłem!

Króla-Jegomości. A tak byłem tylko szczęśliwym wykonawcą i narzędziem planów i przewidzeń mego Pana.

Na jedném z zebrań czwartkowych twierdził biskup-nominat *Krasicki*, iż łatwiejszą jest rzeczą: zmienić przekonanie dziesięciu rozsądnych mężów we fraku, aniżeli przeświadczyć jednego człeka z prowincyi, który się wychował w dawnych obyczajach. Jakkolwiek się to na piérwszy rzut oka zdaje być nieuzasadnioném, przecież z łatwością można wytlómaczyć tę sprawę, gdy się ją nawet tylko z czysto materyalnego bierze stanowiska. Czémże można sobie ująć człowieka o ograniczonych potrzebach? N. p. mój brat — wojski, nie odstąpiłby i w drobnostce nawet za miliony od swego przekonania; i to mu téż właściwie przychodzi bez wielkiej trudności, gdyż nie wiem: coby on począł z milionami! Albowiem — chociaż obecnie posiada 10—20,000 złotych rocznego dochodu: jestem pewny, iż ani dziesiątej części nie używa z tego na zaspokojenie swych potrzeb. Na osobiste wydatki wystarcza mu kilka tysięcy; można téż przypuścić, iż celem zachowania popularności według przekazanego zwyczaju w swym domu corocznie mniej więcej trzydzieści ankrów*) wina wypróznia z przyjaciółmi. Oto cały jego zbytek! O innym nie ma żadnego pojęcia. To, co u niego ludzie przejedzą, wyrasta na jego gruncie i roli, nawet konie zaprzęgowe są domowego chowu; powóz i uprząż sporządzają mu ludzie dworscy. I na

*) Zobacz dopisek na str. 50.

cóż mu cudzych pieniędzy, gdy z własnymi — nie wie: co począć?

Kto się pragnie przekonać: jak nieznaczne są potrzeby naszej szlachty, temu wypadaloby tylko rzucić okiem na inwentarz dóbr ruchomych mego rodzica, który coś dziesięć, a nawet więcej wsi posiadał, a nadto nagromadził znaczne kapitały. Wszystko, co się tylko w domu znajdowało (nie liczymy jedynie piwnic), *nie kosztowało i 50 dukatów, a i połowy ich nie warało*. Sprzęty były sporządzone ze zwykłego drzewa; bieliznę stołową i inną sporządzano w domu. Znalazło się może kilka tuzinów srebrnych łyżek, gdyż noże i widełki były z rogu, wazy i naczynia — kamionkowe. Kto na tém praestaje, dla tego nie jest sztuką: być stoikiem. Z nami zupełnie inna sprawa. Nasze stanowisko, nasze wykształcenie domagają się znacznego majątku tak, iż się bez niego już nie można ostać z honorem. Wykształcenie zatem i potrzeby niweczą swojskie obyczaje, zaszczepiają przedajność w udzielaniu posad. Atoli trudna rada: korzyści wypada okupić stratami — ze zmiany obyczajów rząd odnosi zyski. Gdyby się społeczeństwo składało z samych *Katonów*, natenczas nie byłoby potrzeba wogóle żadnego rządu. Stąd téż nieznaczne potrzeby obywateli naszego państwa są główną przyczyną nierządu, pośród jakiego żyjemy. Podwaliną każdego rządu jest jego konieczność oraz uznawanie jej przez poddanych. A czy u nas to zachodzi? Czyliż może istnieć sojusz, należyty stosunek pomiędzy obywatelem i rządem, jeśli go on nie uważa za potrzebę? U nas ma każdy szlachcic chleb pewny albo wę własnym

majątku, albo w służbie u osób prywatnych, lub też w stanie duchownym. A jeśli nie jest do niczego przydatny, znajdzie to, czego mu potrzeba, u pierwszego — lepszego pana. Dla niego rząd prawie wcale nie istnieje.

Gdy zaś nowo-czesne potrzeby należyście się rozpowszechnią, długi obciążą, dobra szlacheckie, natenczas nastąpi reforma sama przez się, a naród podówczas wstąpi w szeregi wszelkich innych oświeconych narodowości. Już się coś podobnego przygotowuje, a nawet Rzeczpospolita dowie się ku niemałemu zdziwieniu w krótkim czasie, iż w swém łonie ukrywa obywateli wschodniego wyznania, którym nie jest dozwolone *liberum exercitium* wiary.

Możeby ktoś powiedział, iż przecie nie godzi się oszustwem podkopywać nieprzyjaciół: ale dyplomatyczne intrygi nie zawsze pachną wodą różaną. Jest to sprawa rozpacz i pierwsza zasada natury: „*Conserva te ipsum et bona tua!*“*) — a potem, Mości Książę, wszak to rzecz boska, gdy się wywodzi w pole nieprzyjaciół i prześladowców. Brodaci arystokraci wzięli nas należyście na cel! A dlaczego właściwie nienawidzą naszego mądrego i dobrego króla? Każdy z nich poczytuje sobie za poniżenie: słuchać jego rozkazów; kto to czyni, tego oni nazywają *homo novus***). Według ich arystokratycznej teorii kaszte-

*) Zachowuj siebie samego i swoje dobra (mienie).

***) Dosłownie człowiek *nowy*, który niedawno — nie z dziada, pradziada doszedł do wybitniejszego stanowiska. Dokładny wywód znajdzie Czytelnik w mém dziele (niemieckim) „*Starożytni Rzymianie*“, Brixen 1892., str. 156.

lan krakowski, syn *Czartoryskiéj* i wysoki dygnitarz jest równy każdemu magnatowi; toż każdy z tych dumnych możnowładców sądzi, żeby mógł z równą okazałością nosić koronę. O, już ostateczny czas do położenia temu końca!

Z tryumfem powróciłem do majątności mego brata, ale go nie zastałem w domu, gdyż wyjechał do Słonima — powiedział mi to wódz — w celu zapisania urzędownie darowizny kilku tysięcy talarów, która się mu należała od synagogi w Słonimie na korzyść *XX. Jezuیتów*. Gdy się o tém dowiedziałem, zanosłem się od śmiechu. Czyby téż kto w Paryżu uwierzył, iż żyją jeszcze ludzie, którzy czynią darowizny — mnichom! A przecież dzieje się właściwie to samo wszędzie, tylko w odmiennéj formie. Dzisiejsi panowie we Francji obdarywują filozofów: jak ich przodkowie obdarzali niegdyś *Benedyktynów*. Dawniej wydostawał zabobon pieniądze z kieszeni bogaczy, dzisiaj czyni to przesąd, urojenie. Za panowania *Ludwika XIV.* przysłuchiwał się taki *Montmorency* z nabożeństwem niezrozumiałym rzeczom, które Dominikanin głosił z ambony, a za panowania *Ludwika XV.* przysłuchuje się drugi *Montmorency*, krewniak pierwszego z tą samą uwagą równie niezrozumiałym rzeczom, które mu w pogawędce przedkłada encyklopedysta z fotelu. W Polsce leniwiec zostaje mnichem i zapewnia sobie wszelkie przyjemności życia; we Francji bawi się próżniak we filozofa i dochodzi do tego samego celu.

Mój brat Bertrand pisze mi, że obecnie w Paryżu pracę p. *Vauvenargues* budzą wiele hałasu,

a cała koterya pani *Geoffrin* uwielbia go jako jednego z pierwszorzędnych myślicieli XVIII. wieku. Znałem go osobiście, kiedy był jeszcze kapitanem piechoty; a dzisiejsze jego wzięcie u świata może posłużyć za stwierdzenie tego, co dopiero przed chwilą pisałem. Kiedy go brak zdrowia i krzepkości, jakich nasz zawód wymaga, usunęły od niego, podał się do dymisyi ku wielkiej uciesze swego pułkownika, który jest bardzo gorliwym w służbie i postrachem wszystkich opieszłych w niej oficerów. Uwolniwszy się od wojska zaciągnął się do cechu autorstwem zajmujących się próżniaków. I ten sam człowiek, który nie umiał przodować kilku setkom żołnierzy, zamysła dzisiaj kierować całym ludzkim rodem! Toż zapewne się mu udało przekonanie wielu jednostek, iż posiada ku temu potrzebne uzdolnienie.

Biędna ludzkość! I dla mnie nadejdzie niebawem dzień, którego mi Wasza Książęca Mość nie pozazdrościsz. Książę „*Panie Koshanku!*“ opuszcza w kilku dniach Warszawę w celu obchodzenia swych imienin w *Nieświeżu*. Król-Jegomość rozkazał mi pojechać tam i w jego imieniu oświadczyć księciu życzenia. To samo polecił mi książę-kanclerz.

Pan każe: sługa musi słuchać! Zimny dreszcz mię ogarnia, ile razy o tém pomyślę, iż niebawem znajdę się w tém zborném miejscu barbarzyństwa i głupoty, w którém — spodziewam się tego — tak mię przyjmą jak psa na torze kręgielni.

Jeśli służba królewska nastęrcza wiele przyjemności: przyznać téż wypada, iż miewa niekiedy straszliwie niemiłe chwile. Całą nadzieję zakładam

w protekcyi mego brata, fanatycznego Albańczyka,
który sobie już tém samém zapewnił pomieszczenie
w sercu tego wszechwładnego dziwaka! Niechajże
się dzieje wola Najwyższego i Króla-Jegomości!

Mam zaszczyt kreślenia... (i t. d.)

VIII. Podróż do Nieświeża.



ciągu kilku dni tłoczyło się mnóstwo powozów i wózków po wszystkich do Nieświeża wiodących drogach, gdyż się zbliżał 4. listopada; a to był dzień imienin księcia *Karola Radziwiłła*, wojewody litewskiego i jeneralnego marszałka Korony i Litwy.

Ten dzień witali Litwini z tém większą radością, ponieważ nie był już święconym od czasu, kiedy książę był wyruszył w pole, a później żył na wygnaniu. Dlatego téż uległ książę naleganiom swych stronników i odroczył sejm na kilka tygodni, iżby mógł osobiście wziąć udział w uroczystości. Gościńcem, wiodącym z *Klecka* do *Nieświeża* toczyły się dwa różnego gatunku wehikuly pośród licznych innych pojazdów. Angielska podwójna karetka z herbem, koroną i insygniami kilku orderów, ciągniona przez sześć ogierów — jakby z jednej formy ulanych: to był jeden z dwojga pojazdów.

Widać było na nim woźnicę w stroju meklenburskim, obok niego strzelca, a z tyłu dwóch lokajów w odpowiedniej herbowi karety liberyi. Za kareta zdązał zwykły kryty wózek, ciągniony przez cztery konie. Przed kareta jechali dwaj Bośniacy z chorągwiemi; można się więc było domyślać, że podróżni należeli — jeśli nie do klasy magnatów, przecież do pocztu arystokracji, zajmującej stanowisko pośrednie między nielicznymi panami, którzy byli „królikami“, a pospólstwem, przedstawiającem równość i braterstwo narodowe. W karecie siedziało dwoje młodych mężczyzn, których twarze zdradzały wspólne pochodzenie, jakkolwiek się różnili ubraniem. Młody mężczyzna po lewej stronie z jasnym wąsem i nieco ciemniejszymi krótko przystrzyżonemi włosami miał na sobie zwykłą odzież podróżną — czapkę i płaszcz, podtrzymywany czarnym skórzanym pasem ze srebrnemi klanrami, u boku w pokrowcach pistolety i ładownicę z cyfrą *Najświętszej Panny*. Kawaler, siedzący po prawej stronie miał okrytą głowę pewnym rodzajem czepca — gęstej siatki z czarnego jedwabiu, z pod której wymykało się kilka papilotów. Ten rodzaj męskich czepców nazywano w Paryżu *réseau à la Biron*: był on nieodzowną potrzebą znakomitego Francuza w podróży, gdyż to były czasy, w których troskliwe staranie o głowę i kędziory włosów na niej oznaczało „dobry ton“ i wysokie pochodzenie. W podróży nie utrzymałaby się była żadna fryzura w należytej świeżości; dlatego ją owijano, a dopiero po przybyciu do celu zdejmowano ów czepiec; a mistrzowska ręka fryzjera porządkowała włosy. Czepcem uzbrojony po-

dróżny był okryty czarnym axamitnym płaszczem, na którym jaśniał duży biały krzyż z batystu o ośmiu kantach; na kolanach miał zarękawek. Obaj podróżni przez jakiś czas nie rozmawiali z sobą, albowiem Sarmata odmawiał różaniec, a jego towarzysz nucił arya jakąś francuskiej opery. Kiedy pierwszy z nich nie tylko ostatnie dziesięć pacierzy, ale także litanią loretańską i antyfonę „*Sub Tuum praesidium*“*) odmówił, zakończył i jego towarzysz swą arya; on zaś ucałował medalik, wiszący u różańca, który schował do kieszeni, i rzekł:

— To pewna, mój bracie, iż mi spadł z serca wielki ciężar, odkąd się dowiedziałem z własnego pisma p. *Teodora Szabańskiego*, koniuszego księcia wojewody, iż w jego zagrodzie znajdziemy kwatere. Trzy duże izby zapewne bratu wystarczą. O siebie nie stoję: należąc do orszaku *Radziwiłła* znalazłbym u każdego towarzysza jaki ką: a dla mnie wszędzie dobrze. Atoli na rzeczy brata nie każde miejsce jest dobre, a jeszcze mniej dla tego bajecznie pretenzyjonalnego fryzyera, jakiego jeszcze nigdy pośród służby nie widziałem. Nie mogłem go przynajmniej dotychczas zadowolnić: jak długo się cieszę towarzystwem mego brata. Takieto grymasy u tego obcokrajowca! Kazał sobie już w piecu palić, kiedy dnie były jeszcze zupełnie ciepłe; pijał kawę, gdyż mu grzane piwo nie smakowało — a winem się raczył, jak gdyby w jego żyłach płynęła krew szlachecka. Mielibyśmy byli dopiero tutaj kłopot z tym.

*) Pod Twoją obronę.

„monsieur“, gdyby Szabański nie był zaradził! No, ale teraz postarano się już o wszystko; czeka też już pokojowiec w przygotowanych dla ciebie apartamentach.

— *Mon frère!* dziękuję ci i proszę o przebaczenie z powodu mego Lafleura; niejedno muszę temu nicponiowi puścić bezkarnie, bo cóżby się też stało z mą głową, gdybym nie miał tego artysty? Przyjąłeś mnie też z taką miłością, *avec une hospitalité si nationale, si fraternelle*, że tylko wtedy będę mógł okazać wdzięczność, skoro cię przypadkiem bogowie zawiodą do Warszawy, albowiem tutaj jest to rzeczą niemożliwą. W ogóle tylko pod ochroną twych skrzydeł pojawię się w Nieświeżu, aby oświadczyć waszemu księciu życzenia króla i księcia-kanclerza. *Mission très-peu de mon goût* — misya, od której niezawodnie byłbym się uwolnił, gdyby mnie ona do ciebie nie zbliżała. Powiedziałem atoli, że gdy przybędziesz do Warszawy, natenczas ci udowodnię, iż i ja umiem przyjąć w *moim* świecie drogiego brata.

— Z tobą będzie mi wszędzie miło. Ale czyż tak dalece przekształciliście Warszawę, iż w niej już wcale nie mam odnaleźć *meego* świata?

— Przeciwnie! Jak dalece *wy* dzisiaj górujecie, okazuje się stąd, iż ja — naczelnik królewskiego gabinetu muszę jechać do Nieświeża w celu oświadczenia życzeń w imieniu mego pana, jakbym był zakiem. Pytanie tylko: jak długo potrwa wasze panowanie?

— Dlaczegożby nie miało długo potrwać; z wyjątkiem nielicznych osób jest przecie cały naród za nami.

— Témci gorzej! Ja się téż temu nie dziwię, albowiem rozsądek nie odrazu pokonuje przesady; *mais à la longue* musi mieć rozsądek słusność.

— Mój dobry bracie! nasz nieboszczyk ojciec mawiał zawsze, iż każdy naród posiada własny rozum, który tylko jemu samemu odpowiada. Pozostawmyż obcym ich własny zagraniczny rozum, a trzymajmy się naszego, uświęconego wiekami!

— Bracie Michale! wpływają na ciebie przesady i nawyknięcia, które są zgubne dla ojczyzny; toż w zaślepieniu dzielasz zdania tych, którzy odrzucają od siebie wszelkie środki wydobycia ojczyzny z nieładu i barbarzyństwa. Wzrósłszy i wychowawny pośród napół dzikiej Litwy nie masz żadnego pojęcia o narodach oświeconych. Mnie, który dojrzałem umysłowo we Francyi, powrót do ojczyzny bardzo upokorzył; niekiedy zdawało się mi: jak gdybym się był znajdował w pośrodku Azyi. I cóż tutaj zastałem? Brudne małe miściny, a w nich do złych duchów podobne Żydy, mnichów zabobonnych, wielkich panów, oddanych rozpuście i próżniactwu — z jednej strony skąpych, z drugiej nad miarę rozrzutnych i tę do przewrotów skłonną, nieoświeconą i zawsze podochoconą trunkiem szlachtę...

— Ale pocziwą, wylaną dla Boga i ojczyzny!

— I cóż z téj uczciwości, z tego wylania bez zdrowych pojęć politycznych? Zastałem naród rozdwójony i nie zawałałem się ani na chwilę, do którego miałem się przyłączyć stronnictwa. Przystałem

téz do téj partyi, która pod przewodnictwem mężów światłych jest jedynie zdolna do wydzwignienia kraju z nieładu. Ach, gdybyż nie ten wybór: nasze państwo byłoby już może odzyskało dawne stanowisko, jakie mu w polityce europejskiej przysługuje, i które ono dawniej zajmowało! Na nieszczęście wasza nieoględność zniweczyła to, co zdążało ku waszemu dobru.

— Mój bracie! to, co mówisz, może być bardzo rozsądném; ale wyrok o tém nie do mnie należy, gdyż nigdy nie przekroczyłem granic méj ojczyzny i nadto przywykłem do jéj zwyczajów. Może się ty zanadto od nich oddaliłeś? Jużci nie będziesz o mnie sądził, iż wszystko w kraju uważam za doskonałe, boć to, co bezwzględnie dobre, nie jest z tego świata; ale dozwól sobie powiedzieć: coby się stało z nami, gdyby każdemu, kto ufa swemu rozumowi, było wolno w ustawach krajowych znosić to, co się mu być zdaje nie odpowiedniém? Każdy jest skłonny uważać własne zdanie za doskonałe, a pogardzać przekonaniami drugiego. I dlatego właśnie istnieje prawo, powszechna mądrość, której ulegać musi mądrość jednostek bez własnego poniżenia. Jeśli jest co złego w naszych instytucjach: natenczas starajmy się o naprawę, ale na drodze legalnej: na sejmikach, przez instrukcye, jakie dajemy deputowanym! Tak postępowali nasi ojcowie, kiedy nasza rzeczpospolita kwitła.

— Ależ, *mon frère*, czyli możliwém jest zaprowadzenie reformy na tak liczném zebraniu, które ten, lub ów będący „pod dobrą datą“ może zerwać!

— A przecież rzadki, bardzo rzadki bywał u na-

szych przodków przykład zerwania sejmu. A jeśli sejmy nie przychodziły do skutku za panowania *Sasów*: natenczas wina zaiste ciąży nie na tych, których ty barbarzyńcami i pijanicami nazywasz. Rzecz to — powszechnie wiadoma, coza stronnicy zrywali sejmy, chcąc odjąć narodowi wszelkie środki do obrony.*) I ci sami, którzy nadużyli naszych starodawnych praw do złego, ośmielają się zarzucać nam — niewinnym, iżbyśmy i *my* mogli ich nadużyć! A jakże nas o tém przekonali? Ot, tak, iż sejmy rozpędzali obcém wojskiem**), nie pozwalali zebrać się prawnemu walnemu sejmowi, prześladując aż do wylania krwi wszystkich, sprzeciwiających się téj niesłuszności. Wybacz: ale to nie są środki do przekonania ludzi prawych.

— *Mon frère!* nie dozwalaś się przekonać, iż nie można zastarzałych błędów usunąć bez gwałtownych środków, nie chcesz przejrzeć: co się obecnie dzieje, i co wkrótce będzie przygotowaném. Nie domyślasz się, że lada chwili może spaść cios, który was zgubi. Upojony chwilową pomyślnością sądzisz, że się nigdy nie skończy dyktatura waszego możnowładcy i bożka, ale...

*) Za panowania *Augusta III.* przyszedł do skutku tylko jeden sejm, zwany *pacificationis* pod laską *Wacława Rzewuskiego*. Wszystkie inne zrywali stronnicy téj samej partyi, która później kusila się o obalenie dawnéj formy rządu, aby ją zastąpić wrzekomo rozsądniejszą.

**) W czasie *interimisticum* rozpędził austriacki jenerał książę *Poniatowski* obcém wojskiem sejm prowincyi Prus, który się w *Grudziądsu* zebrał. Na sejmie konwokacyjnym i elekcyjnym nie miały pruskie województwa swych deputowanych.

— Kochany bracie! proszę — nie obrażać w méj obecności naszego księcia: on był przyjacielem i dobroczyńcą *naszego rodzica*; a ja, będąc *Albańczykiem* mogę jedynie starszemu *bratu* puścić bezkarnie, gdy obraźliwie wspomina księcia. Skoro go poznasz lepiej, przekonasz się o jego cnotach. Może błądzi jako człowiek, lecz świadczę się Bogiem, że nim nie powoduje żadna namiętność osobista, a on sam każdej chwili gotów jest do poświęcenia majątku i życia dla ojczyzny. Co się zaś tyczy ciosu, którym mi grozisz, to więdz, iż mnie on nie zastanie nieprzygotowanym. Będzie to dla mnie nie piérwszy cios losu, gdyż idę za mém przekonaniem, a nie za szczęściem.

— *Mon frère!* zasługujesz na mój szacunek; ale zarazem wypada mi nad tobą ubolewać. Bo i jakżeż nie mam litować się nad tobą, gdy tak szlachetne serce, powodując się przesądami sprowadza na kraj ciężkie cierpienia? Jakkolwiek nas atoli różność naszych politycznych zasad stawí w przeciwnych obozach, przecież ta okoliczność nie osłabi nigdy mego przywiązania względem ciebie. Będąc bratem proszę cię, będąc twoim przyjacielem udzielam ci przestroęę. Stoicie nad przepaścią; jeszcze tylko chwilka: a wszelka narodowa władza powróci do naszych rąk, toż wasz ksiąęę pójdzie znowu na wygnanie. Wiém, iż w swym oporze wznowicie wojnę domową; atoli jęj koniec nie jest już dla mnie wątpliwym. A mimoto... gdybyśto chciał stanąć po mojęj stronie! Czyż nie widzisz, iż *Stanisław August* zdąża do obalenia przewagi magnatów jedynie w tym celu, aby na gruzach ich przywłaszczonęj sobie po-

tęgi podnieść znaczenie tronu i narodu? Widzisz: on obdarza szlachtę najwyższemi urządami dlatego, aby jej użyć za narzędzie dla zbawiennych planów, ułożonych na korzyść ojczyzny: a przeciw komuto? Jużci tylko przeciw dumnym możnowładcom. Połącz się z nami, a niebawem wyższe posady otworzą ci rozległe pole, na którym będziesz mógł działać dla dobra kraju! Widzę jużci, że napróżno do ciebie przemawiam, gdyż nie zdołam cię przekonać; mimo to licz na me serce! Ile razy w nieszczęściu, które wam zagraża, zawezwiesz mój pomocy, przekonasz się zawsze o mój gotowości do niesienia jej tobie.

— Ależ najlepszy bracie! dlaczego mnie ciągle dręczysz i kusisz się o wzruszenie mego przekonania? Bóg jest świadkiem, iż służę sprawie księcia wojewody, że wiele dla niego wycierpiałem i to jedynie dlatego, ponieważ sądzę, że to sprawa narodowa; nie miałem w niej nigdy celu osobistego, nie szukałem nigdy korzyści. Nasz książę stoi obecnie na czele całego narodu; atoli czyż jego stronnicy ubiegają się o cokolwiekbądź? Mnie udzielono urząd wojskiego — *nec officium, nec beneficium*.*) Sam sobie żartowałeś z tego mego stanowiska; a przecież jest ono dla mnie tak cenném, iżbym rad na niém pozostać przez wszystkie dni mego życia. Dziękuję ci za względy królewskie. Jeśli się on będzie trzymał tego, co obejmują *pacta conventa*, będę dla niego wiernym poddanym, jeśli atoli zechce zmieniać formę

*) Nito urząd, nito dochód.

naszego rządu, *quidquid nocivè scivero, avertam*; *) ile mi sił starczy: pragnę służyć Bogu i ojczyźnie i spożywać chleb własny. Ty, drogi bracie, jesteś w swoim kole szczęśliwym; posiadasz starostwa, komanderye, orderzy. Cieszy mnie, iż się tobie poszczęściło. Przywykłeś do zbytku świata wielkiego; co do mnie: połowa ojcowskiej spuścizny sięga już ponad moje potrzeby. Ja, będąc zwykłym szlachcicem będę miał zawsze kawałek chleba, jeśli nie na własnym gruncie i glebie — natenczas go sobie poszukam w majątności drugiego. Bóg mnie nie opuści; a gdyby miały nadejść niedostatek i nieprzewidziane nieszczęście: czyżto tak daleko na drugi świat? Czyliż tę odrobinę czasu nie możemy przetrwać i w niepowodzeniu? Mimoto dziękuję ci za ofiarowaną mi pomoc w nieszczęściu. Ceną jest dla mnie i drogą ta braterska ofiara, jakkolwiek nie wierzę smutnej przepowiedni, iż nas ponownie wojna domowa stawi w przeciwnych obozach. Gdyby zaś Bóg rzeczywiście miał nas nawiedzić tém nieszczęściem, wówczas może i moja pomoc okaże się bratu poniekąd pożyteczną. Atoli na cóż się mam tak dalece zapuszczać w myśli! Wszak we wszelkich postępkach nie powoduję się rozsądkiem: czynię, co mi nakazuje sumienie, i nie troszczę się o przyszłość — czynię, co Bóg nakazuje, co jest najlepszym do uczynienia. Czy wiesz, że mnie obecnie co innego naprawdę zatrudnia? Wypada mi ile możności przyspieszyć podział ojcowskiej spuścizny; dzięki

*) Odwracać będę, cokolwiek uznam szkodliwem.

Bogu: jest co do podzielenia! Utrzymywałem od dawna w pogotowiu mapy, inwentarze, wszelkie papiery, a teraz zabrałem je tutaj ze sobą. Znajdują się one na wózku, jadącym za nami. Może teraz mój brat znajdzie wolny czas do przeglądnięcia ich i ułoży dziedziczne działy, z których sobie ja, będąc młodszym bratem mogę jeden prawnie wybrać. Ile ci razy fryzyer-cudzoziemiec porządkuje włosy, zawsze narzucam ci te papiery. Już ci przeglądałeś z nich jedno i drugie — ale nie zabrałeś się jeszcze nigdy naprawdę do rzeczy: toż sprawa pozostaje ciągle na dawnym stanowisku. Obecnie atoli muszę cię na seryo prosić: raz rzecz zakończyć, abym zeniąc się w przyszłym roku mógł przecie gdzie moją połowicę pomieścić.

— *Mon frère!* zapewniałem cię już wielokrotnie pisemnie i ustnie, iż przyjmę wszystko i każdą przez ciebie wyznaczoną mi rzecz z wdzięcznością. Gdyby nie twoje szlachetne serce: nie potrzebowałbyś się przecie ze mną dzielić! Jeśli atoli według naszego zapatrywania jest rzeczą — konieczną, iżby ktoś dokonał tego podziału, natenczas zwrócimy się do twego przyszłego teścia. Był on przyjacielem naszego ojca, godzi się więc przedewszystkiem jemu: dopomóc pozostałym synom w godzinie spuścizny; toż sądzę, że się dozwoli uprosić, gdyż wypada mi, wyznać ci otwarcie, iż nie rozumiem waszych jurystycznych i ekonomicznych chirografów. Gdy spełnię moją misję w Nieświeżu, gdzie się spodziewam poznać przyszłą bratową, pojedziemy obydwaj do generała Kunickiego, aby tę całą sprawę załatwił. Proszę cię, *mon frère*, nie sprzeciwiaj się temu, gdyż na nicby

się nie przydało żądanie, iżbym przewertował *tout ce grimoire*. Zdaje się mi, że ot, tam widać już szczyty zamku nieświezkiego. A czy też wiesz, że nie bez pewnego niepokoju stanę przed waszym księciem? Omieszkałem zapoznać się z nim w Warszawie, dlatego nie liczę wiele na uprzejme przyjęcie przez niego w Nieświeżu. On bowiem przyjmuje z uprzejmością przede wszystkim ludzi w długiej odzieży z krótko przystrzyżoną czupryną. Odważyłem się wogóle spełnić zlecenie jedynie pod ochroną twych skrzydeł. Jesteś moją rękojmią i moim towarzyszem.

— Kochany bracie! żywisz zupełnie mylne przekonanie o naszej gościnności. Jużci ksiązę lubi niekiedy pożartować, jest atoli zresztą najgrzeczniejszym panem. Czy sądzisz, że tam zastaniesz jedynie jego przyjaciół? Ależ u niego bywa bardzo często ksiązę-biskup wileński, jak najwięcej zapalczywy przesładowca księcia i nas wszystkich: jak gdyby sobie nie miał niczego do wyrzucania! Dlaczegożbyśmy więc nie mieli mile widzieć tutaj ciebie, gdy — jakkolwiek z nami nie trzymasz, przecie ani się nie splamiłeś rozlaniem krwi niewinnej, ani zubożyłeś cudzą krzywdą. A wierzaj mi, że i tobie u nas się spodoba! I my mamy swój własny świat; toż z pewnością szlachta nie gromadzi się liczniej w waszym Wersalu na imieniny króla. Zapoznam cię z naszymi krewniakami, których poczet — Bogu dzięki! — nie jest skąpy. Zastaniemy tam z pewnością moję narzeczoną, albowiem jakkolwiek generał z powodu sędziwego wieku nie rad się mieszać do tak gwarneho towarzystwa: przecie nie mógł wzbronąć tej przy-

jemności córce i pannie łowczance. Skoro tylko stanę w Nieświeżu, wyprawię natychmiast posłańca do mego przyszłego teścia; a i ty od siebie list z pewnością dołączysz. Stąd udamy się do *Nowogrodu* w celu zatwierdzenia inskrypcyi, a następnie do generała, ale dopiero po wszelkich uroczystościach. Być może, iż przy tej sposobności wpadnie w oko która z cór naszego kraju memu bratu, a on następnie, idąc za przykładem młodszego brata połączy się z jakim dostojnym domem i po długiej wędrówce wkońcu osiadzie w posiadłości na własnej ziemi. Jakieżby to było dla mnie szczęście, gdyby nas obydwóch rozdzielała tylko miedza!

— Wiész, *mon frère*, że tylko twoje sąsiedztwo mogłoby mię skłonić do obrania sobie życia na wsi; tymczasem każdy musi zdążać za swém przeznaczeniem. Zazdroszczę ci twego arkadyjskiego życia; wszystko jest tutaj także tak piękne, tak wygodne, *très-édifiant* *), ale nie — dla mnie! Kiedy otrzymałem starostwo wieluńskie — sześć folwarków: to nie bagatela! — oglądałem sobie moją posiadłość, wprowadziłem w urządowanie mego substytuta i chciałem popróbować gospodarki, ale ona mię tak dalece nudziła, iż nie zdołałem trzech tygodni na wsi wysiedzieć. Puściłem tedy w dzierżawę moje folwarki jednemu z miejscowych agronomów, wsunąłem pieniądze do szkatuły i powróciłem do Warszawy. Prawdopodobnie nie ujrzą mnie już nigdy w mojem starostwie. Jeszcze jedno! Po dokonanych podziale

*) Bardzo budujące.

poproszę cię o grzeczność. Musisz mój udział wziąć w dzierżawę, płacić mi za to, co się ci spodoba, i dozwolisz mi pojechać do Warszawy. Jeśli mi atoli zechcesz wyświadczyć jeszcze większą grzeczność, natenczas przesyłaj mi niekiedy zapas bekasów i jarząbków: *c'est un met délicieux!**) Jego królewska mość przenosi bekasy nad wszelkie pieczenie; toż sobie wyobrazisz, że to smakosz-znawca.

Jeśli atoli, *mon frère*, zechcesz być moim dzierżawcą, natenczas nie nasyłaj mi tych ekonomów, rachmistrzów i pisarzów: to jest *une vraie peste*, jakkolwiek się wy z nimi chętnie wdajecie. To za- nadto nudne figury! Ot, powiem ci prawdę: wołę, aby mię okradali, bylebym nie słyshał ich wywodów.

Wojskiego zasmuciło to wyszydzenie ojczystego zajęcia, które sam wielce cenił; umilkł więc — a wła- śnie przybyli obaj do Nieświeża.

*) To rokoszna potrawa — królewski kąsek.



IX. Wytworność dwojga światów.



Obaj bracia zajechali wprost do zagrody p. Szabańskiego i zastali już tutaj pokojowca *Korendowicza* i garderobianego, którzy z rozkazu wojskiego pojechali byli naprzód z bielizną i odzieżą jego brata. P. Szabański powitał wojskiego z poufałością długoletniego przyjaciela, skłonił się zaś z wielkiem uszanowaniem panu staroście, spoglądając z niemałym zadziwieniem na mieszaninę męskiego ubrania z niewieścią osłoną głowy i płaszcz — podobny do szaty kapłańskiej. Przewszystkiem zaprowadził starostę do wyznaczonego dlań mieszkania, które się składało z trzech pokoi. Pierwszy z nich był wyznaczony służbie, drugi na sypialnię dla starosty; a środkowy miał służyć za gotownię. Był on też najobszerniejszym. Podróźni zastali w nim rozłożone już na długim stole wszelkie rzeczy, niezbędne podówczas do użycia dla męża, należącego do „wyższego świata“.

Następnie zajął wojski mieszkanie p. Szabańskiego, z którym tutaj zabawiał w chęci pozostawienia czasu do przebrania się swemu bratu.

Gdy potem wojski z Szabańskim poumieszczali już wozy, konie i służbę, napisał według umowy list do swego przyszłego teścia i sam potem się przebrał. Do złotych safianowych butów wpuścił karmazynowe szarawary; przywdział następnie żupan z błękitnego atlasu, spiął go u szyi na cztery guziki, przytwierdził na nim kokardę ze szpilką z niebieskiej emalii, na której błyszcząca cyfra księcia *Karola Radziwiłła* w brylantach. Na żupan przywdział kontusz suty, na który włożył pas ze złotogłowiu. Owinał go właściwie pięć razy około biodr; a za każdym razem odmówił *memento* do pięciu ran Zbawiciela. Przy pomocy Szabańskiego uporządkował kokardę i kutasy u pasa. Przypiął też do boku karabelę — oznakę zwycięstwa z wyprawy, otrzymaną niegdyś od hrabiego *Tyszkiewicza*, którego był ujął — tego samego, który później pojął za żonę kuzynkę króla i umarł wielkim hetmanem litewskim. Była to damascenka, sporządzona pierwotnie przez pewnego Araba dla księcia *Alby*, który ją *Janowi Karolowi Chodkiewiczowi*, późniejszemu sławnemu pogromcy Turków w odznaczeniu za u jego boku okazaną waleczność podarował. Z wianem jednej z jego córek przeszła ona potem w dom Tyszkiewicza. Hrabia Tyszkiewicz napróżno chciał ją nabyć u wojskiego za trzydzieści tysięcy złotych. Kiedy tę karabelę wojski posiadał, nazywano ją z powodu licznych szczęśliwie nią wykonanych cięć „*Czarodziejką*“. Był na nią w napisie wiersz z Koranu, wytłoczony arab-

skiem i znakami. Nowy właściciel przechrzcił ją najzupełniej i zamiast tureckiego napisu kazał na nią wypisać zdanie jednego z psalmów. Rękojeść była sporządzona ze szczerzego złota i wyłożona turkusami, a nadto na znak żałoby po ojcu osłoniła czarną przejrystą krepą. Na rękojeść karabeli nasadził wojski konfederatkę z niebieskiego axamitu, obszytą kosztownym jasno-brunatnym futrem. Następnie pogładziwszy u zwierciadła brodę wszedł — istny typ Albańczyka z gospodarzem do pokoju brata, aby mu przypomnieć, iż miał napisać przyobiecany list do generała. Starostę zastali w białej jedwabnej oponczy u stolika, okrytego tureckim kościercem. Na nim znajdowały się miednica i srebrny, wewnątrz wyłaczany kubek, kilka eleganckich toaletowych drobnostek oraz szklanka tak tęgiej herbaty, iż ją na razie można było uważać za wino. Przed starostą trzymali dwaj służący duże zwierciadło w srebrnych ramach, w którym się starosta przeglądał; a stary fryzyer, uczesawszy mu włosy posypywał je starannie żółtawo-białym proszkiem, który rozsiewał dla nieprzywykłego prawie nieznośną woń piżmową. Pokojowiec starosty, który niekiedy zastępował także sekretarza, ukończył był właśnie list, który mu do generała pan dyktował. Starosta sporządził ku wielkiemu zdziwieniu Szabańskiego kopertę bez użycia nożyczek, wycisnął na liście pieczęć brelokową i wręczył go bratu, który pismo kazał natychmiast jednemu z swych Bośniaków zawięść do Niewodowa.

— *Comme vous vous êtes fait beau mon frère!*
— powiedział starosta w roztargnieniu, oczyszczając

skrzętnie z czoła pudr tępym srebrnym nożykiem, nazwanym *plioir*. Na dany znak odstawili służący zwierciadło; starosta zrzucił z siebie opończę, a przywdział nocną zarzutkę od wygody z perskiej materji, narzucanej dużemi różno-kolorowemi kwiatami i prosił Szabańskiego o przebaczenie, iż się w jego obecności ubierał. Następnie znowu usiadł, wysunął nogi, na które mu pokojowiec przywdział pończochy jedno blade cielesnego koloru, a na nie drugie ażurowe — cieniuchne jak pajęczyna i dierzgane po bokach. Te pończochy obejmowały poniżej kolana złote sprzączki u spodni z białej materji „*moirée*“ według ostatniej wersalskiej mody. Na nogi przywdział starosta trzewiki z wysokimi pąsowemi korkami, wylakierowane i lśniące się jakby zwierciadło, a ozdobione dużemi złotemi sprzączkami. Zdjął na chwilę zarzutkę i zmienił koszulę noszoną na świeżą — najdelikatniejszą holenderską tkaninę, praną w Paryżu o poczwórnych żabotach z koronek brabanckich. Szyję owinął mu służący wąską haftowaną chustką, a na nią założył krzyż komandorski *św. Jana Jerozolimskiego*, oprawiony w solitera, następnie drugi — równie bogaty krzyż na błękitnej wstędze. Podano staroście potem znowu zarzutkę; a Lafleur zabrał się z godnością, jaką obecnie okazuje marszałek w czasie składania przysięgi przez szlachtę na wyborach, do swego dzieła t. j. do uporządkowania harcopu.

— Będę wnet gotów, *mon frère*; — przemówił starosta — każ zaprzęgać konie: jestem do usług!

Następnie zwrócił się do pokojowca i dodał:

— Korendowicz! niechaj woźnica, strzelec, lauffer i lokaje przywdzieją nową liberyą. *Pardon mon frère* oraz mości Szabański! iż przyjmuję panów jeszcze w zarzutce, lecz wiérzchnie ubranie przywdzieję dopiero, gdy powóz zajedzie, aby nie zaszkodzić jego świeżości. Będąc wysłannikiem króla wielkiego do wielkiego pana nie mogę się tak pospiesznie stroić; ty bracie! ubrałeś się tak prędko, jakbyś posiadał różdżkę czarodziejską.

— A czyto nasza staro-dawna odzież składa się z tyłu szcegółów jak wasza nowo-modna?

— Na Boga, *mon frère*, zapytaj mego Korendowicza: czy nas trzech nie wystroi od stóp do głów prędzej, aniżeli zdoła waszym zwyczajem ułożyć należycie pas ze złotogłowiu! Jak widzę, *mon frère*, jesteś w swoim rodzaju także wielkim strojnikiem; ta długa szata, ten długi pas, safianowe buty *s'est oriental* i ma tóż swe zalety. Pamiętam jeszcze sensacją, jaką pośród Francuzów w *Luneville'u* obudził był niegdyś książę *Lubomirski*, syn starosty pojawieniem się na dworze króla *Leszczyńskiego* w podobnym stroju. *Mais cela n'a pas duré*: zakochał się on wkrótce potem w Paryżu w pewnej drugorzędnej aktorce i przehulawszy z nią okropnie wiele pieniędzy zaczął się nosić także po francusku, chcąc się jój przypodobać.

— Uczynił tóż bardzo rozsądnie, iż nie chciał plamić naszego kontusza, kiedy się wdawał z komedyantkami...

— *De gustibus non est disputandum!**) — mawiał nasz ojczym, którego nie znasz, *mon frère*; a to szkoda, albowiem to był człowiek — bardzo dobry. Z dzieci, które mu powiła nasza matka, pozostało jeszcze tylko jedno. Ten chłopiec wychował się ze mną w szkole rycerskiej w *Luneville*u. Będąc o kilka lat starszym od niego dostałem się wcześniej aniżeli on do pułku; on służył później w pułku husarów, nazwanych *Bercheny-husar* i pisał mi niedawno, iż go obecnie przyjęto do gwardyi królewskiej; jest już kapitanem i nie chce za żadną cenę wracać do Polski. Nie słyszałem o nim jeszcze nic, a Bertrand Mycielski jest przecie naszym bratem przyrodnim!

— Stanowi to o tyle dla mnie przyjemność, iż go osobiście nie znam, ponieważ napróżnobym za nim tęsknił, gdy się u nas nie chce pokazać, a ja mego kraju nie myślę opuszczać.

— Uczyniłbyś to niezawodnie, — odpowiedział Ludwik, oczyszczając sobie paznokcie małą szczoteczką — gdybyś go znał, albowiem nie znalazłbyś przyjemniejszego chłopca na całym świecie. Nadto miał on takie same jak ty wąsy, tylko czarne jak piórze kruka. Píše też mi, iż mu z trudnością przychodziło rozstawać się z niemi, gdy go przeniesiono do gwardyi. A przecież ten biędny chłopak musi się z losem pasować. Nie masz wyobrażenia, *mon frère*, co się nie działo w domu naszej matki! Nasz ojczym, człowiek bardzo dobry, ale jak zwykle *Roger-Bontemps***) nie myślał o jutrze. Zadłużył swe dobra

*) O gustach nie ma co rozprawiać.

**) Lubiący dobre życie, hulaka.

— nastał niedostatek; mnie odwieziono ku wielkiej boleści méj matki do *Luneville'u*. Z dzieci pomarło jedno za drugim; tylko Bertrand pozostał przy życiu. Atoli i jego nie można było wychowywać w domu; musiano go tam, dokąd i mnie zawiéść. Matka, zmartwiona nierządem w domu zapadła na suchoty; dręczyły ją téż i wyrzuty sumienia, iż opuściła pierwszego męża: umarła więc ze zgryzoty prawie w nędzy. A przecież — gdyby była chciała, mogła była swego męża uszczęśliwić, albowiem się w niej rozmiłował jakby 15-letni niedorostek stary *Brühl*, który za panowania króla *Augusta* mógł z Polską czynić, coby był chciał. Atoli ona uzbroiła się w cnotę, która jój téż istotnie podała w rękę — kij żebraczy. . .

— Ależ, mój bracie, co mówisz? Czyż nie powinniśmy się radować, że nasza matka wolała umierać w niedostatku, anizeli okupywać obfitość hańbą?

— Niech żyje nasz wojski z swemi pięknymi zasadami! Nasza matka byłaby sobie tak postąpiła jak wielkoświatowe damy w Warszawie. Bawią się one, póki są młode, a na starość stają się pobożnymi; o jój hańbie nie ma nigdy mowy. Zresztą — a to jest tutaj główną rzeczą — żona jest odpowiedzialną jedynie wobec męża: a nasz ojczym — o ile go znałem — nie trzymał się zbyt surowych zasad.

— Nasz nieboszczyk ojciec miał słuszość, gdy nazywał tę Warszawę nową *Sodomą*.

— Być może; ale niezawodnie życie jest w niéj wesołe. Jeszcze żadne dziecko nie prosiło rodziców, iżby mu byli dali życie, dlatego téż cięży na nich obowiązek osładzania im tego życia, które przecie

po największej części jest tylko ciężarem. Gdyby nasza matka była rozsądnie miłowała Bertranda, natenczas on byłby miał odpowiednie otrzymanemu wychowaniu stanowisko w ojczyźnie. A tak: cóż uczyniła dla jego dobra? Wprawdzie z łaski króla Leszczyńskiego otrzymał wcale wyszukane wychowanie, albowiem król jest spokrewniony z domem Mycielskich; ale w następstwie nasz Bertrand otrzymał tylko stopień podrzędnego oficera w pułku huzarów z roczną pensją 1000. franków z królewskiej szkatuły *pour tout potage*; a my wiemy, co to znaczy: należeć do znakomitej rodziny, być hrabią*)

*) Polska arystokracja opierała się na starożytności rodu, nie zaś na przywileju, któryby był osłabiał równość szlachty. Im dalej w przeszłość ród sięgał, im więcej położył zasług około dobra ojczyzny, tém wyższe stanowisko rościł sobie jego potomek i przedstawiciel, sądząc, iż był tém lepszym szlachcicem, tém lepszym Polakiem. I rzeczywiście nie masz rzeczy słuszniejszej. W każdym społeczeństwie rozwinął się mniej-więcej ten porządek. Zasługi ojca przechodzą równie jak majątek na syna. Na pozór nie mają nic wspólnego arystokracja i prawo własności; a przecież nie jest to stanowczo śmiałem twierdzeniem, że — gdyby się w jakimś społeczeństwie mogła utrwalić demokracja — nie z imienia, ale rzeczywista, i tutaj własność prywatna nie mogłaby się utrzymać. Wszak dzisiaj żywioł arystokratyczny jeszcze wcale nie jest zniweczony, chyba tylko nadwerężony, a przecież podniosły się zgubne teorye przeciw własności. Można by téż podobno bez trudności faktami wykazać, iż w społeczeństwie, w którym żywioł arystokratyczny nie jest dość silnie reprezentowany, i pojęcia o własności są jeszcze niejasne i niedokładne. Ponieważ zaś własność jest węzłem wszelkiego społeczeństwa obywatelskiego, — przyznaje to nawet Rousseau — dlatego nie może być bez arystokracji życia obywatelskiego.

zagranicą, a nie mieć odpowiednich dochodów! Nasz Bertrand po śmierci ojca nie otrzymał z całej spuścizny ani grosza. Kiedy przybyłem do Polski i z łaski jego królewskiej mości doszedłem do szczęścia, otrzymawszy starostwo wieluńskie i komanderyą poznańską, odstąpiłem na korzyść mego biédnego brata te z mych dochodów, jakie pobierałem we Francyi od króla „arcy-chrześcianańskiego“ — i to nie za odniesione na wojnie rany — *quelle*

Polska arystokracja opierała się na dziejowych pomnikach, a nie na tytułach, które były anomalią. Poza poczem ruskich i litewskich książąt, który jest pomieszczony w przywileju *Zygmunta Augusta*, nie istniała wcale szlachta tytułowa w Polsce. Nie wynosił też ten przywilej żadnego księcia ponad równość szlachecką. Wszelkie inne książęce i hrabskie tytuły były nabywane od rzymskich cesarzy i to tak rzadko, iż wszystkim stan szlachecki w Polsce nie mógł wykazać więcej nad 5 książęcych i 6 hrabskich domów, albowiem — jeśli się nie mylimy — ustawa z r. 1603. zakazała była *sub poena infamiae* *) nabywanie obcych tytułów. Zapytać może kto: skądby więc pochodziły liczne hrabskie domy w Polsce? — Odpowiedź jest łatwa. — Wiele z nich posiada przywilej „koperty“, na której wypisano: „*A Monsieur le Comte*“; inne wywodzą tytuł stąd, ponieważ każdy szlachcic ma prawo do korony — a więc karmazyny okazują i tak wiele umiarkowania, gdy poprzestają na tytule hrabiów. Wywodzą też niektórzy tytuł stąd, ponieważ każdy szlachcic należał do narodowej kawaleryi, a taki przynależny po łacinie zowie się *comes*: oni zatem *ipso facto* są *comites*, to znaczy — hrabiowie. Największa ich część nie wie sama: skądby była przyszła do tego tytułu. To przynajmniej jest rzeczą pewną, że król polski nie miał nigdy prawa udzielania tych tytułów, gdyż inaczej istniałoby ich było mnóstwo.

*) Pod karą infamii (utruty czci).

bêtise: tout le monde est brave! — ale za menueta, który w jego obecności odtńczyłem z margrabiną *de Pompadour*, moją ówczesną protektorką. Wypada ci wiedzieć, *mon frère*, że jestem uczniem wielkiego — *Gardela!* Poczciwy Bertrand okazuje mi tak wielką wdzięczność za tę bagatelę: jak gdybym mu był nadał to, co mógłby żądać od Opatrzności ze względu na swe urodzenie i wykształcenie. Posyła mi też za to corocznie z Paryża świtkę *de la dernière mode*. Zobaczysz tę, którą mi przysłał tego roku, gdyż ją zaraz przywdzieję. Powiesz mi, czy można mieć smak lepszy, Dlatego też błogosławi Bóg memu bratu: zeszłego roku rozmiłowała się w nim niejaka hrabina *de Vermont*, która ma być bardzo urodziwą, a nadto Kreolką i właścicielką majątkości w „*kraju złota*.“ Stała się ona dla niego straszliwą małotrawnicą; zależy jedynie od jego woli: czy ją ma pojąć za żonę i posiadać z nią całe tłumy czarnych i brunatnych dusz w poddaństwo, które w *Martinique* wyglądają przybycia swego przyszłego pana. Atoli nasz Bertrand jest tak dalece wietrznikiem, iż jest zdolen do porzucenia wszystkiego dla pierwszej-lepszej mrzonki. Ale patrzno: nasz ekwipaż; *il faut achever la toilette!*

Tutaj powstał starosta, zdjął zarzutkę, a przywdział długą kamizelkę z białego atlasu ze złotem wyszywaniem. Pokojowiec przypasał mu szpadę, której rękojeść z angielskiej stali osobliwie wieczorem przy świetle błyszczała jakby ogień brylantowy, i założył mu na szyję wstęgę nowo ustanowionego orderu *św. Stanisława*. Lokaje w pozłocistej liberyi trzymali przed nim zwierciadło, w którym się on

z zadowoleniem przeglądał; a mógł to czynić, gdyż rzeczywiście nie było piękniejszego kawalera. Wreszcie podano mu zwiérzchnią świtkę, którą on ze wszech stron przeglądał, czyby na niej nie było, choćby najdrobniejszego fałdu wskutek zmięcia. Świtka była axamitna, koloru, zwanego w Paryżu *Pompadour*, a to dlatego, ponieważ *Ludwik XV.* w lasku *Sennar* w amazonce tego koloru poznał był po raz pierwszy uroczą krasawicę, której następnie złożył u stóp swe serce i państwo. Ten kolor zajmował pośrodek pomiędzy najjaśniejszym szafirem a najświetniejszym amarantem i otrzymał w Wersalu to nazwanie na pamiątkę właśnie przed niedawnym czasem zmarłej margrabiny, ponieważ go ona pierwsza zaprowadziła.

— *Mon frère!* — powiedział starosta, przywdziewając tę ostatnią część wyszukanego ubrania — ten strój jest zbiorem darów miłości, chwały, szczęścia i przyjaźni: sama świtka — powiedziałem ci to już — jest dowodem wdzięczności i pamięci naszego brata *Bertranda*. Złoty garnitur — to dar księcia-kanclerza *Czartoryskiego*, przysłany na imieniny; ta tutaj gwiazda brylantowa — to udzielona mi odznaka od jego królewskiej mości, naszego najmiłociwszego pana w dniu ustanowienia dotyczącego orderu, ta znowu druga gwiazda ze szmaragdów i brylantów z napisem „*Avis atavis*“ i ten tutaj krzyż na zielonej wstędze — to są insygnia orderu *św. Łazarza*. Wielkim mistrzem rycerstwa tego orderu jest książę orleański — pierwszy z krwi królewskiej. Chcąc uzyskać tę odznakę musi kandydat nie tylko mieć przyjęcie u dworu i stopień pułko-

wnika, ale także wykazać trzechwiekowe szlachectwo bezmesaliansu. Wyznaję, mój bracie, iż najusilniej starałem się o uzyskanie tego orderu, albowiem — chociaż my dworzanie żartujemy sobie z arystokracji, przecież dawnym zwyczajem ubiegamy się o wszelkie zaszczyty znakomitego urodzenia. Kiedy mi wreszcie książę orleański na prośby mej protektorki przesłał tę drogą gwiazdę, nie posiadałem się w ciągu długiego czasu z radości. Ten zaś drugi krzyż na czerwonej wstążce — to odznaka, otrzymana z rąk *Ludwika XV.* i nosi nazwę mego dostojnego dobroczyńcy. I ty go powinieneś szanować *mon frère*: uchodzi on nietylko za odznakę rycerskiej zasługi, ale także za świadectwo prawowierności, gdyż go może nosić tylko wyznawca katolicko-apostolskiego kościoła. Te tutaj guziki — florencka robota mozaikowa z kosztownych kamieni i tak bogato wyłożona, iż nie podobna oszacować ich wartość, są darem miłości, miłości *prawdziwej*. Książę *de Bedford* otrzymał je od wielkiego księcia *Toskany*. Chcąc się odznaczyć i zaćmić blask parów francuskich ozdobił się on nimi pewnego dnia, kiedy na bal królewski otrzymał zaproszenie. Poniważ się zaś na zabój rozmiłował w pannie *Gausin* — najpiękniejszej aktorce *Teatru francuskiego*, więc wstąpił do niej po drodze, aby jęj zaprezentować swe guziki. Roswawolona aktorka poodpruwała mu je w chęci zatrzymania go tym sposobem na pewno u siebie aż do następnego poranka. Książę, uszczęśliwiony tym dowodem przywiązania podarował jęj w radości swe guziki. Później ja je otrzymałem z jęj pięknych rączek na pamiątkę. Niedługo potem

Bedford, żarłoczny jak każdy lord umarł wskutek niestrawności; a ja właśnie w dniu jego pogrzebu pojawiłem się po raz pierwszy w Wersalu z jego — guzikami. *Cela a fait foureur à la cour.* A propos! Lafleur, Konrendowicz: czy wszystko w porządku? *Mon frère!* wsiadajmyż do powozu.

Pokojowiec podał staroście jedwabny kapelusz, który on zatrzymał w ręce, złotą tabakierkę z portretem króla w brylantach, do której nie omieszkał napuścić wysokoku winnego, aby nim w najgorszym razie otrzeźwić słabnące damy, drugą mniejszą tabakierkę, zwaną *printanière*, za której otwarciem zapach dokoła niego wionął, trzecią z wykluwaczem do zębów — wreszcie zegarek z brelokami i sakiewką z holenderskimi dukatami. To wszystko wsunął starosta do różnych kieszeń, zarzucił potem lekko na ramię pąsowy płaszcz z białą podszewką i złotymi guzikami; w rękę wziął trzcinę z kosztowną gałką, napuścił chusteczkę pachnącą wodą z Paryża i podążył z bratem do powozu. Wsiadli też do niego niebawem obydwaj typy — dawnego i nowego świata ówczesnej Polski. Trybun usiadł — poważny i zamyślony, starosta — wesoły, nucący piosnkę jak wszyscy, którzy sądzą, iż do nich należy przyszłość. Pojechali na zamek nieswiezki.



X. Imieniny księcia.



anim obaj bracia przybyli do zwodzonego mostu nieświezkiego zamku, oznajmił już strażnik silném zadęciem w róg przybycie nowych gości — i zaraz potem sprezentowała broń straż, ustawiona po drugiej stronie mostu.

Była może piąta godzina z południa, gdy powóz stanął pod przedsionkiem zamkowym. Natychmiast otwarli dzwiérki u powozu dwaj sążniści hajducy i wynieśli literalnie na rękach gości z pojazdu. Starosta, nie oglądając się podrzucił swój płaszcz strzelcowi. Wojski zdjął ostrożnie swą opończę i oddał ją hajdukowi z upomnieniem, iżby był na nią uważał. Otwarła się téż już obszerna brama u wnijscia do zamku. W przedsionku zastali przybyli więcej osób, w ich poczcie także księcia-wojewodę, który się tutaj, będąc ugrzecznionym i gościnnym gospodarzem udawał na każdy znak trębacza, aby przywitać każdego, kto zyczliwie pamiętał o jego imieninach.

Książę był wzrostu słusznego, a przy tém dobrój tuszy. Na jego obliczu jaśniały pokój serca i uśmiech, którego urokowi rzadko kto mógł się być oprzeć. Miał on duże modre oczy, pełne ognia i bystrości ducha, a płeć tak jasną i delikatną, iż mu jój mogły być pozazdrościć niewiasty. Obyczajem litewskim nosił włosy — postrzyżone krótko i duże w górę zakręcone wąsy. Był on obrazem prawdziwego *Sarmaty*. W dniu swych imienin przywdział był mundur Albańczyków podobnie jak wojski i znaczny poczet gości; różnił się od nich tylko tém, iż Albańczycy mieli na kokardzie ze szpilką cyfrę księcia, a u niego natomiast jaśniały tam w brylantach te trzy litery *F. A. F.* Znaczyły one: *fiduciam amicorum fortis.**) Obaj bracia Strawińscy zbliżyli się do niego; książę skłonił się i zwrócił najpiérw do wojskiego, mówiąc: „A więc nasz wojski przybył przecie; tęskniłem już oddawna za waszmością — *panie kochanku!* Jenerał Kunicki się mi sprzeniewierzył; myślałem już prawie, że i jego przyszły zięć nie miał mi okazać zyczliwości.

— Bóg świadkiem, jaśnie oświecony książę, że jęgomość jenerał nigdy tak wielce nie ubolewał nad swą niedyspozycyą jak dziś właśnie: i to jedynie dlatego, iż nie może oświadczyć uszanowania waszej książęcój mości!

Ja téż tylko sobie żartowałem — *panie kochanku!* Wszakżeż wiem o tém; całe moje bogactwo stanowią moi przyjaciele. Mogę to wyznać

*) Silny zaufaniem przyjaciół.

z wszelką słusnością, gdyż doświadczyłem tego w potrzebie. Wówczas był pan *Józef* moim dobroczyńcą podobnie jak nieboszczyk pan rodzic waszmości, którego śmierci nie mogę należycie z mymi Albańczykami obżalować. Zagranicą pożywałem wasz chleb, dlatego też wszystko, co posiadam, należy do waszmościów. A czy też wiesz — *panie kochanku*, iż narzeczona waszmości długo się już u mnie znajduje? Zabawia się z memi siostrami w salonie. Aj, jakże dzielną panienkę obrałeś sobie waszmość! Spiesz do niej, *panie kochanku*, gdyż sobie wyobrażam, że waszmość mię w duchu odsyłał do wszystkich djabłów za to, iż tutaj tak długo waszmości przytrzymuję.

— Wasza książecka mość żartujesz w istocie. W tej chwili napełnia mię tylko radość, iż dożyłem dnia tak upragnionego od wszystkich sług i przyjaciół księcia-pana, w którym mogę wypowiedzieć moje najuniżeńsze i najgorętsze życzenia na intencją pomyślności i szczęścia księcia-pana, a zarazem przedstawić mego brata, starostę wieluńskiego.

— Sprawia mi to wielką przyjemność, iż mogę u siebie przyjąć pana starostę; przypominam się mu też, miałem bowiem często zaszczyt widzenia go na pokojach króla-jegomości. I cóż za szczęśliwa gwiazda sprowadza pana starostę, kawalera wysokich orderów oraz świata wytwornego w dom szlachcica i to jeszcze w dniu mych imienin? Przecież zapewne nie sama chęć poznania mnie osobiście i opisania mej osoby dystyngowanym jegomościom w Warszawie?

— Mości książę! — powiedział starosta — już oddawna pragnąłem we własnym zamku waszjej książęcej mości być przedstawionym protektorowi mego nieboszczyka ojca i drogiego brata; toż czuję się być tém szczęśliwszym, iż mogę księciu panu dzisiaj — w dniu, święconym przez cały naród oświadczyć moje najszczerze życzenia pomysłności. Jego królewska mość i jego krewny książę-kanclerz *Czartoryski*, wiedząc o tym moim zamiarze powierzyli mi listy w świadectwo swęj przyjaźni, które mam zaszczyt wręczyć waszjej książęcej mości.

— Z najgłębszém uszanowaniem przyjmuję — odpowiedział *Radziwiłł* — dowód łaskawej pamięci jego królewskiej mości, mego najmiłościvszego pana; a co się tyczy księcia-kanclerza litewskiego: winienem mu tém większą wdzięczność, albowiem okazał mi nie zawsze równą grzeczność.

— Był czas, mości książę, w którym książę-kanclerz żywił inne przekonanie i był przeciwnikiem waszjej książęcej mości; atoli dzisiaj niczego sobie goręcej nie tyczy jak złożenia księciu-panu niewątpliwych dowodów swego wysokiego szacunku i nieograniczonego przywiązania.

— Tak, tak: o ile to dla mnie stanowi radość i zaszczyt; nie wątpię przecież o prawdzie słów waszmości!

Po tych słowach zwrócił się książę „*Panie Kochanku!*“ do stojącego w pobliżu sędziwego Albańczyka i rzekł:

— Przedstawiam panu staroście mego dobrego przyjaciela p. *Stanisława Płaskowickiego*, stolnika nowogrodzkiego, który mnie w nieszczęściu ani na

krok nie odstępował, jakkolwiek się na jego metryce już ósmy krzyżyk znaczy, a pan Stanisław w ciągu całego życia był zapalonym kobieciarzem. Nie spuszcza też waszmość ócz, *panie kochanku*; prawda pozostanie zawsze prawdą! Kiedy był ze mną w *Rzymie*, tak mu dojmowały *delicta juventutis*,*) że prosił o wielką penitencją, w chęci uzyskania odpustu zupełnego. Spowiadał się u wielkiego penitencyarza i wyznał mu, iż się w młodości oddawał niewiastom, dodając atoli, że z bożą pomocą na starość przyszedł do rozsądku, więc już oplakuje dawne grzechy i nie popełnia nowych. Na to odrzekł mu penitencyaryus:

— Nicponiu! sądzisz, że Pana Boga oszukasz chęłpieniem się, iż przestałeś już grzeszyć, gdy przecie grzech ciebie, a nie ty grzech opuściłeś?! Gdybyś tylko jeszcze *mógł* grzeszyć: pytałbyś tam wiele o Boga! — Jeśli to nie prawda, niechaj mię p. Stanisław nazwie kłamcą. Wracam atoli do łaskawego oświadczenia księcia-kanclerza i stwierdzam, iż jestem sobie, panie starosto, zwykłym szlachcicem; toż sądzę, że nawet nieprzyjaciele, jeśli zresztą są uczciwymi, mogą się znowu pojednać. Ot, np. książę-biskup *Masalski*! Czyż mogę powątpiewać, że się jego serce ku mnie zwróciło, gdy tutaj sam przybył, aby mi powinszować w imieniny? Albo czy nie mam powziąć zaufania co do dobrego usposobienia księcia-kanclerza, gdy mi napisał list — tak grzeczny? Przed laty właśnie w dniu *św. Karola*

*) Przewinienia młodości.

ogłosił on jużci wyrok sejmowy, którym mię skazał jako *hostem patriae* *) na wygnanie *post abjudicationem ab omni activitate.* **) Dzisiaj mi to wynagradza przesłaniem mi zupełnie innego wiązania przez tak dostojnego, około dobra ojczyzny wielce zasłużonego, orderami ozdobionego męża!

— Nie chełpię się, mości książe, żadnemi zasługami około dobra ojczyzny; toż jeśli jego królewska mość, mój pan najmiłościwszy raczył me dobre chęci nagrodzić orderem, nie można mi pocztywać za złe, iż wysoce cenię dowód królewskiej łaski.

— Ależ i ja to czynię, może w wyższym stopniu, anizeli waszmość sądzisz, gdyż jój w duchu waszmości zazdroszczę. Mnie téj łaski król nie okazał: nie dozwolił mi, iżbym nosił jego order.

— Może król-jegomość nie śmiał tego uczynić, ponieważ wasza książecca mość jesteś kawalerem wyższego krajowego orderu i licznych wysokich orderów zagranicznych.

— A czy waszmość, p. starosto! sądzisz, iż się w istocie nie ubiegałem kilkakrotnie o ten zaszczyt? Atoli król jakoś tego nie chciał nigdy zrozumieć. Wkońcu stanął przed nim *Michał Rejtan*, służbę pełniący podkomorzy jego królewskiej mości i upraszał króla o order *św. Stanisława* dla — mnie. Atoli król odpowiedział:

*) Nieprzyjaciela ojczyzny.

**) Po odsądzeniu od wszelkiej działalności czyli urzędowania.

— Wasz *Radziwiłł* — to młody głupiec, który jeszcze nic nie uczynił dla kraju; nie dam mu nic, póki się nie wykaże zasługą. Ot, tę dał mi odprawę!

Starosta, zarumieniony przygryzł sobie wargi, okazał przecież tyle względności, że tych słów nie uważał za wyrzut; owszem zawtórował rozweseleniu otaczających księcia Radziwiłła z napół gorzkim uśmiechem.

Po niejakić chwili rzekł książę:

— Czcigodny panie starosto! proszę bardzo o przebaczenie, iż waszmości tak długo zatrzymałem na miejscu, które tak mało odpowiada godności pana starosty: ale to mój zwyczaj, iż przyjmuję u progu dobrotliwych gości. Proszę bliżej pana starostę! — dodał, kłaniając się i przepuszczając go przed siebie do sali; potem zwrócił się do wojskiego i rzekł:

— Mości Michale, *panie kochanku*, zdaje się, iż waszmość jesteś ostatnim z mych przyjaciół, gdyż trębacz nie daje już żadnego znaku. Ach, dlaczegoż nam Bóg nie użyzył widzieć w naszym gronie ojca waszmości; był tężto przyjaciel: jakich mało — ale przybywał zawsze z pierwszymi gośćmi.

Starosta, przechodząc przez komnaty staroświeckiego zamku spoglądał nie bez zdziwienia na ich skromne przyozdobienie. Nie widział tu ani brązu, ani mahoni, ani tęż innych ozdób, jakiemi mieszkania nie tyle znakomitych właścicieli w Warszawie były przepełnione. Tutaj poczucia szlacheckiej równości nie obrażał żaden zbytek. Kiedy weszli do sali, tak zwanój „*portretowój*“, ścia-

gnął przedewszystkiem na siebie uwagę starosty przy świetle pajaków na ścianach jaśniejący szereg przodków Radziwiłłowego domu. Rozpoczął się on wizerunkiem protoplasty *Lezdejki*, wajdeloty wielkiego *Perkuna* i sięgał aż do księcia *Michała*, wielkiego hetmana litewskiego, ojca księcia-wojewody z potężną brodą, która jego oblicze czyniła szorstkiem. Jego wizerunek był pomieszczony w środku portretów dwojga jego żon. Jedna z nich pochodziła z królewskiego domu *Wiśniowieckich* i była matką naszego księcia, druga z wielkopolskiego rodu *Mycielskich*. Dokoła ścian w téj sali stały utrechckim axamitem powleczone ławki, a pomiędzy nimi nieco wyższe kanapy; nadto tworzyło mnóstwo stołków i stolików rozmaite grupy, porozrucane tu i owdzie po sali. Jedynym znaczniejszym sprzętem tutaj był pajak z weneckiego kryształu, który 300. woskowemi świecami rozjaśniał salę. Było dwanaście takich pajaków w zamku, porozdzielanych po salach. Należały one mianowicie do spuścizny, która po śmierci króla *Michała* przeszła była na dom *Wiśniowieckich*; a następnie dostały się one z dobrami na Ukrainie i Podlasiu domowi Radziwiłłów, kiedy książę-hetman ostatnią latorośl po kądzieli rodziny *Wiśniowieckich* był poślubił.

W owéj sali *portretowéj* zgromadzili się krewni, przyjaciele, klienci i słudzy obojga płci najznakomitszych magnatów. Znajdowała się pośród nich niejedna osobistość, która do niedawna była jeszcze wrogo usposobioną względem księcia, a teraz, gdy się jego szczęście odmieniło, starała się wszelkim sposobem zatrzeć przeszłość w pamięci. Książę-

biskup wileński i *Chreptowicz*, kanclerz litewski, obaj przewodcy stronnictwa książąt Czartoryskich na Litwie, obaj prześladowcy księcia i wszystkich jego stronników składali mu dzisiaj życzenia: jak gdyby byli zawsze jego najgorliwszymi zwolennikami. Toż książe, jakkolwiek im z ócz wyczytywał, co było napisane na dnie ich duszy, mimoto, mając na pamięci święte prawa gospodarza przyjmował ich oświadczenia: jak gdyby był przekonany o ich szczerości. Młodsze niewiasty siedziały na ławkach, matrony z wyższych sfer zajęły wraz z duchownymi i świeckimi panami, którzy się w społeczeństwie wyróżniali, miejsce na kanapach; zresztą zaś poruszały się osoby jedna ku drugiej: jak tego wymagała rozmowa.

Kiedy książe wszedł do sali z braćmi Strawińskimi, powstali na chwilę wszyscy zgromadzeni ku zwykłemu powitaniu, które on ukłonem odwzajemnił. Skoro Michał ruszył ku jednej stronie sali, gdzie zauważył był swą narzeczoną, książe-wojewoda pozostał u boku starosty, chcąc go zapoznać z niektórymi gośćmi. Zbliżył się do księcia-biskupa wileńskiego, podziękował mu ponownie za zaszczyt jego odwiedzin i przedstawił mu nowego gościa następującemi słowy:

— Przedstawiam excelencyi pana starostę wileńskiego, którego ks. biskup znasz zapewne z Warszawy.

— Miałem zaszczyt widzenia p. starosty nie tylko w Warszawie, ale i w Wersalu, kiedy jeszcze pozostawał w armii francuskiej; toż kiedy sięgnę jeszcze dalej wstecz pamięcią: znam p. starostę,

gdy był dzieckiem, gdyż byłem bliskim krewnym i opiekunem jego matki.

— Wiem dobrze o tém mojem odznaczeniu: toż koligacya z waszą księżącą mością przyczyniła się nie mało do zaszczytnego otrzymania orderu *św. Łazarza*, który mi nadano.

— Prawda! — powiedział książę-wojewoda — wszak matka waszmości pochodziła z domu *Masalskich* i miała za męża *secundo voto* *) *Mycielskiego*, bliskiego krewniaka mojej macochy. Pamiętam jeszcze, iż w całej Warszawie jego laufer miał najbogatszą liberyą i największą chyżość — w nogach.

— Atoli majątek *Mycielskiego* ulotnił się jeszcze szybciej, albowiem jego syn a mój brat przyrodni, który obecnie służy w armii francuskiej, nie odziedziczył nawet tyle, aby sobie mógł być sprawić ubranie żałobne.

— Szczęście więc dla niego, — zauważył książę-wojewoda — iż posiada tak wielce możnego krewnego w osobie księcia-biskupa wileńskiego, który mu nie dozwoli upaść. Ale pozwól, panie starosto, abym cię przedstawił gospodyni mego domu — mojej siostrze *Morawskiej*.

I powiódł go do pani jenerałowej, u której boku stała najmłodsza siostra księcia, *Marya*, znana z delikatności płci i wysmukłego wzrostu. Była ona nadzwyczaj piękna, a przytem tak skromną, iż tylko rzadko kiedy ośmieliła się przemówić w towarzystwie. Nazywano ją dlatego „*Lilią nieświeżką*.“ Starosta uklonił się książęcym siostrom i wyraził

*) Drugiego ślubu.

z prawdziwém ugrzecznieniem dworzanina swą radość z powodu poznania tak dostojnych i pięknych pań. Atoli jenerałowa odpowiedziała mu rezolutnie:

— Panie starosto! proszę być oględniejszym z swemi komplementami, albowiem jeśli to waszmość jeszcze raz powiesz méj siostrze: ona byłaby zdolną nad tém łzy ronić. Ja posiadam już więcej odwagi do słuchania takich rzeczy; atoli gdybyś waszmość chciał chwalić moją piękność, marnowałbyś tylko czas napróżno, gdyż mam już jednego wielbiciela, który się aż do znudzenia czuje być zachwyconym memi wdziękami. Ot, tam stoi! Czy waszmość uważasz: jak on podkreca węża i niespokojnie ku nam spogląda? Gdybyś się atoli waszmość chciał nieco dokładniej rozglądnać w tém kole: mógłbyś w niém napotkać piękności, zasługujące na to, iżbyś je wielbił nietylko ustami, ale i w poezyi, chyba, że się waszmości, przywykłemu do krasawic paryskich i wersalskich nasze wiejskie niewinności nie podobają.

— Księżno! piękność Polek jest znana w całej Europie. Ile razy która z naszych pań pojawiła się w Wersalu, aby królowej — swéj rodaczce złożyć hołd: Francuzki rozpaczały. Można temu uwierzyć z przekonania, jeśli się kto rozglądnie w tém tutaj kole; atoli i gwiazdy tracą swój blask, gdy się zbliży *słońce!*

Jenerałowa się rozśmiała i odrzekła:

— Bardzo poetycznie, panie starosto; wołę przecież waszmości wprowadzić w krainę rzeczywistości i przedstawić starości osobę, którą waszmość na wszelki wypadek powinieś poznać.

Potem zawołała w głos:

— Zosiu, Zosiu: coś ci pokażę!

Na te słowa powstała z ławki, na której siedziała obok drugiej starszej wiekiem damy, młoda dziewczyna i zbliżyła się z wielką skromnością i przyzwoitością do jenerałowej. *Jej klasyczne rysy twarzy, ogień modrych ocz, ocienionych długimi ciemnymi rzęsami, powab jej kibici: to wszystko podbijało jej otoczenie, zanim otworzyła usta.* Wykwintny strój zdradzał jej stanowisko w społeczeństwie. Jej czarne w bujne i długie warkocze splecione włosy obejmował grzebień, wyłożony szafirami i dyamentami; bieluchną szyję ozdabiał naszyjnik z brylantów i topazów; takie same bransolety obejmowały jej całkowicie obnażone ramiona. Bogactwo jej stroju uzupełniały kolczyki z brylantów „najczystszej wody.“ Gors miała przysłoniony koronkami, które wprawdzie w potrójnym upięciu na dół zwisały, przecież ciekawemu dozwalały dojrzyć płeć, niezwykle białą. Suknia z białej gazy, narzucona haftowanymi złotymi kwiatami przepuszczała paliowy atłas odzienia, który tak wielce podnosi wdzięki pięknych brunetek. Suknia była nieco przykrócona do tańca i dozwalała widzieć arystokratyczną nóżkę w lugduńskiej pończoszce i szczuplutkim białym atłasowym trzewiku, wyszytym złotymi nićmi. To wszystko było tak wyszukane, z takim smakiem ułożone, iż się musiało każdemu wielce podobać.

— No, panie starosto, — powiedziała, śmiejąc się jenerałowa Morawska — którażto jest pośród nas gwiazd słońcem?

Starosta stał na miejscu jak oczarowany na widok tyłu wdzięków, które zapłonienie lekliwości jeszcze podwyższało. Powitawszy Zofią ukłonem rzekł do generałowej:

— Księżno! domyślam się, iż ta panna szlachcianka jest jedną z sióstr księżny, a ponieważ należy do tego samego wdziękami przyświecającego rodu, przeto jójmoście wszystkie możecie bez współzawodnictwa nad nami panować.

— Nie, panie starosto, mylisz się waszmość; toż przekonuję się, że wszystko jest fałszem, co ludzie prawią o sympatyj serc, gdyż jeśliby to istotnie było prawdą, natenczas waszmość odgadłbyś: kim jest ta panna. To *Zofia Kunicka* — przyszła bratowa waszmości!

Zofia pokraśniała jak kalina; generałowa zaś opuściła ją, zanosząc się od śmiechu i podeszła do wojskiego, aby mu zdać sprawę z zapoznania się starosty z jego narzeczoną. Starosta milczał chwilę, potem ująwszy rękę Zofii zbliżył ją do ust i rzekł:

— Jakież to dla mnie szczęście, że poznałem przyszłą bratową — ozdobę naszego domu! Jakkolwiek znałem już panią z listów brata, przecież rzeczywistość przewyższyła wszelkie opisy tak dalece, iż panią uważałem za siostrę księcia-wojewody.

— Nie wąpiłam ani chwili, że waszmość jesteście starszym synem nieboszczyka majora, albowiem obraz, który mu waszmość przesłałeś na pamiątkę, jest do pana tak podobny jak jędna kropla wody do drugiej.

— A więc mój wizerunek spotkało to szczęście, że go pani przechowałaś w pamięci?

— Winnam waszmości jeszcze podziękować za przesłany mi na pamiątkę dar, który — sam to waszmość widzisz — noszę na sobie.

— Dotychczas widziałem jedynie *panią*; jakkolwiek mię serce do pani pociąga, zbliżam się przecież nie bez obawy, albowiem wszystko, coby gdzieindziej za mną przemawiało, przyczyni się tutaj jedynie do poniżenia mię w oczach pani.

— Nie rozumiem waszmości, panie starosto!

— Łaska króla jegomości, którego, choć jest niewinny, krewni pani poczytują za wroga, czas, który w rzemiośle rycerskiem spędziłem zagranicą, a nawet ten w tój ziemi obcy strój: to wszystko może mnie wykluczy od współczucia i przyjaźni pani.

— A czyż różnica stroju może mieć jaką wspólność z przyjaźnią?

— Ach, pani! chętnie zniosę wszelkie uprzedzenia, jakie tutaj napotykam, byłem sobie mógł pochlebiać, że nie pozostanę obcym dla pani.

— Nam dziewczętom nie godzi się rozmyślać o tego rodzaju rzeczach; to atoli jest pewnem, że syn najwierniejszego przyjaciela mego rodzica nie może być dla mnie obcym.

Starosta ujął w zapale po raz drugi uroczą rączkę przyszłej bratowej; atoli właśnie w tój chwili głośny śmiech ściągnął jego uwagę na panią jenerałową. Zobaczył on jowialną księżnę u boku wojskiego.

— Powinieneś się waszmość wstydzić, panie wojski, — przemówiła do niego — że waszmości uprzedziłam: godziło się przecie właściwie waszmości

a nie mnie zapoznać brata z swą narzeczoną! Występujesz zanadto wcześnie w roli małżonka; zabawiasz się waszmość z Albańczykami, a pańskie miejsce zajmuje tymczasem starosta. Nie zawierzaj nikomu, panie wojski, a już najmniej tym Paryżanom. Wyobraź sobie waszmość: on właśnie przed chwilą prawił mi komplementy w oczach mego brodacza! Bronźe się teraz waszmość w obec Zofii z powodu winy zaniedbania! W samą porę stół nakrywają. Wojski powiedzie swą Zofią, a waszmość, panie starosto, poprowadzisz moją siostrę Maryą, która wlepiła oczy w posadzkę, jak gdyby po niej szukała szpilek. Ja poszukam sobie *Moriconiego*, który jest wprawdzie Włochem, ale mimoto także w kontuszu, a zarazem starostą wilkomirskim; toż wkrótce — Maryo: nie potrząsaj tak głową! — będzie moim szwagrem.

Ujrzała też tego jegomości w oddaleniu kilku kroków, podała mu ramię i dozwoliła się zawieść do sali jadalnej.

Była to czwarta i ostatnia kolój obiadowania. Od godziny piérwszój zastawiano stoły ponownie co dwie godziny, albowiem w tym dniu zgromadziło się tyle osób, iż je u jednego stołu było niepodobna umieścić. Na czele postępowali książę-biskup, a z nim duchowieństwo, tuż potem kroczyli książę-wojewoda obok wojewodziny nowogrodzkiej, siostry księcia-biskupa, którą jak jój męża szanował równie: jak był nieprzychylnym osobie i zapatrywaniom jój brata; za nimi zdążyły owe pary, które jeszcze obiadu nie pożywały. Na orzechowym stole, który pamiętał już niejedno pokolenie Radziwiłłów, znajdowała się prawdziwie królewska zastawa srebrna, gdyż ją

jedna generacya przekazywała następnej i to zawsze z jakimś dodatkiem. Sala tworzyła podłużny czworobok, którego krótsze boki były ozdobione gobelinami obiciami. Pradziad księcia otrzymał je był od *Ludwika XIV.* wraz z orderem *św. Ducha* w darze, kiedy poślubił siostrę króla Jana. Jeden z tych gobelinów przedstawiał *gody galilejskie*, drugi *nakarmienie rzeszy pięciorgiem bochenków chleba*. Książę-kanclerz znalazł dla nich najodpowiedniejsze pomieszczenie w sali jadalnej, on jakoteż jego syn książę-hetman napróżno starali się dobrać odpowiednie gobeliny na dłuższe ściany sali; w miejsce ich wykonali dwaj słynni artyści z Rzymu malowidła *al fresco*. Na jednej ścianie odtworzyli oni *polowanie, na którym olbrzymi niedźwiedź rozszarpał niegdyś wojewodę brzeńskiego Ilinicza*; na drugiej przedstawili *wjazd do Krakowa królowej Barbary Radziwiłłówny*. Oprócz znakomitego wykończenia posiadały te malowidła jeszcze tę wartość, że obejmowały portrety krewnych, przyjaciół i sług księcia-hetmana. Każdy Litwin mógł tam rozpoznać oblicza — znane i drogie ich serca. Na stole nie było nic takiego, czegoby u siebie nie był znalazł także każdy znakomity szlachcic. Były tam: barszcz i polévki według upodobania; słudzy obnosili na srebrnych misach i podstawkach mięswo wołowe z chrzanem, kałduny z imbiérem, kaczki z kaparami, indyki z naléwą migdałową, kury z sardelami, cietrzewie z burakami i wszelkiego rodzaju pieczenie z dziczyzny. Przeplatały te dania szczupak z szafranem, karp z miodem, okunie i ryby „białe” z goździkami i muszkatułową gałką. Podawano téż

różne rzadkie przysmaki, które podówczas znano tylko na Litwie jak: łapy niedźwiedzie z wiśniowym sokiem, ogony bobrowe z kawiolem, łososia z kluskami mięsnymi, głowiznę z dzików, przyprawioną korzeniami.

Do tego pili goście wino, sprowadzane z *Królewca*, gdy prastare lamusy nieswieżkie splądrowano tak doszczętnie, iż w nich znalazł się zaledwie jeszcze może tuzin butelek ze starym węgrzynem ku ugoszczeniu pierwszych matadorów duchownego i świeckiego stanu. Książe-wojewoda pozostał tylko krótki czas u stołu, potem chodził od jednego do drugiego, od dostojników do szlachty, prosząc wszystkich o przebaczenie, iż ich nie ugaszczał tak, jakby sobie tego był pragnął, a ich dostojność nakazywało. Od czasu do czasu podawał mu który z przyjaciół talerz z potrawą, którą on u bocznych stolików pożywał. Starosta, wstrzemięźliwy z usposobienia, u stołu zjadł tylko nieco polówki, podziękował za szczupaka i niedźwiedzie łapy, nie pogardził natomiast drobiem i głowizną z odyńców, które najwięcej licowały z kuchnią towarzystwa ucywillizowanego. Poprzestał na tém, czekając z upragnieniem znaku do powstania, gdyż jego sąsiadką po prawicy była księżniczka Marya, której wdziękom wprawdzie składał hołd należyty, z którą atoli się mu nie udało nawiązanie, choćby tylko jednej dłuższej rozmowy. Ale też jej nieśmiałość przechodziła wszelkie pojęcie! Mógł się wprawdzie bez trudności zabawiać z sąsiadem po lewej ręce, bo to był zawołany prawnik i gaduła, atoli sprawy jurystyczne nie zajmowały starostę, dlatego też odpowiadał mu tylko wymijająco na

zagadnienia, przeklinając w duchu swe nudne sąsiedztwo. Kiedy następnie zaczęły krążyć kielichy na zdrowie solenizanta i innych osób, popadł starosta w gorszy jeszcze humor, ponieważ miał „słabą głowę“, a nie mógł ominąć kolójki na intencją księcia-wojewody. Kiedy poczęto wychylać zdrowie jeszcze innych osób, wzbraniał się stanowczo pić więcej, tłumacząc się cierpieniem piersiowém. Znużony, roztargniony, głuchy na wszelkie żarty i krotchwilę biesiadników, nieprzystępny nawet w obec genialnych dowcipów gospodarza szukał jedynie okiem swój przyszłej bratowej. Siedziała ona pomiędzy jego bratem, który był w ogóle mało-mownym, i młodym jeszcze Albańczykiem z blizną podłużną na czole, który się najwięcej nią zajmował i opowiadał jej rzeczy, z których się tylko on sam śmiał szczerze. Wielka poufałość zdradzała, iż musiał być krewnym Zofii. Staroście zdawało się, że ją to wszystko nie bardzo zajmowało; siedział on jakby na szpilkach i nie wyczekiwał z pewnością w dworskiej kaplicy u boku króla z tak wielką niecierpliwością końca kazania: jak teraz wyglądał z utęsknieniem zakończenia biesiady, jakkolwiek się znajdował u boku młodój i urodziwój księżniczki.

Wreszcie powstano od stołu; panowie powiedli swe damy do pokojów bawialnych. Po jakimś czasie ozwała się muzyka na znak, że się rozpoczął bal, który sam książę z wojewodziną nowogrodzką zainauguował.

Na wielkich balach oprócz widoku tańczących stanowi jeszcze dla widza przyjemność przysłuchiwanie się grupom osób w ustronnych punktach sali.

Starosta, stojący przy ławce, na której siedzieli Zofia i jej krewni, powiedział:

— Dziękuję ci ponownie, *mon frère*, iż mi wyszukałeś tak piękną i wykształconą bratową.

— Gdyby to była prawda, mój bracie, — odrzekł wojski — natenczas nie chciałbyś nas przecie znowu opuszczać i tęsknić tak wielce za Warszawą. Biorę sobie pannę Zofią na świadectwo; toż niechaj powie, czy mamy uwierzyć zapewnieniom brata, który nas zamyśla ucieszyć tak krótkotrwałymi odwiedzinami?

— Jużci może nam pan starosta, — zauważyła Zofia — mając dobre serce sprzyjać, atoli nie tak dalece, iżby się miał także z nami nudzić. Możemyż mu poczytywać za złe, iż przenosi Warszawę, w której towarzystwo jest przecie znacznie więcej oświecone i w każdym razie odpowiedniejsze sposobowi jego życia?

— Ot, widzisz bracie, że już gra stracona!

— Ach, pani! — rzekł starosta — czyliż zasłużyłem na tak gorzki wyrzut? Nie mówię o urodzie pani; atoli już celujący stopień wykształcenia pani sprawia, iżbyś mogła posłużyć za wzór najwięcej uwielbianym damom w stolicy.

— Panie starosto! przestań waszmość rozmawiać ze mną w słowach, które nam na prowincyi mało są znane. Jakkolwiek dopiero krótki czas waszmość bawisz za obrębem Warszawy: sądziłabym, że się lękasz, abyś nie zapomniał używanej w niej mowy; przekonuje mię o tém dostatecznie pospiechi zamierzonego powrotu do Warszawy. Sprawdzają się podobno na waszmości słowa poety:

„Odrośną kwiatom zerwane kielichy;
 Uwiędła trawa w czas chłodnej jesieni
 Znowu się o złotej wiosnie zazieleni;
 Słońce co rano ma świeże uśmiechy,
 Choć się wieczorem zagór grzbiety schyla:
 Przeżyła szczęścia nie powraca chwila.“*)

— Już ja tych rodzinnych stron nie opuszczę tak prędko, skoro się dopiero teraz nauczyłem cenić je należycie. Pozostanę tutaj niezawodnie, jak długo mi tylko pozwolą me powinności. W kilku dniach odwiedzę rodzica pani pana generała i powtórzę osobiście mą prośbę, wyrażoną pisemnie, iżby się zajął podziałem naszej spuścizny. Spodziewam się też, że przy tej sposobności będę mógł kilka dni spędzić w pobliżu pani.

— Tylko kilka dni! Nie żartuj też, mój bracie, gdy cię raz mieć będziemy w domu generała, nie wymkniesz się nam z taką łatwością!

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się kilkorga pań, poszukujących tancerzy. Na ich czele znajdowała się generałowa Morawska, która podała rękę starości, polecając wojskiemu, iżby za nimi podążył był w parze z Zofią. Wojski, skłoniwszy się wymówił się trwającą jeszcze dla niego żałobą po ojcu; dlatego też wprowadził jego narzeczoną w koło gotujących się do tańca osób *Wasgird*, ów bliźnąznaczony Albańczyk, który u stołu obok niej siedział.

— Widzisz siostrzyczko! — powiedział — z jaką usługomością pojawiają się zawsze u twego boku. I dlaczegoż się ociągasz, o czém tak rozmyślasz?

*) *Pamięć — to cmentarz.* (Kościelnicki.)

Wszak przyobiecałem, iż z tobą odtańczę pierwszego mazura.

Po tych słowach znikł pośród tańczących.

W rogu sali rozmawiano o wiejskiem gospodarstwie, sędzia grodzki ze Słonima *Horain* wyjaśniał z kielichem w ręku oblegającej go szlachcie zalety postępowej uprawy roli. Pośród téj szlachty znajdował się *Bonifacy Solohub*, młody, wesóły i miły Albańczyk, który przerwał mowę poważnemu sędziemu słowy, zwróconemi do *Tadeusza Rejtana*:

— Czy słyszysz: jakieto historye opowiada nasz sędzia uczony? Radby w nas wmówić, że swą glebę — nie jak my wszyscy — ale wapnem nawozi.

Sędzia przecież powoływał się na doświadczenia, poczynione w swém gospodarstwie, wykazujące, iż się sprawdza korzyść nowego nawożenia roli wapnem, przytaczając i tę jego zaletę, iż je nietylko on sam, ale i jego sąsiedzi uznali za praktyczne.

Wazgird opuścił tymczasem koło tańczących i przyłączył się do trzeciej grupy osób, gdzie utrzymywano, że towarzystwo nie było tak ożywione, jak się tego spodziewano. Nawet Wazgird się użalał, że jego siostra mniej była wesółą aniżeli zwykle. Inny gość zauważył, iż brat wojskiego nie przyczyniał się do ożywienia towarzystwa. Sąsiad, który z nim siedział poprzednio u stołu, ubolewał, iż się z nim nie wdawał w rozmowę o sprawach naukowych, a nawet odpowiadał mu wymijająco na pytania z zakresu publicystyki i prawnictwa. Zgodzili się atoli wszyscy na to, iż mu to wszystko wypadło przepuścić — nawet jego wzbranianie się wychylania

klelichów za zdrowie celniejszych osób, gdyż był bądź, co bądź: wysłańcem króla, a nadto bratem powszechnie lubianego wojskiego. Cieszyło zaś ogół gości uprzejme przyjęcie księcia-biskupa przez księcia-wojewodę — tém więcej, ponieważ największa część zgromadzonych sama się przekonała: jak surowo i bezwzględnie biskup w czasie wojny domowej postępował względem wojewody, pustosząc jego dobra i prześladując bez litości jego przyjaciół.

W czwartej grupie opowiadał Szobański o wszelkich szczegółach, które go były zastanowiły w *zachowaniu się starosty*. Naglono, iżby im był nieco dokładniej odślonił zamysły starosty; lecz on mógł tylko tyle stwierdzić, że starostę nie można było odgadnąć, gdyż w jego usposobieniu skojarzyło się za wiele przeciwieństw. Raz zdaje się, że jest dobrym katolikiem i prawym szlachcicem; innym znowu razem wypadaloby sądzić, że należy do wolnomurarzy oraz — że musiał być niegdyś kapelmistrzem i metrem tańców... Opowiadał Szobański ku ubawieniu otaczających go osób, że starosta otrzymał był pojedyncze części stroju jużto od króla, już od księcia-kanclerza, a nawet od pewnej... komedyantki. A przecież odstąpił całą posiadłość we Francji bratu. Nie omieszkał też opowiadający uwiadomić słuchaczy o rozmowie obojga braci o matce, a nawet — ku ogólnemu przerażeniu — o zapatrywaniu się starosty na stósunek swjej matki względem Brühla. To spowodowało rozmowę na upadek obyczajów i honoru. Użalano się, że prawosć szlachecka zasadzała się w chwili bieżącej na niepłaceniu długów, oszukiwaniu podczas gry w karty,

handlowaniu końmi, oczernianiu osób, choć się nie zasłużyło przestąpić ich progi, i szukaniu zadosyćuczynienia za doznane obrazy w pojedynkach — także nieprawidłowych, w których przeciwnicy jedynie dla pozoru strzelają i szablami szermują — nie jak dawniej, kiedy to czyniono na seryo.

Atoli uwaga rozlicznych grup skierowała się powoli w środek sali. Albowiem generałowa wraz z innymi paniami i księciem-wojewodą prosili starostę o odtąnczenie *menueta* według formy, przestrzeganej na dworze króla francuskiego. Sama generałowa przywiodła mu na tancerkę Zofią, gdyż wiedziała, iż się ona w Wilnie wyuczyła tego tańca. Ponieważ zaś kapela księcia nie umiała grać żadanego tańca, pochwycił sam starosta skrzypce, oświadczając gotowość do wyuczenia go kapeli według możliwości; atoli niebawem wykazało się: z jakim on mistrzostwem wodził smykem; toż po kilkakrotnej próbie rozpoczęły się gra orkiestry i sam taniec. Pańska postawa i strój wyszukany tej pary, rzutkość i wdzięk wszelkich jej poruszeń — to wszystko przejęło takim zapalem przypatrujących się Litwinów, iż się przyglądali jakby oczarowani powabnej pantomimie. Skoro się atoli rozpoczął *gawot*, a Zofia — pobudzona ogólnym podziwem, dotykając zaledwie stopą posadzki unosiła się w nadobnych ruchach jakby rusalka napół w powietrzu, znakomity zaś uczeń *Gardela* artyzmem baletnika nie widziany jeszcze obraz uzupełniał: zdawało się, że ta para należała już nie do rodu śmiertelników, ale do pocztu owych istot, jakimi fantazyja zaludnia świat powietrzny niedostępnego bytu.

Na ten widok ogarnął wszystkich podziw; nawet nieprzebragani nieprzyjaciele zagranicznych obyczajów nie mogli odmówić poklasku tańczącym. Gdy tańcząca para menueta zakończyła nader wdzięcznym ukłonem, zerwała się burza jednogłośniego uznania wśród liczego zgromadzenia. Nawet szlachta, która przedtem na starostę niezyczliwie i podejrzliwie spoglądała, cisnęła się teraz, jakby różdżką czarodziejską w usposobieniu zmieniona ku niemu i zarzucała go grzecznościami i pochlébstwami. Wzniesiono toast téj świetnej pary; a bal, który się z początku zdawał ukrywać tak niepomyślne żywioły, zakończył się najzupełniejszym tryumfem starosty.



XI. List starosty wieluńskiego do hr. Mycielskiego.



zczęśliwy z Ciebie człowiek! *Parki**) prze-
dą Ci pasmo życia ze złota i jedwabiu:
czyto u stóp Twój pięknej Kreolki, czy
pośród przyjemności niezrównanego Wersalu pod-
czas, gdy ja muszę marnieć pośród litewskich borów.
I cożyś począł, gdyby Ci wypadło ze mną tutaj
przebywać, skoro w Poznaniu zdołałeś zaledwo mie-
siąc wytrwać — a Wielkopolska jest Francją w po-
równaniu z Litwą?

Rzeczywiście — jakkolwiek się już zaszczyty
i godności hojnie na mnie posypały, nudzi mię ży-
cie. Opuszczając Francją rozstałem się ze szczę-
ściem. Lgnę całkiem sercem do tego kraju, któremu
poświęciłem całą młodość, którą on nektarem chwa-

*) *Parki* — bóstwa ludzkiego życia — przeznaczenia
w liczbie trzech. Jedna podawała przedziwo, z którego druga
smuła pasmo życia, a trzecia je w chwili przeznaczonj przecinała.

ły, przyjemności i nadziei wykarmił. Przypominam sobie każdego dnia: jakto po raz pierwszy pojawiłem się w Wersalu, trofee mego zwycięstwa złożyłem u stóp wielkiego króla — jak na balu tańczyłem z władczynią Francji pośród zdziwionego dworu — a zewsząd brzmiały poszepty: „*Le beau comte polonais!*“ — To wszystko zaś było tylko zapowiedzią szczęścia wyższego. Najwięcej urocze damy na tym dworze ubiegały się o moje względy; książęta krwi panujących domów poszukiwali méj przyjaźni, albowiem wiiesz: *un homme à la mode* jest we Francji *potęgą*. Atoli czyż to długo potrwało? Zaledwo się dwór dowiedział, że dumna i niestała ~~szatan~~ zmieniła usposobienie, zmieniło się téż bezwzględnie moje stanowisko. Toż, gdyby jakieś niejasne przecucie nie było mię skłoniło do bliższego zapoznania się z kilkoma rodakami: jakaż nagroda byłaby mi przypadła w udziale? Musiałbym być poprzestać na skromnej pensyi, udać się na wygnanie w głąb prowincyi i wegetować z rycerzami *św. Ludwika*; albo gdyby szczęście okazało było osobliwszą wspaniałomyślność, byłbym otrzymał pułk, pozostający pod rozkazami jakiego dworaka, któryby mię był upakarzał opowiadaniem o swych sukcesach w Wersalu i dozwalał odczuwać wszelkie kaprysy nadzorujących przełożonych. W miejsce tego uzyskałem obecnie stanowisko niezwykle, gdyż jestem naczelnikiem królewskiego gabinetu, a więc dostojnikiem, który się u was nazywa sekretarzem koronnym. Mam téż widok zostania senatorem; a ta godność zrówna mię według etykiety wersalskiej z parami Francji. A czy sądzisz, że który z mych dworskich

przyjacioł o mnie pamięta, albo choćby w krótkim liście zapyta: jakby się mi powodziło? Gdyby nie Ty i kilku literatów, którzy w imię proselityzmu z całym światem korespondujecie, nie wiedziałbym wcale: co się dzieje we Francyi, chyba może z czasopism i dyplomatycznych aktów, które przechodzą przez moje ręce.

Nie bez podstawy piszę dzisiaj do Ciebie: uwiadomiłeś mnie niedawno, iż hrabina *de Vermont* nie zadowolila się Twoją miłością, aleby Cię pragnęła na zawsze przykuć do swój osoby związkiem sakramentalnym — Ty zaś uważasz to za żarty. Szczęśliwe dziecko! nie domyślasz się, jaka Ci przyszłość świta. Radzę Ci po bratersku: *kuj żelazo, póki rozpalone!* Inaczéj pożałujesz na przeciąg całego życia. Przecież dochodem 200,000 franków nie powinien pogardzać taki hrabia bez — hrabstwa, jakim ty jesteś: tém bardziej, ponieważ Ci ten związek zjedna społeczne stanowisko, jakiego dotychczas nie posiadasz. Największa to niedola: być potomkiem wysokiego rodu i cierpieć niedostatek; nadto obcy hrabia, którego nie zespalaają przynajmniej węzły małżeńskie z narodem, któremu on służy, wygląda na awanturnika. Obecnie towarzyszysz królowi na polowaniach. Ludzie wiedzą, iż byłeś spokrewnionym ze zmarłą królową. Ale to wszystko nic tobie nie pomoże. Skoro tylko będziesz musiał ustąpić z pola, gdy się już do Ciebie uśmiechać nie będą piękne oczy — a bohaterowie zakulisowi szybko się zużywają — popadniesz niebawem bez majątku, krewnych i skoligacenia w niepamięć i będziesz musiał w swym wieku zadowolić się suchym chlebem.

Gdy zaś mieć będziesz bogatą żonę, a nadto z dobrego domu, natenczas, choćby Cię od dworu usunięto, przypadnie Ci w udziale jaki urząd, lub inne odszkodowanie. Gdybyś potem przybył z żoną do Warszawy, nie uwierzyłbyś: ilebyś w niej narobił hałasu — raz dlatego, ponieważś całkowicie zfrancuział, a po polsku takbyś przemawiał, iżby Cię nikt nie rozumiał, potem zaś z tego powodu, iżbyś posiadał pod równikiem kopalnię złota, eksploatowane przez czarno-skórców; nie wiedzianoby: jakieby Ci wyznaczyć miejsce, gdyż tutaj chwilowo tylko pieniądze i to, co zagraniczne, popłaca. Posiadasz zaś ducha — tak jasnego, hojnie uposażonego, iżby Ci można było zazdrościć. Odczytuję królowi Twe listy, których się on nie może nachwalić. Radby Cię poznać i mieć u swego boku. Mimoto wszystko byłoby rzeczą bezpieczniejszą: przybyć tutaj z przygotowanym raczej funduszem, aniżeli żyć z ręki króla. Ożeń się z Swoją Kreolką, a potem przybądź tutaj; a ja Ci zaręczam, że przepędzicie u nas kilka miesięcy bardzo przyjemnie.

Dopytujesz się o nasze niewiasty. Odpowiadam że Warszawianki, mianowicie „wyższego tonu“ są rodzinami siostrami dam wersalskich! Używają tej samej mowy, hołdują tym samym zasadom, posiadają te same zwyczaje i wdzięki; ta sama też jest pełnia ich rozwiozłości, próżności duchowej i ceremonialnej. Wyższe towarzystwa wszelkich europejskich stolic są monetami, bitemi według tego samego stempla; który się znajduje — w Paryżu. Naród francuski jest pierwszym na świecie: tego nikt nie zaprzeczy. I skądże to górujące stanowisko? Wi-

docznie stąd, że tylko on sam posiada stolicę, która żyje z własnego duchowego funduszu; z niego zaś nabywają wszystkie inne narody swój pokarm. Tyczy się to szczególnie Warszawę. Im kto gorętszym pragnie być patriotą, tém usilniej naśladuje Francuzów; toż jeśli się niekiedy napotka typy sarmackich Katonów: można zaraz poznać, iż oni są gośćmi we własnym domu. Powiadam Ci, gdyby się *Wolter*, albo *Lekain**) pojawili na pokojach mego króla, czuliby się więcej w swoim żywiole aniżeli n. p. *Radziwiłł*, wojewoda wileński, albo *Potocki*, wojewoda kijowski. Pierwszy-lepszy awanturnik, który się na nasz dwór przybłąka, napełnia radością magnatą, gdy do niego przemówi z miną protektorską: „*Messieurs — vous êtes les Français du nord!*“ Na prowincyi nie znają jeszcze téj mowy, gdyż się tam jeszcze utrzymała w czystości natura sarmacka. Magnaci kontuszowi są przedstawicielami żywiołu narodowego; pozostają oni w swych dobrach, unikają stolicy, są atoli otoczeni licznym zastępem dworzan i klientów. Ich stronnictwo jest bardzo liczne i potężne, atoli mimo bogactwa i poczciwości bez politycznego znaczenia. Część więcej inteligentna — jak zwykle liczebnie szczupła połączyła się ściśle z przeciwném stronnictwem i pochwyciła stér rządu, przy którym się téż utrzyma. Wszyscy inni mogą tylko być oponentami; i w tém tkwi cała doniosłość ich politycznego znaczenia. Toż jakkolwiek niekiedy dostaną się na pewien czas do seru rządu jak n. p.

*) Najslawniejszy artysta dramatyczny XVIII. wieku we Francyi; umarł w Paryżu 1778.

obecnie: przecież nie zatrzymają go długo w swym ręku. Gdybyśmy całą naszą działalność ograniczyli jedynie na zachowaniu bierności, natenczas oni sami zrzekliby się bardzo rychło tego ciężaru: raz, ponieważ już nie mogli być oponentami, — a przecież to jest główny żywioł narodowości — a potem, ponieważ do uregulowanej duchowej czynności nie są zdolni, ani do niej przyzwyczajeni. Oponują bowiem tutaj rządowi jedynie w celu — oponowania. Naprózno byś szukał w opozycji dążeń politycznych; toż sądzę, iż nie masz łatwiejszej sprawy jak panowanie nad takim narodem. Nie masz tutaj opinii publicznej. Nasz kraj jest rajem dla przedsiębiorczych intrygantów.

Od kilku dni bawię w Nieświeżu i badałem pilnie tutaj, jakoteż w domu mego brata szlachtę z prowincyi. Trudną atoli rzeczą byłoby scharakteryzowanie jęj, ponieważ jęj życie stanowi szereg przeciwieństw. I tak n. p. posiada ta szlachta niesłychane przywileje tak, iż żaden magnat innego narodu nie może się w tym względzie równać z tutejszym najuboższym szlachcicem. A przecież cóż na to powiedzieć: ta szlachta uważa się w obec swego magnata za lud pospolity — tak, iż słowo *szlachcic*, które wszędzie oznacza wyższe stanowisko, tutaj ukrywa coś przykrego. Na prowincyi słychać często wyrażenia: „Jakże téż może posiadać szlachcic podobne rzeczy!“ — albo: „U mnie ubóstwo jak u *szlachcica!*“ Toż kiedy ojciec łaje krnąbrnego syna, powiada mu: „Czyż nie jesteś szlachcicem, aby się ciągle chylić; nie potrzebaż ci trzymać ciągle czapkę w ręku, a nie na głowie?“

Wybrańce narodu, jakich we Francyi oznaczają wyrazem *le baronage*, to są tutaj jedynie magnaci; i jakkolwiek się nie opierają na żadnym prawnym tytule, są przecież przedstawicielami narodu. Nie różnią się oni w istocie pańskim obejściem od francuskich parów, ani od hiszpańskich grandów; owszem u nich poniekąd wyższy ton arystokratyczny, albowiem dotychczas jeszcze nic nie ograniczyło ich feudalnej potęgi, jaką w swych rozległych dobrach rozwijają. Jeśli kto zapyta: dlaczego samoistna szlachta pozwala na taką przewagę magnatów, gdy przecie ustawa krajowa temu się sprzeciwia i wyraźnie orzeka: „*Satuchcie na zagrodzie równy wojewodzie!*“ — natenczas odpowiedź nie będzie trudną. Jest u nas tylko coś trzydzieści domów, które można nazwać znakomitými i bogatými; reszta szlachty rozpada się na dwa działy; z tych jeden służy oficjalnie magnatom, drugi pożywa ich chleb.*) Jak długo więc magnaci mieć będą jeszcze tyle, że zdołają szlachtę tuczyć i obdarowywać ją, tak długo drżymać sobie będą w księgach ustawowych narodowa równość. Nie chępi się też tą równością szlachta, lecz sami magnaci. Toż książe *Radeiwilt* „*Panie Kochanku!*“ — podpiszący sobie ukazuje swój pas *skórzany* z popod bogato wyszywanój wstęgi i oświadcza przy tém z zupełną słusnością, że z wiérzchu jest wielkim panem, a pod tą osłoną skromnym szlachcicem. Szlachta nie myśli bynajmniej

*) Prosimy Czytelników uprzejmie o pamiętanie, że autor powyższego listu wychował się we *Francyi* i przedstawia stan rzeczy według własnego powierzchownego wrażenia.

o równaniu się z magnatami. Magnat staje się dopiero wtedy równym szlachcicowi, gdy mu już nic dać nie może. Atoli taki stan rzeczy przejmuje poniekąd zgrozą. Całość jest politycznym anachronizmem, którego rozwiązanie jest łatwe do odgadnięcia. Reforma zdaje się być niezbędną; dąży też do niej wazystko, co nie jest przejęte zabójczym przesądem. Atoli i to każdy jasno pojmuje, że w samym narodzie nie masz żywotnej siły, któraby zdołała uskutecznić tę reformę. Nie pozostanie tedy nic innego jak odwołanie się do państw ościennych: jużci straszliwy środek zaradczy, ale cóż robić? Wszak się już nie da nadal utrzymać nawet istniejące *status quo* *) bez zezwolenia obcych mocarstw. Gdyby nasz król przed kilku laty, zamiast intryg, w jakie się był wdał, był skorzystał z władzy, którą mu państwa ościenne powierzyły, reforma byłaby dzisiaj dokonana; atoli on postąpił sobie jakby rycerz romantyczny z buntującymi się panami i zaślepioną szlachtą i to ze swęj ku nim skłonności. Chciał on reformę radykalną pokropić „wodą reformatorską.“ To pogorszyło jeszcze nasze położenie. Żyjemy z dnia na dzień wśród nieustannych intryg, lękamy się przewidywanej przyszłości, a sami ją sprowadzamy, nie mogąc znieść chwili bieżącej. Toż w istocie nie może obecny stan rzeczy nadal potrwać, albowiem na czémże się on opiera, jeśli nie na potędze i wpływie magnatów, których jedyném prawie źródłem jest rozrzutność, kryjąca znowu w swém łonie ruinę? Ot, n. p. to olbrzymie bo-

*) Stan rzeczy — położenie bieżącej chwili, obecne.

gactwo *Radziwiłłów* jest już tak dalece zadłużone, że się prędzej, lub później wszystko skończy. Jeśli atoli magnat, zważając na przyszłość zechce zaprowadzić u siebie oszczędność, natychmiast upadają jego wpływ i popularność. Znalazłby się jutci środek do szczęśliwego wyjścia, gdyby się mianowicie magnaci połączyli z królem w celu wsparcia przedewszystkiem władzy królewskiej. Wówczas byłaby reforma wcale łatwą: przywleclibyśmy szlachtę do milczenia i to nie złotem, lecz piaskiem do posypywania aktów. Atoli najpotężniejsi magnaci u j. ci, którzy żyją na prowincyi, stawiają nam najzaciętszy opór. W swém zaślepieniu nie poznają, że pracujemy dla nich samych, dla ich ocalenia. Bez silnego rządu, bez potężnego ramienia nie uda się im bynajmniej zaspokojenie na czas dłuższy chciwości i głodu szlachty. Chociażby sobie wszystkie królewszczyzny przywłaszczyli, byłoby to tylko chwilowém powstrzymaniem ruiny, gdyżby się dochody z nich rozplynęły, chociażby sobie nawet najsurowszą ustawą zabezpieczyli niesprzedajność swych posiadłości. Wszystko im nic nie pomoże. Ich zamiary pełzną na niczém tym, lub owym sposobem, a niekiedy zupełnie niespodzianie i dziwnie! Najjaśniejszym tego przykładem książę *Ostrowski*. Troszcząc się o los potomków utworzył ten magnat majorat z kilkutyścicy wiosek i to z zastrzeżeniem, że po wygaśnięciu jego rodu t. j. męskich i żeńskich potomków ta olbrzymia instytucya miała przejść na własność *zakonu maltańskiego*, iżby z niej potworzono komanderye dla polskiej szlachty. W akcie erekcyjnym zastrzegł sobie książę wyraźnie, iż księ-

Na ten widok ogarnął wszystkich podziw; nawet nieprześlągani nieprzyjaciele zagranicznych obyczajów nie mogli odmówić pokłasku tańczącym. Gdy tańcząca para menueta zakończyła nader wdzięcznym ukłonem, zerwała się burza jednogłośniego uznania wśród liczego zgromadzenia. Nawet szlachta, która przedtem na starostę niezycliwie i podejrzliwie spoglądała, cisnęła się teraz, jakby różdżką czarodziejską w usposobieniu zmieniona ku niemu i zarzucała go grzeczościami i pochlébstwami. Wzniesiono toast téj świetnej pary; a bal, który się z początku zdawał ukrywać tak niepomyślnie żywióły, zakończył się najzupelniejszym tryumfem starosty.



intrygi ze służącymi „jaśnie oświeconej“ pani, bo one są albo szlachciankami i w tym razie ciałem i duszą przywiązane do domu, albo poddańkami, które obawa utrzymuje w rygorze. Tylko w całkiem wyjątkowych okolicznościach mogłoby się komu udać pozyskanie sobie serca samej *dziedziczki*. Jej domem bywa często tylko słoma pokryta strzecha, a przecież przedstawia Wersal w miniaturze, w którym oczy wszystkich są zwrócone na „panującą parę.“ Toż zemsta zazdrosnego szlachcica bywa tutaj straszliwszą aniżeli we Francji zemsta najpotężniejszego magnata. Tam można uciec się do szabli; tutaj czulemu wielbicielowi „*garbują skórę*“; on zaś nie może się pomścić, gdyż obrażony szlachcic ma *wszystkich* za sobą. Znam tylko jedną „zaletę“, któraby ułatwiała sprawę *pour un homme à bonnes fortunes* t. j. picie bez miary, albowiem tutaj uważa się każdy za „mocną głowę.“ — Toż nic bardziej nie pochlebia jak, gdy się kto może pochwalić, iż gościa w swym domu przewyższył — miarą spożytych napojów. Wypadałoby zatem dotrzymać pola gospodarzowi przy picciu, a potem osadziwszy go pod ławą udać się do jęjmości. Mogłaby się sprawa udać, gdyż i tutejsze kobiety mają naturę „piérzatego rodu.“ Jest rzeczą łatwiejszą pochwycenie ich, aniżeli zbliżenie się do nich. Gdyby zaś sprawa spełzła na niczém, możnaby było usprawiedliwić natręctwo stanem nietrzeźwości; a co większa: szlachcic upatrywałby w tém tylko połowicze zwycięstwo przeciwnika. Ale to nie nasze, a już najmniej moje rzemiosło; wołę poczuć w ciele żelazne ostrze aniżeli kilka — butelek wina.

ły, przyjemności i nadziei wykarmił. Przypominam sobie każdego dnia: jakto po raz pierwszy pojawiłem się w Wersalu, trofee mego zwycięstwa złożyłem u stóp wielkiego króla — jak na balu tańczyłem z władczynią Francji pośród zdziwionego dworu — a zewsząd brzmiały poszepty: „*Le beau comte polonais!*“ — To wszystko zaś było tylko zapowiedzią szczęścia wyższego. Najwięcej urocze damy na tym dworze ubiegały się o moje względy; książęta krwi panujących domów poszukiwali méj przyjaźni, albowiem wiész: *un homme à la mode* jest we Francji *potęgą*. Atoli czyż to długo potrwało? Zaledwo się dwór dowiedział, że dumna i niestała ~~sakana~~ zmieniła usposobienie, zmieniło się téż bezwzględnie moje stanowisko. Toż, gdyby jakieś niejasne przecucie nie było mię skłoniło do bliższego zapoznania się z kilkoma rodakami: jakaż nagroda byłaby mi przypadła w udziale? Musiałbym był poprzestać na skromnej pensyi, udać się na wygnanie w głąb prowincyi i wegetować z rycerzami *św. Ludwika*; albo gdyby szczęście okazało było osobliwszą wspinałomyślność, byłbym otrzymał pułk, pozostający pod rozkazami jakiego dworaka, któryby mię był upakarzał opowiadaniem o swych sukcesach w Wersalu i dozwalał odczuwać wszelkie kaprysy nadzorujących przełożonych. W miejsce tego uzyskałem obecnie stanowisko niezwykle, gdyż jestem naczelnikiem królewskiego gabinetu, a więc dostojnikiem, który się u was nazywa sekretarzem koronnym. Mam téż widok zostania senatorem; a ta godność zrówna mię według etykiety wersalskiej z parami Francyi. A czy sądzisz, że który z mych dworskich

przyjaciół o mnie pamięta, albo choćby w krótkim liście zapyta: jakby się mi powodziło? Gdyby nie Ty i kilku literatów, którzy w imię proselityzmu z całym światem korespondujecie, nie wiedziałbym wcale: co się dzieje we Francyi, chyba może z czasopism i dyplomatycznych aktów, które przechodzą przez moje ręce.

Nie bez podstawy piszę dzisiaj do Ciebie: uwiadomiłeś mnie niedawno, iż hrabina *de Vermont* nie zadowolila się Twoją miłością, aleby Cię pragnęła na zawsze przykuć do swęj osoby związkiem sakramentalnym — Ty zaś uważasz to za żarty. Szczęśliwe dziecko! nie domyślasz się, jaka Ci przyszłość świta. Radzę Ci po bratersku: *kuj żelazo, póki rozpalone!* Inaczęj pożałujesz na przeciąg całego życia. Przecież dochodem 200,000 franków nie powinien pogardzać taki hrabia bez — hrabstwa, jakim ty jesteś: tém bardzięj, ponieważ Ci ten związek zjedna społeczne stanowisko, jakiego dotychczas nie posiadasz. Największa to niedola: być potomkiem wysokiego rodu i cierpieć niedostatek; nadto obcy hrabia, którego nie zespalają przynajmnięj węzły małżeńskie z narodem, któremu on służy, wygląda na awanturnika. Obecnie towarzyszysz królowi na polowaniach. Ludzie wiedzą, iż byłeś spokrewnionym ze zmarłą królową. Ale to wszystko nic tobie nie pomoże. Skoro tylko będziesz musiał ustąpić z pola, gdy się już do Ciebie uśmiechać nie będą piękne oczy — a bohaterowie zakulisowi szybko się zużywają — popadniesz niebawem bez majątku, krewnych i skołigacenia w niepamięć i będziesz musiał w swym wieku zadowolić się suchym chlebem.

Gdy zaś mieć będziesz bogatą żonę, a nadto z dobrego domu, natenczas, choćby Cię od dworu usunięto, przypadnie Ci w udziale jaki urząd, lub inne odszkodowanie. Gdybyś potem przybył z żoną do Warszawy, nie uwierzyłbyś: ilebyś w niej narobił hałasu — raz dlatego, ponieważś całkowicie zfrancuział, a po polsku takbyś przemawiał, iżby Cię nikt nie rozumiał, potem zaś z tego powodu, iżbyś posiadał pod równikiem kopalnię złota, eksploatowane przez czarno-skórców; nie wiedzianoby: jakieby Ci wyznaczyć miejsce, gdyż tutaj chwilowo tylko pieniądz i to, co zagraniczne, popłaca. Posiadasz zaś ducha — tak jasnego, hojnie uposażonego, iżby Ci można było zazdrościć. Odczytuję królowi Twe listy, których się on nie może nachwalić. Radby Cię poznać i mieć u swego boku. Mimoto wszystko byłoby rzeczą bezpieczniejszą: przybyć tutaj z przygotowanym raczej funduszem, aniżeli żyć z ręki króla. Ożeń się z Swoją Kreolką, a potem przybądź tutaj; a ja Ci zaręczam, że przepędzicie u nas kilka miesięcy bardzo przyjemnie.

Dopytujesz się o nasze niewiasty. Odpowiadam że Warszawianki, mianowicie „wyższego tonu“ są ródzonymi siostrami dam wersalskich! Używają téj saméj mowy, hołdują tym samym zasadom, posiadają te same zwyczaje i wdzięki; ta sama téż jest pełnia ich rozwiozłości, próżności duchowéj i ceremonialnéj. Wyższe towarzystwa wszelkich europejskich stolic są monetami, bitemi według tego samego stempla; który się znajduje — w Paryżu. Naród francuski jest pierwszym na świecie: tego nikt nie zaprzeczy. I skądże to górujące stanowisko? Wi-

docznie stąd, że tylko on sam posiada stolicę, która żyje z własnego duchowego funduszu; z niego zaś nabywają wszystkie inne narody swój pokarm. Tyczy się to szczególnie Warszawę. Im kto gorętszym pragnie być patriotą, tém usilniej naśladuje Francuzów; toż jeśli się niekiedy napotka typy sarmackich Katonów: można zaraz poznać, iż oni są gośćmi we własnym domu. Powiadam Ci, gdyby się *Wolter*, albo *Lekain**) pojawili na pokojach mego króla, czuliby się więcej w swoim żywiole aniżeli n. p. *Radziewicz*, wojewoda wileński, albo *Potocki*, wojewoda kijowski. Pierwszy-lepszy awanturnik, który się na nasz dwór przybłąka, napełnia radością magnatą, gdy do niego przemówi z miną protektorską: „*Messieurs — vous êtes les Français du nord!*“ Na prowincyi nie znają jeszcze tej mowy, gdyż się tam jeszcze utrzymała w czystości natura sarmacka. Magnaci kontuszowi są przedstawicielami żywiołu narodowego; pozostają oni w swych dobrach, unikają stolicy, są atoli otoczeni licznym zastępem dworzan i klientów. Ich stronnictwo jest bardzo liczne i potężne, atoli mimo bogactwa i poczciwości bez politycznego znaczenia. Część więcej inteligentna — jak zwykle liczebnie szczupła połączyła się ściśle z przeciwnym stronnictwem i pochwyciła stér rządu, przy którym się też utrzyma. Wszyscy inni mogą tylko być oponentami; i w tém tkwi cała doniosłość ich politycznego znaczenia. Toż jakkolwiek niekiedy dostaną się na pewien czas do seru rządu jak n. p.

*) Najslynniejszy artysta dramatyczny XVIII. wieku we Francyi; umarł w Paryżu 1778.

obecnie: przecież nie zatrzymają go długo w swym ręku. Gdybyśmy całą naszą działalność ograniczyli jedynie na zachowaniu bierności, natenczas oni sami rzekliby się bardzo rychło tego ciężaru: raz, ponieważ już nie mogli być oponentami, — a przecież to jest główny żywioł narodowości — a potem, ponieważ do uregulowanej duchowej czynności nie są zdolni, ani do niej przyzwyczajeni. Oponują bowiem tutaj rządowi jedynie w celu — oponowania. Naprózno byś szukał w opozycji dążeń politycznych; toż sądzę, iż nie masz łatwiejszej sprawy jak panowanie nad takim narodem. Nie masz tutaj opinii publicznej. Nasz kraj jest rajem dla przedsiębiorczych intrygantów.

Od kilku dni bawię w Nieświeżu i badałem pilnie tutaj, jakoteż w domu mego brata szlachtę z prowincyi. Trudną atoli rzeczą byłoby scharakteryzowanie jęj, ponieważ jęj życie stanowi szereg przeciwieństw. I tak n. p. posiada ta szlachta niesłychane przywileje tak, iż żaden magnat innego narodu nie może się w tym względzie równać z tutejszym najuboższym szlachcicem. A przecież cóż na to powiedzieć: ta szlachta uważa się w obec swego magnata za lud pospolity — tak, iż słowo *szlachcic*, które wszędzie oznacza wyższe stanowisko, tutaj ukrywa coś przykrego. Na prowincyi słyhać często wyrażenia: „Jakże téż może posiadać szlachcic podobne rzeczy!“ — albo: „U mnie ubóstwo jak u *szlachcica!*“ Toż kiedy ojciec łaje krnąbrnego syna, powiada mu: „Czyż nie jesteś szlachcicem, aby się ciągle chylić; nie potrzebaż ci trzymać ciągle czapkę w ręku, a nie na głowie?“

Wybrańce narodu, jakich we Francyi oznaczają wyrazem *le baronage*, to są tutaj jedynie magnaci; i jakkolwiek się nie opierają na żadnym prawnym tytule, są przecież przedstawicielami narodu. Nie różnią się oni w istocie pańskim obejściem od francuskich parów, ani od hiszpańskich grandów; owszem u nich poniekąd wyższy ton arystokratyczny, albowiem dotychczas jeszcze nic nie ograniczyło ich feudalnej potęgi, jaką w swych rozległych dobrach rozwijają. Jeśli kto zapyta: dlaczego samotna szlachta pozwala na taką przewagę magnatów, gdy przecie ustawa krajowa temu się sprzeciwia i wyraźnie orzeka: „*Salochic na zagrodzie równy wojewodzie!*“ — matenezas odpowiedź nie będzie trudną. Jest u nas tylko coś trzydzieści domów, które można nazwać znakomitými i bogatými; reszta szlachty rozpada się na dwa działy; z tych jeden służy oficjalnie magnatom, drugi pożywa ich chleb.*) Jak długo więc magnaci mieć będą jeszcze tyle, że zdołają szlachtę tuczyć i obdarowywać ją, tak długo drżymać sobie będzie w księgach ustawowych narodowa równość. Nie chełpi się też tą równością szlachta, lecz sami magnaci: Toż ksiązę *Radaiwill* „*Panie Kochanku!*“ — podpiwszy sobie ukazuje swój pas *skórzany* z popod bogato wyszywanej wstęgi i oświadcza przy tém z zupełną słusnością, że z wierzchu jest wielkim panem, a pod tą osłoną skromnym szlachcicem. Szlachta nie myśli bynajmniej

*) Prosimy Czytelników uprzejmie o pamiętanie, że autor powyższego listu wychował się we Francyi i przedstawia stan rzeczy według własnego powierzchownego wrażenia.

a opodal zabudowanie do wędzenia mięsiwa, murowana stajnia z wozownią i masztarnią.

Sam dom, nazywany przez mieszkańców wsi „zankiem“ opierał się o ganek, na którego przyczółku były umieszczone herb Kunickich, a poniżej napis w dużych literach:

„*Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eum!*“ *)

Z ganku wchodziło się do obszernej sieni, opalanej porą zimową. W niej służba dworska, czekając na rozkazy pana zajmowała się przedzeniem, wyrabianiem sieci i t. p. rzeczy.

W tej sieni znajdował się ponad drzwiami, wiodącymi do pokoju gościnnego wizerunek *Najświętszej Panny boruńskiej*. Umeblowanie tego w całym domu najokazalszego pokoju stanowiły dwie kanapy, tuzin krzeseł, pokrytych płóciem, dwa stoły i komoda. U okien zwisały muszlinowe franki, nad kominem znajdowało się zwierciadło; a na ścianach wisiały wizerunki króla *Augusta III.*, królowej *Maryi Józefy*, księcia *Karola Radziwiłła* i jego rodziców, malowane olejno przez miejscowego księdza-unitę według oryginałów, znajdujących się w sali portretowej w *Nieświeżu*. Były też w tym pokoju cztery portrety przodków samego dziedzica.

Z tego pokoju wiodły drzwi do przyległego, przeznaczonego dla gości znakomitych, w którym księżę-wojewoda, czyniąc tém gospodarzowi zaszczyt częściej nocował. Tutaj były sprząty jeszcze skrom-

*) Jeśli Pan nie zbuduje domu, napróżno pracują, którzy go budują.

niejsze: dwa dębowe stoły, na jednym z nich toaletka i skrzynka z warcabami, na drugim drewniany krucyfix, a na ścianach kilka wizerunków świętych Pańskich. Z przeciwnéj strony była alkowa, sypialnia gospodarza; ponad łóżkiem wisiał duży obraz *Najświętszej Panny ostrobramskiej*, przekazywany z błogosławieństwem z pokolenia na pokolenie. Pod obrazem były gromnica, woda święcona w naczyniu z kropidłem, kilka wierzbowych gałązek z ostatniej *niedzieli Palmowej* oraz kilka wianków z aromatycznych ziół na *Boże ciało*. U łóżka stał duży sukniem okryty stół, a na nim mały srebrny krucyfix, różaniec z drzewa kokosowego i dzwonek z *Loretu*, który — obnoszony w czasie burzy przez pacholę po domu chronił całą wieś od piorunu i gradu. Do alkowy przypierał pokój mieszkalny sędziwej szafarki, która prowadziła gospodarstwo w domu pod nadzorem łowczanki.

Sień oddzielała pokój gościnny od obszernéj sali, gdzie się znajdował stary jak sam dwór dębowy stół, do którego mogło zasiąść wygodnie przeszło czterdzięci osób; dookoła zaś stały zieloném sukniem obite ławy. Pomiedzy wchodowemi drzwiami a kominem stał zegar, według którego stósował się cały ład domowy. Po przeciwnéj stronie opodal u okna znajdowała się skrzynia z bielizną stołową, budka barometrowa z pustelnikiem, przepowiadającym stan pogody. To wszystko było pod nadzorem sędziwego kredensowego z długą białą brodą, który u swego pana sprawował także obowiązki golibrody i fryzyera. Z sali wchodziło się do małego, a przecież najważniejszego pokoju

w całym domu t. j. do kancelaryi gospodarza. Tutaj zwykł pan domu odpoczywać codziennie po obiedzie godzinę na wąskim żelaznym tapczanie z matercem ze zielonej skóry i takim samém wezgłowiem zamszowém. W głowach wisiał obraz jego patrona św. Józefa, pod nim mapa Europy, a obok w około zatknięte były na licznych gwoździach rozmaite gatunki broni i przybory myśliwskie. Na małym stole ze wsuwką znajdowały się krucyfix, potrzeby do mycia się i golenia oraz książka do modlitwy. U jednego z okien stało biurko wysokie do pisania na niém stojąco z półkami; a na nich znajdowały się: *biblia, herbarz, kronika, Żywoty Świętych Pańskich*, dzieła podówczas najwięcej lubianego poety, *kodeks prawny, książki gospodarcze* i t. p. W dolnych wsuwkach były *rejestry, księgi kasowe, wykazy inwentarskie i sprawozdania ekonomiczne*. Na biurku widać było wszelkie potrzebne przybory do pisania; zaś korespondencye, rodowód familijny, metryki chrztu i świadectwa sepultury, patenty jenerała, laudum województwa mińskiego i trucizna na szczury były przechowywane pod zamknięciem.

W domu znajdowały się jeszcze trzy pokoje, wysunięte ku ogrodowi; były to garderoba Zofii i łowczanki, ich sypialnia — a w trzecim pracowały one i przyjmowały odwiedzające je sąsiadki.

Tak wyglądała mniej-więcej siedziba jenerała Kunickiego; wszystko było w niej skromne, mierne, zwyczajne. Tylko na dziedzińcu ściągał na siebie oczy widza budynek, którym była kaplica.

Słusznie zauważa pewien słynny pisarz, że *tam, gdzie domy prywatne są ubogie i niepokazne; budynki*

publiczne bywają wspaniałe i kosztowne, społeczeństwo hartowne, zdrowe i pełne życia; przeciwnie, gdzie kościoły są drewniane, budynki szkolne zaniedbane, a obok nich wspaniałe pałace dziedziców, tam można zawołać: „Biadaż tej ziemi, biada jej mieszkańcom!”

Kaplicę w Niewodowie wybudował według pierwowzoru kaplicy do chrzczenia w *Medyolanie* uzdolniony budowniczy paryski, który ją pokrył w ogniu złożoną miedzianą blachą. Ołtarz był sporządzony z gładzonego granitu, filary, na których spoczywały organy, z gipsu, podobnego do marmuru. Świeczniki i ramy obrazu ołtarzowego, wieczna lampa przed *sanctissimum* *) były sporządzone z litego srebra, kościelne naczynia, szaty i reszta przyborów bogato wyposażone.

Dowodem, iż architektura była tutaj piękną i sumienną, jest ta okoliczność, że kaplica przetrwała wszystkie inne budynki. Z dawnego dworu nie widać już ani śladu; nawet z alei lipowej pozostała tylko pewna część; jednak kaplica, chociaż zamieniona na altanę obudza jeszcze teraz uwagę i podziw wszystkich zwiedzających to miejsce.

W czasie, w którym Czytelnika wprowadzamy do Niewodowa, tchnącego taką ciszą i prostotą, pozostawał generał w domu i to ku swemu niemałemu niezadowoleniu, że nie mógł społem z innymi gośćmi pojechać do Nieświeża. Rozweselił go przecież powrót córki z uroczystości imienin księcia-wojewody. Ponieważ atoli ojciec mniemał, że podróż zapewne

*) Najświętszy Sakrament.

ją znużyła, więc uwolnił ją niebawem, odraczając rozmowę o przyjemnościach, jakich Zofia doznała z innymi gośćmi w Nieświeżu, na dzień następny. Mogła zaś była ona nastąpić tylko po obiedzie, ponieważ stary generał od zaprowadzonego u siebie porządku nie byłby odstąpił za żadną cenę. Przed obiadem bowiem widywał się z córką tylko w kaplicy; wychodząc z niej po mszy i witając ojca zwykłym „*Dzień dobry!*“ całowała Zofia jego rękę i wracała potem z łowczanką do swego pokoju, gdzie się aż do obiadu zatrudniała niewieścią i domową robotą.

Panna łowczanka była siostrzenicą generała i chowała się od najwcześniejszej młodości w jego domu. Na jej rękę skonała generałowa; ona pielęgnowała jej dzieci, z których wszystkie wymarły oprócz Zofii. Przełała więc swą miłość na pozostałą sierotę; toż Zofia byłaby się wielce rozpieściła, gdyby nie była posiadała wyjątkowo dobrego usposobienia, albowiem ciotka była nieograniczoną panią w domu tak, iż sam generał musiał wysłuchać niekiedy poważne przedstawienie, jeśli jego charty zrzędziły jaką szkodę, albo który z jego sług dopuścił się zdrożności w kuchni, lub w pralni. Pośród domowników odszczególniała ciotka księdza unickiego, którego córka długo u niej służyła. Stanowiła zaś ze względu na staro-panieństwo wyjątek, ponieważ jej jedynym „dziwactwem“ było przywiązanie do pieska — bolończyka. Zresztą chełpiła się tém, iż ją nikt nie przewyższał, gdy się rozchodziło o spełnianie przepisów religijnych, sporządzanie najlepszych likierów i najwytworniejszych konfitur.

Obok niéj odgrywał wybitną rolę na dworze niewodowskim ojciec *Kleofas*, bernardyn. Będąc od lat trzydziestu kapelanem domowym zajmował się on także ogrodnictwem, tokarstwem i budownictwem. Dla siebie surowy okazywał się przecieź w towarzystwie świeckim zawsze wesołym i miłym, a chociaż mu wiara nakazywała upatrywać zbawienie wyłącznie na łonie kościoła katolickiego, nie okazywał jednakże niechęci względem innowierców; żył nawet w przyjaźni z majorem *Kryczyńskim*, litewskim szlachcicem, który atoli wyznawał wiarę mahomekańską. Jużci nie omieszkał ojciec Kleofas namawiać „bisurmana“ do nawrócenia się; a chociaż się mu to nie udało, nie poprzestał odwiedzać niedowiarka, a nawet go u siebie przyjmować, gdy w przejeździe nocował w Niewodowie. Czcigodny bernardyn był generałowi pomocnym nietylko w sprawach duchownych, ale i domowych i przyczyniał się wielce do rozerwania jego myśli. Grywał z nim w marysza i warcaby, ściągał z nim wino do flaszek, uprawiał tytoń, zakładał plantacye i szczepił drzewka w ogrodzie. Przytem poważano go tak dalece w klasztorze, iż mu od wielu lat na każdej kapitule ofiarowywano pastorał gwardyana; atoli on téj godności nie przyjmował: jużto wskutek skromności i pokory, już dlatego, ponieważ tak dalece przywykł do Niewodowa, że się z niéim za żadną cenę nie chciał rozstać.

Trzecią ważną osobistością na niewodowskim dworze był *Jacek Buńczukiewicz*, liczący przeszło sześćdziesiąt lat, jeneralny zarządca dóbr, który się w nich urodził i po swym dziadzie i ojcu urząd

objął. Posiadał on niegraniczone zaufanie generała, którego interesom nietylko poświęcał swe trudy, ale samego siebie oddał w ofiarę. Kiedy w czasie ostatnich niepokojów generał z księciem Karolem Radziwiłłem wyruszyli byli w pole, wziął na siebie Buńczukiewicz obronę Niewodowa i został wówczas wielce poturbowanym od kozaków. Uważał się on atoli nietylko za osobę prywatną, ale brał gorliwie udział w każdej rozmowie, jeśli za przedmiot miała coś *ex publicis*.*) Jakkolwiek mieszkał we własnej zagrodzie, obiadował przecież codziennie u dziedzica i zdawszy sprawę z gospodarki zabawiał go politycznemi od żydów i karczmarzy otrzymanemi wiadomościami. Przed dwudziestu przeszło laty poślubił on pokojówkę ś. p. generałowej i cieszył się licznem potomstwem. Podówczas nie sprawiało wychowanie dzieci tyle trudności i trosk co dzisiaj. Miał on szesnaścioro dzieci: dziesięciu synów i sześć córek i umieścił je wszystkie, gdy podrosły, częścią w służbie generała, częścią u jego znajomych. Toż dwie najstarsze córki powychodziły już za mąż: jedna za zaprzysiężonego geometrę, druga za plebana-unite w sąsiedniej wiosce.

Buńczukiewicz był nie tyle znakomitym gospodarzem wiejskim, ile wiernym sługą swego pana, który téż chętnie przeoczał poczynione przez niego błędy w gospodarce, ponieważ wyżej cenił sumienność swego zarządcy, aniżeli korzyści, jakieby mu mógł być roztropniejszy władarz przysporzyć. Zresztą istniał w rodzinie zwyczaj zdawania zarządu dóbr

*) Ze spraw publicznych — coś politycznego.

z ojca na syna. Uznawał też sługa to dobrodziejstwo i mógł być zadowolony ze swego stanowiska, albowiem — jakkolwiek otrzymywał nie więcej nad 300 tynfów rocznej płacy, pobierał przecież hojną ordynaryą i bardzo liczne akcydensy. Miał pozwolenie do utrzymywania dwudziestu sztuk bydła na obroku dziedzica, pobierał tantyemy od kontraktów, miał zarobek na koniach, tudzież do użycia mieszkanie z ogrodem, łąką, stawem, kilka morgów gruntu i pięcioro poddanych.

Czwartą nie mniej ważną osobą na dworze niewodowskim był ruski ksiądz, nazwiskiem *Nowochacki* — wdowiec, pozostający w wielkich łaskach u jenerała, atoli nie mniej u jego plebana obrządku łacińskiego. Jego syn przeszedł był na łono kościoła katolickiego i posiadał w charakterze profesora prawa kanonicznego piękne beneficjum w pobliżu *Brześcia*. Jego w domu jenerała wychowana córka była zaręczoną z kapelanem-unitą, który wspierał w urzędzie swego przyszłego teścia. Teść zaś nie był bynajmniej w tak podeszłym wieku, iżby nie mógł być sprawować swych obowiązków; atoli władza duchowna tak zarządziła i to za wstawieniem się jenerała, ponieważ się dowiedziała o myśliwskim zamiłowaniu plebana i rzecz na seryo traktowała. Ksiądz zgodził się chętnie na to rozporządzenie, gdyż mu chodziło mniej o dochody *curae animarum**) zwłaszcza, iż miał kilka tysięcy złotych, ulokowanych na odsetki u jenerała, anizeli

*) Z zawiadywania duszami.

o łowy, które nad wszystko lubił, a ta namiętność u niego z wiekiem wzrastała.

Obok Nowochackiego widywano tam jeszcze pewnego księdza, który — chociaż się nie zaliczał do dworu niewodowskiego, przecie go często odwiedzał i bywał tutaj w gościnie. Był nim *Prosper Chlebawicz*, bliski krewny generała, który się za młodu poświęcał rozmaitym zawodom, był uczniem zagranicznych akademii, a wkońcu obrał sobie stan duchowny. Utraciwszy nadzieję *altioris ascensus* *) w hierarchii kościelnej i wżgardziwszy ubieganiem się o beneficya u dziedziców ograniczył swą działalność i obcował już jedynie z krewnymi i przyjaciółmi. Ponieważ nie posiadał wyższych duchowych zalet, samotność była dla niego nieznośną, dlatego też odwiedzał często generała, który tém więcej odpowiadał jego uzdolnieniu, ponieważ dla niego religia nie była przedmiotem rozmyślenia i pouczenia, ale zwyczajem, nawyknieniem. Gdy generał był zdrów, nie opuszczał żadnego odpustu w okolicy. Codziennie słuchał po odmówieniu długotrwałych rannych modlitw — jednej, lub dwojga mszy; wieczorem zaś odmawiał litanją i różaniec. Atoli modlitwa nie podnosiła jego ducha; była ona dla niego raczej duchowném ćwiczeniem. Słuchał kazania z wielkiém nabożeństwem i cierpliwością, jakkolwiek go ono nudziło. Chociaż był w latach, przestrzegał surowo wszelkich postów i czytywał od czasu do czasu prawidłowo jakąś książkę treści religijnej. Kiedy się atoli z nim ksiądz *Prosper* chciał za-

*) Postąpienia na urządzie.

puszczać w rozpamiętywania, słuchał tylko pozornie jego wywodów. Kiedy on mianowicie rozprawiał o grzechu pierworodnym, odkupieniu, sądzie i wieczności, myślał generał zwykle i mimowolnie o swych łowach, o gospodarstwie, sejmikach i t. d. Jakkolwiek chętnie generał księdza u siebie widywał i często całemi tygodniami zatrzymywał, cieszył się przecież w duchu, ile razy on od niego odjeżdżał. Osobliwsze zacenianie swój wiedzy, lub swego stanu wywołuje zwykle wrażenie niemile: a ksiądz *Prosper* przywiązywał do obojga wielką wagę. Unikali go też nawet jego koledzy w domu generała; toż i *Buńczukiewicz* nie śmiał w obec niego głosić swych nowin *ex publicis*. Tylko Zofia przysłuchiwała się z pewnym zamięłowaniem i uwagą opowiadaniom księdza-wuja. Miała dla niej urok mowa także o innych rzeczach aniżeli o tych, jakie codziennie w domu słyszała.

Generał zaprowadził był u siebie następujący codzienny porządek: wstawał zrana o godzinie piątej, odmawiał w kancelaryi pewną ilość pacierzy, spożywał następnie czarę piwa grzanego z twarogiem i śmietaną i ubrawszy się słuchał mszy świętej. Za nic w świecie nie byłby poszedł w domowej kapocie do kościoła, sądził bowiem, że jeśli się godzi odwiedzać męża znakomitego tylko w uniformie, to uszanowanie należy się przecie także Panu nad pany, przytomnemu na ołtarzu w najświętszym Sakramencie. Przywdziewał też mundur kawaleryi narodowej, przypinał szlify i szablę i usiadłszy przy stole palił fajkę, czekając na dzwonięcie w kaplicy. Gdy je usłyszał, powstawał, ale dopiero wtedy, gdy

go wszystkie inne osoby wyprzedziły, i udawał się do kaplicy. Tutaj zastawał zwykle księdza Kleofasa u ołtarza, Zofią i jej ciotkę w ławkach, a czeladź na kolanach. On sam słuchał prawie całej mszy kłęcząco i siadał w ławce dopiero wtedy, gdy ksiądz *Prosper* rozpoczął mszę drugą. A gdy się i ta skończyła, powracał ku swemu niemałemu zadowoleniu z siostrą i córką do domu, uwalniał je atoli niebawem i udawał się do kancelaryi, gdzie przywdziewał domową kapotę. Rozbierał się w przytomności służby, na której czele *Buńczukiewicz* zabawiał swego pana nowinami chwili bieżącej. Następnie odbierał generał sprawozdania: co się działo w stajniach, w gospodarstwie i w lesie, odbierał dochody, które zwykle umieszczał w woreczkach, zaopatrzonych w etykiety i opieczetowawszy je składał do dużego kufra, a klucz od niego chował i nosił przy sobie. Gdy zajechał wózek, wsiadał na niego i zwiędzał gospodarstwo w towarzystwie komisarza, masztalerza, albo pokojowca, którzy z nim jechali na koniach. Oglądawszy browar, gorzelnię, spichrze i konie w stajniach, przy czém to i owo czasem zganiał, zwykł był jechać w odwiedzin. Najpierw stawał przed domem księdza.

W dniu naszej powieści odwiedził najpierw księdza *Prospera*, ponieważ go atoli nie zastał, udał się do ojca *Kleofasa*, który mieszkał w pobliżu. U niego ucieszył go piosnką gil uczoney; rzekł więc dziedzic do ojca *Kleofasa*:

„Ptaszynie jegomości nie dostaje tylko rozumu: toż dla udowodnienia, że uznaję jego zalety i nie chcę, aby darmo żył na chlebie jegomości, prze-

kazuję sto kwart gorzałki, ściągnionej wczoraj do butelek klasztorowi mińskiemu. Pojedzie tam jutro mój dzierzawca: proszę waszej wielbności o potrzebną wskazówkę dla niego.

Kapelan podziękował niskim ukłonem; generał zaś zwrócił rozmowę na jego kolegę i sąsiada i rzekł:

— Gdyby tylko człowiek wiedział, czémby można było skrócić czas temu uczonemu jegomości!

— Jest on nim niezawodnie, wielmożny panie jenerale; powinienby właściwie zostać prymasem, gdyż ma po temu głowę i postawę.

— Tak: to prawda! — odpowiedział *Kunicki*.
— Wielkie to nieszczęście, że go nie mogę zabawić, gdyż nie lubi rozpraw o gospodarstwie i łowach, a mnie znowu „uczone“ rzeczy wywietrzały już z głowy! Lękam się wielce, że on się tutaj nudzi. Inaczej się mi wiodło z ś. p. jego ojcem, a moim stryjem. Atoli czy wiesz już o tém jegomości, że będziemy mieli gości i to dnia jutrzejszego! Będą nimi nasz wojski i jego brat starosta wieluński. Wyobraź tylko sobie jegomości: chciałem umieścić u siebie pana starostę, atoli p. Michał uwiadomił mię, iż dla niego wypada zawsze trzy pokoje z góry przygotować. Panuje więc teraz wielki rwetes u *Bun-czukiewicza*, który się z całą rodziną przeprowadza do księdza *Nowochackiego*. Za to pan starosta będzie mógł rozporządzać całym komisaryatem. Gdybyż to człowiek wiedział: jakby można było dogodzić temu wielkiemu panu! Wychował się on zagranicą; toż się obawiam, że mu mój obiad szlachecki nie posmakuje: jakby należało!

— No, komu się u pana generała nie spodoba, ten nie jest godny pożywania obiadu.

— Takie jest zdanie jegomości, ojczy *Kleofasie!* Tymczasem i pan Michał mię już pocieszył. Pisał mi on, że jakkolwiek wielkie są wymogi jego brata, przecież w sprawach domowych można go łatwiej zadowolnić, aniżeli on z początku sądził. Chociaż p. Michał ma być moim zięciem, pan statosta nie zważał przecież na to i porучzył mi podział ojcowskiej spuścizny pomiędzy obu braci. Pisał mi, iż w przyjacielu swego zmarłego ojca upatruje jego zastępcę. A czy jegomość wiesz, że jego wywody w tym względzie były bardzo piękne i rozsądne? Cieszy mię też wielce jego zaufanie. Kto inny byłby podobno inaczej myślał.

— Znają ludzie charakter pana generała nie tylko na Litwie, ale i w ziemiach koronnych. Wszak waszność zajmował się już zupełnie *innemi* sprawami! Nadto wie także pan starosta, iżby nie potrzebował teraz trudzić waszności podziałem, gdyby jego brat nie był unieważnił pierwotny testament.

— To prawda; atoli jeśli nam kto zaufa, powinniśmy to w ciągu całego życia z wdzięcznością uznawać! Toż nie będzie się użalał pan starosta na me najszczerze chęci ku zadowoleniu jego życzeń!

Tutaj pożegnał księdza generał i powrócił do domu w celu poczynienia niektórych jeszcze przygotowań do przyjęcia gości. Udał się też zaraz do córki, choć się to rzadko kiedy przydarzało. Zofia musiała mu szczegółowo opowiedzieć o swym pobycie w Nieświeżu. Festyny i rozrywki zajmowały

go jużci nie bardzo; natomiast musiała mu córka powtórzyć każde słowo księcia-wojewody i to wszystko, co stwierdzało jego przyjazne usposobienie. Przysłuchiwał się też opowiadaniu córki z nabożeństwem, przerywając je tylko niekiedy głosnemi objawami radości w słowach: „Cóżto za miły pan, coza wielki senator! Ach, dlaczego mi też siostra nie dozwoliła pojechać do niego z innymi gośćmi, wszak ta podróż nie byłaby mię więcej utrudziła jak wycieczka na polowanie!“ Musiała mu też Zofia opowiedzieć dokładnie o swém łaskawém przyjęciu przez siostry księcia-wojewody. Usłyszane szczegóły obudziły w starcu niezwykle i nader radosne usposobienie. Mimoto, wyszedłszy z niewieściego pokoju udał się on do kancelaryi i odczytał wspólnie z swym kapłanem kilka stronnic duchownych ćwiczeń *św. Ignacego*. Miał to w zwyczaju już od wielu lat i trzymał się go ściśle tak, jak codziennie przed obiadem raczył się kieliszkiem dobrej wódki. Tym razem było to dla niego osobliwszą satysfakcją, iż mógł wylać radość swego serca w obec ojca *Kleofasa*.

Na głos dzwonka zgromadziło się o godzinie pierwszej towarzystwo w jadalni. Jenerał począł jak zwykle w dobrym humorze opowiadać o łowach i powtarzał może po raz setny szczegóły polowania, które był niegdyś urządził książę *Radziwiłł*, chorąży litewski na przyjęcie króla *Augusta II*. ku uczczeniu swego dostojnego gościa. Kończąc opowiadanie zwrócił się jenerał do ojca *Prospera* i rzekł:

— Wybacz ojczulku! że cię znudziłem mem opowiadaniem, gdyż wiem, że nie jesteś przyjacielem sztuki łowieckiej.

— Uchówaj Boże! — odpowiedział kapłan — Wszak my duchowni stanowimy poniekąd towarzystwo owych walnych łowów, jakie Chrystus-Pan urządza na dusze nieszczęśliwych grzeszników, które prowadzi do królestwa niebieskiego. Myśmy właściwie nąganiaczami w tej obławie, którzy naprowadzamy zbłąkane owieczki na strzały Jego miłości.

— Dobra to krytyka na naszą szlachecką rozrywkę, której ja mimoto nie uważam za grzech. Wszak sam książę-wojewoda jest dzielnym myśliwym, a przy tém bardzo gorliwym katolikiem, bo przecie fundował *OO. Bernardynom* klasztor w *Iwieńcu* i przybył tutaj z Małopolski jedynie dla łowów. Kiedy królowi *Janowi* wystawił swą chorągiew pod przewodnictwem mego rodzica, przydał mu czterdziestu towarzyszków broni i obdarzył każdego z nich futrem z niedźwiedzi, które on wszystkie własną ubił był ręką. Jużci było podówczas więcej niedźwiedzi na Litwie aniżeli dzisiaj.

— Niezawodnie — zauważył ojciec *Kleofas* ku poparciu swego kolatora — nie można łowiectwa za grzech poczytywać, boć w starodawnych mszałach znajdujemy przecie także umyślnie dla myśliwych ułożoną mszę *św. Huberta*, która jest o połowę krótszą od zwykłych — a to, aby wybierającym się na polowanie nie zabierała wiele czasu.

— Przypierasz mię silnie do ściany, kochany Józefie, — odrzekł ks. *Prosper* — jeśli wzywasz na pomoc zakonnika przeciw księdzu świeckiemu;

a przecie sądzę: miły Bóg nie będzie was pytał o ilość ubitych odyńców; gdy zaś człowiek liczy 79 lat, powinienby więcej myśleć o wieczności aniżeli o rozrywce.

— Może nie byłbym dożył tych lat, gdybym nie był polował. A tak przecie ma wszystko swą porę: zarówno modlitwa jak i polowanie. I czyż nie napisano: „*Et haec facienda et haec non omittenda*.”*) Czyli pobożniej żyją nasi młodzi panowie, którzy prawdziwie nie często czynią wycieczki na łowy? Zresztą o tym przedmiocie najlepiej pomówić ze starostą wieluńskim.

— A czyż on zechce się zapuszczać w rozmowę z lichym sługą kościoła?

— Uczyni to niezawodnie, gdyż jest wielce wykształconym, (jeśli mię wieści nie mylą) wielce czytany, a nadto wielkim literatem. I musi być takim, gdy jest naczelnikiem królewskiego gabinetu. Zna nawet język łaciński; czytałem list, pisany niegdyś przez niego do ś. p. majora. Była to tak piękna łacina, iż lepiej nie byłby napisał sam rektor *XX. Jezuitów*. Sądzę zatem, że to z natchnienia *Ducha św.* mój brat w Chrystusie zabawia tutaj dłużej niż zwykle, gdyż żywię teraz przekonanie, że pan starosta tutaj nie będzie się nudził.

— O czémże inném mógłbym z nim rozmawiać, jeśli nie o rzeczach wiary? Powtórzę mu to samo, co wypowiadam panu Józefowi i wszystkim, iż żyjemy na ziemi tylko krótko, a potem przenosimy się

*) I to należy czynić i owego nie zaniedbać.

do wieczności, nie wiedząc: dokąd, oraz, że się tylko *jeden* z tysiąca dostaje do nieba. Czy się mu to spodoba?

— Może się wda w dysputę — odpowiedział ojciec *Kleofas* — i będzie twierdził, iż męka naszego Odkupiciela wychodzi na pożytek i zbawienie nie mniejszej, lecz *większej* części rodu ludzkiego.

— Przepraszam! Powiedziano wyraźnie: „*Multi vocati — pauci electi*”^{*)}) Nie dozwalamy się ukłysać fałszywemu pokojowi! Ocknienie mogłoby być strasliwém. Jedna chwila grzechu zdoła zniweczyć dziesiątki lat życia pobożnego. Wyczytałem w pismach uczonego teologa, iż pewnego razu zmarł seminarzysta, który wiódł bardzo świątobliwy żywot, a nie był jeszcze wyświęconym. Po jego śmierci przystąpiono do kanonizacyi. Atoli jeden z kościelnych dostojników miał widzenie. Ukazał się mu ów młody seminarzysta w ogniu piekielnym, ponieważ za życia zasnął był z myślą lubieżną i już się więcéj nie obudził. Nie potrząsaj tak głową, ojczy *Kleofasie*, pytam: czy to nie jest *possibile?* ^{**))}

— *Possibile: concedo,* ^{***))}) lecz nie wiem: czy to jest *probabile,* ^{†))}) albowiem tego rodzaju teologiczne anegdoty *non sunt de fide.* ^{††))})

*) Wielu wezwanych — mało wybranych.

**) Możliwe.

***) Przypuszczam: możliwe.

†) Na co się można zgodzić, prawdopodobne.

††) Nie można im wierzyć.

— *Non sunt de fide, sed non negantur sine temeritate.* *) A nawet same wyrażenie „anegdota“, wybacz ojczyźnie *Kleofasie*, wcale nie jest tutaj na miejscu.

Bernardyn przygryzł sobie wargi i miał właśnie odpowiedzieć coś z goryczą, ale rozmowa przeszła na inny przedmiot, albowiem — gdy ks. *Prosper* zaczął opowiadać o potępionym kleryku z powodu jednej myśli, zauważył był generał, iż w barometrycznej budzie pustelnik zwrócił się twarzą w inną stronę. Sprowadził więc rozmowę na stan powietrza, podróż spodziewanych gości i ich przyjęcie tak, iż się wdało w rozmowę także towarzystwo niewieście.

Po obiedzie wprowadził generał gości i domowników do bawialni, a potem oddalił się jak zwykle, aby się z godzinkę przedrzymać. Za nim wyszli z pokoju nieco zniechęcony bernardyn i znudzony *Buńczukiewicz*; tylko ksiądz *Prosper* dotrzymał towarzystwa córce i siostrze generała, które się z uwagą i bez sprzeciwiania przysłuchiwały jego wywodom i uwagom. Pierwsza z nich zajmowała się w tym czasie wyszywaniem na atłasie, druga robiła pończochę, trzymając na kolanach swego bolończyka.

Po jednogodzinnym odpoczynku kazał się generał zawieść do zagrody *Buńczukiewicza*, chcąc oglądnąć dla gości przeznaczone mieszkanie. Zastał tam już służbę obojga braci, wysłaną naprzód, która czyniła przygotowania do przyjęcia swych panów. Generał

*) Nie można im wierzyć, ale się ich też nie zaprzecza bez zuchwałości.

przyglądał się z ciekawością rozlicznym galanteryjnym drobiazgom starosty i rozmawiał z jego pokojowcem o potrzebném urządzeniu.

Gdy już wszystko uporządkowano, odjechał generał do swych chartów, przebywających w maszarni, gdzie się też najdłużej zatrzymał. Było już dosyć ciemno, kiedy powrócił do domu. Ręczną robotą zajęte niewiasty rozmawiały jeszcze z ks. *Prosperem* i ojcem *Kleofasem*, który do nich znowu był przybył.

Dla ks. *Prospera* i pań podano kawę ze śmietanką; generał zaś i bernardyn uraczyli się kieliszkiem litewskiej starki. Rozmawiano teraz o wojnie; a generał opowiadał o swych walkach ze Szwedami w chorągwi księcia-kanclerza. Kiedy właśnie z zapalem malował dzielność obrońców ojczyzny, usłyszano turkot powozu i trzaskanie biczem.

Służący zapowiedział przybycie podróżnych w powozie. Wybiegł zatem generał na powitanie gości i powrócił z nimi niebawem do towarzystwa.



XIII. Przybycie starosty do Niewodowa.



Przybyłymi gośćmi byli dwaj bracia *Strawińscy*, którzy pospieszywszy się przyjechali o jeden dzień wcześniej, aniżeli się spodziewano. Wojski miał na sobie żupan i kontusz, starosta mundur kawaleryi narodowej, albowiem obok innych godności piastował także stopień pułkownika chorągwi królewskiej.

— Proszę bardzo o przebaczenie, panie starosto, — przemówił generał — iż mię waszmość zastajesz tak nieprzygotowanym na przyjęcie. Jakkolwiek niespodzianka bardzo mię cieszy: przecież oczekiwałem przybycia waszmościów dopiero w dniu jutrzejszym.

— Gorąca chęć widzenia przyjaciela i dobroczyńcy ś. p. naszego ojca — odrzekł starosta — kazała się nam pospieszyć. Poczytujemy sobie za szczęście, iż stanęliśmy u celu, a pan generał pozwo-

lisz mi ucałować rękę méj przyszłej bratowej i pannie łowczance.

— Siostrzyczko i ty moja Zosiu! — zawołał generał — bawciez pana starostę; ja się oddam na chwilę, aby się znowu pokazać — jak przystało — w szacie godowej.

— Ależ proszę, panie jenerale, — protestował starosta — nie czynić mi téj krzywdy i nie uważać mnie za obcego, Życzę sobie jak najgoręcej należeć do poczty krewnych pańskiego domu.

— Ale ja się wstydzę siedzieć w kapocie obok munduru pana starosty.

— Będąc żołnierzem znam me obowiązek, nie śmiałem inaczej, tylko w mundurze przedstawić się memu przełożonemu i około dobra ojczyzny tak wielce zasłużonemu koledze.

— A więc proszę, aby ta etykieta nie miała już nigdy zastosowania w przyszłości. Teraz zaś, proszę, rozgospodarzyć się i odłożyć szablę. Mój Boże: ileż jato razy waszmości nosiłem na rękę, a moja nieboszczka żona — jakżeż ona dobrodzieja lubiła! Wówczas żyły jeszcze nasze dzieci; lecz Bóg pozostawił mi tę tutaj tylko jedną biedną sierotę, która nigdy nie znała swéj matki. Lecz na cóż o tém wszystkiém wspominać, kiedy ono nigdy nie wróci? Waszmość, panie starosto, spędziłeś młodość w obcej służbie i zjednałeś sobie sławę w czasie *wojny siedmioletniej*. O, ja o tém wszystkiém wiem bardzo dobrze. Sprawia mi przyjemność, że widzę waszmości w tym samym mundurze, jaki ją noszę. Kiedy zostałem towarzyszem broni, nie było jeszcze munduru: mieliśmy pancerz, lancę

i hełm. Jużci nie wyglądało to tak pięknie jak obecnie; atoli człek się bił nie mniej chwacko. Brałem ja, panie starosto, osobiście udział w dwudziestu kilku potyczkach; już *anno Domini* *) 1709. wyruszyłem był w pole, kiedy Szwedzi w krajach koronnych i na Litwie gospodarzyli. Liczyłem wówczas lat ośmnaście; no, i dosyćby mi było tój żołnierskiej tułaczki; atoli ponieważ „*natura wilka ciągnie do lasu*“: wsiadłem znowu na koń przed niedawnym czasem. Waszmość, p. starosto, nie trzymałeś z nami, ale też nie byłeś naszym przeciwnikiem; toż szczęśliwym trafem nie spotkałem się nigdzie z partją królewską. Wojna domowa — to przecie rzecz najsmutniejsza na świecie: dlatego też pogodziłem się od ostatniego najścia ze wszystkimi. Mimoto utrzymuję jeszcze mą chorągiew. Nie masz nic nad narodową konnicę. Cokolwiek ludzie młodzi mówią o twierdzach i zaletach piechoty: to wszystko może być dobrém, ale nie dla nas. Myśmy z urodzenia jeźdźcami; toż gdyby tylko w każdym powiecie stała chorągiew konnicy narodowej, cały świat nie dałby nam rady. Czyż nie mam słuszności? Tymczasem pozwól waszmość, panie starosto, abym cię zapoznał z moim bratem księdzem *Prosperem Chlebowiczem!*

— Jakżeż się cieszę, — odpowiedział starosta — że się mogę ubiegać o przyjaźń z cnoty i oświecenia powszechnie znanego kapłana! Spodziewałem się ujrzyć jegomości w *Nieświeżu*: dlaczegoż dobrodziej nie stawiles się w uroczystość *św. Karola*?

*) W roku Pańskim.

— Ponieważ — odrzekł kapłan — mógłbym się być tam pojawić jedynie pod auspicjami jegomości księcia-biskupa: a nie ufałem sobie w tym względzie.

— Nie jesteście to tylko wymówką? Wszak książę-biskup lubi się otaczać znakomitościami z pośród swego kleru; a duchowa działalność jegomości jest wszystkim znana. Nawet u mnie, chociaż jestem żołnierzem, znajduje się w księgozbiornie rozprawa ks. Chlebowicza „*De oratione jaculatoria*.”

— A więc pan starosta znasz to pisemko?

— Umiem je prawie na pamięć: tak często je czytywałem. A cóż to za piękna łacina! Ucieszyła ona samego króla. Widzę też przed sobą niezawodnie ojca *Kleofasa*, o którym się mi mój brat nie mógł dosyć naopowiadać...

— Uniżony sługa — odpowiedział zakonnik — pana starosty i jego brata tak: jak był wiernym sługą ś. p. ojca i naszego dobroczyńcy.

— Mój brat — rzekł na to starosta — pokazywał mi przez jegomości sporządzony dla niego plan domu, który się mi bardzo podobał, gdyż i ja się zajmuję cokolwiek architekturą. Słyszałem, iż jegomości braknie dobrych instrumentów, dlatego przywiózłem narzędzia rysunkowe w przeświadczeniu, iżbym je nie mógł złożyć w lepsze ręce. *Mon frère*, proszę, przynieś-no te rysunkowe narzędzia; pragnąłbym widzieć radość architekta, który niemi już tak znakomite wykonuje rzeczy.

Wojski przyniósł skrzynkę, obitą safianem; a kiedy ją bernardyn otworzył i ujrzał w niej delikatnie wykończony i pięknie przyozdobiony cyrkel,

kompas, kątomiar i inne przybory, nie posiadał się z radości.

Zwrócił się też do generała i rzekł:

— No, panie generale, od jutra będzie szedł zegar waszmości, jak się należy. Nie otrzymałem jeszcze nigdy tak kosztownego daru; po śmierci przekażę go klasztorowi.

— Spodajęwam się, ojczu Kleofasie, — zauważył wojski — że jegomość odmówisz kilka modlitw różańcowych na intencją mego brata.

— Nietylko to uczynię, — odrzekł zakonnik — ale się będę w ciągu pięciu dni biczował, iżby mu Najwyższy udzielił tyle błogosławieństwa, ile mi on sprawił radości.

— Nie godzę się na biczowanie, — powiedział starosta — prosiłbym jednakże o odmówienie różańca; a gdybyś jegomość raczył jeszcze odczytać mszę na moję intencją: byłaby nagroda aż nadto hojna.

— Odprawię dziesięć mszy śpiewanych! — odrzekł bernardyn — Na pierwszą zapraszam waszmości jutro do kaplicy, która się panu staroście dla swęj architektury niezawodnie spodoba.

Tutaj zwrócił się generał do poważanego gościa i zapytał:

— Czém mógłbym służyć panu staroście? Mozebyś waszmość chciał się rozgrzać po podróży szklanką starego wina?

— Cierpienie piersiowe — odpowiedział starosta — wzbrania mi korzystać z dobroci pana generała. Jeśli atoli waszmość pozwolisz, poproszę pannę łowczankę o filiżankę kawy. Jakież to dla

mnie szczęście, iż zastaję panie znowu w domu! Mówiliście mi panie, że miałyście z powrotem wstąpić do krewnej...

— Ten był w istocie nasz zamiar! — odrzekła łowczanka — Ponieważ nas atoli pani generałowa *Morawska* i księżniczka *Marya* przez dzień dłużej nad umowę u siebie zatrzymały, więc nie mogłyśmy zboczyć w drodze — tém moiej, ponieważ wiedziałyśmy: z jaką niecierpliwością brat czekał na nasz powrót.

— Nadto — dodała Zofia — droga była tak licha, że podróż trwała prawie dwa dni, chociażśmy się spieszyły według możności, aby dopomóc ojcu w przyjęciu spodziewanych gości. Pierwszyto raz od czterech lat byłam tak długo oddaloną od rodzica. Smuciła mię też ta rozłąka chwilami pośród rozrywek w Nieświeżu.

— Brat — zauważyła łowczanka — chciał także koniecznie z nami pojechać do Nieświeża; toż z trudnością odwiódłam go od postanowienia. Spodziewałam się też, że miał w naszej nieobecności szanować swe zdrowie; a on tymczasem wyjechał z drugimi na polowanie. Ach, gdybyżto już raz od nich się odzwyczał, boć sobie poczyna ciągle: jak gdyby był młodym!

— Utrzymują mię też łowy młodym! — odrzekł generał — A potem: cóżby męszczyzna począł na wsi, jeśliby zaniechał łowów? Nie prawdaż, panie Michale, że ta niewieścia gadanina nie sprawi, iżbyśmy nie mieli w sobotę w las wyruszyć? Mam dobre nowiny: w kniei znajdują się odyniec i maciora z warchlakami. Będzie to rozrywka! Jużci

dla pana starosty, kawalera wielkiego świata nic to nie znaczy.

— Owszem — odrzekł starosta — lubię łowy, jakkolwiek mi czas nie pozwala oddawać się namiętnie téj przyjemności. Połowałem z królem francuskim na jelenie i odyńce; toż proszę bardzo uprzejmie o dozwolenie mi wzięcia udziału w sobotniej wycieczce! Przywiózłem z sobą dobrą strzelbę i chciałbym raz doświadczyć jój wartości na Litwie.

— Pan starosta wybaczysz mi uwagę: — rzekł generał — nie ma téż piękniejszej rozrywki, któraby się więcej nadawała stanowi szlacheckiemu. Gdy powrócę do domu z polowania szczęśliwie, w dwójnasób miłymi są dla mnie córka, siostra i każdy domownik.

— Tak, panie generale; zachodzi tutaj przecie wielka różnica. Ja, sierota bez żony, bez dziecka i domu nie mogę tego o sobie powiedzieć.

— A więc się ożeń, — zauważył wojski — jak ci to już mówiłem. Osiądź na rodzinnej ziemi i pójdź za przykładem ojców. Wszak się przekonujesz: jak przykrém jest życie samotne.

— Brat młodszy — wtrącił generał — mówi tutaj *ad rem*.*)

— Panie generale: — odpowiedział starosta — nie ma sposobu do sprzeciwiania się przeznaczeniu. Ja co do własnego powziąłem już prawie decyzją. Gdy w ojczyźnie nastanie tylko nieco więcej spokoju, wyproszę sobie u króla uwolnienie od służby,

*) Do rzeczy.

udam się na *Malte*, *) aby tam złożyć śluby zakonne. Stanę się bratem jegomości, ojcie Kleofasie! To jest me niewzruszone postanowienie. Tym sposobem ojcowski majątek powróci, dokąd się miał być dostać pierwotnie, i to może z naddatkiem. Kiedy już w niejednym względzie świat poznałem, muszę też pomyśleć także o duszy i powinnościach, które nas łączą z innym światem.

Tutaj zawołał wojski:

— Ależ to całkiem nowy pomysł!

— Nie, bracie! — odrzekł starosta — wcale nie nowy: przyjąłem komanderyą poznańską tylko w tym zamiarze; toż sobie często wyrzucam, że noszę odznaki zakonu i pobieram jego dochody, a nie wypełniam przywiązanych do tych odznak powinności.

— Jakżeż mię wielce buduje mowa pana starosty! — zauważył *ks. Prosper* — Rycierz zakonny t. j. prawdziwy rycierz zakonny jest najwyższą ozdobą stanu szlacheckiego; ja sam byłem na Malcie i miałem sposobność spoglądania na potęgę i znaczenie miejscowego zakonu. Doznałem nawet tego zaszczytu, iż mię przedstawiono wielkiemu mistrzowi. Pochodzi on z Hiszpanii z dostojnego rodu *Ximenes'ów*; maż to pobożny, jaśniejący wzór dla wszystkich braci, jakkolwiek wielkiego mistrza można zaliczyć do rzędu dzielnych monarchów.

— Jeśli pan starosta urzeczywistni swe postanowienie, — rzekł generał — i dla niego będzie ta

*) Wyspa — siedziba zakonu orężnego tak zwanych „*Kawalerów maltańskich*.”

droga otwartą. Cóżto będzie za zaszczyt i zalecenie dla jego krewnych! Nie prawdaż panie Michale?

— Wolałbym, — odpowiedział wojski — iżby nasz brat poszedł w me ślady i wybił sobie Malte z głowy. Czyż nie tak ojcie Kleofasie?

— Nikt nie jest panem swęj woli; — oświadczył bernardyn — toż nie spełniają się ludzkie postanowienia. *Homo proponit — et Deus disponit!**) Co ma być, to się i stanie, albowiem *sine Dei consilio, sine providentia, sine causa nihil fiet in orbe.***)

— Widzę to, — zauważył ks. *Prosper* — że ojciec Kleofas trzyma się *Jansenistów* i wierzy *in praedestinationem.****)

— A to jakże z *Jansenistami?* — odrzekł tenże — Przytoczyłem zdanie z *Tomasza a Kempis.*

— Przypominacie mi waszmościowie Francją! — przemówił starosta — Kiedy ją opuszczałem, nie mówiono o niczém inném, tylko o *Jansenistach.* Odkąd tutaj przybyłem, słyszę dopiero pierwszy raz wyraz jansenizm. Ks. *Chlebowicz* wie przecie, ponieważ był we Francyi, że ksiączę *Choiseul*, pierwszy minister uchodzi za bardzo gorliwego zwolennika jansenizmu, jakkolwiek wszyscy znający go uważają księcia za ateusza. Grzészę może, wypowiadając to zdanie, gdyż on okazał się dla mnie bardzo łaskawym, kiedy jeszcze służyłem królowi „arcy-chrześciana-

*) „Człowiek myśli i układa: a Bóg wszystkiém rządzi.“

***) Bez zamysłu bożego, bez opatrności, przyczyny — nic się nie stanie na globie.

***) Przeznaczenie.

skiemu“; a tą łaską obecnie cieszy się nasz brat Mycielski.

— Mój Boże! — zawołał tutaj generał — jak **tęto** lata uciekają! Odprowadziłem matkę waszmości do ołtarza, kiedy miała zaprzysiądz wierność dożgonną memu najlepszemu przyjacielowi: będzie temu już zapewne lat trzydzieści pięć. Czyż mogłem przypuszczać, że ją miałem przeżyć? Liczyła wówczas zaledwie siedmnaście wiosnę; było to uroczę różane pąkowie. Waszmość, panie starosto, jesteś jój żywym portretem; zdaje się mi, gdy patrzę na waszmości: jak gdybym ją samę widział! Pan Michał przypomina więcej ojca. O, jakżeż oni oboje uczciwie i pięknie na wsi żyli! Dopiero — kiedy pan Wojciech został deputowanym i przesiedlił się z żoną do *Wilna*, Bóg wie: co tam pomiędzy nimi zaszło. Na nieszczęście musiałem podówczas pozostawać we Lwowie, gdyż gdybym się był jeszcze tutaj znajdował, nie byłoby przyszło do tój ostateczności. Byłbym był żonie wyperswadował, gdyż okazywała mi wielkie zaufanie. Kiedy mi później major opowiadał historją, o rozwodzie, — p. Michał liczył wówczas dopiero piąty rok — powiadam waszmości, panie starosto, iż nie dowierzałem własnym uszom.

W dalszym toku rozmowy zabawiał starosta Zofją i pannę łowczankę często komplementami. Udał się mu tóż całkownie zamiar przypodobania się wszystkim. Nawet *ks. Prosper*, zwykle nie udzielający się z początku nowym znajomym zbliżał się do niego coraz więcej i starał wyzyskać jego uwagę na swoje wyłącznie korzyść. Pochwała jego

teologicznej rozprawy obudziła w nim nadzieję, iż miał kiedyś dorwać sposobną chwilę i odczytać mu swe rękopisy, a przez to pozyskać sobie męża, który u boku króla był bliskim rogu obfitości, z którego się sypały łaski świeckie i duchowne. Starał się też usilnie zalecić swą osobę staroście jak najwięcej, prowadząc łacińskimi i greckimi zwrotami nastroszone monologi. Starosta przysłuchiwał się cierpliwie, jak się to dobrze wychowane osoby zwykły w potrzebie przymuszać i dlatego potrafią rozmawiać dłużej właśnie z tymi, którzy je najwięcej nudzą. Toż ich rozmowa wypełniła cały czas wieczorny. Po wieczerzy rozpoczęły się długie ceremonie ze strony generała, który koniecznie chciał starostę *personaliter* *) odprowadzić do jego mieszkania, ale on na to nie przystał — i dlatego odjechali tylko obaj bracia Strawińscy w towarzystwie młodego Buńczukiewicza, który jechał razem konno, do komisaryatu. Domownicy zaś dworu niewodowskiego posiedzieli jeszcze małą godzinkę i rozmawiali o gościach.

Zagał generał:

— Podobał się mi wielce starosta; chociaż to kawaler nowo-modny, zna przecież i nasze sprawy. Szkoda, że jest tak gorliwym zwolennikiem *Poniatowskich*, gdyż mawiałem zawsze i obstaję przy tém, że nam ta uzurpacya nie sprawi wiele uciechy.

— Trudno żądać od niego, — odrzekł bernardyn — iżby nie popierał stronnictwa swego dobroczyńcy; zresztą — ponieważ już *Stanisław Au-*

*) Osobiście.

gust został szczęśliwie obrany naszym królem: cóż pozostaje lepszego, jeśli nie zgadzanie się z wolą bożą? Dla nas zaś wystarcza, że pan starosta jest mężem prawym, ngrzeczniwym, hojnie umyślowo uposażonym i umie uszanować osoby, starsze wiekiem.

— To prawda, — powiedziała łowczanka — iż dawniejszemi czasy nie czczono tak wieku, jak to czyni pan starosta, chociaż jest wysokim urzędnikiem i panem orderowym. Umie też każdemu powiedzieć coś zobowiązującego. Wiész bracie! jakkolwiek z początku w Nieświeżu powodowano się uprzedzeniami względem niego, zdołał się starosta ostatecznie wszystkim spodobać. Jakżeżto on tańczy, jak pięknie gra na skrzypcach i mówi po łacinie! *Ks. Katenbrynk* wyznał nam otwarcie, iż on sam nie mówi lepiej po łacinie — a przecież dosyć długo zabawiali się z sobą. Ba, sam *ks. Prosper* nie mógł, może po raz pierwszy w życiu nie pochwalić tego światowca. „Nie dostaje jeszcze tylko“, — dodał — „aby starosta złożył na Malcie śluby zakonne; posiadając takie uzdolnienie dostąpi niezawodnie najwyższej godności.“ I tak każdy miał coś pochlebnego do powiedzenia o staroście; tylko sama Zofia milczała.

* * *

Bracia Strawińscy, dostawszy się do swego mieszkania gawędzili jeszcze z sobą, chociaż po odbytej podróży byli znużeni. Starosta kazał sobie podać jak zwykle szklanę tęgiej herbaty, którą pił, rozbierając się, i rzekł do wojskiego:

— Coż to za czcigodny starzec — ten twój generał; jakieżto życie, jaka duchowa krzepkość w tym meżu! Wierzaj mi, *mon frère*, nie mogę ci należycie podziękować za sprowadzenie mię tutaj. Niewodowo stanie się dla mnie szkołą; moje pojęcia różnią się od pojęć waszych — inaczej też być nie może. Wypada mi atoli wyznać, że dopiero tutaj ujrzałem figury typowe, podsłuchałem naprawdę tętno natury. W Warszawie istnieją tylko mdłe kopie natury francuskiej bez zapału, bez życia. Przewiduję, że — gdy powrócę do Warszawy, będę się na zabój nudził. Dla mnie nie ma rzeczy połowicznych: albo Paryż, albo tutejsza prowincya. A potem tutaj tak się wszystko zgadza jedno z drugim. Ten bernardyn czyni tak dowcipne uwagi, ciotka łowczanka jest tak naiwną w miłości względem brata, a ich wzajemne dąsy tak lube, iż widać, że oni oboje nie mogliby żyć jedno bez drugiego — a to wszystko służy niejako za obramienie twój Zofii. Jaśniej ona ponad tém całym gronem jakby *soliter* bez skazy. Jakżeto cudowna osobistość; jaki u niej takt i coza wytworne wychowanie!

— Bogu dzięki, — odrzekł wojski — iż się tobie nasza Litwa tak spodobała! Zobaczysz bracie! gdy tylko u nas osiądziesz, natenczas nie zechcesz już rozstać się z naszymi borami; zapomnisz niebawem o Malcie, Paryżu i Warszawie.

— Pod względem moralnym jest wasz kraj prawdziwym rajem; ale potrzeba to życie przejąć z mlékem matki, wypada do niego nawyknać. Wiész, *mon frère*, jakkolwiek mię to, co tutaj widzę, z je-

dniej strony bardzo cieszy, z drugiej zasmuca mię przecie.

— A to dlaczego?

— Albowiem i tak to wszystko zdąża do zagłady. Oświecona część narodu pogardza już wiarą, obyczajami i zwyczajami ojców.

Wszystko zdąża jak gdyby po urwisku do zmiany. Przynosi się tutaj coś — może nie-szczęście, którego atoli nie będzie można odwrócić. Rzeka wstecz nie płynie!

— A więc brońmyż naszego szczęścia, jak długo sił starczy: z bożą pomocą zachowamy to, co nas zdoła zadowolnić.

— Przeciwnie, *mon frère*, wypada nam wszelkiemi siłami zdążyć ku téj przyszłości, iżby nam jéj dziedzictwa nie odjęto. Wszak widzisz: jak wszyscy, stojący u stéru z lekceważeniem spoglądają na staro-dawną narodowość. Ogarnął wszystkich duch *reforma-torstwa*; ogarnął on wyższe duchowieństwo, wychowanie publiczne, armią, dwór i znaczną część młodzieży. I coż poradzi wasza powolność wobec energii waszych przeciwników? Spoglądnij n. p. na tego ojca *Kleofasa*: jestto wprawdzie jeszcze polski bernardyn; ale *ks. Prosper*, chociaż równie pobożny różni się już zupełnie, gdyż otrzymał wyższe wykształcenie. Stara się być narodowcem, a jest tylko odciskiem zupełnie obcego wam społeczeństwa; nawet jego fanatyzm jest zagraniczny. Apropoz: co do *ks. Prospera*, dziękuję ci bardzo, *mon frère*, że — kiedyśmy jechali do Niewodowa — wspomniałeś mi o jego łacińskiej rozprawie. Wszak zauwa-żyłeś: jak mu pochlebilem, chwalać to pismo.

— Jużci zauważyłem to dobrze i lękałem się o ciebie. Gdybyż był nawiązał z tobą rozmowę o szczegółach swjej pracy, byłby cię był wnet nabawił kłopotu i poznał, że jej nigdy nie czytałeś.

— Nie znasz, *mon frère*, próżności autorskiej, przypuszczając taką obawę. Potrzeba odrębnego artyzmu do pochlebiania królom, a nawet pochlebstwo w obec niewiasty musi być „zaprawione“, jeśli ma wniknąć do serca: atoli z autorem sprawa — łatwiejsza. Im niezgrabniejsze i mniej prawdopodobne pochlebstwo, z tém większą pewnością można się niém posługiwać. Pozostawałem w Paryżu w ścisłych stósunkach z autorami, bo oni dzisiaj tam w modzie, lecz sobie nie wyobrazisz: jak dalece ten ród — próżny i nieznośny! Jeśli który z nich puści w obieg kilka arkuszy, zapełnionych tu i ówdzie pochwyconemi myślami, natenczas się mu zdaje, iż cały świat musi ku niemu zwracać *w górę* oczy. Ci ludzie bez różnicy: czy we Francyi, albo w Polsce są wszyscy jednakowego usposobienia. Sądzisz, iżbym był popadł w kłopot, gdyby mię *ks. Prosper* był inkomodował szczegółami swego pisma? A przecież byłbyś wówczas zauważył, że ja byłbym w nim obudził przekonanie, iż się niczém inném nie zajmuję jak tylko jego duchowemi płodami, jakkolwiek w rzeczywistości o niczém inném nie myślę jak tylko o omińnięciu wielkiego niebezpieczeństwa poznania tych płodów.

— I ty nazywasz to niebezpieczeństwem?

— Ba: ilość jego nie publikowanych jeszcze pism musi być nie mała! Gdy was spotka podobne nieszczęście, uciekacie się do fajki i skracacie sobie

tym sposobem nudy; atoli ja — cóżbym był począł, gdyby mię *ks. Prosper* był wziął na spowiedź?

W ciągu rozmowy nadeszła prawie północ; a starosta zauważył, że się bratu już oczy kleiły, zalecił mu więc udać się na spoczynek — tém więcej, ponieważ miał odinówić jeszcze długą modlitwę. Sam zaś starosta zaciągnął jeszcze kilkoro spostrzeżeń, do swego dziennika, a dopiero potem kazał się rozebrać



XIV. Pobyty starosty w Niewodowie.



Gdyby starosta był posiadał obok zalet, jakimi był tak hojnie uposażony, jeszcze zmysł religijny, byłby z przestraszem zauważył wrażenie, jakie na niego wywierały widok Zofii i każde z jej ust usłyszane słowo. Byłby podówczas bez wątpienia Niewodowo po kilkodniowym pobycie pożegnał; a w Warszawie czynności zawodowe byłyby niezawodnie wymazały w bardzo krótkim czasie z jego pamięci te niebezpieczne wspomnienia. Nie zdołał on przecież oprzeć się słodkiej skłonności, ani sobie nawet zdać sprawę z nieodzownych smutnych następstw tego wszystkiego, co się mu wydawało być tak miłym. Mimo kilkakrotnych wezwań jego stronników w Warszawie uległ prośbom gospodarstwa i pozostał w Niewodowie, gdzie poniekąd wszystkich ogarnęło zaślepienie. Było ono jużci największe u samego starosty, który

bez skrupułów sumienia ulegał urokowi, jaki na nim wywierało obcowanie z przyszłą bratową. Uważali je oni oboje za niewinną przyjaźń, chociaż się do ich serca zakradła potężna miłość, jakkolwiek ich honor i najświętsze obowiązki powinny ich były na zawsze rozdzielać. Toż i wojskiego nie imać się żadne podejrzenie; owszem cieszył się on, że jego przyszła żona znalazła w jego bracie przyjaciela, z którym w jego obecności mogła rozmawiać po francusku. Jenerał pozyskał był sobie całkowicie starostę już w pierwszych dniach swego pobytu w Niewodowie, gdyż się udał z nim na polowanie i pomknął sam jeden na spotkanie się z odyńcem, którego téż szczęśliwie ubił. Stary ksiądz-unita, zawołany myśliwy nie posiadał się z podziwu, że mieszkaniec miasta tak śmiało i zręcznie pokonał był zwierza. Atoli starosta przypisywał szczęście mniej pewności swego oka aniżeli doskonałej strzelby, która się istotnie swą dobrocią i piękną robotą odznaczała. Zauważył on, z jakim upodobaniem jenerał tę strzelbę w rękę trzymał, i cieszył się wielce, gdy ją przyjął od niego w podarunku. Tym darem tak dalece go sobie pozyskał, że mu tenże nie poczytał za złe, gdy on przy najbliższej sposobności zamiast się udać z jenerałem i swoim bratem do lasu, wolał się zabawić w towarzystwie Zofii i łowczanki z bernardynem i księdzem *Prosperem*. Gdy później myśliwi powrócili szczęśliwie z polowania, oświadczał jenerał, iż nie było przyjemniejszego i więcej zadowolonego koła jak w Niewodowie.

Następnęj niedzieli pojechał wojski z bratem na nabożeństwo do ruskiej cerkwi. Gmina śpiewała

litanią o *niepokolaném poczęciu Maryi*. W chóralnym śpiewie odróżnił starosta srebrny głos Zofii — tak pełny, tak uroczy, że znikły wszelkie dysonanse, z pośród których on do niego dolatywał. Mimowolnie począł i on wtórować; przeszedłszy rozliczne fazy zlał się wkońcu jego głos z głosem Zofii. Starosta lubił muzykę namiętnie, w której był mistrzem; a śpiew Zofii był tak łagodny, tak czarujący — samą melodyą bez pieskliwości i sztucznej przymieszki, świeży, tchnący naturalnością i tylko dla uczucia przystępny! Jego dusza unosiła się w duchowém zespoleniu z Zofią na skrzydłach dźwięków w krainie przeczuć, w nieznanym mu dotychczas regionach.

W powrocie do domu nie mógł starosta przez długi czas ochłonąć z swych marzeń: nie zważając na usiłowania brata, który z nim chciał nawiązać rozmowę, powtarzał muzyczne motywy, poruszające jego serce. Albowiem istnieją uczucia, które jedynie w muzyce znajdują swój wyraz. Kto nie posiada zmysłu muzycznego, ten nie pojmuje wielu rzeczy; toż można w pewnym względzie powiedzieć o takim człowieku, (użyjemy tutaj słów nieśmiertelnego wieszczka) że „*poruszenia jego umysłu są ciemne jak noc, jego zamiary ponure jak Ereb.*“ *)

Kiedy się towarzystwo zgromadziło znowu u stołu, chwalił starosta głos Zofii; a nawiązana z nią rozmowa o muzyce przekonała go, że jenerałówna dla téj sztuki posiadała wiele zmysłu i uzdolnienia. Postanowił tedy, korzystając z kilku jeszcze dni, które

*) Królestwo podziemne — piekło.

miał spędzić w Niewodowie, udzielić Zofii pewnych wskazówek, odnoszących się do sztuki śpiewu. Ksiądz *Prosper* — sam znawca zgadzał się z poglądem starosty; a jenerał, chociaż nie był zbyt gorącym wielbicielem muzyki, przystał na przeniesienie fortepianu z pokoju córki do bawialni. Starosta sam go nastroił i rozpoczął na nim swój urząd nauczycielski. Jakaż to była dla niego przyjemność: posiadać uczennicę z tak łatwem pojęciem w muzyce! W ciągu kilku godzin przyswoiła ona sobie metodę starosty, którą on niegdyś wywabił lży z ócz margrabiny *de Pompadour* — kobiety, która posiadała jak najzimniejsze serce. Z początku odśpiewał na próbę z Zofią duet w obecności łowczanki, ojca *Kleofasa* i ks. *Prospera*, którzy — wykazało się to teraz — także lubili bardzo muzykę i śpiew obdarzyli zupełnem uznaniem. Kiedy jenerał pewnego dnia powrócił z polowania, popisywali się oboje w obec zgromadzonych domowników odśpiewywaniem utworu „*In Voi credo o Dio mio!*“*) *Muratori* opowiada, że ojciec *Salvotiera*, apostoł *Kalifornii* z lirą w rękę i z tą pieśnią na ustach nawrócił był ludożerców *Karaiów* i sprawdził tym sposobem baśń o *Orfeuszu* w nowoczesnej epoce oświecenia. Śpiew starosty i Zofii wywarł rzeczywiście czarodziejskie wrażenie, zachwycał wojskiego, ks. *Prosper* nie mógł się go nachwalić; atoli najwięcej rozrzewniła muzyka sędziwego jenerała. Jego hartowna, tylko do głosu myśliwskiego rogu przywykła natura

*) Wierzę w Ciebie o mój Boże!

zmiękła pod wpływem potęgi słodkich tonów: płakał jak dziecko i prosił o powtórzenie śpiewu.

Tak mijał tydzień za tygodniem; a generał wykończył tymczasem podział spuścizny obu braci Strawińskich. Była zatem załatwiona sprawa, która sprowadziła starostę do Niewodowa; toż nie było już i pozoru do dłuższego w niem pozostawiania: a on mimoto nie myślał o odjeździe. Nie skutkowały nawet naglące listy z *Warszawy*. Jego dusza była zakłęta w fortepianie Zofii; nie mógł się zdecydować do odjazdu. Zabawiał się więc z nią rozmową, albo śpiewał na dwa głosy; pomiędzy nimi nastąpiło porozumienie, chociaż sami sobie nie mogli zdać sprawę z swych myśli. Zofia popadała teraz częściej niż kiedyindziej w zadumę; starosta zdala od niej milczał, bywał poważnym, nieprzystępnym. Ile go razy wojski pytał — będąc z nim sam na sam — o przyczynę jego smutku, podawał on za powód z *Warszawy* otrzymane listy, które przyspieszały jego odjazd, jakkolwiek on pragnął osiąść na zawsze w pobliżu brata i wyrzec się już stanowczo swego dążenia do zaszczytów i odznaczenia. Mówił, iż sobie tyczył to wszystko pozyskać, zanim zakosztował słodczy pozycia na wsi w jego towarzystwie i w pobliżu jego przyszłej rodziny. Uspakajało to wojskiego, który brata przygarniał z uczuciem do serca — ze łzami współczucia na licach; a przecież szeptano już podówczas w całej okolicy o właściwej przyczynie, która starostę przykuwała do Niewodowa.

Pewnego poranku przywiózł posłaniec mnóstwo listów, a pomiędzy nimi własnoręczne pismo króla, który w niem wzywał starostę do natychmiastowego

powrotu do stolicy, oświadczając, iż przygotowywano rzecz ważną, która miała nadać zwrot sprawom politycznym kraju, a pomoc starosty była nieodzowną, gdyż on sam tylko posiadał jego zupełne zaufanie. Starosta walczył jakiś czas z sobą; lecz głos honoru i obowiązku pokonał wszelkie inne względy. Odczytał bratu ustęp pisma królewskiego, który go wzywał do rychłego powrotu do *Warszawy*, i mimo prośb Michała, aby pozostał jeszcze przez tydzień, przekonał go, iż musiał najbliższego dnia opuścić Niewodowo. Nakazał słudze Korendowiczowi przygotować wszystko do wyjazdu i powrócił z ciężkim sercem na przygotowanych dla niego codziennie sankach do dworu, dokąd go już był wyprzedził Michał z uwiadomieniem, iż starosta postanowił odjechać. To doniesienie przejęło wszystkich mieszkańców Niewodowa wielkim smutkiem. Michał i Zofia mieli łzy w oczach; ojciec *Kleofas* mówił, że starosta powinien był ich raczej nie odwiedzać, kiedy postanowił tak prędko odjeżdżać. Łowczanka przybiecała zaopatrzyć go w żywność na drogę do samej *Warszawy*. *Ks. Prosper* uściskał rękę staroście i rzekł:

— Bądź waszmość przekonany, panie starosto, że tutaj pozostawiasz prawdziwych przyjaciół!

Trudno opisać: jak bolesne wrażenie sprawiła ta wiadomość na jenerale, który powiedział do starosty:

— Swym odjazdem zniweczyłbyś nam waszmość wielką przyjemność: tą samą pocztą, która panu staroście przywiozła tak nas zasmucające uwiadomienie, otrzymałem i ja list z *Warszawy*. Ma nas

odwiedzić moja siostrzenica pani *Świętochowska* — nowa kasztelanowa liwońska i może tutaj każdego dnia przybyć. Widzisz, panie starosto, z nią nie nudziłbyś się waszmość, bo to dama światowa; toż uprzyjemniłaby waszmości pobyt w naszym gnieździe więcej, aniżeli my to potrafimy — mieszkańcy wsi.

— A więc kasztelanowa jest siostrzenicą waszmości?

— Nie inaczej. Czy ją znasz waszmość?

— Nie miałbym znać ozdoby dworu! Sam król ją ceni bardzo wysoko i naradza się z nią często. Piérwszy raz słyszę, że już powróciła z Paryża, albowiem kiedy się oddaliłem z Warszawy, nie wiadano jeszcze nic o jój powrocie.

— Ot, widzisz, panie starosto, jak zmiennemi są te światowe panie: miewają tysiączne pomysły w głowie. Moja siostrzenica prowadzi teraz z swym mężem — kasztelanem proces o rozwód. Nie masz lepszego męża od niego: ale co to znaczy w obec kobiety! Z początku chciała czekać zagranicą na dekret rozwodu; teraz mi pisze, że porzuciła Paryż, ponieważ ją trawi tęsknica za krajem, i chce u mnie dokonać sprawy. Życzyłem jój zawsze dobrze, jakkolwiek te pod obecnym rządem mnożące się rozwody są prawdziwém zgorzeniem dla wszystkich ludzi prawych, a tylko niegodziwcom przysparzają korzyść. Zresztą posiada moja siostrzenica mimoto serce najlepsze; jaka to szkoda, że waszmość teraz odjeżdżasz! Dla was obojga nie starczyłoby dnia do zupełnego wypowiedzenia swych myśli.

— Sam król twierdzi, — odrzekł starosta — że ona jest najrozumniejszą kobietą w *Warszawie*; a ja także podzielam to zdanie.

— Bądź, co bądź: — oświadczył generał — nie mogę puścić waszmości; jutro poniedziałek, a to zły dzień dla podróżujących. Jeśli tak pilno, to pojedziesz waszmość we wtorek; ja się nie sprzeciwię. Cóżby to była za gościnność, gdybym pana starostę puszczal w poniedziałek! A więc pan starosta przyczynisz nam jeszcze dzień jutrzejszy.

Michał i Zofia przyłączyli swe prośby: zatem starosta się zgodził. Niepokoili go atoli możliwe następstwa tej zwłoki. Wprawdzie doba to czas — krótki; atoli jak ważne rzeczy mogą się w nim często przydarzyć!

Następnego dnia jeszcze przed świtem puścił się wojski w drogę, nie troszcząc się o dzień „feralny.“ Zdażał mianowicie do *Słonima*, wyprzedzając brata. Cel zaś tej podróży był podwójny: chciał przedewszystkiem sam poczynić na najbliższej stacyi potrzebne przygotowania do dalszej podróży brata, a potem musiał być także akt podziału zaopatrzonego niezbędnymi formalnościami w sądzie. Należała się też staroście według obliczenia kwota przeszło 30,000. złotych, bez których nie mógł odjechać.

Wojski ujechał już kilka mil, kiedy się starosta, chociaż pogrążony w głębokim śnie jakby na jawie zatrudniał Zofią. Ona była przedmiotem jego sennych marzeń i jego pierwszą myślą, gdy się przebudził. Powstał machinalnie, kazał się uczesać, ubrać; a nucił przy tém aryjkę i nie zważając już — ku wielkiemu zdziwieniu pokojowca — tak starannie na

swój ubiór. Zauważył to już piérwój pokojowiec, toż chcąc się przekonać, czyby to nie było tylko przypadkiem, podał staroście surdut w zółte i czarne paski, jaki przed *rokiem* był w modzie. Starosta tego nie zauważył, chodził w nim w ciągu całego dnia. Jakkolwiek *Korendowicz* był na tyle sprytnym, iż pana tym anachronizmem zwabił w łapkę, nie umiał sięgnąć dalej rozważą, aby zgłębić przyczynę téj dziwnéj odmiany. A przecież mógł z łatwością odgadnąć tajemnicę, gdyż o niéj mówiono już jawnie w karczmie niewodowskiéj. Szkoda więc, że *Korendowicz*, zważając na swój urząd pokojowca nie chciał się wdawać ze służącymi jenerała. W wolnych godzinach grywał w piketa z *Lafleurem*, namiętym szulerem, którego atoli przy tém tak nielitościwie podchodził, że mu po największój części zagarniał połowę pobieranéj przez niego płacy.

Gdy starostę ubrano, powrócił on znowu do dworu, gdzie już zastał zgromadzone całe towarzystwo. Dziwnym trafem w tym wrzekomo ostatnim dniu, jaki miał spędzić w *Niewodowie*, on i Zofia przywdziali jakby wskutek zmowy te same barwy. Starosta miał na sobie surducik niebieski z białą podszewką, a Zofia niebieską biało wyszywaną sukienkę. Zwrócił uwagę na to najpiérw *ks. Prosper*; atoli jenerała zajmowały aż nadto inne sprawy, ażeby mógł być o téj drobnostce więcéj anizeli pobieżnie pomyśleć. Zatrudniały go téż pozadomowe nowiny.

— Panie starosto! — przemówił jenerał — wczoraj otrzymałem list od krewniaka z *Wilna*, który mi, swemu wujowi i opiekunowi posyła nie-

kiedy nowo-wydane książki w *Warszawie*. Otóż wczoraj, wyobraź sobie jegomość! przysłał mi drukowany projekt jakiegoś anonima na najbliższy sejm. Oświadcza on w nim, iż się powinno na sejmikach odjąć prawo głosowania *nieosiadłym*, a pozwolić *mieszczanom*, iżby obierali na sejm deputowanych! Wierzej mi, panie starosto, kiedy odczytywałem tę obelgę: mało mię apoplexya nie razila. Gdyby ten niegodziwiec był wydrukował swe nazwisko, byłbym go był zdenuncyował i bronił, choć jestem już stary, sprawę ludu przeciw niemu. Ale to anonim! Może ma też powód do wstydzienia się swego nazwiska. Nie jestże to rzeczą niesłychaną: chcieć odjąć szlachcie przywileje, za które ich przodkowie walczyli na zabój i krew przelewali, i to jedynie dlatego, że ta szlachta nie posiada majątku? A natomiast chcieć przyznawać takie prawa bruko-tłukom z łokciem w ręce i miarą do wyszynku? Czyż oni nie mają swego własnego magdeburskiego prawa? Zdaje się mi nawet, że oni zamyślają ostatecznie przepisywać szlachcie prawa! Radbym też wiedzieć: ktoby tylko słuchał téj gadaniny, i który szlachcic objawił ochotę do zajęcia miejsca obok mieszczucha?

— No, a mieszkańcy *Krakowa*:*) — zauważył ojciec *Kleofas* — czyż oni nie dostępują najwyższych godności?

— O, to rzecz — zupełnie inna! Mieszkańcy *Krakowa* stanowią pewien rodzaj szlachty. Jakkol-

*) Rodziny *Morsztynów*, *Szembeków* i *Wodsickich*, mieszczan *krakowskich* dostąpiły w istocie najwyższych godności i spokrewniły się z najznakomitszemi domami.

wiek obywatel *Krakowa* nie jest *vir generosus*,*) jest przynajmniej *nobilis*.**) Lecz aby mieszkaniec innego miasta miał być obywatelem, deputowanym: wiécie, moi panowie, to żądanie nowe, stanowi *crimen status*,***) gdyż obraża kardynalne prawo narodu; toż chociaż wiele zarzucają rządowi królów saskich, za ich panowania nie mógłby był nikt coś podobnego uczynić. Dzisiaj atoli mówią i piszą ludzie takie rzeczy: jak gdyby w ogóle nie można było nic złego mówić i pisać.

— Ależ jego królewska mość — odrzekł starosta — nie ma też cenzury w swój mocy. We wszelkich sprawach, byle nie w rzeczach wiary, które należą do sądu biskupów, *nemini vox est deneganda*. †) Jakżeż tedy można obwiniać króla, jeśli jakaś nieznaną jednostką puszcza w świat drukowane głupstwo? O ile wiem: szanuje król szlacheckie przywileje, a gorszy się przed chwilą omawianymi poglądami.

— Licha tam, panie starosto! Król należy do poczty tych, którzyby chcieli znieść ład dawny i mieć zawsze świeże prawa i ustawy jak nowe stroje, chociaż przecie powinny być właśnie przeciwnie. Prawo to jak wino: im starsze, tém lepsze. I cóż wart żołnierz, który jeszcze nie był w ogniu? — właśnie tyle co ustawa, nie będąca jeszcze w obiegu i użyciu, w wielokrotném zastosowaniu.

*) dostojnego urodzenia.

***) szlachetny — szlachcic.

***) Zbrodnia stanu.

†) Nikomu głosu nie należy odmawiać.

Gdyby mi najznakomitszy mędrzec nakreślił prawo i zapytał mnie o zdanie o niém, odpowiedziałbym mu śmiało: „Jeśli Bóg dozwoli — ludzie waszmości powiedzą po stu latach, czy ono jest dobrém, lub złém, gdyż prawo można oceniać jedynie według wpływu, jaki na naród wywiera.“ Nie jest to tylko *moje* osobiste zdanie, panie Michale, gdyż je podziela także brat waszmości, a przez jego ręce przeszło więcej kwestyi prawnych, aniżeli ja niedźwiedzi i odyńców widziałem. Jakkolwiek waszmość, panie starosto, czujesz się zobowiązanym względem króla jegomości i jesteś jego stronnikiem, oświadczam przecie otwarcie, że wolałbym mu zaufać raczej w połowie aniżeli całkowicie. Jako przyjaciel ś. p. ojca waszmości i przyszły teść brata pana starosty ośmielam się doradzić zyczliwie, abyś waszmość porzucił służbę króla i był sam sobie panem w własnych dobrach. Nie obwinia ludzie waszmości dlatego o niewdzięczność, gdyż jeśli król waszmości odznacza, pan starosta mu też za to wiernie służył. Nie brakłoby też waszmości dostojęństw, gdybyś się do nas przyłączył. U nas w rzeczypospolitej już taki zwyczaj, że kto królowi *oponuje*, dochodzi do czegoś z większą łatwością, aniżeli ten, kto mu pochlebia. Może jestem zbyt śmiałym...

— Nie, przeciwnie! Tylko sam pan generał masz tyle prawa do udzielania mi nauk; toż, daj Boże: abym mógł waszmości udowodnić, że napomnienie generała na wiatr nie poszło!

Tutaj wmieszał się w rozmowę i ksiądz *Prosper*; wkrótce też było w niej więcej porozumienia. A było

ono potrzebném, ponieważ jenerał, omawiając ten przedmiot dotknął słabiej strony społeczeństwa.

Na krótki czas przed obiadem przybyło całkiem niespodzianie jeszcze dwóch gości: jeden z nich w stroju *Albańczyków*, drugi w mundurze kawaleryi narodowej. Pierwszym z nich był Jan *Wazgird* — ów *Albańczyk* z blizną na czole, który na imiennach księcia-wojewody w *Nieświeżu* siedział obok Zofii. Był on jej stryjecznym bratem i wychowany w domu jenerała pozostawał u niego w wielkich łaskach. Drugim był Czaplicki, chorąży w oddziale kawaleryi, pozostającym pod rozkazami jenerała. *Wazgird* ucałował w ramię jenerała, ciotce i księdzu rękę i złożył przeciągły pocałunek na licu Zofii; starostę powitał ukłonem, przypominając mu, iż się starał z nim zapoznać w *Nieświeżu*. To powitanie starosty, jakkolwiek grzeczne, było nacechowane pewnym chłodem; można tóż było wyczytać w spojrzeniu *Wazgirda*, iż przechowywał w duszy tajemnicę, której jeszcze nie chciał wyjawić. *Czaplicki* zachowywał się skromnie i poważnie. U stołu przemawiał prawie wyłącznie *Wazgird*, zabawiał, a przynajmniej starał się zabawiać całe towarzystwo i opowiadał anegdoty z życia dworskiego w *Nieświeżu*, przygody z polowania i podróży w kniejach księcia-wojewody, oraz z czasów sejmiku w *Nowogródku*, lub kiermaszu w pobliskim miasteczku. Nie omieszczał przy tém sarkac z goryczą i zapalczywością, na obyczaje zagraniczne. Swemi wycieczkami zabawiał wielce gospodarza i bernardyna, mniej już łowczankę i księdza *Prospera*. *Zofia* zmuszała się do uśmiechu wobec jego żartów; po sta-

roście zaś można było poznać: jak mało go te odwiedziły i tego rodzaju rozmowa budowały.

Po obiedzie oddalił się generał jak zwykle, aby się z godzinkę przedrzymać; reszta towarzystwa pozostała w bawialni. Po chwili milczenia ujął Wazgird poufale rękę Zofii i spoglądając drwiąco na starostę powiedział:

— Moja kochana siostrzyczko! widzę ja, że się tutaj w *Niewodowie* dzieją cudy. Pan starosta, wychowany na obcym chlebie „wielkiego świata“ ani doby nie miał podobno wytrzymać pośród mieszkańców siola: a to już *siedmiy* tydzień, jak tutaj bawi! Zdaje się nawet, jak gdyby całkowicie zapomniał o *Warszawie*. I komuż wypada przypisać tak walną zmianę w jego zwyczajach: wujowi, ciotce, czy księdzu *Chlebowicsowi*? Nie prawdaż, panie starosto, że się waszmość tutaj nie nudzi?

— Mój panie! — odpowiedział starosta — z tak zacnym, miłym gospodarstwem jak w *Niewodowie* jest rzeczą niemożliwą: nudzić się; a co się tyczy mego pobytu tutaj: oświadczam, że pośród tak licznych gości, których poznałem, i jednego nie było, któryby nas był nudził.

Wazgird wydał wargi, poglądził brodę i rzekł po chwili namysłu od niechcienia:

— Pan starosta chce mi dać do zrozumienia, że mię uważa za nudziarza.

— Mój najlepszy panie! niczego więcej nie chcę, tylko żyć w pokoju z całym światem. Ja się nie troszczę o postęпки drugich, toż sobie życzę, aby się i drudzy nie troszczyli o moje własne. Tylko tyle chciałem dać waszmości do zrozumienia. Zresztą

powiada przysłowie, że *na pewne pytania nie ma odpowiedzi.*

— Ja nie lubię i nie rozumiem podobnych alegoryi i zwykłem wypowiadać każdemu to, co on rad wiedzieć. Prosiłbym zatem pana starostę o pouczenie mnie: czy przytoczone przysłowie tyczy się méj osoby?

— Ja zaś proszę waszmości, mój najlepszy panie, abyś mię zwolnił od potrzeby udzielenia ci tego pouczenia.

— Jeśli się rzeczy tak mają. — odpowiedział Wazgird — natenczas sam sobie musi człek sprawę wytłómaczyć. A więc...

— A to co znaczy? — przerwał dalsze słowa ksiądz *Prosper* — Widzę, że waszmość swym zwyczajem szukasz zaczepki; lecz zaręczam waszmości, że mój brat — generał mało będzie waszmości zobowiązany, gdy się dowie, jak się waszmość w jego domu obchodzisz z gośćmi, których on ceni i szacuje. Proszę waszmości, panie starosto, nie przywiązywać znaczenia do tego, co waszmość usłyszałeś, a chcieć raczej powtórzyć z Zofią wczorajszy duet „*Il dolore della suora!*“ Spodoba się on nam wszystkim, a niezawodnie także i panu Wazgirdowi.

Starosta zasiadł do fortepianu, obok niego Zofia, Wazgird zaś u okna obok chorążego, któremu coś do ucha szepnął. Skoro się atoli duet rozpoczął, przybliżyli się obydwaj do fortepianu. Muzyka odpowiadała chwilowemu położeniu obojga debiutujących. Starosta śpiewał swą część po mistrzowsku; gdy się zaś i Zofia dała słyszeć, był jój głos tak ujmujący i wzruszający, że starosta musiał skupić siły

duszy, aby łez nie uronić. Muzyka tchnęła takim czarem, iż sam Wazgird zdawał się być wzruszonym; zbliżył się też do starosty i podziękował mu serdecznie za zgotowanie mu takiej przyjemności. Starostę zaś ogarnęło tak wielkie rozrzewnienie, iż się musiał oddalić; wsiadł na dziedzińcu na w pogotowiu stojące dla niego sanki i kazał się odwieść do swego mieszkania, gdzie się jego służba zajmowała przygotowywaniem rzeczy do podróży.

Przybywszy na miejsce zauważył, iż pod okno jego mieszkania zajechały sanki. Wysiedli też z nich niebawem Wazgird i chorąży i weszli wprost do pokoju starosty, który ich przyjął bardzo grzecznie i poprosił, aby byli usiedli. Wazgird przemówił do niego:

— Panie starosto! nie mam czasu do stracenia, toż wypada się mi — szlachcicowi z szlachcicem porozumieć szczerze i otwarcie. Pański brat jest narzeczonym mojej siostry, której niepokalane imię dla mnie jest droższe nad życie. Przedłużaniem zaś swego pobytu w *Niewodowie* czynisz mu waszmość ujmę. Rozeszła się wieść, że waszmość ku méj siostrze inaczej wzrok podnosisz: aniżeli się godzi; przybyłem więc w zamiarze zapytania pana starostę, co mam sądzić o téj sprawie, a zarazem poproszenia pana starostę o danie mi na to ręki, że od dzisiaj przynajmniej w ciągu trzech lat waszmość z siostrą nie będziesz utrzymywał żadnych stósunków — ani ustnie, ani pisemnie. Przypuszczam jużci, że te stósunki są niewinne, lecz obstają przy tém, że one w opinii publicznej jój saméj i całemu domowi gotują hańbę.

Starosta uczuł, jak mu krew żarem wypełniała żyły, mimoto nie przekroczył granic umiarkowania i odrzekł:

— Panie Wazgird! uczciwe imię narzeczonej mego brata jest dla mnie nie mniej drogiem jak dla waszmości, lecz pogardzam ze względu na nią i samego siebie wszelkiem oszczerstwem. Z moich zaś postępów nie zdaję rachunku żadnemu śmiertelnikowi; toż waszmość wybaczysz, gdy powiem, że i waszmości w tym względzie nie wykluczam.

— Przewidziałem odpowiedź pana starosty i dlatego zabrałem ze sobą pana chorążego Czaplickiego, gdyż obecnie nie pozostaje nic innego jak oznaczenie czasu i miejsca, gdziebyśmy mogli załatwić sprawę krótszym sposobem aniżeli słowami. Moim świadkiem będzie chorąży; toż proszę pana starostę o wymienienie mi swego własnego, aby oni mogli dokonać potrzebnych formalności.

— I brak czasu i miejscowe stósunki utrudniają mi pozyskanie sobie świadka; toż chociażbym się o niego pokusił, przyczyniłoby się to jedynie do udaremnienia naszych zamiarów. Proszę tedy waszmości, panie chorąży, być zarazem i moim świadkiem oraz przekonanym o mojem nieograniczonym zaufaniu.

— Ja też nie zawiodę pewnie zaufania pana starosty! — odrzekł Czaplicki z ukłonem — Prosiłbym tedy o podanie mi najodpowiedniejszego czasu i broni, którą sobie pan starosta wybierasz.

— Czas mogę naznaczyć jedynie na jutro rano przed świtem. Co do rodzaju broni: nie umiem robić szabłą tak samo jak pan Wazgird szpadą;

pozostają więc tylko pistolety. Mam tutaj dwa pistolety, z których waszmość możesz wybrać.

— Nie używam cudzej broni! — oświadczył Wazgird — Każdy z nas zabierze z sobą swój własny pistolet i nabije go w oczach chorążego. Co do miejsca: proponuję, iżbyśmy się stawili jutro rano przed wschodem słońca ćwierć mili za *Niewodowem* na gościńcu, wiodącym do *Wilna* poza karczmą.

— Zgoda! — powiedział starosta.

— No, — mówił dalej Wazgird — teraz wracajmy do wuja i zachowajmy tajemnicę. Wiem, że panu starości w takich rzeczach nie braknie doświadczenia; a ja nie chciałbym się przed czasem narażać na gniew mego wuja. W każdym razie powinniśmy sobie uprzyjemnić według możliwości dzisiejszy dzień, boć on dla jednego z nas będzie ostatnim w życiu.

— Zgadzam się na to z całego serca. Pozwól mi tylko waszmość — napisać jeszcze kilka słów, zanim będę mógł służyć. Tutaj kazał sobie starosta podać podrózną torbę na listy i polecił Korendowiczowi przygotować rzeczy i wszelkie inne potrzeby do podróży. Potem zasiadł do pisania, a skończywszy je prosił gości mimo tajonej urazy z powiérzchowną pogodą na twarzy o przebaczenie, że ich tak długo zatrzymał, wsiadł z nimi na sanki; i niebawem znaleźli się wszyscy w bawialni u jenerała, gdzie ich przybycia oczekiwano nie bez zaniepokojenia.

Jakkolwiek starosta przywykł był do pogardzania obyczajami swojskimi, a przyznawania we wszystkim pierwszeństwa Francyi, nie mógł przecież od-

mówić uznania chwackiemu postępkowi Wazgirda. Był też ten młody Albańczyk na kilka godzin przed walką na zabój — w tak wesołym usposobieniu, jak gdyby był przystępował do biesiady. Widać było, iż się starał jak najwięcej dopomóc generałowi: do możliwego uprzyjemniania starości ostatniego wieczorka w Niewodowie. Żartował nieustannie; a chociaż te żarty nie zawsze były stósowne, obudzały przecież u generała jak najweselszy humor. Tylko Zofia nie mogła się ocknąć z zadumy; toż jej pozorny pokój tak dalece wpłynął na starostę, iż on nie mógł wesołością sprostać Wazgirdowi, i dlatego czuł się upokorzonym. Kiedyindziej zwykł jadać wieczorem; tym zaś razem miał już odstąpić od długoletniego zwyczaju, widząc, że Wazgird je za trzy osoby. W ciągu wieczery napełnił generał kieliszek starym węgryzmem i wychylił zdrowie starosty w ręce pana Wazgirda, który też to zdrowie spełnił z jak największą pochopnością i podał puhar chorążemu. Następnie pił starosta z równą grzecznością i podziękowaniem za okazaną mu życzliwość — jakkolwiek z mniejszego kieliszka — zdrowie gospodarza i gości. Po wieczery zabawił z nimi generał wbrew zwyczajowi jeszcze chwilę po północy tak, iż go do udania się na spoczynek zagnęły dopiero usilne prośby starosty, który był zauważył jego znużenie. Oddalając się polecił generał Zofii zabawianie gości sercem ochotném. Po odejściu generała zabawiała się spółem reszta towarzystwa aż do szóstej godziny zrana, która była stanowczém hasłem do wzajemnego pożegnania. Żegnający się z towarzystwem starosta był nadzwyczajnie rozrzewniony.

Zofia miała łzy w oczach. Mający się pojedyńkować i uproszony świadek Wazgirda ujechali kawałek drogi sankami, a potem odesłali je do domu, iżby ich nie był zdradził woźnica, i udali się pieszo do karczmy.

I tutaj okazywał się Wazgird jak najgrzeczniejszym względem swego przeciwnika.

Kiedy stanęli u celu, ukazały się już na niebie pierwsze zwiastuny porannej zorzy — a w karczmie byli już wszyscy na nogach.

Starosta kazał sobie bezzwłocznie podać Korendowiczowi skrzynkę z pistoletami; Wazgird miał swoje pod pachą, a naboje niósł chorąży w kieszeni. Kosztownie wyłożone pistolety starosty obudziły podziw u jego przeciwnika i sekundanta. Wazgird ukazał swoje, mówiąc:

— Moje „mizeroty“ są tém „cnotliwsze“; może zdołam przekonać o tém waszmości.

Starosta wręczył Korendowiczowi list z poleceniem wysłania go do Warszawy, jeżeliby on nie powrócił. Musiał mu też ślubować bezwzględne zachowanie tajemnicy o sprawie, a za to obdarzył go hojnie w napisanym testamencie. Potem obaj przeciwnicy nabili swe pistolety pod czujném okiem chorążego; i wszyscy trzej udali się poza karczmę. Chorąży odmierzył dystans, wynoszący dziesięć kroków, oddalił się nieco na ubocz i powiedział:

— Uważajcie dobrze waszmościowie na moje komendę; odezwę się: „Raz — dwa!“ — a gdy wypowiem: „Trzy!“ — strzelajcie do siebie w imię boże! Kto z waszmościów nie strzeli, utracił jeden strzał.

Rozpoczął też komendę; a starosta zauważył, że Wazgird celował w jego słabiznę. Sam zaś starosta mierzył w głowę przeciwnika, a znając pewność swego oka i ręki był przeświadczony, iż mu miał niezawodnie zgruchotać czaszkę. Możliwym było przecież podówczas uwierzyć w przeznaczenie: na komendę: „*Trzy!*“ pistolet starosty spalił proch na panewce, chociaż go on dotychczas jeszcze nigdy nie zawiódł! Kula zaś przeciwnika dosięgła starostę, który się zwałił na ziemię. Zbliżył się do niego Wazgird natychmiast i prosił go w imię boże o przebaczenie.

— Przebaczam z całego serca! — odrzekł słabym głosem starosta — Waszmość nie wie: jak ważną wyświadczyłeś mi usługę!

Zaniesiono też zaraz starostę do karczmy, umieszczono na łóżku, gdzie on po chwili utracił przytomność.

XV. Kasztelanowa liwońska. — Wyznanie.



Naledwo starosta spoczął w karczmie, powrócili chorąży i Wazgird do Niewodowa i układli się na spoczynek: jak gdyby nic nie było zaszło. Atoli dzierżawca, zmiarkowawszy, że starosta jeszcze nie umarł, uwiadomił natychmiast o wypadku niewodowskiego komisarza, starając się o możliwą pomoc dla rannego. Pamiętając atoli o pogroźkach Wazgirda zachował właściwą tajemnicę, a opowiedział tylko, że jacyś dwaj nieznajomi panowie zajechali byli przed karczmę przed przybyciem starosty, na którego oni właśnie czekali, następnie pojedynkowali się z nim, a kiedy on padł, odjechali dalej. To opowiadanie potwierdził Korendowicz. Buńczukiewicz sprowadził potem ojca Kleofasa, który od biedy mógł zastąpić chirurga. Bernardyn opatrzył choremu ranę, wymywszy ją poprzednio. Następnie przeniesiono starostę na doraźnie sporządzonych noszach

z desek do dworu, ale nie do owego mieszkania, które dotychczas zajmował, lecz do rezydencyi samego jenerała i to do przyległego pokoju obok bawialni. Sprowadzono też natychmiast z Mińska pułkowego lekarza *Masalskiego*. Przybył istotnie w jak najkrótszym czasie ten w swęj sztuce nader doświadczony mąż i pochwalił dotychczasową pomoc, jaką był udzielił choremu ojciec Kleofas. Po dokładném zbadaniu oświadczył lekarz, że jeśliby chory nie umarł w ciągu dwóch dni, jego życiu potem już żadne niebezpieczeństwo nie miało zagrażać, gdyżby się sprawdziło jego przekonanie, że kula przeszła pomiędzy wnętrzościami bez ich naruszenia. Rozchodziło się głównie o usunięcie gorączki; w tym też kierunku wydał lekarz potrzebne rozporządzenia i zalecił, aby w razie, gdyby chory odzyskał był przytomność, nie dozwalało mu wzruszać się, ani mówić.

Jenerał, dowiedziawszy się o nieszczęściu zasmucił się niezmiernie i wysłał natychmiast gońców za wojskim. Kiedy mu zaś powiedziano, że staroście towarzyszyli Wazgird i chorąży, zaczął ich surowo indagować. Atoli obaj potwierdzili jedynie zeznania dzierżawcy i oświadczyli, że starosta po niejakiem czasie ich odprawił do domu. Następnie pożegnali jenerała tudzież jego domowników i powrócili do Nieświeża.

Starosta przeleżał prawie dwie doby bez przytomności, a potem po długotrwałym twardym śnie otwarł oczy. Kiedy powoli odzyskał przytomność, przekonał się, że spoczywał w słabo oświetlonym pokoju, i zauważył w nim dwie niewiasty. Jedna

z nich siedziała naprzeciw niego z opartą o stół głową i zdawała się chwilowo odpoczywać po nocnym czuwaniu; druga stała u jego łoża, śledząc z trwogą każde jego poruszenie. Natężył więc chory myśli, aby się w tém wszystkiém zorientować. Zdawało się mu, jak gdyby był nad nim czuwał anioł. Powoli doszedł do przekonania, iż to była — Zofia; chciał więc przemówić, ale ona przymknęła mu usta delikatnie swą ręką. Po chwili szepnął chory:

— Pani wieisz: kto mnie zranił.

— Dał mi to do zrozumienia! — odpowiedziała Zofia — Nie wiem atoli dotychczas: dlaczego?

— Pani pytasz o powód? A czyż nie jesteś narzeczoną mego brata i dobroczyńcy? Nie będziesz-że mię teraz nienawidzić, mną pogardzać?

— Uspokój się waszmość, nie mów tak wiele, gdyż to mogłoby zaszkodzić zdrowiu waszmości!

— A cóż mi po życiu? Radbym tylko jeszcze jedno wypowiedzieć, a potem chętnie umrę. Na cóżbym miał jeszcze żyć? Otóż proszę jedynie panią o przebaczenie: to jedyny balsam na wszystkie moje cierpienia. Wdzięczny jestem losowi, iż mi dozwala wyzionąć ducha w pobliżu pani.

— O, nie umrzesz waszmość; proszę, żyj dalej, żądam tego od waszmości! Znośmy godnie zrządzenia losu! Ja składam waszmości w ofierze szczęście mego całego życia i uczuвам w sobie sily do rezygnacyi. Dla waszmości będzie powetowaniem sława i odznaczenie; może zdołasz o mnie zapomnieć. Jeśli się nie mylę, sądzę, że waszmość pójdziesz w moje ślady. Rozłączeni na zawsze zrzą-

dzeniem losu, mimoto pozostaniemy złączeni w uczciwym związku.

Wyrzekłszy te słowa obudziła lekkim poruszeniem ciotkę-łowczankę; i oddaliły się obydwie.

Starosta popadł w stan nieczułości, którą lekarze nazywają *atonią*,*) a następnie w długo-trwały sen. Kiedy się znowu ocknął, znajdowali się u jego łoża generał, wojski i niewodowscy księza; niewiast nie było. Wojski wprowadził lekarza, który go uspokoił nadzieją polepszenia, zakazując atoli chorego niepokoić rozmową. Chory potrzebował istotnie samotności, gdyż jego duch w miarę powrotu sił zagłębiał się tém więcej sam w sobie. Jedna tylko myśl ożywiała starostę t. j. unoszący się przed jego duszą obraz ubóstwianej. Jój ostatnie wyrazy: „*Pozostaniemy połączeni w uczciwym związku!*“ odbrzmiewały jeszcze ciągle w jego sercu; a jego wyobraźnię zaprzętały widziadła — pełne nadziei i ukojenia.

Polepszyło się mu téż widocznie w krótkim czasie tak, iż po upływie kilku dni mógł się już podnieść na łożu, chciał pisać i oczekiwał pozwolenia lekarza do opuszczenia łoża.

Jenerała odwiedziła tymczasem kasztelanowa — słynna w Warszawie z zalet ducha i urodą. Sam król ją miłował, lecz będąc niestałym przyznał pierwszeństwo krajczynie koronnej. Ułożono formalną ugodę, o której wiele mówiono w stolicy. Król mianowicie wyrzekł się kasztelanowej na korzyść krajczyny, która się znowu wyrzekła starosty

*) Zwątlenie, bezsilność.

na korzyść króla. Ta wspólność w nieszczęściu spowodowała zaprzyjaźnienie się zdradzonych w miłości osób. Król atoli nie zerwał wszelkich stosunków z kasztelanową, którą cenił, a nawet się lękał jej duchowego uzdolnienia. Toż jakkolwiek się jej sprzeniewierzył, odznaczył przecież jej małżonka. Wprawdzie to zapewne się nie przyczyniło do uczynienia go przyjemniejszym, ponieważ kasztelanowa dążyła stanowczo do rozwodu i zamieszkała aż do ukończenia sprawy u swego wuja. Jenerał, i w tym kierunku mąż *de moribus antiquis* *) ubolewał w duszy nad tą sprawą — tém więcej, ponieważ z kasztelanem żył w przyjaźni. Atoli kasztelanowa mu imponowała, więc jej niejedno przepuszczał, czegoby zresztą nikomu innemu nie był przebaczył. Wybierając się na Litwę otrzymała od króla rozmaite dyplomatyczne zlecenia oraz list do starosty, gdyż intrygi były żywiołem panowania tego monarchy.

Wśród takich okoliczności dziwiono się z początku sprawie rozwodu kasztelanowej, albowiem — chociaż jej męża u dworu, gdzie się on zresztą rzadko pojawiał — znano z nudziarstwa: ona przecież byłaby mogła znaleźć z trudnością męża dogodniejszego. Wszystko tłumaczyła jej miłość. Od roku mianowicie okazywała ona wielką skłonność do pana Gintowta, podkomorzego jego królewskiej mości. Podkomorzy atoli nie zadawał się samemi względami pięknej kasztelanowej, dążył raczej do pozyskania ręki téj wpływowej pani w chęci zape-

*) starodawnych zwyczajów.

wnienia sobie świetnego stanowiska w społeczeństwie. Toż król, znany protektor wszelkich rozwodów popierał go dostatecznie w tej sprawie.

Po pierwszych wzajemnych powitaniach z wujem i jego domownikami — kasztelanowa bowiem umiała sobie wszystkich zjednać — chciała koniecznie widzieć starostę; toż nie zważając na przedstawienia weszła ze zwykłą żywością do pokoju chorego, przyłożyła do jego ust swą piękną, drobną rękę i powiedziała:

— Aj, aj, panie starosto, waszmość nie możesz już porzucić gladyatorskiej szermierki, ponieważ znalazłeś do niej sposobność nawet w naszej odległej Litwie! Musiał to być ktoś z bardzo odległych stron, kto waszmości tutaj odwiedził: zapewne jaki nieszczęśliwy amant, lub zazdrosny małżonek, który się pomścił na waszmości, gdyż w każdym ważnym wypadku życia pana starosty odgrywa główną rolę — niewiasta.

Następnie zwróciła się do generała i rzekła:

— Wiész co wujaszku? Pan starosta jest zaprzeczeniem przysłowia: „*Wielcy panowie mają krótką pamięć!*” Król tęskni za nim jakby za oblubienicą, chociaż był jego rywalem; a pani krajczynie, obecnie panującej sultance, cisną się łzy do ocz, gdy kto wspomni o staroście. Atoli widzę — dodała, zwróciwszy się do starosty — że waszmość jesteś istotnie chory, gdyż nie pytasz nic o Paryż, gdzie mnie cztery miesiące upłynęły jakby cztery tygodnie, i skąd wróciłam dopiero przed sześcioma tygodniami. Poznałam brata waszmości Bertranda, który „jest bardzo w modzie” i waszmości przypo-

mina. Biédak ożenił się już z bogatą Kreolką — hrabiną *de Vermont*.

— A co to znaczy: Kreolka, moja kochana kuzyno? — zapytał jenerał.

— Kochany wuju! tak nazywają się w Paryżu Amerykanki.

— Jaktó: rodzony brat pana starosty i naszego wojskiego miałby się być ożenić z niewiastą rasy kolorowój?

— Ależ nie tak, wujaszku! Kreolki — to Francuzki, zrodzone na wyspach amerykańskich i są tak białe, ale to tak białe jak mléko, a osobiwie bratowa pana Strawińskiego, której urodę uznały piérwszorządne towarzystwa w Paryżu. Musiał on już niezawodnie uwiadomić swego brata; ale ja państwu opowiem o jego ożenieniu się, które można nazwać świetném, chociaż pojął żonę, zmuszony w połowie tak, iż nie miał wyjścia. Romans z wybranką trwał już dwa lata; a p. Bertrand, jakkolwiek nie dochowywujący wiary lgnął przecież do niej szczerze; lecz ona chciała koniecznie zostać jego żoną. Ale jakżeż się mógł na tak ważny krok w życiu zdecydować kawaler modny, którego namiętność wiedzie coraz w inną stronę? Gdy nawet niekiedy uczuwał do tego ochotę, drwinki księżny *Vilroy*, hrabiny *Boufleurs*, panien *Duffé*, lub *Armal*, wreszcie innéj aktorki zbijały go tak dalece z toru, iż mimo najszczerzej chęci nie mógł się ożenić. Wtém urządzono w Wersalu wielki bał, na którym i ja byłam, a nawet „figurowałam“, gdyż należałam do pocztu tancerek w kadrylu, o którym niezawodnie ludzie jeszcze dzisiaj mówią. Rozchodziło się

tam o niespodziankę dla króla; a sędziwy *Gardel* przygotowywał nas w tym celu w ciągu całego tygodnia. Król lubi mianowicie niezmiernie kolor *niebieski*; toż ośm par w naszym kadrylu wystąpiły w niebieskim jedwabiu: panowie ze srebrnym wyszyciem ubioru, my w perłach i brylantach. Hrabina *de Vermont* jaśniała swemi wdziękami, oraz brylantami i tańczyła z gracyą Paryżanki i ogniem Krolki. Kiedy się król zbliżył do naszego grona, wykonywałyśmy nasze lansady z takim zapałem, iż się król ani nie ruszył z miejsca aż do ukończenia kadryla. Gdy muzyka zamilkła, przystąpił król do mnie i zaszczyił mię komplementem, na który mu odpowiadałam: jak umiałam. Potem zbliżył się monarcha do hrabiny *de Vermont*, która podobną była do rusalki, i zaczął składać jój urodzie tak jawne hołdy, iż sam Bertrand, który z uszanowania o kilka kroków się cofnął, uniósł się największą zazdrością. A miał ku temu tém dosadniejszy powód, ponieważ od chwili zgonu margrabiny *de Pompadour* miejsce po niej w sercu króla było opróżnionem. Spojrzał on na hrabiego *Mycielskiego*, skinieniem kazał się mu zbliżyć i rzekł do niego:

— Dowiaduję się, mości hrabio, iż waszmość masz poślubić piękną hrabinę, której byłeś tancerzem. Czy wolno zapytać o dzień ślubu?

— Miłościwy panie! — odpowiedział hrabia — to zależy od woli hrabiny, której jestem najwierniejszym sługą.

Król zwrócił się potem do hrabiny i rzekł:

— Nie myśl hrabino, że tylko z próżnej ciekawości pytałem hrabiego *Mycielskiego* o dzień

ślubu. Jest on krewnym zmarłej królowej, więc mię jego los obchodzi. I kiedyż hrabina dozwolisz się uprosić tęsknocie jego wiernego przywiązania?

Zakłopotana hrabina odpowiedziała:

— Gdy to nakaze wasza królewska mość:

Na to odrzekł król:

— Tego prawa nie myślę sobie przywłaszcząć, lecz ucieszyłbym się, gdyby się ślub odbył za *tydzień*.

Po chwili składali wszyscy dworscy panowie i panie młodej parze swe życzenia. Tym sposobem wszechwładny król przeciął gordyjski węzeł romansu. Nikt nie śmiał szydzić z Bertranda, iż sobie „świat zamknął“, gdyż taka była wola *króla*.

— Nie uwierzysz waszmość, mój najlepszy starosto, jak wielce mnie brat waszmości dręczył, iżbym była pozostała w Paryżu aż do jego ślubu! Lecz ja tak wielce tęskniłem za Warszawą, że już trzeciego dnia po balu znajdowałem się w drodze.

Potem przytuliła kasztelanowa głowę do ramienia jenerała i mówiła dalej z przymileniem:

— Za pozwoleniem wujaszka zajmę się uporządkowaniem rozrywek i przyjemności w Niewodowie. W zajęciach nie przeszkodzę wujowi; ale od téj chwili należy do mnie salon, który przenoszę do pokoju *starosty*. Jest on ozdowieńcem: wypada mu czas urozmaić i usunąć resztki słabości. Sami panowie nie sprawią mu wiele przyjemności; proszę przeto wujaszku! pozwól ciotce i siostruni Zofii, iżby mi dopomagały w przyspieszaniu wyzdrowienia starosty. Wszak on i tak zostanie wkrótce szwagrem, więc wypada zaprzestać ceremonii. Nie prawdaż:

zostaje przy tém, że nasza bawialnia będzie teraz u niego, jak długo mu lekarz nie wróci zupełną wolność?

— Moja kochana kuzynko, rządź i rozkazuj w mym domu według upodobania: proszę tylko, pozostań tutaj jak najdłużej, gdyż wiem, że potrafisz lepiej ode mnie zabawić pana starostę. Jeśli zechcesz: zgromadzimy się dzisiaj po obiedzie u pana starosty; jutro zaś wyjadę za waszém pozwoleniem na polowanie. Poprosisz wspólnie ze mną gościa, kochana kuzyneczko, o przebaczenie; lecz od czasu tego nieszczęśliwego zajścia kroku z domu nie wyszedłem; i martwić się będę w ciągu całego życia, iż się to stało w mojej posiadłości. Teraz zaś, gdy staroście nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo, pozwoli mi przecie, iżbym znowu pomyślał o lesie.

Starosta podziękował generałowi za dobroć i prosił gospodarza, iżby się niczém nie krepował w swych rozrywkach.

W istocie téż zgromadzili się wszyscy po obiedzie w pokoju chorego starosty. Przybyła i Zofia. Starosta ujrzał ją po raz pierwszy znowu od owéj chwili, w której się mu była — wyraźmy to najodpowiedniej — „pojawiła“ po jego oprzytomnieniu w tak uduchownionej postaci jakby senne marzenie. Tego dnia wydała się mu być nadzwyczajnie bladą, ale tak piękną, tak wiele zdradzającą spojrzeniem rozmarzonych ocz i automatycznymi ruchami! Kiedy się zbliżyła do starosty i zapytała o jego zdrowie, zapłonęły jéj białe lica rumieńcem.

Starosta odpowiedział niewyraźnie; serce biło mu gwałtownie, musiał mimowolnie przymknąć oczy.

Zapomniał o całym otoczeniu i popadł w ów stan rozmarzenia, rozgorączkowania, w którym najwyższa rokosz miłości graniczy z jej udręczeniami.

Kiedy się potem znowu ocknął, usłyszał rozmowę otaczających go osób.

— Kochany wuju! — mówiła kasztelanowa — jakkolwiek dobroć serca nie dozwala wujowi okazać mi to, wiem przecież bardzo dobrze, iż się nieżyczliwie zapatrujesz na sprawę mego rozwodu. Albowiem nasi Sarmaci myślą tak jak ich sąsiedzi Turcy, iż niewiasty są stworzone na niewolnice, a ojciec może się obchodzić z córką jakby z jakim sprzętem. Nasz król wypowiedział niegdyś słuszną uwagę, że chrześciance, potępiający za to Czerkiesów, iż oni sprzedają swe córki do haremów w Konstantynopolu, właściwie to samo czynią, gdy wydają swe córki za mąż, nie pytając o ich zezwolenie. Nie wypadaloby wyrzucić te królewskie słowa w złocie, lub na marmurze?*) Panie wojski, urzędowy pocieszycielu i opiekunie niewiast! powiedz mi waszmość, ale szczerze i otwarcie: czy me zapatrywanie ma w waszmości przeciwnika, lub obrońcę?**)

— Pozwól mi pani kasztelanowa milczeć, — odrzekł wojski — gdyż przewiduję, iżby się jejmości mój pogląd nie spodobał.

*) Patrz: *Tadeusz Kościuszko* — powieść historyczna w 3. tomach przez Izydora Poechego. Gródek 1891. u J. Czaińskiego: list Karoliny Sosnowskiej do Kościuszki, który jest historycznym dowodem zbytniego rygoru rodzicielskiego.

**) Wojski czuwał *z urzędu* w swym powiecie nad wszystkimi szlachciankami i dlatego był jedynym urzędnikiem, który się nie wydalał z pospolitým ruszeniem.

— Proszę o szczeróść! Niczemu na ślepo nie wierzę i słucham chętnie głosu przekonania. Nadto szanuję mego wuja, iżbym się bronić wahała w obec niego. Proszę więc pana wojskiego — jeśli waszmość żywisz przekonanie odmienne, zastąpić tutaj kasztelana: ja będę sama broniła méj sprawy.

— Bóg świadkiem, — powiedział wojski — iż w imieniu kasztelana nie wystąpię nigdy przeciw jéjmości, lecz nie przeczę, że mimoto pragnę z całego serca, iżby się pani kasztelanowa pojednała z mężem. Jeśli jéjmość sarkasz na nas Sarmatów: czynisz to jedynie, mając na względzie sprawę własnego rozvodu. Któżto mógłby być bezstronnym w własnej sprawie? To przechodziłoby ludzkie siły. Pozwól mi jéjmość przecie tylko jedno przytoczyć. Jeśli zdaniem pani kasztelanowej pragniemy zachować wygórowane swobody, wykluczamy z nich przecież prawo do osłabiania ważności przysięgi w razie, gdy ona nam jest niedogodną.

— I waszmość chcesz to do mnie odnosić?

— Niezawodnie, gdyż jéjmość nie zaprzeczysz, że poprzysięgłaś panu kasztelanowi publicznie miłość i wierność.

— Takieto są te wasze jurystyczne sztuczki? Kazują przysięgać dziecku, które jeszcze nie rozumie znaczenia przysięgi, i opierają na tak zwodniczym sposobem uzyskanéj przysiędze prawo do dręczenia niewinnej, uczuciowej istoty. A wszakże według waszego prawa nie posiada przysięga, złożona pod naciskiem zagrożenia życiu mocy zobowiązującej. Odwołuję się do zdania księdza wuja, jakkolwiek on

uchodzi powszechnie za rygorystę. Czyliż w obec sumienia ważna jest przysięga *wymuszona*?

— Nie ma wątpliwości w tój kwestyi; — odrzekł ks. Prosper — lecz nader trudnem jest dla sumienia rozstrzygnięcie: ile w przysiędze było przymusu, ile dobrej woli. Toż najmniejszą wątpliwość należy tłumaczyć na korzyść uszanowania wobec zawezwanego na świadectwo majestatu bożego. Gdzie zaś stwierdzono widoczny przymus: tam i kościół przypuszcza zniesienie tego rodzaju zobowiązania, ponieważ w tym razie złożono przysięgę ustami, a nie sercem. Atoli biada temu, który podstępnie przekręca prawdę i ośmiela się nadużywać pobłażliwości kościoła!

— Co do tego punktu: — oświadczyła kasztelanowa — pogodziłam się z sumieniem. Jużci nie grożono mi śmiercią, ani chłostą: ale czy te są ogólne środki, które wykluczają wolną wolę? Matkę utraciłam w dzieciństwie; ojciec przydał mi francuską guwernantkę, która mnie wychowywała. Nie miał on czasu do zajmowania się mną; zatrudniały go bowiem sejmiki, polowania, gospodarstwo. Guwernantka dręczyła mię formalnie — tém więcej, ponieważ na nią nie miałam się przed nikim uzalić, gdyż ojca lękałam się jak ognia. Będąc dzieckiem nie mogłam tego wszystkiego rozróżnić; kiedy atoli — podrosłam, nie zdołałam już wytrzymać. Gdy kiedy chciałam czytać, guwernantka odbierała mi książkę z ręki i kazywała mi — pisać, jeśli chciałam pójść do ogrodu, kazywała mi haftować, gdy się chciałam ubrać, ona wymyślała inne zajęcie. Mój ojciec był bogaczem; ja byłam jedynaczką. Wtém pojawił się

u nas p. *Świętochowski*, syn dostojnika — równie bogaty i posiadający znaczenie u szlachty. Mój ojciec przyjął go bardzo zycliwie; ja znieść go nie mogłam od pierwszej chwili. Atoli z jednej strony powtarzał ojciec, iż sobie życzył mieć takiego zięcia, z drugiej strony dokuczała mi z każdym dniem więcej guwernantka. Do tego przyczyniły się namowy sąsiadek i krewnych oraz żony podkomorzego. Przedstawiały mi orte:

— „Skoro tylko wyjdiesz za mąż, pozbędziesz się guwernantki i będziesz mogła stroić się według upodobania. Pan *Świętochowski* miłuje cię nade wszystko; wszystkie niewiasty zazdrościć ci będą szczęścia!“ Wspominały też o pięknej wyprawie i przygotowaniach do wesela. Ja liczyłam lat *sześnaście*. Można sobie wyobrazić: o ile to wszystko zdołałam należycie ocenić! Słowem: nie wiedziałam sama — jak i co przyobiecałam; wiem tylko to, iż mi zatknięto na palec kosztowny pierścień brylantowy, który się mi bardzo podobał, i gratulowano mi zaręczyn. Wkrótce potem sama chciałam się z téj sprawy wycofać; lecz cały dom powstał przeciw mnie. Wszyscy poczytywali to za hańbę, gdybym chciała nie dotrzymać słowa — a przedewszystkiem mój własny ojciec. Nie mogłam już więc powiedzieć: „*Nie!*“ Toż w kilka dni później wprowadzono mię do ołtarza.

— Ja — oświadczył wojski — nie myślę i nie potępię panią kasztelanową, lecz jéjmość żądałaś prawdy: otóż wnioskuje z opowiadania pani kasztelanowej, że według przekonania jéjmości ani przysięga dziewicy, ani dane słowo jéjmości nie mają znacze-

nia. Będąc mężczyzną nie mogę zezwolić na tego rodzaju poniżenie płci pięknej, albowiem nawet wtenczas, gdy sami rodzice córce obiorą męża, a ona posiada wychowanie chrześcijańskie: będzie dla niej wola rodziców także wolą bożą, a jeśli nadto obiór rodziców zatwierdzi swą obietnicą i przysięgą: jakżeżby się na nie nie mógł spuścić mężczyzna, szlachetnie myślący?! Tutaj wypada atoli jeszcze jedno uwzględnić — mianowicie, że przy tych rozwodach wywody o nieważności małżeństwa, powątpiewania o nienaruszalności przysięgi dopiero wówczas następują, gdy się w tę sprawę wmixsza osoba trzecia — nie wcześniej. Zanadto szanuję nasze niewiasty, iżbym je miał wykluczać od przywilejów szlachty, a „*verbum nobile debet esse stabile!*“*) A zatem przysięga dziewicy i jej obietnica przy zaręczynach nie mogą być naruszone, osłabione, ani unieważnione bez zadania gwałtu sumieniu.

— Panie wojski! — rzekł ksiądz Prosper — zmieszałeś tutaj w jedno dwie rzeczy, które — chociaż ściśle z sobą spokrewnione wielce się różnią, mianowicie chrześcijańskie powinności i zasady stanu szlacheckiego. Prawda: rodzice mają wielką moc nad dziećmi, lecz nie posiadają prawa stanowienia o ich losie bez ich współdziału. Gdyby do mnie przyszedł syn, albo córka, któraby chciała zawrzeć związek małżeński, sprzeciwiający się woli rodziców, wówczas doradzałbym bez wątpienia posłuszeństwo. Gdybym atoli widział, że ich postanowienie jest nie-

*) Słowo szlacheckie powinno być niezłomne.

wzruszone, a miał nad nimi duchową jurysdykcją, natenczas nie odmówiłbym im błogosławieństwa z uwagi, iż ten związek małżeński sprzeciwiałby się woli rodziców, ponieważ kościół umie uszanować wolność człowieka tak jak sam Bóg, który dopuszcza przekroczenie swych przykazań i nie odbiera człowiekowi woli. Dlatego też uważa kościół zaręczyny za obrząd — bardzo ważny, ale nie tak dalece, jakimi je mieć chce społeczeństwo. Gdy był przymus, zadany sumieniu — uznany i prawnie *in foro externo* stwierdzone: poczytuje on nawet sakrament małżeństwa za nieważny, nie były. A coż dopiero rzecz o zaręczynach! Gdyby mi osoba zaręczona oświadczyła, iż nie może dotrzymać obietnicy, złamanie słowa oburzyłoby mnie, bom szlachcic; ponieważ atoli jestem także kapłanem, nie odmówiłbym jój przecie pociechy i poparcia, albowiem zakon Chrystusa jest zakonem łask, a nie niewoli.

— Widzisz waszmość, kochany wojski, — powiedziała kasztelanowa — iż ksiądz Chlebowicz nie potwierdza sułtańskich zasad waszmości. Wiem, że to narzekanie prześladowców płci słabiej, iż niestałość żony niweczy szczęście mężczyzny, a p. Świętochowski powtarza to codziennie jak pacierz poranny. Mój Boże: jakże czułym stał się on teraz mężem, jakże mnie potrzebuje do swego szczęścia! Przecież waszmość, panie starosto, przypominasz jeszcze sobie, jakto on — kiedy zdała od niego prawie dwa lata mieszkałam w Warszawie — nie mógł żyć beze mnie, zwłaszcza, iż się mu listownie nie naprzykrzyłam o przysłanie mi pieniędzy! Mówiono wszędzie, a nawet w obec niego samego, iż król na mnie

zwracał za wiele uwagi. Przecież tego rodzaju plotki powinny były obejść męża czulego; ale on przyjął to wszystko z prawdziwie budującą cierpliwością i nie tęsknił wcale za mną. Dopiero gdy wniesiono sprawę o rozwód, gdy się wykazało, że mi miał zwrócić moje wiano i to — nienaruszone, gdyż, dzięki Bogu, nie miałam z nim dzieci i nie uczyniłam mu żadnych zapisów: dopiero wtedy obudziły się uczucie i przywiązanie, posypały się skargi, iż mu zamąciłam szczęście domowe, a on beze mnie nie mógł płużyć na świecie. Moja kochana Zosiu! nie wierz męszczynom, którzy miłują uczuciem „urzędowém“; doświadczyłam wiele w życiu, lecz najwięcej zabawił mię manifest p. Świętochowskiego, którym oświadcza, iż mu jestem winna *wdzięczność*. . . Nie jest-że to człowiek bezwstydnym? Ja mam być mu wdzięczną; a za co? Czy mi on kiedy co dobrego wyświadczył? Dla nas niewiast jest wdzięczność może najpotężniejszym uczuciem — potężniejszym od samej miłości, potężniejszym od próżności i zazdrości. Dlatego mię też tak oburza ów manifest, iż o nim z zimną krwią wcale nie mogę pomyśleć. Nie przepuszczę mu nigdy tego oszczerstwa. Przysięgam w obliczu Bogu, że nie poczuwam w duszy żadnych *obowiązków* wdzięczności względem pana Świętochowskiego. On zaś nie może tego powiedzieć o sobie. Biorę na świadka pana starostę, który wie dobrze, jak wielce pan Świętochowski powinien być dla *mnie* zobowiązany.

— Moja dobra kuzynko! — przemówił generał — nikt ciebie nie może potępić; posiadasz na tyle rozsądku i sumiennosci, iżbyś sobie sama dała radę

ze wszystkiem. A nam panom świeckim nie przystoi także wcale: mieszać się w tego rodzaju sprawy. Miałbym przecież coś do zarzucenia twierdzeniu mego księdza-brata, iżby wbrew wyraźnej woli rodziców dziecku nie odmówił ślubu.

— A ja powtarzam jeszcze raz, — rzekł ksiądz Chlebowicz — żebym tak postąpił, gdyż to rozporządzenie kościoła.

— Gdyby moje dziecko, — mówił generał — pogardzając mém błogosławieństwem odważyło się wbrew mojej woli zawrzeć związek małżeński, natenczas odwołałbym się do naszego statutu i wydziedziczyłbym to dziecko.

— I to niezawodnie z wszelką słusnością! — odpowiedział ksiądz Prosper — Jeśli atoli dziecko szczęście całego życia ceni wyżej aniżeli spuściznę: cóż ma w tym przypadku kapłan począć?

— A gdzież karność dzieci, — zawołał ojciec Kleofas — gdzie czwarte przykazanie i zdanie wszystkich pobożnych ludzi, że bez błogosławieństwa rodziców *nie masz szczęścia dla dzieci?*

— Nie dziwię się temu, — odrzekł ks. Chlebowicz — że ksiądz i do tego zakonnik śmie walczyć z kościołem i upatruje sprzeczności pomiędzy jej prawami a przykazaniami bożemi. „*Czcij ojca i matkę swoje!*“ — czy to ma może znaczyć: „Poślubiaj tę osobę, którą ci oni przeznaczyli, chociażbyś uczuwał największy wstręt względem téj osoby?“ A tożby to była zupełnie nowa teologia! Wybacz, ojcze Kleofasie, wolę się już trzymać teologii dawniej, która głosi wyraźnie, iż nie ma sakramentu małżeństwa bez ohotnego, nie wymuszonego zezwolenia

obojga osób, przystępujących do ślubu. Na rodzicach ciąży powinność doradzania dzieciom; lecz nie posiadają oni prawa stanowienia o ich przyszłości. Władza rodziców jest jużci bardzo wielka, ale nie bezwzględna. Dziecko — to nie martwa rzecz, ale istota, stworzona na obraz i podobieństwo Boga: toż mu nie wolno wydierać przeświętych wolności, jakie Odkupiciel przyznał ludzkiemu rodowi! Zresztą i to należy zważyć, że wszelkie w przymusowém małżeństwie popełnione grzechy ciąży na rodzicach, którzy sobie taką władzę przywłaszczyli.

W ciągu téj rozmowy siedziała Zofia ze spuszczonei oczyma; kasztelanowa jaśniała radością: a to wszystko nie podobało się jenerałowi. To téż zniechęcony oddalił się przy najbliższej sposobności wraz z wojskim i oglądał swe charty. Za jego przykładem poszli księża, a wkrótce potem i panie. Pozostał tylko starosta w pokoju sam na sam z rozkołysanemi myślami. Wkońcu nawiedził go sen — słodki i długotrwały, a tak twardy: jak go nie miał jeszcze nigdy w ciągu swéj choroby. Kiedy się później ocknął, czuł się na ciele wielce pokrzepionym; lecz jego duch był jeszcze więcej znudzony aniżeli zwykle.

XVII. List kasztelanowej do podkomorzego Gintowta.



nie mogę być obojętną wobec okazywanych mi przez Ciebie dowodów wiernej pamięci: co trzeci dzień otrzymuję list od Ciebie. Stwierdza to, iż wiele o mnie myślisz i — jakkolwiek listownie pragniesz się ze mną porozumiewać. To wszystko zasługuje na uznanie. W ostatnim liście objawiasz obawę, iżbym mogła o Tobie zapomnieć: nie wierzysz mej niezmiennej miłości. Jużci nie masz prawdziwego przywiązania bez pewnej, choćby małej przymieszki zazdrości. Zachowaj ją też, Kochany Albercie, lecz z miarą i celem t. j. o ile ja na to zezwolę, albowiem kiedy Cię miłuję, nie powinienem mnie dręczyć wyrzutami; gdybym zaś Ciebie nie miłowała: zazdrość i tak na nicby się Ci nie przydała. Przyobiecałam ci moją rękę: toż po uzyskaniu dekretu rozwodu dotrzymam słowa. Na moje przyrzeczenie nie wpłynęli ani rodzice, ani

krewni, ani przyjaciele; uczyniłam je dobrowolnie; proszę więc, zaufaj memu słowu i nie wyrzucaj mi, gdyż mógłbyś mię tém wkońcu znudzić, a to szkodzi najwięcej miłości! Jestem szlachcianką, toż obrzydłoby mi natychmiast, ktoby sobie chciał nade mną jaką moc przywłaszczyć. Gdybym żywiła inne uczucia, powróciłabym do pana Świętochowskiego, gdyż nie mogę powiedzieć, iżby on był mężem niewygodnym. Ukazuję się Ci taką, jaką jestem — bez udawania; miłuję Cię, a nie wypowiadałabym, czego nie czuję. Atoli jeśli się chcesz cieszyć długo mojem przywiązaniem, ostrzegam Cię, iżbyś się nie sprzeciwiał méj woli.

Sprawa rozwodu postępuje szybko naprzód. Książe-biskup Masalski nietylko mi nie czyni żadnych trudności, ale jest moim doradcą, moim protektorem, przydzielił mi konsystoryalnego adwokata — istnego Fenixa w swym rodzaju! Za pięćdziesiąt dukatów udowodni on stronie wszystko, co zechce; zdaje się mi, iżby zdołał wykazać, że matka z dziesięciorgiem dzieci jest jeszcze panną. Nadto ustanowił książe-biskup obrońcą małżeństwa kanonika, który ode mnie wziął dwadzieścia pięć dukatów i bronić będzie ważności małżeństwa o tyle, o ile to posłuży méj sprawie. Udowodniono też sposobem — najzupełniej prawnym zmuszenie mnie do małżeństwa. Karczmarsz zeznał, iż słyszał moje żalenie się, że „związek małżeński z panem Świętochowskim miał mię wtrącić do grobu.“ Węgrzynek mego zmarłego ojca świadczył, iż podsłuchiwał pewnego razu jego rozmowę z panem Świętochowskim, któremu oświadczył: „Wolałbym, aby mi córka raczej umarła, ani-

zeliby miała nie chcieć wyjść za mąż!“ Dwie pokojówki i kredensowy zeznali: jak podczas błogosławieństwa kapłańskiego przy ślubie tak gwałtownie łkałam, iż nie można już było i słowa zrozumieć. Oni wszyscy są mymi poddanymi. Atoli najlepší sprawił się Francuz, który był moim nauczycielem muzyki, i któremu płacę dożywotnią pensją. Zeznał on, że kiedy mnie ksiądz u ołtarza pytał, czybym była miała dobrą i nieprzymuszoną wolę, ja „Nie!“ odpowiedziałam, a przecież nam ręce stułą związano. Te wszystkie zeznania stwierdzono przysięgą; cała rozprawa trwała dwa dni; a świadkowie nie kosztują mnie ani sta złotych. Konsystorz nie ma już teraz nic do sprawy; rozchodzi się o to, iżby się ona z konsystorza wileńskiego nie dostała do nuncyatury. Na to musisz zważać Albercie! Albowiem jakkolwiek p. Świętochowski nie zdoła w nuncyaturze obalić dekret konsystoryalny; wypada nam przecież unikać dróg ubocznych i straty czasu, na jaką narzą praktyka w nuncyaturze. Spodziewam się, iż zechcesz jak najrychleń zostać moim mężem i nie zaspisz sprawy. Na ukończenie procesu czekam w domu mego wuja jenerała Kunickiego. Jest to człowiek staręj daty, nieco zagorzały, lecz dla mnie bardzo uprzejmy, jakkolwiek nie pochwała sprawy rozwodu. Moje stanowisko kasztelanowęj nie jest przy tém bez wpływu. Gdy zostanę Twoją żoną, musimy się przedewszystkiem postarać o wyższy tytuł dla Ciebie: w charakterze podkomorzego takiego króla, który nie chciał być koronowanym w kontuszu, nie mógłbyś się ze mną pokazać w Niewodowie.

mieście, umarłabym z trwogi. To wzór naszej tu-tejszej szlachty! Narzącać swe życie dla oblubienicy, lub w obronie własnej: to jeszcze nic nadzwyczajnego; ale to przecie rzecz niesłychana: pojedynkować się z przywiązania względem przyjaciela ku przeskodzeniu, aby panu wojskiemu nie odbito jego narzeczonej! Prawdziwie: ci ludzie to — barbarzyńcy! Muszę Ci téż otwarcie powiedzieć, chociażbym miała obudzić Twą zazdrość, iż się wcale nie dziwię, że Ludwik moję kuzynkę oczarował, gdyż się mu w istocie niepodobna oprzeć. Zastałam go — leżącego w łóżku: a przecież choroba nie zdołała przygasić ogień jego ciemnych ócz; jego szlachetna postać tchnęła takim pokojem, taką skromnością pomimo wszelkich wawrzynów, zdobytych na polu chwały i w buduarach.

Teraz nieborak jest ciężko ranny z powodu miłości. Szczęśliwa niewiasta, która jego myśli osi-dliła; byłaby téż okrutnicą i niecnotą, gdyby nie odwzajemniała jego miłości! Wiész Albercie! nic tak wielce nie podbija niewiastę jak prawdziwa odwaga; tylko istota licha może darować swe serce tchórzowi. Ty wdychałeś do mnie długo; lubiłam Twoje to-warzystwo, zabawiał mię Twój duch — lecz nie czy-niłam Ci nadziei. Kiedy atoli wystąpiłeś w méj obronie, aby nikczemnika, który oszczerczym języ-kiem chełpił się memi względami, rycerską bronią powalić na ziemię, musiałam się Tobie oddać. Ta nagroda należy się téż naszemu Ludwikowi; Zofia musi zostać jego żoną, jeśli mnie rozum i spryt nie opuściły na zawsze. Ach, byle ją raz wprowadził na królewskie pokoje: ręczę Ci, że krajczyzna umrze

z zazdrości, gdyż nie masz wyobrażenia o urodzie Zofii!

Wiész, z jakimi mię król zleceniami wysłał na Litwę; toż nie zaniedbuję niczego w tój sprawie. Staroście się już polepszyło; przechadza się po pokoju, a nawet kazuje się fryzować. Nie domyśla się grożących mu niebezpieczeństw, nie wie, iż go każdego dnia mogą opaść Albańczycy. Dlatego tóż czuwam nad nim; chociaż więc jego nieprzyjaciele mogą przejmować przestraczem, mam i ja sprzymierzeńców, którzy czekają na moje skinienie.

Wyobraź sobie Albercie! przejeżdżając do *Kojdanowa* wstąpiłam do księcia *Waragina*, któregośmy tak polubili byli w Warszawie. Przybył on przed kilkoma tygodniami z Rosyi do swego pułku. Wręczyłam mu listy — od kogo: sam się domyślisz... Gdyby Cię nawet zazdrość miała nawiedzić: nie mogę Ci tego zataić, iż go u mych nóg ujrzałam w Warszawie! Przyjęłam była jego zaproszenie; — wszak wiész, że jego kuchmistrz może współzawodniczyć z kuchmistrem królewskim — urządził on sobie mieszkanie w lichém Kojdanowie jakby za użyciem różdżki czarodziejskiej. Jest to brudna żydowska karczma na zewnątrz; atoli wewnątrz mogłoby posłużyć za buduar królewskiej oblubienicy. Na ścianach rozpięte bogate kobierce; widać tam brąze, fôrtepien, zwierciadła, srebro i złoto — wszystko w jak największym ładzie. Sam zaś gospodarz kojarzy w sobie dziką śmiałość Tataru z ugrzecznością i umysłem salonowca na francuskim dworze. Gdybym sercą nie była oddała Tobie, byłoby było dla mnie niebezpieczną rzeczą obcowanie z księciem. Ale tak:

tylko go łudziłam koketerią, właściwą memu usposobieniu. Nie gniewaj się na mnie Albercie!

Udziałem Was męszczyzn jest sława, potęga — wszystko; pozostawcież nam pragnienie panowania nad Waszém sercem, pragnienie przykucia Was do naszej osoby i doświadczenia potęgi naszych wdzięków! Widzisz, że jestem otwartą. A czybym nią była, gdybym Cię zdradzała? Wreszcie musiałam się mu zobowiązać, aby móc stanąć u celu méj misji na Litwie i spełnić jak najdokładniej obowiązki wiernéj poddanki i przyjaciółki.

Zaledwo tutaj ksiązę Waragin przybył, wywołał jak największe wrażenie w całej naszej okolicy. Przyjmuje on sąsiadów i pozyskuje sobie wszystkich.

I nie dziwota: żyje po pańsku, posiada liczny dwór i rozsypuje ruble na wszystkie strony, obyczajem bogatych Słowian utrzymuje mnóstwo pasożytów; każdej chwili widywałam coraz inne postacie, a ksiązę podawał mi ich zatrudnienie. Francuz jest u niego lektorem, Niemiec zabawia księcia grą w karty i innymi sztuczkami; Włoch stroi mu fortepian i figluje z jego małpą. Ukraińiec opowiada mu baśnie i wyklada jego sny, neofita pochodzenia żydowskiego jest jego nadwornym błaznem, Mołdawianin jego rachmistrzem; okrada go téż niemiłosiernie. Ksiązę wie o tém i — śmieje się z tego. Przypominasz sobie, Kochany Albercie, iż ksiązę Waragin żył z Ludwikiem w ściślejszej przyjaźni, której mu dodziśdnia dochowuje. Przysłuchiwał się téż z wielkiém współczuciem mojemu opowiadaniu o ostatnich kolejach jego losu. Kiedy się zaś z wręczonych mu przeze mnie listów Ludwika oraz mego opowiadania dowie-

dział, w jakim się starosta znajduje, niebezpieczeństwie, mianowicie, iż go przeciwnicy mogą porwać każdej chwili, postarał się natychmiast o zapobieżenie temu. Porozstawiał swych wiarusów i polecił im uważać na dwór w Niewodowie, w razie zaś napadu pospieszyć natychmiast na pomoc staroście i sprowadzić go z jego powozem do Kojdanowa aż do dalszego rozporządzenia. Prawdziwie: zupełnie inaczej dzieje się u tych ludzi! *U nas same narady, roztrząsania, głosowania, gadanina; każdy chce pokazać swój rozum: a tymczasem dobra sposobność, którą wypadło uchwycić za czub, znika bezpowrotnie!* U nich — gdy kto ułoży jaki plan, zaraz go też wykonuje. Daj Boże, iżby z nimi nie przyszło do walki, gdyż wynik nie może być wątpliwym! My rozprawiamy, oni działają! Nienawiść narodowa — zresztą zrozumiała obniża pewne niezaprzeczone ich zalety.

Wracam do Ludwika i oświadczam ku uspokojeniu króla i Ciebie, iż go wkrótce ujrzycie w Warszawie — i to według wszelkiego prawdopodobieństwa z najpiękniejszą żoną na świecie. To Ciebie zapewne nie zgorszy, gdyż i ja z nim przybędę...



XVII. Ozdrowienie starosty.



Starosta powracał szybko do zdrowia. Im więcej mu atoli przybywało sił fizycznych, tém dotkliwsze udręczenia trapiły jego duszę. Miłość, jakiej on dotychczas jeszcze nigdy nie zaznał, oraz wyrzuty sumienia wywołały w jego duszy walkę, która go już pozbawiła wszelkiej energii. Nadto nie znał on uczuć religijnych, które same mogą zachować czystość duszy w walce ze zmysłowością. Przywykł starosta do folgowania swym namiętnościom, a nawet do upatrywania w ich zadawalaniu najwyższego ludzkiego *szczęścia*. Zresztą trzymał się także zasad filozofii, które podówczas przenikały wyższe sfery społeczeństwa europejskiego. Można się przeto było nawet dziwić, iż starosta w ogóle jeszcze doznawał wyrzutów sumienia i wierzył w cnotę. Gdyby mu był w jego położeniu prawdziwie cnotliwy przyjaciel podał pomocną rękę, kto wie: czyby może jego szlachetna dusza nie była

spełniła najprzykrzejszej ofiary. Atoli ku jego nie-
szczęściu spłynął tym razem głos przyjaźni, tak po-
krzepiający zasmuconych z ust — najniebezpieczniej-
szych. Kasztelanowa, kobieta — uposażona hojnie
na duchu, posiadająca owę swobodę w obejściu,
która jest poniekąd oznaką cnoty, nadawała się naj-
mniej do obudzenia w sercu przyjaciela, gdyż jęj
zaufał, dobrze obmyślanych i energicznie urzeczy-
wistnionych postanowień. Posiadała ona wprawdzie
serce najlepsze i była według jęj własnego przeko-
nania zdolną do wszelkiego szlachetnego postano-
wienia, lecz żywiła w duszy zasady — jak najwię-
cej luźne i nie miała pojęcia o cnocie, która nawet
skłonności serca składa w ofierze.

Jeszcze starosta nie pokonał fizycznych bólów,
które go przykuwały do łoża, gdy ocknąwszy się
po długotrwałym śnie ujrzał u swego łoża kaszte-
lanowę, która śledziła jego ruchy. Ujęła go tęż za
rękę i powiedziała :

— Przekonuję się, że czas zatarł pamięć o mnie
w sercu waszmości. Zapomniałeś pan starosta : w jak
szlachetnej i prawdziwej żyliśmy przyjaźni, jak sobie
wzajemnie dopomagaliśmy, kiedy moja wola jeszcze
wszystko mogła zdziałać u króla, który nam tak
często powtarzał, iż oboje byliśmy niezbędnymi do
jego szczęścia ! Waszmość zapomniałeś o tém wszyst-
kiem ; więc wypada mnie samęj przypomnieć panu
starościę dawną przyjaźń względem mnie i zaufanie.

— Jakżebym mógł o nich zapomnieć ?

— I dlaczegoż chcielibyśmy ukrywać to, o czém
ja wiem tak dobrze jak i sam pan starosta ? Wasz-

mość miłujesz *Zofię* jak nikogo dotychczas; a ta miłość jest przeznaczeniem życia waszmości.

— Ach, dlaczegoż pani kasztelanowa wspomina o tém, czego ja sam sobie nie chciałbym wyznać? Nie byłaby to zbrodnia?

— O, istnieją ofiary, przechodzące ludzkie siły; byłabym téż milczała, gdyby się rozchodziło tylko o pana starostę; atoli los *Zofii* zawisł od pańskiego losu. Może się waszmość nie dowiedziałeś o tém od niéj saméj: a więc ja to panu staroście powiem, że ona pana kocha, jakby nie zdołała pokochać żadnego mężczyznę. Mój Boże: jakżeto, mało znają nasze serca otaczający nas mężczyźni!

Ojciec *Zofii*, księża, nawet jéj narzeczony, którzy ją codziennie otaczają, nie widzą: jak ona usycha z miłości! Spoglądają wszyscy na jéj blade oblicze, poorane palącą boleścią, a nie domyślają się: co się dzieje w duszy biédnej dziewczyny... Kiedy ją ujrzałam, przelęknąłam się i wiedziałam od razu o wszystkim. Tylko jeszcze ciotka, nie odznaczająca się zresztą bystrém pojęciem, ona, która w całym życiu nie zaznała żadnej namiętności, odgadła przecież wszystko właściwém uczuciem. Rozmawiałam z *Zofią* długo o waszmości i roniłam gorzkie łzy na widok cierpień waszmości.

— Ach, cóżto jéjmość wypowiadasz! Zaręczam na honor, a całe otoczenie może poświadczyć, iż chciałem porzucić to miejsce, oddalić się nietylko stąd, ale i z rodzinnego kraju. Ale to jest właśnie tajemnicą ludzkiego przeznaczenia: ręka, która mię chciała stąd oddalić — ona sama przykuła mię do tego niebezpiecznego miejsca. Powziąłem już prawie

postanowienie nie oglądania nigdy więcej Zofii, gdy mnie słowa Wazgirda zmusiły do wprost przeciwnego zamysłu. Wszak pani znasz wszelkie tajemnice méj duszy; dowiedz się więc i o téj, którą dotychczas przed samym sobą ukrywałem. Tak: kocham Zofią całą duszą i będę ją miłował do ostatniego tchnienia. Wszystko, co dla mnie dotychczas było cenném i drogiém, wszelkie przyjemności mego życia — zaszczyty i sława: to wszystko już dla mnie nie istnieje. Myślę już tylko o jedném, mam tylko jeden cel życia t. j. miłość względem Zofii. Doznaję atoli także Tantalowych udręczeń, wiedząc, że to będzie moją, a co większa: i jój zgubą.

— To mię też Ludwiku! zatrważa. Co się stanie z Zofią? Odda ona swą rękę wojskiemu, poprzysięgnie mu wierność i dotrzyma mu jój; atoli walka duchowa nie potrwa długo. Ulegnie w nią Zofia niezawodnie, gdyż tego rodzaju wewnętrzne szamotanie się przechodzi siły téj czulej, nieśmiałej i niewinnéj duszy.

— I cóż mam począć? Trwoga, która nieustannie niepokoi mą duszę, nie dozwala mi wcale pomyśleć o jakiém zbawienném postanowieniu.

— Przedewszystkiem nie powinienes starosto! rozpaczać; a potem wypada się waszmości zdobyć na wolę ocalenia Zofii. Waszmość jesteś żywém pouczeniem: jak mało możemy urzeczywistnić naszą wolę, że nad nami panuje cudowne, najgłębszej intuicyi śmiertelnika niedostępne przeznaczenie. Waszmość sądzisz, że wasza obopólna miłość rozpoczęła się w Nieświeżu: a byłeś już kochanym, zanim oko Zofii waszmości ujrzało. Ona się jeszcze nie zapo-

znała z pańskim bratem, a już posiadała ideał, który miłowała, gdyż on był owocem czytania książek, reflexyi i fantazyi. Lecz Zofia sądziła, że ten ideał był dla niej niedostępnym: Warszawa i Paryż były dla niej światem nadziemskim! Mniemała równocześnie, iż powinna była uczynić ofiarę z swego życia, gdyż się powodowała szacunkiem względem pańskiego brata i przywiązaniem względem swego ojca. Wtém otrzymała pański portret: nie potrafię powtórzyć, co mi ona opowiadała o wrażeniu, jaki on na niej wywarł. Od owéj chwili zmieniła się całkowicie; spoglądała na świat zupełnie inaczej aniżeli piérwéj.

— Ach, jakże wielką usługę wyświadczyłaś mi jójmość tém uwiadomieniem! Dopiero się mi teraz otwierają oczy.

— Odgrywa w téj sprawie także rolę i brat waszmości. Nie pojmuję, iż tego nie poznaje, że ten związek z Zofią jest prawie niemożliwym. Ona z nim, a on z nią jednako szczęśliwymi być nie mogą. Wojski jest niezawodnie bardzo prawym szlachcicem; atoli jego całe duchowe usposobienie ogranicza się na *katechizmie i statucie litewskim*. I o czémże będą oni z sobą rozmawiali: już teraz mogliby wszyscy, gdyby nie byli zaślepieni, zauważyć, że kiedy się wojski zbliża do Zofii, na jój twarzy pojawia się wyraz rozpacz i zgrzyoty. Wierzaj mi waszmość: rozdzielając ich oboje wyświadczasz swemu bratu jak największą usługę. Zastanówmyż się nad następstwami tego kroku! Gdy on pozna skład rzeczy, musi koniecznie ustąpić dobrowolnie. Nie strona duchowa, ale przykrość strony

zewewnętrznej téj całej sprawy będzie go jakiś czas niepokoiła; potem atoli wyszuka sobie według wszelkiego prawdopodobieństwa inną szlachciankę — i to już z większą ostrożnością. Będzie zadowolony, gdy żona zatrudniać się będzie gospodarstwem i czeladzią, chodzić z nim pilnie do kościoła i obdarzać go corocznie potomkiem. Waszmość przekonujesz się zatem, że jest rzeczą nagłą, iżby jeden z was uczynił w téj sprawie początek. A kto to może, kto pierwszy *powinien* działać? Tylko sam waszmość.

— Mnie odstrasza przedewszystkiem miłość Zofii względem ojca. Czy ona znajdzie odwagę do działania wbrew woli rodzica?

— Pozostaw mnie waszmość tę troskę! Jeśli znajdziesz w sobie siłę wywzajemnienia się swą wiernością Zofii za jój miłość: wówczas nie będzie żadnych przeszkód, którychby zręczna ręka niewieścia nie zdołała usunąć.

Starosta chciał się podnieść na łożu, aby jój podziękować; lecz go kasztelanowa powstrzymała i odpowiedziała na objawy jego wdzięczności obietnicą nie wypoczęcia tak długo, ażby go uczęściwiła ręką Zofii. Jak długo kasztelanowa zasilala nadzieje starosty i koila balsamem pociechy jego zranione serce: tak długo postanawiał on próbować wszystkiego, coby go mogło być doprowadzić do celu. Gdy się atoli od niego oddaliła, a on pozostawał sam na sam z swemi myślami, ogarniały jego duszę niepokój, wątpliwość i wszelkie uczucia, które towarzyszą miłości niedozwolonej. Popadł też wkońcu prawie w rozpacz i nie upatrywał innego wyjścia

jak odebranie sobie życia. I możeby go była na łożu boleści pokonała chwila nieszczęsna, gdyby i w tym względzie ostrożna przyjaciółka nie była nad nim czuwała.

Tymczasem rana starosty zagoiła się wcześniej, aniżeli się tego początku spodziewano. W kilka dni po owój rozmowie z kasztelanową odzyskał on tyle sił, iż mógł się po raz pierwszy znowu pojawić w bawialni. Po chwili zajęcia męszczyzn kazały się im wydalic; a starosta pozostał w pokoju tylko z Zofią i kasztelanową, która niebawem przemówiła:

— Zofio! już czas wreszcie do otwartego pomówienia w obecności Ludwika. Dlaczegoż dręczysz jego i siebie niepotrzebnie? Powtarzałaś mi często, że Michał jest najszlachetniejszym i najcnotliwszym człowiekiem: dlaczegoż nie chcesz się zwrócić do jego uwielbianych zalet i powiedzieć mu: „Posiadasz mój szacunek, moję przyjaźń; lecz nie mogę ci ofiarować innego uczucia. Z woli ojca masz otrzymać moję rękę: czyżby to było godném ciebie, gdybyś powiódł do ołtarza — ofiarę? Miłuję twego brata: bądź wspaniałomyślnym, zwolnij mego ojca z obietnicy, broń mnie i swego brata wobec niego — a twoją nagrodą będzie uszczęśliwienie dwojga istot!”

— Nie śmiem tego uczynić! — odrzekła Zofia — znam mego ojca i wiem, iżby słowa nie cofnął a mnie przeklął. Mylisz się także, sądząc, iżbym to Michałowi mogła wypowiedzieć. On nie zauważa méj niechęci, gdyż go miłość zaślepia. A ta miłość jest wynikiem uczuć, które dla niego są cennymi i świętymi. Przyczynia się téż jego miłość względem mego ojca i ostatnia wola jego własnego rodzica,

u którego łoża przed jego skonaniami my oboje podaliśmy sobie ręce. Ze łzami w oczach przyrzekliśmy sobie w obec starca wierność; błogosławieństwo było jego ostatniem słowem na ziemi. Nie wiem: coby Michał począł, gdyby się dowiedział o wszystkiem. Dlatego wolę sama znosić i tym sposobem zapobiedz nieszczęściu, którebym inaczej na was wszystkich sprowadziła.

— Zofio! — rzekł starosta — i pani mogłabyś memu bratu zaprzysiądz przy ślubie miłość, gdyby serce zadawało kłam słowom pani? Mogłabyś go podejść?

— Nie: — odpowiedziała generałówna — tego, nigdy nie uczynię. Najpiérw uczynię zadosyć woli ojca, a potem wyznam wszystko Michałowi otwarcie. Powiem mu: jak wielką ofiarę ponieśliibyśmy oboje dla niego; może się wówczas Pan Bóg nade mną zmiłuje i skróci moje cierpienia.

— Ależ Zofio! — zauważyła kasztelanowa — z tobą możnaby rozum utracić. Słyszałaś sama: jak ks. Prosper znakomicie udowodnił, że rodzicom nie wolno zmuszać dzieci wbrew ich skłonności do zawarcia związku małżeńskiego, a tego rodzaju obietnica nie zobowiązuje w obec Boga. Zwrócimy się do tego zacnego i pobożnego kapłana, któremu i ty nie odmawiasz zaufania! On ci z swój strony nie odmówi ochrony, przemówi za tobą zarówno u twego ojca jak i u Michała. Wreszcie powiem ci, iż z największą gotowością zabiorę cię z sobą do Warszawy. Toż jakkolwiekby cię ojciec miał wydziedziczyć: Ludwik obejdzie się bez twego wiana. A co się

tyczy gniewu twego ojca: czyż nas wiara nie uczy, że powinniśmy dla *męża* opuścić ojca i matkę?

— Ach, — zawołała Zofia — na jakążto drogę chcecie mię sprowadzić?

— A czyż nie pojmujesz, że oboje jesteście dla siebie przeznaczeni i że nic nie wskórasz wobec wyższej woli, która ma moc nad wami? Wiédz także, że nawet króla mamy za sobą. A gdy on sprawę poprze, twój ojciec będzie musiał wszystko wybaczyć.

— Jakżeż możesz przypuszczać, — odpowiedziała Zofia — iżbym mogła porzucić potajemnie dom rodzicielski? Nie: nigdy mnie do tego nie nakłonicie! Jeśli miłuję Ludwika: Bóg mym świadkiem, że to się dzieje wbrew mojej woli, a ja wszystko uczyniłam, aby w sobie tę miłość stłumić. Nie sypiałam po nocach, błagałam łzami i modlitwą Boga jak najgoręcej, aby był me myśli odmienił, iżbym Michała mogła kochać: jak się kocha brata, przyjaciela. Atoli wszystko było bezskuteczném! Oddałam wszystko: pozostawcie mi to jedno — pewność szacunku! Nie pozbawiajcie mnie téj jednej pociechy, iż miłuję cnotliwie i uczciwie! I dlatego — tutaj zwróciła się Zofia do starosty — proszę waszmości tylko o to jedno: opuść nas pan starosta i wierzaj, że serce miłujące przeczuwa to, co się stać powinno! Tylko ta jedyna droga nas ocali. Bywaj zdrów panie starosto; mówiłam i tak za wiele.

Po tych słowach oddaliła się Zofia. Starosta chciał się za nią rzucić, ale go powstrzymała kasztelanowa, mówiąc:

— Posłuchaj waszmość méj rady; ja się postaram o wszystko i przysięgam, że Zofia zostanie pańską żoną. Nie mogę waszmości powiedzieć: jak się to stanie, gdyż mógłbyś pokrzyżować me plany, gdybyś to wiedział. Toż pańskie starania w téj sprawie byłyby bezskuteczne. Dlatego uspokój się waszmość i zaufaj mnie: los Zofii i pański spoczywa w moim ręku.



XVIII. Urywki z dziennika starosty.

~~~~~

**M**oję duszę ogarnęła namiętność, której się dotychczas ani nie domyślałem. Na próżno usiłuję ją w sobie stłumić, stawić jej odpór! Ja już właściwie nie posiadam woli. Wszystko, co się w mej duszy dzieje, jest tak cudowne, tak niezawisłe od mych postanowień i planów, iż się zdaje być skutkiem wyższego zrządzenia, któremu wypada bezwarunkowo zadosyć uczynić!

Pomierzchły nagle anielskie widzenia,  
Co grały blaskiem w głębiach mego ducha;  
Pieśń, wynuconą z piękności natchnienia  
Stłumiła zgrozą piekła zawierucha!  
Na błękit jasny duchowych widziadeł  
Chmur wątpliwości stacza się nawala;  
Do błogich wierzeń czarownych zwierciadeł  
Wiedźma grzechowa dziko się rozśmiała.

Iści się na mnie wyrok *św. Tomasza a Kempisa*:

„Jakiś wewnątrz człowieka! takie twoje twoje czyny.  
Gdybyś był całkiem dobry, czysty a bez winy,

Dojrzałbyś bez zasłony boskości obrazu  
 I głębin piekła, bo *jaki kto w duchu:*  
*Po tymże wszystkie sądy prowadzi tańcuchu.*  
 Jeśli pociechy można doznawać na świecie,  
 Dozna jój człek, gdy serce ma *czyste jak dziecię;*  
 A jeśli czujesz w sobie niepokój, zgryzoły:  
 O to z samienia twego pochodzi brudoty.“

Uczyńłem wszystko, co powinienem był uczynić,  
 a nawet więcej: a oto wbrew mej woli musiałem  
*tutaj pozostać!*

\* \* \*

Jakaż to męka: cierpieć, a nie móc znajdować  
 pociechę w szacunku *siebie samego!* Miłuję szczerze  
 brata, żywię dla niego wdzięczność niewygasła, uważam  
 go za najcnotliwszego człowieka na ziemi: a przecież wyrządza  
 mu najokropniejszą krzywdę! Wobec tego człowieka, którego  
 niewzruszone zasady ochraniają jakby tarcza przeciw  
 wszystkiemu, co niegodne, który mię zasypuje dobrodziejstwami,  
 — wobec niego wydaję się sam sobie być Kainem. Już teraz  
 nie mogę znieść jego widoku; gdy go ujrzę, żałuję, iż kula  
 Wazgirda nie zagłębiła się więcej o cal w mém ciele:  
 a przecież jestem niewinny!

\* \* \*

Jakże wielce różni się moja miłość od miłości  
 mego brata: miłuję mniej-więcej jak ludzie światowi!  
 W mej miłości jest jeszcze wiele zmysłowego żywiołu,  
 wiele próżności i egoizmu. U brata kojarzą się  
 w tém uczuciu wszystkie jego pojęcia religijne.

i obywatelskie; jego miłość jest przeznaczeniem jego życia: tak skromna i poważna, tak czysta jest ona i wierna! Przyznaję to wszystko; a przecież go podchodzę... Ale nie: moja miłość nie jest miłością wielko-światową. Odkąd ujrzałem Zofię, sam się zmieniłem... Schorzałem na łożu boleści wspomnienie słodkich współ z nią u fortepianu spędzonych godzin było dla mnie rajem, który upajał rokoszając me serce.

Jak złote obłoki na jasnym błękitcie:  
 Tak jasne marzenia roilem o świecie,  
 O świecie uczucia, co jak srebrne rosy  
 Brylantem nadziei odstrzelał w niebiosy;  
 A świat podsłoneczny lśnił pogodą maju,  
 Bo i w moim świecie był poranek raju,  
 Bo łzami zachwytu błyszczały źrenice,  
 Bom jak dziecko spoglądał w cudne świata lice!

Sądzę nawet, że muzyka jest jedynym zmysłowo dostrzegalnym znakiem, którym można wyrazić miłość prawdziwą. Kto nie posiada zmysłu dla muzyki, tego serce pozostanie zawsze niedostępnym dla miłości. Jest to właściwa mowa, której nawet sam mistrz nie rozumie, jeśli jego duszy nie wzrusza — namiętność wtedy, kiedy się przysłuchuje tej mowie. Gdy się dwie dusze — rozmiłowane skojarzą w śpiewie, natenczas on staje się rzeczywistą wymianą obojga serc, które się wzajemnie zrozumiają, przenikną i to sobie objawiają, czego słowami nie można wypowiedzieć. Jest to czarodziejska, tajemnicza sztuka; toż nic dziwnego, iż ją chrześcijaństwo z pośrodku wszystkich sztuk przejął do królestwa niebieskiego. Hrabina *de Jarnac*, jedna z najpiérw-

szych dam w Wersalu zakochała się w śpiewaku, nazwiskiem *Geliot* i obudziła dla niego tak wielkie zgorzzenie, iż ją rodzina, wyjednaawszy sobie tak zwane „*lettre de cachet*“ osadziła w klasztorze. Jedna z przyjaciółek dziwiła się, że ona mogła być tak dalece się zapomnieć i to wobec męszczyzny, który urodzeniem nie był jej równym, a przytem, zdawało się, ograniczonym, gdyż się nawet odpowiednio nie umiał wyrażać. „Ach, moja kochana“, — odpowiedziała hrabina — „nie uwierzysz: ile on okazuje rozsądku, gdy w muzyce wyznaje swą miłość!“ — O, ja to pojmuję teraz...

\* \* \*

Znajduję się w sprzeczności, która mię doprowadza aż do rozpacz. Jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem, zbrodniarzem, a przecież niewinnym. Miłuję, choć nie powinienem; doznaję takiego ucisku w duszy, wobec którego męczarnie ciała na łożu boleści były balsamem... A przecież nie zamieniłbym tego nieszczęścia za żaden los człowieka, a przecież równocześnie przekonuję się, że przepaść méj boleści jest także miejscem mego uszczęśliwienia!

\* \* \*

I to jest dziwną rzeczą, że pośród wszelkich skrupułów najwięcej mię obchodzi ostatnia wola mego ojca. Nie znałem właściwie mego rodzica; a nawet od najrańszych lat odzywała się w méj duszy poniekąd jakaś niechęć, którą musiałem ukrywać. Nie wiem, czy się do tego przyczyniły także moje wy-

chowanie i wrażenia dziecięctwa w czasie prowadzonego procesu o rozwód i później, albo czy zachodzi tajny, wszelkiej rozwadze niedostępny związek między niezgodą rodziców a duchem dziecka. Bądź, co bądź: żywo stoi mi przed duszą obraz ojca, widzę: jak jego zagasłe oko żegna na zawsze wieczysty blask światła ziemskiego, a jego drżąca ręka błogosławi związek mego brata... Sprzeciwiać się ostatniej woli rodzica: ta myśl obciąża wielce mą duszę. W uszanowaniu, które winniśmy ojcu i matce, jest coś tak potężnego, tak bezwzględnie karcącego, iż ustawodawstwa z wszelką słusnością tę powinność człowieka uważają za pierwszą i najświętszą. To piorunujące słowa, które na cały świat spłynęły z Synaju! Wszelka sromota i krzywda, którą wyrządzam bratu, to — przewinienie, lekkuchne jak puch w porównaniu ze sprzeciwieniem się woli ojcowskiej.

Wszystkiego innego się nie lękam, byłem tylko posiadł Zofią; drzę jednak na myśl, iż naszemu połączeniu przeszkodzić może potęga zagrobowa... A przecież inaczej nie mogę postępować: to konieczność, którą muszę spełnić!

Czyż nie uczyniłem wszystkiego, aby nie postąpić już i kroku naprzód w tej sprawie? Zamierzałem właśnie stąd odjechać, aby jej przynajmniej przez dłuższy czas nie widzieć. Nie miałem też właściwie środka do zwrócenia się do Zofii bez wiedzy mego brata; nie mógłbym też być do niej pisać z obawy, iż jeden wiérsz, jedno słowo, litera mogły zdradzić me uczucia, które dotychczas w porozumieniu z Zofią ukrywałem. Toż i nawał czynności oraz ważne sprawy chwili bieżącej byłyby mié nie-



zawodnie tak dalece zaprzątęły, iżbym nie mógł być myśleć o miłości. Tymczasem byłby się mój brat ożenił. Słowem: widzę jasno, że gdybym był odjechał, nasza miłość byłaby wzięła inny obrót. A oto jej własny krewniak musiał to wszystko zniweczyć i swym czynem właśnie to sprowadzić, czemu chciał zapobiedz! Czyż moja wola wzięła w tém jaki udział? Czyliż mimowolnie nie mam przypuszczać, iż ręka niewidzialna te wszystkie pasma, które nasza wola w różne przeprowadza strony, ściąga w węzeł według zupełnie odmiennego planu?

\* \* \*

Kiedy po raz pierwszy ujrzałem kasztelanową, ogarnęła mię tajna trwoga; nie byłbym przypuszczał, iżby ona mogła się tak bezstronnie ująć za cierpiącymi. Ona zaś stała się dla mnie czémś więcej aniżeli przyjaciółką; jest moją doradczynią i podporą... List króla, który mi przywiozła ze sobą, byłby mię kiedyindziej nad wyraz uszczęśliwił. Monarcha dziękuje mi w nim za trudy, jakie poniósłem w sprawie konfederacyi dysydentów na Litwie, oświadczając, iż umocowałem koronę na jego głowie. Każe mi podzielać swą radość i rokuje mi świetną przyszłość w zbliżającej się wojnie domowej! Mój Boże, jakieżto wpływ wywiera objaw królewskiej łaski nawet na tych, którzy bliżej niej stoją! Jakież zazdrośnie spogląda świat na tego rodzaju odręczne pismo, jakie ja otrzymałem! A przecież wypadało, abym był nigdy Zofii nie widział, jeślibym teraz miał myśleć o dysydentach, o królu i ojczyźnie. Jedna iza na

jój rzęsach, jeden uśmiech jój słodkich ust są dla mnie cenniejsze nad to wszystko. W mém sercu nie pomieści się już nic więcej oprócz niej samej... Jak długo jeszcze niepokoiło mię najmniejsze powątpiewanie o jój wzajemnej miłości, byłbym zdołał spełnić ofiarę; atoli od chwili, kiedy widok mych cierpień pokonał jój dziewiczą nieśmiałość: nie jestem już panem samego siebie. Muszę być blisko niej, nie mogę ją porzucić; jest moją świętą powinnością, chronić ją od wszelkiej przykrości, któraby ją mogła spotkać, jeśliby nie została moją żoną. Tą powinnością tak dalece przejęła się cała moja istota, iż wobec niej znikają uszanowanie względem konającego ojca, wdzięczność względem brata i wszelkie inne względy. I ta właśnie powinność wobec ukochanej osoby powstrzymuje mię od wykonania jedyne go kroku, któryby zdołał rozplątać tę gmatwaninę. Wszak dla mnie nie było niczém to mizerne życie, kiedy stałem u szczytu mego szczęścia w młodości; rozstałbym się z niem z roskoszą, a przecież nie mogę tego uczynić ze względu na jój dołę...

\*

\*

\*

Miała zawsze dla mnie wielki urok myśl, aby po pełném czynów i miłości życiu usunąć się od świata, zstąpić nadół ze słonecznej wyżyny i pobliża królewskiego majestatu do zwykłych śmiertelników i dzielić z nimi chleb powszedni. Sądzę, że prorocy, o których czytamy w *Starym Testamencie* mimo swego ubóstwa niegdyś byli blisko tronu i najwyższych godności. Ach, jakże nam daleko do na-

szych ideałów! Zamiast — iżbym mógł zakończyć me dni w klasztorze w słodkim zapomnieniu: dokądże mię zaprowadzi jeszcze nowo-obrana droga?

\*            \*            \*

Dawniej nie pojmowałem nigdy, że człowiek — *tylko raz w życiu* może prawdziwie miłować...

\*            \*            \*

Największą męczarnią duszy jest to, że jój cierpienia wrażliwość i napięcie umysłu nieskończenie potęgują, osłabiając równocześnie siłę woli...

Niekiedy chciałem szukać pociechy i ocalenia w religii. Księża Prosper i Kleofas nie szczędzili trudów w nakłanianiu mnie do spowiedzi; atoli ja nie spowiadałem się w przekonaniu, iż nie miałem przeżyć mego nieszczęścia. Dzisiaj atoli rzecz się ma inaczej ze mną; jednak cóżbym mógł wyznać na spowiedzi? Czy mógłbym powiedzieć co innego jak, że mnie Bóg nawiędził cierpieniami, które przechodzą me siły, ponieważ ich nikt nie zna i nie rozumie? Nad zebrakiem każdy się lituje i ubolęwa. Człowiek, który sobie dla ciała żywność wyżebrze, jest szczęśliwym w porównaniu z człowiekiem, któremu braknie pokarmu duchowego! Takie cierpienia, jakie ja znoszę, znajdują tylko wtedy ukojenie, jeśli się na nie uzalić można sercu niewieściemu.

Jam zaś sierota! W oku lśni łza,  
Co nicią wspomnień od serca drga;  
Na jawie, we śnie gonię westchnieniem

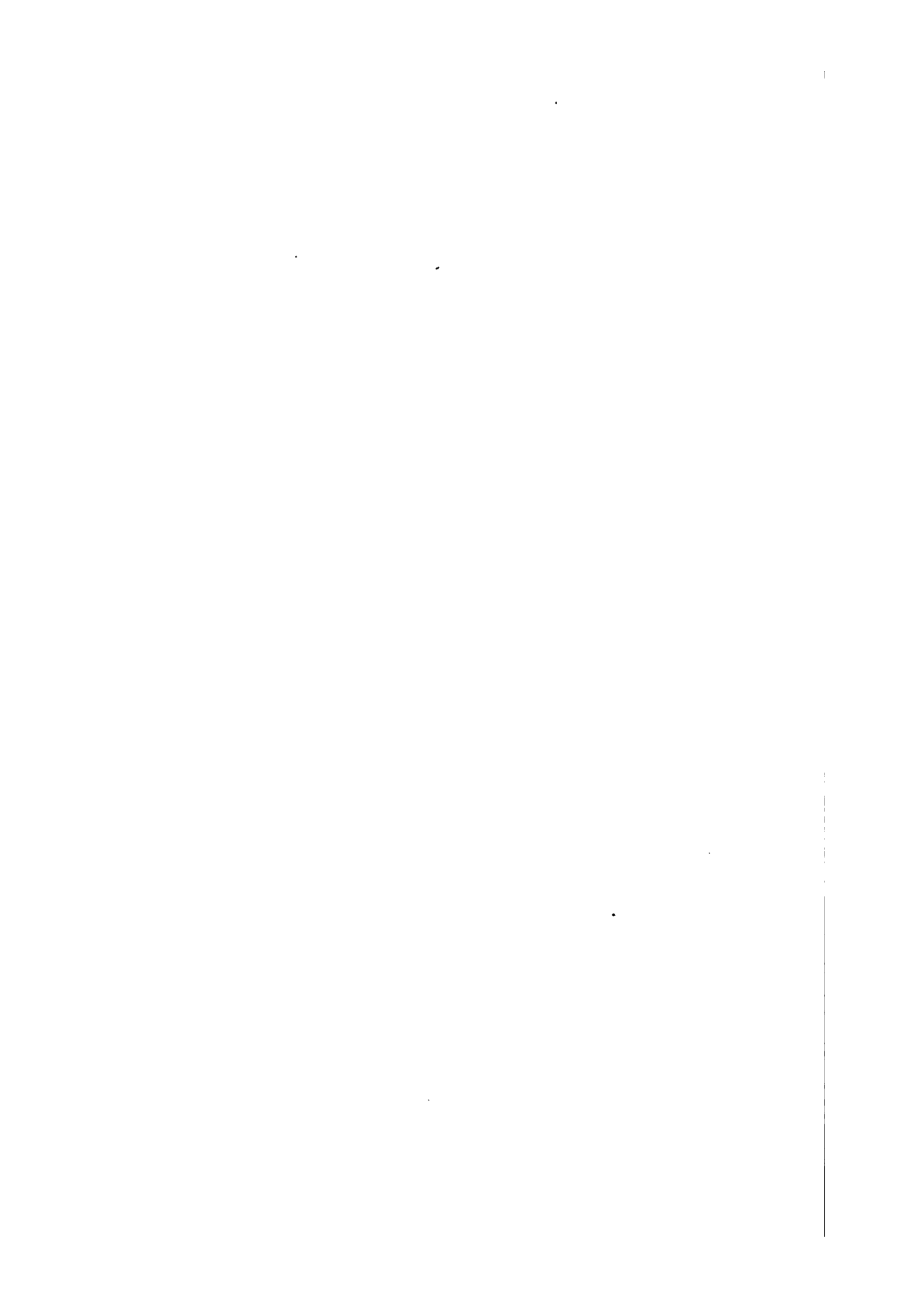
Za jakąś marą, widziałem, cieniem.  
I czegoś szukam — i nie wiem: gdzie,  
Czym widział jasno, czy tylko w śnie?  
Śniłem, tak — śniłem: cudy a pieśni;  
Nigdy ich, nigdy serce nie prześni.

Tutaj czuję, iż nie jestem przecie tak zupełnie  
nieszczęśliwym, gdyż posiadam przyjaciółkę, której  
się mogę udzielić, która mnie rozumie, nie odmawia  
mi rady i pomocy. *Ona jedna* chroni mię od roz-  
paczy.“

**KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.**







# KSIĄŻĘ RADZIWIŁŁ-

„PANIE KOCHANKU!”

I

JEGO STRONNICY.

---

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

**IZYDORA PORCNEGO,**

autora historycznej powieści: „TADEUSZ KOŚCIUSZKO.”

„Sny a mary — a widzenia  
Z prastarego pokolenia...”

Fr. Żygiński.

TOM II

---

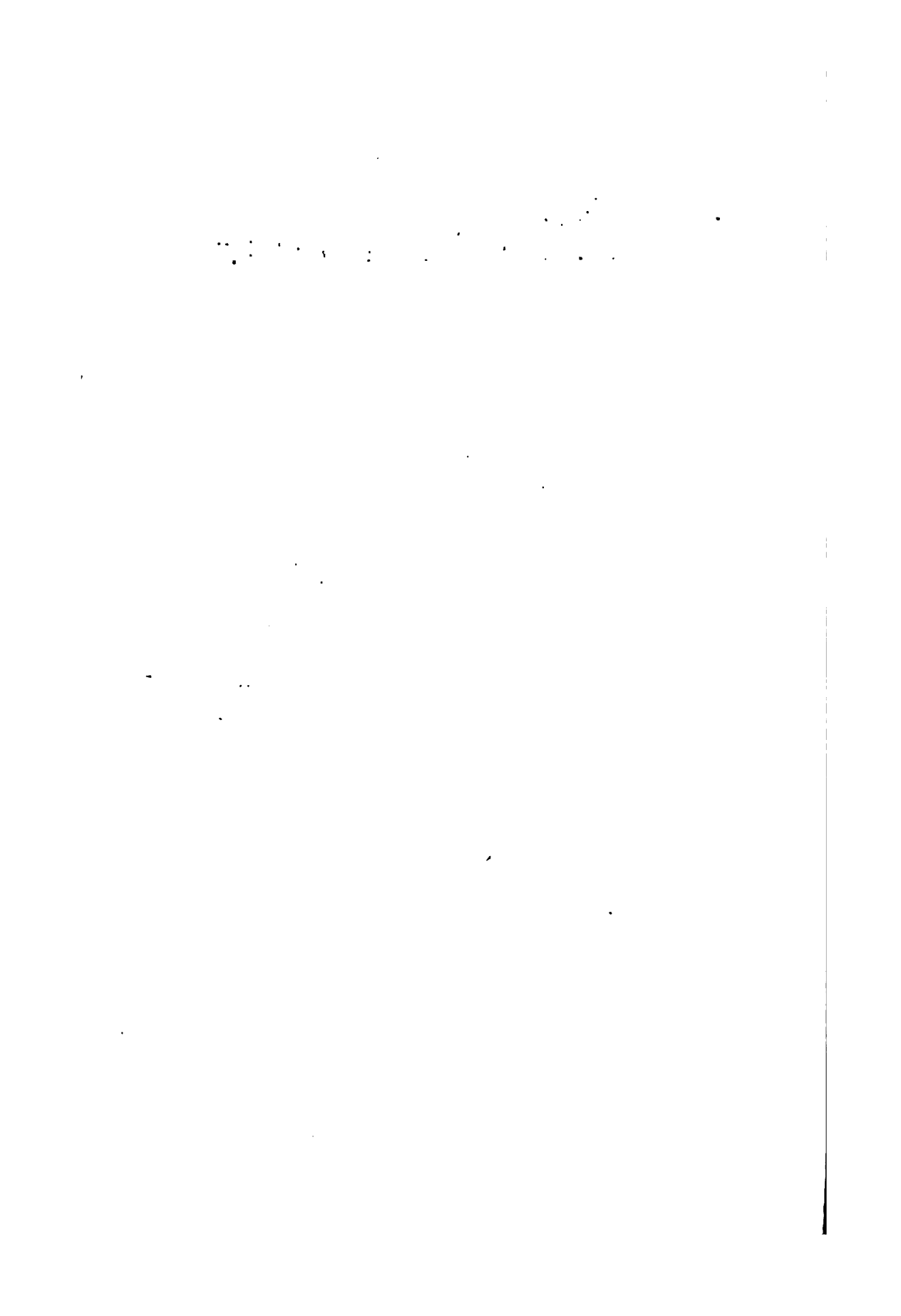
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ FELIKSA PIOTROWSKIEGO.

---

POZNAŃ.

CZCIONKAMI Drukarni „Dziennika Poznańskiego.”

1892.





## I. List podkomorzego Gintowta do kasztelanowej liwońskiej.



~~~~~

dybym się miał nawet okazać natrętnym, nie przestawałbym przecież pisywać do Pani mego serca; toż oczekującemu na próżno powrotu Jójmości nie pozostaje mi nic innego jak: myśleć o Jójmości i wyjawiać me myśli. Kiedy leżałem u nóg Jójmości, podnosząc z lękiem wzrok ku obliczu Jójmości i usłyszałem z Jój ust koralo- wych zapewnienie stałego przywiązania, drżałem mi- moto z obawy utracenia tego szczęścia. Jakież cier- pienia wzruszają mą duszę, gdy mnie tak wielka przestrzeń oddziela od Jójmości! Wyrzucasz mi Kasztelanowo! mą zazdrość i starasz się mię uspokoić: zapewnieniem, iżbyś nie mogła być obłudną. Ach, Moja Dobrodziejko, znam aż nadto dobrze Jój otwar- tość i wiem, że się szlachetne serce Jójmości wzdry- ga już na samą myśl podstępu. Znam Jój serce: gdyby się miało ode mnie odwrócić, powiedziałaś

mi Jójmość bez wahania i ogródki: „Albercie: ja ciebie już nie miłuję!” Atoli właśnie przed tą zabójczą otwartością drzę w duszy; moja trwoga pochodzi nie stąd: jakobym miał powątpiewać o Jój stałości, ale raczej stąd, iż sam sobie nie ufam. Nie mogę jeszcze temu uwierzyć, iż najszlachetniejsza, wszelkiemi zaletami i urokami jaśniejąca kobieta, o której względy mocarze świata się dobijali, oddała *mnie* swe serce; nie mogę przywyknąć do tego niespodziewanego szczęścia, na które nie zasłużyłem. Dlaczegożbym więc nie miał lękać się o zachowanie nadal tego szczęścia? Jeśli to ma być zazdrość, natenczas jestem najzazdrośniejnym ze wszystkich ludzi; jeśli atoli zazdrość jest tém uczuciem, które się kusi o pozyskanie sobie przemocą serca, które już ochłódło: natenczas zachowaj mię Boże od téj nikczemności! „Posiadanie *niewiasty*“: nienawidzę tego wyrażenia i uważam je same przez się za sromotę, wyrządzoną przedmiotowi, do którego powinniśmy się tylko ze czcią zbliżać. Posiadamy niewiastę tylko o tyle: o ile się ku temu skłaniają jój serce i wola. I czemże jest zresztą posiadanie?

— Gwałtem, zadany naturze, w obec którego się wzdryga umysł każdego szlachetnego człowieka. Nie, Pani Dobrodziejko, w tém znaczeniu nie okażę się nigdy mężem zazdrośnym! Nawet gdyby się Jój serce miało zwrócić ku innemu mężczyźnie, nie poniżyłbym się nigdy do tego stopnia, iżbym miał uważać prawa i obowiązki za przeszkody Jój skłonności, gdyż wiem nadto dobrze, iż serce nie podlega żadnemu prawu. Byłbym i wtedy stale Jój wierznym doradcą i sługą; a gdybym miał nawet utracić

miłość Jójmości: zadowolniłbym się iskrą Jój przyjaźni, uważając ją za szczątki mego szczęścia. Wiem o tém, że przysięga małżonki u ołtarza jest tylko zwyczajem, społeczném urządzeniem, którego nie można bynajmniej porównywać z obietnicą, jaka spłynie z ust niewiasty, gdy ona w uszczęśliwieniu garnie w uściski oblubieńca. Ja przenoszę tę obietnicę nad wszystko; w obec niej poprzysiągłem, dochowam wiernie słowa i nie nastęcę Jójmości nigdy powodu do uzalania się na mnie.

Król się cieszy, iż starosta wkrótce do niego powróci. Przywykł on do niego, gdyż go mu czynią niezbędną łatwość, z jaką pracuje, i szybki pogląd na sprawy. Król dowiedział się z przyjemnością o miłości starosty względem Zofii, boć to najlepsza droga do uwolnienia go od rywala u krajczyny, która — nie powiem — jego duszę, ale zmysły usidliła. Nie posiada ona na tyle rozsądku, iżby mogła ukryć przed drugimi, że przenosi króla nad starostę. Kiedy jój odczytałem ustęp listu Jójmości, w którym opisujesz w żywych barwach jego namiętną miłość względem swój przyszłej bratowej, zalała się łzami i zawołała: „Nie przypuszczałam, iżby o mnie miał tak rychło zapomnieć!“ Wypowiedziała zaś to, nie zważając na moję i obecność króla! Radaby mieć obydwóch: aby jeden zaspakajał jój dumę, a drugi skłonność serca. Zaznaczam pod sekretem, iż nie miałyby był nic przeciw temu: atoli starosta zachował w tym względzie takie dziewictwo serca, iż ono nas wszystkich przejmuje podziwem. Nie chciał on z nikim dzielić przedmiotu swój miłości. Jakieżto były sceny, zanim ją odstąpił

i odjechał na Litwę! Zresztą król dozwala się po raz pierwszy osidlić kobiecie nie mądrzej. Przed kilku laty ukazała się na naszym widnokregu angielska karykatura, którą splin był sprowadził także do Warszawy. Lord *Morning-Pudding* był bardzo uczony, nudny i wielce brzydki, posiadał atoli bardzo piękną żonę, która chociaż ograniczona na tyle posiadała rozumu, iż go podeszła. Znam oprócz starosty jeszcze trzech mężczyzn w Warszawie, którzy z nią pozostają w poufających stosunkach; toż sam król okazywał jej z początku wiele grzeczności i usiłował nawiązać z nią rozmowę w języku angielskim, atoli chociaż potrafił o różnorodne sprawy, nie udało się mu trafić do celu. Mimo jej zalotności ochłódł król względem niej i zabawiał się zwykle zamiast z piękną lady, tylko z brzydkim milordem. Kiedy na jednym dworskim balu Angielka w nader gustownej toalecie jaśniała swemi wdziękami, rozmawiał z nią król chwilę, potem zwrócił się do nas i rzekł: „To cudownie piękna kobieta: ale co z nią począć w między-aktach?” Krajczyni przewyższa duchem nie o wiele lady Morning-Pudding, a przecież król do niej przywykł. Ja umiém to sobie wytłómaczyć: król jest obecnie o trzy lata starszym, zużytym, zasługującym na francuskie określenie „blasé”, potrzebuje wygodnej kochanki, któraby przecież zajmowała wysokie stanowisko w społeczeństwie, albowiem chociaż jest tylko królem elekcyjnym, nie myśli przecież ustępować swemu pierwowzorowi, jaki zachowała tradycya Wersalu, a wie o tém dobrze, że tutaj godność „królewskiej przyjaciółki” równa się komanderyi Kawalerów maltańskich, dla której

jest potrzebny herb. Nasz król był naocznym świadkiem hałasu, który był powstał w Wersalu, kiedy Ludwik XIV. uznał panią de Pompadour sułtanką. Stara się też nasz monarcha według własnego orzeczenia upodobnić mu jak najwięcej; a gdy mu awanturnik *Casanova* pewnego razu oświadczył, iż on we wszystkiem przypomina owego monarchę: nie uwierzyłabyś Jójmość, z jaką on radością przyjął to pochłębstwo, Mimoto nie umiem opisać: jak wielce on tęskni za towarzystwem Jójmości. Chociaż się kocha w krajczynie i codziennie ją w roli małżonka odwiedza, wiem przecie, że mu ona przypomina owę Angielkę i niekiedy wielce go nudzi w „międzyaktach.“

Zresztą, żart — żartem: król jest teraz tak dalece zajęty i doświadcza w swój dobroci i łaskawości tak wiele przykrych momentów, iż właściwie nie *może* się nudzić. Obecnie zwykł zasięgać rady u wielce dostojnej damy, która wprawdzie swą miłością obdarzyła potężnego księcia, bawiącego chwilowo w Warszawie, atoli przecie dla króla zachowała przyjaźń i wspiera go swą radą. Potrzebuje on jój też obecnie więcej niż kiedykolwiek indziej. Zaledwo przy pomocy naszego starosty powołał do życia konfederacyą toruńską i zażądał dla dysydentów w sprawie przywilejów równo-uprawnienia z katolikami, a w tém go też posłowie obcych mocarstw poparli, a już wszczęli zagorzalcy i krótko-widzący wraz z większością sejmu taką burzę, iż musiano uciekać ze sali. Dwaj biskupi, hetman z swym synem — deputowanym, którzy rej wodzili pośród tych zagorzalców, mieli na myśli nie co innego, tylko obwie-

szczenie krucyaty! Tego rodzaju środek ku obronie wiary byłby był znalazł oddźwięk we wszystkich województwach. Atoli na szczęście król, będący mistrzem w nawiązywaniu tajnych intryg miał już od dłuższego czasu wątek tego sprzysiężenia, pozyskał sobie hetmanowego powiernika, który mu donosił każde u niego wypowiedziane słowo. Skoro się atoli dowiedział o całym zamachu, stał się tak dalece nieporadnym, iż sobie trudno wyobrazić; doszło do tego, iż król zamyślił potajemnie ujść z kraju: jak to uczynił był niegdyś *Henryk Waza*. Tylko jego przyjaciółka zdołała go poniekąd uspokoić i nakłonić do chwycenia się u nas rzeczy niesłychanej, którą Francuzi zowią *coup d'état*. Gdy już wszystko należycie rozważono i przygotowano do wykonania, król nie mógł przecież jeszcze zapanować całkowicie nad obawą.

Przy tój sposobności przekonałem się, że to — mąż, posiadający miękkie usposobienie, beletrysta, biegły mowca i nic więcej.

Teraz zapowiada wszystko wojnę domową. Król żałuje, iż nie było w Warszawie księcia *Radziwiłła* „*Panie Kochanku!*“ — i że nie ma środka do ujęcia go. Atoli niechaj się wszystko dzieje, jak się podoba bogini *Nemezys*: ja, wielce umiłowana Pani, żywię tylko to jedno życzenie, iżbyś jak najrychlej do nas powróciła. Im więcej mię pomyślny obrót sprawy rozwodowej zbliża do urzeczywistnienia mych nadziei i szczęścia, tém więcej wzmagą się mój niepokój.

Podróżując po Francyi widziałem w pewnej karczmie pośród wielu zdań, wypisanych na ścianie

w sypialni i ten napis: „*I czemużto nawet nadzieja może człowieka doprowadzić do rozpacz; nie dozwala mi ona zasnąć, a mnie snu tak koniecznie potrzeba!*“ Śmiałem się wtedy serdecznie z tego wybuchu francuskiej niecierpliwości; ale teraz pojmuję prawdziwość owego napisu i mogę go sam powtórzyć z głębi serca. Kiedy mię król uwiadomił, iż przez pośrednictwo Jéjmości stara się o sprowadzenie w jak najkrótszym czasie starosty do Warszawy, ogarnęła mię trwoga, że w czasie walki o jego osobę i Jéjmość mogłabyś być narażoną na wybuchy nienawiści Radziwiłła.

Upadłem więc do nóg królowi i prosiłem go o pozwolenie mi udania się na Litwę ku ochronie Jéjmości. Atoli król nie chciał się żadną miarą na to zgodzić. A więc nie pozostaje mi nic innego jak tylko wyczekiwanie z nieopisaną tęsknotą powrotu Jéjmości.



II. Przygotowania do konfederacyi.



przedpokoju, wiodącym do książęcych komnat w Nieświeżu rozmawiali Albańczycy o wypadku, który w owej okolicy wywarł był niesłychane wrażenie.

Na wycieczce o zmroku zauważył dzierżawca księcia-wojewody *Koryzna* dwa kryte powozy, których okna były tak szczelnie zasłonięte, iż nie było można dostrzedz siedzących w powozach osób. Konwojował je liczny zastęp zbrojnych. *Koryzna* zatrzymał ich przewodcę i zapytał: ktoby się był znajdował w powozach. W miejsce pouczenia związano *Koryznę*, wsadzono go na chłopski wóz i pojechano dalej. Bawiący w pobliżu chłopiec uwiadomił o tém zajściu czeladź dworską. Kiedy o niem posłyszał serdeczny przyjaciel *Koryzny* *Węctaw*, współdzierżawca książęcego majątku *Niekorowice*, zgromadził najdzielniejszych dworskich strzelców

i pospieszył z nimi na pomoc ujętemu przyjacielowi. Atoli liczebna przewaga była zanadto znaczna: w walce, która się wywiązała, zabito dwoje ludzi Węclawa, jego samego zaś zraniono, ujęto i uprowadzono.

Kiedy zgromadzeni u księcia czynili rozmaite przypuszczania co do osób, znajdujących się w owych powozach, otwarły się podwoje książęcej komnaty, z której progu pokojowiec poprosił wszystkich do księcia.

Albańczycy weszli zatem do obszernej komnaty, która miała marmurową posadzkę i wcale nie-ozdobne ściany. Tylko w miejscu, gdzie stało wąskie łóżko księcia-wojewody, była ściana obita karmazynowym kobiercem. W komnacie znajdowało się tylko mnóstwo dębowych stołków; a u łóżka stał duży okrągły stół z orzechowego drzewa, na którym książę przed udaniem się na spoczynek zwykł kłaść rozmaite przedmioty, które przy sobie nosił, mianowicie: parę nabitych kieszonkowych pistoletów, krzesiwo, kilka zégarków, narzędzie do puszczenia krwi, tabakierkę, różaniec z orzecha kokosowego, pieczętkę, pugilares, szczoteczkę, szkło pałace, scyzoryk, szablę i t. p.

Albańczycy zastali księcia Radziwiłła u stołu; obok niego przeglądał jego sekretarz *Bohusz* jakieś papiery, z których kilka spalił, a resztę schował do pugilaresu.

Dwie świece z żółtego wosku na stole oświetlały siedzących przy nim i najbliższą przestrzeń; drugą połowę komnaty rozwidniał ogień na kominie.

Książę „Panie Kochanku!” miał na sobie powłoczysty kaftan z łosiowej skóry, na nim wypełnioną nabojami ładownicę, skórzany pas ze stalową klamrą i parę podróżnych pistoletów.

Zdawał się coś głęboko rozważać, gdyż oddychał ciężko, podkręcał wąsa i sięgał często do tabakierki, którą mu służa podawał.

Powitawszy przybyłych Albańczyków westchnął głęboko i rzekł:

— W istocie: nie ma końca naszym dolegliwościom; możnaby prawie utracić wiarę w pokój i zgodę. Kiedy się konfederacja radska w sejm zamieniła, wierzyłem mocno, iż mieliśmy nieco swobodniej odetchnąć; atoli sprawa z dysydentami przewróciła wszystko do góry nogami. Dysydenci poróżnili nas ze wszystkimi dworami; wmówiono w nie, iż przygotowujemy wojnę domową i myślimy o krucyacie. Bóg wie: jakie na nas oszczerstwa zwalono; toż przecie bez wyroku i prawa nawet kilku członków sejmujących stanów usunięto i wprowadzono — nikt nie wie: dokąd. W poczcie tych ofiar znajduje się także mój teść — zgrzybiały starzec, który się już obliczył z życiem doczesnym! Ich całą winę stanowiła ta okoliczność, iż nie chcieli przyznać dysydentom przywilejów, jakich u nas nigdy nie posiadali, i o których nasza konstytucya nie wzmiankuje. A przecie mamy tylko elekcyjnego króla, który nad nami powinien rządzić według umowy; posiadamy króla nie z krwi panującej rodziny, ani z łaski bożej. Temu zamachowi stany nie umiały się inaczej sprzeciwić: jak tylko wydać manifest i rozjechać się do domu. Cała wina tego

wszystkiego ciąży na biskupie krakowskim. Jakby przeczuwając, co miało nastąpić, nie chciałem przypuścić, iżby sejm z Radomia przeniesiono do Warszawy; przewidywałem, iż my skromni, prostoduszni ludzie nie mieliśmy znaleźć sposobu do oparcia się intrygom niewieścim w tój zwodniczej Warszawie. Bóg i ludzie słyszeli me słowa; atoli księżę-biskup nie zmienił swego zapatrywania i przekonał mię wkońcu. Niechaj to Pan Bóg wybaczy księciu-biskupowi! Już teraz spotkała go za to dosyć przykra pokuta. Atoli ja zbłądziłem ciężko, *panie kochanku*, albowiem dla czegoż dozwoliłem się uwieść pomimo mego staro-świeckiego litewskiego instynktu jego nowo-modnej mądrości?

I na mnie zastawiono łapkę; ale nie byliby mnie przynajmniej dostali tak bez wszelkiego oporu! Nie zdradził mnie tóż żaden z mych wiarusów: jak się przydarzyło memu nieszczęśliwemu teściowi. Dzięki Bogu: mogę się spuścić na mą Albę, *panie kochanku!*

Tutaj przerwało mowę księciu całe zgromadzenie grzmiącym okrzykiem:

„*Niech żyje nasz księżę-wojewoda!*“

Każdy zaręczał, iż mu był oddany ciałem i duszą aż do przelania krwi za niego. A chociaż się różniły zdania co do przedsięwzięcia potrzebnych kroków: zgadzano się przecież jednomyślnie na to, iż wypadało zawiązać konfederacyą, a jój marszałkiem obwołać księcia.

Księżę zgadzał się z zawiązaniem konfederacyi, lecz objawił swe niezłomne postanowienie nie przyjęcia urzędu marszałka. Umówiono się więc potem,

aby marszałkiem konfederacji litewskiej zamianować starostę *Paca*, a księciu poruczyć dowództwo nad wojskiem. Spisał więc Bohusz akt konfederacji, której następnie wszyscy ślubowali wierność i posłuszeństwo.

Książę objawił teraz swój plan zgromadzonym, wyjaśnił im, iż na Litwie wszystkiemu, co się przedsięwzię, grozi największe niebezpieczeństwo niedania się. „Nie pozostaje nam nic innego“ — mówił dalej — „jak przebić się na Ukrainę, połączyć tam z *Joachimem Potockim*, podczasym litewskim i skorzystać z pomocy, którą nam przyobiecała Porta otomańska. Wyruszę o świcie, aby nie obudzić podejrzeń, i to tylko we trzydzieści koni. Zgromadzimy się w *Barze*.

Następnie wyznaczył książę każdemu rolę w tej zamierzonej wyprawie.

Kiedy się zbliżył do Wazgirda, zapytał go o zajście ze starostą. Wazgird nie chciał z początku odpowiadać; atoli książę oświadczył mu, iż *chciał* wiedzieć o wszystkiém. Wyjawił mu więc Wazgird swe zapatrywania na stosunek starosty do Zofii, oświadczając, iż był gotów rozprawić się powtórnie z przeciwnikiem, skoroby on tylko odzyskał zupełne zdrowie. Książę ubolewał nad tém, że tak przeczną panienkę, jaką Zofia była, uwiódł człowiek, który podobno byłby zdolny do uprzyjemniania czasu swemu panu opowiadaniem o tej miłosnej sprawie. Powstał też książę nagle i przechadzając się szybko po komnacie mówił dalej:

— O, tak, *panie kochanku*, zaszliśmy daleko! Gdzie czart nie poradzi, tam poszle niewiastę na

swego pełnomocnika. Tak się stało i w Niewodowie. Ta kasztelanowa liwońska uprzedła sieć intryg, o jakiej nikt nie słyszał. Opuściła ona naszego Świętochowskiego, swego zacnego męża, który jej tyle przepuszczał, iżby trudno było temu uwierzyć. Atoli chociaż się stara usilnie wmówić w ludzi, iż w sprawie rozwodu przybyła na Litwę: my temu nie wierzymy. Wiemy o tem dobrze, że nasz król malowany obiera niekiedy ministrów w spodnicy. Prawdziwie! gdyby wszystkie niewiasty pilnowały wrzeczona i krosien: nie byłoby tyle nierządu w rzeczypospolitej. *Panie kochanku!* — mówił dalej, zwracając się do Wazgirda — musisz waszmość wyruszyć z jakimi dwudziestoma ludźmi do Niewodowa i ująć zakochanego starostę. Gdy go będziesz miał w swych rękach, sprowadź go do *Łachwy*. Mój pełnomocnik wie: co ma z nim dalej uczynić. Jeśli byś przy tej sposobności mógł obdarzyć „upominkiem“ jejmość kasztelanową, to się nie wahaj to uczynić — naturalnie z wszelką ostrożnością i należnym respektem. Starostę zaś musimy mieć za wszelką cenę. Byłby on nieocenionym zakładnikiem; a jego pan wydałby nam chętnie najznakomitszych jeńców.

Tutaj pożegnał księżę zgromadzonych; a w kilka godzin później znajdował się już ze świtą na drodze do Ukrainy.

Rozeszli się i Albańczykowie, podpisawszy akt konfederacji litewskiej, który Bohusz naprędce był sporządził i z sobą potem zabrał, aby go w swoim czasie przedłożyć jeneralicy. Uczestnicy wyprawy udali się na wyznaczone miejsca; reszta Albańczy-

ków powróciła do swych posiadłości, aby w domu nagotować pomoc dla swych towarzyszków. Jan Wazgird skierował swą podróż w okolice Mińska. Towarzyszył mu jego wierny Achates — *Skoluba*, syn szlachcica czynszowego, a zarazem ideał służebnej wierności.

Nie opuścił on swego pana, którego niegdyś odprowadzał z jego małymi towarzyszami do szkoły. Sam zaś tak mało był pohopny do nauki, iż pojął za ledwo abecadło. Atoli jakkolwiek nie umiał czytać i pisać, posiadał inne zalety, które go jego panu czyniły niezbędnym. Był nadzwyczajnie śmiałym, zręcznym do broni, zawołanym szermierzem, strzelcem, miał „mocną głowę“ do kieliszka i był znakomitym wywiadowcą. Mógł uchodzić poniekąd za pierwowzór poufałego sługi owych czasów. Przywykły od małego do najlichszych służebnych obowiązków czyścił panu buty, zamiatał pokój, utrzymywał w porządku jego wierzchowce, ale też opłacał w jego imieniu sprawunki, spełniał najróżnorodniejsze zlecenia i bywał nawet w chwilach krytycznych doradcą swego pana. Jego znajomość prawa ograniczała się do znanéj kardynalnéj maxymy: „*Neminem captivabimus, nisi jure victum!*“*) Z dziejów ojczystych wiedział tylko to, że piérwszym księciem był *Piast*, ubogi kmieć w *Kruszwicy*, zajmujący się kołodziejstwem. Z późniejszych czasów było mu wiadomém, iż się w kraju za panowania

*) Nie uwięzimy nikogo, jeśli go (piérwéj) w drodze prawa nie pokonamy, jeśli mu nie dowiedziemy winy.

Sasów dobrze działa. Był też najzupełniej o tém przeświadczony, iż sam był *candidatus natus**) do wszelkich godności, a nawet do korony. Znosił też wszelkie niezadowolenie swego pana z godnością i uległością, a nawet nie opierał się surowemu skarce- niu; byłby był atoli gotów wystąpić natychmiast orę- żnie przeciw każdemu, ktoby był śmiał powątpiewać o jego szlacheckiej równości.

Można sobie wyobrazić, że tego rodzaju sługę wtajemniczono w plan, dla którego wykonania *Wazgird* przedsięwziął był podróż.

Kiedy jakiś czas jechali w milczeniu, zapytał *Wazgird* sługę: dlaczego by był tak smutnym i nie okazywał zwykłej wesołości.

— Gniewa mię, — odpowiedział sługa — iż nie wyruszyliśmy z księciem na Ukrainę.

— A cóżbyś ty tam chciał właściwie czynić?

— Ba, czyż jato po raz pierwszy biorę udział w wyprawie, a człowiek w miarę: im dłużej żyje, nie staraż się tém więcej świat poznać? Wszak ta Ukraina ma być według tego wszystkiego, co o niej mówią, prawdziwym rajem. Miałem tam już poprzednio wyjechać, lecz musiałem pilnować wasz- mości, gdy byłeś obłożnie chorym; toć i teraz po- wstrzymała mnie przeszkoda. Radbym się tak go- rąco odznaczyć w krwawej potrzebie: ale to podobno próżna nadzieja.

— A czyż to nam nie wystarczy, gdy poj- miemy starostę? Wierzaj mi: stanie on, choć jeden

*) Kandydat z urodzenia.

za całą mniejszą chorągiew konnicy; a ja pokładam w Bogu nadzieję, że się nam sprawa uda.

— Mnie jakoś ta nadzieja nie trafia do przekonania.

— Mój kochany Skołuba! niekiedy sam nie wiiesz: gdzie podziałeś rozum. Dla czegożby się nam nie miała udać? Ja pozostanę w *Szykutowicach* u pana *Mateusza Giecewicza* w oddaleniu mili od Niewodowa. Zastanę tam zbrojnych i jeźdźców; a w razie potrzeby dopomoże mi pan *Mateusz* z całym swoim dworem. Ty, kochany Skołuba, udasz się do Niewodowa na wywiady, a gdy zauważysz stósowną porę, zabierzemy naszego jegomości jakby ptaka z gniazda najlepiej nocną porą z łózka. Zakneblujemy mu usta i dalejże z nim na sanki! Toż zanim się spostrzeże, ujrzy się w *Łachwie*. Ukraina nam przecież nie ucieknie; przekonasz się, jakie nam zgotują przyjęcie, gdy wykonamy tę sztuczkę.

— Plan byłby wcale dobry: rozchodzi się tylko o jego wykonanie. Czy się zaś sprawa powiedzie z taką łatwością: o tém możnaby powątpiewać.

— A czyż to tak wielka sztuka, gdy się rozchodzi o ujęcie jednej osoby przy pomocy dwudziestu ludzi? Bylebyś spełnił swą powinność i postarał się o to, aby służba mego wuja twardo spała, kiedy jój pana obskoczemy!

— To prawdziwa drobnostka! Ręczę za to, iż — gdy zechcę, służba jenerała spać będzie na dobre. Ale to nie odda nam jeszcze w ręce jenerała.

— A ktoś nam przeszkodzi, iżbyśmy nie mogli z nim uczynić, cobyśmy chcieli!

— Jeżeli waszmość tak sądzisz, pozwól, abym opowiedział, co ja o téj sprawie myślę. Kiedyśmy byli razem z chorążym w Niewodowie, starałem się jak zwykle zapoznać z ludźmi dworskimi. Albowiem nieboszczyk ojciec waszmości wielmożny podczaszy miński zwykł był mawiać: „Im więcej kto zna ludzi, tém jest rozsądniejszym!“ Przychodziło mi atoli podówczas z wielką trudnością zapoznać się ze służbą pana starosty. Z fryzyerem już ani pomów, gdyżśmy się nie rozumieli; a pokojowiec starosty miał o sobie olbrzymie wyobrażenie. Spoglądał na mnie zawsze z góry jakby z wieży kościoła *św. Anny* w Wilnie; a kto wie: czy ja nie jestem lepszym szlachcicem od niego? Od strzelca zaś i lokaja nie było można nic się dowiedzieć. Kiedy mię później wysłano na zwiady: czyby starosta był pozostawał przy życiu, lub umarł: z przytoczonej przyczyny nie udawałem się już wcale do dworu, ale pozostałem odrazu we wsi. Właśnie przyjechała pani kasztelanowa, kuzyna naszego jenerała, aby u niego wycekiwać ukończenia sprawy rozwodu. Zapoznałem się więc z jój ludźmi i to u mego krewniaka *Błażeja*, kołodzieja w Niewodowie. Albowiem p. Błażej naprawiał jój karétę, która nieco ucierpiała w podróży; a ludzie kasztelanowój zaglądali często do Błażeja pod pozorem doglądania roboty. Ja zaś natychmiast zmiarkowałem, że im wpadła w oko żona Błażeja. Jestto mianowicie bardzo ładna kobiecina; a waszmość przecież wiesz, że lokaje warszawscy nie przesłępią takiej sprawy. Otóż tym sposobem z nimi się zapoznałem. Udaliśmy się razem do szynku. Nie brakło tam miodu i go-

rzalki; a oni nadto za mnie płacili. Nasza zaś rozmowa była wodą na mój młyn! Ja oczywiście udawałem, że mnie ta sprawa wcale nie obchodziła, a oni mi opowiedzieli, że ich pani wstąpiła była w drodze do pewnego księcia, z którym zapoznawszy się jeszcze w Krakowie żyje w przyjaźni. Księżę bawi tam z całym pułkiem i wysłała liczne oddziały zbrojnych w okolicę, to wszystko musi mieć przecież przyczynę! Przybyli też pewnego razu dwaj podróżni w dosyć podartej odzieży tam do karczmy; ja zaś natychmiast poznałem, że oni nie byli tymi, za jakich się wydawali. Wdałbym się w zakład, iż to byli wywiadowcy, tylko z przeciwnego stronnictwa. My czuwamy na stanowisku: ale, wierzaj mi waszmość, że i oni nie drzymią.

— Jesteś zanadto mądrym, kochany Skołuba! Rozważ przecie, że mi księżę dopiero wczoraj dał rozkaz i to całkiem *ex abrupto**): a ty chciałyś mię przekonać, że przeciwnik zwałhał piżmo nosem już od kilku tygodni! To dla mnie za trudna filozofia, mój kochany!

— Ależ „królewszczycy“ wiedzą przecie tak dobrze jak my: jakie stanowisko starosta pośród nas zajmuje; a z naszym księciem przyszło do ostateczności. A więc miej się waszmość tylko na baczności: obawiam się bardzo, iż nic nie wskóramy, jeśli przypadkiem jego brat wojski nie napędzi go nam pod jakimkolwiek pozorem do matni.

*) Nagodnie, bez poprzedniej rozważ, niespodzianie.

— Jużci musi o tém wiedzieć p. Michał, iżby nam przypadkiem nie zaszedł w drogę. Czy sądzisz, iżby nam zechciał dopomóc?

— Jeśli się dowie: coto za ptaszek — ten jego brat i jakiego mu nawarzył piwa w Niewodowie!

— Co masz na myśli?

— Ależ, kochany mój panie, chociaż ust nie otwieram, mam przecie otwarte oczy! Nie wspomniałeś mi waszmość i słowem: dlaczego się oni właściwie za karczmą pojedynkowali. No, tym razem nie sztuka: i to odgadnąć! Albowiem o tém, co się dzieje w Niewodowie, wie wszystka czeladź i cała wieś i mówi o téj sprawie tyle, że aż w uszach dzwoni. Tylko pana jenerała, wojskiego i księży ogarnęło zaślepienie. Jeśli atoli wykażemy wojskiemu prawdziwy stan rzeczy: to on nam niezawodnie pomoże. Jest on wprawdzie bardzo spokojny z usposobienia i rzadko kiedy się unosi: atoli biada temu, kto mu wejdzie w drogę!

— Prawda, kochany Skołuba: i ja się nad tém zastanowiłem; dlatego też muszę koniecznie piérwój z panem wojskim pomówić. Wstąpimy więc jeszcze dzisiaj na kilka godzin do domu mego wuja.

— Zgadzam się na wszystko, co waszmość postanowisz, a na to jedno nie: tylko w Niewodowie nie pokazuj się waszmość!

— A to dlaczego? Czy sądzisz, że oni co po mnie poznają?

— Powiadam waszmości, iż wszystko popsujesz. Wyczytanoby z twarzy waszmości: co się dzieje w duszy pana. Musiałbym chyba nie znać wasz-

mości! Gdy waszmość przywdziejesz tylko kontusz i czujesz szablę u boku, wówczas zdaje się waszmości, iż jesteś *panem całego świata*. A chociażby się waszmość przymuszał, wzięłaby waszmości kasztelanowa, posiadająca wielko-miejski dowcip na spowiedź i pozbawiłaby wnet waszmości swemi sztuczkami rozumu. Toć i z panem starostą gra byłaby niebezpieczna. Nie mógłbyś ukryć zemsty, która wre w sercu waszmości. Wystarczyłaby jedna chwila podrażnienia do zdemaskowania waszmości; a wtedy byłoby po wszystkiém. Ale widzisz waszmość: ja obmyśliłem — plan zupełnie inny, który się musi waszmości udać. Napisz waszmość do starosty, aby odzyskawszy już zdrowie stawił się na nowo do pojedynku. Przybędzie on niezawodnie tutaj, a my nań uczynimy zasadzkę...

— Wstydz się nicponiu! udzielać mi takiej rady. Czy mię znasz tak mało, iż sądziż, że nie dotrzymam słowa — zwłaszcza, gdy je dam na piśmie?

— Ale któżby je dotrzymywał w obec wolnomurarza?

— Dosyć tego Skołuba! Wymyśl co innego: wszelki akt podstępu i przemocy, tylko nie *zdradę*.

— Waszmość chcesz być równocześnie podstępny i uczciwy: a to rzecz — niemożliwa. Nie pozostaje więc nic innego jak tylko, iżbyśmy się zwrócili do wojskiego. Pozostaniemy téj nocy w Szykutowicach; waszmość napiszesz do pana wojskiego i zawezwiesz go do siebie.

Kiedy obaj jeszcze rozważali: jak i przez kogo możnaby było najlepiej wojskiego o sprawie uwiadomić, stanęły sanki przed karczmą w *Sasanowie*.

— *O wilku mowa, a wilk blisko!* — zawołał nagle Skołuba, wyskakując ze sanek — Ot, tutaj stoją sanie pana wojskiego przed karczmą. Czyżbym nie poznawał jego srokaczy? A jest tutaj także jego woźnica: zatem i sam jegomość musiał tutaj zajechać! Nie będziesz więc waszmość potrzebował pisać listu.

Było rzeczywiście tak: jak sługa mówił. Wojski znajdował się w szynku i ździwił także nie mało, gdy ujrzał w *Sasanowie* Wazgirda. Zamyślał on właściwie pojechać do *Nieświeża* i usprawiedliwić przy tém u księcia swe opóźnienie. Po wzajemném powitaniu uwiadomił o tém Wazgirda, który mu następnie opowiedział nowiny polityczne, przytaczając powód przyspieszonej ucieczki księcia na *Ukrainę*. Kiedy się wojski ocknął z przestachu, uwiadomił go Wazgird także o ubolewaniu księcia nad tém, iż się nie spotkał z wojskim, któremu przesłał nader ważne zlecenie. Zgodzono się więc nocować w karczmie. Skołubie polecono postarać się u karczmarza *Icka* o wieczerzę i flaszkę sporą miodu. Gdy się następnie podróżni pokrzepili i wypoczęli, wyjawił wreszcie Wazgird wojskiemu otrzymane zlecenie.

— Tak, nie inaczej brzmi nakaz starosty: — zakończył — „*Powinieneś pojmać starostę i sprowadzić go do Łachwy; ja cię zaś wesprę w tej sprawie: ile tylko będzie w mej mocy!*“

— Mój kochany Janie! — odrzekł wojski — nigdy się to stać nie może. Chociażby się staroście

nawet nic złego nie przydarzyło, chociażby go tylko przytrzymano za zakładnika: byłaby to zdrada względem mego brata, a jeszcze większa względem mego przyszłego teścia.

— Niechby to było, czém chciało: taki jest rozkaz jeneralnego regimentarza. Nam wypada tylko słuchać; odpowiedzialność spadnie na niego, gdyż nie masz konfederacyi bez posłuszeństwa.

— No, więc powiedz mi, czy ten jest wyraźny rozkaz księcia i tylko się mnie tyczy? Czy mi na to możesz dać słowo szlacheckie?

— Niezawodnie, gdy ci piérwój opowiem wszystko, co rzeczywiście zaszło. Ksiązę wydał najpiérw ten rozkaz mnie, ale ja mu odpowiedziałem, iżbym go nie mógł wykonać bez twojej pomocy, a więc mi wypadało powierzyć się tobie. Ksiązę na to się zgodził. Dlatego téż liczę na ciebie; a teraz zastanówmy się nad sprawą. Starosta jest powiernikiem osoby, któraby pragnęła znieść rzeczpospolitę za wszelką cenę. Ty jesteś bratem starosty: to są istotnie święte węzły; ale nie mniej świętymi są twoje powinności obywatelskie. Czyż nas nie uczono w konwikcie, iż w świętém państwie rzymskiém musiały zamilknąć wszelkie względy rodzinne, gdy się rozchodziło o dobro samego Rzymu? Wszak wiesz o tém wszystkiém dokładniej aniżeli ja, bo mnie przyswojono tylko kijem to, czegoś się ty uczył z ochotą i zamiłowaniem. A tego rodzaju sprawy działy się w zupełnie zwykłych stósunkach: my zaś żyjemy w czasach konfederacyi. Po zastanowieniu się przyznasz mi słusność.

— Ale co myślisz: ja miałbym zdradzać brata? Czyż nie byłbym wtedy gorszym od Kaina, który przecie w podrażnieniu i namiętności popełnił pierwsze zabójstwo? Tęj rzeczy nie może żądać ode mnie sam książę; a gdy to ty czynisz, więc ci dam odpowiedź. Od tej chwili pozostaje mój brat w obec ciebie pod moją opieką. Pojadę bezzwłocznie do Niewodowa, powiem, jakie mu zagrażają niebezpieczeństwa; a jeśli ty przeciw niemu cokolwiek przedsięweźmiesz, będę go bronił aż do rozlania krwi. Gdybym nie przypuszczał, iż cię nieprzyjaźń względem starosty tak dalece zaślepiła, że możesz mi czynić taką propozycją, nie miałbym cię od tej chwili za chrześcianina, ani za szlachcica. Jeśli atoli jeszcze żywisz, choćby iskrę szacunku względem mnie, natenczas nie mówmy już więcej o tej sprawie!

— Ach, kochany Michale, muszę ci niestety! powiedzieć, że dopiero *zacząłem* mówić o sprawie, gdyż ci mam objawić jeszcze inne, o wiele gorsze rzeczy, które atoli na jedno i to samo wychodzą.

— Nie możesz mi już nic gorszego powiedzieć; usłyszałem już to, co najgorsze.

— Ano, napijmy się nieco dla zdobycia odwagi!

Tutaj zamknął Wazgird drzwi na zasówkę, stawił na stół drugą flaszkę miodu, napełnił szklanki i mówił dalej:

— No, Michale: zdrowie twój narzeczonój! Widzisz: jak się ci to spodobało; a przecież powinienś się tutaj dopatrzeć pewnego „ale.“

Zbliżył się Wazgird do wojskiego, uściskał go i powiedział:

— Mój kolego szkolny, towarzyszu broni, prawdziwy przyjacielu! wszak wiesz, że cię miłuję; posłuchaj mię teraz aż do końca i nie przerywaj mi mowy, abyś się dowiedział o wszystkiem, co ci muszę objawić. Ale mi daj rękę, iż się za to na mnie nie pogniewasz!

— Oto ją masz! Nie wątpię nigdy o twojej przyjaźni i uczciwości; posłucham, co mi powiesz.

— Mam twoje słowo; więc się nie pogniewasz, chociażbym ci wyjawiał nawet rzecz — najgorszą. Wszystko wypłynie z serca twego najlepszego przyjaciela.

— Wiem o tém.

— Zgoda! A czy wiesz i to: kto zranił starostę?

— Któż taki?

— *Ja*, tak: *ja*; toż nie żałuję, że to uczyniłem. Ubolewam tylko nad tém, że moja kula nieco chybiła celu. Nie odwracaj się Michale! dałeś mi słowo, że mnie wysłuchasz aż do końca! Poświadczy to sam starosta, że się wszystko odbyło według przepisu i w porządku, że żadnej z obu stron nie brakło odwagi i zręczności; ale moja uczciwa sprawa górę wzięła, gdyż miałem czyste sumienie. Starosta zaś nie może tego o sobie powiedzieć. Wię o téj sprawie i twoja narzeczona, gdyż jej to powiedziałem przed wyjazdem — i nie bez podstawy.

— Ależ Janie! i cóż ci mój brat uczynił, że tak dalece z wami zaszło?

— Co mi uczynił? Dopuszcł się zbrodni na mnie, na tobie, na całym świecie i na samym Bogu — a przedewszystkiem na tobie. Nadużył twego zaufania, twych dobrodziejstw i zdradził cię najhaniebniejszym sposobem. Ty nawet ze względu na ojczyznę nie chciałbyś zawiść jego zaufania; a on to uczynił — sposobem niesłychanym: i dlaczego? Ot, dla miłości... On kocha się w twój Zofii, a co większa: uwiódł ją także. Teraz pojmujesz: dlaczego szukałem zatargu — z tym niegodziwcem.

— To nieprawda, to być nie może! Nie wierzę, bo to oszczerstwo w obec mego brata i twojej siostry. Proszę cię też usilnie, abyś sobie nie lekceważył spokoju méj duszy i honoru méj przyszłej żony i dla swych politycznych celów nie przywiązywał wagi do rzeczy, które są tylko — kłamstwem, oszustwem i pozorem! Nie może to być prawdą, co mówisz, gdyż i ja musiałbym się być dowiedzieć o sprawie.

— Mój kochany Michale! ty, mój wuj, może także i księża-rezydenci — wy sami tylko nie widzicie tego, o czém wiedzą: całe Niewodowo, wszystka Alba i cała Litwa. Wiedzą o sprawie twoi wszyscy przyjaciele i ubolewają nad tobą; lecz nikt nie śmie otworzyć ci oczu. Jam śmielszy od drugich, albowiem niepokalane imię méj siostry jest i dla mnie rzeczą honoru; toż wypowiedziałem ci prawdę.

— Chociażby wszyscy temu wierzyli: ja przecie będę powtarzał, że to być nie może. Jakżeby też mój brat mógł tylko o czémś podobnym pomyśleć;

Przekonaj mię i powiedz: kto ci o tém najpiérw oznajmił?

— Jakto: więc sądzisz, iżbym ja — twój serdeczny druh mógł tak stanowczo mówić o czynie sromotnym, aby na ciebie i na nas wszystkich zwalić niewysłowioną niedolę, gdyby to nie było prawdą? Chcesz mieć dowody; no, więc spytaj, kogo się ci podoba, byle nie — samego jenerała: a każdy powie ci to samo!

— Mój kochany Janie, uwierzyłeś plotkom. Ale któżbo może się uchronić od złośliwych języków? Cóż dopiero rzec o moim bracie, który ma tutaj tak licznych nieprzyjaciół? Nawet ja sam mógłbym sobie to i owo w jego zachowaniu tłómaczyć inaczej, gdybym mógł, choćby tylko przez myśl przepuścić najłżejsze podejrzenie. Ale nie: to wszystko nie jest prawdą; ja temu nie wierzę.

— Dobrze! Przekonaj się więc sam. Jeśli się zgodzisz: pojedziemy jutro spólem do Mateusza *Gieccwicza*. Stamtąd będziesz się mógł udać na wywiady tak, iż się tego nikt w Niewodowie nie domyśli. Za towarzysza przydam ci Skołubę; wszak wiesz, że to — mistrz w tego rodzaju sprawach; ale wystrzegaj się kasztelanowej.

— Posłucham twój rady — jedynie dlatego, aby się przekonać o niewinności dwojga istot, które są dla mnie najdroższymi na ziemi. Gdyż to, co mówisz, jest oszczerstwem piekielnój sfory, która nas opadła. Zimny dreszcz mnie ogarnia, gdy o tém pomyślę. Nie mówmy już o tój sprawie; dozwól mi, abym odmówił pacierze, podniósł duszę do Boga, iżby mię Jego nieskończone miłosierdzie oświeciło;

a jutro pojedę z tobą: dokąd zechcesz! Ale jeszcze jedno: jeżeliś obudził we mnie to podejrzenie w zarliwych zabiegach około własnej sprawy, natenczas biada ci: lękaj się kary Pana Boga!

— Niechaj mię ukarze, jeśli wypowiedziałem kłamstwo! Uklęknę z tobą i pomodłę się, gdyż i mnie potrzebna modlitwa. Jestem nadzwyczajnie wzburzony, zaniepokojony dręczącymi myślami. Może tutaj poradzić tylko cicha modlitwa. Dobranoc, kochany Michale! Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!



III. Katastrofa.



Starosta powrócił o tyle do zdrowia, iż się nietylko od kilku dni zabawiał na dziedzińcu, ale także podjął dawne zatrudnienia. Przedewszystkiem zaś zaczął udzielać Zofii nieprzerwanym ciągiem lekcji śpiewu.

Kiedy się pewnego dnia towarzystwo jak zwykle po objedzie zgromadziło, oddalił się generał w celu załatwienia sprawy kilku dopieroco nadeszłych ważnych listów. Powrócił atoli niebawem do towarzystwa i to w takim wzburzeniu, w jakim go otoczenie jeszcze nigdy przedtem nie widziało.

— Dzieją się straszne rzeczy! — zawołał — Panie starosto! Nie spodziewałem się tego nigdy po jego królewskiej mości, naszym miłościwym panu: otrzymałem właśnie uwiadomienie, iż kazał dwóch biskupów, hetmana i jednego posła aresztować i wywieść za granicę. Panie starosto! tego czynić nie wolno królowi *elekcyjnemu*, albowiem konstytucya

zastrzega wyraźnie, iż król — obrany ma wziąć na siebie zobowiązania, które obejmują *pacta conventa*.*) Tam zaś napisano najdokładniej, iż nie wolno bez sądowego przesłuchania tykać się osoby szlachcica, a statutem *Alexandra* objęte *immunitates ecclesiae***)) mają być zachowane w mocy.

— Panie jenerale! — odrzekł starosta — musiało w tój sprawie zajść pewne nieporozumienie. Rzecz miała się niezawodnie inaczej, aniżeli ją waszmości opowiedziano, gdyż królowi możnaby zarzucić wszystko inne, tylko nie skłonność do czynów gwałtownych.

— Podzielam i ja to zdanie, — zauważyła kasztelanowa — ponieważ znam króla i wiem, iż posiada serce miękkie. W całym życiu nie powiedział jeszcze nikomu przykrego słowa. I jakżeby mógł być wyrządzić tak wielką krzywdę zacnym mężom? Zobaczysz wujaszku! że się niebawem wykaże, iż czyn przedstawiono w fałszywem świetle, albo się dopuszczono przesady.

— Nie znasz kuzyno *tego*, który mi o tём wszystkiem napisał; ja zaś wiem, że mówi szczerą prawdę. Ten czyn uwieńcza wszystkie nieprawości, jakich się dotychczas dopuszczano w Warszawie. Dlatego też rozjechały się na sejm zgromadzone stany. Nie może się to skończyć na dobrém. Nie wspominałbym atoli o tём panu staroście, gdybym tego nie poczytywał za obowiązek, który u mnie

*) Dobrowolna (zaprzysiężona) ugoda pomiędzy obieralnym królem a narodem.

**)) Nietykalność kościoła, (a więc i jego dostojników.)

jest równie święty jak gościnność. Toż jakkolwiek jestem szczęśliwym, iż mogłem waszmości przyjąć u siebie: wypada mi przecie oświadczyć panu starości, że nie możesz tutaj dłużej pozostawać. Dookoła nas panuje największe wzburzenie. Ludzie nie wiedzą, iż waszmość tutaj bawisz, znają zaś zasługi pana starosty, położone około sprawy królewskiego stronnictwa i zapal waszmości dla téj sprawy. Jak długo tutaj jesteś, nic się ci nie stanie, panie starosto, chyba by mój dom spalono. Wypada mi téż postarać się, iżbyś się waszmość stąd mógł pod zabezpieczającą osłoną oddalić.

— Uspokój się, panie jenerale, — powiedział starosta — nie lękam się nikogo i nie narazę pańskiego domu na niebezpieczeństwo.

— Zapobiegłem już temu: — odrzekł jenerał — jeden z mych ofycyalistów sprowadzi waszmości nocną porą i ubocznymi drogami w miejsce bezpieczne.

— Radziłbym panu starości, — zauważył bernardyn — iżbyś przywdział mój habit. *Sciendum*, *) iż każdy jest bezpieczny w téj kucie.

— Dziękuję jak najusilniej, — powiedział z uśmiechem starosta — lecz nie mogę przyjąć téj ofiary, gdyż nie zwykłem stroić się w cudze pióra.

W obec dalszej namowy oświadczyła kasztelanowa:

— To wszystko napróżno! Wszak i ja tutaj nie mogę dłużej pozostać, więc się wybiorę w drogę razem z panem starostą. Spuśćcie się waszmościo-

*) Należy wiedzieć.

wie na mnie: nic się wam nie stanie; a i dom wujaszka nie dozna nieprzyjemności. Wypraszam sobie atoli wszelkie dozorowanie, któreby się na nic nie przydało, a tylko budziło niepotrzebne podejrzenie. Jestem pewną, iż pan starosta nie odrzuci przebrania, jakie mu zalecę. Nadto pojedzie pod moją ochroną; toż Albańczycy prawdopodobnie nie zechcą wojować z niewiastami. Aby zapobiedz niepotrzebnym plotkom domowników, odjedzie stąd pan starosta sam jeden; za nim podążę ja w kilka godzin później, aby się z nim spotkać i omówić dalszą podróż.

— To co innego! — powiedział generał — Jużci żałuję, że tutaj nie ma Michała: lecz ktoś się mógł takich zająć spodziewać? No, ale to, co kiedykolwiek kasztelanowa przedsięwzięła, prowadziło zawsze do celu! Ufam jój: niechaj sobie postąpi według upodobania! Rozkazy do niój należą.

Starosta siedział w obec tej narady zamyślony i dawał swém milczeniem do poznania, że się na wszystko zgadzał. A Zofia? Wypadało być rzeczywiście *ciemnym*, jakimi byli generał i księża, aby można było nie wyczytać z jój oblicza, co się działo w jój duszy. Kasztelanowa zaś rozważyła była już zgóry tak dobrze swój plan, iż teraz przystępowała do jego urzeczywistnienia z oględnością niewiasty, doświadczonój w wszelkiego rodzaju intrygach. Tym razem była dla niój sprawa o tyle łatwiejszą, iż ją w niój wspierali zaufaniem i posłuszeństwem wszyscy interesowani. Według jój rozporządzenia przygotowano po niej jakim czasie ekwipaż starosty do wyjazdu. Starosta pożegnał się z wszystkimi, wsiadł

do powozu i zajechał pod pozorem, iż się chciał chwilę zatrzymać przed altaną, w istocie zaś przemknął się przez nią i tylne zabudowania, ku owej części domu, gdzie mieszkały niewiasty. Toż kiedy we dworze i we wsi sądzono, że starosta już daleko odjechał, wyczekiwał on w komnacie niewieściej chwili, w którém miał pożegnać po raz ostatni osobę najdroższą.

Kto nie zna potęgi miłości, ten nie zdoła zrozumieć położenia starosty. Miał on tę wspólność z mężami, którzy wielkich i znakomitych dokonali czynów na korzyść ludzkości, lecz w podobnych chwilach dozwolili się całkowicie swęj namiętności opanować. Przywykły kiedyindziej do zupełnego owładnięcia wszelkiej sytuacji: czyto w salonie, czyto na podobowisku był on obecnie obrazem woli pozbawionego narzędzia w ręku niewiast. Stósunki, jakie się z jego osobą kojarzyły, nie istniały ponieważ dla niego w bieżącej chwili: nie widział, nie słyszał i nie myślał o niczém więcej jak tylko o Zofii. Za ledwo wiedział: co się z nim działo, i co przedsiębrał. Jużto się przechadzał zamyślony po pokoju, jużto zatrzymywał przed jakim przedmiotem, tyczącym się niewieściej gospodarki i rozważał; przypatrując się mu raz łyzyronił, albo się uśmiechał, gdy widocznie nadzieja wstępowała do jego duszy.

Około godziny dziesiątej weszła do pokoju kasztelanowa z Zofią i ciotką łowczanką i rzekła:

— Przyznaj pan starosta, iż ze mnie dzielna aranżerka: zapowiedziałam mój wyjazd na jutro o świcie, a nawet przyobiecałam ojcu Kleofasowi wysłuchać rannęj mszy, a oto tymczasem wszystko

przygotowane tak, iż odjedziemy jeszcze przed nadjeściem północy. Czekaj na nas powóz przed altaną, przez którą się waszmość tutaj dostałeś. Pozwólcież mi jeszcze odprowadzić ciotkę na spoczynek; powrócę za chwilę, aby usłyszeć, cobyście razem z sobą umówili.

Ciotka łowczanka pożegnała się i odeszła z kasztelanową; pozostała Zofia sama sama ze starostą.

— Zofio! — przemówił starosta — w chwili rozstawania się nie miałabyś mi pani nic więcej do objawienia?

— Nic, — odrzekła smętnie generałówna — chyba, że mam powiedzieć: jak wielce jestem niešťczęśliwą. Cóż mógłabym biedna więcej wyjawić? Przyjmij waszmość na pamiątkę — dodała, wręczając staroście swój misternie wykonany portrecik — ot, ten tutaj mały wizerunek, a w odpowiedzi na odwrotnęj stronie wypisane słowa poetki:

Kiedy nadzieja pieśń cudną mi nuci,
Nic we mnie nie brzmi jęj radosnym tonem.
Cóż mi: gdzie drogę moję los obróci,
Skoro mi *kochać Ciebie jest wzbronionem?*

Kiedy pięknością wiosną się uśmiecha
I — czarodziejka wstrząsnąć chce mém łonem,
Jęj urok w duszy méj nie budzi echa...
Nie: *bo mi kochać Ciebie jest wzbronionem!*

Płomień miłości nie dla mnie — na wieki
Z całym swém szczęściem ubłogosławioném!
Lśni on w Twych oczach... Przymknij więc powieki!
Och, *bo mi kochać Ciebie jest wzbronionem!*

— Więc pani nie masz dla mnie — zapytał starosta — i słowa pociechy?

— Proszę waszmości: zapomnij o mnie! — odpowiedziała z boleścią generałówna.

— Zapomnieć o pani: znaczyłoby zapomnieć o wszystkiém, co ma wartość dla mego życia. Dlatego zaklinam panią: zlituj się nade mną i pozostaw przynajmniej tę nadzieję, iż połączenie się pani z Michałem nie jest rzeczą — zupełnie pewną.

— Pójdź waszmość za moim przykładem: uczyni i pan starosta ofiarę z swój miłości dla zadosyćuczynienia obowiązkom! Nie sądz waszmość, że w tém wielka zasługa, gdy się kto wyrzeka nawet szczęścia całego doczesnego życia w celu zdobycia sobie spokoju sumienia! Oto myśl, która się we mnie jakby oświecenie obudziła po długotrwałych walkach serdecznych, wśród we łzach spędzonych nocy.

— A więc pani chciałaś zostać żoną Michała i możesz mi to mówić?

— Ponieważ mogę i chcę uczynić wprawdzie z siebie ofiarę, ale nigdy sprzeciwić się woli ojca, ani złamać dane słowo, lub obciążyć się przekleństwem bliźniego.

— Nie Zofio! powiedz mi pani, że chcesz zostać moją, nie zaś dobrowolnie uchylić się ode mnie: a ja króla, prawo, przemoc — wszystko poruszę, aby sobie panią pozyskać, bylebyś mi dzisiaj nie odebrała wszelką nadzieję.

— A jakążto nadzieję mam waszmości uczynić?

— Posłuchaj Zofio! Jeśli mi pani przyobiecasz, iż będziemy żyli jedno dla drugiego, natenczas ręczę pani, iż się nasze życzenia spełnią. Wszystko,

co się pani obecnie wydaje być naruszeniem powinności, obróci się ku naszemu dobru. Mój brat nietylko mi przebaczy, ale mię jak dawniej przygarnie do serca, a ojciec pani nietylko zwolni cię od danego mu słowa, ale także nie odmówi swego błogosławieństwa.

— A jakże waszmość to sprawisz?

— Ze wszelkich środków, jakimi mogę rozporządzać, wymienię tylko jeden: ja panią uprowadzę.

— O, mój drogi panie, wiem o jednej rzeczy, której waszmość przez to nie osiągniesz. Chociażbym się na to zgodziła: waszmość przestałbyś mię szacować i miłować. Dlatego proszę: weź mię waszmość w opiekę wobec mego własnego uczucia! Toż gdybym chciała z waszmością uciec, powstrzymaj mię od tego kroku, gdyż tém zachowasz mój honor niewieści!

— A więc usłysz Zofio! moję przysięgę, której już nic nie zdoła zmienić. Na mój honor: tylko na mym trupie będziecie sobie mogli z Michałem podać ręce...

— W jakże okropnym błędniku przeciwieństw znajdujemy się biédni! Czyliż wobec tego honoru nie jestem pańską siostrą, a waszmość zarazem zdrajcą swego brata? Czyż chcesz mię mieć jeszcze współniczką swego przewinienia?

— Zofio! chociaż sama wdrążasz sztylet w me serce, zmuszasz mnie do mowy wśród mąk piekielnych. A czyż ta przysięga, którą pani złożysz jemu, nie będzie także zdradą?

— Nie, nie będzie nią, gdyż ja nie mogę działać nad me siły, ale tylko być posłuszną powin-

ności. Skoro tylko przyrzeknę Michałowi u ołtarza wierność, odsłonię mu natychmiast tajniki méj duszy, aby we mnie nie dopatrzył się żadnej skrytości, żadnego fałszu. Jemu poruczę mój honor, moje wybawienie i wynagrodzę mu dozorowanie mi méj słabości nieograniczoném poświęceniem. Zmuszę go do żywienia względem mnie szacunku; toż jeśli ta walka wyczerpie przed czasem me siły, gdy mi nawet zginąć w niej wypadnie: umrę przynajmniej z poczuciem własnej godności.

— A to prawdziwie piękny pomysł! — zawołała kasztelanowa, wchodząca do pokoju — Słyszałam wszystko i powiadam ci, kochana Zofio, iż się mi wydajesz być nieznośną z swemi romantycznymi poglądami! Kochasz Ludwika, a przecież chcesz zostać żoną Michała — i to dlaczego? Ponieważ mu Ciebie twój ojciec przyobiecał! Czyż nawet sam ks. Prosper — ten rygorysta nie powiedział, że wola rodziców bynajmniej nie zobowiązuje dzieci? A ta spowiedź, jaką zamyślasz zaszczycić Michała po ślubie — to także pomysł bardzo piękny, ale zarazem największe w świecie głupstwo! Czy może sądzisz, że on nie jest o tém przeświadczony, iż go miłujesz nad wszystko? I czy wiesz, jakieby następstwa wypłyęły z tego rodzaju wyjawienia? A gdybyż się skończyło na zniweczeniu szczęcia obojga braci i was wszystkich? A zresztą ja ciebie nie rozumiem: mówisz o honorze i powinności, a chcesz w obliczu Boga poprzysiądz do zgonną miłość człowiekowi, względem którego uczuwasz w duszy wstręt niepokonany! Nie pojmuję i tego: jak możesz przenieść na sercu odjęcie wszel-

kiej nadziei temu, którego kochasz, i który ci okazał swe przywiązanie tak jawnie i wymownie!

— A więc cóż mam począć? — rzekła Zofia, która słysząc uwagi kasztelanowej osunęła się na krzesło — bezsilna i na duchu złamana.

— Powiedz tylko staroście, — odrzekła kasztelanowa — iż go nie pozbawiasz wszelkiej nadziei, a resztę powierz memu staraniu.

— Ach! do czegoż chcecie mię nakłonić? Nie wyglądaż to: jak gdyby się wszyscy przeciw mnie spiknęli?

— Zofio! — powiedział starosta — czy pani sądzisz, iżbym mógł się stąd oddalić bez iskry nadziei? Albo czy mam dobrowolnie położyć koniec życiu, które mi Bóg dobrotliwy ocalił z rąk zemsty i nienawiści?

— Czyż nie upatrujesz tutaj skinienia Opatrzności? — zapytała kasztelanowa — Nie jest że mroźną obojętnością i okrucieństwem sposób twego wzajemniania się za tak szlachetne poświęcenie?

— Czegoż żądacie ode mnie? — powiedziała Zofia.

Starosta przypadł jęj do nóg; i spotkały się *płonące* spojrzenia obojgu. Prawie nieprzytomna Zofia skłoniła się ku niemu; ich serca zespoliły się w płomiennęj miłości równie jak usta — a dusze poślubiły na wieki...

Wtém otwarły się drzwi, w których stanął wojski. Starosta powstał — zdziwiony i zmieszany; Zofia wydała z siebie stłumiony okrzyk; zdawało się, jak gdyby była chciała przemówić, ale jęj zamarły słowa

na drżących ustach. Tylko kasztelanowa nie utraciła przytomności i rzekła:

— A jakiej zeto okoliczności mamy przypisać odwiedziny pana wojskiego o tak późnej porze?

Wojski przeszył ją tak wzgardliwym wzrokiem, że go znieść nie mogła i spuściła oczy. Po chwili przerwał wojski milczenie i rzekł:

— Przybyłem niespodzianie panie starosto!

Starosta nie śmiał odpowiadać. Wyreńczyła go Zofia, mówiąc:

— Posłuchaj nas Michale!

Milcz — ofuknął ją wojski — wyrodna córko najcnotliwszego starca! Nic nas już więcej oboje nie łączy; nie mamy też nic z sobą do mówienia. Ale ten człowiek, który narusza najświętsze obowiązki i moje zaufanie nagradza najsmrotniejszą zdradą, który mi wydarł to, co najdroższe jak podstępny rabuś...

— Bracie! — przerwał mu starosta — czuję wielkość méj winy w obec ciebie, a przecież żądam od ciebie sprawiedliwości.

— Nie jesteś już moim bratem; zerwane są wszystkie węzły pomiędzy nami, wszystkie węzły, które łączyły mnie i tę tutaj nieszczęśliwą ofiarę, na zawsze. Chciałem się przekonać o tém, czemubym nigdy nie był uwierzył. Widziałem aż nadto! Zasłużyliście na to, aby na was spadła moja zemsta i zasłużona kara. Atoli nie chcę uprzedzać sprawiedliwości bożej: dosięgnie ona was oboje w porę.

Po tych słowach oddalił się wojski.

Pozostali w pokoju nie mogli w ciągu dłuższego czasu ochłonąć z przestachu. Zofia odzyskała piérw-

sza mowę; wśród łez zaklinała starostę, iżby był bezzwłocznie opuścić Niewodowo i własną ucieczką zapobiegł dalszemu nieszczęściu.

— Ja miałbym uciekać? — odrzekł starosta — Miałbym panią narażać na zemstę jej ojca i prześladowanie mego brata? Ani myślę o tém; nadeszła wreszcie chwila stanowcza...

A więc proszę waszmości: — błagała Zofia — ocal się przynajmniej dla mnie!

— Nie, Zofio! rzeczy zaszły za daleko. I dla pani pozostają jeszcze tylko dwie drogi: albo uciekać ze mną, albo doczekać się mego zgonu tutaj. Wiém, co mnie czeka, i nie myślę uchodzić.

— Ach, Ludwiku: to okropne!

— Właśnie dlatego przysięgam pani na mój honor, iż od tej chwili ani kroku nie odstąpię od boku pani.

Kasztelanowa, która dotychczas milczała, zwróciła się teraz do Zofii i rzekła:

— Ludwik ma słuszność: to jest jedyne wyjście. Nie pozostaje ci nic innego: jak tylko uciekać. Jeśliby Ludwik tutaj pozostał: nie wypuszczą go z rąk swoich żywcem. Dlatego nie traćmy i chwili, ale spieszymy: mój powóz czeka u ogrodowej furty!

Nie pozwalając zakłopotanym dłuższego czasu do rozwagi osłoniła kasztelanowa Zofię swém podrózném futrem, ujęła ją pod ramię, a starosta uczynił to samo z przeciwnéj strony; i tak wyprowadzili ją oboje — drżącą, nieprzytomną, raczej martwą, niż żywą ogrodem do powozu kasztelanowej. W pół godziny później znajdowali się już wszyscy na gościńcu, wiodącym do *Kojdanowa*. Zofia jeszcze te-

raz nie odzyskała przytomności: wszelkie przedstawiania, wszelkie pociechy okazały się bezskutecznymi. Gdy się starosta z kasztelanową naradzali nad środkami do uspokojenia biednego dziewczęcia, usłyszeli rżenie koni i krzyki; a po chwili otoczyła ich gromada zbrojnych ludzi. Na rozkaz ich przewodcy zatrzymał woźnica powóz. Kasztelanowa poznała głos Wazgirda, toż nie tracąc przytomności ducha odsunęła okno powozu, zakryła naprędce swą towarzyszkę i wychyliwszy się z powozu rzekła:

— Aj, kochany kuzynie, cóżto za niespodziane spotkanie! I cóż cię prowadzi tym gościńcem?

— Dowiesz się o tém zaraz pani kasztelanowa, gdyż i z jójmością mam słówko do pomówienia. Nie ukrywaj swych towarzyszy podróży, gdyż wiemy o wszystkiém! Proszę tylko wysiąść, panie starosto i panno narzeczona! Ucieszy się wielce pan generał, gdy się dowie; w jakimto towarzystwie jego córa puszcza się w podróż. Na szczęście udaremniłiśmy wycieczkę.

— Jakto: — zawołała kasztelanowa — mieli byście waszmościowie napadać na bezbronne niewiasty?

— Ależ nie, moja zacna pani, nie ma tutaj mowy o napadzie, w najgorszym razie hyba — o wychłostanie różgą, którego jójmości nie odmówię. Potem dozwolimy jójmości pozostać bez dalszego natręctwa w karęcie; poprosimy tylko o same konie, których użyjemy do czegoś lepszego aniżeli do uwożenia dziewcząt. Poproszę téż i pana starostę grzecznie, aby się z nami pofatygował.

Potem zwrócił się Wazgird do swoich ludzi i zawołał:

— Naprzód: wyprzęgać konie!

Rozkaz spełniono bez natrafienia na opór.

— Panie starosto! — mówił dalej Wazgird — proszę wysiąść natychmiast, albo każę waszmości przemocą wysadzić!

— Ależ waszmość — odrzekł starosta — napaadasz ludzi bezbronnych na otwartą drogę. Gratuluję téj szlacheckiej rozrywce!

— Waszmość zaś i ktoś jeszcze więcej umiędzie większych panów aniżeli my obydwaj chwytać w ich własnym domu; pan starosta zaś szczerogółowo wykradasz nawet panienkę z rodzicielskiego domu w nagrodę doznawanej gościnności! Skwitowaliśmy się podobnoś tym sposobem. Najpiérw przypatrzysz się waszmość: jak ukarżemy panią kasztelanowę za wykonywanie niecnego rzemiosła, a potem się dowiesz: jaki los spotka waszmości.

— Hej naprzód, Kuba, Gerwazy: — zawołał na swe sługi — wyciągnąć mi z karéty wszystko, co w niéj żywego napotkacie!

Wezwani pozeskakiwali z koni i zabierali się już do wypróźniania przemocą powozu, gdy się Skołuba zbliżył do swego pana i rzekł do niego:

— Spójrzyj-no waszmość tam w prawo: jakito tłum wojska ku nam`kłusuje!

— Do stu dyabłów: — zawołał Wazgird — hej bracia — na konie, do broni!

— Co się téż waszmości przywiduje: — powiedział Skołuba — nas jest piętnastu; a stamtąd

nadciąga przynajmniej szwadron. Ot, uciekajmy: póki na nas skóra cała!

— Masz słusność kochany Skołuba! W lewo zwrot, marsz! Ponieważ zaś tego nikczemnika nie mogę z sobą żywcem zabrać, zdruzgotam mu przynajmniej kulą czerep.

Mówiąc to wy dobył Wazgird pistolet i wymierzył go w okno powozu, u którego siedział starosta.

— Zaledwo atoli jego słowa usłyszała Zofia, rzuciła się na starostę i zakryła go jakby tarczą własnym ciałem, wyciągając błagalnie ramiona ku Wazgirdowi. Nawet usiłowania samego starosty, aby ją odsunąć, na nic się nie przydały. Kasztelanowa krzyczała w niebogłoso.

— Zofio! — zawołał Wazgird — odsuń się mi natychmiast, inaczej zastrzelę was oboje. Ha, to szatan — nie dziewczyna!

— Na miłość boską: — powiedział Skołuba — przecież waszmość nie ściągniesz rękę na Zofią. Niechaj raczej wszystko troje czart porwie!

— Masz słusność, kochany Skołuba! A więc do widzenia, panie starosto! Szkodabo prochu dla takiego nikczemnika; wisieć mu na szubienicy!

Wyrzekłszy te słowa znikł Wazgird niezwłocznie wraz z towarzyszami w pobliskim lesie.



IV. Dalsze koleje konfederacyi.



Wielka konfederacyi barskiej z królewskim stronnictwem trwała już trzy lata. Jakkolwiek dokonano znakomitych czynów odwagi i poświęcenia, nie udało się konfederacyą rozpostrzeć na cały kraj; obejmowała ona raczej mniej-więcej tylko niektóre województwa Mało-Polski. W ciągu dłuższego czasu nie brała w niej żadnego udziału Litwa, siedziba największych sił Rzeczypospolitej, aż wreszcie i wielki hetman litewski Ogiński podniósł sztandar opozycyi. Swém przyłączeniem się poparł on wielce już dlatego konfederacyą, ponieważ nietylko posiadał znaczne środki, ale także będąc hetmanem reprezentował prawną i niezaprzeczoną władzę. Ta okoliczność miała wielkie znaczenie, ponieważ Litwa przywykła była zdawien dawna do przywiązywania największej wagi do form legalnych.

Kiedy zatem wystąpił Ogiński i wydał odezwę do litewskiego rycerstwa, tyczącą się pospolitego ruszenia, znalazł się w krótkim czasie pod *Stołowicami* na czele kilkutyśiącznego zastępu szlachty.

Wielu po Mało-Polsce rozpryszonych Litwinów zgromadziło się około jego sztandaru. Toż gdyby miał być tylko kilka tygodni wolnego czasu, byłoby się niezawodnie pod jego buławą utworzyło liczne wojsko. Niestety! hetman nie był uzdolnionym do kierowania przedsięwzięciem o wielkich rozmiarach. Był to mąż — umysłowo hojnie uposażony, wykształcony, któremu nie brakło i odwagi, lecz nie posiadał głębszej intuicji i genialnego pojęcia, któremi się powinien odznaczać wódz. Nadto otaczali go pochlebcy, pasożyty i ludzie miernych zdolności. Pokładał też Ogiński tyle zaufania w własnych siłach, iż był pewny zwycięstwa, chociaż nie użył środków do zabezpieczenia sobie sukcesu. Nawet mniej uzdolniony przeciwnik mógł go być bez trudności pokonać. On przecież miał do czynienia z największymi bohaterami swego czasu.

Suwarow, dowódca królewskich wojsk posiłkowych stał wówczas właśnie w *Lublinie*, mając stamtąd ruszyć ku *Podgórz* i zadać śmiertelny cios konfederacyi. Kiedy się niespodzianie dowiedział o powstaniu na Litwie, zmienił natychmiast plan wyprawy i pomaszerował z Lublina na Litwę. Wykonał zaś ten obrót z właściwym sobie pospiechem i energią tak, iż w czterdziestu ośmiu godzinach znajdował się już w pobliżu *Stołowic*. Jakkolwiek siłą liczebną nie sprostał Ogińskiemu, przekonał się przecie natychmiast, iż jego przeciwnik zaniedbał

nawet najpotrzebniejszych środków ostrożności. Nie tracąc więc ani chwili czasu i nie pozwalając swym znużonym żołnierzom wypocząć odważył się napaść około północy na obóz konfederatów; prawie bez rozlewu krwi rozprószył całą armią, której część pojął w niewolę. Sam hetman zawdzięczał swe ocalenie poświęceniu się Michała Strawińskiego, który mu oddał swego wiérzchowca i cenną szablę, sam zaś bezbronny, uciekając dostał się w ręce nieprzyjaciół.

Lupem zwycięzcy stały się: kasa wojenna, niezmierny tabor, bogaty sprzęt hetmana i otaczających go panów; toż konfederacja litewska, ledwo poczęta wskutek tego jednego zamachu upadła. Po tym szczęśliwie dokonanym orężnym czynie nie omieszkął Suwarow obrócić go na swą korzyść. Zorganizował on stronnictwo królewskie, pozostawił kilkaset ludzi posiłkowych na Litwie i powrócił po trzechdniowym wypoczynku do Lublina, aby stąd zaczepić konfederatów, pozostających pod rozkazami *Puławskiego*, najdzielniejszego i jedyne go wodza, który umiał utrzymać karność pośród szlachty.

Na Litwie panowało od owój klęski tak wielkie zaniepokojenie, iż po krótkim czasie cała prowincya królowi się poddała. To tak dalece wzmocniło zaufanie zwycięzców, iż sobie nie zadawali trudu w przeprowadzeniu dalej ujętych konfederatów, ale owszem największą część pozostawiali własnemu ich losowi, a tylko zważali na najznakomitszych ich przewodników. Do nich należał także wojski, którego wraz z innymi jeńcami eskortowało dwudziestu kilku królewskich kozaków. Z całej armii udało się jedynie

jenerałowi *Bielakowi* ująć z swym oddziałem z ogólnej porażki. W poczcie jego ludzi znajdowali się także Jan Wazgird i jego sługa Skołuba. Zaledwo się pierwszy z nich przekonał, że brakło wojskiego, nakazał natychmiast swemu słudze powrócić i nie pokazywać się mu piérwój na oczy, ażby był odszukał jego wiernego przyjaciela i towarzysza broni. Ponieważ po oddaleniu się Suwarowa królewscy nie myśleli o ściganiu przeciwnika, mógł Skołuba bez trudności wykonać rozkaz swego pana. Udał się on do dworu swego pana, zabrał wszelkie wartościowe rzeczy i ukrył je w miejscu bezpiecznym; następnie wzięwszy żywność na lekki wózek zaprzęgnął do niego swego konia i pojechał w kierunku mniemanej transportacji jeńców.

Nie potrwało długo, a spotkał się z konfederatami, którzy rozprószeni, lub ocaleni z niewoli spieczyli ubocznymi drogami do kryjówek, lub miejsc rodzinnych. Jednym z nich był Buńczukiewicz, młodszy, znany nam z pożycia w niewodowskim dworze. Od niego otrzymał Skołuba piérwsze wiadomości o wojskim — i to nie o samém miejscu jego pobytu, tylko: że prawdopodobnie jeszcze żył i uważany za znakomitego jeńca znajdował się pod surowym dozorem. W ciągu wyprawy był Buńczukiewicz zawsze w pobliżu niego i opowiadał wielokrotnie z zamiłowaniem: jak często wojski, pogardzając śmiercią wszędzie się walecznością odznaczał, a nawet narażał na największe niebezpieczeństwa, chcąc prawdopodobnie zginąć! Buńczukiewicz słyszał kilka razy od niego samego, iż go wprawdzie przeniewierstwo narzeczonej i zdrada brata ogromnie przygnębiły,

ale do rozpacz przywiodła go śmierć jenerała, który ze smutku i zgryzoty w krótkim czasie po uprowadzeniu córki przez starostę zakończył życie. Powiedział téż Buńczukiewicz Skołubie, iż starosta i jego połowica po śmierci jenerała wysłali byli z Warszawy pełnomocnika do posiadłości nieboszczyka w celu uregulowania spadku. Całe gospodarstwo poszło na marne. Nawet ojciec Buńczukiewicza nie chciał już dłużej służyć „wyrodnój“ córce i jój mężowi; ojciec Kleofas opuścił swą oficynę w niewodowskim dworze i udał się do klasztoru w Mińsku. Nawet ks. Nowochacki wyrzekł się swój ulubionój rozrywki.

Skołubie udało się bez trudności pozyskać sobie Buńczukiewicza dla swój sprawy. W ciągu kilku dni zasięgali jeszcze obydwa wiadomości, wkońcu powiedziano im, iż wojskiego transportowano pod nadzorem kozaków, a konwój miał zanocować w *Bortnicy*. Ta posiadłość należała do księcia-biskupa Masalskiego i pozostawała pod zarządem oficjalisty *Oskierki*.

Skołuba rozważył w duchu, że straż w posiadłości zwolennika królewskiego nie miała być tak oględną i niedowierzającą jak gdzieindziej, i zastosował zaraz swój plan do tego przekonania. Wystarał się o beczkę miodu, umieścił ją na swym wózku i podążył na nim z towarzyszem do Bortnicy pod pozorem chęci przenocowania w niój tylko, aby nazajutrz puścić się w dalszą drogę. Nie omieszkał téż zwrócić uwagę straży na swój wózek. Jakkolwiek jego pomysł był zupełnie zwykły, udał się — może właśnie dlatego tém łatwiej. Odebrano bowiem Buńczukiewiczowi, jużto ujmując go sobie obie-

tnicami, już przemocą owę beczkę miodu; a sam zarządca poczynił natychmiast wszelkie dalsze przygotowania do całkowitej uczy. Podczas gdy Skołuba udawał, że mimo spóźnionej pory musiał ruszyć w dalszą drogę, czyhał tylko na pomyslną sposobność, oraz na skutki oszałamiającego napoju. Nie zawiodł się i w tym względzie, albowiem się mu udało uwolnić jeńców w czasie pożaru, wznieconego z polecenia Buńczukiewicza — pośród zamieszania i ciemności.

Uwolnieni zabrali broń swych dozorców i na podwórzu znajdujące się konie i podążyli lasami ku *Korelicom*. Dziedzic tego majątku był tajnym stronikiem księcia-wojewody i udzielił im wszelkiej pomocy, jakiej potrzebowali w swém położeniu. Dla wspólnego bezpieczeństwa postanowiono zabawić w tej miejscowości tylko krótki czas, a potem się rozejść w różne strony, dokąd każdego wiodły ułożony plan i wola. Wojski, przewidując, iż z tej wyprawy nie miał wyjść żywcem, uczynił w Korelicach testament; toż i w tej sprawie nie zaparł się swego szlachetnego i sprawiedliwego usposobienia. Swój majątek, pochodzący ze spadku po ojcu przekazał bratu z wyraźnym oświadczeniem, iż mu wszystko, czegokolwiek z jego przyczyny doświadczył i co przecierpiał, z serca przebaczał. Resztę zaś majątku, nabytego własną pilnością rozdzielił pomiędzy swych przyjaciół i służbę, obdarzył mianowicie znacznym legatem Jana Wazgirda i zapisał znaczne kwoty OO. Dominikanom i Bernardynom w Słoniemiu. Rozporządziwszy swym nieruchomym majątkiem podniósł z depozytu kilka tysięcy gotówki,

wymienił je na złoto, postarał się o konia i wózek i wybrał potem ze Skołąbą i Buńczukiewiczem w drogę do Warszawy. Przywdział zaś odzież szlachcica, wywożącego na targ osobiście płody swęj posiadłości. Aby zaś tém mniej ściągnąć na siebie uwagę, odkupił na kilka mil przed Warszawą od podlaskiego szlachcica słońcę, którą on wioził do stolicy, i stanął z towarem następnego dnia na przedmieściu Pradze. Tutaj zajechał do żydowskiej karczmy. Gdy już umieszczono konia i wózek, a Skołuba podjął się sprzedaży słońiny, udał się wojski w swęj szaraczkowęj odzieży pieszo prazkim mostem do stolicy, gdzie będąc pacholęciem spędził był dwa lata w szkołach. Chociażby go odzież nie była zabezpieczała od poznania: tak się w ostatnich czasach zestarzał i prawie posiwiiał, iżby go teraz nie był poznał nawet najpoufalszy z dawniejszych przyjaciół.

Kiedy przechodził mimo kościoła *św. Krzyża*, zauważył przed nim kilkoro pańskich powozów. Wstąpił do kościoła i będąc ubogo ubranym stanął pośród biędnego ludu, który się na klęczkach modlił przed wielkim ołtarzem. Jakżeż się jego modlitwa różniła od wszystkich innych, wymawianych dokoła niego w duchu, albo półgłosem. Rozpamiętywał on wielką tajemnicę naszego odkupienia i porównywał własne cierpienia z męką Boga-człowieka... Ożywiały go przy tém ów pokój i uszczęśliwienie, które są najwyższą nagrodą niepokalanego życia, dla której wyłącznie warto wyrzćć się świata i jego przyjemności, gdyż one zamiast obdarzenia człowieka pokojem, gotują mu żal i zmartwienie.

Jakiś szelest obudził nagle uwagę wojskiego. Przez tłum ludzi przeciskali się dwaj bogato ubrani lokaje. Jeden z nich niósł mały kobierzec, drugi stołek składany. Przybywszy przed ołtarz rozpostarli kobierzec i ustawili na nim stołek. Wojski poznał na służce liberyą Strawińskich i herb swój rodziny. Serce zaczęło mu bić gwałtownie, gdy ujrzał Zofią, zbliżającą się do stołka. Wiódł ją pod ramię jegomość, który widocznie należał do dworu.

Był jeszcze młody; a przecież zdobyła mu pierś gwiazda *Orla białego*. Spoglądał on dumnie na zgromadzony lud, który mu z pewnym uszanowaniem ustępował z drogi. Za nim szedł paź, lśniący złotem i szkarłatem i niósł książkę do nabożeństwa swjej pani.

Zofia podziękowała paziowi za trud lekkim skinieniem głowy, a swemu towarzyszowi uroczym uśmiechem, uklękła przed wielkim ołtarzem, wzniosła swe piękne modre oczy ku niebu, siadła potem na stołek i zaczęła odmawiać modlitwę z książki, którą jej był paź podał.

Ów jegomość przeżegnał się trzy razy, stanął kilka kroków poza Zofią i rozglądał się przez lornetkę po całym kościele.

Po chwili wszedł do kościoła drugi młody, również orderem przyozdobiony jegomość, który go powitał głębokim ukłonem, pomówił z nim kilka słów, a potem podał mu ramię — i udali się obaj poza konfesyonał, gdzie szepcąc prowadzili rozmowę, przerywaną niekiedy stłumionym śmiechem.

Zofia modliła się serdecznie; a wojski zauważył, iż po jej licu spłynęła łza. Jakkolwiek go bolał ten widok, nie ruszył się z miejsca, jak gdyby go były pokonały uczucia i myśli, które go nawałem ogarniały. Przed jego duszą pojawiły się w żywych barwach owe dni, w których się spodziewał znaleźć szczęście w życiu u boku tej modlącej się Zofii; równocześnie nękała jego serce przejmująca boleść — wspomnienie utraty narzeczonej. Kiedy zauważył łzę w oku Zofii, zdawało się mu, że jak gdyby i ją były ożywiały te same myśli, jak gdyby sobie i ona była przypominała rodzicielski dom i owe godziny, kiedy jeszcze się nie stała przyczyną nieszczęścia drugiego człowieka. Już prawie nie mógł dłużej wojski wytrzymać w kościele. Modlił się też w duchu z ciężkim westchnieniem:

— Chociaż utraciłem cię Zofio! na wieki, niechaj cię Bóg weźmie w swą opiekę i nie spuszcza na ciebie karę za krzywdę, wyrządzoną mnie i cnotliwemu ojcu! Bądź szczęśliwą Zofio!

Potem wyszedł wojski spiesznie z kościoła, błąkał się bez celu po mieście, spoglądał obojętnie na rojący się ludźmi i służbę wielkich panów w zagranicznych liberyach. Tylko tu i ówdzie zauważał osoby w kontuszach — niby *gości w wynarodowionej stolicy*.

Przypatrywał się z pewnym rozrzewnieniem herbom, umieszczonym na przyczołach mnogich pałaców. Zatrzymał się wreszcie przed żelazną kratowaną furtą i poznał ponad nią połączone herby Strawińskich i Kunickich.

— Tutaj — mówił w duchu — jest mieszkanie mego brata i jego żony; gdybym do niego wstąpił, stwierdziłbym tém, iż przecie na niego się nie gniewam i zapomniałem o wyrządzonej mi przez niego krzywdzie. Możeby to było z méj strony prawdziwie chrześcijańskim czynem, a bratby mię życzliwie u siebie przyjął. A przecież nie mogę tego uczynić, gdyżby mu nastreczył powód do gniewu. Nie jest on człowiekiem — nie posiadającym wcale sumienia i może się czuje być o wiele nieszczęśliwszym ode mnie. Dlatego będzie stósowniejszą rzeczą, gdy się z nim już nie zobaczę.

Chodząc jeszcze jakiś czas po mieście zauważył w pobliżu kościoła OO. Kapucynów krocącego drogą szlachcica, którego chód i ruchy — jakkolwiek nie mógł dostrzedz jego twarzy — przypominały mu osobę, tak dalece znaną, iż uczuł w duszy pociąg do zbliżenia się ku niéj. Zaledwo to uczynił, ujął go nieznajomy pod rękę i szepnął mu do ucha:

— Nie prawdaż Michale! iż mnie teraz nie tak łatwo poznać?

Po serdeczném powitaniu postanowili obaj przyjaciele obiadować w mieszkaniu Wazgirda. Gdy sobie wzajemnie opowiedzieli swe przygody od zajścia w Stołowicach, oznajmił Wazgird wojskiemu, iż jeneralityca postanowiła zaprosić króla, iżby sam stanął na czele konfederacyi, a gdyby się nie stawił zagroziła mu zasadzeniem na utratę korony z powodu nie dotrzymania zobowiązań, o których świadczyły *pacta conventa*. Zawezwano piérwszorzędných prawników do zredagowania tego aktu i nie pominięto w nim niczego, coby mu mogło być zapewnić uzna-

nie i pochwałę wszystkich patryotów. Rozchodziło się jeszcze o doręczenie królowi tego wezwania.

Wybrał zatem naczelnik konfederacyi dziesięciu najśmielszych wiarusów i zapytał: czyby który z nich się odważył to wykonać.

Mimo niebezpieczeństwa zapoznania się bliżej z prawem *de laesa Majestate**) podjął się Wazgird doręczenia królowi tego zdradliwego dokumentu.

Podał też Wazgird to wezwanie wojskiemu, który przeczytawszy je z największą uwagą zgadzał się z jego treścią i chwalił wielce gruntowne i znakomite zredagowanie tego aktu.

Kiedy Wazgird następnie objawił wojskiemu, iż chcąc swe poświęcenie uczynić zupełnym przez spowiedź i napisanie testamentu formalnie na śmierć się przygotował, powiedział wojski:

— To wszystko bardzo dobre, mój kochany Janie, atoli w twój instrukcyi nie wspomniono o tém, iż przy wręczaniu aktu musisz mieć trzech świadków ze stanu szlacheckiego, gdyż przeciwnie mógłby ktoś później zarzucić mu nieważność.

— O, prawda! o tém wcale nie pomyślałem.

— A przecież to rzecz główna. Albowiem chociażby się ci udało wręczyć wezwanie królowi, któżby o tém złożył jeneralicyi wiarogodne sprawozdanie, gdyby cię przytrzymało?

— Prawdziwe to szczęście, żeśmy się obaj spotkali. Albowiem sam żywiłem w téj sprawie pewne wątpliwości, nie umiem się mianowicie zapewnić, że król osobiście ten akt odczyta.

*) O obrazie majestatu.

— Wiész Janie! ta sprawa właściwie mnie się najlepiej nadaje. Dajże mi to wezwanie, gdyż na to zezwalają niewątpliwe prawne przepisy, a ja się postaram o doręczenie aktu królowi. Mymi zaś świadkami będą: ty, Skołuba i Buńczukiewicz. Gdyby mię co ludzkiego spotkało, złożycie należyte sprawozdanie.

Gdy się Wazgird zgodził na propozycją, uskutecznił wojski trzy kopie aktu, oryginał zachował przy sobie i omówiwszy dalsze szczegóły odłożył wykonanie przedsięwzięcia na dzień następny.

Zanim się zaś przyjaciele rozstali, musiał Wazgird przyobiecać wojskiemu, iż miał doręczyć pierścień zaręczynowy pani starościnie i wyprosić u niej drugi, który jój był dał swego czasu wojski.

Wkońcu odprowadził Strawiński Wazgirda do pałacu swego brata.



V. Świat „wytworny“.



Obaj przyjaciele podążyli przedmieściem Krakowskim do *Ogrodu saskiego*. Tutaj zabawiały się pośród licznego pospólstwa także osoby stanu wyższego. Pośród nich zauważył wojski owego orderem *św. Stanisława* przyozdobionego jegomości, który zrana był wraz z panią starością wieluńską w kościele *św. Krzyża*. Siedział on teraz w ogrodzie na ławce z kilkoma panami wyższego towarzystwa. Mijając ich usłyszał wojski wymówione nazwisko *Strawiński*. Chcąc zaspokoić swą ciekawość stanął z towarzyszem w pobliżu ławki pośród gromady ludzi i słyszał następującą rozmowę:

— *Ma foi!* — rzekł jeden z młodych jegomościów — wypada przyznać, że *que pour un gentil-lâtre* pan starosta wieluński jest zanadto szczęśliwym. Wysłany niejako na wygnanie na Litwę pozyskał

tam sobie *une femme delicieuse*, która wszystkie piękności naszego dworu przywodzi do rozpacz. Żyją już oboje trzy lata w małżeństwie: *et chaque année lui ajoute de nouveaux charmes*, a przytem jest ona tak dalece zakochaną w swym mężu, iż w niwecz się obracają wszelkie pokuszenia naszych *petits maitres*.

— Ba! — odpowiedział towarzysz — cóż może znaczyć *chylenie* się przed tą kobietą, która nietylko królewskiego brata, ale i samego króla u swych nóg widzi? Nie prawdaż kolego?

— Król — odrzekł udekorowany — *est trop connaisseur du beau sexe*, iżby nie miał objawiać jój wdziękom hołd należyty; a przecież on jest względem niej tylko ugrzecznionym — więcej nic. Natomiast jego brat księżę-podkomorzy zakochał się w niej do szaleństwa i niepokoi mnie i moję żonę ustawicznie, ponieważ ona jest kuzyną starościny. Chce, abyśmy mu koniecznie dopomagali.

— *Il est même devenu bigot par amour!* — rzekł pierwszy z rozmawiających — I dzisiaj musiałem go odprowadzać do kościoła *św. Krzyża*. Czekał on u drzwi kościoła na naszą kuzynę, aby jój podać ramię. Musiałem się z nim przez dwie godziny bawić w pobożnisia. *Je n'en pouvais plus*.

— To widoczny cud! *J'admire monsieur le grand chambelan*, albowiem dotychczas nie widział go jeszcze nikt w kościele, a pamiętamy jeszcze wszyscy, jaką to burzę król na niego zesłał, gdy się nie pojawił zeszłego roku podczas konsekracji naszego *monseigneur de Plock*.

— A dlaczego? — rzekł podkomorzy — Usprawiedliwiał się tém w méj obecności przed królem, iż śpiew kościelny wywołuje u niego kurcze. Atoli nasz prawowierny pan tém się nie zadowolnił.

— *Mais c'est une conversion tout à fait édifiante!* — powiedział hrabia — Kuzyna waszmości, mój kochany podkomorzy, *est une thaumaturge*: no, ale temu się nie dziwić. Dla niej kładłbym się codziennie krzyżem przed wielkim ołtarzem *pourvu, qu'elle me récompense*.

— Ale co do nagrody: czy waszmość, kochany podkomorzy, sądzisz, iż się w domu Strawińskich skojarzy krew królewska ze szlachecką? Musisz waszmość o tém wiedzieć najlepiej, gdyż jesteś najlepiej wtajemniczonym u dworu, a przytem krewnym starościny.

— O, mój przezacny stolniku, wszak Saturn pochłania nawet własne dzieci: *pourquoi ne dévorait-il pas la résistance d'une femme vertueuse?* Czas pokonuje wszystko, ale w danym przypadku sprawa potrwa zapewne nieco dłużej, *car c'est une femme à grands principes*.

— Byle się umiał zabrać do rzeczy, — odrzekł hrabia — *car elle n'est nullement indifférente aux hommages*. W czasie karnawału tańczyłem z nią menueta na balu u méj ciotki księżny-majorowej. Cóżto był za entuzjizm, *car elle danse à ravir*, jakkolwiek nie była nigdy w Paryżu! Po ukończonym tańcu usiadłem obok niej *et je lui conté des fleurettes*. *Je ne suis pas fat*. Przy téj sposobności dostało się mi spojrzenie, któreby księżę-podkomorzy był chętnie drogo okupił.

— I dlaczegoż się nie pokusiłeś o dalsze względy? — zapytał stolnikiewicz.

— A czyżto ja może konfederat, iżbym miał stawać w drodze memu panu, albo jego bratu? Mnie się rozchodzi o to, abym kiedyś otrzymał starostwo, a nie, iżbym krzyżował plany mego pana — zwłaszcza, że król nie zważa na nazwiska historyczne. Uwzględnienia doznają tylko parweniusze; mnie zaś wypada służyć królowi, boć się mi tak powiodło w Paryżu, że *quand je songe à mes dettes, je frémis*.

— Ależ mówiono przecie powszechnie, — zauważył stolnikiewicz — iż starościna szanuje wielce swego męża, a on jest przecie *au fond* zazdrosny, chociaż posiada na tyle taktu, iż tego nie objawia. Przed dwoma blisko tygodniami miałem po spożytym obiedzie z panią starościna wieluńską *une conversation fort animée*. Utrzymywałem mianowicie, iż powinności oblubienicy są o wiele większe, aniżeli obowiązki żony. Wywiązała się dysputa: a waszmościowie wiecie, że ta kobieta *manie la langue avec autant de grace que les pieds*. Otóż rozmawialiśmy nieco oddaleni od towarzystwa, które też nas nie słyszało. *Eh bien: j'ai surpris des regards inquiets de la part de son mari*.

— Tak się ci tylko zdawało! — odpowiedział podkomorzy — Wdałbym się w zakład, iż starostę zatrudniają daleko więcej niebieska wstęga i krzesło senatorskie, aniżeli wszelkie usiłowania króla, jego brata i innych osób w pozyskiwaniu sobie względów jego żony. Jakżeż możesz tylko o tém pomyśleć, iżby mąż — tak rozsądny i wykształcony mógł się

troszczyć o wierność swój żony — jakby jaki mężulko-safandula z prowincyi!

— Mój najlepszy podkomorzy! wszak on ją sobie zdobył orężem: jak to nasi powinni uczynić z Częstochową. Toż mu młody nieokrzesany Litwak tak samo zapaścił kulę w słabiznę, jak Casanova naszemu Branickiemu. Kogo łup tak drogo kosztował: ten go sobie nie pozwoli tak łatwo wydrżać.

— Mój Boże: przecie kto na podwórzu ma studnię, nie wzbrania sąsiadowi z niej czerpać! To nie uszczupla ani własnego użytkowania, ani prawa własności.

— To znakomite! — zawołał hrabia — *Le bon sens du maraud m'épouvante quelque fois.*

— *Merci du compliment!* — odpowiedział podkomorzy — Ale *à propos* poezyi: mogłoby małżeństwo starosty posłużyć do opracowania romansu. Żona starosty była zaręczona z jego bratem; wprawdzie nie znam dokładniej tej sprawy, lecz mi żona o niej wiele opowiadała. Ten brat starosty ma być człowiekiem zagorzałym, przy tém prawnikiem, pijanicą i safandulą — słowem: jednym z ujadaczy księcia Radziwiłła „*Panie Kochanku!*“ I jakżeż można było zezwolić, iżby się ten nieokrzesany Albańczyk-hajdamaka miał stać wyłącznym posiadaczem *d'une céleste créature*; a waszmościowie niezawodnie wiecie, że starosta zakochał się w niej jak *Saint Preux* i doznawał równej wzajemnej miłości. Powodował się przecie pewnemi względami w obec brata tak, iż gdyby nie moja żona, byłby uczynił z siebie i swój ulubioną ofiarę i znikł z widnokregu. Atoli moja żona nie dopuściła tego

w imię cywilizacji — i onato uprowadziła potajemnie oboje zakochanych. Otóż widzicie waszmościowie, że tutaj mamy wszelkie ingrediencye do romansu: brat zastaje starostę u nóg swój narzeczonej, pojedynek, uprowadzenie, napad, ślub i błogosławieństwo księdza przy zagrożeniu jego życiu nabitemi pistoletami... *C'est sublime!* Namówię też koniecznie którego z kolegów Trembeckiego, aby z tego wątku wykonał poemat dla króla. Atoli w tego rodzaju poemacie, lub romansie sprawa kończy się zwykle pobraniem się zakochanych. Miłość w małżeństwie nie jest właściwie rzeczą — zajmującą: to też żaden autor nie poświęca jój trudu w swój pracy.

— Wolne żarty, mój dobry podkomorzy! — powiedział stolnikiewicz — Wyznaję całkiem otwarcie: gdybym pozyskał taką żonę, jaką jest staroscina wieluńska, i gdyby mię ona miłowała, przysięgam i ręczę słowem kawalerskiem, iżbym już nie spojrział na żadną niewiastę.

— Tak się ci tylko zdaje! — zauważył hrabia — I kuropatwami można się wkońcu nasycić. *Ce qu'on désire, vaut toujours mieux que ce que l'on possède.*

— Chciałbym cię też widzieć — mówił dalej podkomorzy — z twoją Penelopą w drugim, nie powiem już: w trzecim roku małżeńskiego pożycia. Taka miłość *ex officio* *) i miłość wzajemna w drodze urzędowej to — prawdziwa niedola! Przysłowia są filozofią narodów; a czyż nie głosi przysłowie jeszcze

*) Z obowiązku.

od czasów króla Salomona: „Wierna jak *Lukrecya* i nudna jak *Lukrecya!*“ *)

Tutaj wmieszał się w rozmowę jeden z młodych jegomościów, który dotychczas milczał, i rzekł:

— Jeśli tak, mój szanowny podkomorzy, naten-
czas waszmość zapewne nie nudziłeś się nigdy
z swoją godną małżonką.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a wraz z nimi
i podkomorzy, który powiedział:

— Patrzcież waszmościowie, co za epigramat
mój mało-mowny kolega wypalił! Ale mi ciężko za
to odpokutuje, gdyż powtórzę jego słowa méj żonie,
która mu za to wypowie wojnę; a waszmościowie
wiecie, że u niej pada strzał po strzale. Gdy zaś
nasz podkomorzy *Dumin* kiedy wystrzeli, pozwala
cały tydzień czekać, zanim znowu broń nabije. Tym
razem przecie się mu udało; tego nie można za-
przeczyć. Ale epigramat epigramatem! Mogę wasz-
mościom zaręczyć, iż nie istniało szczęśliwsze mał-
żeństwo od naszego: *rien ne nous manque, tout
nous sourit* i to dla tego, gdyż nas oboje łączy
prawdziwa i rozsądna przyjaźń. Ja jestem powier-
nikiem i doradcą méj żony, która w obec mnie nie
ma żadnych tajemnic. A co większa: nie miałem
jeszcze nigdy powodzenia u niewiast jak, odkąd
posiadam sam bogatą, rozsądną i piękną żonę;
c'est ma position sociale, która na siebie natychmiast
ściąga uwagę naszych kobiet. Was panów kawalerów
można zawsze dostać, dlatego też nie wzbudzacie
ciekawości, a kobiety nie dbają o was. Lecz skoro

*) Można by nawet wydrukować: *lukrecya*.

się ja gdzie pokażę, słyhać zaraz szepty: „A, to podkomorzy *Gintowt! Cela doit être un homme de grand mérite*, kiedy kasztelanowa liwońska, tak wprawna znawczyni dla niego opuściła męża, jego zaś przykuła do siebie sakramentem. Musi w tém być coś; wypada się z nim bliżej zapoznać.“ Tym sposobem nie mogę wcale wybrnąć z wiru radości.

— *En vérité*: — powiedział hrabia — *l'eau m'en vient à la bouche!* Podkomorzy sprowadził mię na ciasną ściężkę małżeństwa. Jeśli się trafi jaka bogata i piękna dziewczyna: *je suis capable de glisser sur la naissance*.

— Nawet nasz starosta zyskał nieskończenie wiele u naszych pań i to jedynie dlatego, iż w nim jego żona zakochana. *Toutes nos dames devant lui sont sous les armes*. Od czasu, kiedy przybył z swą żoną do Warszawy, nie masz niewiasty w naszych sferach, któraby nie przyjmowała chętnie jego umizgi. A jakież powodzenie miała jego żona, kiedy się pojawiła po raz pierwszy na balu u króla! Pani krajczyna dostała spazmów, a nawet sam król się tém obruszył; sądziliśmy, iż miało już być po starości. Atoli ileżto on tryumfów mógłby święcić, gdyby się z nim jego żona nie pieściła ustawicznie!

— On ją też za to miłuje serdecznie! — zauważył stolnikiewicz — Bywam u nich często na obiedzie i na wieczerzy. Żaden amant nie wypowiada ulubionej czulszych rzeczy jak on swéj żonie.

— Ależ ja go znam lepiej od was wszystkich waszmościów, — powiedział podkomorzy — gdyż z nim pracuję codziennie w gabinecie. Kocha on jużci swą żonę, ale jak? Nie sercem, ale z egoizmu.

Miłuje właściwie w żonie siebie samego. Delektuje się jej wdziękami, albowiem składany jej w hołdzie podziw pochlebia jego próżności. Gdyby ją świat przestał uwielbiać, zobojętniałby on dla niej natychmiast. On zresztą teraz nie jest już wcale zazdrośnym i nie przeszkadza ani królowi, ani księciu-podkomorzemu. A możeby nawet nie miał nic przeciw temu, gdyby go jeden, albo drugi, a może obaj razem zaciągnęli w poczet bractwa „*Rogatych*“ — a to dlatego, ponieważby wtedy z jednej strony cieszył się większą swobodą w obec krajczyny, a z drugiej tém łatwiej dostąpił godności senatora. Waszmościowie wiecie, że „*rogi*“ nie wzbraniają mieć głos i krzesło.

Towarzystwo wybuchło w obec tych słów rozlegającym się śmiechem.

Opodal stojący wojski naglił swego towarzysza do opuszczenia miejsca, mówiąc cichym głosem:

— Uchodźmy stąd: niepodobna mi przysłuchiwać się dłużej tej nieszczemnej i bezwstydnjej rozmowie!

Uszedłszy zaś kilka kroków dodał:

— Ot, to są ci młodzi panowie, którym nowy rząd pozwala stanowić o naszym losie! *To są potomkowie naszych dawnych bohaterów!*

— Wiész Michale! gdyby mnie rozkazy jenerality i względy w obec niej nie zmuszały były do ostrożności, byłbym był zapoznał tych jegomościów z przezwany od nich „nieokrzesanym młodym Litwakiem!“ Ale co się odwlecze, to nie uciecze! Gdy nastanie pokój z rząząpospolitą, zjawię się znowu tutaj i postaram o bliższe zapoznanie z tymi panami.

— I w tém towarzystwie może żyć moja bratowa?

— A czy nie słyzałeś, że każdy z tych jegościów pozostaje z nią w poufałych stósunkach? Jeden z nią tańczy, drugi obiada, a trzeci się zabawia. Podkomorzy zaś służy podobno bratu króla za faktora... Żywię nadzieję Michale! że zapomnisz niebawem o Zofii i pomyślisz o innéj, gdyż ci się nie nadaje stan kawalerski.

— Jestem mocno przeświadczony, że ona w duszy żywi pogardę i nienawiść względem tego całego tłumu nikczemników.

— Ja nie podzielam tego zdania; owszem wdałbym się w zakład, że moja siostra dzisiaj tak samo myśli jak oni.

— Nie daj to Boże, albowiem nawet w mowie okazuje swą cnotliwość! Toż i mój brat nie myślał mi ją wydrzeć. Przygotowała to wszystko i skłoniła go do tego kasztelanowa. Ale oto stanęliśmy właśnie pod pałacem Strawińskich: tam widać ich herb. Idźże i staraj się widzieć ze siostrą.

Wazgird podążył rozległym dziedzińcem ku głównemu wejściu, zapytał, czyby pani starościna była w domu, a kiedy mu to słuźący potwierdził, wszedł bez dalszych ceremonii do pałacu i minąwszy kilkoro pokoi stanął przed zamkniętymi od wnętrza drzwiami. Na jego kilkakrotne zapukanie wyszła dziewczyna i zapytała, czyje odwiedziny miałyby zapowiedzieć.

— Jestem litewski szlachcic; — oświadczył Wazgird — mam tylko kwadrans wolnego czasu, a chciałbym pomówić z panią starościna o ważnej sprawie.

Pokojówka oddaliła się; a po chwili pojawiła się starościna. Chociaż się Wazgird względem niej powodował uprzedzeniem: w jej całym układzie widać było taką serdeczność i pojednawcze usposobienie, iż uległ temu wpływowi i zapytał:

— Czy mnie jéjmość poznajesz?

Starościna poznała go po głosie i odpowiedziała:

— Ach, to ty jesteś kochany bracie! Jakżeż się czuję szczęśliwą, że cię mogę u siebie powitać! Spodziewam się, że pozostaniesz u nas: jak długo się ci w Warszawie będzie podobało.

Skłonił się Wazgird i odrzekł:

— A skąd-zeto mnie ubogiemu szlachcicowi mieszkać w tak wspaniałych pańskich komnatach?

— No, wszakże jesteś moim bratem i najlepszym przyjacielem?

— Ale nie starosty.

— Nie mów tego: on ciebie wielce szanuje!

— Ja zaś jestem przyjacielem Michała.

Starościna spuściła oczy i rozpamiętywała chwilę, potem spojrzała śmiało i szczerze w oczy Wazgirdowi i rzekła:

— Mój kochany bracie! dowiedziałam się, iż przystąpiłeś do konfederacyi barskiej. Jeśli może potrzebujesz w czémkolwiek méj pomocy, uczynię dla ciebie wszystko, co będę mogła.

— Prawda, iż jestem konfederatem barskim, a byłby nim prawdopodobnie i mój wuj, gdyby się Bogu nie było spodobało, powołać go do siebie. Gdyby mię tutaj poznano w stolicy, uwięzionoby

mię; a przecież ja się tutaj nie obawiam zdrady. Lecz nie przybyłem tutaj w chęci korzystania z dobroci pana starosty; inna jest moja sprawa.

Tutaj weszła do pokoju piastunka z dziećciem. Starościna wzięła je na ręce i zapytała Wazgirda:

— Jakże się ci podoba moja córeczka? — To twój wujaszek *Ludwiniu!* Podaj mu rączkę, iżby się nie gniewał na mamę, gdyż na to nie zasłużyła! Nie troszcz się o siebie Janie! Jesteś u nas jakby w własnym domu. Ta moja piastunka, przybyła niedawno ze Szwajcaryi i nie zna naszego języka. No, podajże mi rękę na znak, że się na mnie nie gniewasz!

— Prawdziwie: — odrzekł Wazgird — z temi kobietami możnaby rozum stracić! Jam żołniierz: a rozrzewniam się jak dziecko! Ot, wolę ci sestro! powiedzieć, z czém tutaj przybyłem, gdyż nie mam wiele wolnego czasu. Oto tu jest pierścień, który Michał był niegdyś otrzymał z obietnicą wieczystej przyjaźni i miłości. Polecił mi on zwrócić ci ten pierścień i oświadczyć, że ci wraz z nim to wszystko zwraca, co upatrywał przywiązaniem do niego. Przebaczył wam wszystko i życzy z serca wszelkiego powodzenia. Natomiast prosi także o zwrot pierścionka zaręczynowego.

Starościna przyjęła pierścień i oddawszy dziecko piastunce oddaliła się, a po chwili powróciła z pierścionkiem wojskiego.

— Oto jest pierścień, — powiedziała — który otrzymałam od Michała, a teraz mu zwracam. Bóg mi świadkiem, iżbym tego nigdy dobrowolnie nie

uczyniła! Wszystko, co zaszło, uważam za zrzą-
dzenie Opatrzności. Ale ja o tém nie mogę myśleć.
Powiedz mu tymczasem...

Tutaj strumień łez zalał jój lica. I Wazgirdowi
zaszły oczy łzami. W téj chwili otwarły się drzwi;
a do pokoju wszedł jegomość w wyszywanym stroju
z błękitną orderową wstęgą i rzekł kłaniając się
nisko:

— *Belle comtesse!* przychodzę z polecenia
męża jójmości z uwiadomieniem, iżbyś nie czekała
jego przybycia na obiad, albowiem go król zatrzyma
przez cały dzień u siebie. *Il dine avec le Roi en
tête à tête.* Polecił mi więc starosta, iżbym go za-
stąpił przy obiedzie. *Quoique premier sujet du
Roi:* spotyka mnie większy zaszczyt anizeli mał-
żonka jójmości. *Mais que vois-je; je romps un
tête à tête fort serieux.* Jójmość płaczesz; a i *ce
quidam* *) jest rozrzewniony i trzyma pierścionek
w ręku. Zdaje się to być sentymentalną tajemnicą!
Nie mogę ochłonać z podziwu.

— Dotychczas — odpowiedziała spokojnie sta-
rościna, ocierając sobie łzy z ocz — nie przyznałam
jeszcze nigdy waszj książęcj mości prawa do roz-
trząsania mych postępów, ani wchodzenia do mnie
bez zapowiedzi.

— Widzę, iż ten tutaj jegomość jest szczęśliw-
szym, gdy się jójmość czujesz obrażoną *comme une
coupable.*

*) Ktoś.

— Z mych postępków spowiadam się tylko Bogu i mężowi — zresztą nikomu więcej!

— *Quelle noble fierté madame!* Może mi to wyjaśni ten tutaj jegomość. Kto waszmość jesteś?

— Szlachcic, nie ustępujący rodem waszmości!
— odpowiedział Wazgird.

— A czy waszeć wiész: z kim mówisz?

— Cieszę się łaską i przyjaźnią takich osób, iż dla mnie to pytanie jest obojętném.

— No, czy waszeć znasz n. p. — odpowiedział ksiązę z niejakiém szyderstwem — panów, wyższych stanowiskiem anizeli brat króla?

— Mości ksiązę! żyjemy obecnie jeszcze w rzeczypospolitéj, w której równość szlachecka jest kardynalném prawem. Nawet tak dostojny pan, jakim jest ksiązę-wojewoda wileński zaszczyca mię swém poważaniem i ufnością.

— *Mai c'est unique!* Dom pani starościny jest schroniskiem rokoszán... U małżonki naczelnika królewskiego gabinetu, w obec brata jego królewskiej mości odważa się tutaj ktoś chełpić protekcją Radziwiłła!... Mój panie szlachcicu! gdyby mnie nie powstrzymywało uszanowanie w obec téj tutaj damy, nauczyłbym waszeci moresu.

— Mości ksiązę: noszę ja tutaj u boku ochronę przeciw wszelkim pogróżkom.

Starościna ujęła brata za rękę, wprowadziła go do swego pokoju i rzekła ode drzwi, zwracając się z gniewném spojrzeniem ku księciu:

— Mości ksiązę! nie wypada mi bawić dłużej z gościem, który w méj obecności tak dalece się

zapomina, że obraża moich przyjaciół. Waszój księżęcej mości najuniżeńsza służebnica potrafi rozważyć, kogo dotychczas przyjmowała i, czyjego towarzystwa nadal ma unikać.

Rzekłszy to skłoniła się, zamknęła drzwi swego pokoju, pozostawiając księcia sam na sam, który z zakłopotania nie wiedział, co miał począć.



VI. Król Stanisław August.



Następnego dnia około godziny 11. zrana zgromadził się wielki tłum ludzi przed kościołem farnym. Wszyscy pragnęli widzieć króla, powracającego ze mszy do swoich komnat.

Wszyscy tłoczyli się u wejścia w celu wręczenia mu podań na piśmie, albowiem monarcha przyjmował je niekiedy publicznie. A choć nie zawsze prośby odnosiły pożądaný skutek, odpowiedź na nie brzmiała zwykle tak łaskawie, iż się wzmagał coraz więcej natłok proszących.

Pośród tego tłumu ludzi znajdował się Wazgird, Skołuba i Buńczukiewicz — wprawdzie na różnych punktach, atoli wszyscy trzej spoglądali na wojskiego, który w przednim rzędzie w kurtce i zielonych pantalonach tuż u wnijsia do kościoła stał ze złożonym papierem w ręku. Nagle dało się słyszeć wołanie: „*Niech żyje król!*”

Pojawił się w istocie monarcha pod arkadami; za nim kroczyli szambelani, służbę pełniący adjutanci, dworzanie i posłowie.

Do króla zbliżyła się najpierw młoda przyzwoicie ubrana niewiasta i przyklękawszy podniosła w górę pisemną prośbę. Zauważono: jak król szybko przejrzał podanie, petentkę łaskawemi pocieszył słowy i podał pismo stojącemu poza nim podkomorzemu Gintowtowi, który tego dnia pełnił służbę. Następnie podawało jeszcze wiele osób prośby, z których król kilka przeczytał, a inne wręczył podkomorzemu; przy tém nikogo nie odprawił bez słowa pociechy, lub współczucia. Król był już widocznie strudzony, gdyż powtarzał te same co poprzednio słowa, gdy się do niego zbliżył wojski i podał mu na klęczkach pismo. Król zapytał go łaskawie: kimby był i czego by sobie życzył.

— Jestem szlachcicem, poddanym i sługą waszjej królewskiej mości! — odpowiedział wojski — Nazywam się *Poraj*, otrzymałem w charakterze podleśniczego i to bez przyczyny odprawę i prośzę jedynie o zarządzenie śledztwa w celu wykazania méj niewinności.

Towarzysze wojskiego nie mogli tych słów usłyszeć; przecież serce zabiło im gwałtownie, kiedy monarcha rozmawiał z wojskim i jego podanie kilkakrotnie w rękę obrócił. Jakże się atoli uradowali gdy zauważyli, iż król nie otwarłszy pisma podał je podkomorzemu, zagiąwszy poprzednio jeden z rogów na znak, iż miał tę „prośbę“ poddać szczególniejszej rozwadze.

Wojski znikł natychmiast pośród tłumu ludzi i pospieszył na umówione miejsce, gdzie się miał zejść z towarzyszami.

Król po wysłuchaniu prośb ludu przed świątynią Pańską, gdzie osobliwie względem niewiast okazał się łaskawym, podążył do swoich komnat. Po mszy zwykł był się przebierać. Przechodził przez rozległą salę, zwaną „garderobą“, gdzie na jego pojawienie czekali dworzanie i obywatele w chęci złożenia mu hołdu.

Istniał téż zwyczaj, że każdy z prowincyi do stolicy przybyły obywatel udawał się około tego czasu do „garderoby“, aby się nacieszyć widokiem królewskiego majestatu oraz znajomych i zasięgnąć potrzebnych wiadomości.

Gabinet, w którym się król przebierał, przedzielał wąski pokój od garderoby. Skoro więc w garderobie zgromadzona szlachta zanadto się rozochociła, wrzawa stawała się chwilami tak wielką, iż w królewskim gabinecie nie można było słyszeć własnego słowa. Wtedy udawał się zwykle służbę pełniący podkomorzy do „garderoby“ i stawał pod klatką z kanarkami, a powiewając chustką wołał w głos: *„Sza „kanarki!“ robicie tyle wrzawy, iż król nie słyszy odczytywanych podań.“*

Szlachta milkła na chwilę, atoli zwykle nie na długo, tak, iż podkomorzy musiał często jednego rana wychodzić pięć, lub sześć razy w celu uspokojenia „kanarków“.

Kiedy monarcha przechodził przez „garderobę“, witali go zgromadzeni jak najniższym ukłonem. Każdy

czekał na słówko życzliwe z jego ust; a szczęśliwiec, który je usłyszał, przekazywał je potem rodzinie jako osobliwszą łaskę nieba. Owego dnia okazywał król niezwykłą wesołość. Przywiózł mu był właśnie goniec listy, których on z niecierpliwością wyczekiwał. Jeden z nich pochodził od pani *Geoffrin* i zawierał mnóstwo nowin z *Wersalu*, drugi od pewnej dostojnej damy, której serce król niegdyś wyłącznie posiadał, a następnie prowadził z nią bardzo romantyczną korespondencyą. Trzeci pochodził od *Kortycellego*, królewskiego agenta w Rzymie, który monarchę uwiadamił, iż zakupił za — sześć tysięcy dukatów kilka obrazów najpiérwszych mistrzów szkoły włoskiej oraz kilka kamei z czasów *Peryklesa* od szlachcica *Antoniego*. W liście była uwaga, iż król, będąc najznakomitszym w Europie znawcą dzieł sztuki miał za piérwszém spojrzeniem nabyć przekonanie, iż te „skarby“ kupiono za bezcen, a jego sługa nie mógłby był tego dokonać, gdyby się nie był zobowiązał do wyjednania Antoniemu gwiazdy *św. Stanisława*, jego zaś synowi wakującej w kraju kanonii. Prosił więc agent króla, aby raczył spełnić przez niego uczynione obietnice. Czwarty list pochodził z *Ferney'u* od — *Woltera*. To pismo przejęło *Stanisława Augusta* zapalem. Była to odpowiedź obszerna na arkuszową korespondencyą króla. W tym liście nazwał go Wolter „*Salomonem północy*“, oczekującym chwili przybycia z poza morza drugiej królowej *Saby*, a to w tym celu, iżby się od niego wyuczyła sztuki rządzenia, a potem ją w swém państwie zastósowała. Żartował téż sobie Wolter w tym liście z Sarmatów, nazwał ich pija-

kami i barbarzyńcami, nadmieniając atoli pojednawczo, iż się mimoto okazali rozsądniejszymi od samej Opatrzności, ponieważ sobie obrali byli króla, jakiego świat nie posiadał. Gdyby prawo elekcyi przysługiwało wszystkim narodom, — pisał dalej Wolter — *Stanisław August* byłby się stał urzeczywistnieniem upragnionój przez cesarza *Karola* w marzeniach monarchii uniwersalnój, albowiem wszystkie nacye byłyby go sobie obrały królem. Tego rodzaju pochlebstwami objawiał francuski filozof swe zobowiązanie za pobieraną od *Stanisława Augusta* roczną gratyfikacyą w kwocie trzech tysięcy dukatów, atoli ani słowem o niej nie wspominał, uważając ją za należący się mu od głów koronowanych haracz. Oprócz tych listów otrzymał król jeszcze wiele innych od dam dworskich, które on prawie codziennie widywał, z którymi atoli mimoto korespondował jak np. z panią krajczyną, księżną-majorową, księżną-jenerałową i panią *Sallier*, francuską awanturnicą, która mu we wszelkich intrygach poniekąd dopomagała, a zatem sobie u niego wielkie zjednała łaski.

Król jaśniał radością, kiedy przechodził przez „garderobę“ do swego gabinetu. Powitał téż niektóre z prowincyi przybyłe osoby jak najłaskawiej i pokrzepił serce każdój z nich życzliwemi słowy. Jakkolwiek trudno zaprzeczyć, iż *Stanisław August* swemi rządami dostatecznie stwierdził, że się nie urodził na *władzę*, przecież i to wypada przyznać, że umiał przynajmniej odgrywać należycie rolę monarchy. Miał ku temu zupełne uzdolnienie, gdyż nawet rodowity król nie mógłby był występować publicznie z większym majestatem.

W gabinecie czekał na monarchę jego fryzyer, Anglik z urodzenia nazwiskiem *Philipsborn*, który rozmawiał wyłącznie po angielsku. Lubił go *Stanisław August* jużto dlatego, iż on był znakomitym fryzyerem, jużto z téj przyczyny, ponieważ monarcha mógł się z nim zabawiać w języku angielskim, który sobie bardzo upodobał. *Ryx*, pokojowiec króla, a zarazem — ku niemałemu zgorszeniu szlachty — starosta krasno-stawski rozebrał króla, osłonił go lekką zarzutką, a *Philipsborn* zaczął porządkować jego włosy.

W gabinecie znajdowało się wielu dworzan, albowiem fryzyer wykonywał zwykle swe dzieło w asystencyi. Tym sposobem schodziło kilka godzin królowi, który się w tym czasie zabawiał z uczonymi, a nawet polecał sobie odczytywać nowiny z Paryża. W owym dniu było więcej zgromadzonych osób niż zwykle, gdyż u króla był na pożegnaniu *Xawery Branicki*, wielki łowczy, który odjeżdżał objąć dowództwo nad wojskiem na Ukrainie. Pośród obecnych dworzan byli tam oprócz brata *Stanisława Augusta* — księżę-podkomorzy, ksiądz *Krasicki*, biskup-nominat, generałowie-adjutanci *Byczewski* i *Orłowski*, kuchmistrz koronny *Poniński*, malarz *Bacciarelli*, lekarz nadworny *Syo*, hrabia *Siedlnicki*, podkomorzowie *Gintowt* i *Trembecki*, dworzanie *Bielawski*, *Boscamp* i *Cowvelli* oraz *Golejewski*, miecznik koronny.

Król spoczywał w krześle i trzymał w ręku małe zwierciadło. Podkomorzy *Gintowt* sortował przy stoliku podania, które owego dnia królowi do-

ręczono, lub nadesłano, i notował sobie ich treść, aby móc później zdać z nich sprawę monarsze.

Stanisław August zwrócił się najpierw do Branickiego i rzekł:

— Mości łowczy! a więc waszmość wyleczyłeś się całkowicie z rany, którą waszmości zadał był Casanowa? Daj Boże, iżbyś waszmość równie szczęśliwie przetrwał i to nowe niebezpieczeństwo, na jakie się narażasz, bo tam na Ukrainie podobno sprawa z zarazą i buntującym się chłopstwem!

— Miłościwy panie! — odpowiedział łowczy — wysłałam tam przed sobą jeszcze wczoraj *Stepkowskiego* i podążę za nim sam dzisiaj wieczorem. Przybyłem pożegnać waszę królewską mość i uprosić sobie błogosławieństwo.

— A rana nie sprawia waszmości żadnego bólu?

— Najmniejszego miłościwy panie! *Pernet*, lekarz waszej królewskiej mości zjednał sobie na mój koszt nieśmiertelną sławę; atoli ten Francuz nie zasługuje na nią i jest szarlatanem, gdyż wszystkie jego leki wyrzuciłem oknem, a leczyłem się własnym sposobem.

— Ja sam byłem świadkiem: — przemówił ks. *Krasiński* — jak pan łowczy zamiast przez *Perneta* zaordynowanej mu postnej polówki spożył całą kurę.

— A proszę waszej wielbności nie zapominać, iż kurę zapiłem dwiema kwartami mego *dekoktu*!

— A cóż to za dekokt? — zapytał *Stanisław August*.

— Dekokt to węgierski! — odrzekł łowczy — *Pernet* chciał mię uraczyć sokiem *bylcy*; atoli ja rozśmiałem się mu w oczy, kiedy mi wspomniał o tym

studenckim napitku. Mnie się zdaje, miłościwy panie, że tym wszystkim doktorom nie dostaje rozumu; toż byłoby źle ze mną, gdybym słuchał ich rady. Do zabrania z sobą tych wszystkich zaradczych środków przeciw zarazie, które mi oni zaordynowali, brakłoby mi koni i wozów, toż zamiast tego wszystkiego wysłałem już przed kilkoma tygodniami na Ukrainę *mój* zaradczy środek przeciw wszelkiego rodzaju chorobom t. j. kilka beczek wytrawnego węgryzna. Stepkowski wierzy także w moją medycynę, która się streszcza w zasadzie: *nigdy się nie gniewać, niczego się nie lękać i nie żałować sobie szklanki dobrego wina!*

— Szczęśliwy śmiertelnik, — powiedział król — który posiada humor waszmości, panie łowczy! A przecież, radziłbym, nie posuwać za daleko swą odwagę. Czyżto śmierć ma tylko samego waszmości zaoszczędzać?

— Niezawodnie, miłościwy panie, albowiem jestem przeświadczony, iż dożyję dziewięćdziesiątego roku. Gdybym nie był tego pewny, nie byłbym się wcale strzelał z owym awanturnikiem, którego mogli byli ukrócić moi kozacy. Atoli od czasu wojny siedmioletniej, w ciągu której służyłem pod rozkazami marszałka *de Broglie*, stawiam śmiało czoło wszelkiemu gradowi kul, wiedząc, iż mi one nic nie zaszkodzą. Tak samo nie lękam się teraz i Ukrainy. Wszak mam jeszcze przed sobą lat pięćdziesiąt!

— Mój panie łowczy! przypominam sobie dobrze, iż mi niegdyś opowiadałeś o kabale; atoli trudna to sprawa — wierzyć bezwarunkowo tego rodzaju rzeczom.

— O, nie, miłościwy panie! to były przepowiednie, w które wierzę, gdyż się już kilka z nich sprawdziło. Służyłem podówczas pod rozkazami księcia *Karola Radziwiłła*, którego opuściłem dla waszej królewskiej mości, chociaż on dla mnie był raczej bratem i ojcem, aniżeli moim panem. Byliśmy pewnego razu obydwaj na kiermaszu w *Lipsku*. Mówiono tam wiele o czarnoksiężniku, nazwiskiem *Szepfer*. Księżę chciał go koniecznie poznać. Udał się do niego *incognito*. Lecz nie można opowiedzieć i uwierzyć temu, cośmy tam widzieli. Pokazywał on nam ludzi, którzy oddawna poumierali; widzieliśmy ich i rozmawialiśmy z nimi.

— Przyznaj-no waszmość, — odrzekł król — że się popisujesz anegdotką!

— Niechaj mię licho porwie, miłościwy panie, — kiej ze mnie, jeśli przydaje, choćby słowem coś nieprawdziwego! Księżę pragnął widzieć swą babkę, małżonkę króla *Augusta II*, która go, gdy był dzieckiem, trzymała na kolanach. I w istocie pokazała się nam ona i przepowiedziała swemu wnukowi, iż miał otrzymać księstwo na północy, ale tylko na krótki czas. Miał też poślubić zwykłą szlachciankę, a przez to utracić łaskę króla; przepowiedziała mu nawet, iż po śmierci *Augusta III*. dom saski nie miał już u nas panować. Obudziła się i we mnie ciekawość do ujżenia mego zmarłego ojca, b. kasztelana kaliskiego. Pojawił się też nam on żyjący w dawniej postaci z historyczną imponującą „cyrkumferencyą.“ Przemówił do mnie: „Kochany Xawery: jakkolwiek wszystko przeżyłeś, co dla ciebie w ciągu mego życia zaoszczędziłem, mimoto nie troszcz się o swą

przyszłość! Ominiesz wszelkie niebezpieczeństwo, pozyskasz najwyższy urząd w kraju i w dziewięćdziesiątym roku życia umrzesz najbogatszym panem w Polsce!“ Miłościwy panie! czyż się już wiele szczegółów nie sprawdziło? Czyż księżę nie otrzymał w lenne księstwa kurlandzkiego? Czyż się nie ożenił z panną Krasieńską ku tak wielkiemu zgorzeniu jego ojca, iż mu on tego kroku do końca życia nie przebaczył? A i dom Sasów przestał u nas panować, odkąd mamy szczęście oglądania waszej królewskiej mości na tronie! Toż i u mnie wszystko się ziściło. Odbyłem szczęśliwie wojnę siedmioletnią, otrzymałem od waszej królewskiej mości najwyższy urząd w kraju — buławę: a więc się sprawdzi i reszta. Dlatego też śmiałem się z pojedynku z moim Włochem i dziwiłem z początku nie mało, gdy mi ten nicpoń wpędził kulę w ciało. Pomyślałem sobie przecie natychmiast: rana — to jeszcze nie — śmierć! I jakoś się z niej w istocie wylizałem. Toż i teraz spełnię szczęśliwie rozkazy waszej królewskiej mości. Stłumię bunt hajdamaków i nie ulękę się zarazy.

Po tych słowach ucałował łowczy rękę króla i oddalił się, gdyż zaprosił był na ten dzień liczne grono szlachty, aby na odjeźdném pić o zakład z *Konarzewskim*, słynnym pijakiem, który potrafił na jedno posiedzenie wypróżnić cztery tuziny butelek węgryna.*)

*) Pijaństwo pośród wyższych klas naszego społeczeństwa można datować dopiero od epoki *Sasów*. Za *Augustów* dopiero poszedł zły przykład od tronu; i była pijatyka u dworu, w czasie

Po oddaleniu się Branickiego powiedział Trembecki:

— Nasz łowczy ma wielkie uzdolnienie do poezyi: stwierdził to swém opowiadaniem. Ktoby też uwierzył tego rodzaju baśniom!

uczł sejmowych, na trybunałach i wszelkich sądach, na wyborach i po każdój nominacyi na urząd — na jarmarkach, odpustach, na każdym zjeździe obywatelskim — w stolicy, po miastach, wioskach i partykularnych domach. Słowem pili zawsze i wszędzie; pili wszyscy. Pił król, senator, żołnierz, kapłan, szlachcic, mieszczanin i kmiotek; pili na zabój przy każdym większém zebraniu; wprawiano się za młodu, pocieszano tém na starość; i ledwoś kogo ujrzał, któregooby z rzędu pijaków można było wymazać. Kto nie pił, tego nazywano „Francuzem“ — „wędzi-kiszka“ — „moderantem“; po domach trzymali panowie sławnych i doświadczonych pijaków.

Pośród licznych pijaków było słynniejszych trzech w Koronie, a jeden w Litwie. *Janusz* książę *Sanguszko*, ordynat ostrogski, marszałek nadworny litewski miał tak tęgą głowę, że gdy się spił, przejechał tylko w karęcie kilka staj, wracał i pił znowu. *Borejko*, kasztelan zawichostski pijał najwięcej z duchowieństwem. Gdy ich nie stało, wychodził na rozstajne drogi i upijał przydybanych podróżnych. *Adam* Nałęcz *Małachowski*, krajczy koronny, zabójca ludzkiego zdrowia, zapał wielu na śmierć. W *Bykowiej Górze* mieszkał ten jegomość i miał kielich pół-garncowy; na nim były trzy serca z napisem: „*Corda fidelium*“.*) Zaczynano od śniadania, mniejszych kielichów, potem przychodziło do tego, iż należało go wypić duszkiem; gdy cokolwiek zostawało, dolewano znowu. Mający interes do niego wymawiali sobie *salvum conductum****) od tego kielicha; mniej trwożliwi zjeżdżali się umyślnie, jakoto: pułkownicy, rotmistrze, namiestnicy, dygnitarze. Trafił się pe-

*) Serca wiernych.

**) Zwolnienie.

— Nie mów tego waszmość, Panie Trembecki!
— odrzekł król — Natura ma swe tajemnice, nie przystępne najgłębszej intuicji człowieka. Nie powątpiewam o tém, co opowiedział Branicki, gdyż sam doświadczyłem podobnych rzeczy.

Kiedy należałem jeszcze do stanu rycerskiego, byłem z nim zagranicą i spędziłem wtedy najszcześniejsze chwile w życiu. Kochałem najpiękniejszą i najrozsądniejszą w świecie niewiastę i doznawałem od niej wzajemnej miłości. Branicki był naszym powiernikiem; lecz odkryto naszą tajemnicę — toż czekała nas okropna zemsta.

Byliśmy przygotowani na wszystko: Branicki śmiał się z naszej obawy i zakomunikował mi już wtedy tę samą przepowiednię.

— Jestem ciekaw: — rzekł Trembecki — coby też powiedział Wolter na to opowiadanie?

— Podzielałby mój sąd, — odpowiedział król — gdyż twierdził niejednokrotnie wobec mnie, że ludzka mądrość nie jest ostatecznie zdolną do zrozumienie wszystkich otaczających nas cudów. Wspom-

wien braciszek, kwestarz bernardyński, który mu wypił — 6 takich kielichów, udając, że nie dopił, i o swój sile wsiadł na wózek.

Za trzeźwego króla *Stanisława Augusta* w następstwie lepszego wychowania, szlachetniejszych przykładów i wznioślejszych uczuć pijatyka ustaje. Oprócz *Konarzewskiego* hołdowało jeszcze kilkoro słynnych osób temu nalogowi, mianowicie: *Kazimirz książę Sapieha*, żalowany powszechnie dla swych cnót obywatelskich i uprzejmości w pożyciu — *Janikowski* i *Biesiekierski*. Dla ostatnich nie było nowiną: wypić cały kosz szampana, przywieziony antał na — próbę, pić od rana do wieczora.

mnieliśmy o Wolterze: otóż powinszuj mi waszmość szczęścia, panie Trembecki, gdyż otrzymałem od niego osobliwszy dowód pamięci! Odczytaj waszmość w głos ten tutaj list, iżbyśmy wszyscy wiedzieli, jakimi mię on względami otacza.

Gdy poeta wykonał zlecenie monarchy, powiedział ksiądz Krasicki:

— Miłościwy panie! to, co tutaj Wolter wypowiada, myśli i odczuwa cała Europa. Całą jego zasługą jest w tej sprawie ta okoliczność, iż to poczucie wypowiedział tak pięknie, jakby tego nikt inny nie potrafił dokonać.

Trembecki zauważył:

— Tym razem udało się mu to najdoskonalej, gdy twierdzi, iż nasz naród okazał się w ostatniej elekcji rozsądniejszym od samej Opatrzności. Ale podobność ten cud się już nie powtórzy; dlatego też czytając — boć jestem poetą — „pomiędzy wierzeniami“ jego listu odgaduję przyszłość i żywię nadzieję, iż wasza królewska mość będziesz naszym ostatnim królem elekcyjnym i pierwszym monarchą dziedzicznym.

Stanisław August uśmiechnął się — widocznie po myśli wszystkich zgromadzonych. Po chwili milczenia przemówił Trembecki ponownie:

— I ja byłem na tyle szczęśliwym, iż otrzymałem list od Woltera. Składam go do stóp waszjej królewskiej mości, albowiem zaszczyt, jaki mi w nim przypisano, mam do zawdzięczenia memu miłościwemu panu.

Król odczytał list i rzekł:

— Możesz być waszmość z wszelką słusnością dumnym. Żaden z ziomeków nie mógłby oddać większą sprawiedliwość utworom waszmości, aniżeli to uczynił *mędrzec z Ferney'u*.

— Miłościwy panie! — odpowiedział Trembecki — Wolter *juravit in verba magistri**) Wasza królewska mość wyraziłeś się o mnie nader łaskawie. Wolter sądził zatem, iż nie mógłby zbłądzić, idąc za zdaniem waszjej królewskiej mości. Tymczasem wykazał tylko, że nie ma reguły bez wyjątku.

— Waszmość jesteś zanadto skromnym; a pochwała Woltera jest tém sprawiedliwszą, ponieważ — jeśli mię pamięć nie zawodzi — waszmość byłeś przed laty jego rywalem i to szczęśliwym u margrabiny *de Chatelet*.

— Przeciwnie, miłościwy panie, to on przede mnie stanął u celu swych życzeń. Bawiliśmy razem w *Cirey* na zamku pani *de Chatelet*, której mąż wyjechał być inspicjować wojsko, gdyż całą jego wiedzę stanowiło musztrowanie ludzi. Nawet własnej żony nie umiał należycie ocenić. Margrabina nie była wprawdzie „pięknością klasyczną“, ale należała do pocztu jak najmiłszych kobiet, jakie kiedykolwiek napotkałem. Jój bieluchna płeć obok czarnych włosów to jakby „śnieg na kruczym pierzu“; a jój modre oczy płonęły słodką łagodnością. Miała ząbki podobne jak wasza królewska mość i była tak rozsądną, iż wszyscy siedmiu mędrców greckich i nowocześni filozofowie mogliby się od niej jeszcze czegoś nauczyć. Było nas trzech w *Cirey*: mar-

*) Powtórzył sąd za mistrzem.

grabia *de Saint Lambert*, autor „*Pór Roku*“, jój uznany amant, Wolter, który rad był zająć jego miejsce, i ja — wielbiciel umysłu pani de Chatelet, chociaż nie mogłem sobie rościć pretensyi do jój serca. Atoli nasza gospodyni — czyto z ciekawości, kaprysu, lub próżności okazywała mi tak wiele względów, iż to zaniepokoiło *Saint Lamberta*. Wkońcu zaprosił mię on na przechadzkę *entre nous* do zamkowego zwierzyńca, której następstwem było to, iż mu zagłębiłem w bok mą szpadę na cztery cale. Nie czekając na jego kuracyą, albo pogrzeb podążyłem jak najspieszniej do *Spaa*, *Saint Lambert* przeleżał kilka tygodni w *Cirey*, zanim odzyskał zdrowie; a Wolter, pozostawszy sam jeden na arenie umiał skorzystać z téj okoliczności tak, iż gdy się *Saint Lambert* znowu u pani de Chatelet pojawił, przekonał się, że nie miał tam więcej co robić... Ja liczyłem podówczas lat dwadzieścia, *Saint Lambert* rok trzydziesty, a Wolter czterdzięci kilka, jeśli nie pięćdziesiąt. Atoli on był tutaj podobny owym weteranom *Cezara*, którzy nietylko zawsze przy końcu rozstrzygali o losie walki, ale także zbierali owoce zwycięstwa. Stąd poznasz wasza królewska mość, iż Wolter powinien się czuć poniekąd względem mnie zobowiązanym.

— A to wyborna historia! — powiedział król, zwracając się do księdza Krasickiego — Ktoby téż mógł uwierzyć, a przecież to poświadczył wielokrotnie starosta wieluński, że nasz skromny i umiarkowany Trembecki we Francyi pośród niewiast obudzał wiele zajęcia! Nazywano go w Wersalu nie inaczej, tylko „*le tueur des Marquis*“, ponieważ

w istocie położył trupem kilku dworzan w pojedynku, a wielu wprawił w wielkie niebezpieczeństwo.

W ciągu téj wesołej rozmowy powstał nagle podkomorzy Gintowt i zbliżył się z pismem w rękę do króla — tak wielce zmieszany, iż go on zapytał:

— A cóż sięto dzieje z waszmością, kochany podkomorzy? Wszak wyglądasz tak, jak gdyby kto waszmości był zdjął z krzyża!

— O, to straszna rzecz miłościwy panie! — odrzekł podkomorzy — Wśród podań ośmielił się jakiś potwór złożyć paszkwil przeciw waszej królewskiej mości.

— Czy może wiészowany? — powiedział król z uśmiechem — Jeśli paszkwilowi nie brak dowcipu: no, to nas zabawi; a jeśli będzie po jego stronie słuszność, postaramy się o odniesienie z niego korzyści.

— Nie, miłościwy panie! — odrzekł Gintowt — to nic innego jak tylko zawezwanie, iżbyś się wasza królewska mość stawił osobiście przed konfederacją.

Stanisław August odebrał od podkomorzego pismo, zaczął je odczytywać i rzekł do otoczenia:

— Widzicie waszmościowie: jak wielką zniewagę ośmielono się wyrządzić waszemu królowi. Noszę na skroniach koronę — cierniową! Nawet w téj tutaj komnacie nie mam pokoju; nawet obelgi mogą mię dosięgnąć. Odczytaj-no waszmość to tutaj wrzekomie zapozwanie, abyście wszyscy waszmościowie wiedzieli, jakichto ja krzywd doznaję!

Gintowt odczytywał pismo; lecz mu przerywały za każdym zdaniem wybuchy oburzenia wobec niesłychanej obrazy majestatu.

— Najmiłościwszy nasz monarcho! — rzekł kuchmistrz koronny Poniński — nie masz nikogo pośród nas, ktoby nie odczuwał głęboko tej zniewagi, wyrządzonej całemu narodowi w osobie jego namazańca. Otóż przedewszystkiem musimy wytropić zbrodniarza.

— Nie pamiętam już, — powiedział król — kto mi wręczył ten paszkwil. Był to atoli niezawodnie konfederat barski, który tutaj bawi — i którego jużci należy odszukać.

— Ba, — zauważył książę-podkomorzy — wszak tutaj może się plątać bezkarnie nie jeden wrogo usposobiony przeciwnik. Ja sam spotkałem dopiero wczoraj konfederata barskiego, który się wobec mnie chełpił przyjaźnią i łaską księcia Radziwiłła „*Panie Kochanku!*“

— A więc będąc moim bratem i poddanym — rzekł król — powinienes to dokładniej wyłuszczyć, iżbyśmy natrafiali na coraz jawniejszy ślad tego spisku.

Książę-podkomorzy poznał teraz, iż się mu z ust wymknęło nierozważne słowo, gdyż nie był tak usposobiony, aby miał być z prywatnej zemsty wzywać pomocy zwierchności. Poznawał nadto jak wielce mógłby był skompromitować starostę, a jeszcze więcej jego żonę, którą książę-podkomorzy uwielbiał. Chcąc tedy odwrócić uwagę od danego poszlaku opowiedział teraz, że jadąc zeszłego dnia napotkał w ciasnej ulicy jakiegoś szlachcica, który

mu żadną miarą nie chciał ustąpić z drogi, a na wołanie woźnicy, iż miał do czynienia z osobą z domu królewskiego, odpowiedział, że on cieszy się przyjaźnią księcia-wojewody wileńskiego.

Tutaj zauważył kuchmistrz koronny, że to był prawdopodobnie człowiek pijany, jakich nie brakło nawet pośród najwierniejszych poddanych jego królewskiej mości.

Spodobała się wielce ta uwaga księciu-podkomorzemu, toż poprzestając na niéj udał się do garderoby, aby w rozmowie ze szlachtą zatrzeć wspomnienie wczorajszego wypadku.

Stanisław August zaś nakazał natychmiast przyzwanemu nadwornemu marszałkowi, a zarazem naczelnikowi policyi poczynić potrzebne kroki do wysłędzenia przestępcy, gdyż był przeświadczony, że to nie był czyn pojedynczy, lecz musiało istnieć szeroko rozgałęzione sprzysiężenie, do którego należały pewnie osoby wpływowe.



VI. Konfederaci w Częstochowie.



Podczas gdy wszystkie władze bezpieczeństwa dokładały wszelkich starań w celu wyśledzenia oddawcy majestat królewski obrażającego podania, wojski, precyzyjnie się spiesząc przez tłum dostał się już do mieszkania Wazgirda i napotkał tutaj Skołubę. Strawiński przebrał się; a potem udali się obydwaj bezzwłocznie na plebania w *Falentach*, gdzie zastali Wazgirda i Buńczukiewicza, którzy na niego już czekali z zaprzęgiem do jazdy. Wojski zabawił na plebanii małą chwilkę w celu złożenia podziękowania księdzu plebanowi i puścił się zaraz w drogę z Wazgirdem.

Był też czas po temu, albowiem chociaż podówczas organizacja policyi nie była tak jak dzisiaj wydoskonalona, przecież nie brakło i wtedy czynnych i sprytnych tajnych agentów, przed którymi zaledwo się mogło być co ukryć. Skoro zatem skon-

stawiano, iż owe podanie wręczył królowi męszczyzna w kurtce i zielonych pantalonach, urzędnicy przepatrywali zaraz mieszkanie, które był Wazgird wynajął, i znaleźli w niém nawet pozostawioną przez wojskiego odzież; a gospodyni opowiedziała im wszystko, co wiedziała o Wazgirdzie i jego towarzyszu. Ale to nie doprowadziło do dalszego rezultatu, gdyż z danych nie można było wpaść na trop winowajcy.

Konfederaci zaś, wydostawszy się z obrębu miasta zdążyli spieszenie stósownie do otrzymanej przez Wazgirda instrukcyi od jednego siola do drugiego i przybyli bez przeszkody do *Częstochowy*.

Ta miejscowość, opasana potrójnym wałem, zaopatrzona dostateczną ilością amunicyi, posiadająca do obrony dzielną załogę stanowiła ognisko wszelkiej działalności konfederatów. Tę twierdzę można było zdobyć jedynie regularném oblężeniem; a do tego było potrzeba ciężkich dział, których oblegający nie posiadali. Wprawdzie król kazał wysłać pod *Częstochowę* sześć armat, atoli na kilka mil przed miejscem przeznaczenia napadł na konwojujący oddział *Franciszek Dzierżanowski*, jeden z najsmielszych partyzantów konfederacyi, rozprószył go, a nie mogąc z sobą dział zabrać kazał je zagwoździć i wrzucić do wody. Oblężenie postępowało zatem tylko powoli, przerywane nadto od czasu do czasu wycieczkami oblężonych. Wojska królewskie musiały przy tém walczyć z przeciągającemi oddziałami partyzantów, które nie mało hamowały wszelkie ich obroty. Tym sposobem była *Częstochowa* nie tyle oblężoną twierdzą, ile placem boju, który niekiedy

przypominał czasy *Homera*. Zdarzało się bardzo często, iż w obliczu obu wojsk odbywały się pojedynki, a zwycięzca wśród objawów uznania powracał do swego obozu.

Jest rzeczą wiadomą, iż komendant twierdzy, wyzwany przez kirasyera wojsk królewskich położył trupem swego przeciwnika-Goliata. Te walki nie zawsze kończyły się tak tragicznie; owszem stały się niekiedy powodem do zawarcia trwałych przyjaźni. Księżę *Dołhoruki*, młodzieniec w kwiecie wieku, znajdujący się przy poselstwie swego dworu w Warszawie zapłonął miłością ku pewnej urodzivej księżniczce — natchnionej zwolennicze króla *Stanisława Augusta*. Kiedy się tedy *Dołhoruki* starał o jej wzajemną miłość, odpowiedziała mu ona, iż jej przywiązanie można sobie było pozyskać jedynie pod murami *Częstochowy*. Zakochany i dzielny młodzieniec zaciągnął się na ochotnika do oddziału, oblegającego twierdzę i odznaczył się cudami waleczności.

Wkońcu wyzwał go na pojedynek w twierdzy znajdujący się hrabia *Wielhorski*. Obaj walczyli pieszo na szpady w obliczu obojga wojsk. Walka trwała przeszło godzinę, ale obydwaj przeciwnicy wiedli ją z taką zręcznością i wprawą, iż po kilkakrotném wyczerpaniu pomimo zapału wojowniczego jeden drugiemu nie mógł zadać ciosu. Wreszcie musieli obaj na żądanie przyglądających się towarzyszków broni odstąpić od walki. Uściskali się więc, zamienili broń i pierścienie na znak dalszej przyjaźni; a gdy później księcia *Dołhorukiego* zabrał do niewoli pewien konfederat, hrabia dopomógł mu oso-

biście do ucieczki. Wzamian po pierwszym podziale Polski przemówił księżę za Wielhorskim, który ożeniwszy się wkońcu z Rosyanką został także krewnym Dołhorukiego.

Skłonność odznaczenia się tego rodzaju odrębnymi orężnymi czynami tak dalece się wzmogła, iż dowódcy wojska uznali wkońcu potrzebę zakazania podobnych walk; a wojna przyjęła znowu zwykłą prozaiczną postać, zacierając pamięć bohaterskich czynów jednostek.

Atoli nawet w ścieraniu się całemi zastępami pozostawali konfederaci po największej części zwycięzcami tak, iż wielu ich przewódców rokowało sobie powodzenie w przyszłości. Tylko sam wódz naczelny starosta *Puławski* poznawał krytyczne położenie konfederatów; toż mimo okazywanego im poparcia od Francyi i Austryi nie taił przed sobą, że nawet obce mocarstwa nie mogły na długo wspierać stronnictwo, które utrzymywało wojnę domową przeciw królowi, chociaż go przecie faktycznie i według wszelkich formalności jednogłośnie obrano, a cała Europa ten wybór uznała.

Naród z jego władcą kojarzy pewien tajemniczy węzeł, którego bezkarnie nie można naruszyć. Przejęty tą prawdą sprzeciwiał się zawsze starosta Puławski objawiającemu się pośród przewódców konfederacyi zdaniu, iż względem króla należało się posunąć aż do ostateczności, albo nawet ogłosić odjęcie mu korony. Wódz naczelny trzymał się zupełnie innego planu: usiłował mianowicie doprowadzić do tego, iżby sam król stanął był na czele konfederacyi.

Do urzeczywistnienia tego planu zdążył z tak wytrwałą konsekwencją, iż się stała dla niego prawdziwym zaszczytem. Kiedy uchwalono przesłać królowi zawezwanie, dawał Puławski we wszystkich swych obwieszczeniach do poznania, iż król był w duchu po stronie konfederacyi, lecz jego wolę krępowali źli patryoci tak, iż się w Warszawie znajdował jakby w niewoli, toż każdy wierny poddany powinien się być starać o uwolnienie z niej króla. Poczynił téż starosta ku temu przygotowania i zamysłał właśnie swój plan urzeczywistnić. Porozumiał się więc w tym celu z Bohuszem, jeneralnym sekretarzem konfederacyi Korony i Litwy, który niedawno zjawił się był w Częstochowie. Obaj nabyli przekonanie, iż król nie miał opuścić dobrowolnie Warszawę; toż naradzali się nad środkami sprowadzenia go do Częstochowy. Kiedy właśnie jeszcze tę sprawę omawiali i wobec swego zagrożonego i niebezpiecznego położenia nawet ostateczne przypuszczali w wykonaniu środki: zapowiedziano im przybycie Wazgirda i jego przyjaciół. Przyjęli od nich sprawozdanie o doręczeniu królowi zawezwania i postanowili na razie uwiadomienie konfederacyi i całego kraju o samym fakcie i jego prawnych następstwach.

Atoli ten czyn konfederacyi nie sprowadził spodziewanego wyniku, albowiem teraz wzmożyły się jeszcze nienawiść i gniew stronnictwa królewskiego. Nawet ci, którzy nie należeli do żadnej politycznej partii, potępili postępek konfederacyi. Król otrzymał z prowincyi mnóstwo adresów od obywateli, którzy go zapewniali o swój niewzruszonej wierności.

Nawet przeciwnicy króla, którzy się trzymali konfederacyi, przyjęli obojętnie całą sprawę, albo ją uważali za chybioną. Bezskuteczny opór znużył już ich największą część i ostudził ich zapał. Z drugiej strony trzymał się także *Stanisław August* z namowy zaprzyjaźnionych dworów polityki „zdrowej“, według której ułatwiał wszelkim sposobem sprawę tym konfederatom, którzy okazywali skłonność do pojednania się z królem. Nietylko im przebaczał, ale nawet zléwał hojne łaski na pojedynczych konfederatów, którzy byli przeszli do jego stronnictwa. Tym sposobem przejście konfederatów do królewskiego stronnictwa stawało się coraz tłumniejszém, dla saméj konfederacyi coraz dotkliwszém. W kilka miesięcy po przybyciu naszych Litwinów do głównego obozu zawiązał *Kwilecki*, który popierał konfederacyą w *Wielko-Polsce*, rokowania z przewodcami wojsk królewskich, zawarł z nimi pisemny *reces* i złożył broń. To samo uczynił *Zaremba*, drugi przewodca, któremu Puławski szczególniej zaufał, wysławszy go z oddziałem wojska na odsiecz warowni *lanckorońskiej*. Wskutek tego przyszło do kapitulacyi téj twierdzy, w której się dotychczas bronił rozpaczliwie waleczny *Viomenil*. Jego ludziom brakło już od dwóch dni żywności (liczymy od czasu, kiedy podpisał akt kapitulacyi).

Tym sposobem widownią działalności konfederacyi były jeszcze Częstochowa i jéj najbliższa okolica. Albowiem szczupłe garstki pośród *Karpat* bląkających się partyzantów musiały się utrzymywać z plądrowania; a sami mieszkańcy owych stron byli ich prześladowcami.

Upadek zatem konfederacyi zdawał się być nieuniknionym; toż w istocie potrzeba było niezłomnego charakteru naczelnego wodza Puławskiego, aby w podobnym położeniu było można — nie utracić odwagi. Zresztą popychała go rozpacz do ostateczności, gdyż był pośród całego stronnictwa może jedynym, który nie mógł liczyć na ułaskawienie u króla. Oświadczył to kilkakrotnie *Stanisław August*; a konfederaci dowiedzieli się o tém naturalnie i tém spieszniej przechodzili do stronnictwa królewskiego. Pogorszyło jeszcze położenie Puławskiego i to, że podwładny dowódca *Rzewuski*, który posiadał jego całkowite zaufanie, leżał chory.

Rzewuski, syn hetmana i sam wielki chorąży litewski już podczas wojny siedmio-letniej odznaczył się tak dalece w cesarskiem wojsku, iż mu *Laudon* nadał krzyż orderu *Maryi Teresy*. Rana, którą był odniósł podczas wyprawy do *Krakowa*, zagojona od dwóch lat odnowiła się teraz i powstrzymywała go od wszelkiej wojskowej działalności. Bolało to w tej chwili tém więcej Puławskiego, ponieważ w zamierzonej wyprawie przeciw stolicy liczył szczególnie na *Rzewuskiego*, albowiem on nietylko pochwalał to przedsięwzięcie, lecz także przyobiecał je wykonać. Jego wielkie uzdolnienie rokowało udanie się wyprawy; atoli nawet w przeciwnym razie jego niezaprzeczone dobre imię zabezpieczałoby króla od doznania krzywdy i świadczyło, że pozorna przemoc miała posłużyć jedynie do tém pewniejszego sprowadzenia króla do objęcia steru konfederacyi.

Ponieważ nie było nadziei rychłego polepszenia zdrowia Rzewuskiego, musiał Puławski poruczyć

kierownictwo przedsięwzięcia pułkownikowi *Łukowskiemu*, żołnierzowi, posiadającemu bezsprzecznie odwagę i rzadką śmiałość. Znany pod przydomkiem „*Zadora*“ był w ciągu długiego czasu filarem konfederacyi w Wielko-Polsce. Z podwładnych Kwileckiego, którzy złożyli byli broń wobec króla, był on jedynym, który wierny złożonej przysiędze nie przystąpił do recesu, ale się przebił z dwudziestoma kilkoma jeźdźcami z *Kalisza* do swoich. Podjął się też obowiązku uprowadzenia króla do Częstochowy i zażądał do wykonania tego czynu nie więcej jak dwadzieścia z męstwa i wierności znanych ludzi. Puławski mu ich przydzielił. W ich poczcie znajdowało się atoli tylko trzech, którzy wiedzieli o celu i planie przedsięwzięcia; byli to: wojski Strawiński, Wazgird i Skołuba. Ci trzej wtajemniczeni złożyli zrana w dzień wyjazdu po wypowiedaniu się przysięgę na sakrament ciała i krwi Odkupiciela, iż mieli święcie dochować tajemnicy.

Wypadało przyspieszyć wykonanie przedsięwzięcia, gdyż konfederaci dowiedzieli się, że nawet owa skąpa pomoc, którą otrzymali byli od Francyi, została zakwestyonowaną, albowiem następcą *Choiseula* czekał jedynie na sposobność, aby odstąpić od ich sprawy.

Miał to więc być ostatni rozstrzygający czyn konfederacyi; a jój naczelnik był o tém tak dalece przeświadczony, iż postanowił w razie nieudania się porzucić sprawę konfederacyi, swoim zaś ludziom doradzał, błagać wówczas króla o przebaczenie, albowiem chciał sam na własną głowę przyjąć całą

zemstę, gdyby się mu nie było udało zemknąć.*) Plan tego nader śmiałego przedsięwzięcia był następujący: w Warszawie znajdował się podówczas niejaki *Przyszychowski*, który miał zlecenie dostarczania koni elektorowi saskiemu. Wskutek tego zajęcia pozostawał on w stósunkach z największą częścią znakomitych panów. Protegował go nawet książę-podkomorzy, brat króla *Stanisława Augusta*. Otóż ten *Przyszychowski* porozumiał się potajemnie z *Puławskim* i ofiarował naczelnikowi konfederacji do dyspozycji w razie potrzeby 40—50 koni. Nadto mieszkała o milę od Warszawy na zamku wojewodzina rawska, bogata wdowa, która utrzymywała najpoufalsze stósunki z faworytami *Stanisława Augusta*. Latem odwiedzała ją prawie każdego tygodnia sama krajczyna, chcąc odetchnąć w jej towarzystwie świeżem powietrzem. Na balach u niej gromadziło się dystyngowane towarzystwo stolicy. U niej nawiązywali najznakomitsi kawalerowie intrygi miłosne; nazywano ją tylko swą „kochaną wojewodzina.” Nawet sam król zaszczycał ją swém zaufaniem: a więc któż mógłby był żywić podejrzenie względem jej domu! A przecież istniała dla otoczenia niewidzialna nić, która łączyła tę damę

*) W obec ostatecznego rozwiązania się konfederacji barskiej podpisali wszyscy jej przewodcy urzędowy reces. Nie uczynili tego jedynie trzej mężowie: starosta *Pac*, generał-marszałek litewski, który w *Sztrasburgu* na wygnaniu życie zakończył, — starosta *Puławski*, który pod *Sawanah*, dowodząc wszystką amerykańską kawaleryą poległ, i wielki chorąży litewski *Rzewuski*, który w charakterze feldmarszałka-porucznika armii cesarskiej w wielkich łaskach u *Józefa II.* umarł.

z saskim domem; i dlatego korespondowała ona tajemnie z Puławskim i uwiadamała go o wszystkim, co się działo u dworu.

Oprócz gwardyi pieszej i pułku *Mirowskiego* nie było innego wojska w Warszawie, na któreby się mógł być król bezwarunkowo spuścić. Jedyny niewzruszenie wierny mu oddział wojska pozostawał pod rozkazami starosty wieluńskiego. On sam go zorganizował i otrzymał za to stopień jenerał-majora.

Albowiem ustawa z r. 1768. przyznała królowi prawo do nobilizowania ze swój szkatuły dziewięciu plebejusów, którzy mieli uchodzić za szlachciców, lecz w rzeczywistości nimi nie byli. Król tego prawa o tyle nadużył, iż zamiast liczby oznaczonej uskutecznił przeszło dwieście tego rodzaju nobilitacyi. Wnoszono wprawdzie z tego powodu na sejmie liczne skargi, które atoli nie odniosły skutku, ponieważ pod koniec panowania Stanisława Augusta weszło w modę lekceważenie szlachty. Z namowy starosty wieluńskiego utworzono pod jego rozkazami pozostającą szczupłą chorągiew z tego rodzaju szlachty; toż nic dziwnego, iż się ci ludzie odznaczali niezwykłym przywiązaniem i uległością względem króla, ponieważ ich stanowisko zależało wyłącznie od jego osoby. Dlatego też zdawał się ten oddział być wyłącznie niebezpiecznym dla planów konfederacyi. To też Puławski wysłał do wykonania ważnego przedsięwzięcia wyznaczonych ludzi różnemi drogami i tak, iż po największej części jedni o drugich nic nie wiedzieli, do posiadłości wojewodziny rawskiej. Równocześnie kazał Przyszychowski pod pozorem tań-

szego utrzymania do téj saméj miejscowości przeprowadzić największą część swéj remonty. Podążyli tam także już i nasi Litwini. Podobnie jak Wazgird i jego wierny sługa Skoluba z nieustraszoną i pewnym junactwem wyczekiwali dnia fatalnego, tak wojski okazywał się być w złym humorze i przygnębionym. Zauważyli to nawet jego towarzysze, którzy przywykli już do jego niezwykłej powagi i małomowności. Na ich pytania o przyczynę smutku tłumaczył się on przecuciem, iż go miało w ciągu zamierzonej wyprawy spotkać nieszczęście. Dręczyło go przecucie, iż same przedsięwzięcie miało się wprawdzie udać, lecz on sam nie miał doznać powodzenia w sprawie. Poczciwy bowiem wojski nabył w życiu przekonanie, iż wszelkie nieszczęścia spotykały go zawsze w miesiącu listopadzie. Sam się urodził 1. listopada i to w dniu *Wszystkich świętych*; dlatego też nadał mu ojciec imię archanioła Michała, aby nie wejść w kolizyą z resztą świętych Pańskich. Wojski uważał to za *omen principale* *) dla całego swego życia. I rzeczywiście sprawdziła się już wielokrotnie ta „wróżba.“ W listopadzie opuściła matka jego i jego ojca; tego samego miesiąca spotkało jego ludzi nieszczęście, wskutek którego utracił znaczny kapitał. W dniu 4. listopada pojechał był do Nieświeża z bratem, który przy téj sposobności zapoznał się z jego narzeczoną. Jakkolwiek jego przyjaciele dokładali wszelkich starań, aby rozprószyć to przygnębiające przecucie, wojski utrzymywał niewzruszenie, iż nie miał przeżyć listopada

*) Znak najważniejszy — wróżba pierwszo-rzędna.

bieżącego roku. A ponieważ się już obliczył ostatecznie z życiem, więc pozostawało mu już tylko jak najusilniejsze polecenie się pamięci przyjaciół. Kiedy i ci w plan wtajemniczeni konfederaci stanęli na miejscu przeznaczenia, czekali na rozkaz do rozpoczęcia dzieła od naczelnika Puławskiego, który w samej Warszawie zasięgał potrzebnych wiadomości i czynił przygotowawcze kroki.



VIII. Przeczucie.



o przytrzymania króla *Stanisława Augusta* wyznaczono dzień 17. listopada i to z następującej przyczyny.

Król żył od kilku lat z swym wujem księciem-kanclerzem w nieporozumieniu. Atoli nieustrudzone usiłowania otoczenia sprowadziły wkońcu zbliżenie się wzajemne obojgu.

Pierwsze naturalnie kroki w téj sprawie uczynił książę-kanclerz; a skutkiem tego przyjął go dostojny krewny kilkakrotnie u siebie. Książę-kanclerz, ciągle niedomagający na zdrowiu i podeszły wiekiem zasłabł około tego czasu znacznie tak, iż Stanisław August postanowił odwiedzić go osobiście 17. listopada i spędzić u niego wieczór. Naturalnie najbliższe otoczenie nie wiedziało nic o tych zamierzonych odwiedzinach. Atoli wojewodzina rawska dowiedziała się o nich od swych przyjaciół w War-

szawie w przeddzień wizyty. Łukawski zastosował też swój plan do okoliczności. W tym dniu od rana mieli się ukrywać w Warszawie wojski, Kosiński, Łukawski i jego powierny szeregowiec, którego śmiałości on bezwarunkowo ufał. U Przyszychowskiego stały dla nich w pogotowiu cztery konie, a piąty dla króla. W nocy miano zaskoczyć króla, powracającego na zamek od swego wuja. Postanowiono wsadzić go na konia i sprowadzić na razie do karczmy przy drodze, wiodącej do posiadłości wojewodziny rawskiej, gdzie Wazgird i Skołuba z 16. jeszcze towarzyszami mieli czekać na przybycie króla, a następnie uprowadzić go do Częstochowy. Konfederaci liczyli na to, iż gdyby się zamach był udał o północy, dalsze kroki w stolicy miały być uczynione dopiero w rannych godzinach dnia następnego, oni zaś tymczasem dostaliby się byli ubocznymi drogami na miejsce przeznaczenia. Łukawski pochlebiał sobie także nadzieją, iż w razie pościgu miał króla pogrózkami skłonić do oświadczeń i czynów, jakiego był dyktował właśnie interes konfederacyi.

* * *

Dnia 17. listopada o godzinie 11. zrana siedział starosta wieluński jeszcze w szlafroku w swym gabinecie. Na mniejszym stole stało naczynie z herbatą; na większym znajdowały się różne pisma, zagraniczne gazety i dopieroco nadeszłe listy. Gdy starosta, popijając herbatę jeszcze czytał, weszła jego małżonka do gabinetu. Powód jej zjawienia się musiał być osobliwy, gdyż kiedyindziej nie przychodziła

nigdy do gabinetu męża. Była w białym, złotymi wstążkami ozdobionym negliżu, na głowie miała koronkowy czepeczek z takimi samymi wstążkami. W tym porannym negliżu wyglądała tak przyzwoicie, była przy tém tak świeża i piękna, iż sam starosta, uradowany tém powstał, podszedł kilka kroków na powitanie, ucałował jęj rękę i usiadłszy obok nięj powiedział:

— I jakieżto niespodziewane szczęście sprowadza cię do mego pokoju? Czy może ten sam niepokój, który od kilku dni u ciebie zauważam?

— Tak jest, kochany mężu, od pewnego czasu ogarnia mą duszę jakaś niepojęta dla mnie trwoga. Dręczące sny i przykre przeczucia nie pozwalają mi wytchnąć. Gdy cię widzę, jestem zadowolona; lecz kiedy mi z ócz znikniesz, zdaje się mi, jak gdybym cię miała na zawsze utracić. Ty jesteś spełnieniem moich wszystkich życzeń: a przecież nie jestem szczęśliwą.

— Droga Zofio! wynurz mi wszystko i nie ukrywaj niczego, chociażbyś miała nawet co we mnie zganić, a ja miał być przyczyną twego niezadowolenia.

— Zastanawiałam się sama nad tym objawem i sądzę, że wykryłam powód mego niepokoj.

— A więc jest twoją powinnością objawienie mi tęg przyczyny. Dobrowolnie nie uczynilem z pewnością nic takiego, częmbym ci mógł był sprawić przykrość; a jeśli uczynilem coś takiego bezwiednie, no, toć więsz Zofio! iż dla ciebie uczynię wszystko.

— A przecież, kochany mężu, zdaje się mi poniekąd, jak gdybym cię sama nie potrafiła uszczęśliwić i zadowolnić.

— Na Boga Zofio! i cóżto wypowiedziałas? Cofnij te słowa i wytłómacz mi, skąd się one u ciebie wzięły? Czyż przestałem cię miłować, choćby na chwilę?

— Ach, Ludwiku: gdybyś to obok mnie nie miłował także sławy i zaszczytów!

-- A więc się o to rozchodzi?

— Tak, Ludwiku! jeśli mię kochasz, jeśli cenisz pokój méj duszy, natenczas opuść stolicę — i powróćmy na Litwę do naszych dóbr! Ja wychowałam się na wsi: toż jakkolwiek się mi z początku podobał świat wielki, w który mię wprowadziłeś, przecież obecnie tęsknię znowu do życia wiejskiego. Stają się dla mnie coraz nieznośniejszemi tutejsze towarzystwa, ich rozmowy, zabawy i przyjemności, zabiegi męszczyzn i postęпки niewiast.

— Przewidziałem to i sam to rozważałem, więc obecnie, kiedy mi objawiłaś swe życzenie, spełniłbym je natychmiast; atoli czyż jestem na tyle swobodnym, iżbym w téj sprawie mógł sobie postąpić dowolnie? Czyliż moje życie nie należy do kraju, a ja nie jestem sługą króla? Czyliż mogę wśród nader ważnych wypadków opuścić Stanisława Augusta, który mię obsypał godnościami i dobrodziejstwami? Gdybym to uczynił, utraciłbym nawet w twoich własnych oczach na znaczeniu.

— Nie mów tego! Tak często nie usłuchano twéj rady; a nawet twoję działalność rządu niewieście tak dalece paraliżowały i uszczuplały, iż już to samo

upowazniałoby cię do usunięcia się od dworu. Nie zobowiązują też ciebie tak dalece od króla otrzymane dobrodziejstwa; wyrzecz się tylko starostwa, wszak posiadasz dosyć majątku, iżbyś mógł szlachcicem żyć niezależnie w swych posiadłościach. Ot, bądźmy względem siebie otwarci: jesteś zanadto ambitny, kusisz się o godność senatora...

— Prawda, ale tylko dlatego, ponieważ jej niezawodnie dostąpię. Najbliższy sejm *) musi urzeczywistnić słowa króla Stanisława Augusta. Atoli czyli ja tylko dla samego siebie czynię te zabiegi? Toż pragnąłbym ci okazać mą wdzięczność tym sposobem, gdyby moja *działalność* podniosła nas do stanu drugiego.**)

— Czyliż wyższy tytuł uczyni mnie lepszą?

— Ot, to moja słabostka, którą mi już chcieliby wybaczyć! Zato — kiedy tylko sejm zatwierdzi obietnicę króla, zastósuję się całkowicie do twój woli. Musisz zobaczyć Paryż i zaćmić swym blaskiem równie jak tutejsze, także i piękności dworu francuskiego. Nie pozostaniemy już tutaj długo; lecz ja poczytuję to sobie za powinność honorową, iżbym w szczęściu lat dojrzałych pokazał się tam, gdzie spędziłem tak świetną młodość. Gdy powrócimy z Francji, osiadzimy na wsi i będziemy wiedli z krewnymi, przyjaciółmi i sąsiadami życie ciche, gospodarskie, przede wszystkim zaś wychowywali

*) Wyższe opróżnione posady n. p. ministrów oraz tytuł senatora mogły tylko sejmy udzielać.

***) Naród rozpadał się właściwie na trzy stany; te były: 1) król, 2) senat, 3) obywatelstwo.

naszą córeczkę, iżby kiedyś wyrównała tobie nie-tylko urodą, ale i dobrocią.

Starosta uściskał żonę i złożył serdeczny pocałunek na jej ustach. Po chwili milczenia rzekła Zofia:

— Jedna jeszcze troska zasmuca mię wielce. Czyż będziemy mogli także wychować nasze dziecko pobożnie, jeśli do religii przywiązujesz mało wagi? Gdy słyszę twoją rozmowę z innymi męszczyznami, zdaje się mi, jak gdybyś nie wierzył w Boga.

— Moja droga! jakżebym nie miał wierzyć w Istotę, której zawdzięczam całe moje szczęście — twoją miłość?

— Ależ Ludwiku! nie uczęszczasz na msze święte i nie modlisz się, jak przystało. Czyliż więc nie powinnam się troszczyć o twoją przeszłość?

— Chociaż może nie zachowuję z wami formalności, czczę przecie Boga w duchu. Gdybym się chciał tak modlić jak wszyscy ci, którzy Boga pod jakąś postacią uwielbiają, natenczas musiałbym się modlić do — ciebie, ukłekać przed tobą tak samo: jak to czyni *Peruanin* przed słońcem, albo nasi chrześcianie przed monstrancyą.

— Mój kochanku! nie uwierzysz, jaką boleść sprawiają mi te słowa; słyszałam je już nieraz od ciebie, a wtedy ogarniała mię zawsze nieopisana trwoga o ciebie.

— Trwożysz się niepotrzebnie, gdyż — jakkolwiek się nie tak modlę jak ty, przecież nie zauważyłaś nigdy, iżbym sobie pozwolił być uczynić jaką uwagę względem twych praktyk religijnych, któraby cię upoważniła do przypuszczania, iż cenię mniej twoje

religią, aniżeli moją własną. Owszem szanuję religią każdego człowieka bez wyjątku, boć to przecie zawsze objaw czci, wdzięczności i zaufania względem Stwórcy. Gdyby w sferach, w których my żyjemy, była zasankcyonowaną jedna i ta sama forma, wierząc mi, iżbym się jej ściśle trzymał. Ponieważ nam atoli dozwolone jest: zwracać się do Boga swoim sposobem, natenczas okazywałbym się śmiesznym wobec samego siebie, gdybym sobie zadawał niepotrzebny przymus. Skoro zaś osiedziemy na wsi, ręczę ci słowem: będę przestrzegał dokładnie wszystkiego — nawet co do formy, czego wymaga od wiernych nasz religijny obrządek.

— Nie myślę o sprzeciwianiu się, lub dawaniu ci przepisów; wynurzam tylko przed tobą troski méj duszy, gdyż się mi wydaje, jak gdyby się Pan Bóg miał o to gniewać, iż w Niego wierzysz inaczej, aniżeli ja sama. Daj mi na to słowo, iż nie odmówisz méj prośbie!

— Wyjaw tylko swe życzenie: będę szczęśliwym, gdy je zdołam urzeczywistnić.

Zofia uwolniła się z objęć starosty i udała do swego pokoju. Po chwili zaś wróciła ze srebrnym medalikiem *Matki boskiej* na złotym łańcuszku.

— Kochany mężu! — powiedziała — to pamiątka po méj nieboszczce matce, która mi ją dała wraz z błogosławieństwem. Noś ten wizerunek na piersiach i przyobiecuj mi, iż go nigdy nie zdejmiesz! To mnie uspokoi.

— Załóż mi sama swój medalik! Przyobiecuję ci słowem honoru, że go tylko ty sama stąd zdejmiesz.

Zofia założyła na szyję mężowi łańcuszek z medalikiem i rzekła:

— Wypada mi prosić cię jeszcze o jedno. W dniu dzisiejszym nękają mię wielki niepokój i osobliwsze przecucia. Pozostań dzisiaj ze mną! Wierzaj mi, iż nam zagraża jakieś niebezpieczeństwo! Toż gdybyś się miał oddalić, ja nie wytrzymałabym tutaj. Poświęć mi tylko ten jeden dzień całkowicie. Jeśli służba będzie wymagała twój obecności: nie prawdaż, usprawiedliwisz się chorobą? Dzisiaj mnie nie opuścisz?

— Zastósuję się do twój woli i poświęcę dzisiejszy dzień wyłącznie tobie. Piérwój atoli pojedziemy oboje do koszar, gdyż mi wypada przegładnąć mych ludzi. Przy obiedzie będziemy się widzieli z twoją kuzyną, która się czuje niezmiernie szczęśliwą, ponieważ jój Gintowt został dygnitarzem. Podczaszy litewski zrzekł się urzędu za sto tysięcy złotych; obdarzono nim teraz Gintowta. Zamyśla on dzisiaj wyjechać na wieś i dlatego pozostawił żonę pod opieką księcia Waragina, który niezawodnie zagładnie do nas z nową podczaszyną.

— Mój pocziwy Ludwiku! nie uwierzysz: z jaką mi trudnością przychodzi utrzymywanie przyjaznych stósunków z moją kuzyną: ona jest tak lekko-myślną, niczém nie krępującą się w zachowaniu, iż jój czynię zawsze wyrzuty, ile razy możemy obydwie pomówić z sobą poufale.

— Moja droga! ty odszczególniasz się pośród wszystkich kobiét stolicy nietylko swą urodą, ale także cnotą. Podczaszyna postępuje drogą zwykłą; toż jeśli by zechciała kontynuować romans z Wara-

ginem, mąż zapewne się jój nie sprzeciwi, gdyż na tém wyjdzie przecież najlepiej. Waragin udzielił mu pieniędzy do pozyskania urzędu, toż podczaszyna wywdzięcza się teraz księciu za życzliwość. Wczoraj mówiono o tém u króla; atoli wzięcie Gintowta na tém wcale nie cierpi, owszem przyznają mu wszyscy, iż posiada wiele taktu. Zresztą oni wszyscy: Gintowt, jego żona i Waragin są zadowoleni jedno z drugiego. Świat im zazdrości. Czyż może my mamy świat zmieniać? Nadto zawdzięczam pani Gintowtowej me całe szczęście, gdyż bez jój pomocy nie byłbym sobie nigdy ciebie pozyskał. Dlatego téż wypada mi być względem niej pobłażliwym. Wszystko można usprawiedliwić, byle nie być niewdzięcznym!

— O, ja to *poznaję*; i właśnie dlatego pragnęłabym opuścić jak najrychlej stolicę.

— Nie będziesz już długo na to czekała. Po zwołaniu sejmu należeć już będę w ciągu całego życia wyłącznie do ciebie równie: jak dzień dzisiejszy poświęcam tobie. No, ale wypada się nam postarać o to, iżbyśmy dzisiejszego wieczora mieli jakie towarzystwo. Wyszlę kilka zaproszeń i każę dom oświetlić, aby wszyscy przejeżdżający widzieli, iż dzisiaj przyjmuję u siebie gości.

Zofia, powodując się wdzięcznością uścisnęła serdecznie męża, oddaliła się i przyniosła mu po chwili córeczkę. Ojciec wziął ją na kolana; Zofia usiadła obok niego. Na widok tego uroczego zadatku wspólnej miłości wspominali sobie oboje pierwsze dni wzajemnego zapoznania — i łza radości zwilżyła ich oczy.

Po jakimś czasie ubrali się oboje, gdyż mieli wyjechać do koszar ułanów. Starosta przywdział tym razem uniform kawaleryi narodowej, który go wielce stroił. Jego żona miała na sobie sobole z wierzchem aksamitnym koloru błękitnego. Kiedy zajechały sanki, wziął starosta sam léjce w rękę; a lokaj w bogatej liberyi stanął w tyle sanek.

Przybywszy przed koszary oddał starosta léjce lokajowi, wyskoczył szybko z sanek i wysadził z nich żonę. Następnie przedstawił ją towarzyszom broni, którzy to uważali za znak wyjątkowej życzliwości i powitali go okrzykiem „*Witaj!*“ Po dokonanyim przeglądzie żołnierzy i zastrzeniu dawnym zwyczajem rozporządzenia, iżby połowa ludzi miała się zawsze w pogotowiu, rozdzielił między żołnierzy asygnacye na swój lamus z winem i odjechał wśród radosnych okrzyków podwładnych wiarusów.



IX. Dystyngowane towarzystwo wieczorkowe.



Starosta wieluński prowadził dom odpowiednio do swych wysokich godności i znacznych dochodów. Stać go też było na to tém więcej, ponieważ oprócz dochodu ze starostwa pobierał znaczne kwoty z majątku żony, a nadto jako naczelnik królewskiego gabinetu trzy-sta dukatów miesięcznej pensyi. Tym sposobem mógł był bez trudności przeboleć stratę komanderyi poznańskiej, której wyrzec się musiał po ślubieniu żony.

Wypada tutaj jeszcze wspomnieć o jedném źródle dochodu, gdyż jest rzeczywistém i charakterystyczném, t. j. o *grze*. Starosta był — użyjemy wyrażenia francuskiego — *un beau joueur* t. zn. umiał w razie przegranej nad sobą zapanować, a zarazem korzystać z chwili, kiedy mu szczęście

sprzyjało. Utrzymanie zaś domu na stopie pierwszo-rzędnych w stolicy umożliwiały mu przede wszystkim zapobiegliwość i oszczędność, jakimi się odznaczała staroscina w gospodarce i urządzaniu domu.

Dlatego też utrzymywał starosta dom otwarty, przyjmował u siebie bardzo często liczne towarzystwa; jego stół miał w całym mieście zasłużoną sławę — toż chwalono powszechnie świetne urządzenia uroczystości i rozrywek w jego domu. Juźci najznakomitszą jego ozdobą była zawsze sama pani staroscina.

Znano powszechnie wzajemną miłość i wierność obojga małżonków; a chociaż one podówczas były w stolicy prawie przedmiotem szyderstwa, nie śmiał żaden mężczyzna ubliżyć w tym względzie staroscie. Atoli niewiasty nie mogły żadną miarą przebaczyć staroscinie tego, czém ona sobie nietylko podziw, ale także szacunek najwytworniejszych kół zjednała — zwłaszcza, że staroscina, zadawalniając się szczęściem domowém przyjmowała ogólne hołdy dosyć obojętnie. Starano się też z początku pozbawić jój serce pokoju i wmówić w nią, że szczęście małżeńskie to sielankowa śmieśność, a dama światowa, nie mająca amanta to — bożyszczce, któremu żaden kapłan nie służy... Atoli Zofia umiała z godnością odpierać tego rodzaju podszepty, albo je uważać za żartobliwe uwagi. Jakkolwiek jój dusza brzydziła się temi wszystkimi uprzywilejowaniami grzesznicami, uważała przecież za powinność towarzyską pożycie z niemi w przyjaznych stósunkach i przyjmowanie ich u siebie z jak największą

życzliwością. Kiedy się zatem te dostojne damy do niej garnęły i zapewniały ją dworskim zwyczajem o swęj przyjaźni względem nięj i przywiązaniu, Zofia umiała pozornie utrzymać z niemi jak najlepsze porozumienie, chociaż mimoto nie zapuszczała się z niemi w ściślejsze stósunki. Wyjątek stanowiła tylko sama dawna kasztelanowa, a podówczas już podczaszyna litewska; ona jedna obcowała poufale ze starościną. A chociaż Zofią gorszył sposób jęj życia, żywiła przecięż względem nięj skłonność, którą jeszcze potęgowały węzły pokrewieństwa i przyjaźni, bo jęj niegdyś wyświadczyły tak wałąną usługę. Dlatego tęż zauważyła z boleścią, iż podczaszyna, folgując swęj miłosnej skłonności zapominała często o najpoważniejszych obowiązkach; starała się więc sprowadzić tę namiętną kobietę na drogę opamiętania i odzywała się w tym celu do jęj poczucia honoru, które się w jęj duchu niekiedy budziło, a przy tęp rozdmuchiwała iskrę w jęj sercu uspionego poczucia religijnego. Juźci te wszystkie usiłowania nie odnosiły skutku: podczaszyna przysłuchiwała się często wywodom przyjaciółki wśród łez i z prawdziwą skruchą, dziękowała jęj za napomnienia, całowała ją w ramię, atoli jęj żal trwał tylko chwilę — nie zmieniał się wszakże bynajmnieję sposób jęj życia. Mimoto nie można się było gniewać na podczaszynę. Francuski nadworny filozof *La Rochefoucauld* twierdzi w swych maksymach, że najmniejsze potknięcie się niewiasty jest jęj lekko-myślnością. Bez wątpienia kojarzy w sobie niewiasta rozwiozła tak wielką nienawiść i zazdrość względem drugich niewiast, tak wielką skłonność do

intryg i tak szatański wstręt względem wszystkiego, co się zwie cnotą, powinnością, a nawet prawem natury, iż rzeczywiście trudna — nie przyznać rzeczy słuszności. O podчасzynie nie można było tego powiedzieć. Była ona lekko-myślną i nic więcej. Po za obrębem téj słabości była najlepszą kobietą, wzorową przyjaciółką, dobrą gospodynią, miłosierną, nie mściwą i pełną uszanowania względem cnót, których ona sama nie posiadała, czuła i wielce wyrozumiała w zachowaniu — słowem była (użyjemy tutaj wyrażenia słynnej *Ninony de l'Enclos*) „najuczciwszym mężczyzną“ pośród płci żeńskiej. Nadto łgnęła szczerze i serdecznie do Zofii, ceniła tak wielce jój zalety i wielbiła ją z takim zapalem, iż to powszechnie uznawano. Atoli jój lekko-myślne usposobienie i brak należytej rozwagi skusiły ją przecież pewnego razu, iż ulegając usilnym prośbom księcia-podkomorzego przemówiła za nim u starościny. Atoli ten krok oburzył Zofią tak dalece, że wobec jój stanowczego oświadczenia, iż się nie miała więcej udzielać krajczynie, ona musiała ją prawie na klęczkach prosić o przebaczenie, chcąc zachować dawną obo-pólną przyjaźń.

Jak z jednej strony pani starościna damy dworskie utrzymywała w pewnym oddaleniu od siebie: tak znowu lubiły ją tém więcej szczuple koła owych wszystkich czcigodnych matron, które już dożyły późniejszego wieku, a przecież nie skalały żadnym niewłaściwym krokiem sumienia *pań chrześcijańskich*. Pośród tych niewiast, które Zofia zaszczycała swém zaufaniem, była także pani kasztelanowa *Kosakowska* z domu *Potockich*, która się niezmiernie i ściśle trzy-

mała dawnych obyczajów i nie przestąpiła nigdy progu domu, któremu można było coś zarzucić, i posiadała odwagę do wypowiedzenia samemu królowi gorzkich słów prawdy. Przyjaźń, jaką pani kasztelanowa okazywała Zofii, pochlebiała nie mało miłości własnej starosty, albowiem ta pani przyświecała arystokracji swą pobożnością i rzadkimi cnotami, była godną przedstawicielką swego dostojnego rodu, obcowała tylko z równymi sobie, a ten przywilej przyznawała nielicznym osobom. Wojewodzina nowogrodzka księżna *Jabłonowska*, której małżonka *Ludwik XV.* zaszczycił był orderem *św. Ducha*, mawiała bardzo trafnie: „*Wstęp u méj kuchyni jest podobny kanonii lugduńskiej, do której osiągnięcia potrzeba mieć trzydzieści dwa herby!*“ Otóż pani *Kosakowska* bywała często w domu starosty, a tłómaczyła swe odwiedziny oświadczeniem, że się pragnęła pokrzepić rozmową z jego żoną. Tego odszczególnienia żony zazdrościły w duchu starości te wszystkie osoby, które sobie z tego jawnie żartowały.

Kiedy starosta z żoną powrócił do domu, ucieszył go wielce list, nadeszły od pani kasztelanowej w którym zapowiadała swe przybycie na obiad. Starosta z żoną zajęli się odświeżeniem toalety, a potem udali się do salonu. Zofia miała na sobie błękitną aksamitną suknię, obszytą bruxelskimi koronkami, w swe bujne ciemne włosy zatknęła wenecką szpilkę w kształcie złotój, turkusami hojnie wyłożonej strzały. Jój drobne stopy obejmowały niebieskie trzewiki; białą szyję przyozdobiła Zofia trzema sznurkami pereł wielkości grochu, ale tak równych i prze-

pięknych, że rzadko gdzie można było napotkać podobne. Zofia otrzymała te perły w upominku od hrabiny Mycielskiej z domu *de Varmont*. Jakkolwiek się obie krewne osobiście nie znały, korespondowały przecież z sobą nieustannie i wymieniały listy prawie co dwa miesiące. Zofia przesłała była Mycielskiej na jej nagłace prośby swój przez Bacciarellego wykonany portret; a hrabina pisała jej wśród wielokrotnych podziękowań między innymi następujące szczegóły:

„Twój wizerunek, Kochana Siostró, ściąga w mój dom cały Wersal! Powiadają wszyscy, że tego rodzaju piękność nie jest dziełem przyrody, ale pomysłem malarza-artysty. Ja zapewniam, iż Ty jesteś jeszcze o wiele piękniejszą i przedkładam list Twego męża, pisany do mego Bertranda. Wielu tutejszych dworzan chcą pojechać do Warszawy jedynie dlatego, *aby Cię mogli zobaczyć!* Przesyłam Ci mój wizerunek — bardzo wierny. Przekonasz się, że jakkolwiek nie mogę się z Tobą równać, nie jestem przecież najbrzydszém stworzeniem bożém. W załączeniu otrzymasz wiązanek perel, któremi chciał się niekiedy przyozdobić! Chociaż one są piękne — gdyż znam się na perłach, albowiem moje posiadłości znajdują się w krainie bryliantów i perel — zasługują zaledwie na zetknięcie się z Twą urodą.“

Starosta wygrał był „na słowo“ od podskarbiego koronnego dwa tysiące dukatów, przyjął w miejsce gotówki szpilkę z dużym szafirem, oprawioną w brylanty i kazał ją przerobić na zamknięcie do perel żony.

Starościna pokazała się była w tych perłach właśnie przed tygodniem po raz pierwszy u dworu i wzbudziła tak wielki podziw, iż jedna z pań dworskich wyraziła swe powątpiewanie względem prawdziwości tych perel.

Najpierw przybyli do starosty w gościnę pani podczasyna litewska i jej jawny wielbiciel książę Waragin. Książę złożył swój hołd staroście w postawie i z ugrzeczniem dystyngowanego światowca, potem postąpił ze starostą w zagłębienie u okna i począł mu jako dawnemu przyjacielowi udzielać poufnych wiadomości. Panie usiadły na sofie.

— Droga siostró! — przemówiła podczasyna — poucz nas: jak się mamy stroić; nie widać cię nigdy u pani *Durenelowój*, nie mówisz nigdy o toalecie, nie zasięgasz rady pani *Lullier*, a podobno i swemi strojami nie bardzo się zajmujesz: a przecież twój wybór bywa zawsze tak szczęśliwy, iżby można było sądzić, że się twój osoby dotyka ona swą różdżką czarodziejską. Jakże gustowny jest strój twój głowy, jaka przy tém prostota w ubiorze! Jakże wspaniale odbija twa błękitna suknia od koronek; ach, a te słynne perły — jakże one stósowną są ozdobą twój szyi! Wiiesz, że tylko o nich mówią w całym mieście, a nawet twoje przyjaciółki przebąkują o imitacyi. Wiiesz: krajczyna, której perły zostały przez twoje zdetronizowane, przybędzie wieczorem do ciebie. Chce ona porównać swoje perły z twojemi, gdyż pragnęłaby w rzeczywistości upokorzyć cię przy téj sposobności. Wyobraź sobie, schlebiające języki wmówiły w nią, że twoje perły

są z pewnością fałszywe; toż ona żywi nadzieję, iż się jój uda zawstydzić ciebie. Ale powiedz mi tóż, moja droga siostrze, jak się to dzieje, że na to wszystko starczą wasze dochody?

— My oboje — powiesz — tj. mój mąż i ja prowadzimy bardzo ściśle rachunki.

— Ale tóż za to dokonujecie prawdziwych cudów. Zawsze otwarty dom, najpiękniejsze w mieście ekwipaże, setki z waszój łaski żyjących ubogich: to wszystko znaczy wiele. Prawda, że jesteście bogaci, atoli o wiele od was bogatszym nie wystarcza na wszystko. Nie słychać tóż o was, iżbyście byli gdzie zadłużeni.

— Możesz mi wierzyć, że u nas nie święci się nic nadzwyczajnego. Nie przekraczamy granic, a nadto płacąc za wszystko gotówką zakupujemy potrzeby o trzecią część taniej.

— Umiész sobie we wszystkiém poradzić, zastosować się do okoliczności i dlatego tóż jesteś wcale szczęśliwą. Życzę sobie, iżbym mogła to samo powiedzieć o sobie. Niestety: jakoś się nie wiezie! Unikam wystawności, moje dobra mają być istotną kopalnią złota — a przecie, wierzaj mi, nie posiadamy prawie nigdy gotówki. Widzisz, kochana Zofio, sam król nam doradzał przyjęcie urzędu krajczego litewskiego. Był to jużci wielce szczęśliwy nabytek; mieliśmy atoli przedewszystkiem złożyć w tym celu tytułem zadatku trzy tysiące dukatów, a ja wydałam me ostatnie pięć dukatów na rannych jeńców, których tutaj przywieziono z *Baru*. Wiész, gdyby nam nie był dopomógł książę Waragin, byłaby cała sprawa spelzła na niczém. Do ciebie nie

śmiałam się udać; wszakże już przeszło rok winnam ci kilkaset dukatów i jeszcze ciągle nie mam ci ich z czego zwrócić. Wysłałam przecież Alberta na Litwę, oświadczywszy mu: „Sprzedawaj, zastawiaj, czyń, co się ci spodoba, tylko mi nie powracaj bez pieniędzy, gdyż musimy się znowu ze wszystkimi obliczyć!“ Nie uwierzysz, ile winniśmy kupcom za towary.

— Na pieniądze mogę poczekać, ale bądź łaskawą i zwróć księciu Waraginowi pożyczkę: wszak ludzie w głos mówią, że on jest twoim amantem.

— Ach, kochana Zofio, najsmutniejsze już to, że mówią prawdę!

— Ale jakże mi to możesz tak bez ogródek mówić! Czyż powinnam usłyszeć taką spowiedź od ciebie?

— Moja Zofio! stanowisz przecie wyjątek pośród niewiast i możesz się oprzeć wszelkim pokusom. Nam jest rzeczą niepodobną: odpłacać srogością temu, który — prosząc o względy umiał sobie pozyskać naszą życzliwość. Ach, gdybyś wiedziała, jak mię mój książę miłuje i jak on umie miłować!

— Proszę cię, daj pokój tym zwierzeniom! Pomówmy o czém inném, gdyż o téj sprawie nie powinnam i nie chcę nic więcej słyszeć.

— Moja siostruniu! proszę bardzo o przebaczenie: wszak to czuję, iż mnie rozum odszedł. Poznają, iż się okazuję niegodną Twój przyjaźni. Ale przecie wiiesz: jak wielce cię miłuję — i z chęcią poszłabym dla ciebie przez ogień! Dlatego też spodziewam się, że mi czasami przebaczysz brak na-

mysłu. No, i któż tam będzie dzisiaj u ciebie na obiedzie?

— Pani kasztelanowa wileńska.

— O, to pani — bardzo szacowna! A czy też wiesz, że swe szlachectwo duszy objawia zawsze, ile razy jest u ciebie?

— A czémże miałabym przeciw niej zawinić?

— Aj, dla ciebie opuścił ją książę-podkomorzy!

— No, a więc się to stało bez mojej wiedzy.

Nie uwierzysz, jak natrętnym staje się dla mnie ten człowiek. Jużci wypada mi go u siebie przyjmować, ale to dla mnie prawdziwy krzyż.

— Ach, okrutna: przecież on ma tak dobre serce!

— Być może. Ale jakże może stawać się tak natrętnym, gdy wie, że mam męża, którego kocham nad wszystko, a mój honor przekładam nad życie! Upatruję w tém brak wszelkich, ale to wszelkich względów. Dopiero wczoraj musiałam mu być w pewnym towarzystwie oświadczyć, iż gdyby się jeszcze raz odważył — mówić mi o rzeczach, których nie powinnam słyszeć, wzbroniałabym mu wstęp do mnie bez względu na jego wysokie stanowisko, a spotkawszy go przypadkiem gdzieindziej uciekałabym przed nim jakby przed zarazą. A wypowiedziałam to z takim uniesieniem, iż wszyscy, stojący w pobliżu mogli byli usłyszeć to moje oświadczenie.

— A jakżeż się on zachował?

— Milczał i (powiedziano mi to później) płakał. Ja tego nie widziałam, gdyż już ani razu na niego nie spojrzałam: tak mię oburzyło jego postępowanie.

— Biedny książę!

— Proszę cię siostruniu! nie mów mi o nim więcej. Ujrzysz u mnie dzisiaj pana *Trembeckiego* — poeęę, który u króla pozostaje w wielkich łaskach. Będzie tutaj także hrabia *Dorzping*, twój przywiązany przyjaciel.

— I ja tęcz żywię względem niego szczerą przyjaźń. *C'est un causeur fort agréable!* Zeszłego roku spodobało się mu zabawić w mego wielbięciela, ale to trwało nie długo. Przed dwoma laty wyjechał był książę-jenerał ziem podolskich do Francji: od tego czasu zmienił się znacznie humor pana hrabiego. Wszak wiész, że utracił w Paryżu prawie cały swój ojcowski majątek; przynajmniej nie pozostało mu wiele z niego. Ale go wspiera bardzo wspaniałomyślnie książę-jenerał, który jest protektorem umięętności i ludzi znakomitego pochodzenia; hrabia zaś umięę się okazywać wdzięcznym. Odkąd wyjechała para książęca, ogarnęła go tak wielka tęsknota, iż się nią wszyscy na seryo budujemy. Za wstawieniem się księęcia przyobiecał mu król starostwo. Ach, ten król zrujnuje się wkońcu swemi obietnicami!

— Będzie tęcz u nas i stolnikiewicz.

— Musi on przecie być u ciebie w wielkich łaskach, bo to bardzo poczciwy męszczyzna, a nadto zakochany na zabój w córce księęzny-starościны *Bolimowskięj*. Temi dniami otrzymał zezwolenie rodziców.

— Ach, jakże mięę to cieszy! Albowiem pośród młodszych nasz dom odwiedzających męszczyzn odznacza się on rozumem i skromnością, tudzież

wielkiem ugrzeczniem w obec niewiast, do których się zbliża z wszelką uczciwością; a nadto jest wielce wykształcony. Będzie szczęśliwym z żoną, albowiem księżniczka otrzymała bardzo staranne wychowanie.

— Tak! I nie byłaby też wcale brzydką, gdyby się tylko postarała o odpowiedniejszą toaletę. Nie posiada jużci wiele ducha. Kiedy ją po raz pierwszy przedstawiono u dworu, zadał jej król kilka zwykłych pytań, na które ona dawała całkiem opaczne odpowiedzi. Myślała popisać się wyuczoną lekcją. Ponieważ jej atoli zadawano pytania nie w tym porządku, jakiego się ona spodziewała, możesz sobie wyobrazić, jakim *qui pro quo**) wszystkich ubawiła!

— I ty sama to słyszałaś?

— Nie, Zofio! ale mię o tém powszechnie zapewniano.

— Widzisz: jak jesteś skłoną do wierzenia złośliwym plotkom! Ja sama stałam także obok niej i wiem, iż odpowiadała królowi bardzo rozsądnie. Lecz nie dziwota, iż ludzie pragną „przyprawić łatkę“ skromnemu i bogatemu dziewczęciu! Zapomniałam wspomnieć o najważniejszym gościu. Będzie u nas na obiedzie także pani kasztelanowa kamieniecka. Przekonujesz się: w jakich u niej pozostają łaskach, i nie uwierzysz: jak wielce mię to cieszy!

— Mnie zaś bynajmniej! Przeciwnie, lękam się jej bardzo; toż gdybym się mogła była domyśleć, że ją tutaj zastanę, nie byłabym z pewnością przybyła.

*) Jedno za drugie, zamiana osób — rzeczy, bałamuctwo.

W téj chwili weszli do pokoju *stolnikiewicz z Trembeckim*, za nimi hrabia *Dorzping* — następnie pani *starościna kamieniecka i księżna kasztelanowa wileńska*. Pani starościna ucałowała pierwszą z wielkiem uszanowaniem w ramię; a kasztelanowa ucałowała ją wzajemnie w lica i uściskała. Potem zwróciła się do starosty i rzekła:

— Musisz waszmość mieć wielkie zasługi u Boga, iż panu staroście dał takiego anioła za żonę. Strzeż się waszmość naszych elegantek, aby jój nie popsowały!

Starosta skłonił się i odpowiedział:

— Jesliby to mógł kto uczyńić: to chyba sama pani kasztelanowa dobrodziejka, gdyż okazujesz się względem niój zawsze tak łaskawą, iż ją chwalisz nietylko wobec drugich pań, ale wobec niój samej. Ona téż jest pani kasztelanowej bardzo zobowiązana, toż rodzoną matkę nie miłowałaby więcej. Kiedy się dowiedziała, że jójmość miałaś spędzić tę zimę w stolicy, nie posiadała się z radości.

— Jakto: — zapytała księżna-kasztelanowa wileńska — jójmość zamysłasz spędzić zimę tutaj z nami? Jakżeto szczęśliwa stolica, iż się chcesz z nią znowu pojednać!

— Nie, jaśnie wielmożna księżno! — odpowiedziała kasztelanowa kamieniecka — myślę i teraz tak samo jak dawniej o Warszawie. Za czasów króla z domu *Sasów* była ona rajem; dzisiaj jest piekłem. Niedawno temu dziwił się król-jegomość, że zamysliłam spędzić tutaj zimę, a dopiero — gdy Bóg dozwoli — na przyszlą wiosnę powrócić na Podole. Lecz ja odpowiedziałem królowi:

— Miłościwy panie! już czwarty rok temu: nie mamy sejmu. Brzemienność rzeczypospolitej trwa nad miarę długo, byle tylko nie wydała ona na świat jakiego dziwoląga... Dlatego też myślę tutaj siedzieć jak „baba“ przy położnicy.

Tutaj wszedł pokojowiec starosty i oznajmił, iż zastawiono stół do obiadu.

Starosta kłopotał się poniekąd, kogoby miał być poprowadzić do stołu: księżnę-kasztelanową, czy kasztelanową kamieniecką? Za pierwszą z nich przemawiały wysoki ród i stanowisko jej męża, za drugą wiek sędziwy i pochodzenie. Atoli księżna-kasztelanowa, posiadająca rzadki takt zaoszczędziła trudu staroście i powiedziała z uroczym uśmiechem:

— Panie starosto! przyznaj-no, że nie wiesz, komu z nas przyznać pierwszeństwo! Możebyś nawet postanowił wkońcu poprowadzić mnie do stołu przed panią kasztelanową; a jabym sobie tego w ciągu całego życia nie darowała, gdyby za mną miała iść — *Połocka!* Pani kasztelanowa pozwoli, iż ją ja sama powiodę do stołu!

Była to wielka satysfakcja dla dumy tej jejmości. Podała też ramię księżnie-kasztelanowej — i podążyły obydwie do sali jadalnej. Starosta wiódł podczaszynę litewską; a starościna podała była ramię księciu *Waraginiowi*; za nimi postępowała reszta towarzystwa już bez jakichkolwiek ceremonii. Po pierwszym daniu wniesiono światła; i rozmowa zaczęła się ożywiać. Wspominano o ostatnim balu u księżny *Sapieżyny*, na którym tańczyło sto dwadzieścia par, o gustownym stroju pani starościny *Opeckiej* na zebraniach u króla i o wdzięku, z jakim

panna *Pernet* tańczyła kozaka u pani hetmanowej *Ogińskiej*.

— Czy też państwo wiecie o tém: — zapytał hrabia — jakato przygoda zaszła była u pani hetmanowej z powodu owego kozaka? Państwo wiecie wszyscy: coto za pobożna dama; ma ona u siebie kilkoro szlachcianek, które od ich pierwszej młodości wychowuje, wyposaża i za mąż wydaje. Pośród nich znajdowała się także panna *Pernet*, córka nadwornego marszałka, panienka bardzo urodziwa, która umie tańczyć prześlicznie kozaka. Ile razy pani hetmanowa przyjmuje u siebie gości, kazuje się jój popisywać — może w chęci przywabienia dla niéj kawalera. *La pauvre fille danse quelque fois à perdre l'âme!* Ostatnim razem był u pani hetmanowej łowczy koronny, atoli jak zwykle nieco podchmielony. Spodobał się mu taniec panny *Pernet*: zarzucił ją komplementami i proponował jój otwarcie, aby się od pani hetmanowej przeprowadziła była do niego, obiecywał jój udzielać miesięcznie pięćdziesiąt dukatów „na szpilki“, a gdyby ją sobie był sprzykrzył, wydałby ją za jakiego hulakę. *La demoiselle a manqué de se trouver mal.* Pani hetmanowa dowiadywała się o przyczynę, *mais quand elle eût appris, de quoi s'agissait*: można tam było co usłyszéć!

— A cóż on na to powiedział? — zapytał, śmiejąc się starosta.

— *Il a pris cela très — philosophiquement.* Powiedział: „Niechaj mię licho weźmie: jójmość tak się unosi, jak gdybym był dziewczynę uchwycił za kołnierz. Wszakże jam jój tylko coś zaproponował,

a nie *zaimponował!* Zechce, dobrze; nie zechce, no, to ją nikt nie przymusza.“

Po tych słowach opuścił dom pani hetmanowej i udał się z przyjaciółmi do pani *Piskowej*, gdzie się spotkał z kasztelanem *kujawskim* i starostą *łukowskim*; zabawiali się tam razem aż do godziny piątej zrana, jedli kapłony i raki i pili wino tak długo, aż się już nie mogli ruszyć z miejsca.

— Łowczy koronny — zauważyła księżna-kasztelanowa — wyznaje jawnie hasło naszego stulecia: „*Afficher un goût humiliant pour toutes les femmes, ne sentir véritablement de l'amour pour aucune!*“

— Przepraszam bardzo: — powiedział stolnikiewicz — i obecnie istnieją ludzie, którzy umieją miłować prawdziwie!

— Waszmość też stanowisz wyjątek! — odrzekła księżna — Ja zaś gratulowałam już waszmości, iż zmiękczyłeś serce księżniczki-starościanki, albowiem kto ma zawrzeć związek małżeński, powinien też miłować. Atoli jakże można porównywać nowo-czesną miłość z miłością minionych wieków, kiedyto jeszcze rycerze każdemu udowadniali orężem, iż ich wybrana dama była najpiękniejszą na świecie! A dzisiaj jakżeto wszystko czcze i mroźne!

Na to odpowiedział hrabia:

— Jéjmość wybaczysz, iż się pokuszę o obronę naszych czasów i wymienię kawalera, który względem swój damy w tych dniach okazał galanterią, jaką się zapewne żaden „błędny rycerz“ nie mógł poszczycić.

— Prosimy o nazwanie nam tego bohatera i wyjawienie jego wielkiego czynu!

— Opowiem wszystko, ale tylko za pozwoleniem pani podczaszyny litewskiej.

— Ona na to zezwała! — zawołała księżna — Odpowiedzialność biorę na siebie.

— Nie, księżno! nie mogę mówić, aż mi sama to oświadczy.

— *Ne nous faites pas languir; daj swe przyzwolenie ma chère amie!*

— No, — odpowiedziała podczaszyna — mówże już waszmość, kiedy wszyscy państwo tego się domagają!

Hrabia zwrócił się do księcia Waragina i mówił:

— Mości książę! proszę pamiętać, iż słucham rozkazu pani podczaszyny. Otóż w ostatnich dniach było nas piętnaście osób na wieczorku u pani podczaszyny. Książę zaprosił nas wszystkich na obiad do siebie na dzień następny. Pani podczaszyna była w owym dniu gospodynią. Po obiedzie rozmawiano także i o gastronomii. Książę opowiadał, iż w czasie ostatniej wojny tureckiej w ciągu dwóch tygodni można było dostać jedynie mięsa końskiego, które atoli jego kucharz umiał tak wybornie przyrządzić, iżby niém nie był pogardził żaden smakosz. Na to odpowiedziała podczaszyna: „Jakkolwiek się brzydę koniną, mimoto pozwoliłabym, iżby mię w obecności wszystkich ten pocałował, *ktoby mię uraczył bez méj wiedzy końskiém mięsem.*“ — Zauważyliśmy, że w obec takiej nagrody miała być bezwarunkowo oszukana. Następnego dnia urządził u siebie książę wspaniałą ucztę; a gdy wszyscy stolownicy wychwalali kucharza naszego „Lukulla“,

powstał gospodarz od stołu, ukląkł przed podczaszyną i przypomniał jej daną obietnicę.

— O jakiejto księżę mówisz obietnicy?

— „No, — odrzekł księżę — jéjmość przyobiecałaś, iż się dozwolisz ucałować temu, ktoby panią podczaszynę uraczył koniną. Toż oświadczam z radością, że jéjmość dzisiaj nie pożywałaś żadnego innego mięsa!” — Z początku uważaliśmy to za żart, atoli po sprawdzeniu rzeczy na miejscu w kuchni zaręczyliśmy damom, że tak było, a nie inaczej.

Pani podczaszyna *présenta de bonne grâce ses deux baisers, qui retentissent au fond de nos coeurs...* Ale też potem byłyby chętnie wszystkie obecne damy ucałowały na żądanie księcia, skoro opowiedziano szczegóły téj historyi.

— No, i cóżto było? — zapytała księżna.

— Czy panie odgadnicie: jakąto koniną księżę nas uraczył? Nasz obiad stanowiła jego angielska klacz „Bethy” — *l'admiration de toute Varsovie*, za którą nie chciał przyjąć dwa tysiące dukatów od księcia-podkomorzego. *Le coeur me saigne, quand je pense, que j'ai dévoré une si belle créature!* Czyż księżna powtórzysz jeszcze teraz, że tylko „błędny rycerz” mógłby się zdobyć na tego rodzaju ofiarę wobec swéj damy?

— Prawda! — odpowiedziała księżna — tego rodzaju galanterya musi pokonać wszelki opór. Ale jak mógłś, mości księżę, wydać na śmierć takie arcydzieło natury, jakim była „Bethy?”

— Ponieważ pani podczaszyna — odrzekł Wargin — zgodziła się już na krotochwilę, starałem się, aby przynajmniej potrawa, której się jéj usta

miały dotknąć, o ile możności godną jej była. „Bethy” była mém najdroższém posiadaniem: więc ją ofiarowałem; nikt się temu nie będzie dziwił, kto tylko zna panią podczaszynę.

I w rzeczywistości zadowolenie ze zwycięstwa podniosło tak dalece urok téj pięknej pani, iż nie można się mu było dosyć nadziwić.

— A teraz — dodał hrabia, zwracając się do kasztelanowej — raczy księżna rozstrzygnąć: czy w naszym stuleciu męszczyźni umieją jeszcze miłować?

Kasztelanowa kamieniecka nie podzielała zdania księżny.

— Wyście szaleńcy — powiedziała — i kusicie się o rzeczy niemożliwe. Gdybym była młodą i piękną, a ktoś kazał dla mnie stracić niewinne stworzenie: odmówiłabym mu mego przywiązania! Ale takito już ten świat dzisiejszy!

— Nie dziwię się temu! — przemówił *Trembecki* — Rosya przyłączyła się później od innych państw do europejskiej cywilizacji; lecz nie straciła na tém — *elle n' a reculé que pour mieux sauter*. Odwołuję się do świadectwa pana starosty. Nie uwierzycie państwo: jak dalece do Francji przybyli rosyjscy panowie obudzają zazdrość tamecznych dworzan.

Był to komplement na korzyść obecnego księcia Waragina. Gospodarz, chcąc go sobie jeszcze więcej zobowiązać zawołał:

— Wznieśmy zdrowie naszego poety, który wypowiedział nasze własne zapatrywanie!

— Pijmy zdrowie księcia, — odrzekł *Trembecki* — który mi swemi zaletami podyktował te słowa!

— *Et haec facienda et haec non omittenda!**)

— zauważył stolnikiewicz. Słusznie też mówi dawny poeta: „*Podaj mi chłopcze musującego falerna!*“

— Aj, zgroza: — zawołał uśmiechnięty *Trembecki* — stolnikiewicz zamyśla mię pozbawić chleba! Za rządów królów saskich upijaliśmy się prozaicznie; pod auspicjami zaś dzisiejszego *Augusta* przyprawą poetyczne dowcipy!

Na te słowa nie godziła się jakoś tylko pani kasztelanowa kamieniecka; reszta towarzystwa pochwaliła jawnie wywody poety!

— Moi panowie i panie! — powiedział gospodarz — nie mam wprawdzie falerna, ale posiadam natomiast szampana, którego by nam mogła być pozazdrościć starożytność. Właśnie onegdaj otrzymałem świeży transport z *Silerie*, a więc go spróbujemy.

Zaczęto też obnosić napój, który podówczas był jeszcze rzadkością; toż nawet damy nim nie wzgardziły. Było już zapewne po siódmej godzinie, kiedy towarzystwo powstało od stołu.

Gdy biesiadnicy weszli do sali, zastali w niej kilkoro tymczasem przybyłych gości. Ku wielkiemu ubolewaniu *Zofii* pożegnała towarzystwo kasztelanowa kamieniecka, która zwykła była zawsze opu-

*) I jedno czynić i drugiego nie zaniedbać.

szczać zebranie około godziny ósméj, aby się pomodlić jeszcze z godzinkę przed udaniem się na spoczynek. Kiedy się dla niej wieczór kończył, zaczynał się on dopiero dla innych gości. Zebranie u starosty było bardzo liczne, a salon w krótkim czasie prawie przepełniony.

Zebrały się u niego wszystkie znakomite osoby stolicy i jak najsympatyczniejsi kawalerowie, najpobawniejsze niewiasty w najbogatszych i najgustowniejszych toaletach. Sypały się najdowcipniejsze pomysły, wiészowane improwizacye, żarty „atyckie“ i sentymentalne wynurzenia — to wszystko oblegało jakby ognisko owalny stół, u którego siedząca na sofie gospodyni zabawiała gości. W niejakiem oddaleniu w zagłębieniach u okien i zakątkach siedzieli kawalerowie obok swych dam, usiłując pozyskać sobie ich serca. Księżę Waragin usiadł obok pani podczaszyny, a choć był „ukoronowanym amantem“, zabawiał ją natchnienionémi słowy, które miały być wyrazem stałości jego uczuć.

Wtém zapowiedziano przybycie pani krajczyny koronnéj; powstali wszyscy, a starosta z żoną podszli aż ku drzwiom na jéj powitanie. Krajczyna ucałowała starościneę, jak gdyby była jéj najserdeczniejszą przyjaciółką, skłoniła się z chłodném ugrzeczniem jéj mężowi, który ją poprowadził ku sofie. Krajczyna — byłato kobieta olśniewającéj urody nawet w obec Zofii, odznaczała się gustownym strojem — tém więcéj, ponieważ ten jeden tylko przedmiot zajmował ją na seryo. Jéj ubranie było bardzo skromne: miała na sobie czarną suknię *moire*, na głowie wieniec z drobnych róż, na szyi perły,

które dotychczas w stolicy uchodziły za najpiękniejsze; jój ramiona osłaniał od niechcienia zarzucony wielce kosztowny kaszmirowy szal koloru jasno-żółtego. Czarna suknia potęgowała jeszcze białosc jój płci delikatnej. Chwalono powszechnie jój smukłą kibić, powabną szyję oraz arystokratyczne ręce i stopy, przedewszystkiem zaś usidlające spojrzenie i uśmiech. Warszawa odznaczała się podówczas modą swych niewiast dystygowanych, które się prawie w komplecie zgromadziły owego wieczora u starosty.

Rozmowa ożywiła się znowu, skoro tylko usiadła krajczyna; a służba obnosiła niez mordowanie lody, konfitury i owoce. Naraz wpadły w oczy krajczynie perły na szyi gospodyni; toż rzekła:

— *Ma chère amie*, proszę: zdejm jójmość z szyi swe perły, abyśmy je mogły porównać z mojemi!

Obie zdjęły z szyi swe perły. Kiedy je zaś położono jedne obok drugich, musiał nawet najśmielszy pochlóbca wyznać pani krajczynie, iż jój perły ani czystością, ani rodzimą wartością nie sprostają perłom starościny. Upokorzyło to krajczynę tak dalece, iż już nie chciała wziąć na szyję swe perły. Toż Zofia, wielce ugrzeczniona gospodyni wręczyła do schowania pokojowcowi także i swoje zwycięskie klejnoty. Atoli krajczyna i teraz jeszcze nie przestała się dąsać ku zmartwieniu starosty, ponieważ jój zły humor wpłynął poniekąd ujemnie na zabawę towarzystwa. Rozmowa zaczęła się urywać. Na szczęście ożywił ją znowu młody książę *Sapieha*, naczelnik gwardyi litewskiej, kawaler wielce utalentowany i doświadczony.

— Aj, panie *Trembecki!* — przemówił on —
 W porę przypomniałem sobie zagadnienie waszmości.
 Oddam je pod sąd dzisiejszego zebrania. Proszę,
 sobie wyobrazić, moi państwo: byliśmy wczoraj
 u króla na *zebraniu czwartkowém*. Podkomorzy
 opowiadał następującą historiją: dawno temu —
 wyświadczył był ważną usługę pewien z światem
 obeznany jegomość wróżce, nazwiskiem *Manto*, która
 odwzajemniając się dozwoliła mu wybrać sobie
 żonę — albo dla wszystkich tak brzydką jak ko-
 ronna rejentowa, a dla niego samego tak piękną
 jak starościna wieluńska..

— Mości książę! — przerwała mu starościna —
 powinienes wiedzieć, że z wszelkich opowiadań na-
 leży wyłączać osoby obecne, a więc tém więcej
 przyjaciół, bawiących w gościnie!

— Pani starościna wybaczy: — odrzekł książę —
 ponieważ czynię tylko *sprawozdanie*, więc muszę
 rzecz tak opowiedzieć, jak się przydarzyła. Powta-
 rzam słowa pana *Trembeckiego*; gdybym użył innych,
 mógłby mię on pomówić o kłamstwo, albo przy-
 najmniej o niedokładne sprawozdanie. Powtarzam
 więc: kazała mu sobie obrać albo taką żonę, któ-
 raby się w oczach wszystkich była równała rejento-
 wój, w jego zaś własnych oczach naszej urodziwej
 gospodyni, albo odwrotnie. Następnie zapytał nas
 p. *Trembecki*: którąbyśmy sobie z owych dwojga
 żon byli obrali?

Stolnikiewicz zauważył:

— Wydaje się mi być rzeczą jasną, że każdy
 szuka żony dla siebie, a nie dla drugich.

— Król — powiedział Sapieha — był tego zdania, gdyż rości sobie także prawo do sentymentalnego usposobienia. No, ale *królowi* wolno w téj sprawie wyrokować; ty zaś nie jesteś sędzią kompetentnym, albowiem w kilku tygodniach poślubisz moję kuzynę. Gdy się zaś męszczyzna przysposabia do tak „niebezpiecznego“ kroku, nie może się zwykle poszczycić „zimną krwią“ i przytomnością ducha, jakich wymaga urząd sędziego. Nie masz więc pośród nas głosu; dlatego proszę o milczenie.

— Ja — oświadczył książę Waragin — przebyłem już przed kilku laty to niebezpieczeństwo, więc mógłbym tutaj przemówić; lecz nie pojmuję: jak się można w tego rodzaju sprawie wahać! I cóż to mię obchodzi, jeśli ubóstwiana istota przeze mnie drugim wydaje się być brzydką!

— Odkąd nas książę uraczyłeś przysmakiem z swéj uroczéj „*Bethy*“: — zauważył hrabia — doszedłem do przekonania, iż książę pozostajesz pod wpływem uczuć, które jego otwartość czynią poniekąd wątpliwą. Co do mnie: mogę się uważać za bezstronnego sędzię, albowiem me serce jest zupełnie wolne; toż wyznaję szczerze, że mimoto nie podzielam pańskiego zdania, chociaż za niem głosował mój pan i król.

— Nic téż dziwnego, — powiedziała podczaszyna — albowiem waszmość nie kochałeś nigdy prawdziwie. Było to dla waszmości niepodobieństwem.

— *Ce n'est pas à vous de dire cela!* — odrzekł hrabia — Jéjmość wiész o tém dobrze, że umiem miłować.

— A skądżebym o tém mogła wiedzieć?

— *C'est vrai, que vous avez fait semblant de l'ignorer!* Ale powróćmy do naszego zagadnienia! Miłość własna jest silniejszą, aniżeli uczucia naszego serca.

— Ach, cóż to za niegodziwiec! — zauważyła księżna-kasztelanowa; a podczaszyna i kilka innych pań zgodziły się na jój uwagę.

— Jestem nim dlatego, ponieważ mówię prawdę, a z niewiastami nigdy nie powinno się być otwartym.

— Pozwól, panie hrabio. — rzekł książę Waragin — iż zwrócę na to twoją uwagę, że wielu męszczyzn opuszczają swe żony dlatego, ponieważ one uchodzą u drugich za piękne. Nie znam atoli żadnego wypadku, gdzieby się małżeństwo rozeszło dlatego, że i drudzy podzielali pochlebny sąd małżonka.

— Przepraszam bardzo! — zauważył Sapieha — Jakżeżto często żona, zaniedbywana z powodu rywalki przywabiła męża do siebie tym szczęśliwym pomysłem, iż się starała przypodobać *innemu* męszczyźnie!

— Tak próżny męszczyzna nie zasługuje na to, aby się kobieta z delikatniejszym poczuciem starała o jego przywiązanie.

— Słuszna jest uwaga waszój książęcej mości! — rzekł stolnikiewicz — Kto swe serce poniża miłowaniem *siebie samego*, ten nie zasługuje na posiadanie serca niewiasty.

— To wszystko bardzo piękne i budujące: — zauważył Sapieha — ale to tylko ideały! My zaś

trzymajmy się rzeczywistości! Odczuwamy niezawodnie potrzebę uzyskania pochwały drugich dla naszego wyboru. *Alexander Wielki* oczekiwał pośród swych zwycięskich pochodów z niecierpliwością sądu Ateńczyków o nich: jakżeż można żądać, iżby męszczyzna nie pragnął, aby mu drudzy pochwalili wybraną przez niego oblubienicę!

— Włosi powiadają, — rzekł hrabia — że „*zemsta jest boską roskoszą*“. Ja się z tém zdaniem nie zgadzam. Uważam zaś za najwyższe uszczęśliwienie człowieka, gdy mu drudzy *zazdroszczą*. *Ex-citer lu pitié: c'est la suplice d'un damné!* Gdybym się w kim kochał na zabój i pozyskał sobie miłość wzajemną, gdyby wtedy ludzie mówili: „Biedny ten hrabia: zakochał się w brzydkiej niewieście, a jest uszczęśliwiony, jak gdyby posiadał królestwo!“ — ja utraciłbym rozum ze zazdrości i gniewu. A gdybym się nie mógł oprzeć skłonności własnego serca, natenczas przeprawiłbym się z rozpaczą za morze i ofiarowałbym raczej me usługi buntującym się Amerykanom — *plutôt que de me courber sous le poids d'un amour ridicule!*

— Pan Trembecki — zauważył stolnikiewicz — rzucił pomiędzy nas porządne — *lapis offensionis*.*)

— Pozwolę sobie tutaj uczynić uwagę! — ozwał się starosta — Panowie chcecie rozstrzygnąć spór bez współdziału niewiast, o które się tutaj przecież głównie rozchodzi. Wszak męszczyzna,

*) Dosłownie: kamień obrażenia, jabłko — kość niezgody.

chociażby najwięcej zakochany, który pragnie, aby wybrana niewiasta wydawała się być powabną tylko jego oczom, nie może bynajmniej żądać od ukochanej osoby téj ofiary, iżby się jego bogdanka wszystkim innym nie podobała!

— Pan starosta — powiedział ksiązę Waragin — ugodził w same jądro zagadnienia. W istocie: rozstrzygnięcie sporu należy przed forum pań, albowiem one są tutaj najwięcej interesowanemi.

Na to odpowiedziała pani podczaszyna, spoglądając sentymentalnie na księcia Waragina:

— Jakże téż można mniemać, że prawdziwie miłująca niewiasta może się troszczyć i ze względu na swą urodę o zdanie kogo innego jak nie samego wybrańca jój serca?

— Ależ moja kochana podczaszyno! — odrzekła księżna-kasztelanowa — uchodzenie za brzydką w oczach wszystkich: to przecie zanadto wielka ofiara!

— Tém większa, — zauważyła starościna *Opecka* — ponieważ ona nie zabezpiecza niezmiennego przywiązania i wierności mężczyzny, ale owszem wywiera ten wpływ, że skoro tylko wszyscy nieszczęśliwą niewiastę uznają za brzydką, i mąż pójdzie za ich przykładem.

— A cóż na to powie pani krajczyna koronna? — zapytał ksiązę Sapięha.

Krajczyna, spojrzawszy z ukosa na starostę odpowiedziała żywo:

— Mężczyźni są tak zmienni i obłudni, zapominają tak prędko i łącno o swych przysięgach, iż nie zasługują na żadne ofiary z naszej strony.

Starosta zbliżył się do krajczyny, przemówił do niej coś półgłosem, usiadł obok niej i zabawiał się z nią dalej; lecz otoczenie nie słyszało rozmowy obojga. Można było jedynie zauważyć, iż krajczyna zanadto żywo poruszała wachlarzem. Opodal siedział książę Waragin, obok niego podczaszyna. Szeptali oboje do siebie; a książę okrywał rękę krajczyny pocałunkami. Książę-podkomorzy nie mieszał się dotychczas do rozmowy, zbliżył się teraz z nieśmiałością do starościny; toż księżna-kasztelanowa, która obok niej siedziała, powstała z taktem damy światowej na pozór bezwiednie, w istocie zaś dlatego, aby im nie przeszkadzać w rozmowie. Zwróciła się do księcia Sapiehy i rzekła:

— *Cher princ!* jest mi tutaj zanadto gorąco; poprowadź mię do sali.

Tutaj zastawiała służba wieczerzę. Miano podać coś nowego, mianowicie świeże wprost z *Hamburga* nadeszłe ostrygi. Ponieważ już północ minęła, ustawiono na stole misy i przystawki z zimnem jadłem; w rogu zaś sali wydobywali czterej chłopcy z beczki ostrygi i układali je symetrycznie na duże podstawki, które następnie lokaje na stół zanosili. Książę Sapieha, oprowadzając towarzyszkę po sali nie szczędził dla niej słów sentymentalnych, które ona zdawała się przyjmować zyczliwie. Kiedy atoli książę począł jój oświadczać swe przywiązanie i prosić o wysłuchanie swych błagań, nie dozwoliła mu księżna dokończyć, lecz powiedziała:

— Mój książę! zdaje się mi, że pośród towarzystwa w salonie mogłaby się obudzić myśl, iż

czynimy o niém uwagi. Powróćmy do niego, aby się nie stawać przyczyną podobnej myśli!

Wypadło więc księciu odprowadzić ją napowrót do salonu; a chociaż go to w duszy zasmucało, nie okazywał tego po sobie, lecz wszedłszy do salonu przybrał minę tryumfującą, albowiem w owych czasach, w których uważano za swą pierwszo-rzędną powinność poświęcanie się wyłącznie przygodom miłosnym, nie zależało po największej części modnym kawalerom na tém, aby być rzeczywiście szczęśliwym, ale się tylko nim zdawać.

Kiedy Sapięha z towarzyszką wszedł do salonu, zastał towarzystwo, jeszcze tak samo jak dawniej ugrupowane parami. Żaden natręt, ani niepowołany nie śmiał przerwać nawiązanych dyalogów pojedynczych par. Na najwyższym stopniu udoskonalenia pozostająca znajomość życia zastępowała podówczas w towarzystwach stolicy wszelkie inne zalety i cnoty. Największa niesława spadała przedewszystkiem na człowieka lękliwego, a potem na nie posiadającego należytego taktu. Wszystko było dozwoloném mężczyźnie, który w sobie kojarzył z odpowiednim stopniem śmiałości takt i ugrzecznienie. Tym sposobem ubiegający się o serce niewiasty mógł na to liczyć, iż mu nikt nie miał wejść w drogę, tudzież na ogólne zachęcenie i poparcie. Namiętna skłonność względem niewiasty upoważniała do wszystkiego i wyrabiała salonowcowi pewne stanowisko pośród towarzystwa oraz ogólny szacunek. Stąd wypływało, że młody, dystyngowany mężczyzna z stolicy musiał w razie, jeśli nie był istotnie zakochanym, przynajmniej odgrywać rolę zakochanego, aby sobie za-

pewnie względy towarzystwa. Można tedy sobie wyobrazić, jak ponętnym, a zarazem niebezpiecznym musiał być podobny świat, jak trudną było rzeczą dla pięknej niewiasty zachowanie czystości serca, gdy poniekąd z obowiązku musiała przyjmować hołdy znakomitych z usposobienia uwodzających kawalerów, a całe otoczenie zboczenia z drogi cnoty raczej popierało, aniżeli stawiało przeszkody w tym kierunku. Toż i w salonie starosty zajmował się podówczas zwykle każdy wybranką swego serca. Damy, które nie miały jeszcze wielbicieli, koketowały z niezajętymi jeszcze mężczyznami.

Księżna-kasztelanowa, pozostająca jeszcze ciągle u boku Sapiehy zwróciła jego uwagę na przeciwieństwo dwojga par, których — choć po cichu prowadzona rozmowa zdradzała dostatecznie cel i powodzenie. Był to z jednej strony hrabia, który — zbliżywszy się do starościny Opeckiej zabawiał damę ku jój widocznemu zadowoleniu opowiadaniem o swych podróżach, z drugiej znowu strony ksiączę-podkomorzy, który siedział zasmucony i onieśmielony, lecz nie mógł u niej nic innego osiągnąć jak tylko obojętną grzeczność. Reszta towarzystwa zdawała się być zadowoloną. W pośrodku salonu otaczało poetę Trembeckiego grono słuchaczy, których on zabawiał swemi uwagami z zakresu literatury. Wtém oznajmiła służba, że zastawiono wieczerzę. Powstali więc wszyscy; starosta podał ramię krajczynie, za nimi podążyły inne pary do sali jadalnej.

Stół był bardzo hojnie zastawiony, wspaniale oświetlony i przyozdobiony. Podano ostrygi, które nawet osoby, nie lubiące właściwie tego przy-

smaku nie wzgardziły, licząc się z wymaganiami mody. Tylko sama Zofia nie mogła pokonać wstrętu względem tego wychwalonego jadła. Natomiast podkomorzy *Oldiewicz* pochłaniał formalnie całe sterty ostrygów. Byłto człowiek — mało-mowny, niepokązny i uchodził za ograniczonego; uważał atoli biesiady za arenę, na której odnosił tryumfy. Zjednały mu téż one pewne znaczenie pośród towarzystwa, które się zdawało przywiązywać wagę jedynie do rzeczy nadzwyczajnych. Mówiono o nim: „Patrzcie-no państwo na tego Oldiewicza, który na jedno posiedzenie umie sprzątnąć pół tysiąca ostryg!” Gdy towarzystwo ożywiała ochota, jedno danie następowało po drugim — i szampan wesoło musował: pojawił się nagle sekretarz starosty i zbliżył do niego z jakimś pismem. Starosta wyszedł z sekretarzem do swój pracowni, atoli powrócił niebawem z jak najweselszą miną i powiedział, iż mu wypadło oddalić się na chwilę z towarzystwa, do którego atoli wkrótce, najpóźniej za godzinę miał powrócić. Prosił zatem o zaimprovizowanie balu w jego nieobecności i ustanowił swym zastępcą księcia Waragina.

Wszyscy pragnęli się dowiedzieć: coby było zaszło nowego. Starosta uspakajał pytających oświadczeniem, że to król posłał był po niego.

— Musiało więc zajść coś ważnego! — powiedziała księżna-kasztelanowa — Ja nie mogę czekać na powrót waszmości.

— Przekonasz się księżna, — odpowiedział starosta — że to drobnostka. Może się *Częstochowa*

poddała; a może doniesiono o zgonie którego z europejskich monarchów.

— Ależ jego królewska mość — zauważyła pani krajczyna — miał spędzić dzisiejszy wieczór u księcia-kanclerza.

— Jegomość król — odrzekł starosta — musiał już dawno powrócić na zamek. Książę-kanclerz udaje się zwykle do łóżka o godzinie dziewiątej, a obecnie — tutaj spojrzął na zegarek — (jakże to szybko spływa czas w miłym towarzystwie!) teraz godzina druga. No, ale muzyka czeka: proszę — pozostać aż do mego powrotu, a dowiesz się księżna: dlaczego mię król zawezwał do siebie.

Tutaj zwrócił się starosta do Waragina i dodał:

— Mości książę! chciój w roli gospodarza rozpocząć bal i poprowadzić damy do sali, przeznaczonej dla tańcu!

Następnie zbliżył się starosta do swój żony i rzekł do niej po cichu:

— Dotrzymałem ci, mój aniele, słowa, nie odstąpiłem ani krokiem od ciebie w ciągu całego dnia; teraz muszę się udać do króla. Zabawiają go gości aż do mego powrotu!

Na pożegnanie ucałował rękę i czoło żony.

Gdy towarzystwo przeszło do sali tańców, udał się starosta do garderoby, przywdział spiesznie uniform wojskowy i pojechał do *koszar ujazdowskich*, gdzie jego wiérzchowiec stał zawsze w pogotowiu osiodłany.



X. Gospoda pod Marymontem



pół-milowém oddaleniu od rogatki w *Marymoncie* stoi gospoda, która należała do starostwa warszawskiego i w różnych czasach różnie się nazywała. W czasie naszej powieści nazywano ją „*Bryłówką*“, a to dlatego, ponieważ ją pan *Brühl*, starosta warszawski na swój koszt kazał być pokryć dachówką, albowiem przedtem była pokryta tylko słomą. Atoli ten budynek nie wyglądał podówczas wcale tak pięknie jak obecnie. Nawet jego ściany nie były równe; niesymetrycznie umieszczone okna były podobne do ócz zézowatych, a komin pochylał się w jedną stronę, jak gdyby skinieniami chciał być przechodniów zapraszać na kieliszek napitku. Mimoto przynosiła ta gospoda znaczniejsze dochody, aniżeli niejeden wspaniały budynek w stolicy, ponieważ ją tak z powodu położenia jakotóż taniiej wódki osobiwie w nie-

dziele i dni świąteczne odwiedzał tłumnie lud pospolicity z Warszawy. Gospodarzem był tam niejaki *Kieść* — stary Kaszub, który w ciągu wielu lat służył był za hajduka u starosty warszawskiego pana *Brühla*, aż wkońcu dostał się na karczmarza. Zżył się zaś tak ściśle z swą gospodą, że jakkolwiek później nastąpił inny w Warszawie starosta, on nie dozwolił się wyrugować z dzierżawy, owszem sam dobrowolnie zwiększył czynsz i umiał się utrzymać w posiadaniu gospody.

Ale też ten *Kieść* starał się wszelkimi siłami wyłącznie o rozszerzenie swego „interesu“ i pomnożenie gotowizny. I w istocie ucieszył go w jednym i drugim rozwój progresyjny. Po dziesięcio-letniej gospodarce, która się mu szczęściła, będąc kawalerem przyszedł do przekonania, iż się mu miało prawdopodobnie wieść jeszcze lepiej, gdyby był gospodarzył we dwójkę z żoną. Zaczął więc rozmyślać o sposobie, jakimby był mógł pozyskać sobie dobrą gospodynię. Czynił tu i owdzie odpowiednie poszukiwania, aż wreszcie napotkał w garkuchni przy ulicy *Elektorskiej* u starłej karczmarki, z którą pozostawał w stósunkach „handlowych“, dziewczynę, podobającą się jego oczom. Była to dziewczyna jeszcze młoda, piękna i obrotna, służyła w garkuchni przy rzeczonj ulicy, gdzie się po największej części „stołowali“ gwardziści i pańscy lokaje, i była ku uradowaniu serca naszego *Kieścia* wtajemniczoną we wszelkie sekrety szynkarstwa. Nie gniewało go to i nie oburzało wcale, iż w okazywaniu miłosnej sympatii była hojną, gdyż zauważył był oddawna, iż umiała w tym względzie czynić różnice. Dla żół-

nierzy, których stan i powołanie nie licowały z bogactwem, najzupełniej niedostępna, a nawet dzika i karcąca, jeśli się który zbliżył do niej z oświadczeniami miłości, okazywała tém większe ugrzecznienie wobec lokajów i innych służących — zwłaszcza, gdy należeli do poważanych i znakomitych domów. Pieniądz, lub cenny zastaw miękcył natychmiast jój serce; znano ją z téj strony tak powszechnie, iż nikt, kto nie miał dla niej przygotowanego talara, nie śmiał sobie pochlebiać nadzieją pozyskania jój sobie, choćby tylko chwilowo czułém i ugrzecznioném zachowaniem. Była téż tak wielce oszczędna, iż miała już w skrzynce woreczek zebranych talarów, a rzadko mijał dzień, w którymby się nie był powiększył jój kapitał. Rozważył sobie Kieść to wszystko należycie; jużci pomyślał i o tém, że liczył już siedmdziesiąt kilka lat, czuł się przecież jeszcze zdrowym i krzepkim. Pamiętał o tém, że dziewczyna lgnęła do gości, ale mówił sobie i to, że mu to nie miało zaszkodzić, a ona z pewnością nie wyniosłaby była nic z domu. Że zaś była urodziwą, miała tém więcej zwabiać gości do szynku. Słowem: przyszedł w rezultacie do przekonania, iż potrzebował żony i gospodyni, na które się mu najzupełniej nadawała owa dziewczyna. Nadto zauważył jój obrotność we wszelkich sprawach i niepospolity rozsądek: a to było dla niego rękojmią, iż miała zapewne przyjąć jego propozycyą.

Po wielokrotnej dojrzałej rozwadze zaczął pewnego dnia, kiedy dziewczynę zastał w szynku, odgrywać rolę czulego. Ponieważ atoli powszechnie

wiedziano, iż Kieść dla wszystkich piękności na świecie byłby z trudnością poświęcił talara, więc Ewka odwzajemniała jego uprzejmość tylko pogardliwem spojrzeniem, pozbyła się jego dalszego natręctwa z całą „powagą“ szynkarki i przysiadła się dla figlów do jednego z lokajów w celu zdrwienia sobie ze „starego grzyba“. On zaś udał, że na to nie zważał, skinął ręką na pożegnanie i postanowił wkrótce przyjść ponownie. Zaglądnął też wkrótce znowu do właścicielki garkuchni, ponieważ pozostawał z nią w więcej, aniżeli przyjaznych stósunkach, dostarczał jej wódki i pobierał za to wcale przyzwoitą tantiemę, a nadto miał u niej bezpłatne śniadania i obiady, ile razy w interesie przybył do miasta. Poważała go też jejmość wielce, miała go za człowieka — bardzo roztropnego; toż gdyby się jej był Kieść oświadczył, nie byłaby mu swęj ręki odmówiła, ale on myślał o czém inném. Rozmawiał z nią w alkwie pozornie o zupełnie obojętnych rzeczach: o gospodarstwie, o jej szynku i miał właśnie rozmowę skierować na inny przedmiot, kiedy mu gospodyni w porę opowiedziała następujące zajście:

— Słuszniето mówią ludzie, że komu Bóg nie poskąpił rozumu, ten nie potrzebuje się uczyć. Moja Ewcia, chociaż jest jeszcze młodą, posiada więcej, aniżeli ja dowcipu. Wczoraj zaglądnął do mnie służący kasztelana z pałacu saskiego, kazał sobie przynieść kufel piwa i zaczął się umizgać do dziewczyny. Ponieważ się jednak Ewka „boczyła“, wy dobył z kieszeni zégarek i rzekł do niej: „Kochana

Ewciu! co moje — to twoje*), a co twoje, będzie mojem! Czy zgoda?“ Sądziłam, że dziewczyna miała dobić targu. Bo to jużci prawda, że jest ładną dziewczyną, ale i zegarek był ładny. A czy waszeć myślisz, że ona to uczyniła? Boże uchowaj! Ofuknęła go, jak gdyby jój był co złego wyrządził, i powiedziała, ażeby się do niój nie zbliżał ze swym zegarkiem. Koniec końców: lokajczyk kasztelana musiał odejść z „kwitkiem“. Kiedy zostałam z Ewką sam na sam, zaczęłam jój przedstawiać: „Ależ Ewciu! co téż ty sobie myślisz? Zegarek wart dziesięć, albo więcéj talarów!“ — No, wiész waszeć, co mi na to odpowiedziała? — „Ba, gdyby ten zegarek był przyniósł lokaj polskiego pana, sprawa byłaby odmienna. Albowiem, gdyby zegarek był nawet skradziony: taki polski pan nie pyta tak wiele o stratę; w najgorszym razie osmaga służbę i na tém — koniec! Jeśliby atoli zabrano co takiemu obcemu i to Niemcowi, jakim jest kasztelan, narobiłby on skandalu i przewróciłby do góry nogami cale miasto przy pomocy policyantów, którzyby wszystko przetrząsali, ażby odszukali „szkodę“. Przyszłaby kolój

*) Według staro-dawnój talmudowój klasyfikacji naszego rodu istnieją cztery gatunki ludzi. Kto powiada: „Co *moje*, niechaj będzie *mojem* — a co *twoje*, niechaj będzie *twojem*!“ — ten należy do gatunku średniego czyli jest Sodomitą. Kto mówi: „Co *moje*, niechaj będzie *twojem*, a co *twoje*, niechaj będzie *mojem*!“ — ten jest nierozumnym. Kto powiada: „Co *moje*, niechaj będzie *twojem*, a co *twoje*, niechaj będzie *także twojem*!“ — ten jest miłosiernym i pobożnym. Kto mówi: „Co *moje*, niechaj będzie *mojem*, a co *twoje*, niechaj będzie *także mojem*!“ — ten jest człowiekiem złym i bezbożnym.

i na moję skrzynię: a jabym przecie chciała tego uniknąć! Raczej powoli a uczciwie, niż niebezpiecznie, choć skwapliwie!“ No, cóż waszeć na to: czy znajdzie wiele takich dziewcząt?

Tém opowiadaniem „dobiła“ gospodyni Kieścia, który ją pożegnał i wyszedł w ulicę w celu zaczerpnięcia świeżego powietrza. Przechadzając się potem tam i sam boczną ulicą mówił sobie prawie w głos:

— A to „skarb chodzący“: ta Ewka! Z taką żoną możnaby przecie i bez filozofii doprowadzić do czegoś porządnego, bo w niej kojarzy się wszystko: jest ona gospodarną, roztropną i oględną. Tak, tak: ona musi być moją; wypada się mi atoli pospieszyć, aby mi jój kto z pod nosa nie sprzątnął; byłoby to osobliwszą rzeczą, gdyby się na niej w tak wielkiem mieście oprócz mnie nikt więcej nie poznał!

Po chwili nawrócił nagle i wszedł do szynku. Stara gospodyni leżała już w łóżku; zastał więc Ewkę — samę i rozpoczął sprawę tém, iż jój chciał ucałować rękę. Atoli dziewczyna sądziła, że to miało być przegrywką do kontynuowania przed niedawnym czasem rozpoczętych umizgów, toż go ofuknęła surowo:

— A to co ma znaczyć, ty stary sknéro? Z tego nic nie będzie. Wszakbyście sobie dozwolił raczej serce wydrzeć z ciała, aniżeli talara z kieszeni! I to się ma podobać dziewczętom!

— Posłuchaj-no Ewciu! ja nie chcę tego, o czém ty myślisz. Biorę rzecz na seryo! Jeśli zechcesz być moją, będziesz gospodynią, panią w Bryłównce. Czyżby to nie było korzystniejszém, aniżeli służenie w szynku, chociażby przy ulicy *Elektorskiej*?

— Czy waszeć żartujesz, panie Kieść, czy mówisz prawdę? — zapytała Ewka ze spuszczonei oczyma.

— Boże uchwaj! ja nie żartuję. Czyż mię uważasz za próżniaka, iżbym wielko-miejskim obyczajem zalecał się całemi tygodniami? Ba, chociażbym nawet chciał: nie miałbym na to czasu. Kiedy tutaj z tobą rozmawiam, kręci się mi w mózgownicy całe gospodarstwo. Czyż wiem: co się teraz święci tam w Brylówce? Czy mam żonę, któraby się o wszystko starała, kiedy mnie nie ma w domu? Mam jużci czeladź: chłopaka do rąbania drzewa, starą babę która gotuje strawę, i młokosa, który mi dopomaga w wyszynku trunków; ale gdy mnie nie ma w domu, idzie w nim wszystko na opak. W domu tóż wypada być to tutaj, to tam, załatwiać spory ludzi, ku pojednaniu doradzać ten, lub ów trunek — słowem, na co mam wiele rozprawiać: należy się także znać na rachunku. Wiész o tém o wiele lepiej; toż właśnie potrzeba mi na stare lata takięj jak ty gospodyni; ale tóż za to sprowadzę cię od ołtarza wprost do méj gospody.

— No, ta mowa jużci cokolwiek rozsądniejsza; ale może pan Kieść jesteś popędliwym? A gdyby go tóż kiedy nawiedziła zazdrość: bo ja prawdziwie nie byłabym temu winna?

— Ja i zazdrosny, moja duszyczko? A za kogożto mię uważasz? Czy sądzisz, iż pragnę cię poświęcić jedynie dla umizgów? Wszakże od małego pozostawałem w służbie u znakomitych panów, abym mógł wiedzieć: co się w świecie dzieje! Czy sądzisz że ja *chłop* i patrzeć się będą ciągle na żonę jak

zółwica na swe jaja? Mnie na tém zależy, iżbyś prowadziła porządnie gospodarstwo, na wszystko uważała i starała się o wyszynkowanie każdo-razowego zapasu trunków. Zresztą mogłabyś robić, coby się ci podobało, byleby nie było jakiego ubytku w domu, gdyż wtedy u mnie nie ma żartów. No, Ewko! oświadczyć się, gdyż sobie poszukam innéj dziewczyny.

— Jeśli taka wola boża, abym była żoną waszeczki: cóż mogę uczynić innego?

— A więc obudzimy staruchę, aby nam pobłogosławiła.

Stało się według życzenia Kieścica. Gospodyni Ewki zdziwiła się z początku i gniewała, lecz wkońcu musiała się do jéj próśby przychylić. Następnego dnia udali się narzeczeni do księdza, który ogłosił zapowiedź. W ciągu całego przed-weselnego czasu nie pokazywał się Kieść w mieście, doglądał swego szynku tém surowiej, ażeby sobie służba nie pozwoliła przypadkiem dowolności w przekonaniu, że pan zajęty jest narzeczoną. Ewka tymczasem żegnała się ze wszystkimi przyjaciółmi i wielbicielami i przyjmowała ze wszech stron podarki i upominki, aby się móc potém przed mężem pochwalić, że — jeśli on był bogatym: i ona nie była bynajmniej całkiem ubogą.

Wreszcie odbył się ślub. Właścicielka gar-kuchni i szynku wystąpiła teraz wprawdzie z rachunkiem, atoli Ewka nie chciała ani słyszeć o jéj pretensjach; a kiedy jeszcze i jéj mąż poparł w téj sprawie żonę i zagroził starusze zerwaniem stósunków „handlowych“, gdyby — nawet w najmniejszej części wysługę Ewki uszczupliła, udobruchała się poniekąd, a nadto, chcąc błąd naprawić i utrzymać

nadal przyjazne stósunki z nowożeńcami dozwoliła im w swym domu odbyć wesele. Następnego dnia sprowadził Kieść żonę i jój skrzynię dwu-konnym wózkiem do swój posiadłości.

Zacna para żyła w ciągu kilku lat wzorowo bez kłótni i sporów; oboje mieli ten sam cel przed oczyma tj. gromadzenie pieniędzy, troszcząc się już mniej o to: jak — i skądby je ściągać. Nie pomylił się Kieść i uważał siebie za najszcześniejszego człowieka. Lokaje wykradali się nocą z miasta w celu odnawiania dawniejszój przyjaźni z Ewką. Czy się temu i owemu udało nawiązać z nią dawny stósunek miłosny: to inne pytanie. To przecie jest rzeczą pewną, iż pozostawiali w szynku wszystko swoje, co miało większą wartość. Kieść radował się w duchu niezmiernie tém, iż wziął w dom tak cenną „pochodnię“, tak nieoszacowany „skarb“; miał atoli niebawem jeszcze lepiej poznać wartość swój żony. Dopuscił się mianowicie podówczas oszustwa cłowego, które wysłędzono. Toż nieszczęśliwy właściciel Bryłówki upatrywał przed sobą pewną ruinę, a nawet lękał się pręgięrza z powodu popełnionego przemytnictwa. Lecz go ocaliła Ewka. Obchodziła ona kolejno wszystkich wpływowych urzędników, odgrywała wobec nich rolę naiwnój wiejskiej kobiety, przywiązanej bez granic do męża, nie szczędziła łez, padała — gdzie mogła — do nóg ludziom w celu wzbudzenia litości i starała się zobowiązać ich sobie wszelkim jeszcze dozwolonym sposobem. Bez uronienia grosza udało się jój sprytnością i poświęceniem wkońcu sprawę korzystnie uporządkować. Tém tak dalece ujęła sobie męża, iż od owego czasu rządziła już nieograni-

czenie w szynku i całym gospodarstwie. Kieść stał się jej „uległym służką“ i poprzestawał w życiu na paleniu lulki, podziwianiu w duchu znakomitego rozumu żony i delektowaniu się wspólnie nabytymi pieniędzmi.

W nocy z 17. na 18. listopada migotało u nich w izbie gościnnéj samotne światelko, gdyż nie było żadnych gości. Małżonkowie spoczywali w alkwie, stara zaś szafarka w szynku na przypiecku, aby mogła powstać natychmiast na każde zawołanie. Z powodu przykrego stanu powietrza nikt nie zaglądnął do gospody i dlatego téż udali się Kieścio- wie do łóżka wcześniej niż zwykle: atoli oboje nie spali, gdyż podobno szynkarze wielko-miejscy zostali wykluczeni od błogosławieństwa snu spokojnego.

— Ewko! — przemówił Kieść — dzisiaj nie chce nas rzeczywiście nikt uszczęśliwić; a szkoda, bo taka noc przynosi przecie z sobą stratę.

— Leżałbyś téż spokojnie staruchu! — odrzekła Ewa — toć to istny grzech, gdy kto sobie nie może nigdy „gęby zapchać do syta.“ A któżbyto miał aż do nas się przedzierać w taką śnieżycę? Jeśli chcesz mieć gości każdej nocy, to sobie wynajmij szynk w mieście! A czyliśmy to już od gości nie zebrali dosyć, gdy możemy obecnie wyżyć spokojnie, choćby nikt nie zaglądnął do szynku?

— To prawda, moja Ewko, wczoraj był dla nas dobry dzień: zarobiliśmy trzy bite talary i 40 złotych; nadto zostawiono u nas: *cztery siekiery, dwie skórki cielęce, dwie książki do nabożeństwa, całkiem nowy kaftan, trzy cienkie chusteczki, godło z perłowej macicy i resztki świec woskowych.* Będzie

z tego czwarty talar. Widzisz: chociaż jestem stary, wiem przecie dokładnie, co wpływa do „kasy.“

— No, staruchu! a więc możemy przecie za to dzisiaj nieco wypocząć?

— Tak! Nie sprzeciwiam się temu. Powinnaś atoli zawsze i o tém myśleć, że i u nas są wydatki. Nie mało kosztuje utrzymanie gospodarstwa, rata dzierżawna dla pełnomocnika pana starosty także przed drzwiami, a nadto wypada obmyśleć podarek zwykły dla pełnomocnika na to, aby nam tutaj dozwolił i nadal siedzieć spokojnie.

— Nie policzyłeś atoli najlepszycy wczorajszych „akcydensów.“

— Jakieżto były te akcydensy?

— Pięć łyżek stołowych, które nam przyniósł woźnica miecznika koronnego. Ten nicpoń sądził zapewne, iż będzie mógł za to pić kilka tygodni, ale ja odprawiłam go już w pół godziny z kwitkiem.

— Ależ na *Bachusa!* gdzie podziałas to srebro?

— Ot, widzisz: jak to dobrze, iż możesz swe stare kości wywczasować i w najważniejszych sprawach mną się zastąpić. Ale ja téż z pewnością się nie zestarzeję, gdy będę wiodła dalej to psie życie?*)

— Nie trać tylko ducha Ewko! A czyżto i ja na stare lata nie pracuję? Ot, już w téj chwili wydaje się mi, jak gdybym był cały dzień w łóżku

*) Przepraszamy bardzo za wyrażenie autentyczne i charakterystyczne, gdyż go nam zmieniać nie wolno.

przeleżał: tak się mi „dłuży“, gdy nie mam nic do czynienia! Ale wypadło ci było widzieć mię, kiedy tutaj sam gospodarzyłem: wówczas byłem dniem i nocą na nogach.

— To prawda! Nagrzebałeś téż za to dość grosza do kupy. Szkoda tylko, że miewasz zawsze więcej słów w ustach, aniżeli talarów w s'krzyni! I cóżbyś ty był wart beze mnie? Odkąd ja tutaj jestem: posiadasz więcej talarów, aniżeli przedtem złotych. Zdaje się ci, że jesteś wielkim gospodarzem; a ty się właściwie tylko przechwalasz. A czyżto tak dawno oduczyłam cię od wożenia wódki do miasta? A cóżbyś był uczynił z owém przemyślnictwem, gdyby mnie nie było? Ale ty zawsze jednaki! Kiedyśmy otrzymali srebro od woźnicy: cieszyłeś się jak dziecko i — więcej nic! Ja zaś zaraz raniutko, kiedy ty jeszcze spałeś, stopiłam łyżki w tyglu, bo to byłoby przecie hańbą, gdyby u nas kiedy znaleziono cudzą własność. A możeby z tego wynikła jeszcze gorsza sprawa! Widzisz Kieściu! że twoja żona nie jest bita w ciemię.

— Aczyżto ja chłopski parobek, abym nie poznawał: jaka z ciebie kobieta? Tobie być żoną raczej wojewody, a nie szynkarza! Wszak nabrałem ogłady w pańskich dworach i niezawodnie widziałem i słyszałem wiele; zważałem zawsze na własną korzyść — ale wobec ciebie sam sobie wydaję się być głupim frycem! Kiedy zeszlęj niedzieli pozostałaś w domu, a ja poszedłem do kościoła, aby się za nas oboje pomodlić, mówił ksiądz bardzo pięknie o błogosławieństwie bożém, jakie dobra żona wnosi w dom męża. I zaraz pomyślałem sobie o tobie Ewko!

z taką serdecznością, iż się mi łzy w oczach zakręciły. Jesteś w istocie moim aniołem-stróżem, to też cię za to pocałuję.

— Leż-no, leż spokojnie staruchu! Powiedziałeś sam przed ślubem, iż mię pragnąłeś pojąć za żonę nie dla czułości, lecz dla prowadzenia wspólnie z mną gospodarstwa. Co podówczas przyobiecałam, tego też dotrzymam. Przedewszystkiem musimy jeszcze zaoszczędzić grosza; a potem zobaczymy, czy nie będziemy mogli wkońcu porzucić szynkarstwo.

— A cóżbyś ty wtedy właściwie poczęła moja duszko?

— Zakupimy sobie dom w mieście, nie koniecznie tak wielki i będziemy wiedli życie, podobające się Panu Bogu.

— A z czegoż-to moje dziecko?

— Z czego? A z czegoż-to żyją ludzie *uczciwi*? A czyż-to nie możemy także znakomitym osobom i jegomościom w mieście pożyczać pieniądze na procent, albo przyjmować zastawy? Moglibyśmy przecie ludziom śmiało w oczy patrzeć, a nie jak dzisiaj przed każdym się kurczyć. Jużem sobie zbrzydziła to całe szynkarstwo. Na ostatniej spowiedzi mówił mi ksiądz takie rzeczy, iż się mi na głowie włosy jężyły. Ale ty sobie z tego nic nie robisz. Za sto złotych sprzedałbyś duszę dyabłu; lecz ja sobie od *Wielkanocy* nie mogę dać rady, lękam się czegoś bezwiednie. Jak długo się z młodymi ludźmi zabawiam przy szklanicy, zdaje się mi, że jestem wesołą; ale kiedy się usunę w samotność, albo przebywam z tobą, nachodzi mię wielki smutek. Atoli na co mam dłużej o tém z tobą mówić, gdy tego nie poj-

mujesz? Dla ciebie nie byłoby nic gorszego, gdyby ci tylko przy tém grosz kapał do kieszeni. Piękny mąż z ciebie!

— A przecież bałaś się z początku, abym się nie stał zazdrosnym.

— Milcz, stary nicponiu, i spij, jeśli masz czyste sumienie! Myślę, że ci nikt nie przeszkodzi w taką śnieżyć.

Nastąpiło milczenie. Po niejakiem czasie potracił Kieść z lekka swą połowicę i rzekł:

— Słuchaj-no Ewko! zdaje się mi, że do nas zagładną jeszcze goście.

— Przyśniło się ci zapewne! — odpowiedziała Ewka z poziewaniem — A przecież: stary ma dobry słuch... Puka ktoś rzeczywiście do okna.

— Kto tam?

— Otwierajcie do stu dyabłów, albo każę wam karczmę podpalić! — zawołał ktoś na dworze gromkim i przenikliwym głosem.

— Wstawaj stary hultaju! — powiedziała Ewka — Idź przyjąć gości i obudź Martę w szynku; ja tymczasem przywdzieję co na siebie.

Kieść przywdział buty i kozuch, wyszedł na dwór i otworzył bramę dziedzińcową.

Na podwórze wjechali czterej jeźdźcy i posiadali z koni.

— Gdzie się znajdujemy? Co to za karczma? — zapytał Łukawski, gdyż to on obudził Kieściów. Czytelnik zaś z łatwością odgadnie, jakich on miał towarzyszków.

— Powiedz nam staruchu! czy jeszcze daleko do karczmy *Celinówki*?

— Tutejsza karczma — odrzekł Kieść — nazywa się Bryłówką; ćwierć mili stąd jest odległy *most marymoncki*; a do karczmy Celinówki jest milka drogi. Jadąc sporym kłusem można w niej stanąć w trzech kwadransach.

— Do stu dyabłów: tośmy haniebnie zmylili drogę; no, no — trzeba będzie błąd naprawić.

Tymczasem poprowadzono konie do żłobu; a podróżni weszli do izby wraz z jegomością, osłoniętym kosztownymi szopami, który ciągle milczał. Ewka przywdziała już była suknię i krzątała się ze zwykłym uprzejmym uśmiechem około gości, zerkając każdemu z ukosa w oczy.

Łukawski zaprowadził swego towarzysza w szopach do alkowy i rzekł:

— Tutaj będziesz waszmość na mnie czekał: wszak można wypocząć na łóżku gospodarza. Proszę nawet o to, gdyż wkrótce musimy dalej jechać.

Potem zwrócił się do drugiego towarzysza i powiedział:

— *Kuźma!* uważaj mi na niego, trzymaj pistolet w ręku i nie spuszcza z ocz naszego jegomości. Wszak znasz swą powinność, gdyby chciał uciąć, albo, choć się tego nie spodziewam, gdyby mu kto przybył w pomoc. Pozostawiam ci tutaj jeszcze *Jaszczułta*; (tak się nazywał ów szeregowiec, którego Łukawski zaszczycał swém całkowitem zaufaniem) — ja z panem Michałem poszukamy drugich i sprowadzimy ich tutaj.

Do Kieścia zaś powiedział:

— A waszeć, panie gospodarzu, znając zapewne doskonale tutejsze drogi musisz dosiąść konia

i pojechać z nami do Celinówki. Za to otrzymasz trzy dukaty, tylko się nie ociągaj; nie ma na to rady!

Mówiąc ostatnie słowa pokazał mu lufę pistoletu.

— No, staruchù! — powiedziała Ewka — wszak trzy dukaty nie spadną, doprawdy z dęszcem. Dalejże w drogę: dokąd jegomość nakazuje!

— A cóż mogę innego uczynić, — odpowiedział Kieść — gdy prośby są tak naglące.

— Do widzenia! — rzekł Łukawski do Kosińskiego i Jaszczułta, wyszedł z izby i podążył za Kieściem do stajni.

Kiedy Kieść z Łukawskim i wojskim, wsiadłszy na koń opuścili gospodę, było około jedenastej godziny w nocy.

Niezajomy siadł na łóżko, po niejakiem czasie powstał znowu, zrzucił z siebie futro, ukląkł i zaczął się modlić. Kosiński, trzymający pistolet w rękę siedział na skrzyni w pobliżu drzwi i uważał nieustannie na jeńca.

Jaszczułt i Ewka weszli do szynkowni. Ewka chciała się z nim właśnie bliżej zapoznać, atoli za ledwo się mu dokładniej przyglądnęła, zbliżyła światło ku swój twarzy i zawołała:

— Czyż mnie zatem już nie poznajesz Jakóbie? Może się tak zmieniłam w ciągu tych czterech lat?

— Ach, moja kochana Ewciu! — odpowiedział żołnierz; i oboje spoczęli wzajemnie w swych objęciach.

Dla wyjaśnienia rzeczy wypada nam coś więcej powiedzieć o tym żołnierzu. Nazywał się on wła-

ściwie *Flicz* i był od kolébki osławionym nicponiem. Magistrat miasta F*. dał mu już niejednokrotnie upominek za popełnione przez niego kradzieże; atoli to stało się jedynie przyczyną, iż się Flicz połączył z podobnemi indywiduami i kontynuował swe rzemiosło publicznie na wielką skalę.

Nazwisko Flicza żyje dodziśdnia w ludowém podaniu, gdyż ten człowiek był przez długie czasy postrachem owéj okolicy, mianowicie w pobliżu *Poznania, Kalisza i Sieradza*, kędy on rozwijał swą nadzwyczajną zuchwałość i przebiegłość nakładając formalną kontrybucyą na posiadłości i podróży. Kierowała nim zaś nietylko sama chciwość, gdyż miał także inne cele na oku, niekiedy nawet szlachetniejszej natury, a zarazem świadczące, iż nawet w upadłém stworzeniu bożém można się dopatrzeć iskierki bożego światła Stwórcy. Najczęściej atoli włamywał się on do cudzych domostw i rabował w celu zaspokojenia swéj skłonności do występku i namiętności. I tak postanowił pewnego razu pomścić się na burmistrzu miasta F*. za odniesioną z jego rozkazu karę. Udawszy się w tym celu do miasta doznał rozczarowania, gdyż go jeden z towarzyszów, który chciał doznać przyobiecane go ułaskawienia, zdradził; potem ujęto Flicza i skazano go na stracenie. Atoli sprytnemu winowajcy udało się umknąć w porę z więzienia i wydostać z miasta. Od owegoto czasu stanął on na czele bandy opryszków, która się w okolicy Sieradza przez długi czas nawet wysyłanej przeciw niéj sile zbrojnej opierała.

Śmiałość Flicza była tak wielka, iż się odważył nawet napaść w pobliżu Lissy na wielki transport,

pozostający pod wojskową eskortą księcia *Sułkowskiego*. Natrafił atoli na niespodziany opór. Największa część jego ludzi przypłaciła hazard życiem, lub utratą wolności; on sam dostał się do więzienia. Jego towarzyszków powieszono w Lissie; jego zaś samego odesłano pod silną eskortą do miasta F*. ponieważ tamtejszy magistrat spodziewał się uzyskać u niego różne wyjaśnienia. O tym samym czasie wzmogła się wojna domowa także w Wielkopolsce; toż urzędowy konwój spotkał się z ludźmi pułkownika Łukawskiego, który każdemu przybywał w pomoc, kogo tylko rząd — słusznie, czy niesłusznie — ścigał. Od owego czasu rozpoczyna się nowa epoka w życiu tego zbrodniarza; poprzysiągł on wierność konfederacyi i odznaczał się nie tylko szczerem przywiązaniem, ale także punktualnym posłuszeństwem, śmiałością i poświęceniem tak, iż sobie w krótkim czasie pozyskał nieograniczone zaufanie Łukawskiego. Łukawski używał go nie tylko w boju, ale mu powierzał także wykonanie różnych zleceń, nadawszy mu nazwisko Jaszczuła. Pod tém nazwiskiem umiał się ten dawny rabuś wszędzie wkręcać do osób znakomitych i prostaczków, do miast i wsi, a osobliwie do Warszawy. Polecenia swego naczelnika spełniał zawsze najpunctualniiej i z wielką dokładnością. Bawiac w Warszawie zapoznał się był pod imieniem *Jakóba* w garkuchni przy ulicy *Elektorskiej* z Ewką i sprowadził ją piérwszy na drogę rozwiozłości i niemoralności, na której ona już potem sama czyniła dalsze postępy. Może się to wyda rzeczą osobliwszą, ale pewnie nie jest nową: Ewka miłowała go namiętnie i do niego samego lgnęła zawsze szczerze,

Ile razy Jakób był w Warszawie, nie chciała o wszystkich innych amantach ani słyszeć i zajmowała się wyłącznie nim. Mimo swego sknérstwa nie szczędziła darów dla niego, pochlebiając sobie nadzieją, iż się z nim kiedyś miała na zawsze połączyć. Nawet po poślubieniu Kieścia spodziewała się i pocieszała myślą, iż się miała prędzéj, lub późniéj pozbyć brzydkiego starca i pogrzebawszy go połączyć się u ołtarza z Jakóbem. Postanowiła téż sobie pod *jégo* opieką powrócić na drogę cnoty, którą już od tylu lat była opuściła. I któżby temu uwierzył: zbrodniarz podzielał uczucia Ewki, chociaż się oboje od jéj zamążpójścia nie widzieli.

Wielka téż była jéj radość, kiedy się oboje tak niespodzianie zesзли.

— Moja kochana Ewko! — przemówił Flicz — a więc wolałaś przecie wziąć tego łyska z siwą brodą, aniżeli czekać na mnie! Ale, zdaje się, że się tutaj tobie i tak nie źle wiedzie.

— No, przy bożej pomocy nie braknie nam jużci pieniędzy, ale one same ludzi nie uszczęśliwiają. Bywałeś tutaj i nie bywałeś, nie dawałeś przez długi czas znaku życia o sobie: toć dziewczyna nie może na wieki pozostawać panną! Zjawił się téż stary zamożny Kieść i zapytał, czybym mu chciała oddać rękę. Czyż miałam mu odpowiedzieć: „Nie, wolę się tułać u obcych, aniżeli posiadać własne gospodarstwo!“ Nie było téż ciebie tutaj, kochany Jakóbie, i tak zostałam żoną Kieścia.

— No, a czy twój mąż obchodzi się z tobą życzliwie?

— Ach, to okropny człowiek; zdaje się mi, że rabuś jest sumienniejszym od niego. Jak długo z nim żyję, ani złotego nie dał jeszcze nigdy na mszę. Z początku pragnęłam z nim żyć według przykazania bożego. Jeśli co, to chyba to sobie myślałam: gdy mój miły Kubuś kiedy powróci, będziesz z nim szczęśliwą; on sam ma prawo do mnie, lecz kto inny niechaj się mnie nie tyka! Ale czyż mój stary potwór dopuścił, iżbym się była porządnie prowadziła? Do wszystkiego złego, jakie od zamążpójścia popełniłam, on mię nakłaniał. Czy wiesz: co mi powiedział? „Chcesz być dzielną szynkarką, a odpychasz od siebie ludzi, którzy nas odwiedzają i chcą nam przysporzyć grosza? Myślisz mię wy kierować na żebraka! Albo czy na to mi wniosłaś to i owc, abyś mogła teraz mówić: „Ten się mi podoba, a tego ścierpieć nie mogę?“ Czy sądzisz, iżbym się był z tobą ożenił, gdybym nie był wiedział, iż masz przyjaciół? Jeśli im tutaj swą przyjaźń wypowiesz: mój szynk dozna uszczerbku. Nie, kochana Ewko, żyj jak dawniej, nie gorsz mi ludzi i okazuj się jedynie względem tych nieprzystępną, którzy tutaj przybywają z prózną kieszenią!“ Czyż mi nie wypadało sobie powiedzieć: Kiedy z ciebie taki mąż, na cóż się mam przymuszać? No, kochany Jakóbie, napij-no się trochę maliniaku, wszak go dawniej zawsze chętnie pijałeś!

— Naléj mi go, naléj, kochana Ewko! Z twój ręki napiłbym się i trucizny. Ale czy wiesz, jeśli tak jest, jak mi to opowiadałaś, natenczas pieniądz sypie się wam zapewne jakby z worka.

— Jużci popełniłabym grzech, gdybym się w tój mierze użalała. Tój nocy musi być straszne powietrze, że tylko wy sami tutaj zagładnęliście; lecz kiedyindziej oblega mię tutaj tak liczny tłum amantów w liberyi jakby jaką wojewodzinę; a żaden z nich nie przybywa z próżnemi rękoma i żaden nie wychodzi, jeśli ma jeszcze co w kieszeni, gdyż wszyscy wiedzą, że u mnie nie ma kredytu. Tylko ty sam, mój Jakóbie, stanowisz wyjątek, gdyż ciebie miłuję; a drugim pozwalam jedynie, aby się we mnie kochali.

— Moja kochana duszo! a więc mimo swego majątku nie zapomniałaś o mnie rzeczywiście? Bo że ja ciebie miłuję: to nic dziwnego. Komu się źle powodzi, dla tego nie sztuka dochowanie wierności.

— Aj, nie wspominaj mi tóż o swém ubóstwie, kochany Jakóbie! Jak długo się u mnie znajdzie złoty, będziesz i ty miał grosz z niego. Czy tóż wiesz: co się mi w głowie roi? Mój stary potwór nie pożyje już długo. I cóż mi z tego, że tam ludzie mówią, iż go za nos wodzę, gdy przecie tylko o tobie myślę i tylko z tobą mogę być szczęśliwą! Bylem tylko Kieściami pogrzebała, pobiorę się z tobą; a wówczas otrzymasz więcej pieniędzy, aniżeli sądzisz? Z tobą będę wtedy żyła tak uczciwie i porządnie, jak to nakazuje ksiądz proboszcz — tak porządnie jakby stara baba, chociaż liczę dopiero lat dwadzieścia pięć.

— Moja gołąbko! zgoda. Ale przedtem muszę jeszcze raz puścić się w świat i to z pewnością po

raz ostatni. Gdy powrócę, osiadę tutaj i będę czekał, aż wyniesiemy starucha na cmentarz.

— A dlaczegóżto chcesz mię teraz opuścić? Czy ci na świecie tak dobrze, że się możesz obejść beze mnie?

— Moje kochane serduszko! na mnie ciążą pewne powinności. A czyżto każdy może żyć według upodobania?

— Powiedz mi też Jakóbie! co to za jegomość ów w bogatém futrze, który siedzi w alkwie i z drugimi wcale nie rozmawia, ale jest tak milczący? Co wy myślicie z nim uczynić?

— Nie pytaj mnie o to: to jegomość jak drugi i dobry przyjaciel mego pana.

— Ach, ty hultaju! a więcto taka jest twoja miłość? Od czterech lat mnie nie widziałeś: a teraz przybyłeś tutaj, aby mię za wierne przyjęcie okłamywać. Idź mi z ócz! Jeśli się tak ma sprawa, natenczas nie chcę już i wiedzieć o tobie.

— Moja gołąbko! co moje, to i twoje; ale co nie jest mojem, tego ci także dać nie mogę. A czy też wiesz, moja duszyczko, że gdybym ci opowiedział to, czego ci nie powinienem objawiać, nagrodzonoby mię za to szubienicą?

— Mój Jakóbie! przecież ja ciebie nie zdradzę. A czy sądzisz, że ja sobie dozwolę „zamydlić oczy”? Albo czy mniemasz, że ja nie wiem, coto za jegomość? Spojrzałam na niego tylko pobieżnie z ukosa: i zaraz go poznałam.

— No, i któż to taki?

— To sam — *król*. Powiedz mi zaraz: co wy z nim zamysłacie uczynić?

— Jużci przed moją Ewką nie powinienem kłamać, więc powiem prawdę. Zamysłamy go sprowadzić do Częstochowy.

— Czyś oszalał Jakóbie! Chcieć uprowadzić króla wbrew jego woli! Co się ci przyśniło? Uczynić krzywdę szlachcicowi: to już rzecz niebezpieczna, znakomitemu panu, tém więcej niebezpieczna, ale przeciw królowi użyć przemocy: toć to rzecz niesłychana. Czy sądzisz, iż ci to ujdzie bezkarnie? Mój Jakóbie, mój kochany Jakóbie! ot, dozwoliłeś się uwikłać w okropną sprawę; toż jeśli się z niej nie wycofasz, przypomnisz sobie moje słowa, gdyż cię za to powieszają. Raczój okraść kościół, anizeli knuć cokolwiek-bądź przeciw królowi. A czy ty wiesz, co to król znaczy? Król jest o wiele wyższym od biskupa, gdyż mu biskupi całują rękę: i dlatego tóż stoi on na równi ze świętymi. I ty zamysłasz dołożyć ręki do użycia przeciw niemu przemocy? Aj, aj, włosy się mi jęzą i zimny dreszcz mnie ogarnia. Bywaj mi zdrów, mój Jakóbie; wolę natychmiast porzucić zagrodę i wszystko, co posiadam, anizeli, iżby mi kto mógł powiedzieć, że i ja do téj sprawy należałam.

— Ależ moja Ewko! najpóźniej za godzinę powrócą nasi i zabiorą nas z sobą; więc się pozbiedziesz już wszelkiego nieszczęścia.

— Jakżeż nierozsądny z ciebie człowiek! A czyż możecie co przeciw woli króla przedsięwziąć? Wszak on wam tylko tak długo będzie ulegał, jak długo się mu spodoba; gdy atoli zmieni swą wolę, zobaczycie, co się z wami stanie!

— Rozprawiaj, jak chcesz: ale ja muszę się ich trzymać. A czy wiesz: ileto już dekretów wydano na moją głowę? Czy tak, lub owak — dostanę się na szubienicę: to wszystko jedno. Więc wolę pozostać u mych dotychczasowych przyjaciół.

— W tém właśnie ważna różnica kochany Jakóbie! Twoi terazniejsi przyjaciele nie zdołają cię oczyścić; może to zaś sprawić król. Toż jeżeli mu dopomożesz do ucieczki i ocalenia, zobaczysz, jak on ciebie nagrodzi. Ułaskawienie za twe dotychczasowe przestępstwa: toć dla niego najmniejsza drobnostka! Czy zaś możesz na to liczyć: jeśli on odzyska wolność bez twój pomocy, gdyż to przecie może nastąpić? Wszak urodziłam się w stolicy, widywałam, będąc jeszcze dzieckiem królów i rozumiem się na téj sprawie lepiej, aniżeli wy; toż ręczę ci głową, że się tak stanie, jak ja sobie myślę, jeśli nie zmienisz swego postanowienia. Król pozostanie tym, kim jest; a ty uwiśniesz z swymi porządnymi towarzyszami na szubienicy. Ja ci to powiadam.

— Skąd masz tę pewność.

— Skąd? Ponieważ wy jesteście nicponiami, a on królem, namazańcem Boga! Posłuchajno: co o nim mówią księża z kazalnicy! Czyliż go oni nie wyświęcili w kościele? Ja sama to pamiętam: jak on wyszedł z kościoła w złotój koronie na skroniach

i w purpurowym płaszczu. Jakżeż on w tém pięknie wyglądał! Ach, Jakóbie! zmiłuj się nad sobą samym; rozważ, że on jest tak samo panem nas wszystkich jak Bóg panem nieba! Jeśli się mu okażesz wiernym, natenczas cię uszczęśliwi, zniesie i owe potępiające dekrety, wydane na twoją głowę. Wszak on może uczynić wszystko według swój woli; nie tylko zmaże twą winę, ale nada ci szlachectwo, jeśli się mu spodobaś. Wówczas rozwiędę się z moim staruchem, a ty zostaniesz moim mężem; kupimy sobie posiadłość, gdyż nam nie braknie pieniędzy, a jeśli ich nie starczy, dołoży król. Nie odmówi ci tego z pewnością, gdy go tylko uwolnisz z rąk tych oprawców.

— Ale jakże to możemy skutecznić moja Ewko?

— Nie ma nic łatwiejszego! Wszak u nas są sanki i konie; toż możemy go zawieść do młynówki w *Marymoncie*.

— Ale, co też myślisz? Przedewszystkiem wypada mu to powiedzieć, iż mu chcemy dopomóc, i usłyszeć, co on na to powie.

Ewka przytuliła się do Flicza i ucałowawszy go rzekła wśród pieszczot:

— Ach, czyż ja nie jestem bardzo nieszczęśliwą, kiedy się ty ociągasz i nas oboje chcesz wepchnąć w nieszczęście?

— Nie, ja o tém nie myślę moja Ewko; atoli król musi mię piérwój oczyścić z wszelkiej winy tak, aby żaden sąd, ani magistrat nie mógł się mnie cześcić. Jeśli to uczyni, dobrze; wówczas cię usłucham i wywiozę go stąd na wolność.

— Bądź ostrożnym, gdyż nie jest sam; jest tu-

taj przecie i drugi, doglądający króla. Uważaj, aby ci nie wszedł w drogę.

— E, co tam pleciesz! Ja się i trzech nie ulękne, a nie miałbym sobie dać radę z jednym i to z takim panem Kosińskim? Jeśli się ze mną połączysz, to powiem: „Bóg zapłać!“ — jeśli nie, usłużę mu tak, że będzie miał tego dosyć; a mnie nic za to nie uczynią, bo to będzie usługa dla króla. Ale widzisz Ewko! ja mam jeszcze coś innego w głowie. Jak długo mamy króla w łapce, będzie zapewne skłonny do wszelkich obietnic, ale gdy go z niej wydobędziemy: cóż wtedy? Czy on nas nie opuści? Czy dotrzyma danego słowa?

— Ależ jaki z ciebie głupiec! Myślisz, że masz do czynienia z jakim wójtem, albo strażnikiem. Czyliż kłamstwo nie jest hańbą już dla szlachcica: a cóż dopiero dla samego króla? Dla niego też dotrzymanie tego rodzaju obietnicy jest drobnostką; podpisze się tylko: i żadna zwiérzchność nie będzie miała prawa do ciebie. Jakżeż się to już często zdarzało, że król ułaskawił zbrodniarza, gdy się za nim wstawiła jaka dostojna dama: a ty nie miałbyś uniknąć szubienicy, gdybyś jego samego ocalił z niebezpieczeństwa, i to za zapomniane już przestępstwa? Czy sądzisz, że oswobodzenie króla — to drobnostka? Za wyświadczenie daleko mniejszej przysługi dostał już niejeden szlachectwa. Ale ty myślisz tylko o szubienicy, zamiast o poślubieniu swój Ewki i ujrzeniu mię jeszcze kiedy pośród szlachcianek.

— Pocałujże mię, moja Ewko! Tak! A teraz każ nagotować sanki; ja załatwię sprawę w alkwie. Mu-

simy się pospieszyć, aby drudzy nie powrócili, gdyż niejeden z nich stawilby opór dziesięciu chłopom.

— Nie, poczekaj na mnie tutaj; każę tylko chłopakowi zaprządz konie do sanek, a potem udamy się oboje do alkowy.

Zobaczmy: co się tymczasem działo w alkowie!



XI. Jego królewska mość.



puściliśmy króla, gdy się modlił pod okiem dozorców.

Stanisław August wyznawał jawnie filozofią XVIII. wieku. U niego znaczyła pochwała Woltera więcej, aniżeli miłość poddanych; uczuwał on nawet pewną niechęć względem osób, które się trzymały wiary praojców. Atoli mimoto wskutek dziwnej, a przecież istotnie zachodzącej u ludzi wewnętrznej sprzeczności był *Stanisław August* nie tylko bogobojnym, ale nawet nie odsuwał od siebie liturgii i wszelkich owych drobnych praktyk religijnych, któreby można nazwać „zdawkową monetą“ pobożności. Można było często widzieć: jak ten król po przepędzeniu wieczora w poufałym towarzystwie obojga płci, gdzie się przysłuchiwał najzapalczywszym wycieczkom przeciw wierze praojców, a nawet sam nie szczędził mniej chwalebnych do-

wcipów i szyderstw, udawszy się w samotność kłękał przed wizerunkiem *Boga-Rodzicy*, lub *ukrzyżowanym Zbawicielem*, wylewał gorzkie łzy i z wszelkimi oznakami prawdziwej serdeczności wznosił ducha do Boga. Każdego piątku zamykał się na klucz w swój komnacie z ojcem *Wargackim*, Paulinem i spowiadał się przed nim, albo odprawiał z nim inne religijne ćwiczenia.

Podobna sprzecznność zachodziła także w załatwianiu przez niego spraw rządu. Jego pierwotne postanowienie bywało prawie zawsze mądre i zbawienne, atoli następujący czyn bywał bardzo rzadko kiedy godnym monarchy. Przy obsadzaniu opróżnionego urzędu oświadczał się *Stanisław August* najpierw za tym, kogo także publiczna opinia wskazywała za najgodniejszego: atoli ostatecznie oddawał go po największej części zausznikowi, faworytowi, albo dworakowi, którego jaka dama, albo sam przypadek był zalecił. Będąc panem łagodnym nie znosił widoku, ani nawet opowiadania cudzego cierpienia: a przecież okazał w ciągu swego panowania niejednokrotnie surowość i to względem osób niewinnych, bez istotnej potrzeby tak, iż zaledwo jaki nielitościwy władca mógłby być coś gorszego uczynić. W głębi serca nie znający zemsty nie pamiętał uraz, a nawet często obsypywał swych jawnych i nieprzejdanych nieprzyjaciół oznakami łaski i życzliwości: mimoto prześladował niektóre osoby tak niezmordowanie z użyciem tak niegodnych środków, iż ofiary doprowadzał do rozpacz.

Przyczynę téj na pozór niezrozumiałej sprzecznności możnaby poniekąd odkryć w charakterze

Stanisława Augusta. Był on człowiekiem łęklivego serca! Odwaga może zastąpić brak wielu cnót; atoli wszystkie razem cnoty nie zdołają zastąpić odwagi. I stąd pochodzi owe uwielbianie powszechnie ludzi odważnych. Szukaćby trzeba było człowieka, któryby wolał uchodzić raczej za tchórza, aniżeli znieślawionego. Jeżeli atoli przyroda dla *Stanisława Augusta* okazała się w tym względzie macochą, natenczas wyposażyła go z innej strony nader hojnie — mianowicie zaletami, które czyniły jego osobistość w wysokim stopniu imponującą, powierzchowność nadzwyczaj ujmującą, mowę prawdziwie czarującą. Będąc z urodzenia zwykłym szlachcicem bez znacznej parenteli miał on w sobie tyle królewskiego majestatu, iż nawet najzawziętszy nieprzyjaciel musiał przyznać, iż dla niego w całym kraju nie było odpowiedniego stanowiska oprócz tronu. Jego postać wywierała na lud wpływ nader potężny; i dlatego — chociaż się mu rodowa szlachta sprzeciwiała — nie utracił on nigdy popularności szerokich warstw narodu.

Doglądający króla Kosiński, ubogi szlachcic zajmował moralnie urodzeniem i wychowaniem pośredek między uprzywilejowanym stanem w narodzie i pospólstwem; toż skłaniał się naturalnie raczej do instynktowych wrażeń ostatniego, aniżeli do pojęć, które były żywołem pierwszego.

Kiedy król po odmówieniu modlitwy na niego spojrział łagodnie: obudziło się w Kosińskim, może wbrew jego intencjom uczucie czci prawdziwej. Toż odłożył na skrzynię dotychczas w ręku trzymany

pistolet. Wobec świadków byłby był prawdopodobnie okazał się względem króla nieczułym, ubliżającym, bezwzględnym, atoli będąc sam na sam z monarchą, nie pobudzany niczém do objawienia swych politycznych zapatrywań doznawał on niepojętego uczucia, wobec którego wolałby był znajdować się o wiele mil oddalonym od miejsca chwilowego pobytu.

Król śledził wyraz jego twarzy; lecz Kosiński starał się uniknąć jego spojrzeń. Po chwili milczenia przemówił król:

— Mój panie: co wy zamyślacie właściwie ze mną uczynić?

— Ja tego nie wiem, — odrzekł Kosiński, nie podnosząc ócz i teraz — ani pojmuję, co postanowią przewodcy.

— A więc powiedz mi waszmość: z jakiego powodu dopuściliście się względem mnie gwałtu, jakiegobym ja nie był się dopuścił względem najlichszego poddanego? Czyliż do króla waszego nie ma się stósować kardynalne prawo narodu: „*Neminem captivabimus, nisi jure victum?*“

— Miłościwy panie: to nie moja sprawa. Jeśli się tutaj dzieje jaka krzywda, odpowiedzą za nią ci, którzy wydali odpowiedni rozkaz, a nie owi, którzy go muszą wykonać.

— Ależ waszmość nie jesteś niewolnikiem, lecz szlachcicem i sędzią wolnym w sprawach swego narodu. Wbrew własnemu przekonaniu nie możesz nikogo słuchać. Pytam się: co mi waszmość zdo-

łasz zarzucić, iż tak dalece się zapomniałeś wobec swego władcy? *O popule mi, quid tibi feci?*)*

— No, zarzucają, waszój królewskiej mości, iż obcy żołnierze kraj łupią, rzeczpospolita nie może dojść do pokoju, obywatele giną, wskutek wojny, głodu, zarazy i chłopskich buntów, a tego wszystkiego złego nie było za panowania nieboszczyka króla Sasa, ale się pojawiło dopiero od chwili, w której wasza królewska mość objąłeś rządy.

— A czyż w tém moja wina? Czyliż mogę nakazać ziemi, albo uchylić zarazę? — Czy ja skłoniłem Ukrainę do buntu, lub wszcząłem wojnę domową. Więc ja mam odpowiadać za to wszystko, co sprawiło zaślepienie bez granic moich przyjaciół? Prorok święty powiada: „*Biada narodowi, w którym młody stoi przeciw staremu, mały przeciw wielkiemu, poddany przeciw zwierzchnikowi: Pan mu nie będzie błogostawił!*“

— Powiadają także, iż wasza królewska mość narzuciłeś się na panującego wbrew woli narodu.

— Ja: i narzucać się! — odrzekł król, który powstał i kilka kroków po izbie się przeszedł — Ja miałem się być narzucić! Biorę Boga na świadectwo, że to jest oszczerstwo. Na polach pod *Wolą* nie było nikogo pośród ze wszystkich województw zgromadzonej szlachty, ktoby był przeciw mnie głosował. Głos jednego wystarczyłby był do unieważnienia obioru; lecz podówczas nie wystąpili moi nieprzyjaciele, którzy mi teraz czynią ten

*) Znany okrzyk pokrzywdzonego poety do swego narodu z wygnania: „O, mój narodzie: cóż ci uczynilem?“

zarzut. Dlaczegoż się wówczas nie stawili, dlaczegoż się wtedy mi nie sprzeciwiali i nie objawili narodowi swego zdania, dlaczego zezwolili, iż mnie ze stanu równości wyniesiono na osobę naczelną? Swém niepojawieniem się sami zatwierdzili elekcyą. I zamiast potem zgodzić się z faktem dokonanym, zaprawili dni mego panowania goryczą i sprzeciwili się moim wszelkim zamierzonym zbawiennym ustanowieniom. Czyliż nie mam samą krajową ustawą tak skrepowane ręce, iż nie mogę niekiedy usunąć tego, co się najzupełniej sprzeciwia prawu? I jakążto miałem jeszcze władzę, gdy napotkałem najzawziętszy opór nawet tam, gdzie na pewne torowałem ojczyźnie lepszą przyszłość? O, ja to wiedziałem, iż dotychczas nosiłem na skroniach koronę cierniową; atoli ostatnim zamachem skalaliście także mą szatę królewską.

Tutaj spłynął strumień łez królowi po licach. Kosiński powstał, chciał coś przemówić, ale i słowa nie mógł z siebie wydobyć: takie wrażenie wywarły na niego majestat królewski, fatalna chwila i szlachetna postawa dostojnego jeńca. Bystry wzrok króla dostrzegł to odrazu — tém więcej, iż zauważył, że tego człowieka, któryby był w walce przewyższył towarzyszków odwagą i śmiałością, ogarnęło lekkie drzenie — zapowiadające zwykle chwiejność w postanowieniu i lękiwość.

Stanisław August zbliżył się do niego i rzekł:

— Waszmość jesteś szlachcicem i katolikiem, miłujesz Boga i ojczyznę: czy się też domyślasz nie-
szczęsnych następstw, jakie ten nierozważny krok na cały kraj sprowadzi? Mój naród, dotychczas tak

szlachetny, tak wiernie przywiązany do króla — ten naród, o którym *Zygmunt* słusznie powiedział, iż „*on mógł bezpiecznie usnąć na łonie każdego poddanego*“, ma być teraz napiętnowanym znamięm krolobójstwa? Czyliż każdy chrześcijański monarcha nie poczyta tój zbrodni za jego własnemu majestatowi wyrządzoną obelgę? Strumienie krwi nie zdołają ukoić gniewu monarchów; a wasze imiona obciążą wieczne przekleństwo narodu.

— Ach, miłościwy panie, któż myśli o uczynieniu krzywdy waszej królewskiej mości? Wszak konfederacya uważa waszą królewską mość za swego króla. W Częstochowie księża wspominają imię króla podczas mszy świętych...

— Zapominasz waszmość, co tutaj zaszło było przed chwilą. Czyliż wasz przewodca nie nakazał właśnie waszmości nie oszczędzać mego życia, gdyby mi przypadkiem pospieszono w pomoc? Czyżbym mógł temu dać wiarę, gdybym sam tego nie był posłyszał? A przecież: jakże wielce błędzą ci wszyscy, którzy mniemają, że ludzka wola może stanowić o losach królów! Bóg wszechmocny sam jeden dźrzy moc rozporządzania losami wszelkiego stworzenia, a więc tém więcej tych, którzy Go zastępują na ziemi. Czyliż w zbrodniczym zamachu nie upatrujesz waszmość skinienia bożego? Pojmaliście króla w obrębie jego stolicy, uprowadziliście go z pośrodku tysięcy poddanych, którzyby na jego zawołanie chętnie przelali krew za swego monarchę, a kiedyście przybyli w miejsce, gdzie już nie potrzebowaliście się lękać oporu, zasłoniła wam śnieżycą drogę: i zabłąkaliście się wbrew woli. Czy nie powiedzą o was,

iz was Pan Bóg nawiędził ślepotą i zawiódł w miejsce, dokąd nie chcieliście przybyć? Przynajmniej ja upatruję w tém wszechmoc Boga i widzę, że pozostaję pod Jego łaskawą opieką, a me dni tylko od Niego są policzone. Toż sam w sobie jestem spokojny. Gdybyście mię istotnie zgładzili: byłoby to końcem méj zgryzoty. Skoro atoli o tém pomyślę: co się stanie po méj śmierci z moim narodem, z jego egzystencyą i sławą: natenczas nie mogę leż powstrzymać.

— Miłościwy panie! na mnie nie ciąży w téj sprawie wina; nie wolno mi téż mieć w tym względzie ani własnego zdania, sądu i postanowienia: czynię tylko to, co mi nakazał był przewodca.

— A któżto śmie dawać waszmości rozkazy przeciw méj osobie? Któż tutaj jest wyższym: pułkownik, czy król?

Mówiąc to spojrział Stanisław August na swego dozorcę tak łagodnie i łaskawie, jego majestatyczna powierzchowność czyniła chwilę — tak uroczystą, iż Kosiński nie mógł znieść dłużej widoku swego władcy; wystąpił mu na czoło pot trwogi, zadrżał on i padł wreszcie do nóg królowi.

— Łaski i miłosierdzia miłościwy panie! — zawołał — Uczynię wszystko, co mój król nakaże, gdy mi wasza królewska mość przebaczysz to, co dotychczas uczyniłem!

— Nagrodzę waszmości tak, iż będziesz niezawodnie zadowolonym.

— O jedno tylko ośmielę się upraszać waszój królewskiej mości: iżbym nie był z drugimi stawiony

przed sąd i mógł opuścić ten kraj, w którym i tak nie mogę dłużej pozostać.

— Daję królewskie na to słowo, iż życzenia waszmości zostaną spełnione; toż postaram się o wszystko, czego waszmość będziesz potrzebował. Przed sądem nawet nazwiska waszmości nie wspomnę, gdyż się mi nie rozchodzi o ukaranie zamachu, ale o to, aby przy téj sposobności kraje koronne i Litwa się przekonały, jak ciężki jest poruczony mi urząd...

W téj chwili otwały się drzwi szynku; a Flicz i Ewka stanęli przed królem. Jakżeż wielce zdziwili się oboje, gdy ujrzeli Kosińskiego u stóp króla! Uklękli téż i oni obok niego.

— Miłościwy panie i królu! — powiedział Flicz, wznosząc w górę ręce — zlituj się nad swym wiernym poddanym. Na Boga! jam nie jest tak winny. Urodziłem się w mieście F.; tam skazano mię za różne przekroczenia na szubienicę; nie byłbym jój téż uniknął, gdyby mię nie byli uwolnili konfederaci barscy. Musiałem się téż ich trzymać. Atoli za to zaciągnęli mię oni do haniebnej roboty, gdyż mi nie powiedzieli, o co się rozchodziło. Kiedy nas p. Puławski wysyłał, nie wspomniał ani słówkiem, że to miał być zamach na króla; oświadczył tylko: „To wasz przewodca; jemu winniście posłuszeństwo. On wam powie: cobyście mieli robić.“ Atoli obecnie nie ma tutaj naszego przewodnika, a chociażby nawet był, wolę służyć raczej króla, aniżeli jego. Rozkaż zatem, miłościwy panie, a ja chętnie uwolnię waszę królewską mość z wszelkiego niebezpieczeństwa, bylebym uniknął własnego!

— I czegoż chcesz, mój kochany? — zapytał król łaskawie.

— Miłościwy panie! proszę o list żelazny, gdyż wydano dekrety na moją głowę; a ja już nic więcej złego nie uczynię. Tutejsza gospodyni Ewka była moją niegdyś przyjaciółką; toż skoro mię dzisiaj poznała i dowiedziała się o sprawie, zmieniła zaraz me postanowienie. Powiedziała mi: „Jeśli odprowadzisz napowrót króla do Warszawy: on cię wynagrodzi po królewsku.“ Ja odpowiedziałem jój na to, — gdyż wyznać postanowiłem czystą prawdę — że człowiek w niedoli obiecuje wiele, a później o tém zapomina, gdy się rozchodzi o dotrzymanie danego słowa. Atoli Ewka powiedziała: „Głupiec z ciebie! Król jest naszym łaskawym panem; widziałam go, wychodzącego z kościoła z koroną na skroniach w wielkiej okazałości. Jeśli mu się przysłużysz w czém, on nietylko cię uwolni od wszelkich magistratów, ale nada ci oprócz tego szlachectwo. Wówczas twoja żona będzie miała ławkę w kościele. Monarcha lubi nagradzać po królewsku; nie żądaj zatem od niego obietnicy, ale się spuść całkowicie na niego!“

— Nie wyjdiesz téż z pewnością źle na tém!
— powiedział król.

— Toż kiedy mi Ewka tę prawdę wypowiedziała, miałem właśnie rozprawić się z Kosińskim, gdyby się miał był sprzeciwić, lecz widzę, że on ma te same co ja zamysły. I to jest widoczna korzyść, gdyż dwoje ludzi dokona zawsze więcej, aniżeli jeden, a na mnie teraz nie spadnie odpowiedzialność. Ewka powiedziała zupełnie słusznie:

„Słuchaj tylko króla i uczyni wszystko, co on nakaze, on będzie już wiedział: co począć!“

— Miłościwy panie! — przerwała Ewka Fliczowi mowę — parobek nagotował już sanki; jeśli wasza królewska mość zechcesz wsiąść na nie, sprowadzimy miłościwego pana do młynarza, mieszkającego ćwierć mili stąd w Marymoncie, który waszej królewskiej mości oddany jest ciałem i duszą.

— Moja dobra gosposiu! — odpowiedział król, gładząc jej lice — jesteś wcale piękną; toż nic dziwnego, że jesteś także dobrą. Pomyślę o tobie!

Potem zwrócił się Stanisław August do Flicza i rzekł:

— Musisz dosiąść konia i podążyć jak najspieszniej do Warszawy. Odszukaj tam pałac Strawińskiego poza bramą *Żelazną*. Udaj się potem do niego i wręcz staroście wieluńskiemu karteczkę, którą ci dam, i wykonaj, co on nakaze! Jeśli się dobrze sprawisz, przyrzekam ci moję królewską łaskę.

Tutaj wydobył król z pugilaesu kartkę papieru, napisał na niej ołówkiem kilka słów i oddał ją — złożoną Fliczowi, który natychmiast dosiadł konia i pospieszył, co tchu starczyło, do Warszawy. Tymczasem zajechały przygotowane sanki. *Stanisław August* osłonił się futrem i wsiadł na nie; Kosiński usiadł obok woźnicy, a Ewka, lękając się konfederatów w razie, gdyby — powróciwszy nie zastali byli króla, przycupnęła u stóp króla.

XII. Zwycięstwo starosty.



owiedzieliśmy, że Kieść powiodł był pułkownika i wojskiego do gospody w Celinowie, zwanój także u pospólstwa Celinówką. Ustała wprawdzie śnieżycą, atoli drogę założyły wielkie zasy śniegowe tak, że on i jego towarzysze tylko z największym wysileniem koni mogli się pomykać naprzód. Kieść starał się kilkakrotnie nawiązać rozmowę; atoli Łukawski zalecił mu surowo: jechać w milczeniu. Kiedy wreszcie stanęli u celu, zastali gospodę—oświetloną; a to naprowadzało na domysł, iż w niej byli goście. Łukawski kazał stanąć, zsiadł z konia i wszedł z wojskim do izby gościnnój, w której zastali Wazgirda, Skołubę i kilku żołnierzy.

— A więc przecie spotkaliśmy się wkońcu wszyscy! — powiedział pułkownik — Jakże się wam powodzi towarzysze? Zapewneście sobie wypoczęli,

gdyż nie możemy się tutaj długo zabawiać i musimy wkrótce ruszyć dalej. A gdzież reszta ludzi?

— Ach, — odpowiedział Wazgird — powiodło się nam nie najlepší! Kiedy tutaj stanęliśmy o oznaczonej godzinie, rozpocząłem dzieło zamknięciem w spichrzu gospodarstwa i wszystkiej domowej czeladzi, gdyż mogło się być z łatwością przydarzyć, iżby żyd był dał znać o przybyciu tylu gości straży: i nie mielibyśmy wówczas pokoju. Kazałem więc wszystkę hałastrę osadzić pod kluczem. Jakkolwiek więc mogliśmy z zupełném bezpieczeństwem oczekiwać waszego przybycia, nasi żołnierze nie zaznali pokoju, gdyż się ciągle niecierpliwili. Nie żalowali sobie wprawdzie niczego, gdyż nie byli tutaj gośćmi, ale gospodarzami z własnej woli. Lecz to wszystko nic nie pomogło. Napróżno im przedstawiałem, że w czasie takiej niepogody było niepodobieństwem: stawić się na minutę, a nawet namówiłem ich, iżby się byli pokrzepili kieliszkiem anyżówki; atoli to wszystko okazało się bezskuteczném. Wymykał się jeden po drugim z izby tak, iż tylko ci tutaj sześciu towarzyszków przy mnie wytrwali. No, a jakże się wam powiodło w Warszawie?

— W Warszawie powiodło się nam zupełnie dobrze. Wydobyliśmy lisa z jamy; chciał się nam wprawdzie sprzeciwić jego hajduk, lecz ja go wkrótce uspokoiłem mą szablą. Wzięliśmy jego pana na konia pomiędzy siebie i wywiedliśmy go jak najgrzeźniej z miasta. Skoro atoli ujrzeliśmy się poza jego obrębem, zerwała się — Bóg wie: skąd — taka zawierucha, jaką na Ukrainie trudno napotkać. Zdawało się mi, że się zbliżał *dzień ostateczny*; toż

zabłąkaliśmy się w istocie. Szczęściem natrafiliśmy na karczmę, chociaż nie na tę, której szukaliśmy. Z powrotem dostaniemy się do niej łacniej, aniżeliśmy tutaj przybyli. Wiadomy jegomość także nam nie ujdzie, gdyż się znajduje w dobrych rękach: uważają na niego *Kosiński* i *Jaszczułt*.

— Ale, panie pułkowniku! — odrzekł Wazgird — dlaczegoż waszmość nie sprowadziłeś go zaraz tutaj?

— I ja teraz żałuję tego, atoli myślałem, że — gdyby nas był napotkał patrol, przychodziłoby nam cztérem z trudnością bronić się i jego dozorować, chyba, iżbyśmy się byli chwycili ostateczności! Wszak sami słyszeliście, co mi powiedziano, gdy mi dawano zlecenie. Wszak mię uczyniono odpowiedzialnym za każdy włos na jego głowie. Ale co się odwlecze, to nie uciecze! Was jest sześciu, nas cztérech, a nadto *Kosiński* i *Jaszczułt*, więc sobie damy jakoś radę. Możemy się zmierzyć z jakimkolwiek patrolem. Gdyby nas zaczepiono, od czego Boże uchowaj, dwóch pozostanie przy nim na straży; reszta w liczbie dziesięciu może stawić czoło, choćby i trzydziestu ludziom, gdyż każdy z nas nawykł przecie walczyć przeciw trzem. Nasi przeciwnicy mają tylko samych tchórzów; wszyscy odważni są po naszej stronie. Wasze konie wypoczęły sobie, nasze się nieco zmęczyły; toż na nie wsiąść muszą ci, którzy strzedz będą naszego łupu. Nadto posiadamy dobrego przewodnika, gospodarza tamtejszej karczmy.

— Wiész waszmość: — powiedział Wazgird — zdaje się mi przecie, iżby lepiej było, gdybyś tam był pozostawił pana Michała, gdyż nasz „jegomość“

podobno ma być bardzo wymownym; kto wie: czy nie zechce się wykręcić gładkimi słowami.

— Ach, nie mów mi o tém waszmość! Znam mych ludzi. Nie znają się téż oni na sztuczkach krasomowczych, ale wiedzą o tém, że u mnie nie ma żartów. No, moi panowie, śnieżycą ustała; zdaje się, że nam Pan Bóg znowu dopomaga.

Następnie zwrócił się do Kieścia i rzekł:

— No, panie gospodarzu z Bryłówki! teraz musimy znowu dosiąść konia i jechać do stolicy. Z powrotem łącniej jechać się będzie, aniżeliśmy tutaj zdążali. W Warszawie téż otrzymasz waszmość nagrodę; a może się okroi i jaki „przyczynek“, jeśli się sprawisz należyście.

Gdy żołnierze wypróżnili kieliszki, wyszli wszyscy z izby i ruszyli w drogę, nie troszcząc się już wcale o gospodarzy i czeladź w zamknięciu. Na czele jechał Kieść, za nim pułkownik; a potem następowała reszta ludzi. Po ubieżeniu pewnej przestrzeni zauważył Wazgird, iż żołnierze do siebie wzajemnie coś szeptali; zbliżył się więc do pułkownika i rzekł do niego po cichu:

— Panie pułkowniku! musisz uważać na przewodnika i nie możesz dlatego wiedzieć, co się święci poza plecami waszmości. Nie będzie od rzeczy, gdy ja z wojskim utworzymy straż tylną i uważać będziemy na żołnierzy, albowiem, odkąd nas poprzedni opuścili, nie ufam i tym hultajom. Nakaż im tylko waszmość milczenie; nie dozwól, iżby z sobą rozmawiali, gdyż tego rodzaju rozmowa nie prowadzi nigdy do dobrego!

Pułkownik posłuchał jego rady; Wazgird i woj-

ski przepuścili mimo siebie żołnierzy; po chwili zaś jazdy rzekł Wazgird do towarzysza:

— No, kochany Michale, wszak dzisiaj jesteś smutniejszym, aniżeli kiedyindziej. Sprawa się już wreszcie wkrótce skończy. Rozchodziło się tylko o wywiedzenie króla z miasta; a to się wam udało szczęśliwie. Reszta załatwi się sama przez się. Porzuć więc smutek i bądź wesół!

— Mój kochany Janie! dotychczas wiodło się nam całkiem kiepsko; toż się nie spodziéwam wcale, że się nam, a przynajmniej mnie nadal lepiej powiedzie.

— Wstydzilibyś się takiej mowy! Gdybym ciebie nie znał i nie wiedział, iż z ciebie przemawiają smutne w życiu zebrane doświadczenia, które sobie tak wielce bierzesz do serca, natenczasbym sądził, iż cię opuściła dotychczasowa odwaga.

— Opuściła mię też ona w istocie. Wiem teraz prawie na pewne, iż nie przeżyję tego listopada. Proszę tylko Boga, iżby z mym zgonem skończyła się także nasza ogólna niedola.

— Jam już do niej przywykł i nie przywiązuję do tego wielkiej wagi. Nie lękam się też i o ciebie, odkąd nastąpił tak szczęśliwy zwrot w naszej sprawie. Życzę wam szczęścia wobec dotychczasowego powodzenia; przyznasz atoli przecie, że się nasz pułkownik dzielnie spisał.

— W boju to żołnierz znakomity; okazuje w nim należyłą odwagę i oględność, atoli w chwilach ważnych — mój Boże! — jakżeż się on wtedy okazuje słabym. Zaufa wówczas pierwszemu-lepszemu; i jeśli

się wszystko zaraz nie stanie po jego woli, traci zańadto prędko przytomność ducha.

— Nie byłbym tego przypuszczał.

— A przecież tak jest. Kiedy się przed bramą zerwała zawierucha i to tak silna, jakiej nie pamiętam, stracił Łukawski na tyle rozum, iż chciał koniecznie zabić naszego jeńca. Zaledwom go odwiódł od tego nieszczęsnego postanowienia. Musiałem mu oświadczyć, iżbym nigdy nie był zezwolił na tak wielką zbrodnię, a króla bronił z narażeniem własnego życia, boć my przecie konfederaci, a nie skrytobójcy! Z trudnością odwiódłem pułkownika od czynu. Kiedy się zabłąkaliśmy, oddał on króla pod nadzór swych zbirów, jak gdyby mógł być tylko im zaufać.

— I mnie się to odrazu nie spodobało. Wszak słyśzałeś, co powiedziałem p. Łukawskiemu. No, ale od Kosińskiego i Jaszczułta nie potrzeba się nam w istocie niczego obawiać. Oni należą do najodważniejszych pośród nas.

— Szkoda tylko, że odwaga nie zawsze wystarcza do usprawiedliwienia podobnego zaufania. Ja nie byłbym nigdy poruczył tego rodzaju ludziom uświęconą osobę króla.

— A dlaczegoż tego nie przedstawiłeś pułkownikowi?

— Wszakby się to i tak na nic nie przydało. Zabrałem się z wami do wykonania dzieła bez najmniejszej nadziei powodzenia; atoli im dłużej trwa sprawa, tém lepiej się przekonuję, że i tak wszyscy zginiemy. Wiem przynajmniej z pewnością, że ja tój sprawę nie przeżyję.

Wazgird dodawał mu otuchy, ale bezskutecznie. Podążyli więc naprzód w zupełnym milczeniu. Po jakimś czasie ujrzeli światło w oddaleniu. Kieść przemówił do pułkownika:

— A więc wkońcu jesteście podobno jakby u celu. Chciej tylko pan pułkownik nagotować przyobiecana nagrodę i to z „przyczynkiem“; wszak przyznasz waszność sam, iż się dobrze sprawiłem; toż się pan pułkownik zapewne przychylił do mej prośby.

— Czego żądasz? — zapytał przewodca.

— Gdy ludzie pana pułkownika wejdą do mego szynku, proszę, aby się przyzwoicie zachowali i nie zapominali, iż należą do przyjaciół waszności. Pracowałem krwawo na gospodarstwo i nie chciałbym doznać strat.

— A któż myśli wyrządzać ci jakie szkody! Możesz być w tym względzie zupełnie spokojnym, tém więcéj, że nie długo u ciebie zabawimy. Może nawet nie każę mym ludziom wcale zsiadać z koni. Dam ci teraz pięć dukatów, a gdy nas wprowadzisz na główny gościniec, dostaniesz jeszcze „przyczynek.“

— O, mój panie, nie żądaj też tego od starego człowieka! Czyż to nie wiele, że całą noc spędziłem na koniu? Przysięgam na Boga, że dłużej nie wytrzymam.

— Ej, ej: wytrzymasz kochanku! Nie pomógłby ci także opór, gdyż ci nie pozwolę zsiąść z konia. Uczynisz dobrowolnie, natenczas otrzymasz dodat-

kową nagrodę, jeśli się będziesz sprzeciwiał, nie dostaniesz nic, a i tak musisz spełnić, co rozkazałem.

Tymczasem znaleźli się całkiem blisko karczmy, gdy ku nim cwałem zdążyło dwudziestu kilku jeźdźców. Był to oddział jazdy królewskiej, którą tutaj starosta wieluński był sprowadził. Dowiedziawszy się od Jaszczułta, iż konfederaci mieli powrócić do tej samej karczmy w celu uprowadzenia z niej króla dalej, wydał on rozporządzenie, iżby się nikt z nich nie mógł być ratować ucieczką. Część swych jeźdźców ustawił frontem przed gospodą, drugą z boku w celu odcięcia uciekającym odwrotu. Sam Jaszczułt uczynił zasadzkę — i pozostawał w pogotowiu użycia szabli przeciw tym, których jeszcze przed kilku godzinami nazywał przyjaciółmi i towarzyszami. Pierwszym oddziałem dowodził starosta i kazał dać ognia na widok przeciwników. Kieść jęknął boleśnie i runął na ziemię. Postrzelono też konia Łukawskiego. Wierzchowiec powalił się na ziemię i przyniósł swym ciałem jeźdźca, który napróżno usiłował wydostać się z pod niego. Wojski i Wazgird skierowali się cwałem w ubocz i spostrzegli przed sobą jeźdźca na siwku; toż strzelili obaj równocześnie na niego. Starosta uczuł, że go kula w pierś ugodziła; sądził też, że odniósł ranę, lecz mimoto nie przestawał wydawać rozkazy swym żołnierzom. Atoli kula, przedziurawwszy futro ugodziła w medalik *Boga-Rodzicy* i odbiła się od niego. Wojski, Wazgird i Skołuba starali się zwartym szykiem natrzeć na nieprzyjaciela, kiedy atoli od ognia „królewczków“ pospadało z koni jeszcze kilku konfederatów :

pierzchła reszta na wszystkie strony. Napróżno przyzywał ich wojski z swymi przyjaciółmi; przekonali się wkrótce, iż mieli do czynienia z licznym oddziałem wojska.

— Nie masz ratunku: — powiedział Wazgird — oskrzydłono nas; musimy szukać ocalenia w ucieczce.

Toż wszyscy trzej pierzchli: co tchu koniom starczyło. Część „królewczyków“ puściła się za nimi w pogoń; lecz trzej konfederaci wyprzedzili ich znacznie i byliby wszyscy wymknęli się szczęśliwie z rąk prześladowców, gdyby jeden z nich nie miał przed sobą śniegiem zaszypanego rowu, w którym jego wiérzchowiec ugrzązł i nie mógł się z dołu wydobyć. Przyskoczyło też kilku królewczyków, którym się on poddał bez oporu. Jeźdźcy powrócili następnie do swego przewodcy-starosty, który kazał jeńca złożyć na w pogotowiu stojące sanie obok Łukawskiego i Kieścia, który jeszcze oddychał, i podążył cwałem do młynówki w *Marymoncie*, gdzie na niego według zawiadomienia król czekał. Kiedy starosta wszedł do młynówki i przedstawił się monarsze, *Stanisław August* uściskał go jako swego przyjaciela i zbawcę. Skoro mu zaś on oświadczył, że jego przeciwnicy częścią polegli, częścią zostali pojmani, uradowany król odpiął z swój piersi wstęgę orderu „*Białego orła*“ i ozdobił nią pierś starosty, który przed królem ukląkł i ucałował jego rękę. *Stanisław August* kazał przed sobą stawić jeńców; a starosta wyszedł spełnić rozkaz. Na ganku zastał on Ewkę, która wraz z Fliczem zanosila się od śmiechu w oznakę nadmiernej radości.

— A czegoż się wy tak śmiejecie? — zapytał starosta.

— Czyż się nie mamy śmiać, gdy nam mój mąż mimowolnie wyświadczył największą przysługę? Ja i tak miałam się z nim wkrótce rozwiść; on zaś przystał do konfederatów i to podobno tylko na to, aby mię uwolnić od swego nieznośnego towarzystwa.

— Jaśnie wielmożny panie starosto! — dodał Flicz — w czasie, kiedy Łukawski męża Ewki ściągnął do konfederatów, ona napędziła mię do obozu „królewszczyków“. Tą jedynie drogą mogliśmy stanąć u celu, albowiem, chociaż już oddawna miłowaliśmy się oboje wzajemnie — nawet wcześniej, zanim o Ewce Kieść pomyślał, przecież byłoby się nam trudno obojgu pobrać. Teraz atoli, kiedyśmy — królewszczycy wzięli tak dalece górę nad przeciwnikami, musi Ewka zostać moją żoną.

Starosta odwrócił się od niegodziwej pary.

Kiedy Łukawski wszedł do izby pod eskortą czterech żołnierzy: zadrżał król na widok jego olbrzymiej postawy i śmiałości, która płonęła w jego oczach. Po chwili rzekł król:

— Kto waszeć jesteś?

— Jestem Łukawski, szlachcic i pułkownik konfederacji barskiej; nie stawałbym tutaj, gdybym nie był padł ofiarą zdrady.

— I któż waszeci nakazał postępować tak ze mną?

— Nikt; czyniłem wszystko z własnego popędu, aby położyć koniec wszelkim nieszczęściom, które się pojawiły od chwili ostatniej elekcyi.

— A jakaż przyczyna ku temu? Cóż złego
uczyniłem waszmości?

— Z tego wytłómaczę się przed kompetentnym
sądem.

Starosta kazał stawić drugiego jeńca. Zaledwo
atoli tenże wszedł do izby, zakrył oczy rękoma
i z okrzykiem padł do nóg króla.



XIII. Prośba o ułaskawienie u króla.



~~~~~

Kiedy król powrócił, okazywała stolica radość i uniesienie z powodu jego szczęśliwego ocalenia.

Niesłychana zuchwałość samego przedsięwzięcia i niespodziewany zwrot rzeczy zjednał dla sprawy króla nawet te osoby, które się dotychczas wahały, albo się obojętnie przyglądały przebiegowi wypadków.

Atoli po niejakiem czasie nastąpiła reakcja w chwilowym nastroju stolicy. Miejsce wszelkiego zapału, wszelkiej nadmiernej radości zajmuje zwykle później pewna obojętność i rozwaga trzeźwa. W sprawie omawianej najbliższym ku temu powodem była ta okoliczność, że nawet zwolennicy króla zauważyli sami ku wielkiemu niezadowoleniu, iż wszelkie urzędowe organa sprawę przedstawiły jako zamach na życie króla. Sam zaś król upatrywał w swém ocaleniu cud Opatrzności i oświadczał przy każdej spo-

sobności, iż miał swe życie do zawdzięczenia bo-  
skiemu rządzeniu.

Niestety! liczny zastęp pochlębców i posożyków, otaczających *Stanisława Augusta* wyzyskał ten szczególnie na swą korzyść, nie uwzględniając przy tém ani politycznego charakteru konfederacyi, ani sławy i honoru całego narodu. Nie zawahano się nawet wciągnąć w spekulacye prywatne tę nader ważną sprawę w kraju i zagranicą. Wspomnimy tutaj tylko o jednym wypadku. Pewien udzielny książę narobił w Paryżu tyle długów, iż sobie już nie mógł dać rady z napierającymi wierzycielami. Za namową bankiera *Teppera* z Warszawy ustanowił ów książę z powodu cudownego ocalenia *Stanisława Augusta* order „*Opatrzności boskiej*“.

Gwiazda tego orderu była złota; w pośrodku znajdował się trójkąt z okiem i napisem: „*Fide, cui: vide.*“\*) Należała do tego błękitna wstęga ze złotym rąbkiem. Najstarszy z rodu *Tarnowskich* i *Ponińskich* był *eques. natus* tego orderu. U *Teppera* znajdowało się bióro udzielania i wydawania orderu. Z początku płacono za patent sto dukatów, później obniżono cenę na dwadzieścia pięć dukatów, aż ostatecznie cała sprawa orderowa stała się istną drobnostką. Atoli książę *doszedł do celu* i unikł aresztu wskutek uzyskania niespodziewanego źródła dochodów.

To wszystko wywarło naturalnie wpływ na ościenne państwa. Konfederatów zaczęto teraz po-

---

\*) Zaufaj, lecz patrz: komu!



mawiać o zbrodnicze tendencje i uważać ich za niegodnych opieki rządów cywilizowanych. Francuskie ministerjum, korzystając z téj okoliczności odjęło konfederatom nawet nieznaczne udzielone im wsparcie i odwołało nielicznych oficerów, którzy walczyli w szeregach konfederatów. Oburzona wypadkiem *Maryja Teresa*, opiekunka konfederacyi barskiej nakazała natychmiast, iżby się jéj jeneralicya wydalila z jéj krajów. Gdyby *Stanisław August* umiał był wyzyskać należycie wrażenie, jakie był wywołał smutny wypadek, możeby mu się było udało nawet jeszcze wtedy podnieść tron u narodu do znaczenia, jakiego on nie posiadał za panowania jego poprzedników. Ze strony państw ościennych byłby był w każdym razie zyskał najskorsze poparcie, albowiem nienaruszalność monarszój powagi, własne niebezpieczeństwa nakazywały im: nie przeszkadzać utrwaleniu się królewskiego znaczenia w rzeczypospolitéj. Nawet przewodcy konfederacyi, dowiedziawszy się o ujęciu Łukawskiego i Strawińskiego lękali się niezmiernie następstw, jakie mogły były spowodzić ich zeznania. Król mógł bez trudności osiągnąć u naczelników konfederacyi jak największe ustępstwa, gdyby był z nimi nawiązał rokowania przed zaczęciem procesu. Doradzali mu to *książe-kanclerz* i *książe-wojewoda ruski*. Atoli król liczył na to, że jeńcy w chęci ocalenia swego życia mieli uczynić wszelkie zażądane od nich zeznania. Opierając się na nich miał *Stanisław August* zadać dotkliwy cios arystokracji, a nawet się stać z króla ograniczonego konstytucyą — monarchą nieograniczonym, z króla elekcyjnego królem dziedzicznym. W tym celu zwrócono

się zaraz po uczynieniu wstępnych kroków do Łukawskiego, ofiarowano mu ułaskawienie i znaczny majątek zagranicą, gdyby był oświadczył na piśmie, iż mu jeneralicya nakazała, sprowadzić króla do *Częstochowy* — żywcem, lub jego trupa. Łukawski odrzucił z pogardą propozycyą i twierdził, iż mu jeneralicya nakazała była jedynie, udać się na *Mazowsze* i szérzyć tam konfederacyą. Atoli on sam postanowił *proprio motu*:\*) „jegomości“ *Poniatowskiego*, którego nigdy nie uznawał swym królem, ująć, stawić przed sąd z powodu uzurpacyi i ukarać. Następnie próbowano wyjednać zeznania u *Strawińskiego*. Atoli on odpowiadał stale, że będąc oskarżonym o zbrodnię stanu miał uznać jedynie jurysdykcyą sądu *sejmowego* i tylko wobec niego się tłómaczyć.

Następnie traktowano sprawę publicznie. Zaraz po piérwszych posiedzeniach okazało się, jak niebezpieczną jest sprawą publiczne stawienie przed sądem w procesach politycznych śmiałego i na wszystko zdecydowanego przeciwnika. Każde słowo z ust Łukawskiego było napaścią na króla i na jego powagę. Wielka przytomność umysłu i niewzruszony hart obwinionego sprawiły, iż się już po niejakiem czasie obudziła sympatya i współczucie względem losu konfederatów. *Kosiński* musiał dla bezpieczeństwa opuścić kraj; toż i starosta wieluński, który jeszcze niedawno przedtem był ulubieńcem salonów, zauważył, iż się przeciw niemu zwróciła publiczna opinia. Opowiadano sobie wszędzie, jak nieskończenie wielką

---

\*) Z własnego popędu.

miłość jego brat mu okazał, dopomógł do podziału ojcowskiej spuścizny i w ciągu całego życia objawiał największą życzliwość. Starosta zaś wydarł mu za to najpierw narzeczoną, a w danym razie gotował mu drogę na rusztowanie. I Zofia musiała poniekąd uciepieć: znalazła się teraz dla niejednej zazdrosnej damy w stolicy sposobność do pomszczenia się na *uwielbianej piękności* obmową. Pozornie starali się wszyscy, z którymi rodzina starosty obcowała, okazywać jej swe dawne względy; atoli w tych wszystkich grzecznościach, gratulacyach i komplementach było coś takiego, co starostę nadzwyczaj boleśnie dotykało.

Przewódca konfederacyi barskiej, ochłonawszy z przestachu i upewniwszy się o dochowaniu tajemnicy przez jeńców starali się usilnie usprawiedliwić przed własnym narodem i wobec krajów zagranicznych. Wyjawienia, przesłane dworom europejskim były nacechowane godnością. Tłómaczyli, że każdy kraj posiada swe odrębne prawa, a w państwie elekcyjnym stosunek poddanych względem władcy jest zupełnie odmiennej natury, aniżeli w monarchiach dziedzicznych. W Polsce król elekcyjny nie był królem z *bożej łaski*, ani z *krwi*, ale panował jedynie na podstawie *ugody ze szlachtą*. Pełna władza spoczywała więc w ręku szlachty; a król w razie dotrzymania przysięgi miał prawo do wymagania wierności, posłuszeństwa od swych poddanych. Konfederacya to — nie rokosz, ale prawny protest przeciw nadużyciu najwyższej władzy. Tego rodzaju polityczne prawo było wprowadzić unikatem pośród narodów, ale je wszystkie mocarstwa tak dalece

uznawały, iż niektóre z nich nawet pozawierały układy z konfederacją barską. Sam król przystąpił był do rozwiązanej przed niedawnym czasem *konfederacji radomskiej*; toż i późniejsza konfederacja *ślucko-toruńska* zawiązała się z jego poręki. Zatem wzięcie udziału w konfederacji barskiej nie mogło nikogo hańbić; toż obwinieni mogli wobec Boga i ludzi śmiało i otwarcie oświadczyć, iż spełnili jedynie swoją powinność. Co się zaś tyczy zarzutu, iż uczynili zamach na wolność i życie króla: obwinieni mieli się bronić przed sądem. Oświadczyli gotowość nachylenia głowy pod topór kata, gdyby im tę zbrodnię *udowodniono*, lecz mieli się także domagać ukarania oszczerców. Książę *Radziwiłł, wojewoda wileński*, którego o wzięcie udziału w tej sprawie nie można było obwinąć, ponieważ go od roku nie było w *Częstochowie*, i jego szwagier *Rzewuski*, chorąży litewski, który szczególnie popadł był w niełaskę u króla, oświadczyli publicznie, iż się domagali zwołania *sejmu* i mieli osobiście stanąć przed sądem *sejmowym* w celu oczyszczenia się wobec podejrzewania ich o zamierzone królobójstwo; mieli atoli zarazem wystąpić przeciwko osobom, których postępowanie wywołało było wojnę domową. Oświadczyli, że w sprawie, w której sam król stanowił stronę, mógł tylko sejm rozstrzygać. Odwoływali się na przykład króla *Zygmunta III.*, który po zwyciężeniu *Zebrzydowskich* mimoto całe swe postępowanie poddał pod sąd sejmu, który z tego powodu nazwano sejmem *inkwizycyjnym*. W tym samym duchu ogłosił starosta *Puławski* manifest. Te wszystkie pisma wywołały zarówno w kraju jak i zagranicą

wielkie wrażenie i zaszkodziły nie mało królowi w opinii publicznej.

W tym samym czasie oświadczył królowi swą uległość hetman *Ogiński*, ów nieszczęśliwy przewodca wyprawy *stołowieckiej*. Stało się to zaś za pośrednictwem jego małżonki, córki księcia-kanclerza *Czartoryskiego*, która była krewną króla, a przytem znana jako wzór małżeńskiej wierności i poświęcenia. W następstwie swego czynu powrócił *Ogiński* do Warszawy i dawniej łaski u króla, gdyż w ich pojeściach i wychowaniu zachodziło wielkie podobieństwo. *Ogiński*, jakkolwiek nie mógł odegrać roli, do jakiej go poniekąd znakomity ród i wysokie stanowisko powoływały, posiadał przecie na tyle ducha, takie zalety i tak doskonałe wykształcenie, iż się wpływ jego zdania mógł wszędzie utrzymać; nadto było jego serce przystępne wszelkim szlachetnym wrażeniom, co już niejednokrotnie, a i w ostatniej sprawie świetnie był stwierdził. Chociaż się z królem pojednał i szczerze się mu oddał, mimoto nie zerwał swych dawniejszych przyjaznych stósunków z dawnymi towarzyszami konfederacyi. Tym sposobem stał się *Ogiński* pośrednikiem obydwóch stronnictw. Poznawał on to bardzo dobrze i starał się wszędzie, gdzie to było możebném, zawięzywać i popierać wzajemne zbliżenie się obu stron. Pewnego dnia zabawiał się z królem w sali zamkowej i udzielił mu przy téj sposobności rady, któraby królowi była się stała nader pożyteczną, gdyby jój był usłuchał.

— Wasza królewska mość — powiedział *Ogiński* — masz teraz w ręku środki do zapewnienia

sobie zupełnego zwycięstwa i zamienienia naczelników konfederacyi w najwierniejszych poddanych.

— A to jakim sposobem? — zapytał król.

— Jeśli wasza królewska mość zamiast zezwiania na dalsze prowadzenie procesu w Warszawie, nakazesz odesłać królobójców do Częstochowy, iżby ich własni przełożeni sądzili, a tém samém wszyscy się dowiedzieli, że wasza królewska mość to, co dobre, szanujesz nawet u przeciwników i nie chcesz uwierzyć, iż tę zbrodnię popełniono z wiedzą, albo nawet na rozkaz konfederacyi.

— I cóżby stąd wynikło?

— W każdym razie tylko to, coby waszój królewskiej mości wyszło na pożytek. Albowiem gdyby ci ludzie byli *Machiawelistami*, natenczas stawiliby jeńców jako nieposłusznych żołnierzy przed sąd wojenny i oczyściliby się ukaraniem ich wobec podejrzenia, iż wiedzieli o zamachu i wzięli w nim udział — w oczach świata, w duchu zaś przemyśliwaliby o urzeczywistnieniu swych planów, tylko odmiennym sposobem i w stósowniejszą porę. Ale ja znam, miłościwy panie, tych ludzi z lepszej strony i wiem na pewne, iż dla żadnych politycznych względów nie obciążą swego sumienia. Ręczę głową, że — jeśli wasza królewska mość usłuchasz méj rady, im nie pozostanie nic innego do uczynienia jak tylko przybyć do Warszawy, błagać przebaczenia u waszój królewskiej mości i zezwolić na wszystko — częścią, aby się nie dać upokorzyć wielkodusznością przeciwnika, częścią, aby ocalić resztę spiskowców. Sądzę, iż tym sposobem możnaby było na zawsze usunąć konfederacyą.

Król zamyślił się na chwilę, poznał słuszność zdania i odrzekł:

— Rada jest wcale dobra, nie przeczę; ale ja jej nie mogę urzeczywistnić, gdyż mam ręce — związane.

Toż i starosta wieluński miał rozmowę z królem, która zmierzała do tego samego celu, choć z innego stanowiska. Gdy się mianowicie wyleczył z cielesnego obrażenia i ochłonął z doznanego wstrząśnienia duszy, stanął na uzyskaném prywatném posłuchaniu przed królem i poznał, iż go on nie przyjął tym razem z dawną łaskawością. Zdawało się: jak gdyby pomiędzy obojgiem było zaszło coś takiego, iż samego wspomnienia obydwaj, a osobliwie król unikali. Zdawało się nawet staroście, iż uprzejmość oblicza królewskiego była tylko maską, pod którą pewien chłód upatrywał. Przemówił więc pokornie i poważnie:

— Miłościwy panie! ośmielam się stanąć przed obliczem waszjej królewskiej mości, obsypany tak hojnie łaskami, iż jeszcze nigdy przedtem o nic nie upraszałem. Nie moja własna zasługa, gdyż najlepiej ze wszystkich sam jestem przeświadczony o méj nieudolności, ale dobroć i wspaniałomyślność waszjej królewskiej mości ośmieliły mię do upraszania dzisiaj po raz pierwszy łaski. Mój honor spoczywa w ręku waszjej królewskiej mości, gdyż on pozostaje w ścisłym zespoleniu z losem, który ma spotkać mego brata. Upraszam téż waszjej królewskiej mości o jego ułaskawienie. Nie dozwól wasza królewska mość, iżby na naczelnika gabinetu i wiernego sługę monarchy, który go tak często zaszczycał nazwą przy-

jaciela, wskazywano palcem i nazywano bratobójcą, członkiem rodu, którego krew skropiła rusztowanie!

— No i cóż mam uczynić mój dobry panie? Przecie prawo ułaskawienia nie jest u nas przywilejem władzy królewskiej; i ja podlegam prawu równie jak moi poddani. Wszak waszmość sam czytałeś, że mi réj wodzący konfederaci grożą sądem sejmowym. Wobec praw naszego kraju król nawet przy najlepszych chęciach nie może wyświadczyć dobrodziejstwa poddanym.

— Miłościwy panie! słówko w zatwierdzeniu woli waszój królewskiej mości wobec sędziów ocali już mego brata.

— Ależ waszmość wiesz sam lepiej od drugich, że nie jestem mściwy, a nawet nie pamiętam o urazach ludzi, obsypanych przeze mnie dobrodziejstwami. Że zaś nie gniewam się na pańskiego brata, udowodnię waszmości tém, iż w procesie przeciw mym mordercom osobiście wystąpię i wypowiem wszystko, co może ku ich obronie posłużyć.

— Jeśli wasza królewska mość przemówisz publicznie na korzyść winowajców, natenczas to rozgłoszą wszystkie gazety ku uwielbieniu serca i ducha waszój królewskiej mości; lecz mój brat dostanie się mimoto na rusztowanie. Natomiast wola waszój królewskiej mości, objawiona sędziom osobiście, choćby jedném słówkiem zadowolniłaby me najwyższe życzenia i ocaliłaby mego brata bezwarunkowo.

— A o cóż się to właściwie rozchodzi panie starosto? Niechajże brat waszmości zezna, iż popełnił zbrodnię z nakazu przewodców barskich, a brama jego więzienia sama przez się stanie otworem.



Czyliż żądam od pańskiego brata czego innego aniżeli wyznania prawdy? I czyżto właściwie nie powinienem sam waszmość skłonić brata, iżby dłużej przede mną prawdy nie tał? Czyż waszmość nie jesteś sam o tém przeświadczony, iż oni wszyscy działali tylko z rozkazu cudzego, wskutek spisku?

— Niezawodnie miłościwy panie! Jestem przeświadczony, że mój brat jest tylko wykonawcą cudzej woli; lecz sądzę, iż się zobowiązał przysięgą, toż nie podobna żądać od niego jój złamania. Znamy jego zagorzałe lgnięcie do sprawy, której się poświęcił, i doświadczyliśmy sami, chociaż skądinąd, że człowiek staje się często ofiarą danego słowa. Nie możemy zatem odmówić szacunku jego wierności. Wasza królewska mość podzielasz to samo przekonanie i nie dozwoliłeś się nigdy przewyższyć wielkodusznąścią jego urzeczywistnienia. Dlatego téż ośmielam się powtórzyć mą uniżoną prośbę z niewzruszonym zaufaniem.

— Panie starosto! zdaje się mi, iż zważając na mój honor i moję sławę nie powinienem w téj sprawie występować samodzielnie. Świadczę się Bogiem, że jako człowiek wobec człowieka nie żywię żadnej nieprzyjaznej myśli względem pańskiego brata. Od chwili, kiedy go ujrzałem, przebaczyłem mu z całego serca, lecz będąc *królem* powinienem tak jak moi przeciwnicy poddać się prawu. Zobowiązałem się w tym względzie przysięgą i chcę także jój dochować.

— Miłościwy panie! nie chępiłem się nigdy poświęceniem dla uświęconej osoby waszjej królewskiej mości; ponieważ się atoli tutaj rozchodzi o ocalenie mego brata, wypada mi jedno wypowiedzieć. Noszę jeszcze znak na sobie, iż tylko cudownemu

przypadkowi zawdzięczam życie, które każdej chwili byłem gotów poświęcić dla sprawy waszej królewskiej mości. Czyliżby przecucie méj żony miało mi być na to ocalić życie, abym je wiódł dalej w najdotkliwszym żalu i rozpaczycy? A gdybym nie był wykonał punktualnie rozkazu: na jakieżto jeszcze niebezpieczeństwo byłbyś wasza królewska mość narażonym! Czyż mi wasza królewska mość nie zapewniła senatorskiego krzesła, kiedy jeszcze mojm zdaniem nie uczyniłem nic nadzwyczajnego? Teraz jestem jeszcze tak szczęśliwym, iż się przyczyniłem do ocalenia waszej królewskiej mości; z drugiej strony jestem tak nieszczęśliwym, iż mi potrzeba prosić o życie mego brata. Czyliż wasza królewska mość dozwolisz, iżbym w ciągu całego życia miał oplakiwać dzień, w którym okazałem się wiernym i punktualnym sługą?

— A czy też pan starosta wiesz, że ja sam jeden nie mogę na to odpowiedzieć? Pozostawiam sumieniu waszmości rozstrzygnięcie: czy wierne wypełnienie swéj powinności ma być dla waszmości wyrzutem i przedmiotem żalu. Może cały świat osądzić: czy dla urzędnika może być niesławą, jeśli z rozkazu króla pospiesza ku jego ocaleniu?

— Miłościwy panie, poznaję, że brat na śmierć skazanego mordercy nie może być naczelnikiem królewskiego gabinetu. Moja obecność obudzałaby wspomnienie, nie całkiem pożądane dla waszej królewskiej mości. Widzę, że bywają czyny poświęcenia, po których dokonaniu poddanym wypada umrzeć, aby siebie od ciągłego żalu i wyrzutów sumienia, króla od uciskającego ciężaru wdzięczności uwolnić.

— Panie starosto! przebaczam panu wyrazy obrażające, których sobie waszmość wobec mnie pozwoliłeś. Przypisuję je braterskiej miłości; budują mię też tém więcej, ponieważ ona waszmości nie zawsze w tym stopniu ozywiała. Powtarzam: jeśli pański brat wyzna prawdę, otworzą się natychmiast drzwi jego więzienia; znajdzie on we mnie króla i ojca; jeśli atoli będzie się zapierał, niechaj prawo rzecz rozstrzygnie! Co się zaś tyczy zasług waszmości: to one są dla mnie zawsze przyjemne i pożyteczne; nie sądz atoli waszmość, iż zamysłam je okupić ograniczeniem méj godności! Pozostań waszmość i nadal takim, jakim byłeś dotychczas, a nie rozstaniemy się; jeśli mi atoli zechcesz czynić przepisy, natenczas ja tego nie ścierpię.

Po tych słowach skinął król ręką na znak ukończenia posłuchania.

Starosta oddalił się w największym wzburzeniu, którego bynajmniej nie ukrywał. Spiesząc przez królewską „garderobę“ odpychał od siebie każdego, kto się chciał do niego zbliżyć, i dostał się, prawie nieprzytomny schodami przed zamek. Nagle zatrzymał się, spoglądnął ku zamkowi i mruknął pod nosem:

— Niewdzięczny samolubié! a więc ta jest nagroda za tyle moich poświęceń, ta przyjaźń, którą mi tyle razy przyobiecowałeś? To są następstwa elekcyi króla. Gdybyśmy mieli króla dziedzicznego z łaski bożej i z prawami monarchy dziedzicznego, moja prośba zostałaby wysłuchaną: ale tak *Stanisław August* jest *urzędnikiem*, równym mnie, który nosi koronę jedynie jako najwyższe odznaczenie i dlatego

zazdrośnie i małodusznie daje odczuć to odznaczenie poddanym. Wstydę się, że służyłem takiemu królowi. Ale nie tryumfuj: nie poprowadzisz tak łącno mego brata na rusztowanie; dołożę wszelkich starań, aby go ocalić, albo z nim zginąć!

Wyrzekłszy to podążył spieszenie do swego pałacu.



## XIV. Więzienie.



Wojski poznał w dozorczy więziennym swego dawnego jeńca jenerała *Korycińskiego*, który w wojnie domowej wkrótce po obiorze króla *Stanisława Augusta* ofiarował swe usługi stronnictwu królewskiemu. Atoli niebawem został pojmany na Litwie z bronią w rękę przez oddział żołnierzy, którym dowodził jenerał *Kunicki*. Wojski, który podówczas odbywał pierwszą wojenną wyprawę, ujął się za jeńcem i postarał dla niego nietylko o wszelkie należne względy, ale i o zezwolenie, iżby mógł odwiedzać swych rodziców, kiedy przyobiecał aż do wymiany jeńców uważać się za więźnia i nie występować już oręźnie przeciw konfederatom. Jenerał dotrzymał wówczas obietnicy jak najsumienniejsz, gdyż istotnie nie walczył już przeciw konfederatom i otrzymał na własne prośby posadę dozorczy państwowego więzienia. Kiedy mu

zatem oddano pod dozór wojskiego, okazał mu on wielką życzliwość i świadczył wszelkie grzeczności, które mu mogły osłodzić los więźnia. Prosił nadto wojskiego, ażeby się w potrzebie zawsze do niego udawał, i rzekł wkońcu:

— Bóg jest świadkiem, iż żywię względem waszmości poczucie wdzięczności i szacunku, które najchętniej urzeczywistnię, o ile się to da pogodzić z moją służbą. Pokładam też w Bogu nadzieję, że koniec sprawy nie będzie tak smutny, gdyż nie mogę przypuścić, iż sędziowie zastósują względem waszmości prawo dosłownie. To, co waszmość dawniej dobrego dla mnie uczyniłeś, odpłacę chętnie waszmości i użyczę wszelkiej swobody, jaką waszmość zechcesz przyjąć. Zaręcz mi atoli waszmość słowem chrześcijańskim i szlacheckim, że ani sam nie będziesz myślał o ucieczce, ani nie przyjmiesz niczyjej w tym względzie pomocy! Proszę nawet waszmości o to usilnie, gdyż tém zdejmiesz ze mnie ciężar, któryby mnie w dozorowaniu waszmości tém dotkliwiej uciskał.

Jenerał uściskał na znak obietnicy podaną prawicę wojskiemu i rzekł:

— Ufam danemu słowu; toż od téj chwili uważaj się tutaj waszmość: jakbyś był w własnym domu! Wszyscy dozorczy i urzędnicy będą na usługi waszmości; toż i drzwi więzienia pozostaną otworem.

Pułkownika Łukawskiego osadzono w tém samym więzieniu, lecz mu wyznaczono odrębną celę tak, iż się nie mógł widywać z wojskim. Jenerał zaglądał do obydwóch codziennie — naturalnie z odmienném dla każdego usposobieniem. Różnili

się też wielce obaj więźniowie. Już sama powierzchowność Łukawskiego napawała bojaźnią więziennych dozorców; jego zachowanie było dumne, krnąbrne, opryskliwe, traktował on nawet generała z pewnym lekceważeniem, jeśli nie z pogardą. Można mu było z twarzy wyczytać, iż tylko przemocą tłumił w sobie szal i gniew, aby nie wykroczyć postępowaniem, któreby było na niego sprowadziło jeszcze dotkliwsze upokorzenie, aniżeli pobyt w więzieniu. Wojski zachowywał się zupełnie inaczej. Już sama jego powierzchowność była zobowiązująca; można było w nim poznać męża, który ciężkie ciosy losu nie obojętnie, lub z przecenianiem, lecz z godnością i stoicyzmem znosił. Objawiał on tak wielką skromność i rezygnacją, iż je nawet zbiry umiały uszanować pewnego rodzaju religijném współczuciem, dalekiem od chęci upokorzenia ofiary. Różnica charakterów uwydatniała się najjaskrawiej osobliwie wtedy, kiedy obydwóch więźniów stawiono przed sądem. Łukawski drażnił sędziów cierpkimi uwagami i złośliwymi wycieczkami; nie rozchodziło się mu podobno o usprawiedliwienie siebie, ale raczej o okrycie hańbą przeciwnéj strony. Nie tyle bronił własnéj osoby, ile raczej oskarżał króla i jego zwolenników. Wojski nie przyznawał wprawdzie swym sędziom prawa stanowienia o jego losie, ale nie zaczepiał ich osobistości. Odwoływał się na zwyczaj i ustawy krajowe, oświadczał, iż powinien był tłumaczyć się jedynie wobec sądu sejmowego, a przeciw sądowi marszałkowskiemu podnosił tylko ten jeden zarzut, że on nie był kompetentnym; zresztą pozostawiał sumieniu każdego sędziego odpowiedzialność

za swe postępowanie. Udowadniał sądowi, iż go nie można było uważać za zwykłego mordercę, a jako taki według prawa mógł być stawiony jedynie przed sąd sejmowy; toż domagał się tego, będąc obywatelem-patryotą i prawym urzędnikiem. Jego wywody były nacechowane tak wielką godnością, skromnością i umiarkowaniem, iż sędziowie nie taili przed sobą, że jego przemowa wywarła jak największy i najkorzystniejszy wpływ na całe zgromadzenie.

Wojski zresztą nie łudził się żadną nadzieją od chwili swego uwięzienia, przygotowywał się na śmierć poważnie i z zupełnym przekonaniem, iż nie mogło być inaczej. Śmierć uważał za bramę wieczności, gdzie się miał połączyć z ojcem. Ta myśl była jego pociechą i kotwicą nadziei, kiedy go czasami boleść pokonała, gdy rozważał, iż w sile wieku miał ginąć tak sromotnie. Umiął przecież tak dalece nad sobą zapanować, a pewność śmierci sprawiła w jego duszy tak wielki pokój, iż kiedyindziej prawie tylko smutny i pogrążony w melancholii zmienił się w największym ucisku i okazywał wesołość i radość, jakiej u niego dawniej nikt nie zauważył. Żartował z generałem wtedy, gdy on wszedł do jego celi — smutny i stroskany. Przebyte w życiu cierpienia zdawały się wkońcu być dla niego obojętnymi i zjaśniały jego oblicze owym nimbem, jaki spostrzegamy na obliczach świętych Pańskich. Jego cała osoba tchnęła tak wzruszającą łagodnością, iż nawet dozorca na podwórzu więzienia, po którym się wojski przechadzał, do siebie mawiali: „*To mąż święty; prosimy go o błogostawieństwo!*“



Wojski żył w więzieniu według pewnego porządku. Wstawał o godzinie piątej i ubrawszy się odmawiał modlitwy do szóstej; następnie udawał się do kaplicy więziennój i słuchał mszy świętej. O godzinie siódmej przynoszono mu śniadanie. Po spożyciu tegoż czytywał kazania, albo i inne książki treści religijnej. Od godziny dziewiątej do jedenastej w dniach, w których nie stawał przed sądem, przechadzał się po dziedzińcu więziennym, potem zabawiał się godzinę z kapelanem, który z prawdziwym poświęceniem przygotowywał na śmierć skazańców. Ten spowiednik wydał wojskiemu najlepsze świadectwo objawieniem, iż ile razy z nim rozmawiał, czuł się w duszy zawsze o wiele lepszym. W południe spożywał wojski nader skromny obiad. Po obiedzie zabawiał się zwykle godzinkę z jenerałem, nie wspominając nigdy o sobie i o własnem położeniu. Jenerał spodziewał się wprawdzie, iż nawet w razie wydanego wyroku nie miano go wykonać; mimoto przychodziło mu z przykrością pokazywać się w urzędowej misyi mężowi, którego on z całego serca kochał i szanował. Wiedział o tém bardzo dobrze wojski i choć nie podzielał jego nadziei, nie okazywał mu przecie tego. Przyjmował jenerała jakby gościa w własnym domu i starał się go zabawić rozmową, niekiedy nawet żartobliwą. Po jego oddaleniu się zwykł był drzymać z godzinkę; a potem skracał sobie czas tokarstwem. Sporządził też jenerałowi w upominku *warcaby* z drzewa bukszanowego i jesionowego. Od godziny piątej czytywał niezrównane dzieło *Tomasza a Kempisa*, które uchodzi sprawiedliwie za najlepszą,

ludzką ręką napisaną książkę, gdyż *Pismo św.* nie jest utworem ludzkim. Prawdziwość sądu poznają osoby, które w dojmujących cierpieniach duszy czerpali w tej książce pociechę — podobnie jak wojski. Po każdym przeczytanym rozdziale rozmyślał on zwykle głęboko pewien czas nad jego treścią. O godzinie siódmej wychodził znowu na wolne powietrze; o ósmej wieczerzał, potem odmawiał różaniec na cześć *Niepokalanego poczęcia* i udawał się na spoczynek.

Sen, to „wtóre danie w uczcie przyrody“, który unika często powiek mniemanych szczęśliwców, był dla wojskiego balsamem na zranioną duszę po przepędzonym dniu w więzieniu z prawdziwą pobożnością. Tymczasem rozprawa sądowa postępowała prawidłowym tokiem. Sędziowie nie uwzględnili zarzutu co do kompetencji i skazali obydwóch obwinionych jako pochwyconych *in flagranti delicto*\*) na karę śmierci, wyznaczając trzydniową zwłokę, aby skazańcy mogli się byli pojednać z Bogiem.

Kiedy do sali wprowadzonym więźniom ogłoszono wyrok, machnął Łukawski ręką pogardliwie i nie powiedział ani słowa. Wojski przemówił do sędziów, stwierdzając, że szlachcica nie można było zasądzić *sine beneficio appellationis*\*\*), więc mu przysługiwało prawo odwołania się do trybunału. Nie czynił zaś tego, gdyż nie chciał uznać kompetencji sądu, albowiem usłyszane orzeczenie uważał nie za wyrok, ale za paszkwil przeciw swój osobie. Wy-

\*) Na gorącym uczynku.

\*\*\*) Bez dobrodziejstwa apelacji.

kazał też wszelkie nielegalne szczegóły wyroku i rozprawy, lecz przyjmował wreszcie wyrok, gdyż i tutaj upatrywał zrządzenie boże i dlatego przebaczał sędziom z całego serca.

Zaledwo ogłoszono wyrok sądu, prosił powtórnie starosta w celu ocalenia brata o posłuchanie u króla, ale mu go odmówiono. Następnie pisał do króla, prosił go o przebaczenie, iż — bolejąc nad nieszczęściem brata obraził był monarchę. Poruszył wszystko w swém piśmie, co tylko mogło skłonić króla do wspaniałomyślności, i wyraził przekonanie, iż jego prośba o ułaskawienie brata miała być wysłuchaną. *Ale i na to pismo nie otrzymał odpowiedzi.* Potem udał się starosta do swych wszystkich przyjaciół i prosił ich o wstawiennictwo u króla. Atoli i tym razem przekonał się, że w razie potrzeby nie ma co liczyć na wdzięczność i przyjaźń. Książę-jenerał ziem podolskich i łowczy koronny *Branicki* nie byliby go z pewnością w tém położeniu opuścili, ale na nieszczęście nie było ich obydwóch w Warszawie. Piérwszy z nich, zniechęcony rozbratem w Rzeczypospolitéj i niezadowolony z nieustannego wahania się króla odjechał do *Paryża*, gdzie postanowił pozostać aż do zupełnego uspokojenia się kraju. *Branicki* dowodził wojskiem, wysłaném na *Ukrainę* w celu uśmierzenia buntującego się chłopstwa. Inni znajomi dostojnicy odstrychnęli się od starosty, kiedy on popadł u króla w niełaskę, i dali mu do zrozumienia, iż nie mogli utrzymać z nim nadal dotychczasowych stósunków. Wielu nawet z tych mniemanych przyjaciół nie omieszkało jeszcze więcej pobudzić gniew króla, aby w jego

sercu wygasić nawet ostatnią isierkę dotychczasowej życzliwości dla starosty.

Kiedy starosta widział, iż jego wszystkie u dworu poczynione kroki okazały się bezskutecznymi, usłuchał głosu swego temperamentu, będąc bliskim rozpacz, lecz zapomniał, iż w tego rodzaju ostatecznościach powinna być przynajmniej forma zachowana. Przesłał królowi podanie o zwolnienie go od urzędu naczelnika gabinetu, motywując ten krok w liście, napisanym z uniesieniem, iż mu honor i sumienie zakazywały, pozostać dłużej w służbie królewskiej. Oburzony tém w najwyższym stopniu *Stanisław August* wyprawił natychmiast swego podkomorzego *Camelli*'ego do starosty z oświadczeniem, iż król przyjął jego dymisy, atoli równocześnie nakazał mu zrzec się komendy nad królewskim wojskiem.

*Camelli* udał się do mieszkania starosty w celu wykonania zlecenia. Zaledwo atoli kilka słów przemówił, odpowiedział mu starosta w największym oburzeniu:

— Mój panie! zrzekłem się urzędu naczelnika gabinetu, gdyż nie myślę służyć królowi, ale nie oświadczyłem tém samém, iż odmawiam usług rzeczypospolitej; przeciwnie będę służył aż do końca życia sprawie publicznej i nie złożę komendy. Jeśli król sądzi, iż nie jestem godny tego urzędu, natenczas może mię stawić przed sąd: to jedyny środek do pozbawienia mię stopnia wojskowego. Wyczekując tego nie mogę tymczasem zadosyć uczynić rozkazowi króla, któremu, proszę, to oświadczyć.

— Panie starosto! może waszmość zechcesz rozważyć, iż oddział armii, którym dowodzisz, jest

królewski, toż i stopień w nim osiągnąłeś waszmość z łaski jego królewskiej mości, a *cujus est condere, ejus est tollere!*\*)

— Zasada, wypowiedziana przez waszmości nie ma tutaj zastosowania, albowiem w charakterze wojskowego służę nie jak waszmość królowi, lecz rzeczypospolitój, w której on jest nie panem, ale pierwszym urzędnikiem. W wymienionym oddziale wojska król jegomość ode mnie wyższy tylko o jeden stopień; nad nami obydwoja stoi według ustawy *hetman koronny*, a ponieważ on już nie żyje, *hetman polny*. Król musi wiedzieć najlepiej, gdzie się tenże obecnie znajduje. Tylko ten mąż może rozporządzić: czy mam dłużej komendę zachować, albo nie. Jego też rozkazowi nie odmówię należytego posłuszeństwa.

— Panie starosto! nie możesz podobno żadną miarą żądać, abym tę odpowiedź zaniósł królowi.

— Inną waszmość ode mnie nie otrzymasz. Wiem dobrze, iż nikt z nas nie winien, że tak przemawiać *muszę*: jestto następstwo nieszczęsnych stosunków, pod których mocą i wpływem wszyscy pozostajemy. Gdyby król pochodził z krwi domu panującego, a nie był mnie równym, Bóg świadkiem: nie odważyłbym się nawet na podobne myśli, ani bym nie miał podobno do tego powodu. Teraz widzę najzupełniej jasno, gdzie źródło mego dotychczasowego nieszczęścia i cierpień całego narodu. Ponieważ się król dawniej starał o moją przyjaźń, nie mógł — przynajmniej tak sądził — wysłuchać mej prośby. Biada nam wszystkim, biada

---

\*) Kto organizuje, ustanawia, ten także znosi, kasuje.

każdemu narodowi, któremu Bóg odmówił króla ze Swój łaski.

— Panie starosto! dłużej nie godzi się mi przysłuchiwać tego rodzaju mowie. Zapominasz waszmość, że jestem sługą jego królewskiej mości i z jego rozkazu tutaj stoję. Wyrządzasz mi pan starosta krzywdę, sądząc, iżbym miał obojętnie przysłuchiwać się podobnej zniewadze mego pana i króla.

— A, więc waszmość myślisz, uczynić to sprawą honorową; może umiesz robić pałaszem równie wprawnie jak pański ziomek *Casanova*... Owszem: możesz się waszmość ze mną zmierzyć; gdy mię położysz trupem, może się okaże łaskawszym dla waszmości król, chociaż jeszcze noszę na piersi oznakę, którą otrzymałem w walce, podjętej w obronie jego osoby.

— Panie starosto! zdaje się mi, że nie ubliżyłem waszmości, ale przyniosłem jedynie rozkaz króla, a więc nie jestem wcale interesowanym w tej sprawie. Cieszyłem się zawsze przyjaźnią waszmości i ręczę, że już z tego względu nie powtórzę królowi naszej rozmowy.

— Wierzę, iż waszmość nie jesteś interesowanym w tej sprawie. Jeśli się rozchodzi o obsadzenie mego wojskowego urzędu: cóż to obchodzić może waszmości, albo pp. *Cartecellego*, *Diatolego*, *Manucciego* i: jak się tam nazywają zresztą ci wszyscy, którzy zasiadają w gabinecie królewskim! Postarajże się waszmość o indygenat: wszak ta sprawa nie będzie trudną dla króla na najbliższym sejmie — a wtedy możesz waszmość przebierać w urzędach.

— Nic dziwnego, iż pan starosta traktujesz tak samo sługę jak jego pana; nie zapoznaję bynajmniej

ani własnego stanowiska, ani położenia waszmości i dlatego udzielię panu staroście rady.

— *Pan mnie rady?* Możesz waszmość w razie potrzeby doradzać wraz z panią *Lullier* królowi; ja sobie sam poradzę. Teraz odejdz waszmość z Bogiem, jeśli chcesz ujść cało, i oświadczyć królowi ode mnie uszanowanie!

Kiedy *Camelli* wyszedł, pozostawał starosta sam jeszcze kilka chwil, starając się zimną rozważą zapanować nad sytuacją w najwyższém wzburzeniu. Zdawało się mu, jak się to zwykle przydarza temperamentom *namiętnym*, iż miał tylko jedno wyjście, a on nie powinien się być ani na chwilę dłużej wahać. Pojechał natychmiast do koszar, przegładnął swój oddział wojska i oświadczył mu następnie, iż król żądał od niego zrzeczenia się komendy. Oburzyło to żołnierzy; toż błagali starostę, iżby ich był nie opuszczał, powtórzyli przysięgę, że byli gotowi za niego umrzeć, a naślanego im nowego dowódcę uważać za nieprzyjaciela ojczyzny.

Gdy się starosta upewnił o wierności swego wojska, postanowił, chociaż mu to przyszło z trudnością, uczynić krok ostatni t. j. odwiedzić swego brata. Wolałby był tysiąckrotnie umierać, aniżeli spotkać się z bratem, gdyż mu niegdyś wydarł był zdradliwie najukochańszą istotę, a niedawno oddał bezwiednie w ręce nieprzyjaciół. Pokonał przecie duszę, głos sumienia i popędliwość swego charakteru, kazał się zaprowadzić do więzienia brata; a na straży stojący oficer nie czynił mu trudności ze względu na jego wysokie stanowisko.

Wojski sporządzał właśnie na tokarni cybuch w upominku dla Wazgirda, gdy się otwarły drzwi więzienia, do którego wszedł starosta. Michał poznał go natychmiast i powitał serdecznym uściskiem.

— Ach, mój bracie, — rzekł — jakżeż się czuję szczęśliwym, iż cię widzę! Pragnąłem przed śmiercią pojednać się z tobą i oświadczyć ci moją miłość z całego serca oraz, iż nie mam nic ani tobie, ani bratowej do wyrzucania.

Starosta nie zdołał ani słowa wymówić: tak dalece uciśnioną miał duszę. Wkońcu zalał się łzami i zawołał:

— Tak, jam bratobójca i przeklęty wobec Boga i ludzi.

Michał starał się go uspokoić, mówiąc:

— Spełniłeś tylko swą powinność. Wszak i ja celowałem do ciebie. Czyżby mię można było potępić, gdybym był w ciebie ugodził? To wszystko jest wyższem zrządzeniem, wobec którego my jesteśmy jedynie biernem narzędziem.

— Mój bracie! przybyłem tutaj prosić cię o przebaczenie, a ty mnie przyjmujesz tak miłościwie! Atoli jakkolwiek dotychczas ciężko błądziłem, posiadam dosyć siły do zapobieżenia dalszej krzywdzie. Muszę cię ocalić, wywieść z więzienia i miasta. Stoję na czele oddziału wojska, któremu mogę zaufać. Pójdź za mną! Jakto: wahasz się? Odpychasz z pogardą podaną ci prawicę.

— Mój drogi Ludwiku: nie mów tego! Przyjmuję z największą wdzięcznością twą pomoc, ale nie mogę jej zużytkować.



— Miałbyś zezwolić, aby cię stracono jako zbrodniarza — i wzgardzić ostatnim środkiem ratunku? Nie chcesz pójść za mną, gdyż mi podobno nie dowierzasz.

— Nie, bracie! nie żywię podobnej myśli, ale dałem słowo, iż stąd nie ucieknę, więc go nie mogę złamać.

— Nawet wtedy, gdy możesz tém ocalić siebie? Przysięgam ci, iż natychmiast przystąpię do konfederacyi. Sprawa, za którą mój brat postanawia umrzeć, będzie nadal i moją sprawą. Toż ci przysięgam, że od téj chwili wszystko weźmie inny obrót. Moje nazwisko i moje wpływy zaważą na szali stronictw; za mną podążą inni. Następca téż *Choiseula* należy do mych najlepszych przyjaciół. Pojmujesz zapewne, że przy takiej pomocy możemy wiele zdziałać.

— Ciesz się mnie, że teraz uznajesz za słuszną sprawę, której przez całe życie służyłem. Jeśli sądzisz, iż możesz jęj wyświadczyć jaką przysługę, to uczyn jak się ci podoba, i przyjmij moje serdeczne podziękowanie. Atoli ja nie mogę korzystać z twojego współczucia. Mogę się jeszcze tylko tém stać pożytecznym, iż na obecném stanowisku umrę z godnością i honorem.

— Gdyby atoli twoja obietnica była niesłuszną ze względu na mnie, ponieważ nią pozbawiłeś mię środków do wyrównania krzywd, wyrządzonych tobie i sprawie publicznej, niesłuszną ze względu na współobywateli, których nie możesz już popierać w chwili, w którejbyś to mógł czynić skuteczniej, aniżeli kiedyindziej?

— Nie, mój bracie, nie dopuściłem się niesłusznego czynu, gdy daniem słowa ulżyłem mężowi prawemu w wykonaniu powinności; a jeśli by ktoś nazwał to rzeczą nierozsądną, natenczas mi to wybaczą wszyscy przyjaciele dla śmierci, którą dla nich poniosę.

— Wypadałoby ci raczej poświęcić swą okolicznościami wymuszoną obietnicę.

— Mój bracie! dane słowo jest dla mnie prawem; toż sądzę, że cię tylko miłość braterska skłoniła do niepokojenia mego serca w tym względzie.

— Ach, kochany Michale, — tutaj upadł starosta do nóg bratu — czy chcesz, abym z tobą poszedł na rusztowanie? Na Boga: przychodziłoby mi to łatwiej uczynić, aniżeli znosić później rozpacz, gdy tylko sam jeden umrzesz.

— Proszę cię: daj temu pokój i spocznij na mém sercu! — Tutaj podniósł i przygarnął wojski do piersi brata, który atoli nie słyszał jego słów i usunął się bezsilny na krzesło. Cała serce rozdzierająca przeszłość odnowiła się w jego pamięci; toż urywane słowa, które się z jego ust wymykały, tłómaczyły jasno walkę jego duszy. — Sprawdziło się, — mówił — czego ani nie przypuszczałem. Dosięgła mię możliwie najstraszniejsza zemsta. Jakże to dziwne, a przecież naturalne! Poznają w tém sprawiedliwie karzącego Boga.

Napróżno starał się go brat pocieszyć i przedstawiał mu wszystko jako zrządzenie Boga, oświadczając, iż z upragnieniem szedł na śmierć i żywił nadzieję, że jego ostatnia ofiara miała wydać dobre owoce. Tylko w części zrozumiane słowa brata od-

słaniały staroście tém wybitniej szereg zdradzieckich postępków, któremi przeciw niemu był zawinił. Toż wołał rozpaczliwie: „Nie masz ratunku! Nie można zmienić rzeczy! Biada mi wieczyście!”

Nagle zajaśniał promień nadziei na jego obliczu; powstał, rzucił się bratu na szyję i rzekł:

— No, kiedy ty nie chcesz się zgodzić, więc ja będę działał za ciebie. Na przekór królowi, straży i twojej własnej woli ocalę cię, albo zginę!

Rzekłszy to wyszedł z więzienia.

Gdy się to działo w kaźni Michała, omawiali sędziowie w sali posiedzeń środki ostrożności wobec wielkiego współczucia i wzburzenia, jakie się objawiały w mieście. Ustanowiono też egzekucyą wyroku z początku na pierwszego grudnia. Atoli następnie uradzono, wykonać wyrok o jeden dzień *wcześniej*.



## XV. Wykonanie wyroku.



*czynić źle: jest dla człowieka rzeczą, wielce łatwą, a przeciwnie trudną — czynić dobrze.*

Często lekko rzucone słowo, czyn — zresztą obojętny może obrazić i zranić bliźniego jak najdotkliwiej. Zdaje się poniekąd: jak gdyby człowiek miał za wiele mocy do uciskania drugiego. Szczęśliwi, nader szczęśliwi są ci, którzy nigdy nie uczynili użytku z téj mocy, albowiem nader trudną jest rzeczą, naprawienie raz popełnionego złego! Odwieczne miłosierdzie nie odpycha wprawdzie żadnego grzesznika, gdy się do jego tronu z prawdziwą skruczą i pokorą zbliża, atoli — o ile o tém może zawyrokować rozum ludzki: zdaje się, że tylko ofiara czystego serca posiada moc uszczęśliwiającą. W spuściznie mądrości zamierzchłych wieków posiadamy zdanie: „*Bóg nie przyjmuje ofiary z rąk, pokalanych krwią i łzami istoty, stworzonej na Jego obraz i podobieństwo!*“

Powracający do swego pałacu starosta myślał jedynie o rychłym wykonaniu swego postanowienia t. j. o uwolnieniu brata. Przywykły do postępowania energicznego i poniekąd namiętnego umyślił: bez względu na natrafiane przeszkody następujący plan urzeczywistnić. Postanowił zgromadzić około siebie swych żołnierzy, wtargnąć przemocą do więzienia swego brata i wywieść go stamtąd nawet w razie oporu z jego strony. Uznawał atoli potrzebę wykonania tego planu z oględnością, któraby mu zabezpieczała pożądany skutek. Kiedy przybył do swego pałacu w chęci wytchnienia i skupienia myśli, zawiódł się w nadziei, gdyż go wzburzały nadzwyczaj doznane silne wstrząśnienia. Widać było na jego twarzy tak wybitne ślady wewnętrznej burzy, iż starościna na widok męża ogarnął dotychczas niedoznawany przestrah. Uwiadomiona o wszystkim była zdecydowaną na najgorszą ostateczność; gdy ją atoli poznała w tak jaskrawém uwydatnieniu w całej postawie męża, opuścił i ją wreszcie hart ducha. W tego rodzaju chwilach okazuje się zwykle wielka siła, która jest zaletą płci niewieściej, gdy się rozchodzi o osobę ukochaną. Toż i starościna zapomniała poniekąd o wszystkim, a myślała tylko o wspieraniu i pocieszaniu męża. Niewierna, gdy była narzeczoną, była obecnie wzorem miłującej żony. Uścisnęła ona męża z ową serdecznością, która *w jednej chwili dozwala zapomnieć o goryczy całego życia.* Uczuł to starosta jak jeszcze nigdy przedtem; lecz na jej pytania mógł tylko tyle odpowiedzieć, iż miał gorączkę i doznawał nader silnego bólu głowy. Usiadł też na sofie. Zofia oddaliła się na chwilę, lecz zaraz

potem powróciła z córeczką na ręku, usiadła obok męża i podała mu dziecko. Starosta pieścił córeczkę, lecz nie zdołał odpowiedzieć na pytania stroskaniej o niego żony, która dotknąwszy się ręką jego czoła zauważyła, że się w nim krew jakby wulkan burzyła. Nagliła więc, iżby się był położył, gdyż cierpienie było gwałtowne. Starosta chciał powstać, ale znowu opadł na sofę. Żona poznała groźną gorączkę i kazała sprowadzić lekarza.

Przybył też niebawem królewski lekarz przybyoczny *Syo*, cieszący się zupełnym zaufaniem starosty i uznawszy zagrażające mu niebezpieczeństwo upuścił mu natychmiast krwi i zalecił staroście przygotować się na kilka-tygodniową obłożną chorobę męża. W istocie też przeleżał starosta pierwsze dni bez przytomności tak, iż zwątpiono o jego możliwym wyzdrowieniu. Atoli miłość nie dozwoliła staroście opuścić męża; toż spędzała ona noce, czuwając, lub modląc się u jego łoża. Tylko czasami zdrzymnęła się na chwilę w postawie kłęczącej, lub schylona na łożo boleści.

Z początku okazywało się pośród znakomitości i dostojników nie wielkie współczucie wobec nieszczęścia niegdyś tak uwielbianego małżeństwa. Natomiast garnęli się tłumnie w chęci okazania swego smutku i ubolewania potrzebujący i ubodzy miasta, rzemieślnicy i mniej wybitni mieszczanie, dla których dom starosty był schroniskiem i źródłem dobrodziejstw. Kiedy atoli rozpacz, wierna miłość i poświęcenie starościny, omawiane w coraz szerszych kołach doszły nawet do uszu króla, z którym się często stykał lekarz *Syo*, wówczas obudziło się w du-

szy *Stanisława Augusta* dawne przywiązanie względem wieloletniego i doświadczonego sługi i przyjaciela. Zajechał też niebawem król przed pałac starosty i dowiadywał się osobiście o stan chorego. Starościna podeszła aż do stopnia powozu na powitanie monarchy i podziękowała mu za okazaną łaskę. *Stanisław August* pobladł na widok śladów spustoszenia, jakie były wryły na jej ślicznej twarzy bezsenność i zgryzota. Zabłyły łzy królowi w oczach wobec tak rzadkiej urody i tak wielkiego nieszczęścia. Zaledwo król spuścił na dom starosty promyk dawniej łaski, a już poszli za jego przykładem otaczający monarchę magnaci i szlachta i zaczęli okazywać dawne względy domowi starosty.

W czasie, kiedy starosta pasował się ze śmiercią, zdążył jego brat-wojski do ukończenia męczeńskiego posłannictwa w dzień *ostatniego listopada*. W miesiącu, w którym go spotykały wszelkie nieszczęścia, poprowadzono go także razem z pułkownikiem Łukawskim na rusztowanie; towarzyszący kapłan nie potrzebował im w ciągu tej ostatniej drogi dodawać ducha. Łukawski pozostał wiernym swemu charakterowi, chociażby było odpowiadało więcej ważnemu aktowi, gdyby był okazywał mniej junactwa. Natomiast wojski wręczył księdzu przed udaniem się na rusztowanie dwa listy: jeden dla brata, drugi dla Wazgirda. Zaklinał on brata, iżby sobie jego śmierć nigdy nie przypisywał, gdyż wszystko było dziełem wyroków niezbadanych. Przypominał bratu powinności względem żony i córeczki, prosił go, ażeby w razie doznania w życiu upokorzenia poczytywał je za sprawiedliwy dopust boży, a nigdy

się nie mścił osobiście za doznane krzywdy i urazy. Dotyczący list oddano staroście, która go schowała w zamiarze okazania go później mężowi, gdyby był odzyskał całkowicie zdrowie. Toż i w liście, napisanym do Wazgirda znajdowała się pośród wielu serdecznych wylań prośba, aby się na nikim nie mścił z powodu śmierci wojskiego.

W drodze z więzienia na plac egzekucyi odmawiał on z księdzem modlitwy konających. Na rusztowaniu ucałował w ostatni objaw pokory kata i przekazał mu w upominku swój złoty zegarek. Następnie przeżegnał się i oczekiwał śmiertelnego razu z największym spokojem i wzniesionemi ku niebu oczyma.

Tymczasem u starosty gorączka doszła do najwyższego stopnia; stracił on całkowicie przytomność i nie poznawał już nikogo. Mimoto zdawało się: jak gdyby się krwawa egzekucya była odzwierciedlała w jego oczach. W chwili, w której wyprowadzono jego brata z więzienia, krzyknął okropnie, wzywał w głos ratunku i wymawiał imię brata: jużto z rozrzewnieniem, jużto z porywczą szaleńcą. Przewracał się na łóżku i chciał się z niego zerwać, więc go służący musieli trzymać. Po jakimś czasie opadł na posłanie — wycieńczony i bezsilny, leżał jakby w letargu i tylko poruszał wargami, gdyż przemówić nie zdołał. Kiedy się wreszcie ocknął, widać było, iż się w jego pamięci szczegóły stracenia brata tak dokładnie wryły: jak gdyby był sam na nie patrzył, a nawet zażądał listu od brata, który on jego zdaniem niezawodnie do niego pisał. Lekarz *Syo* doradzał, iżby zadosyć uczyniono jego



żądaniu; a storoscina posłuchała rady. Starosta podziękował jój i zapadł znowu w letarg, w którym leżał całe godziny — nieruchomy i milczący. Czasami wzdychał; to znowu łzy spływały mu po licach. Żona podawała mu w oznaczonych godzinach pokarm jakby dziecku. Sprowadzała do niego zпочątku znajome osoby, które atoli dla starosty były teraz obojętne. Sprawily mu pewną ulgę jedynie odwiedziny księcia *Waragina* i pani *podczaszyny litewskiej*; podał im rękę i przysłuchiwał się z zajęciem ich opowiadaniu nowin z miasta i dworu? Nie śmieli oni mówić jedynie o królu i jego dawniejszym stósunku względem starosty. Podczaszyna litewska, chcąc go rozweselić opowiadała mu, że król dopytywał się codziennie o jego zdrowie i odczuwał brak tak dzielnego sprzymierzeńca i urzędnika w królewskim gabinecie. Atoli starosta odwrócił się; i można było widzieć jego niepohamowaną niechęć. Od owej chwili nie wspomiano już wcale o tej sprawie.

Zofią bolało to wielce, iż jój mąż nie chciał przyjąć pociechy religijnej. Wezwała bowiem do męża księdza kanonika *Ghiciottego*, rodem Włocha — słynnego z rozległej wiedzy i uprzejmego obejścia. Skoro atoli starosta ujrzał sutannę u swego łoża, ogarnęła go tak wielka trwoga, iż doświadczony w światowych sprawach kapłan skorzystał z najbliższej sposobności i oddalił się, a starościnę, wielce zasmuconą pocieszał tém, że osłabienie nerwowe jój męża nie doradzało jeszcze wizyty kapłańskiej.

Kiedy staroscina pewnego dnia starała się jak zwykle rozweselić męża, którego siły zdawały

się coraz więcej wzmagać, zażądał on zwierciadła. Gdy mu je przyniesiono, wzdrygnął się na widok swej twarzy. I rzeczywiście zmienił się starosta nie do poznania: wypadły mu włosy z głowy, oczy zagłębiły się znacznie w czaszkę i cała jego twarz była obecnie więcej, niż kiedykolwiek podobną do oblicza jego brata. Zapytał też starosta żonę: jak mogła tylko pokazywać ludziom takie „straszydło“; kazał sobie natychmiast ogolić brodę, głowę okryć i uróżować lica. To obudzenie się próżności męża ucieszyło duszę Zofii, gdyż poznała w nim także jego powrót do zdrowia. I rzeczywiście wzmagały się siły starosty z każdym dniem tak dalece, iż żona odważyła się pomówić z nim o przyszłości.

Małżonkowie uznali potrzebę zmiany miejsca pobytu w danych okolicznościach. Postanowili opuścić całkowicie kraj rodzinny, osiedlić się we Francji w pobliżu Paryża, spędzać lato na wsi, zimę zaś w Paryżu, poświęcić się wyłącznie domowi i wychowywaniu dziecka z ograniczeniem obcowania ze światem do pocztu niewielu przyjaciół i krewnych. *Paryż* był promykiem nadziei, który ożywiał chorego. Starosta przemyślał już teraz nad sposobem przesiedlenia i zapominał przy tém coraz więcej o przebytych cierpieniach. Zdawała się też zmiana politycznych stósunków w kraju sprzyjać jego postanowieniu. Rozwiązała się już konfederacya barska, ten wiekopomny epizod niknącego państwowego życia. Oprócz trzech mężów, którzy woleli dobrowolnie udać się na wygnanie, aniżeli prosić króla o przebaczenie, odstąpili od związku wszyscy inni przewodcy i przyjęli ułaskawienie króla, który wtedy

stał się już bezsprzecznym władcą kraju. Zaczął też *Stanisław August* przemyślać na seryo o utrwaleniu tronu w swym rodzie. Przedewszystkiem postarał się o nabycie znacznej ziemskiej posiadłości dla swego bratanka młodego księcia *Stanisława*. Dowiedziawszy się, iż starosta postanowił sprzedać swe dobra, wyznaczył dla kuzyna potrzebne ku temu środki. Pełnomocnik księcia *Ancuta*, daleki krewny i przyjaciel starosty zawarł w imieniu swego pana kontrakt, na mocy którego cały nieruchomy majątek starosty i jego żony stał się własnością młodego księcia *Stanisława*. Majątek *Strawińskich* był tak znaczny, iż pomimo zastrzeżeń na korzyść krewnych i służby cena sprzedaży wynosiła przeszło sto tysięcy dukatów, ulokowanych następnie w zupełną gwarancją dających wekslach banków w *Hamburgu, Londynie i Paryżu*. Gdy ta sprawa została załatwioną, rozchodziło się jeszcze o odstąpienie pałacu, który starosta posiadał w Warszawie, i samego starostwa. Dopomógł mu do urzeczywistnienia téj sprawy najbliższy znajomy. Książe *Waragin*, zamianowany właśnie ambasadorem rosyjskim w Warszawie nie omieszkał połączyć natychmiast usługę przyjacielską z swemi obowiązkami, które mu nakazywały postarać się o odpowiednie ubikacye do prowadzenia domu *pańskiego*. Zakupił więc u starosty pałac z wszelkimi ruchomościami i dozwolił mu użytkować z nich aż do odjazdu. Starostwo wieluńskie przeszło na podczaszego litewskiego, którego żona staroście wywdzięczyła się przesłaniem mu nadzwyczaj wygodnego podróżnego powozu i kilku innych kosztownych przedmiotów,

a za to znowu za wstawieniem się ambasadora otrzymała tak nazwane *jus communicativum*, które się głównie zasadzało na prawie dożywotniego użytkowania dóbr, należących do urzędu podczaszego na wypadek śmierci męża. Swym następcą w komendzie mianował starosta za zewoleniem króla jednego z podwładnych dowódców, którego uważał za najdzielniejszego, i który się cieszył szczególniejszą miłością i szacunkiem podwładnych.

Po załatwieniu swych interesów zdawał się starosta być nadzwyczaj zadowolonym i myśleć jedynie o podróży. Układał plany na przyszłość i rozmawiał o nich z żoną. Wspominał z przyjemnością o czasach, kiedyto w charakterze francuskiego oficera wprowadzony na dwór królewski miał prawo jechania w powozie „arcy-chrześciańskiego“ monarchy. Ciesząc się, iż miał powrócić do kraju, któremu niegdyś był poświęcił swą młodość, nie ubogim, pomocy potrzebującym szlachcicem, lecz mężem — możnym, posiadającym znaczenie, pełnym zasług i szczytów, a przedewszystkiem uszczęśliwionym posiadaniem żony, która wskutek zalet ciała i ducha miała zapewne w towarzystwie wszelakiem zająć niepoślednie stanowisko. Spodziéwał się téż, że posiadając w następcy *Choiseula* dawnego druha nie miał być prawdopodobnie zupełnie wykluczonym od spraw państwowych. A to mu pochlebiało tém więcej, ponieważ przyjazny stósunek, w jakim pozostawał z posłem najpotężniejszego monarchy, zatarł był ostatni ślad niechęci króla. Chociaż atoli starosta miewał wesołe chwile, przecież posępnosć opuszczała go rzadko kiedy na czas dłuższy. Ogarniała go

ona osobliwie w samotności; i wtedy przyłącała się pewna lęklivość. Dręczyły go często pewne przecucia, które potęgowały jego trwożliwość. Zdawało się staroście raz, że mu wzburzona krew miała serce rozerwać; innym razem zamierało mu poniekąd jakby w skrzepnięciu tętno. Nawet sen nie przynosił mu pożądanego pokoju. Dręczące widziadła przypominały mu przeszłość i napawały go często tak wielkim przestachem, iż się zrywał z łóżka. Zauważyła to wszystko starościna, pocieszała też męża zapewnieniem, iż miał doznać ulgi w cierpieniach po opuszczeniu granic państwa. Czyniła z jak największym pospiechem przygotowania do wyjazdu, pożegnała znajomych o wiele wcześniej, anizeli lekarz pozwolił, wychodzić jój mężowi. Wysłała też naprzód kilka wozów ze srebrami i innymi kosztownymi sprzętami, tudzież garderobę pod dozorem *La-fleura i Korendowicza*, którzy mieli oczekiwać w *Brzetysławie* przybycia starostwa; wszystkie własne klejnoty, które same przez się stanowiły majątek, przechowała w dużej skrzynce. Wreszcie zgodził się starosta na skrócenie terminu wyjazdu, gdyż go o to prosiła usilnie małżonka; mieli zatem już tylko trzy dni zabawić w Warszawie.

Starosta zdawał się być spokojniejszym, a nawet ku większej radości jego żony odzyskał dawną pogodę i ugrzecznienie w obejściu. Przed samym wyjazdem odwiedzili starostwo pod wieczór podczaszyna i księżę Waragin. Kiedy wspomniano o odjeździe, zauważyła podczaszyna:

— Nie prawdaż! pan starosta postara się niezawodnie o posłuchanie pożegnalne u króla?

— Nie myślę tego uczynić: — odrzekł starosta — tego rodzaju posłuchanie byłoby poniżeniem wobec nagrody, jaką otrzymałem za me poświęcenie od króla.

— A przecież dotychczas zajmowane przez pana starostę stanowisko zobowiązywałoby waszmości do tego kroku, albowiem mimo swego postępowania pozostaje król zawsze monarchą waszmości.

— Czyliż po zrzeczeniu się wszelkich urzędów i godności nie mogę się uważać za poddanego króla Francyi?

— Zapytaj waszmość swego najlepszego przyjaciela księcia Waragina, coby on na to powiedział i jakby się na tę sprawę zapatrywał, gdybyś się waszmość tym sposobem sprzeciwił wszelkim prawom przyzwoitości i taktu?

— Słowa starosty — zauważył ambasador — powinienem uważać za wyraz boleści, który mu można łącno wybaczyć; atoli ona nie powinna bynajmniej wpływać na jego postępowanie. Chociażby nawet król był pobłądził, wtenczas jego względy, dowiadywanie się o zdrowie pana starosty, a wreszcie jego wizyta powinnyby rozwiać wszelką urazę i niechęć. A zresztą tutaj nie rozchodzi się przecie o zadosyćuczynienie skłonności, lecz o wypełnienie obowiązku, którego pierwszym wymaganiem jest, aby nie zapomnieć o przyzwoitym tonie i szacunku względem monarchy. Nie przypuszczam nawet, aby starosta chciał je pominąć; toż się spodziewam, iż go jutro ujrzę na posłuchaniu u króla. Żywię stanowcze przekonanie, że — gdyby się miał zawa-

hać, uda się pani staroście z łatwością — nakłonić go do tego kroku.

— Mości książę! — rzekł starosta, ujmując rękę księcia — czuję się zobowiązanym waszej książęcej mości za udzielenie mi zasłużonej nauki. Będę jutro u króla i złożę u jego stóp nietylko mój hołd, ale także serdeczne podziękowanie za to, iż nie zapomniał o mnie całkowicie. W chwili pożegnania spodziewam się nietylko usłyszeć z jego ust wyrazów pociechy i pojednania, ale może on mnie uznać nadto godnym swej wielkiej łaski. Jego królewska mość raczy może dać mi pewne zlecenie n. p. kupienia gustownej spinki dla pani krajczyny koronnej.

Ambasador uśmiechnął się wobec tej odpowiedzi i to tém serdeczniej, ponieważ żywił przekonanie, że jego przyjaciel nie miał bezsprzecznie odstąpić od przepisów dworskiej etykiety.



## XVI. Niespodziewane zdarzenie.



Kiedy goście odjechali, postanowił starosta w następnym dniu postarać się o posłuchanie u króla, a jego żona podziękować Bogu w modlitwie podczas mszy świętej za udzielone jej mężowi zdrowie, prosić Stwórcę o opiekę na zamierzoną przez oboje podróż i przyjąć w tym celu świętą komunię.

Starosta przepędził noc spokojnie i ocknął się dopiero około godziny dziesiątej zrana; a to się mu już oddawna nie przytrafiło. Starościna przygotowywała się do odwiedzenia kościoła, a jej mąż czynił zabiegi do godnego wystąpienia wobec króla; toż ubierając się dokładał więcej starań, aniżeli najwybredniejsza strojnisia. Ponieważ zaś utracił był włosy, okrył głowę peruką, a nawet użył białego i czerwonego barwidła na lica, aby zatrzeć ostatnie ślady przebytej choroby. Kazał sobie po dać mundur francuski, który załagał oddawna —



nieużywany w garderobie, i przywdział go w celu wybitnego zamanifestowania, iż się już nie uważał za poddanego Stanisława Augusta. Zauważono także, że mając opuścić kraj rodzinny umyślnie nie używał już mowy ojczystej. Kiedy starościna miała wyjechać do kościoła, odprowadził ją mąż do drzwi, ucałował jej rękę z ową czułością, która cechuje miśnięć miodowy, i udał się następnie do króla.

Po wysłuchaniu nabożeństwa wstąpiła pani starościna na filiżankę czekolady do podczaszyny. W ciągu rozmowy zasięgała rady u swjej kuzyny, która odbyła już wiele podróży w zagranicznych krajach. Po niejakiem czasie pojawił się podczaszny litewski, powracający wprost z pokojów królewskich i zdał damom sprawę z posłuchania starosty u Stanisława Augusta.

— Powiadam paniom, — mówił — iż pan starosta pomimo przebytej choroby wyglądał bardzo dobrze i krzepko. Nikt nie poznał, że miał na głowie perukę. Widziano go po raz piérwszy z orderem *Orła białego*; toż należąca do niego jasnobłękitna wstęga odbijała korzystnie od ciemnoniebieskiego francuskiego munduru. Król przyjął starostę nadzwyczaj łaskawie. Starosta podziękował niskim ukłonem i zapytał: czyby mu król nie miał może do udzielenia jakich zleceń dla Paryża. Na to odrzekł król: „Rozkazów nie daję, ale proszę, abyś waszmość o nas nie zapomniał. Spodziewam się, że i we Francyi pozostaniesz waszmość moim przyjacielem. Wiem, że dla siebie pan starosta niczego nie żądasz; jeślibyś atoli zajmował się może inną osobą, natenczas, proszę, mi to powiedzieć, gdyż

mi sprawi przyjemność okazanie publicznie: jak waszności szacuję!“ — Nie uwierzycie panie, — mówił dalej podczaszy — jakie wrażenie wywarły słowa króla na obecnych. Król wprowadził następnie starostę do ośmio-bocznego gabinetu, który z sali posłuchalnej prowadzi na taras. Zauważyliśmy, iż obydwaj rozmawiali z sobą przeszło godzinę i to bardzo żywo. Słowem: kiedy król pożegnał starostę, szedł małżonek jójności przez salę z miną tryumfującą. Każdy z obecnych zbliżał się do niego z wielkiem uszanowaniem; atoli on nie spoglądał na nikogo i tylko z ugrzecznieniem mnie samemu uściśnął rękę, a nadto rozmawiał kilka chwil z księciem Waraginem — ale tak cicho, iż dwór nie wie jeszcze nic o treści téj rozmowy.

Starościna powróciła potem spiesznie do domu, aby oświadczyć mężowi gratulacją z powodu posłuchania u króla. Spodziéwała się, że to łaskawe przyjęcie u niego miało zatrzeć u męża ostatnie ślady smutku i niepokoju. Ale jakżeż się wielce przestraszyła, dowiedziawszy się, że starosta natychmiast po przybyciu od króla na nowo zaniemógł! Jego ulubiony kozak, którego otrzymał w upominku od księcia-jenerała ziem podolskich, opowiadał o tém następujące szczegóły.

— Mój pan — mówił — wysiadł z powozu w jak najlepszym humorze. U drzwi pałacu wręczył mu nieznamy męszczyzna list ze cztériema pieczęciami. Pan starosta, wychodząc schodami na górę wydobyl po rozpieczętowaniu z koperty jakiś druk i odczytując pismo wszedł do gabinetu. Oburzony treścią pisma zapomniał się tak dalece, iż ude-

rzył głową o ścianę. Kazał się też zaraz rozebrać, gdyż mi mówił, że był bardzo chory; płakał przy tém gwałtownie, aż go „zanieiono do łóżka.“

Starościna weszła na palcach do sypialni, gdyż jeszcze przed drzwiami usłyszała jęki męża, i rzekła do niego:

— Mój kochany mężu! i cóż znowu tak okropnego się stało? Powiedz mi, iżbym przynajmniej wspólnie z tobą mogła opłakiwać nieszczęście!

— Mój aniele! — odpowiedział starosta — jestem najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi — i moja gwiazda zgasła na wieki. Dowiesz się później: jakim sposobem prześladowają twego męża złośliwość i podłota. Obecnie czuję się zanadto cierpiącym, abym ci mógł opowiedzieć: co mię spotkało. Ach, bylebyśmy tylko opuścili to tutaj nieszczęsne miejsce! Sprowadź natychmiast lekarza: niechaj mię ratuje, gdyż mi duszność dech zapiera! Gdy przybędzie, powiedz mu, iżby mi dał na sen napitek, gdyż doznaję takiej trwogi, że nie mogę prawie tego stanu już przetrzymać.

Kiedy lekarz Syo przybył, zastał chorego wprowadzie w wielkiem wzburzeniu, ale nie uznawał stanu groźnego. Zapisał mu napój chłodzący, kazał mu wykąpać się nazajutrz w ciepłej wodzie i, zwróciwszy się do starościny dodał:

— *Madame la Comtesse* raczy być spokojną! Znam temperament małżonka; ulega on zbyt łatwo chwilowym wrażeniom, atoli na szczęście skutki nie trwają długo. To na wskroś francuska natura! Pan hrabia *odjedzie pojutrze* — i jeśli zezwoli — ja sam go zawiozę do Paryża.

— Ach, mój kochany panie Syo! — zawołała staroscina — biorę waszmości za słowo. Nie mógłbyś nam wyświadczyć większej przysługi; toż ręczę, że zobowiązesz nas waszmość na zawsze swém poświęceniem się dla naszego dobra.

— To nie poświęcenie hrabino! Udaję się natychmiast do króla — prosić go o trzech-miesięczny urlop. Gdy mu powiem, że stan zdrowia kochanego hrabiego wymaga méj opieki, ręczę, że mi król nie odmówi zezwolenia, gdyż monarcha miłuje i szacuje małżonka pani hrabiny jak dawniej.

Starosta uściskał silnie rękę lekarza.

— A więc sprawa skończona: — mówił Syo dalej — jutro zrana ciepła kąpiel; po obiedzie każę me rzeczy przygotować do podróży, a pojutrze o godzinie dziesiątej puścimy się w drogę. Ręczę, iż starostę zawieziemy bezpiecznie do Paryża; a kiedy go tylko owieje powietrze Francyi; natenczas zapomni o wszystkich przebytych cierpieniach jak gdyby po napiciu się wody z rzeki *Lete*.\*)

Staroscina oddaliła się na chwilę, a powróciwszy wręczyła lekarzowi rulon dukatów i rzekła:

— Mój kochany panie Syo! może będziesz miał wydatki przed wyjazdem; proszę: przyjąć tę drobnostkę w dowód méj wdzięczności i mego zaufania!

— Nie zawiodę panią hrabinę: — odpowiedział lekarz — u Francuza znaczy dane słowo tyle co przysięga. Wyjedziemy pojutrze; a kiedy tylko

---

\*) *Lete*: rzeka zapomnienia w mitycznym królestwie podziemnym; napicie się jéj wody zacierało pamięć nieboszczyków co do wszelkich spraw świata.

hrabina ujrysz brzegi *Sekwany*, ręczę, że zapomnisz w krótkim czasie o kraju rodzinnym. Każda ziemia posiada swe uroki; atoli Francya jest najpiękniejszą ze wszystkich krajów; dlatego też należy ją koniecznie poznać.

Tutaj oddalił się Syo.

Starosta zdawał się być po zażyciu mixtury spokojniejszym. Kazał sobie przynieść córeczkę, zabawiał się z nią dłużej, niż kiedyindziej, pieścił z nią i całował ręce małżonce. Zachodziły mu oczy łzami rozrzewnienia; to znowu uśmiech wesela rozjaśniał jego oblicze. Malutka Jadwinia wymawiała już całkiem wyraźnie: „Tata!“ — „Mama!“ — okrywała ojca pocałunkami i otulała go drobnymi rączkami. Ale to wszystko zdawało się poniekąd utrudzać starostę, który też jeszcze raz ucałował serdecznie dziecinę, potem ją oddał matce i objawił życzenie wypoczęcia i pozostawania w samotności. W istocie też zastała go żona po upływie kilku godzin spokojniejszym i silniejszym, a nawet zauważyła u niego pewną wesołość. Starosta rozmawiał z żoną i opowiadał jęj o swęj młodości, którą spędził w rycerskiej szkole w *Luneville'u*.

— Widzisz, mój aniele, — mówił dalej — że się starzeję, gdyż zaczynam zachwalać czasy minione. No, ale też one rzeczywiście były lepsze od obecnych. Dawniejsi ludzie byli lepsi, aniżeli terażniejsi. N. p. *Stanisław Leszczyński*: cóżto był za dobry i szlachetny król! A jego wszystkie cnoty zasadzały się na pobożności. Ach, jakże ty i wszyscy, mogący wierzyć jesteście szczęśliwi!

— Ach, Ludwiku! — odpowiedziała starościna — czyliż słowa naszej wiary nie znajdują w twój duszy oddźwięku?

— O, niezawodnie znajdują moja droga; uznaję wiarę za coś — nadzwyczajnie uszczęśliwiającego. Ale skąd mam zaczerpnąć przekonanie, że to wszystko jest czémś więcej, aniżeli płodem wzniosłej i głębiój myślącego moralisty? Ach, pragnąłbym tak jak wy wierzyć! Czyliż może być w uciskach jaka bardziej pocieszająca myśl od niewzruszonej wiary w rządy najmędrszego, wszechmocnego Boga, który nas nad wszystko miłuje?

— Mój drogi Ludwiku! nie sprzeciwiaj się odczuwanemu niekiedy natchnieniu, bo ono pochodzi niezawodnie od Boga. A jeśli tylko będziesz pilnie ucęszczał do kościoła i zajmował się gorliwiej naszym nabożeństwem: natenczas cię Bóg za to usiłowanie nagrodzi tak, iż sam wreszcie uwierzysz w Jego słowo.

— Gdybym téż mógł zrozumieć, choć jeden z dogmatów naszego kościoła — n. p. naukę o życiu wiecznym po śmierci! Jakżeż mogę przypuszczać, że będę myślał, czuł i cierpiał, gdy moje ciało zniszczeje, skoro przecie śmierć jest końcem naszych uciech i cierpień!

— Nie mów więcej o tym przedmiocie! Patrz: jak ja, słysząc twe słowa drzę z obawy! Pomyśl o tém, że mamy dziecko, w którym zakładamy wszelkie nadzieje przyszłości! Czyż pismo święte nie obwieszcza, że nas Pan karze w potomkach?

Wśród pieszczot nadała starościna rozmowie inny kierunek, pocieszając się nadzieją, iż mogłaby powrócić do kwestyi religijnych wtedy, kiedyby jój mąż po odbytej podróży w odmienném otoczeniu odzyskał był potrzebne siły. O godzinie czwartej po obiedzie przyniesiono staroście jego ulubiony przysmak — jarząbka. Żona spoglądała z serdeczną radością na to: jak on spożył całego ptaka z apetytem, a nadto wypił szklanę wina Bordeaux. Po obiedzie czuł się starosta tak pokrzepionym, iż jego stan zadowolnił zupełnie lekarza Syę, który oświadczył starostwu, iż otrzymał od króla urlop, a nadto łaskawe polecenie czuwania z największą starannością nad zdrowiem starosty. Wkrótce potem przyjechała krajczyna, zabawiła cały wieczór u starosty i dziwiła się jego widocznie wielkiemu ożywieniu. I w istocie nie widziano go dawniej u niego.

Starosta opowiadał następnie o swym miłosnym stósunku, jaki utrzymywał z margrabina *de Pompadour*, i zatrzymał się z widoczną predylekcyą na owej przygodzie, kiedyto król pewnego razu niespodzianie do niej zawitał tak, że pan starosta musiał się ratować ucieczką — w komin, gdzie, nie mogąc się ruszyć w najfatalniejszym położeniu przeszło godzinę literalnie „wisiał“ i ledwo się nie udusił. Dopiero po oddaleniu się króla spuścił się na dół, ale tak pomięty i osmolony, że się margrabina zanosila od śmiechu. Ponieważ zaś u niej nie mógł się przebrać, ani w chwilowym stanie od niej oddalić, musiał się zatrzymać jakby za karę aż do zmroku i dopiero wtedy powrócił do domu ku wiel-

kiemu przerażeniu służby .... Potem zauważył starosta:

— Człowiek przywołuje sobie u schyłku życia z zamięłowaniem na pamięć zdarzenia swjej młodości, albowiem „*post mortem nulla voluptas.*“<sup>\*)</sup> nie prawiż mój doktorze? — Mówił zaś starosta z tak gorączkowym ogniem i wybuchał chwilami tak osobliwym śmiechem, że podczaszyna zapytała pocichu lekarza, czy starosta przypadkiem nie był w gorączce. Lecz Syo odpowiedział jēj, że to były tylko wybuchy jego drażliwości — korzystniejsze od ponurych zaciekań. Zauważyła i to podczaszyna, że kiedyindziej nader umiarkowany w jedzeniu i piciu starosta tym razem przy wieczerzy prawie zanadto wiele spożył, wypił kilka szklanek wina i co chwila sięgał do tabakierki lekarza, chociaż kiedyindziej nie mógł znieść tabaki.

Minęła już była niezawodnie północ, kiedy się rozstało nieliczne towarzystwo, albowiem — ile razy podczaszyna, albo Syo chcieli się oddalić, starosta ich zatrzymywał, aż wreszcie sam zapotrzebował odpoczynku. Na wyjezdnem rzekła podczaszyna do lekarza:

— Mów waszmość, co chcesz: mnie stan starosty niepokoii; lękam się też, że ponownie zachoruje ciężko, gdyż w ciągu całego wieczora zachowywał się jakby nieprzytomny.

---

\*) Po śmierci nie masz rokoszy — użycia.

Słowa rzymskiego poety.



Starosta udał się na spoczynek natychmiast i zasnął tak twardo, że się przebudził dopiero o godzinie dziesiątej zrana. Kiedy otworzył oczy, zauważył żonę, która siedziała u jego łóżka i czekała na jego przebudzenie. Przywdziawszy szlafrok zauważył:

— Już oddawna nie czułem się tak zdrowym jak dzisiaj! — Lecz starościna poznała, iż jego twarz okrywała większa bladość, aniżeli przedtem.

— Moja droga Zofio! — mówił dalej — dzisiaj mam użyć kąpieli: czy już gotowa?

— Przyniesiono ją według twego rozkazu w gabinecie.

— Mój drogi aniele! kiedy mi ofiarowałaś ten tutaj wizerunek *Matki boskiej*, dałem ci słowo, iż go nikt nie miał zdjąć z méj szyi. Luba Zofio! zdejmże go sama, a potem mi go znowu zawiesz na szyję, gdy wyjdę z kąpieli!

Starościna zdjęła też medalik z szyi męża i założyła go sobie na szyję. Starosta ucałował ją w czoło i, skłoniwszy się nisko poszedł do swego gabinetu. Atoli wyraz jego wzroku był tak dziwny, iż się starościna przelekła, nie wiedząc: dlaczego. Prawie przez kwadrans nie mogła się ruszyć z miejsca; potem weszła do gabinetu męża i zastała go tutaj przy biurku, gdzie porządkował papiery podczas, gdy służba chłodziła wodę w wannie, gdyż się mu ona zdawała być za gorącą. Kiedy żona weszła do gabinetu, starosta zaśmiał się w głos i rzekł:

— Czy też wiesz, mój drogi aniele, co mi na myśl przyszło? Poczciwa podczaszyna ma tak rozrzuconego męża, że starostwo, które im odstąpiłem, nie starczy na długo. Żal mi kobiety, bo chociaż

niekiedy jest aż nadto wietrznicą, posiada głowę na miejscu i bardzo dobre serce. W razie nieszczęścia może się stać dla ciebie bardzo pożyteczną.

W téj chwili dał się słyszeć turkot zajeżdżającego powozu. Starosta zbliżył się do okna.

— To powóz podczaszyny! — powiedział — Przyjmij ją ty Zofio! a potem i ja do was przybędę, gdy wyjdę z kąpeli. Zabierz atoli z sobą naszego *Prynca*,\*) gdyby mię bowiem ujrzał w kąpeli, wskoczyłby za mną do wanny i opryskał wodą wszystko w gabinecie! Do widzenia!

Starościna zdołała tylko z trudnością oddalić wierną psinę, który żadnym sposobem nie chciał opuścić swego pana. Kiedy następnie weszła do bawialni, zastała już w niej podczaszynę. Po wzajemném przywitaniu zauważyła ona:

— Wyobraź sobie Zofio! tak dalece niepokoiłam się o twego męża, iż — nie wypawszy się należycie tutaj pospieszyłam. Albowiem wczoraj mówił jakby w gorączce.

— Mąż dzisiaj w najlepszym humorze. Kąpie się teraz i przyjdzie niebawem.

W téj chwili zaczął *Prync* wyć żałośnie. Starościna zadzwoniła i nakazała przybytemu lokajowi psinę wywieść z spokoju. Zaledwo dała słudze to zlecenie, rozległ się opodal huk wystrzału.. Obie damy zerwały się — wystraszone.

— A to co było? — zapytała drżąca starościna.

---

\*) Obco-krajowa nazwa psa pochodziła stąd, iż go starosta otrzymał w upominku od pewnej niemieckiej księżny.

W kilka chwil później rozwarły się drzwi, któremu wbiegł zadyszany kozak starosty i rzekł:

— *Nasz pan już nie żyje!*

Usłyszawszy tę okropną wieść padła starościna bez zmysłów na ziemię.



## XVII. Pośmiertne zeznanie.

~~~~~

Kiedy się służące zajęły trzeźwieniem omdla-
łej starościny, pospieszyła podczaszyna do
gabinetu starosty. Jakże okropny widok
przerażał tutaj jój oczy! Starosta siedział w wannie
— martwy... Jego twarz zeszpeciła struga krwi,
którą także ściana i pułap były obryzgane... Wido-
cznie odebrał sobie starosta życie wystrzałem w usta
z kieszonkowego pistoletu. Jego biurko było otwarte;
na niém leżały weksle, indosowane na imię żony.
Obok weksli znajdowały się jeszcze na biurku jego
własno-ręczne pismo i zagraniczna gazeta, w której
umieszczono artykuł, stanowiący przyczynę nieszczę-
snego czynu. Jego treść była następująca:

„Lille 10. stycznia. Nasze miasto było przed
kilku dniami świadkiem smutnego zajścia. W tutej-
szej restauracji „*Pod Aniołem Pokoju*“ gromadzą
się zwykle oficerowie pułku księcia *Nawarry*. By-

wają tutaj także wszystkie dystyngowane osoby cywilne jakoteż przejeżdżający podróżni. Otóż przed kilku dniami rozmawiano w restauracyi o ocaleniu króla Stanisława Augusta, gdyż u nas wszyscy zajmują się tą sprawą. To ocalenie przypisują powszechnie hrabi *Strawińskiemu*, który po wieloletniej służbie w armii francuskiej poszedł za wezwaniem króla i u niego przyjął urząd państwowego sekretarza. Utrzymują, iż z wielkiej gorliwości w służbie hrabia poświęcił własnego brata, a król obiecał go za to zamianować senatorem. Ów brat hrabiego był jednym z najzawziętszych przeciwników królewskiego stronnictwa i członkiem spisku, który miał na celu usunięcie przemocą króla z Warszawy i wydanie go konfederacyi. Chociaż obydwaj bracia należeli do wrogich sobie stronnictw, żyli przecież z sobą w jak największej przyjaźni. Królewskiego przeciwnika skłoniła nawet niegdyś miłość braterska do dobrowolnego podzielenia się rodzicielską spuścizną z bratem, którego ojciec był wydziedziczył. Atoli hrabia, niepomny na ten czyn szlachetny zabił brata w zasadzkę i oddał go w ręce króla. Z jego rozkazu skazano nieszczęśliwego za usiłowane królobójstwo na karę śmierci; toż okrutny wyrok wykonano w ostatnich dniach listopada. Atoli wyrodny brat nie otrzymał pożądaney nagrody. Senatorowie zażądali od króla, aby był cofnął swą obietnicę i nie okrywał ich sromotą przez przyznanie bratobójcy krzesła senatorskiego. Rozstał się tóż król z naczelnikiem swego gabinetu w sposób, na jaki on sobie zasłużył. Donoszą nam z Warszawy, iż ten niegodziwy człowiek zamierza opuścić kraj

rodzinny i osiąść we Francyi; niechaj się atoli nie spodziéwa tutaj zycziwego przyjęcia!

Gdy tę sprawę omawiano u stołu w restauracyi, oburzyli się wszyscy na postépek hrabiego Strawińskiego. Najburzliwiéj objawiali swe zgorzenie dwaj bracia *Montigny'owie*, potomki znakomitego rodu i oficerowie pułku księcia Nawarry, którzy — uchodząc za wzór należytego prowadzenia się w życiu cieszyli się wielkim w towarzystwie szacunkiem. Na nieszczęście zaglądnął był do restauracyi także hrabia *Mycielski*, kapitan gwardyi królewskiej i słyssał naturalnie dotyczącą rozmowę. Oświadczył więc owym oficerom, iż sobie postąpili niegodziwie, potépiając méża bez wysłuchania go i nie wiedząc: coby służyło ku jego obronie. W nastépstwie odbył się pojedynek, w którym obaj bracia *Montigny'owie* polegli, a hrabia *Mycielski* odniósł niebezpieczną ranę. Ogólna żałoba, jaką okazywano na pogrzebie nieboszczyków, świadczyła najwymowniéj: jak cnotliwymi byli zmarli bracia, a publiczność uznawała zupełnie ich gorliwość wobec słusznej sprawy“...

Tak zaś brzmiał własnoręczny list starosty do żony:

Najdroższa Zofio!

Nie pamiętaj mi ofiary, którą dla Ciebie i dla naszego dziecka musiałem spełnić! Moje życie, pełne goryczy i sromoty byłoby dla Ciebie niewyczerpaném źródłem upokorzeń, a dla naszego dziecka przeszkodą do uzyskania szczęścia. Wskazywanoby na Was palcem jako na żonę i córkę méża, który utracił swój honor. Nie mam prawa do wciągania z sobą w nieszczęście niewinnych i tak drogich

istót. Przekonasz się z gazety, dołączonej do listu, jakieby mię czekało przeznaczenie. Nie doznałbym już dawniej życzliwości, moje życie i zdrowie byłoby narażone na niebezpieczeństwo: wszak już sam *Bertrand* odpokutował ciężko za to, że jest moim bratem. Doszło już do tego, że mi honor nie pozwala zachować dłużej życia, które się stało dla mnie samego ciężarem, a dla bliskich memu sercu nieszczęściem. Uwolnię więc ich i siebie od obojgu. Gdybym Ciebie nie znał należycie, lękałbym się śmierci; obawiałbym się, iżbyś mię nie przeżyła... Lecz znam Twoją miłość względem naszej dzieciny, której potrzeba zapobiegliwej matki. Polecam ją więc Twemu sercu i umieram spokojnie, wiedząc, iż ją nie pozabawisz Swój opieki. Cały nasz wspólny majątek jest teraz Twoją własnością. Opuść nasz kraj nieszczęsny i osiądź z naszą dzieciną w odległych stronach, gdzie moje nazwisko mniej jest znane, aniżeli tutaj i we Francyi! Zanim nasza córeczka dorośnie, zapomną już oddawna ludzie o jej nieszczęśliwym ojcu; toż posiadając majątek znajdziesz dla niej bez trudości męża. Złym nie byłem nigdy; byłem raczej igraszką nieprzyjaznego losu. I jeśli na mnie ciążyła jaka wina, sam siebie za nią ukarałem. Bądź szczęśliwą Najdroższa Zofio, Ukochana Żono! Żegnaj Cię na wieki... A czuwaj nad naszą dzieciną!”

Znalazła się też zapieczętowana paczka dla króla. Dowiedziano się później, iż w niej znajdowały się insygnia orderów, które starosta zawdzięczał łasce Stanisława Augusta.

Ten był koniec obojga braci Strawińskich.

XVIII. Pokłosie.



ypada nam jeszcze nieco wspomnieć o reszcie osób naszej powieści.

Dalsze czyny i losy głównej postaci księcia *Radziwiłła „Panie Kochanku!”* należą do historii. Wystarcza, iż w powieści skreśliśmy niektóre mniej znane rysy tego szlachetnego i dostojnego charakteru. Owdowiała starościna zносиła nieszczęście, które ją spotkało, z owym hartem duszy, jakiego tylko religia może udzielić.

Przewiozła ona zwłoki męża na *Szląsk* i pogrzebała je na ziemi poświęconej, gdyż jój nie dozwolono tego uczynić w kraju rodzinnym. Następnie poświęcała swe dalsze życie wyłącznie wychowaniu swój dzieciny. Okazywała przy tém krzepkość ducha, która najzupełniej nie licowała z jój skutek srogich cierpień zmienionój powierzchowności. Posiwały jój włosy i rumieniec znikł z twarzy na zawsze. Udała się starościna do *Włoch* i zakupiła

znaczące posiadłości w pobliżu miasteczka *Loretto*, uciekając się przez to niejako pod opiekę *Boga-Rodzicy*. Toż dodziśdnia można widzieć w Lorecie pośród skarbów owe klejnoty, które ta pokutnica szlachetna otrzymała od przyszłego małżonka, kiedy jeszcze była narzeczoną jego brata. Swój córce Jadwidze dała jak najdoskonalsze wychowanie i poślubiła ją, liczącą podówczas lat siedemnaście, hrabiemu *de Bilacqua*, patrycyuszowi bolońskiemu. Zapewniwszy los dziecka osiadła w *Rzymie* w klasztorze *Urszulanek* i spędziła resztę życia na modlitwie i świadczeniu dobrodziejstw. Przeżyła nawet swą córkę Jadwigę. Jój zwłoki pochowano w kościele *Urszulanek*. Hrabiego *de Bilacqua* zamianowano po zaprowadzeniu rzeczypospolitéj po téj stronie Alp prefektem miasta *Forli*. Odwiedził go tutaj z swymi oficerami zdążający tamtędy w roku 1798. wódz polskiego legionu generał *Dąbrowski*. Prefekt przyjął ich radośnie w salonie, w którym obok innych obrazów wisiały dwa portrety. Zajęły one żywo polskich gości. Jeden z nich przedstawiał młodego mężczyznę w dworskim stroju z orderem *św. Stanisława*, drugi starca w mundurze kontuszowym kawaleryi narodowej. Stali też długo przed owemi portretami *Dąbrowski* z swymi oficerami, albowiem one przypominały im kraj rodzinny. Atoli jakżeż się zdziwili, kiedy do salonu weszła pani domu, do nich najpiękniejszą przemówiła polszczyzną, tłumacząc im, że owe portrety przedstawiały *jój ojca i dziada!*

Hrabia *Mycielski* wygoił się z rany, otrzymanej ku swój chlubie w obronie brata. Służył i nadal wojskowo i byłby się był wskutek swój nieustraszo-

ności i innych zalet dosłużył niezawodnie wyższego stanowiska, ale go nagle zabrała śmierć w połowie życia. Wziął on mianowicie udział w wojnie o oswo-bodzenie Ameryki, którą z sobą wiodły *Francya* i *Anglia*, i poległ w zwycięskiej wyprawie, na wy-spie *Tabago* bez pozostawienia dzieci.

Podczaszy litewski roztrwonil cały swój majątek, chociaż kilkakrotnie uzyskał wsparcie od króla. Pani podczaszyna, mimo swój lekkomyślności charakter prawy korespondowała aż do zgonu z owdowiałą starością. Pojechała nawet w r. 1788. aż na wy-brzeże morza *Adryatyckiego*, aby być na weselu hrabiego *de Billacqua*, i pozostawała prawie cały rok w pobliżu swych krewnych. Jój stósunek z księciem *Waraginem* uzyskał wskutek stałości owe uprawnie-nie, jakie ludzie światowi przyznają. Rozstała się z swym mężem bez sprzeczek i niechęci. Kiedy król *Poniatowski* później zamieszkał w *Petersburgu*, należała do nielicznego pocztu osób, które go nie chciały opuścić. Król wyznaczył jój sześćset duka-tów rocznej pensyi, którą jój po zgonie monarchy także nowy rząd najpункtualniej wypłacał. Księżę *Waragin* zachował względem niej swą miłość, a w wie-ku sędziwym niezmienną przyjaźń. Podczaszyna stała się wkońcu bardzo nabożną; toż można było w po-czcie osób, które się często skutecznie starały o jój radę i orędzie, zauważyć i księży, gdy się w stolicy ubiegali o beneficya. Podczaszyna zachowała aż do końca życia wesołe usposobienie i duchowy polot i odznaczała się w swój dewocyi wielką pobłażli-wością i słodyczą w osądzeniu ludzkich ułomności. Dlatego téż jój zgon oplakiwano powszechnie. Księżę,

Waragin sprawił jój własnym kosztem piękny pomnik w kościele.

Gintowt osiadł po rozbiorze kraju w *Puławach* pod egidą księcia-jenerała ziem podolskich. Małe wynagrodzenie, które pobierał od rządu pruskiego za starostwo wieluńskie, i hojność księcia były wreszcie jego jedynymi źródłami dochodu. Pozostał on aż do zgonu przedstawicielem, albo raczej relikwią dawniej dworszczyzny. Zawsze utrefiony, upudrowany, ubrany według mody francuskiej z zarzuconą błękitną wstęgą, sprzączkami u trzewików i pierścieniami na palcach trzymał się jeszcze w sędziwym wieku prosto, obdarzał każdego wieczoru damy poniekąd *ex officio**) komplementami i zabawiał towarzystwo dowcipami, zadawaniem i rozwiązywaniem zagadek, rebusów i t. p. Pisywał także wiérsze. Jego poważniejszą w tym względzie pracą był przekład na język ojczysty poematu *St. Lamberta* pod napisem: „*Cztery Pory Roku*.”

Wazgird powrócił po nastaniu pokoju w Polsce na Litwę i zamieszkał w dobrach księcia-wojewody. Znikły atoli na zawsze jego wesołość i swoboda ducha: stał się milczącym, unikał towarzystwa i nie znajdował w niczém, nawet w łowach żadnej przyjemności. Wkońcu wstąpił do zakonu *OO. Bernardynów* wileńskich i pozostawał tutaj pod opieką i przez niego wielce poważanego *ojca Kleofasa*, którego niedawno kapituła obrała była magistrem nowicyuszów. Po odbyciu nowicyatu złożył

*) Z obowiązku.

Wazgird śluby zakonne i otrzymał ku swemu wielkiemu uradowaniu imię *Michał*. Nie odznaczał się on nigdy uczonością, toż sobie wyprosił u przełożenstwa, iżby nie żądano od niego kazań. Natomiast budował wiernych pięknym śpiewem, który tchnął głębokiem poczuciem.

Niebawem znikł z jego duszy smutek; a on sam stał się wzorem pobożnego i wesołego bernardyna. Tylko kiedy *ojciec Michał* mszę świętą odprawiał, można było zauważyć: jak podczas *Memento**) łyż mu po licach spływały. W roku 1792. został kapelanem wojskowym VIII. *pułku litewskiego* i pamiętając o dawnych czasach konfederacyi kroczył pod miastem *Sallanti* z krzyżem w ręku na czele żołnierzy. W śród gradu kul odniósł tylko lekką ranę, z której się po kilku-tygodniowej kuracyi wyléczył. Umarł *in odore sanctitatis***) gwardyanem klasztoru nieświezkiego w ostatnim roku minionego stulecia. Zmarli téż później *ojciec Kleofas*, tudzież *ks. Nowochacki* — obaj w sędziwym wieku.

Skoluba, chociaż mógł sobie zakupić posiadłość, ulokował swój kapitał u księcia-wojewody, osiadł w pobliżu swego zmetamorfozowanego pana i zajmował się bieleniem płócien. Obce mu było atoli umiarkowanie w jedzeniu i picciu; toż umarł przedwcześnie. Jego dawniejszy pan udzielił mu ostatniego błogosławieństwa i namaszczenia olejem świętym. *Ks. Prosper* opuścił Litwę i udał się do nowo

*) Pamiętaj — modlitwa we mszy świętej za umarłych.

**) Uważany za świętego — świętobliwie.

ustanowionego królestwa *Galicyi*, gdzie pod koniec życia został dostojnikiem kościoła.

Flicz poślubił *Ewkę*, wdowę po *Kieściu*. Zakupili sobie oboje dom w Warszawie; a dawniejsza szynkarka pożyczala teraz pieniądze i trudniła się lichwą. Nie zebrała atoli majątku, albowiem — co zarobiła, to jej mąż przepijał. Zliszył się on wreszcie tak dalece, że z karczmy prawie nigdy nie wychodził, a do domu chyba wtedy zaglądał, gdy mu potrzeba było środków do występnego życia. Zakradał się też do kufrów żony. Powstawały zatem często małżeńskie spory, które „*Jakóbek*“ rozstrzygał niemiłosiernym obiciem połowicy. Niegodziwie nabyte mienie rozplynęło się wkrótce tak, iż oboje popadli w największe ubóstwo. *Flicz* umarł na *delirium tremens**); *Ewka* zaś chęrlała aż do zgonu, żyjąc z szczupłej pensyi, którą jej król polecił wypłacać.

Najlepiej powiodło się *Czesławowi Buńczukiewiczowi*. Hojny zapis, jakim go obdarzył jego pan, umożliwił mu nabycie korzystnej dzierżawy. Ożenił się też z porządną, gospodarną dziewczyną i doszedł niebawem wskutek oszczędności i skrzętnej pracy do małego majątku. Wyniósł się potem z *Litwy*, gdzie niegdyś służył za pokojowca, osiadł na *Ukrainie* i objął tutaj rozleglejszą dzierżawę. Gdy nastąpił podział kraju, zakupił w nim bardzo korzystnie znaczne posiadłości, które z czasem wskutek handlowego wzmożenia się *Odessy* doszły do wielkiej wartości. Jego potomkowie stali się bogatymi dzie-

*) Obłąd opilczy.

dzicami i mogą zaprezentować ważne dowody, iż pochodzą właściwie z domu hrabskiego... Cieszą się też nie tylko z powodu bogactwa, ale także wskutek swego wykształcenia i humanitarnych dążeń powszechnym szacunkiem i mają wszędzie wielkie znaczenie.

Spoglądając okiem ducha na dalsze i bliższe czasy i postacie naszego dramatu unosimy w życie lakoniczną, lecz wymowną prawdę dziejową w słowach, które niegdyś wygłosił był ksiądz *Narwojch* na pogrzebie księżny *Taidy Wiśniowieckiej*:

„Świat podobny jest kopalni w górach, gdzie pokolenia spoczywają warstwami, aby na głos trąby w dniu sądu ostatecznego powstać ku nowemu życiu.“



SPIS RZECZY.



TOM I.

I.	Pan Wojciech	7
II.	Wychowanie sarmackie	17
III.	Wychowanie francuskie	26
IV.	Zaręczyny	35
V.	Zgon sprawiedliwego	51
VI.	List starosty wieluńskiego do księcia-jenerała ziem podolskich	64
VII.	Wtóry list starosty wieluńskiego do księcia-jenerała ziem podolskich	79
VIII.	Podróż do Nieświeża	92
IX.	Wytworność dwojga światów	106
X.	Imieniny księcia	119
XI.	List starosty wieluńskiego do hrabi Mycielskiego	143
XII.	Dom zamożnego szlachcica	158
XIII.	Przybycie starosty do Niewodowa	179
XIV.	Pobył starosty w Niewodowie	195
XV.	Kasztelanowa liwońska. — Wyznanie	216
XVI.	List kasztelanowej liwońskiej do podkomorzego Gintowta	235
XVII.	Ozdrowienie starosty	244
XVIII.	Urywki z dziennika starosty.	254



TOM II.

I.	List podkomorzego Gintowta do kasztelanowej liwońskiej	267
II.	Przygotowania do konfederacyi	274
III.	Katastrofa	294
IV.	Dalsze koleje konfederacyi	309
V.	Świat „wytorny“	321
VI.	Król Stanisław August	336
VII.	Konfederaci w Częstochowie	354
VIII.	Przeczcucie	366
IX.	Dystyngowane towarzystwo wieczorkowe	376
X.	Gospoda pod Marymontem	408
XI.	Jego królewska mość	435
XII.	Zwycięstwo starosty	446
XIII.	Prośba o ulaskawienie u króla	457
XIV.	Więzienie	471
XV.	Wykonanie wyroku	486
XVI.	Niespodziewane zdarzenie	498
XVII.	Pośmiertne zeznanie	510
XVIII.	Pokłosie	514



Omyłki druku.



Stronnica 512 wiersz 11 z dołu ma być: własno-ręczny

”	513	”	12	”	”	ojcu;
”	514	”	7 z góry	”	”	liliśmy
”	514	”	3 z dołu	”	”	zmienioną powierzchnością
”	515	”	6	”	”	ździwili
”	519	”	12 z góry	”	”	często
”	526	”	8	”	”	(z pomiędzy wyrazów naszego a dramatu wymazać plamę!)





